
V
B
J
C


F.A. OSSENDOWS

342

F. A. OSSENDOWSKI

LENIN

stanowi tom drugi cyklu powieściowego:

NA PRZEŁOMIE

Tom pierwszy wyszedł p. t.:

PIĘĆ MINUT DO PÓŁNOCY

W druku tom trzeci:

ISKRY Z POD MŁOTA

Inne utwory tegoż autora nakładem Wydawnictwa Polskiego R. Wegnera:

Płomienna Północ

Pod Smaganiem Samumu

Niewolnicy Słońca

Biały Kapitan

Lisowczycy

Najwyższy Lot

Orlica

Ludzie, Zwierzęta, Bogowie

Szkarłatny Kwiat Kamelji

Nieznanym szlakiem

W druku:

Gasnące ognie

Zwierzyniec



В. Ульянов (Ленин)

F. A. OSSENDOWSKI

LENIN

WYDANIE TRZECIE

1930
WYDAWNICTWO POLSKIE
R. WEGNERA
POZNAŃ

OKŁADKĘ RYSOWAŁ
T. ROŻANKOWSKI

*

*

PRINTED IN POLAND

*

MIEDZIODRUKI DRUKARNI POLSKIEJ, POZNAŃ
* DRUK: CONCORDIA SP. AKC., POZNAŃ *

LENIN

PRZEDMOWA

DO TRZECIEGO WYDANIA.

Nareszcie!...

Skończyły się [illegible]ość nudne i jałowe debaty w sali paryskiego „Club du Faubourg".

Pan Leo Poldès zamknął posiedzenie i publiczność szybko opuszczała lokal klubu.

Nie lubię tłumu i tłoku, więc wychodziłem na końcu.

Przypominając sobie treść mów i słuchając poszczególnych zdań, wypowiadanych przez wychodzących gości „Faubourgu", myślałem, że na bolączki życia współczesnego taki niewinny plasterek, jak ten krzykliwy i rozgadany klub, nie pomoże.

Słyszałem tu patetyczne, mocno trącające stęchlizną i naftaliną mowy hurra-patrjotów; wijących się, jak węgorze, demokratów; odbitych jednym i tym samym sztampem, standartyzowanych, „*made by Engel's system*" socjalistów, i brutalnych, arcy-grubjańsko myślących członków komunizującej grupy „Clarté", tworzących na poczekaniu teorje i hasła, i, — doprawdy, cała ta operetka budziła we mnie politowanie.

Teoretyczne roztrząsania zagadnień społecznych, pełne nieuleczalnej impotencji usiłowania wynalezienia ogólnej formuły dla „*panaceum*" poprawy życia ludzkości, ślepota, niewiedza istoty tego życia i jego chorej, bardzo chorej duszy, a obok plugawa demagogja, gdy to szubrawe usta mówią więcej niż mieści w sobie ambitny, nieokiełznany mózg, mowy nikomu niepotrzebne, oddawna przebrzmiałe, zimne, urzędowo-partyjne, śliskie, nieuchwytne lub wręcz kłamliwe, szantażem nakrapiane...

To też do „Faubourgu", na owe słynne debaty nie przychodzą ani ci, którzy widzieli nagłą klęskę nacjonalizmu i jego nieudane podrygi dla odzyskania dawnych placówek i wpływów, ani ci, którzy rozumieją zmierzch rozpanoszonego demokratyzmu, ani też ci, którzy powtarzają sakramentalny frazes Lenina: „A dziś nie czas na to, żeby ludzi głaskać po głowie; dzisiaj ręce opadają ciężko, by strzaskać czaszki"...

Nie mają tu nic do roboty ci „obywatele" i „towarzysze" wśród tłumu papug, gadających, zasłuchanych w potoczy-

stość własnej mowy, tych czynnych lub przygotowujących się do czynu, obecnych i przyszłych członków „głosującej czeladzi“ parlamentarnej...

Elokwencja i dowcip, chociażby gallijski, nie zbudują nowych przyciesi świata i nie przeniosą na nowe podłoże zbutwiałego, zmurszałego, zżartego przez „grzyb“ gmachu życia wieku, który już minął. Wskazówka zegara dziejowego tkwi jeszcze na ostatniej godzinie tego okresu, lecz nikt nie pamięta, że gong już ją wydzwonił i że wskazówka lada sekunda przeskoczy na następną czarną kreskę, odbijając nową minutę... minutę p o...

I właśnie w tej chwili dotarłem do szatni...

Ktoś głośno wymówił moje nazwisko i kilku paryskich i genewskich znajomych otoczyło mnie.

Powitania, krzyżowe pytania, żarty i – – wspólna wyprawa do „*Café de la Paix*“...

W pewnej chwili jeden z moich przyjaciół zawołał:

— Ale, ale! Czytałem pańskiego „Lenina“ po niemiecku! Mam wiele do pomówienia o tej książce!

— I ja czytałem! — dodał drugi.

W rezultacie okazało się, że wszyscy czterej znają tę pracę moją i jej cudaczne perypetje w Italji, gdzie przez pewien czas tkwiła na indeksie, aż, przeczytali ją rozumni ludzie, no, i dali dyspensę.

Zagraniczny inteligent jest człowiekiem naogół rycerskim i zawsze napadniętemu pokazuje broń, którą będzie z nim walczył. Z tego powodu moi znajomi najpierw sami wypowiedzieli swoje myśli, wątpliwości i zastrzeżenia.

Słuchałem uważnie, chociaż, coprawda, zbrzydło mi to oddawna.

Mego „Lenina“ tak bardzo chwalono i tak gorąco ganiono!

Ba, jakiś ksiądz gardłował nawet za tem, aby tej książki nie dawać do czytania... dzieciom, szkoda, że nie dodał: — „i księżom niewysokiego poziomu umysłowego“. Wtedy komplet do intercyzy byłby w porządku i nie wspominałbym o tym „krytyku w sutannie“.

Doprawdy, mądrym człowiekiem był pewien rosyjski archirej riazański, o którym w swoich pamiętnikach wspomina Zabłocki-Dziesiatowski. Ten biskup, widząc ciemnotę niektórych duchownych, zabronił im objaśniać Ewangelję wieśniakom.

Posądził mnie ktoś o zbytnią „dobroduszność“, dobroduszność autora, który do kałamarza nie dolewa cjanku potasu ani wybuchowej nitrogliceryny.

I inni też z udaną namiętnością lub zgoła nieuczciwą i śmieszną tendencyjnością (ze znakiem prawego, lub lewego

ıadali zdania, po wysłuchaniu których pu-
ıo i pytałem siebie: „Gdzie Rzym, gdzie

ıın — to mocarz, figura największa w świecie współ-
ıym, człowiek, rozpoczynający nową historję ludzkości!
ıówił z patosem Francuz. — A pan uczynił z niego
/kłego człowieka.“

— No, bo przecież, Lenin jadł, pił, jak ten oto kelner, trochę kochał, oszukiwał, kłamał, mylił się, cofał. Nie cofał się jedynie przed zbrodnią, lecz takich typów chyba nie nazywa pan mocarzami, rozpoczynającymi nową historję ludzkości? — wtrąciłem.

— Romain Rolland, Barbusse, Duhamel, Mann, Wells nazywają go wielkim reformatorem! — rzucił Francuz, zwycięsko patrząc na mnie.

— Tak! — podtrzymał oponenta inny mój znajomy, Anglik. — Chociaż nie jestem, bynajmniej, zwolennikiem Lenina i oburzałem się w swoim czasie na Lloyd-Georga, że nawiązał on stosunki handlowe z Sowietami...

— Muszę bronić pana Lloyd-Georga! — rzekłem. — Ten pan nikogo nie oszukiwał, ale powiedział wprost: „Prowadzimy handel z kannibalami, dlaczegoż nie mielibyśmy handlować z Rosją Lenina?“ Anglja podziela logikę swego premjera i handluje nadal z ludożercami i sowietami!

— No, tak! — odparł Anglik. — Ekonomiczna polityka nie zawsze toczy się po relsach moralnych przekonań, lecz chciałem powiedzieć, że, bądź co bądź, przedstawić Lenina, jako zwykły wytwór rzeczywistości rosyjskiej, — to albo przesadna oryginalność, granicząca z zuchwałością, albo też — tendencyjność, sarkastyczny pamflet!

— Ten obłąkany wampir, buntownik, płatny agent rewolucyjny w tak ciężkim okresie walki omal nie zburzył podwalin ładu, kultury, dyscypliny i przemysłu Germanji, a pan z taką objektywnością, filozoficznym spokojem analizuje tego człowieka, nadaje mu cechy ludzkie, — to wprost się w głowie nie mieści! — wypalił nacjonalista niemiecki.

— I ja też pojąć nie mogłem, — odezwał się amerykański dziennikarz, — w jaki sposób, jakiemi drogami logicznemi „genialny“ Lenin, marzący o elektryfikacji i zmechanizowaniu ciemnej, analfabetycznej Rosji, doszedł do zniszczenia materjalnego dorobku swojej ojczyzny?! I wszystko w imię wolności i szczęścia uciemiężonych! W tem tkwi jakiś straszliwy, a chwilami ohydny paradoks!

Umilkli i patrzyli na mnie wyczekująco.

Nie miałem zamiaru po wysłuchaniu przemówień w „*Club du Faubourg*“, wszczynać dysputy i chciałem się wymigać

zresztą zupełnie słusznem i lojalnem o... pisarz pisze to co widzi, co zna, słyszy, spraw... patruje oczami oraz tajemniczym, wzrokiem pod... intuicyjnym, i co się rodzi w jego duszy, nieraz bez... woli. — Na tem jego obowiązki się kończą. Utwór jego r... poczyna samodzielne istnienie, to znaczy, że jest czytany, obmyślany przez innych, krytykowany.

Jednak słowa — *straszliwy paradoks* — porwały mnie i zmieniły moje poprzednie zamiary.

— Powiada pan — paradoks?! W tem jest cała rzecz! Żyjemy w okresie, który z czasem historycy nazywać będą — „krótkim wiekiem paradoksu!“ — zawołałem.

— Co to znaczy? — zapytali chórem.

— Od bitwy pod Waterloo do dnia, w którym rozgorzała wojna światowa, układała się epoka techniki i pokoju. Ludzkość rzuciła się z uporem obłędnym w wir pracy, produkując coraz większe bogactwa. Technika ulepszała wszelkie mechanizmy i zmniejszała ilość ludzi, bezpośrednio zajętych w przemyśle. Obok nagromadzonych bogactw tłoczyły się coraz bardziej groźne tłumy głodnych, zrozpaczonych ludzi, nie mających pracy, wzrastała zbrodniczość, prostytucja, a w dzielnicach biedaków, śmiejąc się z przepisów hygieny i sanitarji miejskiej, gruźlica i inne choroby nędzarzy, porywały coraz więcej ofiar — więcej niż za „dobrych, starych“ czasów pańszczyzny, cechów i pracy w dusznych, ciemnych warsztatach, lub w fabrykach, nigdy nie wentylowanych, wolnych od wszelkiego dozoru lekarskiego, więcej nawet niż w katorżnych kopalniach Rosji carskiej lub w więzieniu gwiańskiem. I o, dziwo! Zdawałoby się, że posiadające klasy i klasa nędzarzy powinnyby były oczy swoje zwrócić ku niebu, pierwsza — z wdzięcznością za obfitość „chleba powszedniego“, druga — z błaganiem łzawem o kromkę jego. Tymczasem — widzimy całkiem inny obraz. Klasa posiadaczy i klasa służącej jej inteligencji staje się coraz bardziej obojętną dla spraw religijnych; klasa nędzarzy oraz skazańców skazana na wytężoną, szybką, ciężką pracę w ciągu 8—10 godzin prawie zupełnie się odwróciła od kościoła. Dlaczego? Przyczyna tego zjawiska leży w nerwowem przemęczeniu, które nie pozwala na skupienie się, poważne rozmyślanie lub przejęcie się wewnętrzne. Stanowi to wynik naszej epoki paradoksu!

Klasa posiadaczy, zainteresowana w stałych i silnych rządach i klasa nędzarzy, nienawidząca rządu, który nie jest w stanie zmienić ich losu, obydwie dążą do ciągłych zmian, których powodem jest brak stałości psychologicznej, nie dającej możności stworzenia hasła przewodniego. Stąd wy-

nikają ciągłe kryzysy rządowe, strajki generalne, rewolucje. Nasza cywilizacja potrzebuje przedewszystkiem pokoju, którego broni ona nazewnątrz armatami i bagnetami, a wewnątrz — nałożeniem na wszystkich jarzma wytężonej, gorączkowej pracy i wyścigu z maszynami. Tymczasem przepaść pomiędzy posiadaczami i pracownikami pogłębia się z szaloną szybkością. Proszę panów spojrzeć na tego brutalnego, triumfującego nuworysza, który wysiada z Hispano-Suizy, i na tę nędzarkę o zbiedzonej, steranej twarzy i przygasłych oczach nienawidzących, która zbliża się do naszego stolika i wyciąga z ceratowej teki „*Paris-Midi*“, chociaż tę gazetę wszyscy już przed południem przeczytali. Zrozumieli grożące niebezpieczeństwo, a może poczuli wyrzuty sumienia nieliczni amerykańscy miljarderzy. Jedni z nich dążą do przekształcenia robotnika na maszynę — sprawną, silną i niepotrzebującą myśleć. Drudzy, jak Rockefeller i Morgan, rzucają ogromne sumy na „wszechludzkie“ instytucje — uniwersytety, szpitale, naukowe pracownie, bibljoteki, a Ford — zadarmo prawie oddaje swoim robotnikom auta swojej fabryki. Być może, jakiś Guerlain lub Chanel postanowią nawet zaopatrywać każdą pracownicę we flakon najprzedniejszych perfum; rządy zmuszają budować domy robotnicze, kluby, czytelnie, teatry... lecz są to paljatywy, mikro-atomy wysiłku w chaotycznem, obłędnem tempie życia, w makrokosmie nędzy i nieładu socjalnego.

Widział to wyraźnie w innej dziedzinie już Talleyrand i na Kongresie Wiedeńskim doradzał monarchom, aby swoją zbyt samowolną władzę ograniczyli samorzutnie, nie czekając, aż ludy same zażądają tego z całą stanowczością i bezwzględnością.

— Jakoś nie słychać nic o takim Talleyrandzie kapitalizmu! — zauważył Francuz.

— Tak! — zgodziłem się. — A tymczasem, gdyby nie ciężkie jarzmo wyścigowej pracy, gdyby nie bicz, w którego drapieżnem klaskaniu słyszeć się dają złośliwe wołania: „Ciągle naprzód! A prędzej! A mocniej! z całej siły mózgu i mięśni!“ — gdyby nie to hasło naszej współczesności, — hasło, które żąda i wytwarza ład strasznego, niewolniczego rygoru, pochłania każdą chwilę, czy to pracy, czy wypoczynku, i każdą myśl, — biada światu „cywilizowanemu!“ Runąłby on, bo cywilizacja naszego wieku możliwą jest tylko w warunkach pokoju. Wojny i rewolucje wstrząsają jej podwalinami i burzą, bo gmach jej nie jest scementowany ani stałością psychologiczną, ani zdolnością do namysłu, ani pobudkami religijnemi, ani hasłami idejowemi.

Jeżeli po wybuchu krótkotrwałych wojen i rewolucyj ludzkość szybko powracała do dawnego bytowania, usiłując wytężoną pracą odrobić stracony czas, i — wszystko szło po — dawnemu, to państwa i społeczeństwa zawdzięczają taki pomyślny nawrót wyłącznie tradycyjnemu zaufaniu w dobroczynne, chociaż powolnie przejawiające się skutki ewolucji myśli, która z czasem powinna spowodować głęboką reformę w dziedzinie ekonomiki i polityki.

Komunizujący Francuz, wielbiciel Rollanda, Barbussa i „l'Humanité“, wtrącił, zuchwale potrząsając głową:

— Nie myślcie, moi drodzy, że będzie tak zawsze! O, nie! Przypomnijcie sobie frakijskiego gladjatora, Spartakusa! Jakże kornie chylili głowy niewolnicy przed dumnymi patrycjuszami rzymskimi, jak biernie pędzili oni swój marny spodlony żywot! I oto zjawił się buntownik, przemówił do uciemiężonych ze stoków Wezuwjusza i wraz z innymi niewolnikami — celtami Kryksem i Enomajem poprowadził za sobą 200-tysiączną armję, zwalczył żelazne kohorty pretorów Klaudjusza, Warynjusza, Poplikoli i Klodjana, a nawet zagroził Rzymowi!... Od tego czasu patrycjat rzymski stracił na dumie i już nie mógł spać spokojnie. Upajajcie się, chowacie głowy w piasek wszechwładnych tradycyj, — doczekacie się swego Spartakusa na Place de la Concorde, na Picadilli i na Down-street!

— Jak dotąd na to się nie zanosi! — zauważył Anglik. — Państwa Zachodu wierzą w parlamentaryzm i posiadają poczucie państwowości.

— Tak! — potwierdził Niemiec. — Nawet socjaliści nie są pozbawieni tych właściwości narodów cywilizowanych. Dowiedli oni tego wszędzie w Europie podczas wielkiej wojny.

Obawiając się, że rozmowa przeciągnie się zbytnio, zacząłem mówić dalej:

— To, co powiedziałem i co dorzucili panowie, daje się zastosować do wszystkich państw europejskich, Ameryki północnej, Australji. Istnieje jednak pewien kraj ogromny i całkiem odmienny, pełen jeszcze bardziej jaskrawych wprost tragicznych parodoksów...

— Rosja!... — wtrącił Amerykanin.

— Rosja! — przytaknąłem. — Kraj, którego nikt na Zachodzie nie zna, bo rządy carskie rozpowszechniały o nim fałszywe wieści, a jeszcze bardziej fałszywe — wrogowie tych rządów! Nie znali też Rosji, prawdziwej, mużyckiej, sekciarskiej Rosji, sami Rosjanie. Ufając potędze caratu, wojska, policji, żandarmów, duchowieństwa, chcieli oni widzieć w tych 130—150 miljonach dopiero przed 69 laty napół zwolnionych chłopów bierne, ujarzmione stado, pełne po-

kory przed carem, potulne, naiwne, noszące w zbiorowem sercu swojem istotną treść Bóstwa, dla którego gotowe było w każdej chwili wstąpić na drogę męczenników, tak barwnie opisanych w „Czetji-Minejach".

Pomyślałem chwilę i dodałem:

— Doprawdy, ciężko mi jest mówić o tem z zachodnimi ludźmi, bo czuję się tak, jakgdybym mówił o tubylcach świeżo odkrytej wyspy! Nikt mi nie uwierzy, a co najgorsza — posądzi o tendencję i stronniczość! Polak musi przecież źle mówić o Rosjanach?! Jak tu obnażać istotę duszy tego narodu, gdy wszyscy dobrze pamiętają najbardziej błyskotliwą, pełną romantyzmu i czaru umysłowość „*les boyards russes*" i inteligentów?! Mój Boże! Dostojewskij, Tołstoj, Pawłow, Woronow, Miecznikow, Mendelejew, Riepin, Rachmaninow, Czajkowskij, Paolo Trubeckoj, — setki sławnych imion z dziedziny literatury, nauki, sztuki plastycznej, teatru, muzyki, baletu! Któż uwierzy? Wiwisekcjom tego rodzaju nie bardzo dowierzają nawet w Polsce, chociaż znaczna jej część prawie 1½ wieku przebyła pod panowaniem Katarzyny, Pawła, dwóch Aleksandrów i dwóch Mikołajów! Do Rosji stosują miarę podług wzorów europejskich, dobrą dla najlepszych okazów, chociaż tych na 150 000 000 poddanych ich cesarskich mości — imperatorów Wszechrosji naliczyć można byłoby najwyżej dwa miljony, czyli zaledwie połowę ludności Paryża.

— Resztę zaś stanowiło bydło? — spytał Anglik, badawczo patrząc na mnie.

— Nie, tego nie twierdzę! — odparłem. — Reszta składała się z ludzkiego materjału, którego nie można było jednak, jak piasku lub drzewa, ważyć na delikatnej, precyzyjnej wadze karatami, co stosują jubilerzy do djamentów i złota.

— To prawda! — kiwał głową w zamyśleniu amerykański dziennikarz. — My w Stanach mamy też odmienne szablony dla czarnych i czerwonoskórych...

— Podobne to, chociaż nie ścisłe, porównanie! — zauważyłem. — Proszę teraz wyobrazić sobie 150 miljonowy naród, niejednolity, rozrzucony na olbrzymiej przestrzeni, a pozbawiony fizjologji współczesnego białego człowieka: poczucia sprawiedliwości, zrozumienia obowiązku, poszanowania prawa, potrzeby trwałego porządku i systemu. Naród ten nie mógł wyrobić w sobie i wykształcić tych niezbędnych dla stworzenia państwa i społeczeństwa idej, ponieważ był rzeczą, igraszką w rękach samowładnych carów, obawiających się dać swoim poddanym oświatę, bo, jak mówił Aleksander III, — „uczony syn kucharki staje się zawsze rewolucjonistą!" I co za dziwny obraz, niemal apokaliptyczny! Car,

zaczynając od moskiewskich kniaziów i Iwana Groźnego, a kończąc na „Mikołaju Krwawym“ lub „Ostatnim“, wysilali się na drapieżność względem swoich „wiernopoddanych, umiłowanych dzieci“ i względem sąsiadów zakordonowych, na przelew krwi, na pogwałcenie prawa i moralności, na despotyczne, tyraniczne rządy. Naród powinien był, zdawałoby się, nienawidzieć carów, a tymczasem przez cały przeciąg samowładztwa myśl, serce i marzenia ludu skierowywały się ku carowi, wszystko przebaczały mu, tłumaczyły złe, niesprawiedliwe rządy wpływami szlachty, biurokracji, kupców i wogóle — „bogaczy“, spokojnie jednak przyjmowały drapieżność i zaborczość swoich władców, bo drapieżność i zaborczość leżały na dnie duszy narodowej.

— Gdzież zatem jest miejsce dla „szukania Boga“, jak wskazywała literatura rosyjska? — spytał Niemiec.

Nie odpowiedziałem mu i mówiłem dalej:

— Prace biologów dowiodły, że każdy z nas stanowi muzeum przedhistorycznych przodków, że w okresie embrjonalnym przechodzimy stadjum rozwoju pierwotniaków, płazów, ryb, ptaków i nieznanych obecnie potworów ssących, które, z pewnością, zjawiały się niegdyś na powierzchni ziemi, a których potomkami jesteśmy. Wiemy teraz, że wszystkie te prototypy mogą odżyć nagle i wyrwać się na wolność, w postaci właściwych im zwyczajów. Cóż w takim razie powiemy o rosyjskim narodzie, jeżeli przypomnimy w sobie, że w żyłach jego i w mózgu tkwią zupełnie jeszcze młode pierwiastki Mongołów, Ugro-Finnów i innych najeźdźców azjatyckich? Czyż zapomnieliśmy, że dla tych wojowniczych, surowych, dzikich szczepów sprawiana innym krwawa łaźnia stawała się rozkoszą najwyższą, a najdrapieżniejszy władca, jak Dżengis, Batu lub Tamerlan, wydawał im się półbogiem, połączonym z ziemią i z duszą narodu więzami powinowactwa krwi, idei burzycielskiej i zaborczej. To też lud rosyjski, a nawet inteligencja rewolucyjna marzyła o „carze ziemskim, czerwonym“...

— Czyżby to było możliwe?! — zawołał Anglik. — Czerwony car?!

— Podejmuję się oprzeć to twierdzenie moje na materjale historycznym! — odpowiedziałem. — A teraz dalej! Z tym „czerwonym carem“, burzącym wszystko, co było znienawidzone przez naród, a więc — państwo i społeczeństwo, łupiącym bogaczy i sąsiadów innej narodowości i wiary, — miljony wieśniaków i robotników, którzy w Rosji nigdy nie stanowili specyficznej klasy i węzłów pokrewieństwa ze wsią nie zrywali, te krocie ruszyłyby na mgliste dzieło przebudowy ojczyzny, ba, nawet — na podbój świata! To mrowie

rosyjskie targnęłoby się z pewnością, na przebudowę całego świata, gdyby na czele stanął inny władca, do którego rwały się marzenia jak ciemnych, tak i natchnionych głów rosyjskich. Miałbyć nim sam Chrystus, Chrystus *czerwony*, mściwy; Chrystus, druzgoczący czaszki ludzi, myślących inaczej, niż myśli potomek Pugaczowa, przybierającego imię fałszywego cara, lub sekciarza Kapustina, powszechnie uznawanego przez chłopów za Chrystusa, który powtórnie przyszedł na świat, jedynie w tym celu, aby pomścić krzywdy ludu.

— Straszliwy obraz! — wyrwało się moim przyjaciołom. — Średniowiecze ponure i złowrogie!

— Może jeszcze gorzej! — zauważyłem. — Tam nie było tyle nienawiści do wszystkiego, co tchnęło ładem i prawem. W Rosji przetrwały raczej psychiczne cechy niewolników pogańskich, a cech tych dopatrzyć się można w całym szeregu sekt, rozdzierających kościół oficjalny. Był tam protopop Awwakum, prowadzący wiernych na stos, jako protest przeciwko nowotworom w życiu kościelnem i państwowo-społecznem; był nakoniec Grzegorz Rasputin, przez seksualne, przybrane w szatę pierwotnego mistycyzmu orgje, uprawiane z arystokratkami, żądnemi ostrych przeżyć tajemniczych obrządków, a doprowadzającemi bachanta i szamana do stopni tronu, już jako „Bożego człowieka“, wyłaniającego się z najciemniejszych głębin ludu, cudotwórcę i proroka, oddanego dynastji.

Umilkłem, a moi słuchacze wpatrywali się we mnie niecierpliwie i pytająco.

Musiałem skończyć z tem, do czego już przygotowałem myśl moich przyjaciół cudzoziemskich.

— I oto Lenin... Piotr Wielki, protopop Awwakum, Pugaczew, „Chrystus“-Kapustin i poczęści nawet Rasputin w jednej osobie, a wszystko w zmniejszeniu, w minjaturze i karykaturze — rzekłem.

— Lenin?! — zawołali. — Lenin, posiadający cechy tak różnych, niepodobnych do siebie ludzi?!

— Lenin, jako zbiorowy typ psychiki rosyjskiej! Żaden z wymienionych przeze mnie ludzi nie był tak doskonałym przeciętnym Rosjaninem, jak Włodzimierz Uljanow-Lenin, panowie! — rzekłem. — Na tem oparł on swoje dzieło i swoje chwilowe zwycięstwo! Zresztą szedł ścieżką, wyrąbaną i wydeptaną przez innych... Przyszedł na świat w rodzinie drobnomieszczańskiej, rozjadanej sprzecznościami. Ojciec, pochodzenia kałmuckiego, małowykształcony, typowy „czynownik“ rosyjski, służalczy i bierny; matka — według jednych twier-

dzeń Żydówka, według drugich — Niemka, lecz w każdym razie o znacznie szerszych od męża horyzontach, oczytana, myśląca i krytykująca. Pierwsze podmuchy rewolucyjne niezawodnie posiała ona w duszach dzieci, być może, mimowoli, skierowała ich uwagę na jedwabną sutannę cynicznego proboszcza katedralnego, na surowość policmajstra, a jednocześnie obawę jego przed gniewem ludu, na rabią, tchórzliwą złośliwość kolegów starego Uljanowa.

Lenin spędził dzieciństwo i młodość nad Wołgą. Tam zaś panoszył się szlachcic, nie porzucający „patrjarchalnej“ linji swego postępowania z włościaństwem; tam żyły tradycje „ziemskiego cara“ — Pugaczowa i obrońcy uciemiężonych sławnego bandyty — Razina; tam, w borach czaiły się „skity“ — klasztorki sekciarzy; tam wreszcie przechodziła słynna „władimirka“ — szlak, którym gnano wrogów cara na męki katorgi syberyjskiej.

Lenin rozpoczął życie myślącego młodzieńca w dobie najmroczniejszego teroru despotyzmu, gdy to każda bardziej śmiała książka lub artykuł otwierały oczy na rzeczywistość i wołały do czynu zuchwałego, do protestu rozpaczliwego. I przecież ta czarna epoka panowania miłującego pokój cmentarzyska Aleksandra III, milczącego wspólnika zamordowania „niebezpiecznie liberalnego“ rodzica swego, Aleksandra-Oswobodziciela, wychowała rewolucjonistów bez liku, i, jako zrozumiała reakcja, wytworzyła atmosferę głębokiego niezadowolenia w kołach inteligencji.

Okoliczności sprzyjały, aby w urzędniczym domu kawalera orderów i radcy stanu, Uljanowa, wylęgli się terorysta i zamachowiec Aleksander i niebezpieczniejszy od brata, bo zimny i posiadający własną wolę, przyszły burzyciel Rosji — Włodzimierz Uljanow-Lenin.

Kazański, bardzo czerwony uniwersytet, dopełnił tego wychowania rewolucyjnego, tam bowiem znaleźli schronisko skrajni studenci, rugowani z innych uniwersytetów, oraz młodzież z seminarjów duchownych, przynosząca ze sobą pogardę i miażdżącą krytykę kościoła prawosławnego, rządzonego przez cywilnego urzędnika — ober-prokuratora najświętszego synodu. Tam po raz pierwszy wystąpiła na jaw iście rosyjska, ludowa cecha młodego rewolucjonisty, cecha, odrzucająca wszelkie zasady moralności państwowej i społecznej. Stało się to wtedy, gdy Lenin publicznie protestował przeciwko pomocy głodującym chłopom kilku prowincyj, bo, jak twierdził: „głód jest sprzymierzeńcem rewolucji“. Wkrótce potem wystosował memorjał, w którym wypowiadał się przeciwko szerzeniu pozaszkolnej oświaty, bo warunki nie po-

zwalały aby uczyć lud najistotniejszych rzeczy: chwytać za siekiery i drągi i obalać tron tyranów petersburskich.

Spojrzałem na swoich słuchaczy i spytałem:

— Nie wiem, czy panowie znacie twierdzenie publicystów i historyków rosyjskich, że dla chłopa rosyjskiego niema nic niezniszczalnego i nienaruszalnego, czy ma to być zasada prawa, przez wszystkich od wieków uznanego, czy też znienawidzony gmach więzienny?

Niemiec skinął głową i odparł:

— Czytałem o tem gdzieś... Autor powoływał się na Hertzena i Bakunina.

— Taki maksymalizm myśli i samopoczucie nieomylności stanowiły podłoże psychiki Lenina od lat młodzieńczych — ciągnąłem dalej. — Oddychał on tem od urodzenia, bo pluskała, gwarząc o tem Wołga watażki Razina, szemrał bór, gdzie sekciarze czekali na przyjście Chrystusa — krwawego mściciela, gdzie policmajster bez sądu siekł na śmierć włościan i ich żony; gdzie panował mrok w umyśle i duszy ludu, żyjącego tylko nienawiścią, pragnieniem władania ziemią i żądzą zemsty, dokonanej na wszystkiem, co bezpośrednio stało temu na przeszkodzie, a więc na szlachcie, popach i urzędnikach. Nosił to w sobie Lenin i dlatego czuł każde drgnienie duszy narodowej, rozumiał czem żyje ona i co stanowi marzenia jej, ukryte pod maską pokory, milczenia i męczeństwa. Po wygnaniu zaczyna jeździć po Rosji i sprawdzać swoją teorję, aż stawia pod nią jedno słowo: „koniec". Teorja dobra i już wie, jak należy zastosować ją w praktyce! Rozmowy i agitacja wśród robotników ustanawia ważny punkt przyszłego programu. Robotnik rosyjski posiada psychikę chłopską, a więc jest maksymalistą i nosi w sercu jednakie z „ziemią" marzenia. Podróż zagraniczna narazie zbija Lenina z tropu. Co za rozmach twórczości ludzkiej, co za system i ład?! Jak piękną jest „Appasionata" i Wenus z Milo! Co za wspaniały, budzący dumę wysiłek genjusza indywidualnego, którego plon z pietyzmem gromadzi *Musée des Arts et Métiers!* Kto się targnie na to? Któż z europejskich towarzyszy podniesie rękę na cudną zdobycz cywilizacji pokoleń? Tego nie uczyni ani Lafargue, ani Ledebour, ani Bebel, ani nawet odważniejszy od nich — Liebknecht. Przenigdy! Dokonać tego mogą tylko ci „szukający Boga i prawdy niebiańskiej", Iwany, Własy, Szymony i Dormidonty — ciemni, ponurzy, mściwi, chciwi, strupami, kołtunami i wszami okryci, ciągle głodni i oczekujący ni to „czerwonego" Chrystusa, ni to Antychrysta, ni to wreszcie rychłego „końca świata!" Oni nie słuchaliby przecież „Appasionaty", nie stanęliby w eksta-

tycznem osłupieniu przed marmurowym posągiem Afrodyty?

Znowu zaczął szperać Lenin, zaglądać wszędzie, szpiegować myśli i dążenia zachodnich ludzi. Nie trudno mu byłoby przyjąć dawną formułę słowianofilów o „zgniłym Zachodzie", przeżywającym swój zmierzch. Lecz Lenin ostrożny, nie uznający autorytetów nawet Hertzena, Bakunina i Marxa, — dojrzał owy „*Untergang des Abendlandes*" w czem innem, tak bezwstydnie wystawiającem swoje ropiące rany. W Paryżu, Berlinie, Londynie, Genewie dojrzał w mig, że człowiek współczesny pędzi ku zwycięstwu nad przyrodą w imię sytości i używania, i że myśl o zwycięstwie nad potworami, czającemi się w ciele i duszy człowieka, myśl wysunięta przez kulturę helleńską, została odrzucona z całą stanowczością.

Nie bał się już Europy, bo, jak później nieraz twierdził, zatraciła ona poczucie etyki, chociaż stało się to z innych, niż w ciemnej, szarej, zaśnieżonej Rosji przyczyn, lecz równie doszczętnie i beznadziejnie.

Być może, wtedy to dojrzała w Leninie decyzja postawienia stawki na najgorszych, najciemniejszych, najnędzniejszych. Skierował wzrok swój w stronę najmniejszego oporu, tam, gdzie już w pewnych okresach udawało się osiągnąć sukcesy rewolucyjne. Tak samo myśleli i postępowali niegdyś Razin i Pugaczew, a jeszcze dawniej — buntowniczy Spartakus. W tem zawarta jest cała demagogiczna „wielkość" i cała pospolitość i nikczemność jego mieszczańskiego spryciarstwa. Gdyby Lenin nie obrał tej drogi najmniejszego oporu, pozostałby, jak Bakunin, Chrustalow-Nosar i cały hufiec innych rewolucjonistów — wiecznym, zgorzkniałym emigrantem, tracącym poczucie rzeczywistości rosyjskiej, teoretykiem marksizmu, na wzór Piotra Struwego lub prof. Tugan-Baranowskiego, albo zginął na szubienicy, jak Pestel, bo wtedy Rosja znalazłaby dość sił na reakcję. Lenin wiedział dokładnie, że czasy się zmieniły, że wybiła godzina, przeżywana przez zziajane, przerażone gwałtem zwierze, w którem nagle wybuchła rozpaczliwa odwaga nienawiści i żądzy, drogo sprzedać swoje nędzne, spodlone życie. Już nie oglądał się na liberałów i socjalistów, wyciągnął ręce do najgorszych, najbardziej wściekłych i zrozpaczonych.

— Zaczynam rozumieć, do czego pan prowadzi nas! — zawołał Francuz.

— Pozostawało tylko wybrać moment dla ciosu, — mówiłem dalej. — Najłatwiej jest zabić człowieka, marzącego o samobójstwie. Taki nie broni się i nie woła na pomoc. Najstosowniejszym momentem była wielka wojna i klęska,

spotykająca armję rosyjską. Lenin rzucił hasło dla nędzników, nie poczuwających się do państwowości:

— Precz z wojną! Bierzcie karabiny i powracajcie do domów!

Stawka została wygrana.

Lenin rzucił drugą kartę.

„Liberali i socjaliści dążą do ustalenia rządu, który wam, głodni, wszywi i uciemiężeni, nie da nic! Precz z konstytuantą! Bierzcie karabiny i wychodźcie na ulice!"

Znowu zwyciężył.

Nastąpiła trzecia stawka:

— Jesteście chciwi i nienawidzicie władzy, bogaczy, popów, urzędników? Wieśniacy i robotnicy, zabierajcie wszystko i zgniećcie waszych wrogów!

Ten manifest godny „ziemskiego, czerwonego cara" podług ideału rosyjskiego, był wykonany ściśle, a w mrocznych zakamarkach mrowiska rosyjskiego szeptano:

— Azaliż nie przyszedł na ziemię naszą prawosławną „Chrystus — czerwony mściciel?"

I oto w legendzie ludowej przechowa się długo wspomnienie o Leninie — „czerwonym carze" i „czerwonym Chrystusie".

A dla trwałości tej legendy on — dyktator proletarjatu, uczynił wszystko, co mógł: panował na Kremlu Iwana Groźnego, tego opętanego „biesa" rosyjskiego, a nie w Petersburgu — stolicy niemieckich Gottorpów i antychrysta Piotra I; do deputacyj chłopskich przemawiał z przedziwną prostotą na wzór biblijnych patrjarchów lub „Aniołów" kościoła pierwszych wieków chrześcijaństwa; starał się o tę formę tak dalece, że nawet chętnie posługiwał się przypowieściami i tekstem Starego i Nowego Testamentu, a mowy mityngowe układał w brzmieniu namiętnych „suratów", jakiemi niegdyś nawoływał do zemsty krwawej prorok wschodni.

Lenin nie dowierzał Rosjanom, pamiętając, że nawet najzacieklejsi rewolucjoniści, jak Bakunin, dekabryści i inni, nieraz się cofali, wyrzekali dawnych poglądów i zdradzali sprawę i współtowarzyszy. Wobec tego ze sprytem i premedytacją popchnął cały lud na dokonanie takiej zbrodni, złagodzić której nie mogłyby już żadne skruchy i zaprzaństwo, a przed oczami złoczyńców w dzień i w nocy majaczyłaby szubienica; gdy się z tem załatwił, — dla popędzenia motłochu, znużonego machaniem zbrojnych rąk, oszalałego od oparów krwi i dymów pożogi, postawił poganiaczy — cudzoziemców: Żydów, Gruzinów, Niemców, Łotyszów, Polaków, Finnów, Madjarów i Chińczyków, pogardzających i nienawidzących

tego motłochu, który im w swoim czasie wypruwał trzewie i przerzynał gardziele w imię „cara-ojczulka“ i Rosji „świętej“. Oszukując obietnicami, jak handlarz jarmaczny, zalecając nowe ideje, drażniąc reklamowemi, jaskrawemi hasłami; mamiąc wizją prawdziwego rządu proletarjackiego, zaciskał naród w karbach niezwykłego posłuchu; stosował terror niesłychany nawet w czasach Groźnego Iwana i Antychrysta — Piotra; wiódł na stos nigdy niewidzianych mąk, jak fanatyczny Awwakum; oszałamiał kłamliwemi, lecz rozpętującemi najdziksze instynkty manifestami „wszystkim, wszystkim“, jak Pugaczew; tworzył nowe „*credo*“ marzących o sytości i zemście ludzi; jak „czerwony“ Chrystus, szalał wszechwładnie, bardziej okrutnie, niż wszyscy carowie razem wzięci i sam nie wierzył, że dojdzie do mety! Wykonywał krwawy, obłędny eksperyment, czekając, aż mu w tem dopomoże „zgniły zachód“, cofał się i nacierał, spiskował z Azją przeciwko cywilizacji, gwałcił, naigrywał się z wolności i wiary, tracił poczucie stosunku pomiędzy ulubioną „Appasionatą“ a miażdżeniem czaszek jej twórców i wykonawców, pomiędzy ideą a środkami urzeczywistnienia i uświęcenia jej; płaszczył się i ślizgał, jak płaz, pomiędzy dążnościami „ziemi“ a fabryki; szpiegował wszystkich, jak najzręczniejszy ochrannik carski, prowokował, kusił, podkupywał, fałszował pieniądze i dokumenty historyczne; truł oszczerstwem, zwyciężał podstępem, w chwilach najniebezpieczniejszych pozostawiał bieg wypadków naturalnemu rozwojowi; wyczekiwał, czaił się, udawał, że się zajmuje drobnemi napozór sprawami, znienacka atakował i znowu się cofał, wiedząc, że prąd dawno wyrwał mu ster z rąk, że płynie z biegiem fal, więc starał się jedynie o to, aby podnieść je wyżej, jeszcze straszliwiej zwichrzyć i śpienić, a w tym zamęcie, zgiełku i chaosie żywiołów i potworów, wyłażących z narodu, porwać go za gardło, zdusić, oszołomić i zmusić iść naprzód w mrok, gdzie nie spostrzegał żadnego światła.

Szedł jednak, bo inaczej zgniótłby go, zdeptał wartki, burzliwy potok motłochu. „Czerwony“ car musiał być zawsze na czele jego i, jak car, nikogo i niczego się nie bać... Musiał, chociaż nie zawsze mógł, a ten mus doprowadził go po kilku latach wściekłego życia do zupełnego wyczerpania mózgowego. Zadanie Lenina nie było trudnem, gdyż działał on wśród rosyjskiego ludu, trudnem było doprowadzenie zrywających tamy potoków do wolności, nowych, racjonalnych form życia, nowego ładu, nowej etyki i szczęścia, co przyobiecał solennie w manifestach swoich. Lenin pozostawił po sobie chaos, zburzone tamy i rozpętane zwierzę ludzkie — wstrętnego bękarta pierwotniaka i ssącego po-

twora o olbrzymim brzuchu i drobnej główce bez śladów mózga... Sam zaś, jako „nowy prorok“ pozostał w szklanym grobowcu w mauzoleum, wzniesionem na placu, gdzie car Groźny ucinał łby wiernopoddanym, Piotr wieszał buntowników, a dyktator proletarjatu walił z kulomiotów do wszystkich, którzy z tych lub innych powodów na klaśnięcie jego bicza odpowiadali okrzykiem: „nie!“, aż nie zapanowała cisza cmentarna, wśród której legł on, syn radcy stanu, półmongoł, fałszerz pieniędzy i idej, największy drapieżca, bezczelny demagog-dyktator, duchowy wnuk Groźnego, syn Piotra Wielkiego i brat Pugaczewa, oswobodziciel i ciemiężca, Awwakum fanatyzmu, Rasputin krwawych orgij, burzyciel rodziny i społeczeństwa, pół-car, pół-bóg, a w istocie swojej — towarzysz najnędzniejszych, najmroczniejszych, najbardziej zbrodniczych; zuchwały gracz, straszliwy eksperymentator, teoretyk i nieuk w dziejach rozwoju ludzkości, marzyciel o duszy, jak mgławica nad bagniskiem...

Kelner ostentacyjnie zaczął sprzątać stoliki.

Na frontonie Grand Opéra zegar wydzwonił drugą godzinę po północy.

Wstałem i zacząłem żegnać swoich przyjaciół.

— Dlaczego pan nie ogłosi odczytu w „*Club du Faubourg?*“ — zapytali mnie. — To byłoby takie wstrząsające i, mimo wszystko, przekonywujące!

— Niewiarogodne! — dodałem. — Niewiarogodne, gdyż w tym okresie skojarzył się paradoks europejski z paradoksem rosyjskim, a ten ostatni zwyciężył w kraju Iwanów Groźnych, Piotrów Wielkich, Katarzyn-Nierządnic, obłąkanych i rozpustnych popów, bo wodzem stał się mały, wolny od wszelkich zasad, doskonale rozumiejący duszę cara Iwana i półmnicha Rasputina, miotający się, przebiegły, zwinny, nieuchwytny „bies“ rewolucyjny — Lenin. Nikt mnie nie zrozumie, panowie, nikt nie uwierzy, nikt tu na Zachodzie nie zostanie przekonany! Lenina ważyć będą na karaty, jako djament biały lub czarny, a tu na szalę rzucić trzeba wiekową niewolę i morze wsiąkłych w ziemię rosyjską łez i krwi, koszlawe naśladownictwo Europy i ponurą spuściznę Azji...

Pożegnałem swoich przyjaciół i poszedłem wzdłuż — Boulevard Madeleine.

Pędziły lśniące limuzyny, wałęsali się „*camlots*“, myszkowały prostytutki, a nędzarki i nędzarze czaili się już w ciemnych framugach zamkniętych restauracyj, szperając w koszach ze śmieciami i odpadkami.

Cicho było dokoła.

Na skrzyżowaniu ulic tkwili policjanci z założonemi po napoleońsku rękami i gwarzyli spokojnie.

Granatowe mundury i eleganckie peleryny sprawił im naród.

On też postawił ich na tych placówkach...

Policjanci wiedzieli o tem i byli dumni, pewni siebie, albowiem potrafili wbić w zbiorową głowę narodu, że tak być powinno...

F. Antoni Ossendowski.

Paryż, wrzesień 1930 r.

ROZDZIAŁ I.

Mały Włodzimierz Uljanow siedział cicho i z pod namarszczonych brwi bacznie śledził każdy ruch matki.

Marja Aleksandrówna, trochę przybladła i smutna, pomagała służącej Ninie nakrywać do stołu.

Była sobota, — dzień, w którym do Uljanowych przychodzili znajomi ojca. Marja Aleksandrówna nie lubiła tych zebrań; starszy brat, posłyszawszy o nich, uciekał z domu, mrucząc:

— Do djabła, do djabła z tymi jaskiniowcami!

Siostry, sprzątające w saloniku, śmiały się pocichu, a Wołodzia z niecierpliwością oczekiwał gości.

Nareszcie w saloniku zjawił się ojciec.

Siwy. barczysty, o ciemnych skośnych oczach. takich samych, jakie miał młodszy syn, z dumą nosił granatowy surdut ze złotemi guzikami i krzyżem św. Stanisława na biało-czerwonej wstążeczce, co nadawało mu wyraz uroczystości i powagi.

Siadł w fotelu, przysunął mały stolik i ustawił szachy, przygotowując się do partyjki z doktorem Titowym.

Doktór zawsze wprawiał w podziw małego Włodzimierza.

Chłopak chciałby go widzieć pływającego. Nie wątpił, że doktór mógłby stać na największej głębinie, jak korek jego wędki na rzece. Taki był gruby, okrągły ten doktór Titow.

Ojciec nie odzywał się do Marji Aleksandrówny, bo wiedział, że nie lubi jego gości: nie chciał psuć sobie zabawy sprzeczką z żoną.

Jednak pani Uljanowa sama wszczęła rozmowę.

— Mój kochany — rzekła, — już dałbyś raz spokój sobie i mnie z tymi gośćmi! Co ci przyjdzie z tego, że zjawi się stary opój, proboszcz, ojciec Makary, w zielonej kamlotowej sutannie, doktór Titow i inspektor szkół ludowych — Piotr

Piotrowicz Szustow. Ani Bogu świeczka, ani djabłu — pogrzebacz, doprawdy!

Ojciec poruszył się niespokojnie i zaczął wycierać czerwoną chustką spocone czoło, mrucząc:

— Żyjemy w przyjaźni oddawna... zresztą, wszyscy oni mają rozległe stosunki, mogą się więc przydać w życiu, dopomóc, komuś z silnych tego świata dobre słowo o mnie szepnąć...

— Och! — westchnęła żona. — Co do tego dobrego słowa, to przypominasz mi Tiapkina-Lapkina z „Rewizora" Gogola. Ten też bardzo o to dbał i prosił, aby rewizor, po powrocie do Petersburga, powiedział ministrowi, że w takim a takim mieście przebywa Tiapkin-Lapkin!

Zaśmiała się głucho i nieprzychylnie.

— Masza, co też za porównanie... — rzekł z wyrzutem.

— Zupełnie to samo! — zawołała pani Uljanowa. — Śmieszny jesteś! Dlaczego nie zapraszasz do siebie ludzi światłych, młodych, myślących, — naprzykład, lekarza Dochturowa, nauczyciela Niłowa lub tego dziwnego mnicha — kaznodzieję, brata Aleksego? Spotkałam ich u pani Własowoj, są to bardzo rozumni, uczciwi ludzie!

— Broń Boże! — wylękłym głosem i wymachując rękami, syknął pan Uljanow. — Są to typy niebezpieczne, jacyś tam... działacze.

— Działacze? — spytała Marja Aleksandrówna. — Co to znaczy?

— Coś złego! — odparł szeptem. — Ostrzegał mnie przed nimi naczelnik policji... Ale zapomniałem ci powiedzieć, Masza, że i on dziś nas odwiedzi...

— Tego tylko brakowało! — klasnąwszy w dłonie, zawołała z oburzeniem. — Dziś to już żywego słowa nie posłyszymy. Obecność policjanta, i to jeszcze takiego gorliwego, wszystkim zamknie usta.

Mąż milczał i, ciężko wzdychając, wycierał spocone czoło.

— Taki jak ja mały człowiek powinien mieć silnych przyjaciół, — powiedział bardzo cicho.

Marja Aleksandrówna machnęła ręką i wyszła do jadalnego pokoju.

O 8-ej wieczorem bardzo punktualnie jeden po drugim przybywali goście. Wkrótce wszyscy siedzieli w saloniku, prowadząc ożywioną rozmowę.

Wołodzia oczu nie spuszczał z dwóch postaci.

Uśmiechał się pokryjomu i trącał siostrę Saszę, wskazując wzrokiem na doktora.

Okrągła głowa, łysa i cała czerwona, o nadmiernie wypukłych bladych, prawie białych oczach — od dołu była zakończona trzema podbródkami, wylewającemi się, jak gęsty kit, na biały, pofałdowany gors koszuli; kulista głowa opierała się na okrągłej, podobnej do olbrzymiej piłki figurze, a tak jakoś dziwnie, z taką wzbudzającą obawę nierównowagą, że, zdawało się, iż powinna z niej się stoczyć przy silniejszem poruszeniu. Krótkie, tłuściutkie nóżki zwisały z dość wysokiej kanapy, ledwie dotykając podłogi.

— Jabłko na arbuzie... — szepnął Wołodzia do siostry, mrużąc oczy. Sasza lekko uszczypnęła go w ramię i cicho pisnęła, zatknąwszy usta ręką.

Chłopak przeniósł wzrok na nowego gościa.

Był to komisarz policji — radca kolegjalny Bogatow.

O tym człowieku krążyły legendy po całem mieście.

Był postrachem dla złoczyńców wszelkiego rodzaju. Barczysty, chudy, miał twarz okoloną pięknemi bokobrodami; długie, zuchowato podkręcone do góry wąsy końcami swemi sięgały zmrużonych, chytrych oczu. Siedział rozparty w fotelu i co chwila poprawiał szablę i wiszący na szyi order.

Długie lakierowane buty błyszczały i cicho dzwoniły ostrogi.

Wołodzia nie mógł się napatrzeć na niego. Podobała mu się siła, bijąca z muskularnej postaci Bogatowa, i pewność siebie, tryskająca z każdego słowa, z najmniejszego połysku bezczelnych oczu.

Jednocześnie na dnie serca małego chłopaka wzbierała nieznana niechęć, niemal nienawiść, chęć zrobienia przykrości, bólu, wstydu temu silnemu, pewnemu siebie człowiekowi.

Komisarz, ćmiąc grubego papierosa, opowiadał.

Wszyscy pochyleni, z uśmiechem służalczego zachwytu słuchali.

Pan Uljanow siedział wyprostowany, cały zamieniony w uwagę, starając się nie przepuścić ani jednego słowa. Miał zwyczaj słuchać uważnie — stare przyzwyczajenie nauczycielskie. Po nim tę sztukę odziedziczył młodszy syn — małomówny zwykle, skupiony, uważnie patrzący i słuchający.

Doktór Titow, przechyliwszy głowę nabok, napróżno usiłował odwrócić ciężkie ciało swoje w stronę mówiącego.

Inspektor Szustow pokrzykiwał cicho i podskakiwał na krześle.

Ojciec Makary oczy wznosił ku niebu, jedną ręką — białą, pulchną głaskał długą brodę, a drugą — przyciskał do piersi wiszący na złotym łańcuchu ciężki srebrny krzyż z niebieską emalją i świecącemi się kamyczkami w wieńcu nad głową Chrystusa.

— Moi panowie, proszę rozważyć tylko! — mówił dobitnym, basowym głosem komisarz Bogatow. — Chłopi, którym szanowany, ceniony w całej gubernji pan Aksakow, należący do najstarszej szlachty, nie pożyczył drzewa na odbudowę spalonej wsi, zrobili napad na dwór. Spotkali ich tam strzałami. Dwóch chłopów zabito, trzech raniono, reszta rozbiegła się, nic nie wskórawszy. Pchnięto konnego parobka do mnie. Przybyłem, nie zwlekając. Powęszyłem tu i ówdzie, w ciągu godziny wykryłem rannych i kazałem przyprowadzić do siebie. Pytam o szczegóły, o uczestników napadu. Milczą... A więc wy tak, braciszkowie?! Jakem machnął jednego, drugiego, trzeciego w ucho, w zęby, w nos; zalali się chłopy krwią, no i wyśpiewali prawdę! Gubernator nasz nie lubi hałasu, niepokojących doniesień do Petersburga, bo to zaraz długa korespondencja, śledztwo, awantura! Woła mnie i powiada: „Szymonie Szymonowiczu, pokaraj buntowników, aby raz na zawsze odechciało się im wypraw na starą szlachtę!“ Wziąłem wtedy kilku swoich policjantów i wymierzyłem sprawiedliwość podług sumienia. Ci, co napad uczynili, dostali po sto rózeg, a dla postrachu — cała wieś, nawet baby, po dwadzieścia pięć. Teraz cisza i spokój, jak makiem zasiał! Rózeczki dla naszego dobrego chłopka — to najpierwsza rzecz, najlepsze lekarstwo. Cha! Cha! Cha!

— Bardzo słusznie, bardzo słusznie! — zgodził się doktór. — Środek nakształt baniek. Odciąga krew od głowy i serca...

— Łagodna, ojcowska kara! — śpiewnym głosem wtórował mu ojciec Makary, pieszcząc obydwiema rękami krzyż. — Lud nasz — to dzieci, więc, jak dzieci, należy go karać...

— Hm... lepsze to, niż sąd, więzienie, Sybir... — dodał inspektor, patrząc na Uljanowa.

Marja Aleksandrówna surowo spojrzała na męża i zacisnęła ręce.

Zmieszany obejrzał się bezradnie i, chrząknąwszy, zwrócił się do córki.

— Sasza! — rzekł. — Popędź-no kucharkę. Drodzy goście, z pewnością, głodni są.

Marja Aleksandrówna, skinąwszy na dzieci, wyszła z saloniku.

Panowie gawędzili dalej, opowiadając sobie różne plotki miejskie i nowiny urzędnicze. Wreszcie gospodarz zaproponował zagrać w karty i w szachy.

Bogatow, ojciec Makary i inspektor zaczęli grać w sztosa, Uljanow z doktorem ścierali się zawzięcie, posuwając figury szachów.

Na zaproszenie Marji Aleksandrówny wszyscy przeszli do jadalnego pokoju. Goście obficie popijali, wlewając do gardła ogromne kieliszki wódki i na przegryzkę racząc się śledziem, kiszonemi ogórkami i marynowanemi grzybami.

— Ależ umiecie pić, ojcze Makary! — śmiał się inspektor, z zachwytem patrząc na proboszcza, nalewającego sobie sporą szklankę wódki.

— Z Bożą pomocą, mogę jeszcze — śmiał się tenorkiem ojciec Makary. — Niewielka to sztuka! Aby tylko gospodarze zaprosili do stołu, dali wódki, a gardziel zawsze przynoszę ze sobą... na wszelki wypadek!

— Że też, wasza wielebność, nie przeszedł dotąd na bas, a trwasz przy tenorze? — dziwił się doktór.

— Eh! — machnął ręką proboszcz. — Przecież nie jestem diakonem...

— Jakaż różnica? — spytał Uljanow, trochę już podpity.

— Bardzo prosta! — zaśmiał się pop. — Diakon, kiedy wypije, chrząka i ryczy: a-a-a! Ja zaś, po wypiciu piszczę na najwyższą nutę: i-i!

Wszyscy zaczęli się śmiać, a ojciec Makary nalał sobie jeszcze jedną szklankę, wypił, zadarł głowę wysoko i pisnął:

— I-i-i! Ot tak!

Znowu rozległ się wesoły śmiech rozbawionego towarzystwa.

Pani Uljanowa, nakarmiwszy dzieci, wyprawiła je spać. Siedziała milcząca i posępna, robiąc uprzejmą twarz tylko wtedy, gdy na nią zwracano uwagę. Wkrótce jednak podochocone towarzystwo zapomniało o niej. Spostrzegłszy to, wymknęła się z pokoju.

Wołodzia nie poszedł do oficyny, gdzie mieszkał z bratem. Powrócił pokryjomu i zaczaił się w saloniku, zdaleka przyglądając się ucztującym.

— Czy dużo możecie wypić, ojcze Makary? — pytał popa Uljanow, klepiąc go po ramieniu.

— Do nieskończoności plus jeden kieliszek jeszcze! — odparł, podnosząc oczy, jak do modlitwy.

— Wasza wielebność, podług wyrażenia Kuźmy Prutkowa, może ogarnąć nieogarnione... — zauważył ze śmiechem inspektor.

— Zaiste, Piotrze Piotrowiczu! — odpowiedział natychmiast ojciec Makary. — Albowiem powiedziane jest u Eklezjasty, syna Dawidowego, króla Jerozolimskiego: „Jedz chleb swój z weselem, a pij wino swe z radością, bo się uczynki twoje Bogu podobają!“

Wołodzia zamyślił się nad temi słowami. Matka uczyła go modlitwy i prowadziła do cerkwi. Ludzie modlili się przed pięknemi, złoconemi obrazami; jedni mieli rozrzewnione i rozjaśnione twarze, drudzy — płakali i wzdychali.

Bóg... Wielkie słowo, straszne, kochane, niezrozumiałe słowo.

Istota, mająca takie wzniosłe, wzruszające imię — Bóg, powinna być piękna, wspaniała, potężna, promienna; nie może ona być podobna ani do ojca, doktora, radcy kolegjalnego z orderem na szyi, ani do proboszcza w zielonej sutannie, z pięknym krzyżem na piersi, ani nawet do mamy, która przecież czasami gniewa się i krzyczy na siostry i służącą zupełnie tak, jak to czyni sam Wołodzia, podczas kłótni z rodzeństwem... Wielka Istota nie może postępować w ten

sposób, a tymczasem sam ojciec Makary powiedział, że Bóg pochwala wesołość przy jedzeniu i piciu wina, na co tak często narzeka mama, z rozpaczą lub gniewem patrząc na ojca.

Zasmuciło to chłopaka. Bóg wydał mu się mniej strasznym i mniej ukochanym, zupełnie zwyczajnym, pozbawionym tajemniczości.

— Może podobny jest do ojca Makarego, lub do biskupa Leontego? — spytał samego siebie.

Skrzywił się na tę myśl i zaczął się przysłuchiwać rozmowie gości.

Oparłszy się łokciami o stół i kiwając głową, mówił inspektor Szustow:

— Często objeżdżam dalekie wsie, w których zakładamy szkoły ludowe. Zbieram ciekawe, bardzo zabawne materjały na prośbę mego kolegi z seminarjum. Może, panowie, pamiętacie, garbusa Surowa? Ukończył on akademję i teraz jest profesorem na uniwersytecie w Moskwie. Ho, ho! Wielki uczony — nie żarty! Osobiście znany ministrowi oświaty! Książki drukuje. Musiałem spełnić jego prośbę, bo to, sami rozumiecie, protekcja, co się zowie! Wyszukałem dla niego materjały — palce lizać! Wiecie, że w dwóch wioskach wykryłem pogan? Tak, tak — pogan! Urzędowo są prawosławni; gdy każą władze, jadą o 50 wiorst do cerkwi, pokłony biją, aż huczy, ale w domu przechowują „stare bogi", przed któremi stawiają miseczki z ofiarami — mlekiem, solą, mąką. Cha! Cha! Cha!

— A gdzież to widzieliście, Piotrze Piotrowiczu? — spytali jednocześnie ojciec Makary i komisarz policji.

— Są to wioski — Bejzyk i Ługowa — powiedział inspektor.

— Muszę jutro donieść o tem biskupowi — rzekł pop. — Należy skierować tam misjonarzy, nauczyć, ostrzec, nawrócić, utwierdzić w prawdziwej wierze prawosławnej!

— Nim to zrobicie, poślę tam swoich konnych policjantów, oni tam nawrócą i nanowo ochrzczą bałwochwalców nahajami! — zawołał ze śmiechem Bogatow. — Dziki jeszcze nasz lud, oj, dziki, panowie!

— To też zakładamy szkoły ludowe — odezwał się Uljanow, popijając piwo. — Oświata szybko się szerzy. Już

nie znajdziecie teraz wsi, w której nie byłoby kogoś, umiejącego czytać i jako-tako pisać.

— To dobrze! — pochwalił ojciec Makary. — Można będzie dać im dobre książki o pożytku kościoła, o poszanowaniu dla duchownych osób, o obowiązkach synowskich wobec ojca-cara i panującego nam szczęśliwie domu cesarskiego...

— O tem, jak żyją cywilizowane narody na Zachodzie — wtrącił Uljanow.

— To zbyteczne! — żachnął się Bogatow. — Nie zrozumieją, zresztą nie jest to potrzebne; to nawet niebezpieczne, bo budziłoby niewczesne marzenia, duch niezadowolenia, protestu, buntu... Przypomnijcie sobie, panowie, że rewolucjoniści — zbrodniarze targnęli się na drogocenne życie takiego świętego, dobrego dla wieśniaków monarchy, jakim był car Aleksander II. Przebywałem wtedy w Petersburgu i widziałem, jak zawisali na szubienicy Żelabow, Perowskaja i inni mordercy. Dusza się radowała, że dosięgła ich ręka Boga.

— Ręka Boga? — szepnął Wołodzia. — To Bóg wiesza ludzi?

Bóg znowu się oddalił.

Nie był już bliski, zrozumiały, przyziemny. Nie powrócił też na niebo, w tajemniczy błękit, przetkany złotem słońca, srebrem księżyca i brylantami gwiazd, jak opowiadała dzieciom stara niańka Marta. Oddalił się, lecz w jakiś inny świat, mroczny, wrogi, nienawistny.

Bóg... wino... szubienica — wszystko się skotłowało w głowie chłopca. Łzy cisnęły się do oczu. Serce kołatało w piersi. Czuł żal gryzący, tęsknotę po czemś, co nagle utracił. Nienawidził komisarza Bogatowa, nienawidził Boga.

Jeden bił w ucho wieśniaków, aż się krwią zalewali, drugi — własną ręką wciągał na szubienicę.

Komisarz bił chłopów za to, że chcieli ukarać nielitościwego bogacza; rewolucjoniści zabili cara... Za co? Z pewnością był też niedobry...

Tymczasem ojciec, wystraszony naganą Bogatowa, usprawiedliwiał się:

— Chciałem powiedzieć, że możem
sposobów uprawy roli, hodowli bydł
chodzie...

— A-a! To można! — zgodził s
Musimy jednak przedewszystkiem, po
kościołem, szkołą, utrzymywać nasz lud
wiernopoddańczości carowi, w spokoju i p
nie można!

— Pewno, bo w przeciwnym razie zjawią
Pugaczow — samozwańczy wodzowie ludu,
buntu! — ze śmiechem zawołał doktór. —
ciemne mrowisko poruszy się, toż to taniec będzie szystkich nor wylazłyby djabły, wiedźmy, biesy, wilkołaki i popędziłyby przed naszymi Iwanami, Stefanami, Wasylami! A ci spokojni, dobrzy, bogobojni chłopkowie szliby z groźnym pomrukiem, wymachując nożami, siekierami i drągami, puszczając krew wszystkim, napotkanym na drodze, czy potrzeba, czy nie potrzeba! Dla przyjemności ujrzenia gorącej posoki, dla przekonania się nareszcie, czy, naprzykład, ojciec Makary ma w brzuchu czerwone, czy niebieskie wnętrzności? Ha! Powstałby wtedy wielki łomot i huczek, a łuna ogarnęłaby całą Rosję świętą! Znam ja nasz ludek! Niedaleko odszedł od dobrych czasów tatarskiej niewoli. Tatarzy hulali, aż ziemia drżała, ale to furda przed tem, jak pohulałyby nasze prawosławne Iwany, Alekseje i Konrady. Uf! Aż ciarki przechodzą na tę myśl!

Wszyscy zamyślili się, z niepokojem spoglądając po sobie, chociaż na stole stała już baterja wypróżnionych butelek.

— Oj, tak, tak, doktorze, święta prawda! — przerwał milczenie komisarz policji. — Byłby to taniec taki, że poszłaby kurzawa aż pod same niebo! Opowiem wam coś o tem...

Wszyscy usadowili się wygodniej i zapalili papierosy. Uljanow dolał piwa.

— Nad Wołgą, koło Samary w roku ubiegłym koczował tabor cygański. Drapieżne to, niepoprawne plemię! Wiadomo, że gdzie cyganie, tam kradzież. Ginie cnota dziewek wiejskich, giną konie, cha, cha, cha!

[illegible] do naprawienia, drugą jeszcze można [illegible] ieszcząc swój wspaniały krzyż, ojciec [illegible]

[illegible] głową Bogatow. — Tak się też stało. [illegible] adzał do pobliskiej wsi, wypatrzył [illegible] spał z nią w noce jesienne na miękkiem [illegible] a amory tracił jednak czas! Wypatrywał, [illegible] o z chłopów urwać można. Uprowadzili cyga- [illegible] e konie, dali nura na tamten brzeg, sprzedali [illegible] i zniknęli w stepach, jak zgraja wilków. [illegible] chłopi skradzionych koni i dowiedzieli się, że są one [illegible] rów. Szeptali o czemś, naradzali się ze swoim popem i pewnej nocy zrobili napad. Zatłukli drągami i zarąbali siekierami ośmiu Tatarów i odebrali konie. Awantura, skargi, hałas, sąd! Pięciu z nich poszło do katorgi... Na przyszły rok tabor koczował wpobliżu i młody cygan zawitał do porzuconej kochanki. Schwytano go... Zaczęło się przedstawienie, prawdziwy teatr! Oj, co to było! Dziewkę oskarżono o to, że jest wiedźmą, gdyż jedna ze starych wieśniaczek na własne oczy widziała, jak krasawica latała na miotle! Uwiązano dziewczynie do szyi stary kamień młyński i wrzucono tam, gdzie Wołga tworzy wir... Przepadła jak szczenię... Z cyganem zabawiono się inaczej. Skrępowano mu ręce rzemieniem, posmarowano go miodem i powieszono w lesie nad mrowiskiem tak, że dotykał go stopami. Cała wieś przez trzy dni i noce chodziła przyglądać się, jak koniokrada żywcem pożerały mrówki! Dwóch chłopów skazano później na trzy lata ciężkiego więzienia...

— Ciężka, zbyt ciężka kara! — zawołał ojciec Makary. — Za co? Za jakiegoś cygana — poganina i kilku Tatarów? Sam Bóg cieszył się z pewnością, że bałwochwalców posłano do piekła!

— Bóg, znowu Bóg... — jęknął Wołodzia.

Imię to ostrzem przeszyło mózg i serce chłopca.

Płacząc, wymknął się z saloniku. Powróciwszy do oficyny, upadł twarzą na łóżko i długo, ciężko, beznadziejnie szlochał.

Obudził go brat, powracający do domu po północy.

Zdumiał się, spostrzegłszy zapłakaną twarz chłopaka.

— Co ci się przydarzyło? — spyta[illegible]
w ubraniu...

Łzy namiętne wyrwały się z oczu [illegible]

Urywanym głosem, jęcząc i szlochają[illegible]
ko i, zaciskając pięści, szepnął:

— Bóg jest zły... zły!

Starszy brat spojrzał na niego uważnie, [illegible]
i rzekł cicho, dobitnie:

— Boga niema...

Chłopak zatoczył się, jak pijany, krzyk[illegible]
i padł zemdlony.

ROZDZIAŁ II.

żała się ku końcowi.

zrzuciła z siebie lodowe kajdany. Przepły-ze statki pasażerskie. Na rzece coraz częściej zjawiały się spływające z prądem tratwy. Przeleciały, dążąc na północ, ostatnie stada dzikich gęsi i kaczek.

Wołodzia przyniósł z gimnazjum cenzurę: były tam same piątki i rezolucja rady pedagogicznej, mianującej go pierwszym uczniem drugiej klasy.

Ojciec pogłaskał go po twarzy, matka ucałowała w czoło i rzekła:

— Jesteś moją pociechą i dumą!

Spokojnie i obojętnie przyjmował te pochwały.

Nie rozumiał nawet, za co go spotykają. Uczył się starannie, bo chciałby jak najprędzej wchłonąć w siebie naukę. Dawała mu się z łatwością. Szczególnie lubił łacinę i na własną rękę próbował czytać Cycerona, szperając w grubym słowniku Szulca lub prosząc o pomoc brata Aleksandra. Pomimo tych wszystkich zajęć zostawało mu sporo wolnego czasu. Czytał dużo, zachwycając się Puszkinem, Lermontowem, Niekrasowem; przewertował aż dwa razy „Wojnę i Pokój“ Tołstoja i połykał wprost niezliczoną ilość książek.

Dzielił je zwykle na dwie kategorje: *babskie*, czyli sentymentalne, bezmyślne, po których nic, oprócz pięknego brzmienia słów, nie pozostawało, i *prawdziwe* — gdzie znajdywał myśli, zapadające mu głęboko do serca i mózgu.

Czytać zaczął niedawno. Przeszkadzała mu przedtem ślizgawka.

Lubił szybki ruch i ciągłe panowanie nad swemi mięśniami, aby zachować równowagę.

Odrobiwszy lekcje, biegł na ślizgawkę na rzekę. Powracał znużony i senny. O czytaniu nie było mowy. Kładł się do łóżka i spał, jak zabity.

Ostatniej zimy dopiero zrozumiał, że łyżw dużo drogiego czasu i pozbawiają możności go z pożytkiem.

Wahał się krótko.

Zacisnąwszy zęby, poszedł do kolegi Kryłowa i dob targu. Oddał mu dobre amerykańskie łyżwy, do do przyniósł cztery oprawne tomiki Turgeniewa.

Wołodzia był pierwszym uczniem; najpilniejszym, naj niejszym i najlepszego prowadzenia się chłopcem. Nie p szkadzało mu to jednak cieszyć się z powodu rozpoczynających się wakacyj.

Państwo Uljanowowie wyjeżdżali na letnie mieszkanie do małej wioski Kukuszkino, położonej wśród lasów, niedaleko od rzeki.

Był to wymarzony raj dla małego Włodzimierza. Wieśniacy otaczali ich wszystkich przyjaźnią, szczególnie zaś lubili Marję Aleksandrównę, która bezinteresownie leczyła chłopów, zaglądając do poradnika medycznego i rozdając zioła i mikstury, przywiezione z miasta. Słynęła wśród ludności okolicznej, jako doskonała lekarka.

Chłopak miał też dużo przyjaciół na wsi.

Ruchliwy, żądny przygód, śmiały, zebrał liczną bandę chłopców i imponował im pomysłowością i siłą. Przepadali za nim, bo nie czuli w nim „panicza“, który tylko zniżał się do nich; nigdy nie usiłował pouczać ich, lub wyśmiewać. Wołodzia, zwykle nieufny i nieraz opryskliwy względem swoich gimnazjalnych kolegów, tu czuł się w swoim żywiole. Był równym wśród równych.

Nieraz powracał do domu z podbitem okiem. Gdy Marja Aleksandrówna robiła mu gorzkie wymówki, odpowiadał, z łagodnym uśmiechem, wpatrując się w kochaną twarz matki:

— To nic, mamusiu! Bawiliśmy się w „kozaków i rozbójników“. Dostałem pięścią w oko od Wańki rudego, ale ja mu też nabiłem porządnego guza. Nie chciałem się poddać i walczyłem jeden przeciwko pięciu, aż nadbiegli moi rozbójnicy...

Teraz, po otrzymaniu cenzury i skończonym roku szkolnym, wszystkie te rozkosze oczekiwały Wołodzię.

Starszy brat pozostał w mieście, siostry Aleksandra i Olga były zaproszone do ciotki, więc jechał tylko sam z rodzicami.

do wsi. Wołodzia natychmiast wymknął się
lzice rozpakowywali walizy i kosze. Chłopak
lo lasu.

iało się już ku zachodowi.

a. okryte świeżemi, pachnącemi liśćmi, zrzucały ostat-
iaty i nasiona. Jaskrawa, zielona trawa, białe, żółte
kie kwiatki wiosenne tchnęły aromatem. Mocny za-
szcze wilgotnej ziemi napełniał powietrze. Latały mo-
połyskujące muchy, huczące chrabąszcze i chybkie łątki. Śmigały wiewiórki po wierzchołkach sosen. Ptaszki fruwały dokoła, szczebiocąc, gwiżdżąc i uganiając się za owadami.

Chłopak stanął w zachwycie. Witał las, trawę, owady i ptaki.

Wszystko dokoła wydawało mu się pięknem, niezmiernie szczęśliwem, nieśmiertelnem.

Mimowoli zerwał czapkę i zatopił oczy w bezdennym błękicie pogodnego nieba.

— Bóg! Wielki, dobry Bóg!... — zawołał z wdzięcznością i rozrzewnieniem.

Brzmienie tego słowa przypomniało mu ojca Makarego i radcę kolegjalnego Bogatowa. Skrzywił się boleśnie, oczy zmrużył złośliwie i nacisnął czapkę zpowrotem.

Przeszedł las, plącząc się w pełznących przez ścieżkę korzeniach drzew, i wyszedł na wysoki brzeg rzeki.

Zarośnięty krzakami dzikich malin i kaliny urywał się niemal prostopadłym spychem.

Niżej, niewidzialne z poza gąszczu, dzwoniły i szemrały wybiegające na wąski piaszczysty brzeg fale.

Rzeka, rozlana szeroko aż hen, do kwadratów pól, ciągnących się od niskiego brzegu piaszczystego, od żółtych łach, dobrze znanych chłopakowi, a teraz ukrytych pod wodą, — płynęła spokojnie i majestatycznie.

Niby powiewne szaty aniołów i archaniołów, pięknie namalowanych na suficie kopuły katedralnej, — blado niebieska, różowa, złocista, zielonawa wstęga rzeki.

Chciał się rzucić do jej barwnych, pieszczotliwych strug i płynąć, płynąć daleko, ku słońcu, co rozpryskuje szkarłat i złoto, woła i pociąga ku sobie.

Znowu obnażył głowę mały Włodzimierz, stał niewypowiedzianym — nieruchomy, zapatrzony, całą mocą płuc wciągając świeży powiew, zalatujący

Z poza wystającej skały, gdzie pieniły się i wirowały kie strugi, wypłynęła duża tratwa.

Ludzie, wparci ramionami w długie bosaki, wbijali ich okute żelazem końce w dno i popychali setki grubych pni sosnowych i bukowych, powiązanych łykami.

Pośrodku tratwy stał szałas z kory i zielonych gałęzi, a przed nim na płycie kamiennej płonęło małe ognisko.

Gruby, brodaty kupiec siedział przed ogniem i pił herbatę, nalewając ją z kubka na spodek.

Od czasu do czasu, pokrzykiwał zachęcająco:

— Hej, hej! Mocniej, szybciej, tężej! Zaśpiewajcie-no, chłopcy, praca lepiej sporzyć się będzie! N-no!

Schyleni nad bosakami robotnicy ponuremi głosami pomrukiwać zaczęli:

„Ej, dubinuszka, uchniem!
„Ej, zielonaja, sama pojdiot!
„Ej, uchniem! Ej, uchniem!" *)

Niechętne, mrukliwe głosy ożywiały się powoli, nabierały głośniejszego, śmielszego tonu i rytmu.

Stojący przy długiem wiośle sterowem młody robotnik, nagle zaśpiewał dźwięcznym, wysokim tenorem pieśń zbójecką:

„Iz za ostrowa na strieżeń,
„Na prostor riecznoj wołny
„Wypływajut razpisnyje
„Stieńki Razina czełny..." **)

Chór przygarbionych postaci, tupiących bosemi stopami na ruchomych, mokrych belkach, poderwał zgranym chórem:

„Wypływajut razpisnyje
„Stieńki Razina czełny!"

---

*) Znana pieśń nadwołżańska: „Hej maczugo, uderzmy! Hej, zielona sama uderzy! Hej, uderzmy! Hej, uderzmy!"

**) „Z poza wyspy na wart, na wolną przestrzeń rzecznych fal barwne wypływają łodzie Stefana Razina (wódz nadwołżańskich piratów)."

pych odbił, odrzucił słowa pieśni; potoczyły się , spadły nad niziną, pociętą kwadratami pól i okrytą ąk bez kresu.

atwa nagle zawadziła o ukryty kamień i gwałtownie obracać się zaczęła, porywana prądem na głębinę.

Rozległ się krzyk, umilkła pieśń, głośniej i częściej tupały nogi, mocniej wpijały się oparcia długich drągów w umęczone ramiona pracujących ludzi, pluskała woda, skrzypiał ster, trzeszczały wiązania belek.

Jeszcze nie skonało dalekie echo pieśni, jeszcze drgała, drżała w powietrzu ostatniem słowem: „...czełny...“, gdy siedzący przed szałasem kupiec porwał się na równe nogi i podbiegł do sternika.

Rozmachnął się szeroko i uderzył walczącego z prądem człowieka w twarz, krzycząc wściekłym, chrapliwym głosem:

— Psi synu! Oby matkę twoją-sukę... Do djabłów rogatych! Wy — nędznicy, żebracy podli, wyrzutki, więzienne ścierwo! Oby was cholera wydusiła! Oby...

Biegał, ciskał przekleństwa, bił, potrącał, wygrażał, wykrzykiwał złe, zgniłe, ohydne słowa...

Wysoki brzeg powtarzał wszystko i odbijał każde słowo, jak piłkę; leciała ponad rzeką i padała tam, gdzie umarły przed chwilą zwrotki pieśni o hetmanie zbójników, Razinie, obrońcy umęczonego ludu.

Rzeka nagle stała się bezbarwna, szara i pomarszczona, jak twarz starca; przygasło niebo, z którego odleciały anioły i archanioły w szatach perlistych, różowych, niebieskich, złocistych i zielonych, jak woda.

Wołodzia znowu czapkę nacisnął jak najgłębiej i, włożywszy ręce do kieszeni spodni, zamyślony i smutny powracał do domu.

Radość umarła w jego sercu.

Już nigdzie nie spostrzegł wesołości bezkresnej, nieśmiertelnej.

Wszystko przeminęło, odleciało bez śladu, bez echa. Chłopak oglądał się dokoła i szeptał:

— Mama mówi i kapelan gimnazjalny uczy, że Bóg jest miłosierny i wieczny... Dlaczegoż więc umierają ludzie, psy, ptaki? Dlaczegoż przemija cisza, pełna światła i radości?

Dlaczego urywa się pieśń nad rzeką? Dlaczego ten [...] kupiec bije sternika i wykrzykuje na całe gardło ohydn[...] słowa? Nie! Bóg nie jest miłosierny, bo nie dał wieczności temu, co jest piękne i radosne! A, może, On sam nie jest wieczny? Może żył niegdyś i był miłosierny? Teraz umarł i — niema miłosierdzia na ziemi?

— Boga niema... — przypomniał sobie słowa brata Aleksandra.

— Lepiej nie myśleć o tem — szepnął.

Bolesny grymas przemknął po okrągłej twarzy i zaczaił się w kącikach drżących powiek.

Na wsi popłynęły dni pełne wrażeń, nigdy niezapomnianych.

Z chłopakami wiejskimi Wołodzia zapuszczał się do lasu, na pola i na brzeg rzeki, gdzie dzieci kąpały się lub siedziały z wędkami, łapiąc ryby.

W lesie młody Uljanow polował. Sporządził sobie prawdziwy łuk i strzelał do ptaków. Czynił to pokryjomu przed matką, która ganiła go za to.

— Pamiętaj, synku, — mówiła, patrząc na niego surowym wzrokiem, — że największym skarbem, posiadanym przez ludzi, jest życie. Bóg w dobroci swojej wynagrodził niem istoty żyjące. Nikt nie powinien, nie obrażając Boga, zabijać ani człowieka, ani nawet najdrobniejszego owadu.

— Nawet komara, który tnie? — spytał chłopak.

— No... komar to — szkodliwy owad... — odparła trochę zmieszana matka.

— A wilk? niedźwiedź? — pytał dalej.

— To znowu — drapieżniki... — objaśniła głosem niepewnym.

— Czy niema ludzi szkodliwych, drapieżnych? — nacierał chłopak. — Słyszałem, że ojciec Makary nazywał rewolucjonistów szkodnikami, a komisarz policji, pan Bogatow, opowiadał, że cyganie są drapieżnikami... Powiedz, mamo!

Marja Aleksandrówna bacznie zajrzała w pytające oczy syna. Chciała coś odpowiedzieć, lecz zacisnęła usta i po długiem milczeniu szepnęła:

— Tego nie zrozumiesz teraz. Mały jeszcze jesteś. Z czasem dowiesz się o wszystkiem...

Nie pytał jej więcej, ale do ptaków strzelał tylko pokryjomu.

…ł też grać w kości. Wiedział, że rodzice byli przeciwni …emu i strofowali go. Jednak czuł nieprzeparty pociąg do hazardu.

Przywiózł ze sobą kości i grał z chłopcami, wygrywając od nich małe wiewiórki, zajączki, wyjęte z gniazda, złapane kosy i szczygły, laski o rękojeściach z cudacznie powyginanych korzeni.

Nie przegrywał nigdy.

Wreszcie przyłapano go.

Rzucał kość, napełnioną ołowiem i wskazującą najwyższą ilość punktów.

Pobito go na poczekaniu, lecz nikt nie myślał pogardzać nim. Obudził w towarzyszach szacunek z powodu niebywałego pomysłu. On zaś wzruszył ramionami i rzekł spokojnie:

— Za co poturbowaliście mnie? Przecież chciałem wygrać, więc przygotowałem dla siebie niezawodną kość.

— Chwat z ciebie! — pokręcił głową rudy wyrostek Sieriożka Chałturin, piegowaty i zwinny, jak kot. — Nie lubisz przegrywać, bracie?

— Przystępuję do gry, aby wygrać! — odpowiedział, mrużąc oczy.

Spodziewał się, że usłyszy oskarżenie o nieuczciwość. Często słyszał to słowo w gimnazjum: najmniejsza niedokładność w wykonaniu przepisów zabawy powodowała wybuchy oburzenia i krzyki o nieuczciwości.

Wołodzia prawie nigdy nie bawił się w przerwach między lekcjami.

Zwykle chodził do klasy rysunków i oglądał modele gipsowe, popiersia Wenus; dużą figurę Herkulesa, opartego o maczugę, przerzucał karty albumów z obrazami Ermitażu, galerji Stroganowa i Luwru.

Dziwiły go liczne niedorzeczności.

Uczniowie podczas wypracowań klasowych spisywali jeden od drugiego, podpowiadali sobie na lekcjach głuchego kapelana i — nie nazywali tego ani podłością, ani nieuczciwością, jak to chętnie czynili podczas zabaw.

Była w tem jakaś nierzetelność i nieprawda, czego objaśnić nie mógł i pogardliwie uśmiechał się.

Wiejscy chłopcy pobili go za kość z ołowiem.

To rozumiał. Byli źli, że ograł ich. Jednak nazwali go „chwatem“, pochwalali i, cmokając ustami, podziwiali niezawodną kość i jej wynalazcę.

O tem często dumał młody Uljanow, gdy ze swoimi przyjaciółmi chodził na ryby na brzeg cichej, głębokiej zatoki rzecznej.

Chłopcy siadali rzędem, o kilka kroków jeden od drugiego i rzucali wędki na czarną głębinę wody. Narazie milczeli, śledząc ruch korków i piórek gęsich, wskazujących zbliżenie się ryb. Od czasu do czasu tylko rozlegały się głośne klaśnięcia dłonią po czole lub szyi, gdy spędzano natrętne, żarłoczne komary.

Znudzeni milczeniem, zaczynali rozmowę.

Uljanow słuchał przyjaciół uważnie, nie przepuszczając żadnego słowa.

Szczególnie lubił opowiadania rudego Sieriożki.

Od niego też po raz pierwszy dowiedział się, kim był zesławny rozbójnik Razin, niegdyś grasujący na Wołdze.

Przedtem wiedział, że był to potężny watażka, porywający kupców z ich skarbami i płynących od morza Kaspijskiego bogatych Persów z towarami. Tu nad brzegiem Wołgi, która widziała barwne łodzie rozbójnika, usłyszał, że zdobycz swoją Razin oddawał ubogim chłopom, wykupywał ich z niewoli, bronił przed wojewodami carskimi biedaków, uciekających od nieznośnego jarzma.

Rudy wyrostek opowiadał mu też o Pugaczowie i innych buntowniczych wodzach, wstawiających się za uciemiężonymi chłopami i skaczących do oczu carowej Katarzyny o ich los.

— Ech! — wzdychał i przeciągał się namiętnie Sieriożka. — Gdyby tak teraz jaki Razin albo Pugaczow przyszli! Poszlibyśmy za nimi i poigrali z urzędnikami. policją! Siedzą oni nam tu, ot tu!

Z temi słowami, uderzał się pięścią w kark, niezawodnie powtarzając to, co mawiał i czynił ojciec jego, lub brat, robotnik z fabryki.

Od swoich przyjaciół posłyszał młody Uljanow o nędzy chłopskiej i ucisku.

Wielu rzeczy nie rozumiał.

Wyrazy: „Wańka śpi jedną noc z Maszką, drugą — z Wierką“, „Duniaszka zrzuciła płód, bo chodziła do znachorki, starej Anny, która za wsią mieszka i z djabłami się wodzi“, „babie humory z żebra wybił“, „puszczono z torbą za niezapłacone podatki“, „pańszczyzna“, „czerwony kogut, którego swemu panu za krzywdę puścił jakiś Iwan Griaznow“ — było to wszystko niepojęte, straszne, dziwne.

Wypytywał przyjaciół, nieraz się rumienił, słysząc ich objaśnienia proste, dosadne, lecz jeszcze miał zwątpienia, niejasności i złudzenia. Postanowił sam sprawdzić wszystko, spojrzeć własnemi oczami, dotknąć rękami strasznych ran, które już wyczuwał sercem dziecka.

Przypominał sobie skargi i łzy, zawarte w wierszach Niekrasowa, lub w „Zapiskach myśliwego“, Turgenjewa. Myśli zaczęły się kojarzyć z domysłami, formować, układać. Wyłaniał się przed nim ponury obraz życia na wsi, tak odrębny od bytu miejskiego, tajemniczy, wzbudzający lęk. Należało tylko stanąć pośrodku, aby wszystko naraz ogarnąć okiem.

Myślał o tem, zmieniając przynętę na haczyku, i już wiedział, że najciekawsze rzeczy dotąd omijały go. Postanowił ujrzeć wszystko i zrozumieć.

Przeczuwał, że oczekują go nowe, nieznane wrażenia, stokroć silniejsze niż nocne wyprawy do ciemnego, nachmurzonego lasu, palenie ogniska na samotnych polanach i słuchanie przerażających opowiadań o wilkach, niedźwiedziach, zjawach djabelskich i wiedźmach, pijących krew ludzką.

Wilka spotkal raz, lecz ten uciekł przed nim, jak tchórzliwy, pobity pies. Nie bał się odtąd wilków.

Szukając wiedźm i zjaw tajemniczych, o północy zapuszczał się do lasu, lub zaglądał na stary cmentarz, którego część obsunęła się już ze stromego brzegu do rzeki. Raz tylko uczuł strach, gdy coś huknęło nad nim i błysnęło w lesie. Przyjrzał się dobrze i przekonał się, że był to puhacz.

Od tej chwili nie wierzył w istnienie djabłów i wiedźm, niechętnie słuchając gawędy chłopaków o tych „strachach na stare baby“.

Myśli jego przerwały jednostajne, jękliwe zawodzenia:

— O—o—o—ej! O—o—o—ej!

Wąskim pasmem piasku nadbrzeżnego szli, ciągnąc sz[illegible] ładownej szkuty, „burłaki“. Wiedział, że byli to bezdomni nędzarze, włóczęgi, wynajmujący się za marny grosz do ładowania i ciągnięcia statków przeciwko prądowi — od Astrachania do Niżniego Nowgorodu.

Brudni, bosi, obszarpani, obrośnięci, jak dzikie zwierzęta, uginając się pod wrzynającym się w ramiona sznurem, ciągnęli burłaki ciężką szkutę ze stojącym na sterze kupcem — właścicielem.

Grzęzły w mokrym piasku okryte ranami i odciskami czarne stopy, pochylały się coraz niżej, niby kryjąc się przed słońcem, spocone karki, a piersi zdyszane i zziajane wydobywały tylko jeden dźwięk:

— O—o—o—ej! O—o—o—ej!

Była to pieśń burłacka, pieśń nędzy, rabiej niemocy i rozpaczy.

— O—o—o—ej! O—o—o—ej!

— Niech Bóg dopomaga, burłaki! — krzyknął im jeden z chłopców, usuwając się z drogi.

— Do djabła! — warknął idący na czele wysoki drab o potężnej, nagiej piersi, okrytej czerwonemi wrzodami. — Nad nami tylko djabeł ma moc, szczeniaku...

Przeszli i już zdaleka, z poza głęboko wcinającego się w rzekę przylądka dopłynął zacichający jęk:

— O—o—o—ej! O—o—o—ej!

Uljanowowi ścisnęło się serce. Djabła nigdzie nie spotykał, a tymczasem miał on moc nad burłakami. Gdzież jest siedziba djabła? Chce ujrzeć go i zmierzyć się z nim, chociażby później musiał całe życie jęczeć, jak ci ludzie, ciągnący szkutę.

Wieczorem Wołodzia przyniósł na umówione miejsce karmelki i kawał czekolady. Zaczął prosić Sieriożki, aby mu wszystko pokazał, co wymagało pomocy Pugaczowa i Razina.

— Wy — mieszczuchy nie znacie wsi i naszego życia, bo u was wszystko inaczej — rzekł rudy wyrostek, pogardliwie spoglądając na przyjaciela.

Niedaleko przechodził chłop.

Miał na sobie białe portki i wypuszczoną nawierzch koszule z domowego, grubego płótna. Szedł, mocno stąpając, czar-

...mi, bosemi nogami i postukując grubym kijem. Mruczał coś do siebie i potrząsał grzywą gęstych, splątanych kudłów.

— Paweł Chalin powraca ze dwora. Zły idzie, pewno, nic nie wskórał — szepnął Sieriożka.

— Poco chodził? — spytał Uljanow.

— Już dwa miesiące codzień chodzi! — zaśmiał się wyrostek. — Taka rzecz się stała, że młodszy syn pana Milutina zdybał w lesie Naśćkę, córkę Chalina. Tak i owak... łaską, groźbą i podarkami namówił ją, zaczęła chadzać do panicza...

— Cóż w tem złego, że chodziła do Milutina? — spytał chłopak.

— Eh, głupi jesteś! — zawołał Sieriożka i bardzo barwnie i zrozumiale objaśnił wszystko przyjacielowi. — No, i zaszła Naśćka w ciążę... Chalin żąda od pana pięćdziesiąt rubli odszkodowania, albo, powiada, do grobu wpędzi tę nierządnicę!

— I cóż Milutin? — spytał drżącym głosem Wołodzia.

— Powiada: „nie dam grosza, bo sama biegała do mego syna, on nie zniewalał jej przemocą. Jeżeli zabijesz dziewczynę — do katorgi pójdziesz!“ Chalin jednak wciąż się targuje. Myślał, że wycygani pieniądze, bo chciał kupić na jarmarku drugą krowę...

— Cóż teraz będzie? — spytał, z przerażeniem patrząc na Sieriożkę, mały Włodzimierz.

— A co? Bić będzie babę, a później Naśćkę. Upije się wkońcu i chrapać będzie. Jutro znowu podrepce do Milutina, kłaniać się do ziemi zacznie, skamłać i prosić... — odpowiedział rudy wyrostek i splunął niedbale.

— Chcę zobaczyć, jak będzie bił... — szepnął Wołodzia.

— Chodźmy! Ukryjemy się za ogrodzeniem. Stamtąd wszystko ujrzymy i usłyszymy — zgodził się chłopiec, chrupiąc cukierek i głośno cmokając.

Obiegli wioskę od strony rzeki i zaczaili się w pobliżu chaty Chalina.

Dochodził z niej wzburzony głos wieśniaka:

— Ten złopacz krwi naszej, oprawca krzywdziciel słuchać nie chce!... Powiada, że ta suczka sama psa szukała aż znalazła...

— Oj. nie! Na Matkę Przeczystą — nie! — krzyknęła dziewczyna — Ja pokochałam go, a on obiecywał do cerkwi. przed ołtarz prowadzić. Ja nie...

Ciężki cios spadł jej na pierś, aż jęknęła.

— Ty — suka, ty — nędznica, szmata. ty — nierządnica podła! — powtarzał chłop i bił. nie wybierając miejsca. kopiąc nogami i bluzgając ohydnemi słowami.

— Cóż ty robisz, zwierzu! — rzuciła się do niego z krzykiem żona. — Zabijesz dziewkę...

Chłop schwycił babę za włosy, wywlókł z chaty i, porwawszy kawał drzewa. zaczął okładać ją po grzbiecie, bokach i głowie.

Wyła przeraźliwie:

— Ludzie dobrzy! Ratujcie! Zabije! Za—bi—je!...

Z sąsiednich chat wybiegły baby, a za niemi powolnym krokiem wychodzili mężowie.

Otoczyli Chalinych kołem i patrzyli uważnie, spokojnie.

Żadnego wzruszenia i współczucia na ciemnych. ogorzałych twarzach chłopów nie dostrzegł mały Uljanow. Mężczyźni spoglądali raczej z zaciekawieniem i złośliwością, kobiety wzdychały i z udanem przerażeniem zasłaniały oczy rękami.

Sieriożka zaśmiał się cicho.

— Kochaj żonę, jak duszę, a trzęś, jak gruszę — szepnął słowami przysłowia. — Ten dopiero trzęsie!

— Ratujcie sąsiadkę, bo Paweł zatłucze ją na śmierć! — zawołała stara wieśniaczka.

— Nie nasza sprawa! — odparł poważnym głosem wójt. — Żona dwa razy w życiu najdroższą bywa: gdy się ją wprowadza do domu i gdy się odprowadza do grobu. Nic to! Nauczy Paweł babę i spokój będzie!

Jednak wieśniak wpadał w coraz to większą wściekłość. Klnąc, odrzucił od siebie drewno, którem bił żonę, i schylił się po ciężką kłonicę.

Wójt podszedł do niego i rzekł pojednawczym głosem:

— No, dość, dość już, sąsiedzie, Pawle Iwanowiczu! Zrobiliście swoje, patrzcie: baba pokrwawiona i już wstać nie może. Dość!

Chalin podniósł na niego ponure, oszalałe oczy, nagle się uspokoił i prawie ze łzami uskarżać się zaczął:

— Nie ustrzegła dziewki, nędznica! Co ja teraz pocznę? Będę bękarta karmił? Pięćdziesięciu rubli stary złodziej Milutin nie chce zapłacić... Już ja mu na jesieni, gdy spichrze będzie miał wypchane żytem, „czerwonego koguta“ puszczę w jego legowisku, zaświecę panu wysokorodnemu, szlachetnemu, gorącą łuną w oczy, jak mi Bóg miły! Nie zapomni on mnie!

— Nie dobrze gadasz, sąsiedzie! — upomniał go jeden z wieśniaków. — Nie daj, Boże, do policji dojdą takie słowa! Zgnijesz w więzieniu, nie inaczej!

Chalin jeszcze się żalił i odgrażał. Skorzystała z tego leżąca na ziemi, pokrwawiona baba, z jękiem wstała i poszła do chaty.

Sąsiedzi, omawiając krzywdę dziewczyny i słuchając skarg wieśniaka, uprowadzili ze sobą chłopa.

— Pobiegnę do domu, bo trzeba bydło napoić — rzekł Sieriożka i popędził ku domowi.

Wołodzia nie ruszał się z miejsca. Nadsłuchiwał co się działo w izbie.

Obydwie kobiety szlochały i zawodziły żałośnie.

Umilkły jednak i coś mówiły do siebie cicho, szeptem, niby spisek knuły.

Wkrótce z chaty wyszła dziewczyna. Pod pachą niosła grube zwiniątko płótna i żółtą chustkę w niebieskie kwiaty.

Chłopak czuł głód, lecz nie opuszczał swej skrytki.

Widział, jak powracał do domu Paweł. Szedł, słaniając się, gadał do siebie, wymachiwał rękami. Próbował nawet zaśpiewać i zatańczyć, lecz zachwiał się na nogach i ledwie nie runął na ziemię.

Wwalił się prawie nieprzytomny do domu, gdzie zbita, pokaleczona żona szybko ułożyła go na posłaniu i ściągnęła buty.

Wołodzia słyszał, jak pijany chłop chrapał i przez sen wykrzykiwał przekleństwa.

Wieśniaczka wyszła przed furtkę i wyglądała kogoś niecierpliwie.

Posłyszawszy kroki od strony ogrodu, zebrała kilka kamieni, leżących na podwórku i ułożyła pod ścianą domu, dalej od okienka.

Zbliżyły się do niej dwie kobiety.

Jedna z nich—Naśćka, o wystającym z pod fartucha brzuchu, spłakana i wystraszona; druga — mała, przygarbiona staruszka, znachorka wiejska. Żółta, poorana czarnemi, głębokiemi zmarszczkami twarz miała skupiony wyraz. Czarne, okrągłe, jak u ptaka, oczy biegały niespokojnie.

— Zwolnij, ciotko, dziewczynę od dziecka! — szepnęła wieśniaczka. — Po żniwach, rubla srebrnego przyniosę! Na Chrystusa przysięgam!

— Spieszcie się, spieszcie się! — mruczała, zakasując rękawy, znachorka.

Matka pomogła Naśćce położyć się na kamieniach. Leżała tak, że brzuch wypiął się niby rozdęty kadłub konia, który padł przed trzema dniami i leżał w lesie, gdzie o gnijące ochłapy gryzły się psy.

Staruszka poszperała koło ubrania dziewczyny i mruknęła:

— Daj-no, sąsiadko, deskę...

Wieśniaczka przyniosła ciężką, szeroką deskę, na której prano bieliznę.

Znachorka, wykrzyknąwszy niezrozumiałe słowa zaklęć, podniosła ją i z całej siły uderzyła leżącą w brzuch. Rozległ się zduszony jęk i cichy płacz, po nim nowe ciosy.

Trwało to długo. Jęki, zgrzyt zaciśniętych zębów i głuche odgłosy uderzeń...

Dziewczyna przeraźliwie krzyknęła i zamilkła.

— Już... mruknęła starucha. — Przynieś teraz wody i świeczkę kościelną!

Bełkocąc zaklęcia, pryskała na nieruchomą Naśćkę wodą i chodziła dokoła ze świeczką w ręku, powtarzając bez przerwy:

— Panie, zmiłuj się! Panie, zmiłuj się!

Matka pochyliła się nad leżącą dziewczyną i nagle odbiegła, przecierając przerażone oczy, chwytając się za włosy i szepcąc:

— Ciotko Anno, Naśćka nie żyje... Naśćka nie ży-je!

Opuściła się na ziemię i głową tłukła o ścianę.

Gdzieś niedaleko, zagrała harmonijka

Wesołe, wysokie nuty biegły w pośpiechu, goniąc się wzajemnie i figlując.

Młody beztroski głos śpiewał:

„Wiosek trzy, osiedla dwa"
„Osiem dziewczyn, jeden ja!"
„Hu — ha"!

ROZDZIAŁ III.

Cała wieś zebrała się przed domem Chalina.

Biała trumna, naprędce zbita z desek heblowanych, stała na dwóch zydlach w prawym kącie chaty. Na półce z czarnemi, zakopconemi obrazami paliła się świeca woskowa.

Młody pop, mały, chudy, w wyszarzałej sutannie i starej kapie z czarnego aksamitu odprawiał modły. Śpiewał suchym głosem, jakgdyby całą siłą woli hamując oburzenie. Niebieskie oczy co chwila zachodziły mu łzami, mocno zaciskał w bladej ręce krzyż i, ciężko oddychając, śpiewał urywane słowa modlitw.

Nie patrzał na stłoczonych dokoła wieśniaków. Oczy krył pod opuszczonemi powiekami.

Od czasu do czasu rzucał wzrok na umarłą Naśćkę.

Widział jej zaostrzony nos, zmarszczki bólu koło ust i jedno mętne, niedomknięte oko.

Wtedy urywał pienia, ze świstem wciągał powietrze i mocniej wpijał się chudemi palcami w metal krzyża.

Nabożeństwo dobiegło końca.

Przebrzmiały straszliwe, łkające słowa:

— Ukój ją, Panie, w przybytku świętych Twoich!

Chłopi wynieśli Naśćkę, dążąc szybkim krokiem na cmentarz, gdzie pasły się krowy, pozostawione bez dozoru, biegały psy wśród chwastów, pogmatwanych zarośli wikliny i powojów.

Nad grobem dziewczyny szybko wyrósł mały kopiec żółtej gliny, a nad nim — biały krzyż drewniany bez napisu.

Pan Uljanow zaprosił popa do siebie na herbatę, mówiąc do niego:

— Zdaleka przybyliście, ojcze, znużeni jesteście. Bardzo prosimy do nas!

Chalin nie zatrzymywał kapłana; rad był, że może pozbyć się nieznajomego popa z dalekiej cerkwi parafjalnej. Obcy

i „uczony" człowiek popsułby ucztę pogrzebową, krępowałby wszystkich.

Marja Aleksandrówna podtrzymała prośbę męża.

Młody pop z łagodnym, wstydliwym uśmiechem w milczeniu skinął głową, zdejmując z siebie kapę żałobną i zawijając w czerwoną chustkę krzyż, kropidło i butelkę z wodą święconą. Wytrząsnął z kadzielnicy węgle i spojrzał na wieśniaków.

Jedli, palcami biorąc z małej miseczki drobne szczypty kaszy pszennej i niecierpliwie spoglądając na osieroconych rodziców, łopatami równających mogiłę.

Pan Uljanow, zaprosiwszy popa do stołu, protekcjonalnym tonem wypytywał go o plebanję, o rodzinę, o sprawy kościelne.

Pop, skromnie opuszczając oczy, odpowiadał ostrożnie, nieufnie.

— Z jakiego seminarjum jesteście, ojcze? — spytała pani Uljanowa.

— Ukończyłem seminarjum kijowskie, a później akademję duchowną w Petersburgu, — nazwisko moje — Czerniawin, Wissarjon Czerniawin... — odparł cichym głosem.

— Akademję duchowną! — zawołał pan Uljanow. — Toż to najwyższy zakład naukowy, a wy, ojcze Wissarjonie, zagrzebaliście się w dziurze wiejskiej! Jak to może być?

Pop podniósł wylękłe oczy i szepnął:

— Nie wiem, czy mogę otwarcie mówić... Boję się, że ktoś podsłucha...

— Nam możecie śmiało mówić... — rzekła Marja Aleksandrówna.

— Wiem... — szepnął pop. — Znam syna państwa — Aleksandra Iljicza...

— Ta-ak? — zdziwiła się pani Uljanowa. — Gdzie ksiądz spotykał go?

— W Kazaniu... Mamy wspólnych znajomych... — odparł wymijająco.

— Niechże ojciec opowiada, jak się to stało, że uczonego kapłana posłano do takiej głuchej parafji?

Ojciec Wissarjon obejrzał się podejrzliwie i szepnął, pochylając się nad stołem:

— Jestem ścigany przez biskupa eparchjalnego i świętobliwy Synod...

— Za co?

— Sprzeciwiałem się polityce kościelnej, nie chciałem być urzędnikiem cerkiewnym, bo moje powołanie — kapłaństwo, utwierdzenie w prawdziwej wierze Chrystusowej...

Nagle się ożywiając, śmielej i głośniej mówić zaczął:

— Rosja jest dzikim jeszcze, prawie pogańskim krajem, drodzy państwo! Kapłani nasi powinni być misjonarzami! Przecież nasz ciemny, niepiśmienny lud od chrześcijaństwa nic nie wziął. Nic! Dawniej bił głową o podnóżek drewnianego bałwana Peruna, a teraz po tysiącu lat bije głową przed malowanemi na drzewie ikonami. Bóg dla niego — to ikona, a o Duchu nic nie wie. Nie wie, nie myśli i pojąć nie może! Miłości, światła, nadziei i wiary niemasz wśród naszego ludu, a. co — straszniejsze, ten lud zuchwale odrzuca nawet najdrobniejszą oznakę wiary — modlitwę i staje się ponurym bluźniercą!

Umilknął, namyślając się.

— Chłop nasz modli się o urodzaj, o zwiększenie roli, o odebranie jej od posiadaczy wielkich obszarów... — ciągnął dalej ojciec Wissarjon. — Tylko to zaprząta jego głowę. Obietnicą ziemi można zaprowadzić go do nieba i do piekła! Cesarz Aleksander II zwolnił chłopów, ale przywiązał ich do małych szmatów ziemi, które nie mogą im dać nic poza nędznym bytem i ciągłą walką z głodem... Nazwano go „Oswobodzicielem“! Ktoś mądry doradził mu, aby skierował myśl ludu na ciągłe pożądanie ziemi i obezwładnił jego siły zwodniczemi obietnicami. Szatański plan!... Za to cesarz zginął z rąk rewolucjonistów...

Wszyscy milczeli. Wołodzia wpatrywał się w bladą, znękaną twarz ojca Wissarjona.

— Jakżeż ja mogę pociągnąć ten lud do nauki Chrystusa, gdy mi każą oszukiwać go, nakłaniać do pokory, ubóstwiania cara i uległości złym władzom? Nie mogę! Nie mogę!...

Westchnął i dodał szeptem:

— Napisałem o tem rozprawę. Teraz jestem ścigany, śledzony przez policję, zesłany na wieś... Kapłan!... To — wielkie słowo! Straszliwa odpowiedzialność! Byliście pań-

stwo na pogrzebie tej dziewczyny... Wiem ja, co się dzieje na wsi... Wiem, bo słyszę na spowiedzi o rzeczach okropnych! Nie są to zbrodnie, bo czyż nazwiemy tem słowem napad wilka na jagnię? Żyjemy w nieprzeniknionym mroku. Mężowie na śmierć biją żony swoje, gdy poczują pociąg do innej kobiety. Żony dosypują mężom trucizny do wódki, aby się uwolnić od nich. Dziewczyny prowadzą życie rozpustne, a później biegną do znachorek, aby uwolniły je od następstw nieuniknionych; pijaństwo, pierwotne obyczaje; życie ludzkie nie ma żadnej wartości: zabić człowieka, zabić z wyszukaną, azjatycką pomysłowością, aby czuł, że umiera, — to jest nasz naród! Nikt nie wie, nie przeczuwa, co z tego wyniknąć może...

— Rewolucja, bunt? — szeptem spytał pan Uljanow.

— Nie! — zawołał młody pop. — Naród, jak dziki, drapieżny zwierz, wyrwie się z klatki i wszystko utopi w wichrze zbrodni, w powodzi krwi, w płomieniach... Czas ten już nadchodzi!

Podniósł rękę i trząsł nią nad głową, ciężko oddychając.

— To straszne! — rzekła Marja Aleksandrówna.

— Może szkoły nasze uratują nas od klęski? — spytał pan Uljanow.

— To zbyt długa droga i wobec nastroju naszego ludu nawet niebezpieczna. Książka nie nakarmi głodnych. Uczyć z pożytkiem można tylko sytych i spokojnych ludzi. A u nas — głód i nienawiść... Nie łudźmy się!

To powiedziawszy, ojciec Wissarjon powstał od stołu, trzykrotnie przeżegnał się i szepnął błagalnym głosem:

— Nie powtarzajcie, drodzy państwo, nikomu naszej rozmowy! Nie boję się, lecz chciałbym przebyć w tych okolicach przez dłuższy czas...

Wyszli na dwór, gdzie stał wózek.

Furmana nie było.

— Wołodzia, pobiegnij-no do Chalina! Pewno, robotnik wasz, ojcze Wissarjonie, ucztuje z innymi po pogrzebie na „pominkach“ *) — powiedział pan Uljanow.

Chłopak chciał spełnić rozkaz ojca, gdy wtem na ganek chaty Chalina zaczęli wychodzić chłopi i wieśniaczki. Za-

*) Pominki — uczta pogrzebalna.

maszyście, po trzykroć czynili na piersiach znak krzyża i, zataczając się i potykając, schodzili ze stopni.

Tuż za ogrodzeniem zaczęli śpiewać niesfornym chórem jakąś skoczną piosenkę.

Furman, pijany i słaniający się, biegł ku swemu wózkowi.

— Honorowy, poczesny pogrzeb wyprawili córce... Ha! Świeć Boże nad duszą raby twojej, Nastasji... — mruczał, gramoląc się na kozioł.

Wózek potoczył się ulicą, podnosząc obłoki kurzu.

Pijany chłop okładał szkapę biczem i wykrzykiwał złym głosem:

— Ja z ciebie, ścierwo, skórę zedrę, gnaty połamię!...

Rodzice Wołodzi powrócili do domu.

Chłopak pozostał i patrzył za znikającym na zakręcie drogi, skaczącym na kamieniach i dudniącym okutemi kołami wózkiem małego, bladego popa.

Widział go wyraźnie przed sobą z ręką, groźnie podniesioną nad głową, a obok opasłego ojca Makarego, pieszczącego miękką brodę i srebrny krzyż ze złotym wieńcem, niebieską emalją i drogiemi kamyczkami nad głową Chrystusa Ukrzyżowanego.

— Dwuch duchownych... — myślał. — Jacyż różni i obaj dziwni!... Który z nich lepszy, prawdziwszy, który — gorszy?

Odpowiedzi nie miał znikąd. Czuł się na rozdrożu w gmatwaninie pojęć...

Zmrużył czarne oczy i mocno zacisnął usta.

Przypomniał sobie, że miał obejrzeć żebraka, który zanocował u wójta. Otrząsnął się z dręczących go zwątpień i pobiegł do chaty, gdzie znajdował się przybysz. Ujrzał go otoczonego wieśniaczkami i dziećmi, garnącemi się do niego.

Był to „Ksenofont w żelazie“, stary chłop, chudy, o czarnej twarzy i męczeńskich, nieprzytomnych oczach. W lecie i zimie chodził boso, w jednej i tej samej dziurawej, wyświechtanej sukmanie. Na wynędzniałem ciele nosił ciężki łańcuch i koszulę z włosia końskiego dla umartwienia. Na piersi miał duży, ciężki obraz Chrystusa w wieńcu cierniowym.

Starzec ani chwili nie milczał. Mówił bez przerwy. Była to mieszanina modlitw, przypowieści, plotek i nowin, zebra-

nych z całej Rosji, którą od wielu lat przebiegał bez celu, gnany żądzą włóczęgostwa.

Opowiadał o klasztorach, relikwjach świętych męczenników o ich żywotach; o więzieniach, gdzie pędziło rozpaczliwe, beznadziejne życie tysiące chłopów; o buntach; o jakiemś oczekiwanem „białem piśmie", mającem dać wieśniakom ziemię, prawdziwą wolność i szczęście; o cholerze, „rozrzucanej" po wsiach przez lekarzy i nauczycieli; pokazywał talizmany na wszelkie choroby i nieszczęścia: szczyptę Ziemi Świętej, odłamek kości świętej Anny, buteleczkę z wodą ze studni św. Mikołaja Cudotwórcy; śmiejąc się, podśpiewując i dzwoniąc łańcuchami, przepowiadał, że wkrótce przyjdzie Antychryst — wróg Boga i ludzi, że przetrwają 606 dni jego panowania tylko ci, którzy są do ziemi przybici brzemieniem cierpień i niesprawiedliwości, a są nimi chłopi. Im też dane będzie prawo sądzić krzywdzicieli; zawita potem ponownie Chrystus, na tysiąc lat ustanowi byt ludzi od pługa, aby przed końcem świata doznali radości życia ziemskiego.

Śpiewał, krzyczał, modlił się, płakał i śmiał się nieprzytomnie stary żebrak, czarny, jak ziemia.

Przyglądał mu się bacznie mały Włodzimierz. Myśli przeróżne budziły dziwne opowiadania starca.

Przed chatą wójta nagle zajechał z brzękiem dzwoneczków powóz, za którym konno pędziło dwóch policjantów.

Do izby wszedł urzędnik. Przywitał się z wójtem wyniośle i zapytał:

— W twojej wsi mieszka Darja Ugarowa, wdowa po żołnierzu, zabitym na wojnie tureckiej?

— Mieszka... — odparł wylękły chłop, drżącemi rękami nakładając na sukmanę mosiężną blachę z napisem „wójt" — oznakę jego władzy. — Koło Krzywego Wąwozu stoi chata Ugarowej...

— Wskaż mi chatę wdowy! — rozkazał urzędnik i wyszedł z izby.

Poszli, odprowadzani przez tłum wieśniaczek, śpiewającego Ksenofonta i nadbiegających zewsząd chłopów.

Koło małej chaty z dziurawą strzechą ze sczerniałej, zgniłej słomy, z wybitemi szybami, zatkniętemi szmatami brud-



WŁODZIMIERZ ULJANOW
(w pierwszej klasie gimnazjum)

nemi, doiła krowę niemłoda kobieta; dwie dziewczynki drewnianemi widłami wyrzucały gnój z chlewu.

— W imieniu prawa zabieram Darji Ugarowej dom, rolę i całą majętność za niewypłacenie podatków, zaległych od śmierci męża! — oznajmił surowym głosem urzędnik. — Spełnijcie wasze obowiązki!

Skinął na konnych policjantów. Ci wyprowadzili krowę i zaczęli nakładać pieczęcie na dom i chlew.

— Sąsiedzi, dobrodzieje! — wrzasnęła, podnosząc ręce, wieśniaczka. — Poratowanie dajcie, złóżcie się, zapłaćcie! Wiecie sami, jaka nędza w domu! Chłopa niema... przepadł na wojnie... Cóż ja biedna, samotna zrobić mogłam?... Ani pługa, ani robotnika... Sama wychodzę w pole z sochą drewnianą, ciągną ją krowa i moje dziewczyny nieletnie... Gdyby nie krowa — jedyna karmicielka, dawnobyśmy z głodu pomarły... Ratujcie!... Zapłaćcie!

Chłopi pospuszczali głowy i ponuro patrzyli w ziemię. Nikt się nie poruszył, nikt słowa nie wyrzekł.

— No, tak! — rzekł urzędnik. — Darja Ugarowa musi dziś jeszcze opuścić zagrodę. Wójt dopilnuje, aby nie złamała pieczęci do końca sprawy, bo inaczej...

Pogroził pięścią, skinął głową i wsiadł do powozu.

Za nim ruszyli konni policjanci, prowadząc na postronku krowę.

Tłum się nie rozchodził. Stał w milczeniu i słuchał zawodzeń, skarg i szlochu Darji. Szarpała na sobie płócienną koszulę, przepasaną sznurkiem; rwała włosy i krzyczała przeraźliwie, jak zraniony ptak.

Roztrąciwszy tłum, podszedł do niej Ksenofont.

Brzęcząc łańcuchami, ukląkł przed płaczącą, zrozpaczoną wieśniaczką. Przyciskając palce do czoła, ramion i piersi, szeptał modlitwę i patrzał nieprzytomnemi, pałającemi oczami.

Wreszcie dotknął czołem ziemi i rzekł uroczyście:

— Raba boża, Darjo! Nie masz-li nikogo, ktoby bronił ciebie i te ukochane przez Chrystusa dziatki? Nie masz-li nikogo, ktoby opiekował się wami?

— Nikogo, ach, nikogo!... Sieroty my samotne, nieszczęśliwe... — odezwała się Darja, wybuchając szlochem; pra-

wie zemdlona, ścięta z nóg rozpaczą bezsilnie oparła się o ścianę chaty.

— W imię Ojca, Syna i Ducha Świętego, amen! — zawołał żebrak. — Tedy oto ja, niegodny sługa Chrystusa, biorę was ze sobą... Pójdziemy razem na żebractwo, na tułaczkę... w znoju, w mrozie, w słotę, burzę i zamieć śnieżną... od wsi do wsi, od miasta do miasta, od klasztoru do klasztoru... po całem niezmierzonem obliczu Rusi świętej!... Jako ptaki będziemy, co nie orzą, nie sieją, a Bóg plon im zsyła, co w sercach dobrych ludzi wyrasta... Nie rozpaczajcie... nie płaczcie!... Z niebios Chrystus Umęczony i Matka Jego Przeczysta ześle wam pomoc... Zbierajcie się... W drogę daleką, znojną... W imię Chrystusowe... aż do dnia, gdy przyjdzie pomstowanie i nagroda dla uciśnionych, we łzach i bólu tonących... W drogę!

Ujął za ręce dziewczynki i poszedł, dzwoniąc żelazem. Dzieci nie opierały się. Szły pokornie, cicho płacząc.

Darja spojrzała za odchodzącemi, ogarnęła zrozpaczonym wzrokiem ubogą chatę, rozwalony chlew, połamany płot podwórka i porzucony skopek z resztkami mleka na dnie.

Krzyknęła przenikliwie, groźnie, niby jastrząb, krążący nad łąką, pobiegła, doganiając Ksenofonta, postukującego kosturem, i cicho postępujące przed nim dziewczynki w brudnych koszulach płóciennych, bose, z powichrzonemi włosami lnianemi.

Rozbiegły się baby po izbach i po chwili otoczyły odchodzących na tułaczkę żebraczą, znosząc chleb, jaja, kawały mięsa, drobne miedziaki. Oddawały jałmużnę Ksenofontowi i Darji, szepcąc:

— W imię Boże...

— Chrystus wynagrodzi... — odpowiadał żebrak, chowając datki do worka.

Cała wieś odprowadzała aż do skrzyżowania dróg dawnych sąsiadów, porzucających na zawsze gniazdo rodzinne.

Dalej żebracy szli już sami.

Tylko Wołodzia, kryjąc się w krzakach, sunął za nimi.

Ksenofont modlił się szeptem, Darja cicho płakała, dziewczynki, już uspokojone i uradowane zmianą w ich życiu, biegły naprzód i zrywały kwiaty.

Na polach pracowali chłopi.

Drobne, chude koniki ciągnęły sochy o jednym lemieszu, wykutym przez kowala wiejskiego, lub o ostrym korzeniu — z braku żelaza.

Wielki znój i wysiłek biły z pochylonych łbów słabych koników i z wyprężonych karków i ramion ludzi, idących przy radle.

Koniki sapały dychawicznie, chłopi pokrzykiwali zdyszanemi głosami:

— O—o—o—ej! O—o—o—ej!

Wołodzia pomyślał, że są to też burłaki, ciągnący sznur, uwiązany do ciężkiej krypy, pełnej nędzy i pracy bez wytchnienia i nadziei.

Tymczasem idące skrajem drogi dziewczynki zatrzymały się i stały nieruchomo, zapatrzone w dno rowu, biegnącego wzdłuż szosy.

Wypadło stamtąd dwóch wyrostków. Krzyczeli i klęli ohydnie, śmiejąc się i poprawiając na sobie portki i koszule.

Uciekali w pole, gdzie stała biała, kosmata szkapa, zaprzężona do drewnianej sochy.

Za nimi wygramoliła się dziewczyna, z potarganemi włosami, bosa, w brudnej, wysoko podkasanej jubce.

Szła, leniwie naciągając na nagie ramiona i bujne, rozrosłe piersi płócienną koszulę, rozdartą na plecach i zawalaną ziemią. Znał ją Uljanow. Była to pastuszka, niemowa.

Przystanęła. Niebieskiemi oczami bezmyślnie i obojętnie patrzyła na kroczących drogą żebraków, drapiąc się pod pachami.

Wyrostki dobiegli do sochy. Schyleni nad nią już szli, odwalając płytką skibę i złośliwemi okrzykami poganiając konia:

— O—o—o—o—ej! O—o—o—ej!

Mały Uljanow nie poszedł dalej.

Usiadł za krzakami przy drodze i zapłakał ciężkiemi, gryzącemi łzami. Nic go nie radowało.

Niebo szafirowe i głębokie, złocisty kurz na szosie, kwiaty polne, zieleniejące pola, słońce gorące, jaskrawe, — wszystko wydało mu się szarem, beznadziejnem, chorem i nędznem. W głosach ptaków słyszał jedną tylko nutę — nutę jękliwej skargi.

Przestał płakać. Porwała go natomiast potężna nienawiść. Kołowały przed nim postacie, wirujące w mętnym, szarym zmroku.

Bóg, ojciec z orderem na piersi, wójt, rudy Sieriożka, wysoki komisarz policji Bogatow, doktór Titow, stara, pomarszczona znachorka, blady pop wiejski, którego gonił opasły ojciec Makary, prężące się lubieżnie nagie piersi dziewki bezmyślnej.

Z pola szła do niego zła, namiętna skarga od pługów i soch:

— O—o—o—o—ej! O—o—o—ej!

ROZDZIAŁ IV.

Uljanow nigdy nie odznaczał się szczerością i zbytnią wesołością, ale po powrocie ze wsi nawet koledzy spostrzegli zmianę w jego twarzy, głosie i postawie.

Unikał rówieśników i nigdy nie prowadził z nimi rozmów. Tak, przynajmniej, im się wydawało. W istocie było inaczej.

Wołodzia, wróciwszy w wakacyj, przyglądał się kolegom bacznie. Badał ich tak, jakgdyby widział chłopaków po raz pierwszy.

Zrobił przegląd całej gromadki kolegów i przelotnie zadał im kilka niespodziewanych pytań.

O, teraz poznał dobrze tych chłopców!

Ten — syn dowódcy pułku, mówił tylko o znaczeniu swego ojca, o jego karjerze, o orderach, surowości, z jaką pokarał niesfornych żołnierzy, oddając ich pod sąd wojenny, na pewną śmierć.

Drugi — syn kupca, chełpił się bogactwem rodziców; rozpowiadał o zarobkach firmy podczas dorocznego jarmarku w Niżnim-Nowgorodzie, o sprytnej aferze, dzięki której dostarczano do wojska partję zgniłego sukna na płaszcze żołnierskie.

Inny — syn dyrektora więzienia, śmiejąc się brutalnie, rozwodził się szczegółowo nad sposobami dręczenia aresztantów. Mówił, jak ich karmią czosnkiem i śledziami, jak pozbawiają ich wody, jak ciągle budzą po nocach i tak wymęczonych, cierpiących ludzi znienacka poddają badaniu sędziów śledczych; opisywał ponure sceny stracenia, które widział z okna swego mieszkania.

Mały, dobroduszny Rozanow chwalił się tem, że jego ojciec, radca gubernjalny, zewsząd otrzymuje piękne i drogie upominki i, że on sam nosi mundurek z prawdziwego angielskiego kortu, podarowanego mu w dzień imienin przez pewnego kupca, mającego pilny interes do ojca.

Gruby, bezbarwny Kolka Szyłow wyśmiewał ojca swego, proboszcza katedralnego i prokuratora sądu konsystorskiego, wspominając o tem, jak drogo płacą bogaci panowie, żądający rozwodu, i jak poważny, szanowany w mieście i noszący złotą mitrę podczas nabożeństwa kapłan zamyka się z klientami w swojej kancelarji; układa z nimi plan sztucznych dowodów zdrady i cudzołóstwa, oraz innych „bezecnych świństw", jak się wyrażał cyniczny synalek.

Każdego niemal namacał, dotknął, zbadał ponury Wołodzia i dopiero wtedy zaczął opowiadać im o życiu wieśniaków, strasznem, beznadziejnem i mrocznem. Wspominał o Darji Ugarowej, o złowróżbnej przepowiedni młodego popa, o śmierci Naśćki, o żebraku Ksenofoncie, o nędznych, śmiesznych sochach chłopskich, gdzie, zamiast żelaznego lemiesza, tkwił wygięty korzeń dębowy; opisywał rozpustę, panującą na wsi, praktyki znachorek, ciemnotę ludu i jego niewyraźne, mgliste nadzieje.

— Straszne to życie! — szeptał chłopak. — Tylko patrzeć jak powstaną chłopi, niech tylko znajdzie się jakiś nowy Pugaczew czy Razin. Pohulają oni wtedy!

— E—e, nie taki straszny djabeł, jak go malują! — machnąwszy ręką, zawołał syn pułkownika. — Mój ojciec pchnie swoich żołnierzy. Ci dadzą salwę, trrrach! i — po wszystkiem! Tym zwierzętom tylko to się należy!

Inni się zaśmiali, podtrzymując kolegę.

Od tego dnia Uljanow przestał rozmawiać z kolegami. Cały oddał się nauce i czytaniu. Robił jakieś wyciągi, zapisując je w grubym kajecie i dodając własne uwagi. Brat Aleksander przypadkiem przejrzał kajet Wołodzi. Nic o tem nie powiedział, lecz zaczął mu dawać książki do czytania.

Wołodzia uczył się dobrze i wciąż zaczytywał się klasykami rzymskimi. W czwartej klasie już prawie nie posługiwał się słownikiem.

Nauczycieli nie lubił, bo i nie było zaco.

Kapelan głuchy i sepleniący „walił" z książki, oczu od niej nie odrywając. Żądał, aby uczniowie umieli wszystko napamięć, słowo w słowo tak, jak stało w „pana profe-

sora, doktora świętej teologji, przewielebnego protojereja Sokołowa" podręczniku, przez świętobliwy synod aprobowanym i polecanym.

Na wszelkie, nieraz bardzo kazuistyczne pytania uczniów odpowiadał stereotypowemi słowy:

— Co musicie wiedzieć, tom powiedział i to znajdziecie w doskonałej książce doktora świętej teologji, przewielebnego ojca Dymitra Sokołowa na stronicy 76-ej...

Wołodzia, który, po powiedzeniu brata o nieistnieniu Boga, obawiał się wszczynać z nim rozmowę na tematy religijne, miał dużo wątpliwości. Chciał zapytać o nie kapelana, lecz, gdy ten odesłał go do 101-ej stronnicy podręcznika Sokołowa, machnął ręką i już się do niego nie zwracał. Zapytany sypał od deski do deski najautentyczniejszemi słowami „pana profesora i doktora świętej teologji", dostawał piątkę i siadał ponury, zrozpaczony.

Nauczyciel matematyki, Eugraf Ornamentow, olbrzymi, kudłaty drab w ciemnych okularach na czerwonym nosie, zawsze pijany, w chwilach gniewu zapominał o miejscu, gdzie się znajdował, i wypluwał ohydne, ludowe przekleństwa. Gniewał się często, bo, mimo, że każdego roku odrabiał jedne i te same zadania, uczniowie nic z matematyki nie umieli i stali przy tablicy, jak „bałwany Króla Niebieskiego", podług określenia krewkiego Ornamentowa.

Jedyną jego ostoją był mały Uljanow.

Gdy przyjeżdżały władze szkolne na wizytację gimnazjum, wylękły i zmieszany Ornamentow wołał do tablicy Włodzimierza i ten rozwiązywał zawiłe zadanie, podyktowane przez przybyłego urzędnika ministerjalnego.

Profesorem łaciny i greki był od dwuch lat wspaniały mąż, o głosie basowym, z łatwością przechodzącym w dźwięczny tenor, o długiej, kruczej brodzie, pięknej, bladej twarzy i niebieskich oczach, szyderczo świecących się za szkłami złotych binokli. Nazywał się Arsenjusz Kiriłowicz Iljin.

Wśród uczniów starszych klas krążyły wieści, że wspaniały Arsenjusz Kiriłowicz był lowelasem i amatorem przygód miłosnych, za które został z Moskwy przeniesiony na prowincję.

istotnie tak też i było. Nawet Wołodzia słyszał o tem w domu.

Pan Uljanow ze śmiechem opowiadał Marji Aleksandrównie o romansie profesora Iljina z inspektorową gimnazjum. Inspektor, schorowany, sterany życiem i ciągłą grą w karty, niedawno się ożenił z młodą dziewczyną, niemal niepiśmienną szwaczką, która zdradzać go zaczęła nazajutrz po ślubie, narazie z uczniami 8-ej klasy, a potem z majestatycznym, przystojnym Arsenjuszem Kiriłowiczem.

Łacinista doskonale wiedział, że „młode wilki", jak nazywał swoich wychowanków, poinformowane były dokładnie o jego romantycznych awanturach, więc, wchodząc do klasy przybierał tajemniczą, lekko ironiczną minę, a niebieskie oczy mówiły bez słów:

— Wszystko, co wiecie o mnie, schowajcie dla siebie!

Iljin odrazu stał się bożyszczem dla Uljanowa. Profesor znał klasyków rzymskich i greckich wyśmienicie, kochał się w historji starożytnej, pamiętał nazwę każdej rzeczy ze świata antycznego, pięknie deklamował „Eneidę", a heksametry homerowskie z ust jego płynęły, jak cudowna muzyka, z niczem nie zrównana.

Między profesorem a uczniem z tego powodu nawiązały się nici milczącej przyjaźni.

Pewnego razu Iljin spotkał Włodzimierza na ulicy i zatrzymał go.

— Cóż to, młody wilku, lubisz stary świat? Zamierzasz poświęcić się filologji? — spytał, życzliwie patrząc na chłopaka.

— Nie wiem jeszcze, panie profesorze, — odparł Uljanow.

— Czas już określić swoje upodobania i wybrać prawdziwą linję życiową — zauważył łacinista.

— Tak... Sam też tak myślę... ale... ale...

Chłopak nagle urwał.

— Ale — co? — zapytał Iljin.

— Wciąż mi się zdaje... zdaje, że teraźniejsze życie jest jakieś nieprawdziwe, sztuczne... że coś ma się stać i wszystko nagle się urwie... — szepnął Włodzimierz.

— Hm — mruknął profesor, z podziwem patrząc w poważne oczy ucznia. — Hm! Takie masz myśli?

— Tak!

— No, tedy niema innego wyboru. Syp, chłopcze, na filologję! — zawołał Iljin. — Bo widzisz, ja z temi myślami chodzę po tej głupiej ziemi już trzydzieści zgórą lat i tak sobie powiedziałem: „Poco masz, Arsenjuszu Kiriłowiczu, pozostawać w towarzystwie różnych świń, draniów, łapowników, idjotów, gdy możesz z rozkoszą spędzić kilka godzin dziennie z wielkimi ludźmi i to z jakimi! Z Homerem, Wergiljuszem, Owidjuszem, Ksenofontem, Demostenesem, Cyceronem, Platonem!“

Niestety, gdy Wołodzia przeszedł do klasy szóstej, Arsenjusz Iljin został przeniesiony do Moskwy, zabierając ze sobą panią inspektorową.

Tego nie mógł zrozumieć Uljanow.

Piękny świat antyczny, wykuty w marmurze posągów, w granicie potężnych świątyń i nagle do tego świata cudów, genjuszów, wielkich wodzów i myślicieli sfrunęła głupia, kochliwa, rozpustna inspektorowa, nieinteligentna szwaczka.

Wzruszył ramionami i odrazu przestał żałować profesora.

Wyczuł nieprawdę, nieszczerość w jego życiu i w słowach.

Następcą jego był tępy kretyn, formalista i nieuk.

Profesor rosyjskiej literatury, seminarzysta Błahowidow, do rozpaczy doprowadzał Uljanowa. Chłopak przeczytał prawie całą literaturę rosyjską i miał o niej własny sąd. Znał klasyków i gniewał się na nich, że przeważnie pisali o szlachcie, carach i generałach. Lubił Czernyszewskiego, Niekrasowa, Tołstoja, Kolcowa, bo mówili o narodzie. Śmiał się z Aksakowa za jego dążenie do połączenia się Rosji ze Słowianami Zachodu. W Kazaniu spotykał zesłanych Polaków i poznał przepaść, dzielącą ich od Rosjan.

Profesor stosował metodę głuchego kapelana. Zmuszał uczniów do powtarzania nieciekawych, tendencyjnych stronic podręcznika urzędowego, nic od siebie nie dodając.

Zresztą miewał własne pomysły... Urządzał niedzielne odczyty literackie. Wychwalał tych pisarzy ojczystych, którzy szerzyli swemi utworami, wzmacniali miłość ku panującej dynastji, wszystkich zaś innych nazywał buntownikami i zdrajcami.

Był tak tępy, uparty i tak chciał otrzymać za swoje lojalne przekonania kolejny order i rangę, że Uljanow, za-

mierzający rozpocząć z nim debaty, splunął tylko i zaniechał zamiaru.

Nadał mu przezwisko: „Bydlę z orderem“; przyrosło ono do seminarzysty na cały czas jego pedagogicznej karjery.

W klasie siódmej zaszły ważne wypadki, stanowiące o życiu Włodzimierza Uljanowa.

Wakacje spędzali razem z bratem Aleksandrem. który już był studentem, pracującym nad matematyką i naukami przyrodniczemi.

Na przechadzkach Aleksander bardzo poważnie rozmawiał z młodszym bratem, podziwiał jego oczytanie, myśl głęboką i jasną logikę dowodzeń.

Opowiedział mu o rewolucyjnej partji „Woli Ludu“ i przyznał się, że należy do niej.

— Chcemy — mówił Aleksander — aby cały lud nasz, a więc przedewszystkiem najliczniejszy jego odłam — włościaństwo zabrało głos w sprawach rządzenia Rosją. Musimy zmusić dynastję, aby zwołała konstytuantę, przez którą będzie ustalona forma rządzenia krajem. Wtedy dopiero zniknie ciemnota i nędza ludu — naszego męczennika uciemiężonego!

Włodzimierz słuchał.

Gdy brat skończył, spytał go:

— W jaki sposób zmusicie cara do tego? Lud nasz jest rządzony tak, jakgdyby był bezmyślnem stadem. Sam nie potrafi nic zrobić, bo jest nieufny i dotąd nie nauczył się iść ramię w ramię; widziałem to na każdym kroku na wsi.

— Partja szuka współczujących sobie w kołach liberalnej szlachty — odparł Aleksander. — Ona ma wpływy i potrafi dotrzeć do cara...

— Dziwi mnie to! — zawołał chłopak. — Przecież, jeżeli lud będzie miał głos, zmniejszy się dobrobyt szlachty? Ona nie podtrzyma was!

— Wtedy zastosujemy teror! — krzyknął Aleksander.

— Co dały wam bomby Żelabowa i Perowskiej? Cara Aleksandra III-go i dawny, mikołajewski, żołnierski rząd? — wzruszył ramionami Włodzimierz.

— Skąd ty o tem wszystkiem wiesz?

— Mówił mi o tem nasz nauczyciel historji — odpowiedział Włodzimierz. — Ten, którego w połowie roku przysłano do gimnazjum, Szymon Aleksandrowicz Ostapow... Ale chcę zadać ci jeszcze jedno pytanie. Powiedz, czy macie na celu dobro całej Rosji, czy tylko włościaństwa??

— Co za pytanie? — zdziwił się brat. — Rzecz prosta: chodzi nam o całą Rosję, od szczytu do dołu!

Włodzimierz uśmiechnął się pogardliwie i, niedbale podnosząc ramiona, powiedział:

— Jeżeli tak — bawicie się w mrzonki!

— Dlaczego?!

— Dlatego, że wszyscy będą niezadowoleni i powstanie ciągła wewnętrzna walka. Przypuśćmy nawet na chwilę, że chłopi będą mieli przewagę w rządzie. Marzą oni tylko o jednem: zdobyć jak najwięcej ziemi. Ostapow dowodzi, że właśnie dlatego marny rząd carski trzyma się tak długo. Jego ideałem stała się zaborczość, a to dogadza dążeniom, apetytom i marzeniom całego ludu. Ale porzućmy ten temat. Interesuje mnie inna sprawa. Chłopi, uzyskawszy wpływy na rząd, ogarnięci odwieczną żądzą ziemi, odrazu wytworzą nowych obszarników, których zkolei znienawidzą i dawni posiadacze ziem i biedota wiejska. Gdzież tu zdrowy sens, jeżeli chodzi o całą Rosję, od szczytu aż do dołu?

Wybuchnął suchym śmiechem i zmrużył oczy.

Nieraz powracali bracia do tego sporu, a Aleksander zawsze musiał przyznać, że młodszy brat prowadzi go do zwątpienia w zbawienność programu „Woli Ludu".

Pewnego razu Włodzimierz rzekł do brata:

— Chętnie rzuciłbym bombę w cara i jego pomocników, ale do twojej partji nie pójdę nigdy!

— Dlaczego!?

— Jest to zbiorowisko „świętych szaleńców"! Poco macie w imieniu ludu myśleć, żądać i robić? On sam potrafi w swoim czasie wrzasnąć, zagłuszając wybuchy waszych bomb, a teror obmyśli taki, że sam Żelabow zarumieniłby się, jak żak!

— To też Ostapow ci powiedział? — spytał Aleksander.

— Nie, to ja ci mówię! — odparł chłopak poważnym głosem. — Wiem, że tak będzie, bo nasz lud jest dziki, krwiożerczy, nikogo i niczego nie żałuje, nie ma przywiązania do przeszłości, gdyż była ona dla niego, jak i teraźniejszość, — macochą; nie ma żadnych zasad i nie zna innej przeszkody, oprócz brutalnej siły, przed którą się tylko ugnie.

Więcej już nigdy o „Woli Ludu" nie rozmawiali.

Aleksander wkrótce zaproponował bratu czytanie razem z nim dzieł Karola Marksa.

Książki te odrazu porwały Włodzimierza.

Porzucił dla nich ulubionych klasyków rzymskich i nie wertował wspaniałego „Realnego słownika klasycznych starożytności" Lübkera, co czynił dla własnej przyjemności. Spieszył się teraz z odrobieniem niezbędnych lekcyj i zabierał się do Marksa, robiąc notatki i zapisując całe stronice własnemi myślami.

Gdy starszy brat ze zdumieniem patrzył na niego, mówił podnieconym, zachwyconym głosem:

— To wam potrzebne i — nic więcej! Tu — taktyka, strategja i niewątpliwe zwycięstwo!

— To dobre dla uprzemysłowionego państwa, a nie dla naszej „Rusi świętej" z jej drewnianemi sochami, kurnemi izbami i znachorami! — zaprzeczał brat.

— To dobre dla walki jednej klasy przeciwko całemu społeczeństwu! — odpowiadał Włodzimierz.

W gimnazjum wszystko szło po dawnemu. Uljanow wciąż był pierwszym uczniem. Nawet gdyby nie był tak staranny i zdolny, łatwo by mu przyszło utrzymać się na tem stanowisku.

Koledzy pozostawali daleko za nim.

Niektórzy z nich nie wyszli poza ramy beznadziejnego mieszczaństwa. 16-to lub 17-to letni młodzieńcy lubowali się w pijatykach i hazardownej grze w karty; oddawali się rozpuście, czyniąc nocne wyprawy na przedmieście, do ciemnych uliczek, gdzie groźnie, zuchwale paliły się czerwone latarnie domów publicznych; romansowali obcesowo z pokojówkami, szwaczkami i przybywającemi do miasta dziewczynami wiejskiemi, poszukującemi zarobku.

Nikt nic nie czytał, nikogo nic nie zajmowało i nie pociągało. Jedna myśl kierowała wszystkimi. Skończyć za wszelką cenę gimnazjum, a po niem uniwersytet lub inną uczelnię, zostać urzędnikiem i spokojnie pędzić beztroskie życie, opromieniane od czasu do czasu znaczniejszą łapówką, nową rangą, orderem lub wyższą nominacją służbową.

Był to okres martwoty ducha, spodlenia charakterów, rabiego milczenia i służalczości bezgranicznej, — nudne, zgniłe trzęsawisko życia, na które ze ślepą bezwzględnością nadepnęła ciężka stopa Aleksandra III-go; okres, w którym kościół, nauka, talenty ugięły się przed potęgą dynastji. Była to cisza przed straszliwą burzą, milczenie dręczące, budzące trwogę, przed którą uciekano się do bezwolnej pokory, do bezmyślnego bytu, do istnienia, kierowanego z wysokości tronu przez pomazańca Bożego.

Włodzimierz rozumiał to i przebaczył „Woli Ludu" marzycielstwo bezpodstawne i rozpaczliwe. Czuł, że był to żywiołowy protest. Nie chodziło tu ani o Rosję, ani o lud. Trzeba było wstrząsnąć całym krajem, zniewolić go do wyjścia ze stanu bierności, chociażby przez wybuch maszyny piekielnej.

Pomiędzy nim a bratem urwała się jednak, napozór bez przyczyny, nić zażyłości i bliskości duchowej. Był dla Aleksandra zbyt trzeźwym, śmiało patrzącym prawdzie w oczy, surowym. Nie ukrywał zresztą, że nie uważa brata za stworzonego na rewolucjonistę.

Aleksander pisał rozprawę naukową. Całemi dniami siedział pochylony nad mikroskopem, studjując jakieś robaki.

— Prawdziwy rewolucjonista nie powinien tyle czasu tracić na jakieś robaki! — myślał Włodzimierz z oburzeniem. — Na wsi umierają Naśćki, oddane w ręce dzikich ojców i ciemnych znachorek; na żebractwo idą Darje i ich córki; ulubioną zabawą dzieci po miastach jest topienie psów i kotów; buszuje radca kolegjalny Bogatow; pije i gada o pokorze i moralności ojciec Makary; wszyscy milczą i chodzą z obleśnemi minami, a tu — robaki! Co komu po tem, aby wiedzieć, czy mają one serce i mózg, czy nie? Tu o stu dwudziestu miljonach ludzi myśleć trzeba, nie zaś o robakach!

Włodzimierz poczuł ostro swoje osamotnienie.

Nie miał już nikogo, z kim mógłby podzielić się nurtującemi go myślami.

Pozostał przy nim tylko Karol Marks. Nowe i coraz bardziej porywające prawdy odsłaniał przed młodzieńcem zuchwały, zimny myśliciel.

Ucieszył się Włodzimierz, otrzymawszy pewnej niedzieli zaproszenie do profesora Ostapowa, którego bardzo lubił. Młody, o bladej, prawie przezroczystej twarzy i dużych piwnych oczach nauczyciel spotkał go z serdeczną poufałością.

Ściskając mu rękę, mówił:

— Dawno miałem zamiar zaprosić pana do siebie, aby przeprosić za bzdury, któremi najczęściej ugaszczam klasę. Zresztą dla niej to arcystrawna rzecz, ale przed panem, który, jak wywnioskowałem z odpowiedzi jego, nie tylko czytał dużo, lecz potrafił zrozumieć, czem jest nasza piękna współczesność, — czuję się zawsze zawstydzony!

Włodzimierz zmieszał się i coś mruczał.

— Nie, proszę nie przeczyć! Wiem przecież sam i zdaję sobie sprawę ze swoich postępków — przerwał mu profesor. — Lecz cóż pan chce? „Chciałaby dusza do raju, ale grzechy nie wpuszczają“! Nie należę do bohaterów! Boję się własnego cienia, cóż dopiero kuratora okręgu lub gubernatora?! Oprócz tego słaby ze mnie człowiek, bardzo słaby!

Wprowadził gościa do saloniku, gdzie siedziało kilka osób, widocznie, przyjezdnych, bo Włodzimierz nigdy ich w mieście nie spotykał.

Jeden z obecnych, w mundurze studenckim, opowiadał o życiu w stolicach.

Obraz, kreślony ze swadą, z talentem naracyjnym i ironją, jeszcze bardziej upewnił Uljanowa o celowości istnienia chociażby marzycielskiej partji „Woli Ludu“.

— Moi panowie! — zakończył student swoje opowiadanie. — Byłem, jak wiecie, zesłany na Syberję i powiem wam, że tam jest stokroć lepiej niż w Petersburgu, pod opiekuńczym skrzydłem jego cesarskiej mości, najjaśniejszego pana, Aleksandra Aleksandrowicza Wszechrosji! Tam jest nienawiść i oczekiwanie czegoś nowego, nieuniknionego. W stolicy — mrok egipski i klajster; w mózgach — siedem chudych krów faraonowych!

— Beznadziejna sytuacja! — mruknął jeden z gości.

— I tak, i nie! — zawołał student. — Wszyscy usiłują o niczem nie myśleć, a jednak wyczuwają, że tak długo nie potrwa. Coś się musi stać!

— Ale co? — zapytał Ostapow.

— Nie wiem! Jedno tylko niezawodne, że coraz więcej ludzi przechodzi dobrze postawiony uniwersytet — więzienie! Stamtąd wychodzą ludziska zdecydowani na wszystko! — rzekł ze śmiechem. — Nie będą to nasi domorośli jakobini z duszyczkami lojalnemi, mimo teatralnych bomb, schowanych w zanadrzu!

— Aha! — pomyślał Włodzimierz i poruszył się żywiej na krześle.

Student spojrzał na niego podejrzliwie.

— Hm... — mruknął. — Młodych gości zaprasza pan profesor...

Ostapow uśmiechnął się.

— To brat Aleksandra Uljanowa — szepnął i dodał głośno: — Włodzimierz Iljicz, mimo swego młodocianego wieku, jest bardzo rozsądnym człowiekiem.

— Kiedy tak, to już dobrze! — rzekł student. — Więc płynę dalej! Powiadam wam, panowie, że widziałem się z Michajłowskim, Lepeszyńskim i innymi, którzy spróbowali i żelaznych krat i czystego powietrza syberyjskiego. Już inaczej gadają, chociaż nie tak, jak ci, co powąchali Marksa.

— Jakież są prądy? — pytano.

— Prąd jasny — żadnych rozmów, tylko rewolucja, ogólna, wszechrosyjska przeciwko carowi wszechrosyjskiemu, ot co! — zawołał student, śmiałemi oczami patrząc na słuchaczy. — Wszech—ro—syj—ska re—wo—lu—cja!

Zapanowało długie milczenie. Nikt nie wiedział, co ma powiedzieć wobec tak poważnej nowiny.

I nagle odezwał się uczeń gimnazjalny.

Twarz miał bladą, lecz ponure oczy patrzyły twardo, głos nie zdradzał żadnego wzruszenia. Wyczuwało się w nim nawet zimne szyderstwo:

— Ci panowie ze świeżego powietrza syberyjskiego — niczego się nie nauczyli, lub nie zrozumieli Marksa. Na dnie ich duszy drży, jak owczy ogon, ta sama lojalność, jaką tu

zarzucono „Woli Ludu“. I to prawda! Partja ta posiada lojalną duszę... Wszechrosyjska rewolucja udać się nie może — to śmieszny plan! Chłopi obecnie przeciwko cerkwi nie podniosą buntu; przeciwko policji i lekarzom — owszem, ale wyrżnąwszy tych wrogich i obcych im ludzi, na kolanach poczołgają się do stopni tronu i łapówkę carowi złożą — głowy policjantów i eskulapów! Rewolucja powinna być skierowana nie przeciwko carowi, lecz przeciwko wszystkiemu, aby kamienia na kamieniu nie pozostało, żeby trawa dziesięć lat nie śmiała rosnąć na pobojowisku! Takiej rewolucji może dokonać nie głupi, ciemny naród, lecz jedna, zorganizowana porwana hasłem partja!

Wszyscy ze zdumieniem słuchali młodzieńca o wystających policzkach mongolskich i oczach skośnych.

Po długiem milczeniu student klasnął w dłonie i zawołał:

— Ja wam powiem, że o tym malcu posłyszy cały świat! Zapiszcie, com powiedział w tej chwili. To łebski chłopak jak Boga kocham!

Od tego czasu pomiędzy Ostapowem i jego uczniem stanęła niema umowa.

Profesor wykładał historję dla niego tylko. Mówił śmiele i otwarcie. Szczególnie się zapalił, opowiadając o dekabrystach, których uwielbiał. Rylejew, Pestel, Wołkonskij wzbudzali w nim zachwyt prawdziwy. Spostrzegł jednak, że Uljanow słucha go z zimną obojętnością. Zakończył wykład już z mniejszym patosem i szukał później Włodzimierza na korytarzu gimnazjalnym.

— Co pan myślał o dekabrystach? — spytał, dotykając jego ramienia.

— Myślałem, że byli romantykami — odparł. — Rewolucja, wszczęta przez najsłabszą, znienawidzoną klasę, — to awantura, drobny, nic nie znaczący epizod!

Ostapow wkrótce był zmuszony zmienić ton swoich wykładów.

Syn radcy gubernjalnego opowiedział o nich swemu ojcu, który doniósł o nieprawomyślnym profesorze kuratorowi. Historyk otrzymał pierwsze ostrzeżenie i surowe upomnienie od dyrektora gimnazjum, rzeczywistego radcy stanu i kawalera kilku orderów.

Zaczęły się urzędowe lekcje, jednostajne, podług bezczelnie fałszywej i arongancko głupiej książki sławnego w dziejach szkolnictwa Iłowajskiego.

Ostapow wykładał monotonnym głosem, wparłszy wzrok w czarny blat stołu i nie podnosząc oczu na klasę. Czuł się małym, nikczemnym, niemal podłym. Wstyd i wyrzuty sumienia paliły go i żarły.

Ponuro i pogardliwie słuchał go Włodzimierz.

Pewnego wieczora przybiegła po niego służąca od Ostapowa, prosząc, aby natychmiast odwiedził go w ważnej sprawie.

Niechętnie ubrał się i poszedł.

Ostapow siedział w rozpiętym szlafroku, nieogolony, w rozchełstanej na piersi koszuli. Włosy w nieładzie spadały na spocone czoło.

Oczy nieruchome i jarzące się patrzyły wprost przed siebie nieprzytomnym wzrokiem.

Profesor nawet nie słyszał wejścia Włodzimierza.

Siedział przy stole. Przed nim stała duża karafka z wódką i napełniony do połowy kieliszek, a obok — lustro, w którem uporczywie przeglądał się pijany już Ostapow. Mruczał cicho, tajemniczo:

— Ha! Znowu przyleciałeś? No i cóż? Nic nowego i straszniejszego nie powiesz! Wszystko słyszałem... Dałeś mi cyrograf, podpisałem go. Słyszysz? Podpisałem, wisielcze!

Wyszczerzył zęby i z całej siły uderzył pięścią w lustro. Z brzękiem i łoskotem upadło na podłogę, a za nim potoczyły się karafka, kieliszek i podręcznik Iłowajskiego.

Otrzeźwiony gwałtownym ruchem, podniósł oczy i spostrzegł Uljanowa.

— A-a! — przeciągnął. — Przyszedł pan, mimo że... O tem na później! Siadaj, pan! Może wódeczki?... Takiej dobrej, mocnej z anyżem... Piotr Wielki lubił taką... Nasz rosyjski Antychryst!... Piotr Wielki, cieśla Saardamski, nowator, pogromca zgniłego zachodu... Najpierw okradł go, a później pobił... Chytra to była bestja — Piotr Wielki, car z kijem grubym!... Wyrąbał w kurnej chacie okno na Europę... poobcinał kudłatym bojarom brody i zażądał, aby ich za dandysów uważano... Wesołek! Synka swego,

za miłość do patrjarchalności święto-rosyjskiej, za przywiązanie do kurnych chat, zabobonów, kołtuniastych, zawszawionych bród więzieniem dręczył i kijem zatłukł...

Włodzimierz siedział nieruchomy, nie rozumiejąc, co się stało z Ostapowym.

— Pijany jestem! — zaśmiał się na cały głos profesor. — Pijany! Rosyjski człowiek szczęśliwszy jest od innych. Ma ucieczkę od bólu, rozpaczy, wyrzutów sumienia... Zachodni człowiek w takich wypadkach strzela sobie w łeb, rzuca się do rzeki lub stryczek sobie z szelek zakłada i — kaput! A my — dajemy nura do Nirwany — wódki matki! Ha-ha-ha! Tak, mój młodzieńcze, i pana to nie minie, bo masz za dużo w głowie i w sercu... Awdotja, dawaj wódki i dwa kieliszki! A ruszaj się, jak najzwinniejsza gracja, na Bachusa!

Wystraszona służąca przyniosła nową karafkę. Ostapow nalał do kieliszków i, podnosząc swój, rzekł.

— *In vino veritas! Ave, amice, morituri te salutant! Bibamus!*

— Ja nie będę pił! — opryskliwie, z obrzydzeniem odpowiedział Uljanow.

— Nie godzien jestem w tak szlachetnej kompanji... — zaczął złośliwym, szyderczym szeptem Ostapow i raptem skurczył się cały, zbladł, drżeć zaczął i oglądać się na wszystkie strony, mrucząc:

— Widzisz? Widzisz! Tam! Tam — znowu! Jak iskierki... Zapalą się... zgasną i znów się zapalą... To oni!...Idą... urągać będą... przeklinać...

Włodzimierz mimowoli spojrzał w kierunku ręki Ostapowa. W półciemnych kątach czaił się mrok, na ścianach ledwie dostrzegalne pełzły cienie, rzucane przez migający płomień lampy i palących się na biurku świec.

— Nikogo niema! — rzekł spokojnym głosem. patrząc na profesora.

— Nikogo?... Tymczasem... ale przyjdą... O! oni nigdy nie wybaczą i przyjdą... — szeptał Ostapow.

Umilknął i po chwili mówić zaczął, nie patrząc na siedzącego przed nim Uljanowa:

— Judasz zdradził Chrystusa, miłując go, lecz straciwszy

wiarę w niego, jako w Mesjasza prawdziwego... Wziął za jego głowę 30 srebrników, żeby pokazać całemu światu, że więcej nie wart, jako zwykły śmiertelnik... Nawet zwrócił synhedrjonowi te srebrniki... A później przyszły do niego małe, chyże, złośliwe biesy... Śmiać się jęły, szarpać, znęcać się... Oganiał się im, a one szeptały: „Idź na górę, gdzie nad urwiskiem rośnie suche drzewo!“ Powtarzały mu to przez cały dzień, całą noc i jeszcze przez cały dzień. Poszedł i usiadł pod drzewem, patrząc na żółtą równinę i na mętną, daleką smugę Jordanu. Wtedy wypłynęła przed nim i ożyła twarz Chrystusa; zsiniałe, żółcią i octem napojone usta poruszyły się i szepnęły: „Zdrajco, sprzedałeś Boga swego!“... Z powrozu opaski zadzierżgnął Judasz pętlę i zawisnął nad urwiskiem... jako ofiara sumienia... Sumienia!

Przetarł oczy i wypił kieliszek wódki.

Zerknął nieprzytomnemi oczami po ciemnych kątach i szeptał dalej:

— Teraz do mnie przylatują biesy te... chyże, ognikami błyskające i tu i tam... Po nich wstaje we mgle... pięć szubienic... a na nich powieszeni... Pestel, Rylejew, Bestużew, Kachowskij, Murawjew... wszyscy, którzy chcieli naprawić antychrystusowe szaleństwo Piotra... Rosję zbawić... oświecić... podnieść... Patrzą na mnie strasznym wzrokiem, nienawidzącym i krzyczą obrzękłemi wargami: „Zdrajca! Zdrajca!“ Bo to ja uląkłem się kuratora, pokornie wysłuchałem wymówek i za srebrniki milczę o męczennikach świętych... Milczę, jak zdrajca, jak tchórz... O-o! Idą już idą! Widzisz?...

Z trudem uspokoił Włodzimierz profesora, pomógł mu przebrać się i wyprowadził z domu. Długo chodzili, milcząc, a gdy Ostapow otrzeźwiał ostatecznie, poszli do Uljanowych.

Chłopak szepnął matce o zajściu i oddał profesora pod jej opiekę. Ostapow spędził noc w oficynie razem z młodymi Uljanowymi, a nazajutrz Marja Aleksandrówna napisała list do rodziny profesora, radząc, aby ktoś przyjechał i zaopiekował się chorym.

W dwa dni później w mieszkaniu Ostapowa zjawiła się siostra profesora — Helena, szesnastoletnia dziewczyna. Po miesiącu zjechał ojciec — stary lekarz wojskowy.

Profesor powoli powracał do zdrowia i równowagi. Nie odzyskał tylko już nigdy ani dawnego spokoju, ani swobody. Pędził jednostajne, szare życie nauczyciela, z dnia na dzień, od rangi do rangi, od orderu do orderu. Nie cieszyło go to i nie budziło żadnych wspomnień. Zobojętniał na wszystko, jak tylu innych w tem śmiertelną ciszą zatrutem panowaniu Aleksandra III — cara, miłującego pokój... pokój cmentarzyska.

ROZDZIAŁ V.

Przed świętami Bożego Narodzenia pan Uljanow otrzymał nową nominację. Został dyrektorem wszystkich szkół ludowych. Rozpoczął swoje czynności od zwiedzenia zakładów naukowych w całym obwodzie. Zabrał ze sobą Włodzimierza, korzystając z feryj świątecznych.

Podróż odbywali sankami pocztowemi, zapuszczając się nieraz w rzadko odwiedzane miejscowości, gdzie wśród lasów czaiły się osiedla bez kościołów i bez szkół, bez lekarzy i władz.

Włodzimierz pamiętał z wykładów Ostapowa, że cały obwód kazański stanowił niegdyś potężne, o wysokiej cywilizacji państwo bułgarskie, po którem nic nie pozostało, oprócz nazwy rzeki Wołgi. Do tego kraju w wieku XIII wpadli Tatarzy, pędząc przed sobą niezliczone szczepy, porwane falą mongolską, mknącą na zachód z głębin Azji. Resztki tej hordy spotykał teraz Wołodzia; byli to Wotiacy, Meszczeriaki, Czeremisy, Czuwasze i Mordwini. obok Tatarów i rosyjskich wieśniaków.

Ciemne mrowisko ludzi, różniących się pomiędzy sobą strojem, mową, wiarą, obyczajami i zabobonami — pierwotnemi, nieraz mrocznemi i krwawemi.

Nieprzejednana wrogość panowała między osiedlami, zamieszkałemi przez tubylców różnych szczepów.

Rosjanie pogardliwie spoglądali na dawnych najeźdźców, nazywając ich „tatarwa“ lub „białooka czudź“; ci ze swej strony odpłacali zimną nienawiścią. Samotny Tatar lub Wotiak nie mógł bezpiecznie przejść przez wieś rosyjską; chłop — wielkorus nie odważyłby się jechać bez towarzyszy w pobliżu wsi czuwaszskiej lub czeremiskiej.

Spory i bójki wybuchały nawet tuż przed kościołem po skończonem nabożeństwie, lub pośród dzieci w szkole.

Uljanow stał się świadkiem bardzo ciekawego i pouczającego widowiska.

Popasali w małej wiosce, czekając na posiłek i świeże konie. Chłopak poszedł nad rzekę, gdyż zdaleka spostrzegł duże zbiegowisko ludzi. Małemi kupami ciągnęli na środek zamarzniętej rzeki, dążąc od wiosek, położonych na dwóch przeciwległych brzegach.

Nad urwiskiem stał tłum bab i dzieci. Wieśniaczki opowiedziały Włodzimierzowi, że dwie rozdzielone rzeką wioski prowadzą długo trwający spór o łąkę na wyspie, więc postanowiły sprawę zakończyć walną bitwą.

Rozpoczęto ją od ohydnych wyzwisk i przekleństw, poczem zaczęły się bić małe chłopaki, po nich — wyrostki; trwało to jednak niedługo, bo cały ten drobiazg zmiotły tłumy młodych i starych chłopów, rzucających się w wir bitwy.

Zapaśnicy uzbroili się, zacisnąwszy kamienie w ręku i omotawszy pięści grubemi rzemieniami, jak to czynili niegdyś gladjatorzy. Najtężsi chłopi, od których zależało ostateczne zwycięstwo, wymachiwali długiemi i ciężkiemi drągami lub nawet dyszlami wozów. Bójka trwała krótko, bo mieszkańcy wotiackiej wioski cofnęli się przed zuchowatym atakiem Tatarów z przeciwnego brzegu. Na śniegu pozostało kilku rannych, a może i zabitych; krew, niby szkarłatne maki, wykwitła na lodzie.

Uljanow myślał nad tem, w jaki sposób można byłoby pociągnąć wszystkich tych nienawidzących się wzajemnie tubylców, należących do fińskiej i mongolskiej rasy, ku wspólnemu celowi. Rozumiał, że było to marzycielstwo, którem się oszukiwała bezwiednie partja „Woli Ludu“.

— Tu trzeba tyle haseł, ile jest szczepów! — szepnął z szyderczym uśmiechem na zarumienionej od mrozu twarzy.

Po większych wsiach już działały niedawno założone szkoły ludowe. Włodzimierz z ciekawością przyglądał się nauczycielom i nauczycielkom.

Pewna część ich spokojnie witała nowego dyrektora. Nie mieli ci ludzie nic do ukrywania. Te same, co i w gimnazjum, podręczniki, zalecane przez kościół i rząd, ten sam program, ogłupiający i oszukańczy.

Większość jednak nauczycieli, jak to odrazu zauważył spostrzegawczy chłopak, nie miała czystego, prawomyślnego

sumienia. W rozmowie z dyrektorem byli nieufni, ostrożni, wstrzemięźliwi. W ich oczach łatwo można było wyczytać nieżyczliwość dla przedstawiciela rządu.

Pan Uljanow tego nie spostrzegał jednak. Wszystko napozór było w porządku. Słuchał obojętnie skarg na marne uposażenie, na nędzę, na niechęć ludności do szkoły, a nawet wrogi stosunek do nauki i nauczycielstwa; to nie wchodziło w zakres jego działalności, o tem musiały myśleć władze centralne. Na jego odpowiedzialności leżało, aby wszystko się odbywało przepisowo.

Odjeżdżał zadowolony i spokojny, nie podejrzewając nawet, że w kuferkach nauczycieli ludowych leżały starannie zamaskowane broszurki pisarzy „Woli Ludu", którzy śmielej, niż urzędowi, płatni „uczeni", rozprawiali się z historją „Rusi Świętej".

Z ciężkiem sercem powracał do domu młody Uljanow.

Rozumiał, że lud nie jest jednolity, bo, podzielony na wrogie szczepy, hołduje dzielnicowemu patrjotyzmowi i nie zna wspólnych dążeń i zasad.

Widział bezdenną przepaść pomiędzy wsią a miastem, pomiędzy włościaństwem a inteligencją, której chłopi nie rozumieli i nie lubili, bo była dla nich albo uosobieniem rządu, albo czemś djabelskiem z całą jej wiedzą, nauką i obcemi obyczajami.

— Tylko Dżengiz-chan, lub inny wielki najeźdźca mógł dać sobie z nimi radę! — myślał Włodzimierz. — Krwawą ręką gnał ich wraz ze sobą na podbój świata, prowadząc ku celowi, przez siebie wytkniętemu. Nic się od tego czasu nie zmieniło, więc i teraz potrzebny jest tylko nowy chan, lub nasz rosyjski zuchwały, brutalny antychryst — Piotr Wielki, nowator-marzyciel z grubym kijem w mocnej łapie!

O swoich wrażeniach obszernie opowiadał chłopak w domu Ostapowych.

Lubili go tam wszyscy i nazywali pieszczotliwie — Wola.

Po raz pierwszy usłyszał to imię z ust drobnej, złotowłosej Heleny i, sam nie wiedząc dlaczego, zarumienił się po uszy.

Stary doktór Ostapow słuchał ze zdumieniem opowiadania poważnego Woli, mówiącego, jak dorosły, o sformowanych pojęciach człowiek.

Logika, jasna bez przesady i porywów myśl; prosta, a silna dialektyka zastanawiały starego lekarza. Nieraz myśląc o tem, formułował swoje wrażenia w ten sposób:

— Ani moje pokolenie, ani rówieśnicy syna nie mieli tej surowej, jasnej i śmiałej myśli. Ha! W życie wchodzi młoda generacja, całkiem do nas niepodobna. Może ona potrafi nie tylko budować błyskotliwe gmachy na glinianych fundamentach, lecz istotnie wznieść coś wielkiego i wiecznego — piramidę rosyjskiego Cheopsa, naprzykład!

Godzinami rozmawiał stary doktór z Włodzimierzem. Chłopak wolał to, niż słuchać obojętnego, pełnego zwątpienia głosu profesora.

Pewnego razu, gdy Włodzimierz twierdził z głębokiem przekonaniem o możliwości zmiany poglądu na prawo i moralność, młody Ostapow rzucił gorzkie, bezsilne słowa:

— Nic z tego nie będzie! Rosja skazana jest na zagładę...

Wszyscy uczuli chłód od tych beznadziejnych, upokarzających myśli.

Tylko Uljanow bacznie spojrzał na profesora i odpowiedział natychmiast:

— Rosja liczy 130 czy 150 miljonów ludzi, a na całej kuli ziemskiej zamieszkuje chyba dwa miljardy, czujących i cierpiących tak samo. Niechże ginie Rosja, aby zwyciężyła prawda... ogólnoludzka.

— Nie, doprawdy, tego już za wiele! — zawołał lekarz.

— Nie możemy ustanawiać czysto-rosyjskiej prawdy — odpowiedział Włodzimierz. — Nie ma ona ani celu, ani środków.

— A ogólno-ludzka prawda?

— Nad nią wszyscy wspólnie będą pracowali: my, Anglicy, Murzyni i Hindusi. Razem lepiej i szybciej to pójdzie!

— Jakaż to prawda? — spytał profesor.

— Nie wiem jeszcze, ale czuję ją... tu, tu...

To mówiąc, Włodzimierz palcem dotknął czoła.

W kąciku cicho siedziała Helena, pochylona nad robótką. Przy ostatnich słowach Włodzimierza podniosła na niego oczy, a gdy wskazał na swoje czoło, przymknęła powieki i cicho westchnęła.

Po odejściu ojca i brata, nie odrywając się od haftowanego gałganka, spytała:

— Czy Wola jest przekonany, że wyczucie prawdy mieści się tylko w mózgu?

— Tak! — odpowiedział. — Tylko w mózgu.

— Ja myślę inaczej! — zaprzeczyła, potrząsając jasną główką. — Wielkie ideje wtedy tylko mogą mieć władzę nad ludźmi, gdy zmieniają się w uczucia. To znaczy, że w okresach tworzenia, utrwalenia i przyjęcia prawdy musi działać serce...

— Nie! Skoro serce wchodzi w grę, zaczynają się kompromisy — nie znoszę i nie uznaję ich! — zawołał opryskliwie.

— Czy Wola nigdy nie pójdzie za głosem serca?

— Nie, nigdy! Serce jest wrogiem rozumu.

Westchnęła i umilkła, niżej pochylając się nad stołem.

— Dlaczego, Lena, westchnęła? — zapytał Włodzimierz.

Długo nie odpowiadała. Włodzimierz cierpliwie czekał, patrząc jak światło lampy kładzie się złotemi plamami na gładko uczesanych włosach i muska długie, grube warkocze dziewczyny.

— Smutno mi jest... — szepnęła.

Uljanow milczał.

— Smutno mi jest — powtórzyła i nagle podniosła na niego duże, niebieskie oczy, pełne gorących błysków. — Wola jest niedobry!

Włodzimierz nie odzywał się.

— Czy Wola nic nie kocha w życiu?

Pomyślał i odparł:

— Życzę dobra i prawdy wszystkim ludziom całego świata...

— A więc — kocha?

— Nie! Na to sam rozum wystarczy — rzekł spokojnie.

Po chwili Helena, nie spuszczając z niego oczu, szepnęła:

— I nikogo... nie kocha?

Chciał odpowiedzieć, lecz nagle zmieszał się i z żywym rumieńcem na twarzy zaczął przeglądać ilustrowane wydanie Puszkina, leżące na stole.

— Naprzykład, czy mnie... kocha Wola? — doszedł cichy jej szept.

Uljanow drgnął i zacisnął zęby.

— Bo ja kocham Wolę... kocham, jak ojca, jak kochałam matkę... o, nie! kocham więcej — tak, jak Boga!

Przez zaciśnięte zęby odpowiedział:

— Niebardzo przekonywające porównanie!... Boga, Leno, niema! Jest to przestarzała idea, przypadkowo pozostająca w obiegu.

Oczu jednak nie podniósł na nią, bał się spojrzeć w jej źrenice, pełne błysków serdecznych.

— Dla mnie Bóg istnieje! Ja kocham Go, a obok Niego — Wolę! — szepnęła.

— Leno! — rzucił zduszonym głosem, jakgdyby wołanie o ratunek.

Nie widział, lecz domyślił się, że wyciąga do niego rączkę, drobną z dołeczkami nad każdym paluszkiem.

Porwał ją, pociągnął prawie brutalnie, uczuł przy swojej piersi bijące serce Leny, więc przygarnął ją do siebie i, mrużąc ciemne oczy skośne. wpił się ustami w jej zimne, drżące wargi.

— Twoja, twoja na całe życie, do ostatniego tchu!... — szepnęła z uniesieniem.

— Na całe życie! — powtórzył i nagle jakiś chłód zakradł się do piersi chłopca.

Nie wiedział, czy poczuł fałsz w tych słowach gorących, czy złe przeczucie go tknęło.

Helena, jak prawdziwa kobieta, już planowała całe ich życie.

— Wola ukończy uniwersytet i stanie się adwokatem, bronić będzie tylko najnieszczęśliwszych, najbardziej pokrzywdzonych, jak naprzykład Darję, która poszła na tułaczkę; ja przestudjuję medycynę i będę leczyła najbiedniejszych i opuszczonych...

Dalszą rozmowę przerwał profesor Ostapow. Stanął na progu i zawołał:

— Chodźcie, przyjaciele, na kolację!

Po tej rozmowie z Leną Uljanow starał się każdą wolną chwilę spędzać u Ostapowych. Zarzucił nawet Marksa.

W okresie pierwszej miłości wydawał mu się zbyt zimnym i bezwzględnym.

Marja Aleksandrówna domyślała się prawdy i była zadowolona z obrotu sprawy.

— Bardzo porządna i miła dziewczyna! — zwierzała się mężowi. — Z dobrej rodziny, poważna, uczciwa. Może, Bóg da, że dojdzie to do skutku. Cieszyłabym się z tego!

— Naturalnie! — zgadzał się Uljanow. — Ojciec — generał, najlepszy lekarz w mieście. To — partja!

— Najważniejsze, że to bardzo wartościowa panienka, rozsądna i dobrego serca! — poprawiła męża pani Uljanowa.

— Chwała Bogu! — wołał, zacierając ręce, ojciec.

Nikt nie wiedział, że Włodzimierz w tym czasie przeżywał męki zwątpienia.

Czuł, że zdradza coś, co jest ważniejsze od jego osobistego życia. Przypomniał sobie pijanego Ostapowa, majaczącego o wyrzutach sumienia Judasza. Rozumiał teraz Judasza... Rozumiał, że on sam jeszcze podświadomie, nieuchwytnie zdradził Lenę.

— A gdybyż tak, jak było z łyżwami i z łaciną? Porzucić Lenę i wziąć się znowu za Marksa, za swoje notatki, za książki?

Nie mógł jednak przezwyciężyć się i szedł do Ostapowych, męczeńskim wzrokiem patrzył w niebieskie oczy Leny, uśmiechał się do błysków na jej złotych warkoczach i czuł przyjemny dreszcz podniecenia, gdy, marszcząc brwi, uważnie słuchała jego mowy.

Młody był, nie mógł zrozumieć, że skoro nasunęło mu się porównanie uczucia do tej słodkiej dziewczyny z zamiłowaniem do łyżew, odrywających go od pracy, to nie kochał jej na całe życie, do ostatniego tchu.

Nie wiedział o tem i walczył z pochłaniającą go pierwszą miłością. Walczył... Poddawał się jej słodkiemu czarowi i strząsał z siebie jej urok, aby w chwili słabości znowu po nią wyciągnąć ręce. Odczuwał to, co przeżywali święci pańscy podczas kuszenia, sprowadzającego ich z dróg bożych. Poddawali się pokusie, już dotykali spragnionemi ustami czarownej czary zatrutej i odtrącali ją, aby w męce trwać, aż znów upadali i marzyli o nowej, pięknej zjawie, ponętnej, kuszącej.

Pogardzali sobą, buntowali się przeciwko słabości ducha, dręczyli siebie i — zwyciężali w imię Boże, krocząc drogą, ostremi kamieniami i cierniami okrytą.

— W imię jakiego boga mam walczyć? — pytał sam siebie Włodzimierz. — Kto żąda ode mnie tej ofiary?

Niema odpowiedzi — tylko gdzieś w labiryncie mózgu ślizga się, jak chyży wąż, myśl dziwna, niepokojąca, niby nakaz władny:

— Musisz być samotny, wyzwolony z trosk życiowych, niczem nieskrępowany! Oddaj wszystkie siły, całą potęgę rozumu, cały żar nikogo nie kochającego serca!...

— Czemu lub komu mam oddać? — szeptał, czując dreszcz, wstrząsający nim.

Znowu — milczenie. Nowa walka, zwątpienie, wyrzuty sumienia, słabość, niebieskie oczy Leny, włosy złote i — męka, męka ponad siły!..

Aleksander Uljanow, skończywszy z robakami i mikroskopem, zaczął zapraszać do siebie kolegów i znajomych. W oficynie gwarno było, niemal codzień, a pokój napełniały obłoki dymu i głosy spierającej się młodzieży.

Na widok starego Uljanowa, pyszniącego się z otrzymanego niedawno krzyża świętego Włodzimierza, nadającego mu dziedziczne szlachectwo, młodzież milkła odrazu i nawiązywała zdawkowe, banalne rozmowy. Jednak do uszu ojca doszły oddzielne wyrazy. Były to straszne słowa: rewolucja, wola ludu, bohaterski czyn Żelabowa...

Robił później gorzkie wyrzuty synowi, mówiąc, że ta „banda bezbożników" doprowadzi do zguby całą rodzinę.

Jednak słuchy o zebraniach w domu radcy stanu i kawalera orderu św. Włodzimierza doszły wkońcu do policmajstra. Zaprosił do siebie Uljanowa i po przyjacielsku uprzedził o tem, że już ma na oku i pod obserwacją jego dom i szczególnie Aleksandra Iljicza, jak się wyraził „młodzieńca o niepospolitym genjuszu uczonego, lecz, niestety, zarażonego zbrodniczemi marzeniami masonów i rewolucjonistów z partji morderców świętego cara, Aleksandra „Oswobodziciela".

Stary zrobił taką awanturę synowi i tak się uniósł, że aż zemdlał. Chorował ciężko całe dwa tygodnie, doglądany przez doktora Ostapowa.

Aleksander przeniósł swoje zebrania do jakiegoś konspiracyjnego lokalu. W domu zapanowały spokój i zgoda.

Wiedząc, że ojciec lubi szachy, Aleksander często grywał z nim, a stary nigdy już nie wszczynał rozmowy o niestosownem i niebezpiecznem postępowaniu jego, jako syna kawalera tak wysokiego orderu.

Nie miał już żadnych podejrzeń.

Włodzimierz myślał tak samo.

Gwałtownie przejrzał jednak, bo pewnego razu, powróciwszy do domu, spostrzegł wyglądającą z pod poduszki brata książkę. Wziął ją do rąk i zdziwił się ogromnie.

Była bardzo ciężka. Korzystając z nieobecności brata, obejrzał ją starannie. Kawał żelaza, wydrążony pośrodku, miał zewnętrzny wygląd książki.

Straszna myśl błysnęła w głowie chłopca. Zdawało mu się, że zrozumiał wszystko.

— Jesteś nieostrożny, Sasza! — rzekł, gdy brat powrócił do domu. — Takie rzeczy należy ukrywać starannie.

Brat zmieszał się i nic nie odpowiedział.

— Ta-ak! — pomyślał Włodzimierz. — Robaki nie przeszkodziły Aleksandrowi zostać rewolucjonistą, a mnie Lena zabiera dużo czasu i myśli moje sprowadza na mieszczańskie, egoistyczne tory. Trzeba z tem skończyć!

Nie mógł jednak...

Różne myśli, związane z odkryciem, uczynionem w pokoju brata, męczyły go. Wahał się i borykał ze sobą. Stał na rozdrożu i długo nie znajdował wyjścia.

Zbladł i wychudł straszliwie. Jednak milczał i z zaciętością rozpaczliwą zaciskał usta. Czuł się jak człowiek, po raz pierwszy podpisujący wyrok śmierci.

Tak trwało przez całe lato.

Na jesieni 1886 roku nagle zmarł ojciec.

Był to ciężki czas. Wtedy jeszcze bardziej pokochał Lenę. Ona jedna umiała pocieszyć stroskaną matkę i ukoić jej ból i tęsknotę. Pani Uljanowa nigdy nie przeceniała męża, tęskniła jednak za nim, przeżywszy tyle lat razem, w doli i niedoli. Marja Aleksandrówna kochała męża miłością matki, zdając sobie sprawę że ten nierozumny, służalczy pół-Kałmuk astrachański przeszedł swoją drogę życiową, za-

wdzięczając jej, która budziła w nim godność ludzką i wskazywała na znaczenie i prawdziwą treść jego pracy.

Córki Marji Aleksandrówny, śmiałe i inteligentne, przepadały za Leną i otwarcie nazywały ją szwagierką.

Włodzimierz tylko nie robił już żadnych planów i wyrzekł się marzeń. Z dnia na dzień oczekiwał nowego ciosu, który musiał spaść na rodzinę i zmienić, a może nawet zburzyć wszystko. On jeden wiedział o tem lepiej, niż nawet ten, po myśli którego cios ten miał być zadany. Nie miał złudzeń i nadziei.

W marcu następnego roku, gdy Włodzimierz uczęszczał już do 8-mej klasy, po mieście gruchnęła wieść, że w rocznicę śmierci Aleksandra II-go z ręki Żelabowa, w Petersburgu został wykryty zamach na życie panującego cara.

Wśród aresztowanych spiskowców okazał się Aleksander Iljicz Uljanow, a śród podejrzewanych — siostra Anna.

Zrozpaczona i przybita do samej ziemi ogromem nieszczęścia Marja Aleksandrówna, postanowiła jechać do Petersburga. Dzieci nie mogły puścić jej samej. Zwróciły się więc do starych, dobrych znajomych, lecz nikt nie chciał narażać się władzom, okazując zażyłość z rodziną zbrodniarza, podnoszącego rękę na cara. Niektórzy z nich nie przyjmowali nawet młodych Uljanowych. Stary przyjaciel ojca, Szyłow, unikał spotkania z nimi i już nigdy nie wpadał na partję szachów.

— Inteligentne społeczeństwo zostało spodlone do reszty! — rzucił Włodzimierz i pogardliwie splunął, gdy wraz z siostrą powracał od dawnych przyjaciół, którzy nie chcieli nawet wpuścić ich do swego mieszkania.

Z Marją Aleksandrówną wyruszyła w daleką podróż Lena Ostapowa pod pozorem zebrania informacyj o wstąpieniu na medycynę.

Nieszczęśliwa matka nie zdołała jednak pomóc synowi. Car Aleksander, „miłujący pokój“, umiał mścić się na wrogach pomazańca Bożego.

Prośba matki o zamianę kary śmierci na dożywotnie więzienie została odrzucona.

Na ponurym podwórku fortecy Schlüsselburskiej, która widziała od czasów Piotra nieprzerwany łańcuch okrucieństw,

dokonanych nad wrogami despotyzmu, — Aleksander Uljanow został powieszony.

Marja Aleksandrówna powróciła do domu.

Napozór, wydawała się zupełnie spokojną, posiwiała tylko nagle, oczy jej przygasły, a głowa się trzęsła, jakgdyby nigdy nieustający dreszcz wstrząsał wychudłem, wyczerpanem ciałem.

Helena Ostapowa nazajutrz po powrocie zaprosiła do siebie Włodzimierza.

Uljanow spostrzegł wielką zmianę w ukochanej dziewczynie.

Nie była to już promienna, pogodna Lena.

Jakiś cień padł na nią. Nabrały zimnego spokoju niebieskie oczy, zacisnęły się mocno świeże, gorące wargi, zniknął rumieniec, głos nabrał twardego dźwięku metalu. Powitała go bez dawnych wybuchów radości i szczęśliwego śmiechu.

Długo milczała, wpatrując się w mizerną, surową twarz Włodzimierza.

— Zrozumiałam... — rzekła.

Podniósł na nią zdziwiony wzrok.

— Przecierpiałeś i już znalazłeś ujście dla smutku i gniewu! — szepnęła.

Milczał.

— Wiem, że teraz nie czas myśleć o sobie, o mnie, o miłości, o życiu szczęśliwem... wiem!... Nastał czas zemsty za śmierć Aleksandra.

— O, tak! — wyrwało się Włodzimierzowi.

— Opowiadano mi o procesie zamachowców... Było ich kilku... Ci, którzy obmyślili całą rzecz, zwalili wszystko na Aleksandra i jego towarzyszy... Partja, przerażona i zdemoralizowana, ukryła się, rozpadła... Tchórze! Nikczemnicy!...

Uljanow nachmurzył brwi i milczał.

— Koniecznem jest pokazać rządowi, że protest nie wygasł! Nowe bomby powinny być rzucone! Gniew narodu należy podtrzymać! Nie wątpię, że ty o tem myślałeś i postanowiłeś pójść w ślady brata. Wola, odpowiedz!

Włodzimierz jeszcze niżej spuścił głowę i nie odzywał się.

— Mów! — szepnęła namiętnie. — Twoje siostry przysięgły być wrogami Romanowych, a ty milczysz? Boisz się? — pytała.

Uljanow podniósł głowę.

Surowa, zawzięta twarz była spokojna. Ciemne oczy patrzyły zimno.

— Nie boję się! — odparł suchym, chrapliwym głosem.

— Więc co postanowiłe ?

Oparł głowę na rękach i, nie patrząc na Lenę, mówił, niby spowiadał się przed samym sobą:

— Wiedziałem dawno, że brat zamierza wykonać zamach. Znalazłem u niego część maszyny piekielnej... Przerażało mnie to... Ani chwili nie wątpiłem, że skończy się to śmiercią brata... W wypadku niepowodzenia powiesił go Aleksander III; gdyby zamach się — udał — uczyniłby to samo następca jego... Innego wyjścia nie było, nie mogło być! Miałem możność uprzedzić nieszczęście, uprosić brata, powiedzieć o wszystkiem matce... Nie uczyniłem tego... Ja jeden wiem, jakie męki przeszedłem! Pozwoliłem Aleksandrowi wyjechać z bombami... na śmierć. Nie mogłem postąpić inaczej! Człowiek powinien żyć dla idei i celu, zapominając o sobie... Powstrzymywać go nie wolno!

Przerwał i patrzył nieruchomo przed siebie.

— A teraz? Co będziesz robił? Milczał? Cierpiał? — spytała Lena i dotknęła ręką czoła Włodzimierza.

Spojrzał na nią zmrużonemi oczami i rzekł, akcentując każde słowo:

— Ja bomby rzucać nie myślę! Jest to zabawa w bohaterstwo. Głupia, nędzna awantura! Bezcelowy rozlew krwi... Ja przysięgam zemścić się na Romanowych, lecz czas na to nie przyszedł jeszcze... Przyjdzie niebawem... Wtedy poleje się krew! Morze krwi!

— A jeżeli ten czas nie przyjdzie?

— Przyjdzie... Ja go przyśpieszę! — odpowiedział, uderzając pięścią w stół.

Lena popatrzyła na niego ze zdumieniem.

Myślała, że ten młodzieniec rzuca puste, szumne frazesy, aby oszukać ją i siebie, usprawiedliwić swoje tchórzostwo i bezczynność. Nagle spostrzegła wyraz ostrych oczu jego, skierowanych na siebie. Stały się podobne w tej chwili do przenikliwych źrenic ptaka drapieżnego. Paliły ją i docierały do najtajniejszych zakątków jej mózgu.



ALEKSANDER ULJANOW
(starszy brat przyszłego dyktatora Rosji, powieszony za zamach na cara Aleksandra III)

Wyczuła, że on widzi wszystko i rozumie każde drgnienie myśli.

Opuścił oczy i powiedział:

— Nie boję się niczego i nikogo oszukać nie zamierzam! Serce każe mi rzucić bombę natychmiast, nie zwlekając, lecz rozum wskazuje, że dla zemsty dojrzeje chwila wtedy, kiedy będzie się robił porachunek za wieki całe i gdy nakreślony zostanie plan dla wieków przyszłych. Ja tego dokonam, Leno!

Wielka siła i gorący poryw zabrzmiały groźnie w zdławionym głosie Włodzimierza.

Na chwilę jedną poddała się temu wrażeniu, lecz tylko na jedną chwilę. Przyszło natychmiast zwątpienie i bolesne podejrzenie o nieszczerość, o usiłowanie odwrócenia jej uwagi w inną stronę.

Milczała, z wyrzutem patrząc na niego.

Włodzimierz znowu wpił się w nią ostrym wzrokiem skośnych oczu i blady uśmiech przebiegł po ustach jego.

Wstał. Na twarzy widać było wahanie.

Syczącym, prawie złym głosem mówił:

— Mógłbym odejść teraz bez słowa, Leno. Wiem, co myślisz o mnie. Nie będę się tłumaczył. Robię tak, jak chcę! Powiem tylko, że jesteś jedynym człowiekiem, którego kochałem, i — ostatnim. Powrócę do ciebie, gdy spełni się to, o czem mówiłem tu przed chwilą!

Mocno zacisnęła ręce i szepnęła:

— Ja ciebie nigdy nie zapomnę...

Czekała, że zbliży się do niej i, jak to czynił zwykle, przytuli do siebie w milczeniu.

Włodzimierz nie uczynił tego. Ogarnął ją raz jeszcze zagadkowym, nieuchwytnym wzrokiem i pomyślał z niechęcią i pogardą:

— Nie uwierzyła! Uważa mnie za tchórza!

Odrazu stała się obcą dla niego, niepotrzebną; jeszcze chwila, jeszcze jedno słowo i — mogłaby się była wydać wrogiem, dla którego nie znalazłby, może, innego uczucia, oprócz nienawiści.

Nie oglądając się więcej, wyszedł.

Nie cierpiał nad rozłąką i nie tęsknił do Leny.

Z gimnazjum powracał teraz wprost do domu, spędzał cały czas z matką, uczył się zapamiętale i czytał.

Stał się jeszcze bardziej milczący i skupiony.

Matka zapytała go o przyczynę zerwania znajomości z Ostapowymi.

Skłamał, mówiąc, że dano mu do zrozumienia, aby nie narażał Ostapowych na przykrości z powodu bliskich stosunków z rodziną zamachowca.

— Niech profesor Ostapow w spokoju otrzyma orderek, o który mu tak bardzo chodzi! — zakończył ze śmiechem.

Pozostawszy sam w swoim pokoju, pomyślał, że przecież popełnił nikczemność, bo spodlił w oczach matki starego przyjaciela, złotowłosą Lenę i bezbronnego, obojętnego na wszystko profesora.

— Ech! — machnął ręką pogardliwie. — Wszystko jest dobre, co najprędzej i najprościej do celu prowadzi! Teraz przynajmniej będę miał spokój!

Bardzo prędko zapomniał o wszystkiem. Uczył się zapamiętale, przygotowując się do matury. Egzaminy wypadły świetnie.

Włodzimierz Uljanow został odznaczony złotym medalem i wstąpił do uniwersytetu w Kazaniu, zapisawszy się na wydział prawny.

Na wakacje razem z matką i siostrami pojechał do ciotki, a gdy na jesieni powrócił, dowiedział się od kolegów, że doktór Ostapow z córką wyjechali do Petersburga, a profesor dostał nominację na inspektora gimnazjum w Ufie.

Włodzimierz westchnął.

Ciągle czujny, kontrolujący samego siebie, ustalił, że nie było to westchnienie smutku, lecz raczej ulgi, — świadomość swobody ostatecznej, niczem nie skrępowanej.

— To, co utraciłem, było drogie, to, co uzyskałem — jest wielkie, jak najwspanialszy skarb! Wolność! — szepnął do siebie.

Czuł się potężnym.

ROZDZIAŁ VI.

Życie uniwersyteckie w Kazaniu było znacznie bujniejsze, niż w stolicach pod nieustającym ani na chwilę dozorem żandarmów i policji politycznej, do której potajemnie należeli niektórzy studenci i profesorowie.

W Kazaniu poza karjerowiczami, stanowiącymi przeważającą większość, istniały liczne kółka studentów, marzących o zmianie stosunków w Rosji. Wszystkie jednak były kierowane przez „Wolę Ludu", czyli socjalistów-rewolucjonistów.

Włodzimierz Uljanow został wciągnięty do tych kółek, uczęszczał na ich konspiracyjne zebrania, podjął się nawet pisania broszur i ulotek dla ludu. Jednak prace jego odrzucono z oburzeniem. Nie odpowiadały one myślom przywódców i były uznane za herezję, za zdradę ideałów partji.

Uljanow wycofał się z grona rewolucyjnych kolegów i przyczaił się, czekając na sposobność do ataku na całą partję „Woli Ludu", którą poznał gruntownie.

Niedługo czekał. W Moskwie i Petersburgu, z powodu brutalności policji, studenci ogłosili strajk i przestali uczęszczać do wyższych uczelni.

Uniwersytet kazański poszedł za ich przykładem.

Na wiecu, odbywającym się w sali aktowej, przywódca socjalistów-rewolucjonistów wystąpił z długiem przemówieniem, żądając ostrego protestu przeciwko panującemu systemowi i manifestacji na rzecz zwołania konstytuanty.

Po mówcy na katedrze zjawił się niewysoki, barczysty student o wybitnie mongolskiej twarzy.

Po sali przeszedł szept:

— To brat powieszonego Aleksandra Uljanowa...

Włodzimierz słyszał to i patrzył na zebranych złemi, zmrużonemi oczami.

— Koledzy! — zawołał. — Mowa moja będzie krótka. Powiem wam, że jesteście stadem baranów, prowadzonych przez kozły...

Szmer zdziwienia i pomruk gniewny przebiegł po tłumie studentów.

— Precz z nim! Precz! — zawołało kilka głosów.

— Słuchajmy! Słuchajmy! — krzyknęli inni studenci.

— Wasi przywódcy marzą, żeby car i jego rząd usłuchali głupich żądań zwołania konstytuanty. Taką potęgę chcą zmusić do tego skamłaniem lub terorem osobistym?! Koledzy, jest to droga, godna głupców...

— Precz! Precz! — zerwały się oburzone okrzyki.

— ...godna głupców, zapamiętajcie to sobie dobrze! — ciągnął Uljanow. — Car jest pomazańcem bożym i za takowego się uważa...

— Brawo, kolega Uljanow! Brawo! — ryknęła prawomyślna część studentów.

— Nie wymieniać nazwisk! Mamy wśród nas szpiegów! — rozległy się ostrzegawcze głosy.

— Car, pomazaniec boży, uważa, że władza jego nie jest z tego świata, lecz boska. W tem przeświadczeniu jest wychowany, a więc ma inaczej skierowaną myśl, niż nasza. Nie zna on mieszczańskiej moralności i tchórzostwa. O, carowie są odważni! Z łatwością przecinają życie poddanych i chętnie oddają swoje! Terorem ich zastraszyć nie można, a cóż dopiero głupiemi, bezsilnemi protestami studentów i śmiesznemi, bezwolnemi formułkami „Woli Ludu“ o konstytuancie! Dlaczego socjaliści-rewolucjoniści nie żądają raczej przydziału ziemi na księżycu?!

— Brawo! A to tnie tych jakobinów! — rozlegały się wesołe krzyki.

— Precz! Precz z prowokatorem! Zrywa strajk! — wołali, wymachując pięściami, zagorzali ludowcy.

— Dacie mi skończyć, czy nie? — krzyknął chrapliwie Uljanow. — Boicie się prawdy?

— Niech mówi! Niech mówi! — podtrzymano go.

Na sali zapadła groźna cisza.

— Konstytuanta oznaczałaby odsunięcie od tronu lokajów carskich. Karmieni i opłacani hojnie nie zechcą stracić

ciepłego kąta. Ho, nie tacy oni głupi, moi drodzy! Któż więc usłucha niczem nie popartych żądań naszych jakobinów w czapkach urzędowych i o duszach tychże lokajów, może nieco zbuntowanych, ale marzących o ciepłym kąciku przy tłustym pierogu carskim. Kto?

— Zdrajca! Oszczerca! Agent rządowy! — wołała rozwścieczona partja „Woli Ludu".

— Zuch! To ich wsadza na kół! — śmieli się prawomyślni i bezpartyjni.

Jednak słuchali dalej, bo zuchwały mówca rękę podniósł i oczami groził.

— Nie tędy droga, koledzy! Chcecie protestować? Dobrze! Idę z wami, ale chodźmy do koszar, do żołnierzy — chłopskich synów, na wieś, zbierzmy siły i z bronią w ręku pokażmy, że umiemy żądać i że wszyscy paść potrafimy za wykonanie naszej woli! Chodźmy, ale zaraz, nie zwlekając, bo za godzinę szpiegowie powyłapują nas, prawomyślni i bezpartyjni tchórze dopomogą im, a partja „Woli Ludu" czmychnie do krzaków, zostawiając kogoś na pożarcie, bo „wodzowie" są potrzebni do pisania ulotek z bzdurami i bajdami dla dzieci!...

Wybuchnęła istna burza krzyków, wyzwisk, obelg.

— Precz z prowokatorem! Wyrzucić za drzwi oszczercę! Jakiem prawem przemawia w takim tonie? Zrywa wiec! Zdrajca!

Wiec został istotnie zerwany, ponieważ pomiędzy studentami rozgorzał spór, a nawet bójka.

Uljanow stał na katedrze i słuchał uważnie, pogardliwie. Gdy się na chwilę uciszył hałas, rzucił szyderczym głosem:

— Zdaje mi się, że jestem na zgromadzeniu konstytuanty rosyjskiej, bo taką tylko w istocie być może... Ale ja ją rozpędzę na cztery wiatry!

Spokojnie opuścił katedrę. Patrząc twardym wzrokiem, szedł pomiędzy rozstępującymi się przed nim studentami, miotającymi nań przekleństwa, i porzucił salę.

Wyszedł na korytarz, gdzie czekali na niego koledzy Zegrzda i Ładygin.

Uljanow spojrzał na nich i szepnął:

— Teraz uciekajmy, bo opamiętają się i zechcą obić mnie!

Pobiegli całym pędem. Włodzimierz zgadł. Studenci tłumnie wypadali z sali i gonili uciekających. W tej chwili zjawiła się policja i pedle. Zaczęły się areszty. Wśród zatrzymanych studentów znalazł się też i Włodzimierz Uljanow.

Rada uniwersytecka, konferująca wspólnie z urzędnikami władz administracyjnych, długo ważyła sprawę, czy Uljanow ma być oddany pod sąd, czy też należy ukarać go inaczej? Wkońcu postanowiono wydalić go z uniwersytetu na zawsze i wysłać do Kokuszkino pod dozór policji. Wszyscy bowiem uznali, że znakomicie ośmieszył partję „Woli Ludu" i sparaliżował zamiar jej wywołania zamieszek studenckich.

— Tego młodzieńca jabym chętnie przyjął na dobrą pensję do policji tajnej! — zauważył pułkownik żandarmski.

— Nie pójdzie! — mruknął inspektor uniwersytetu.

— Wiem! — uśmiechnął się żandarm. — Zresztą, nie byłbym pewien takiego agenta; mógłby odegrać podwójną rolę. Bywały już takie wypadki!

Tegoż dnia Włodzimierz w towarzystwie wąsatego wachmistrza żandarmów wyjeżdżał z miasta.

W drodze myślał o tem, że, gdyby Helena Ostapowa mieszkała w Kazaniu, to, dowiedziawszy się o jego mowie na wiecu, uważałaby go za nikczemnego zdrajcę i prowokatora.

Na tę myśl uśmiechnął się złośliwie i, patrząc na wachmistrza, rzekł do niego ze śmiechem:

— Życie jest zabawną historją, panie żandarmie!

— E—e! — odparł z niechęcią. — Nic zabawnego.... Pensja mała, pracy dużo...

— Oj! — zawołał ubawiony Uljanow. — Boję się, że pan przejdzie do „Woli Ludu", bo ona broni wszystkich pokrzywdzonych, to i panu przyobieca podwyżkę pensji.

— Żartuje pan student, a mnie, doprawdy, nie do śmiechu! Żona ma rodzić za miesiąc, a dodatku do pensji jak niema, tak niema! — mruknął wachmistrz.

Włodzimierz czuł się wyśmienicie. Jakaś wielka radość spłynęła na niego. Wszystko dokoła przykrywała biała płachta śnieżna, mróz tężał z godziny na godzinę; jemu zaś wydawało się, że już nadeszła wiosna, promienna, wezbrana nadmiarem sił czynnych, bujnych.

Czuł się zupełnie wyzwolonym.

Zerwał ze wszystkiem, co wiązało go z życiem normalnem, szarem, mieszczańskiem.

Teraz mógł zacząć iść drogą, którą z taką dokładnością nakreślił sobie, oznaczając na niej każdy krok. Los jego został postanowiony, a wierzył, że sądzonem mu było wykorzystać go do końca, w czyn wprowadzić wszystkie myśli, które już od kilku lat układały się w głowie jego i przybierały formy, ze stali odlane.

— Teraz dopiero będę się uczył! Uczył! Uczył!

Nic go już od nauki oderwać nie mogło. Wiedział, że nie uwikła się w żadne awantury polityczne. Zerwał tak stanowczo stosunki z „Wolą Ludu", że nikt z tej partji w całym kraju nadwołżańskim nie zajrzałby do niego. Z drugiej strony były zwrócone na niego oczy policji, żandarmów, szpiegów. Każdy krok jego, każde głośniejsze powiedzenie byłyby odrazu wiadome władzom.

Uśmiechał się do tych myśli, jakgdyby przynosiły mu niesłychane, wymarzone szczęście.

W swoim pokoiku w Kokuszkino wpadł odrazu w pasję, w prawdziwy szał nauki.

W ciągu dwuch lat przeszedł cały kurs nauk wydziału prawnego i był gotów do dyplomu. Posłał podanie o dopuszczenie go do egzaminów w Kazaniu lub Petersburgu, lecz otrzymał stanowczą odmowę. Wtedy kilkakrotnie wszczynał zabiegi o uzyskanie pozwolenia na wyjazd zagranicę. Nie miały jednak żadnego skutku.

Jedno tylko uzyskał przez ten czas. Dowiedział się bowiem, że wygnanie jego potrwa trzy lata. Wkrótce wystarano się dla niego o prawo na powrót do Kazania. Nic go już jednak nie ciągnęło do tego miasta, gdzie uniwersytet został dla Włodzimierza zamknięty. Postanowił tedy przenieść się do Samary.

W tym czasie dokonał olbrzymiej pracy. Poznał dzieła wszystkich socjologów i szczególnie starannie i wszechstronnie przestudjował Marksa.

Krytycznie i trzeźwo patrzący na życie młodzieniec musiał przyznać, że na wygnaniu samarskiem stał się poważnym teoretykiem marksizmu.

Nie znosił teorji, pogardzał nią podobnie, jak i ludźmi suchej, formalnej doktryny.

Uspakajał siebie, rozumując w ten sposób:

— Każdy lekarz narazie jest tylko teoretykiem. Jednak, gdy przeprowadzi z mniej lub więcej pomyślnym wynikiem kilka porodów, lub zarżnie nieszczęśliwego pacjenta, staje się praktykiem i pomaga ludzkości w walce z cierpieniami. Niezawodnie tak też będzie i ze mną. Chętnie zrobię nie jedną, a tysiąc wiwisekcyj, aby wykierować się na tęgiego specjalistę!

Odczuwał nieraz żądzę nieprzepartą, aby przemówić do ogółu.

Do jakiego? Do inteligencji prowincjonalnej, pijanej, grającej w karty, tępej i na wszystko obojętnej? Do ślepych wyznawców formułek „Woli Ludu“? Do chłopów?

— Nie! — myślał. — Jest to materjał nie do przerabiania zapomocą pisanego słowa! Tam potrzeba pięści, kija lub jeszcze bardziej skutecznych narzędzi przemocy!

Zupełnie przypadkowo natrafił na klasę podatniejszą.

W zamieszkiwanym przez niego domu często spotykał stróża, zawsze pijanego i chwilami strasznego w swej wściekłości. Tłukł wtedy swoją babę i dzieci, gonił psy, wygrażając im miotłą i ciskał się na wszystkich.

— Co wam się stało, Grzegorzu? — zapytał pewnego razu Uljanow, podchodząc do stróża.

— Niech to wszyscy czarci wezmą! — ryknął ze wściekłością. — Ziemi mało, a i ta rola, co nam pozostała, nic nie rodzi! W mieście w zimie żadnego zarobku! Brat bezrobotny siedzi u mnie na karku i ja muszę go karmić... Skąd wziąć?!

Włodzimierz usiadł tegoż wieczora i napisał dwie ulotki — każdą w pięciu egzemplarzach. Jedną o proletaryzacji włościan, drugą — o bezrobociu. Ukrył je w skrzyni z ziemniakami i poszedł do Grzegorza. Długo wysłuchiwał jego skarg, wypytywał o życie na wsi i o ciężki los bezrobotnego, opowiadał, objaśniał, radził.

Rezultat był nieoczekiwany i szybki. Bracia stali się jego pomocnikami i starannie roznosili ulotki po okolicznych wsiach i po fabrykach.

W drugim roku wygnania, Włodzimierz poznał mieszkającą w tymże domu dziewczynę.

Mała, śniada, o czarnych oczach i wydatnych wargach uśmiechała się do niego bezczelnie i zachęcająco.

Dowiedział się od Grzegorza, że trudniła się szyciem sukien, lecz nie pogardzała innym, bardziej łatwym zarobkiem, przyjmując u siebie mężczyzn.

Spotkawszy ją na schodach, Uljanow spytał:

— Panienka ma na imię Grusza?

— Skąd pan wie? — odparła pytaniem i zaśmiała się zaczepnie.

— Gubernator poinformował mnie o tem! — odpowiedział żartobliwie.

— Ten do mnie nie przychodzi... — odparła. — Moi goście — nie tacy wielcy panowie! Może i pan wstąpi do mnie?

— Wstąpię! — zgodził się. — A kiedy?

— Chociażby dziś wieczorem... — szepnęła.

Przyszedł. Rozejrzał się po pokoiku. Zwykłe legowisko biednej prostytutki.

Szerokie łóżko, stolik, dwa krzesełka, umywalka, na ścianach dwa oleodruki, przedstawiające nagie kobiety i kilka fotografij pornograficznych.

Dodatek niezwykły stanowiła maszyna do szycia i obraz Chrystusa w kącie z palącą się przed nim lampką olejną.

— Ha! — zawołał Uljanow wesołym głosem. — A co tu robi Syn Boży? Napatrzył się biedak na różne hece, odbywające się na tem łożu!

Dziewczyna, już rozpinająca na sobie bluzkę, nagle spoważniała. Iskry mrocznego gniewu zamigotały w jej oczach.

— Niech patrzy. niech! — syknęła. — Musi wiedzieć, że zbawiał świat, a biednych ludzi nie potrafił z nędzy wyrwać! Muszą oni sami dawać sobie radę, kto jak może: jeden z nożem w ręku, a ja — na tem łóżku. Niechże patrzy!

Uljanow zamyślił się. Wyobraził sobie tę prostytutkę, pełną nienawiści i zrozumienia własnej nędzy, w chwili, gdyby jej dano nóż do rąk i powiedziano:

— Idź i mścij się bezkarnie!

Pohulałaby ona!

Uśmiechnął się mimowoli i ze współczuciem spojrzał na dziewczynę.

Sama o tem nie wiedząc, nauczyła go wielkiej rzeczy — wykorzystać potęgę nienawiści.

Spostrzegła jego uśmiech i zapytała podejrzliwie:

— Dlaczego się śmiejesz?

Żeby nie zdradzić się przed nią ze swoich myśli, odpowiedział:

— Chrystus dla panienki był nielitościwy, a pomimo to pali się przed nim lampka. Z tego się śmiałem...

Wzruszyła niedbale ramionami i mruknęła:

— Niech wie, że i ja mam w sercu dobroć...

Spojrzała na gościa i rzekła poważnie:

— No, cóż? Mam się rozbierać? E—e, kiedy ty jakiś dziwny, niesamowity jesteś!

— Pogadamy ze sobą bez rozbierania się — odparł wesoło. — Niech panienka nie obawia się — zapłacę!

— Głupi jesteś! Ja tylko za pracę biorę pieniądze! — zawołała. — Nie jestem żebraczką, która stoi pod cerkwią z wyciągniętą ręką...

Z Gruszą Uljanow prędko się zaprzyjaźnił.

Bywał u niej i jako jej klient, płacąc regularnie, a wtedy mówiła do niego poufale — „ty“ i traktowała go dość brutalnie. Częściej jednak odwiedzał ją, jako znajomy i sąsiad. Częstowała go wtedy herbatą z obwarzankami, rozmawiała poważnie, skupiona i zawstydzona. Przed jego odwiedzinami sprzątała łóżko i wynosiła umywalkę do sieni. Zwracając się do niego, mówiła z szacunkiem: „Włodzimierz Iljicz“ i nie pozwalała sobie na żadną poufałość, ani nawet na żart.

Gdy wybuchnął strajk na fabryce Złokazowych, Uljanow napisał ulotkę o taktyce robotników i sabotażu, a te ulotki rozdawała Grusza, mająca tam licznych znajomych. Zaaresztowano ją, odstawiono do wydziału śledczego, głodzono, bito, żądając wskazania organizacji, do której należała.

Nic nie powiedziała i Włodzimierza nie wydała.

Skazano ją na dwa lata więzienia.

Uljanow wkrótce zapomniał o niej. Była dla niego małą, malutką, ledwie dostrzegalną wiechą na drodze jego, bieg-

nącej w nieznaną dal, gdzie tylko on jeden wyraźnie widział swój cel, niczem nie zamglony, zawsze jasny.

Przypomniał mu o dziewczynie brat stróża, powracający z więzienia, gdzie odwiedzał jakiegoś wieśniaka.

— Grusza kazała pozdrowić pana i powiedzieć, że dla niej jest obojętne, gdzie zgnić — w szpitalu, czy w więzieniu...

Uljanow wzruszył ramionami, jakgdyby mówiąc:

— No, to i dobrze!

Nie miał czasu zaprzątać sobie głowy takiemi drobiazgami, odłamkami życia.

Otoczony słownikami i samoukami studjował w tym okresie języki obce.

Miałżeż myśleć o śmiesznej prostytutce, palącej lampkę ofiarną przed świętym obrazem, spoglądającym na łoże rozpusty?

Nie miał w sobie ani cienia sentymentalności. Nie był zdolny do porównania tej dziewczyny upadłej z małą lampką ofiarną. Dla niego była ona drzazgą, odłupaną przy rąbaniu lasu życia.

Miałżeż zastanawiać się nad losem każdej drzazgi, gdy chodziło mu o knieję, — gęsty, mroczny, nieprzebyty bór?

ROZDZIAŁ VII.

Wesołość i radosne uczucie wolności nie opuszczało Włodzimierza Uljanowa. Nic nie mogło zabić lub chociażby zachmurzyć tego nastroju. Otrzymane przez niego wiadomości o śmierci siostry Olgi, rozpaczy i chorobie matki ślizgały się po nim, jak chwilowe cienie, znikające bez śladu.

Czuł się tak, jak wódz na polu bitwy.

Wszystko zostało zbadane dokładnie, obmyślane, przygotowane. Wróg, w swoim czasie otoczony z czterech stron, otrzyma miażdżący cios. Zwycięstwo wyczuwało się tak wyraźnie, że na myśl o bitwie, jakiś rozkoszny dreszcz przeszywał wodza.

Wyglądał niecierpliwie końca pobytu w Samarze.

Nareszcie nastał upragniony dzień. Uljanow natychmiast wyjechał do Petersburga; niedawno złożył podanie o dopuszczenie go do egzaminu dyplomowego na uniwersytecie.

Z nikim nie podtrzymując stosunków w stolicy, złożył egzamina i zapisał się do adwokatury.

Czytając papier o tem, uśmiechnął się zagadkowo. Przypomniał sobie niebieskie oczy i złotowłosą główkę, pochyloną nad stołem. Przemknęła myśl:

— Helena mieszka w Petersburgu. Mógłbym pójść do niej i powiedzieć, że jeden drobny etap przeszedłem i że przejdę wszystkie, bo tak postanowiłem!

Skrzywił usta pogardliwie i szepnął:

— Poco?

Powrócił do Samary, gdzie zamieszkała Marja Aleksandrówna, i rozpoczął karjerę adwokacką.

Pierwszą sprawą, oddaną mu, była obrona robotnika, oskarżonego o kradzież.

Uljanow odwiedził swego klienta w więzieniu. Mały, o złych, biegających oczach człowiek, ujrzawszy adwokata, zaczął przysięgać na wszystkie świętości, że nie dotknął ni-

czego i że kupiec oskarżył go o kradzież przez szczególną do niego nienawiść.

— Kiedyś na wiecu, panie adwokacie, powiedziałem, że on łupi nas ze skóry i pije krew. Zemścił się na mnie teraz... — twierdził robotnik.

Tego było dość dla młodego obrońcy.

Wystąpił na sądzie i dowodził, że kradzież w pewnych okolicznościach nie może być karaną, bo robotnik mógł był potajemnie zabrać jakąś drogą część maszyny i spieniężyć ją, gdyby posiadał instynkty zbrodnicze, z punktu widzenia utartego prawa. Nie uczynił tego, dowodząc uznawanej przez ogół moralności; dopiero teraz, z powodu wrogich dla niego uczuć handlarza, został postawiony pod pręgierzem ciężkiego oskarżenia.

Stary, poważny prokurator, uśmiechając się pobłażliwie, wskazywał na nieodparte poszlaki i dowody, świadczące przeciwko podsądnemu.

Uljanow odpierał to swemi argumentami. Prokurator zkolei zbijał twierdzenia obrońcy. Sprawa, drobna i zwykła, zaciągnęła się do wieczora. Wreszcie oskarżyciel i obrońca wyczerpali swoje dowodzenia i umilkli.

Prezes sądu, zniecierpliwiony długą procedurą, surowym głosem rzekł, zwracając się do oskarżonego:

— Podsądny! Do was należy ostatnie słowo!

Znudzony, głodny i ziewający robotnik wstał leniwie i mruknął:

— Niewiadomo, poco było tyle gadaniny! Ukradłem, bo ukradłem, lecz cóż w tem nadzwyczajnego?... Nie ja — pierwszy, nie ja — ostatni...

Włodzimierz Uljanow przegrał sprawę. Spojrzawszy na klienta, prokuratora i sąd, parsknął beztroskim śmiechem.

Niebywała wesołość zapanowała na sali.

Ten anegdotyczny występ młodego adwokata zadecydował o jego karjerze. Kilka następnych spraw Uljanow znowu przegrał, więc zaniechał praktyki.

Rozumiał, że nie miał zdolności do obracania się w granicach twardych paragrafów kodeksu karnego, nie umiał wykorzystać faktów w ściśle ograniczonej płaszczyźnie prawa. Chciał raczej prawo nagiąć do wypadków, nieraz odrzucając

kompetencję jego w zakresie pewnych zjawisk o szerszem znaczeniu. Dowodził, że sprawiedliwość jest różna dla poszczególnych warstw społeczeństwa. To, co dobre jest i sprawiedliwe dla łapownika-urzędnika z uniwersyteckiem wykształceniem, to nie może być zastosowane do ciemnego wieśniaka, lub zawsze głodnego wyrobnika. Nieraz mimowoli stawał się oskarżycielem, obrońcą i sędzią w jednej osobie. Taka logika Uljanowa spotykała się z szyderstwem lub pogardliwym uśmiechem wykwalifikowanych sędziów.

W biegu pewnej sprawy prokurator zauważył zjadliwie:

— Obrońca, widocznie, zamierza stać się prawodawcą, wprowadzającym całkiem nowe idee do kodeksu!

— Tak! Mam ten zamiar! — natychmiast odpowiedział Uljanow z takim wyrazem twarzy i takim tonem, że nikt nie mógł zrozumieć, czy poważnie mówi ten nieudolny adwokacik, czy drwi.

Wyrzekając się karjery prawniczej, Włodzimierz zaczął studjować nową ustawę fabryczną i pogłębiał swoją wiedzę w zakresie socjologji. Pracował nad broszurą o rynkach, o ekonomicznych błędach ludowej partji i zaczął pisać dużą rozprawę, zatytułowaną „Przyjaciele Ludu", zaznaczając w niej wyraźnie drogi i cel walki, którą musiała wszcząć socjaldemokratyczna partja, dopiero pod wpływem teorji Marksa i Engelsa organizująca się na terenie Rosji.

Nie skończywszy z tem, wyjechał do Petersburga, szukając w stolicy ludzi jednakowo z nim myślących.

Nie znajdywał ich jednak. W kółkach marksistów przewodziła liberalna inteligencja, zapatrująca się na socjalizm teoretycznie, widząca w nim historyczną fazę ekonomicznego rozwoju, w której masy ludności odgrywały bierną rolę.

Ludzie nie wychodzili poza granicę panującej ideologji, marzyli o zmianach istniejącego prawa i porządku państwowego wobec nowej, nadchodzącej fazy dziejowej w rozwoju społeczeństwa.

Miotano się bezsilnie, nie widząc wyjścia z labiryntu sprzeczności i usypiając żądzę czynu skromną pracą nad rozpowszechnieniem wśród robotniczej masy broszurek liberalnego „komitetu oświecenia".

Jednak nawet tak niewinną działalność należało ukry-

wać w mroku konspiracji, bo surowy rząd carski ścigał ją i tępił nieubłaganie.

Uljanow kilka razy spotykał się z kierownikami komitetu oświecenia i kółek, szerzących uświadomienie w klasie robotniczej.

Spotkania te skończyły się gwałtownem zerwaniem.

Uljanow patrzył na marksistów petersburskich z tak źle ukrywaną pogardą, że doprowadzał ich do oburzenia, chociaż nie jeden z wyznawców Marksa pod badawczym wzrokiem przybyłego z nad Wołgi „towarzysza“ czuł się zmieszanym. przygnębionym i pytał siebie:

— Jacyż my jesteśmy rewolucjoniści?!

— Czy wasza partja ma na celu rewolucyjną walkę o socjalistyczny nastrój Rosji? — rzucał im pytanie Uljanow głuchym, chrapliwym głosem.

— Niezawodnie! — odpowiadali mu marksiści. — Wiemy, że musi wybuchnąć walka klasowa.

— Tymczasem trudnicie się rozdawaniem ogłupiających broszurek nędznego komitetu oświatowego, kierowanego przez liberalną inteligencję, zawsze bezwolną, tchórzliwą, zatrutą do rdzenia, do ostatniej komórki mózgu ideologją burżuazji. Cóż? My wam nie bronimy tego! Idźcie swoją drogą ku własnej zgubie!

Takie twierdzenie obraziło wszystkich.

— W imieniu kogo, jakich „my“ przemawia do nas towarzysz Uljanow? — wołano ze wszystkich stron.

Włodzimierz mrużył oczy i rzucał złe, syczące słowa:

— Mówię do was w imieniu tych, którzy zaczynają już zrywać wszelkie stosunki z tak zwanem społeczeństwem i wkrótce wyciągną ręce do naturalnego wroga burżuazji, z którą oni nic wspólnego nie mają i mieć nie chcą.

— Któż to jest? Gdzie takie warstwy się znajdują?

— Dowiecie się o tem niebawem! — odpowiedział Uljanow i już więcej nigdy nie widziano go na zebraniach kółek socjal-demokratów petersburskich.

Oburzali się na niego, bo słyszeli, że nazywa ich pogardliwie „skowronkami liberalizmu burżuazyjnego“. Zapomnieliby o zuchwałym marksiście nadwołżańskim, gdyby nie cały szereg utworów tego zagadkowego człowieka.

Były to tak zwane „żółte kajeciki", wykonane na hektografie, a nabierające coraz szerszego rozgłosu i niezwykłej poczytności.

Pisane prostym, raczej prostackim, jurnym stylem, doskonale przystosowanym do podkreślenia zasadniczej myśli, nie mogły one być zaliczone do utworów literackich lub naukowych. Nosiły cechy surowości i gniewu fanatycznych ojców kościoła, miały charakter bulli papieskiej, pełnej przeświadczenia o nieomylności swojej, przykuwały uwagę śmiałością rewolucyjnego ujęcia.

Jednocześnie autor „żółtych kajecików" wydrwiwał, ośmieszał liberałów i „umundurowanych" socjalistów, rzucał na nich cień podejrzeń, obdzierał z uroku, którym byli otoczeni w kołach robotników nieoświeconych i nie posiadających zdrowego sądu o ludziach.

Socjal-demokraci, jak niegdyś ludowcy, poczuli w Uljanowie silnego przeciwnika, tygrysa drapieżnego, podstępnego, umiejącego napadać z różnych stron, a zawsze znienacka i z całą siłą.

Tymczasem Włodzimierz podróżował po Rosji, zatrzymując się w miastach fabrycznych. Zawierał znajomości z robotnikami, wśród których nie tyle sam przemawiał, ile słuchał innych uważnie, spokojnie. Jednak, gdy odjeżdżał, robotnicy powtarzali sakramentalny frazes:

— Nie uznajemy państwa, społeczeństwa, prawa, kościoła i moralności, nie chcemy znikąd pomocy! My stanowimy siłę i w walce krwawej zdobędziemy z własnej woli wspólnemi siłami wolność i sprawiedliwość, podług własnego zrozumienia!

W tym okresie poznał Włodzimierz dwóch dość inteligentnych robotników — Babuszkina i Szałdunowa i z nimi razem wciągał do organizacji innych robotników, pisał ulotki i broszury, rzucał je w środowisko pracującego proletarjatu, siejąc pierwsze ziarna bezwzględnej walki z całem społeczeństwem.

W Petersburgu, pracując w kółkach robotniczych, gdzie wykładał socjologję, czytał i komentował Marksa oraz słynny „manifest komunistyczny", a jeszcze więcej wypytywał, słuchał i myślał o budzącej się do czynu duszy ludzi bezdom-

nych, niepewnych jutra, przez nikogo niebronionych i bezkarnie wyzyskiwanych.

W jednem z kółek, zorganizowanych w fabrycznej dzielnicy Petersburga — Ochcie, poznał wyrobnicę z fabryki Torntona.

Piękna, rozrosła dziewczyna o płowych warkoczach, bujnej piersi i śmiałych oczach miała na imię Naścia.

Uljanow, ściskając jej drobną, lecz twardą dłoń, przypomniał sobie Naśćkę z Kokuszkina, bitą przez pijanego ojca, oszukaną przez młodego szlachcica i zamordowaną przez znachorkę wiejską.

— Tej — to byle kto nie skrzywdzi! — pomyślał, patrząc z uśmiechem na robotnicę. — Rezolutna i odważna niewiasta. Nie pozwoli sobie do kaszy dmuchać!

Tego wieczora mówił o programie Erfurckim. Robotnicy słuchali w skupieniu, a on swoim zwyczajem, akcentując słowa, powtarzał najważniejsze punkty i usiłował wywołać w słuchaczach dążenie do przejawu woli i czynu.

Nie czuł się jednak spokojnym. Obecność pięknej Naści, tryskającej młodością, żywiołową siłą i żarem krwi, drażniła go. Mimowoli zatrzymywał na niej swój wzrok coraz częściej, szukał jej źrenic, a w nich — odpowiedzi na milczące pytanie.

Widział jej oczy śmiałe, harde, niemal zuchwałe, w których wyczytał też niewypowiedziane ustami pytanie. Wysoka, bujna pierś falowała gwałtownie, zwinne, silne ciało chwilami prężyło się lubieżnie i leniwie.

Spojrzenia, rzucane przez Uljanowa na dziewczynę, przyłapał Babuszkin. W przerwie, gdy podano herbatę, podszedł do Włodzimierza i szepnął mu do ucha:

— Naścia Kozyrewa — piśmienna dziewczyna i partyjna robotnica, tylko, ostrzegam was przed nią, bo nie jest zupełnie pewna...

— Jakież macie podejrzenia? — spytał.

— Żadnych! Nic złego nie chciałem powiedzieć o niej. Wiem tylko, że lubi życie wesołe i uwodzi młodego inżyniera fabrycznego. Przepada za nią, a ona — to należy do niego, to — miesiącami unika go...

— Nie mówiliście jej, że nie godzi się zadawać z burżuazją? — spytał.

— Nie! Na rękę nam to. Przez nią dowiadujemy się, co zamierza czynić przeciwko robotnikom dyrekcja fabryczna.

— A—a! — przeciągnął Uljanow. — Nie trzeba jej bronić tych miłostek.

Powiedział to i uczuł wielką przykrość. Zdał sobie sprawę, że był o Naścię zazdrosny.

— Odprowadzę was do domu, towarzyszko! — szepnął, podchodząc do niej.

Spojrzała na niego ostro i, błysnąwszy oczami, odpowiedziała leniwie:

— Dziękuję...

Długo chodzili po ciemnych ulicach przedmieścia, doszli do lasu w Palustrowie i już przed świtem stanęli przed małym, drewnianym domkiem.

— Tu mieszkam... — rzekła, przeciągając się. — Jutro niedziela, można spać, ile się zmieści...

— A prawda! — zawołał. — Jutro niedziela.

Naścia nic nie odpowiedziała. Zapukała w okienko. Zaspana, rozczochrana kobieta z dzieckiem na ręku, uchyliła drzwi i warknęła:

— Psia krew! Nastraszyłaś mnie. Myślałam, że to znów policja...

Dziewczyna, nie żegnając Uljanowa, weszła do sieni i już z jej mroku skinęła na niego głową.

Wszedł. Słyszał, jak zgrzytnął klucz w zamku, ciemność otoczyła go, lecz wkrótce uczuł, że mocne, gorące ramię otoczyło go i popchnęło ku drzwiom.

Szybko się odwrócił, pociemku odnalazł zwinne ciało Naści, przycisnął do siebie, zaczął całować usta, policzki, szyję i miękkie włosy, ciężko oddychając i szepcąc słowa pogmatwane, niewiadomo skąd przychodzące mu na pamięć.

Weszli do małej izdebki, nic nie mówiąc do siebie...

Uljanow opuścił chałupę, dopiero koło drugiej popołudniu.

Czuł znużenie, jakiś niesmak, pogardę do siebie i żal.

Zaczął, jak zwykle, analizować swój nastrój.

— Tfu, do djabła! — mruknął. — Piękna samica, niema co mówić! Mało takich po ziemi chodzi... Śmiała jest, o nic nie pyta i niczego nie żąda... Tylko poco ja się wdałem w taką historję? Nie będę mógł teraz mówić przy niej spo-

kojnie i stanowczo. Będzie zawsze myślała, że, przecież, niczem się od tego inżyniera nie różnię...

Przypomniał sobie rzucone przypadkowo słowa Naści:

— Chcę się przekonać, czy te socjały mogą coś prawdziwego zrobić. Jeżeli nie, to nie warto gadać i narażać się. Trzeba wtedy inaczej sobie radzić.

Nie wypytywał jej o to, co miała na myśli, bo nagle oplotła go ramionami i tulić się zaczęła, łasić, jak kotka.

Dwa dni nie widział Naści, a gdy spotkał ją, powracając z zebrania, poszedł za nią i spędził noc w ciemnej izdebce robotnicy.

W kilka dni później przyszedł do niego Babuszkin i opowiedział, że Naścia zrobiła skandal w fabryce, uderzyła w twarz inżyniera, zalecającego się do niej, i pobiegła na skargę do dyrekcji.

— Co się stało? — spytał Uljanow. — Dlaczego to zrobiła?

— Nie wiem! — odparł robotnik. — Szalona dziewczyna!... Znają ją dobrze w całej dzielnicy. Coś musiało jej strzelić do głowy... Kto babę zrozumie?!

Zaśmiał się i jął opowiadać o nabyciu nowego hektografu do drukowania ulotek nielegalnych.

Tegoż wieczora na zebranie kółka przyszła Naścia i po skończonem czytaniu i dysputach Włodzimierz razem z nią opuścił lokal.

— Przepędziłam inżynierka! — zawołała ze śmiechem. — Teraz mam ciebie. Nikogo nie chcę więcej! Chodźmy zabawić się dziś do jakiejś restauracji, gdzie gra muzyka i gdzie dużo światła.

Spojrzał na nią z ponurem zdumieniem.

— Chodziłaś tam ze swoim inżynierem? — spytał.

— Chodziłam! Nie jestem przecież bydlęciem, które może całe życie spędzać w brudnym chlewie, w ciemności, nie znać ani chwili radosnej — odparła. — Ja chcę żyć!

— Nie mam czasu, moja droga! — mruknął niechętnie. — Ja nie od tych rzeczy jestem.

— A od jakich? — zapytała i przymrużyła jedno oko.

— Od walki... — chciał powiedzieć, lecz rozmyślił się, bo przypomniał sobie, że wcale nie walczył o zdobycie tej dziewczyny, a ona, był przekonany, myślała właśnie o tem.

— Powiedz! — nalegała.

— Nie mam czasu ani na muzykę, ani na światło w restauracji — mruknął. — Dla mnie to nie jest potrzebne.

— Ale dla mnie potrzebne! — zawołała.

— Dasz sobie radę sama! — rzekł brutalnie.

— Dam! — zgodziła się bez gniewu i leniwie przeciągnęła się, patrząc na Uljanowa z pod opuszczonych powiek.

Nie wiedział, co ma ze sobą uczynić. Czuł zakłopotanie i milczał.

— Chodź do mnie! — szepnęła, przyciskając się do niego.

Uważał to za najłatwiejsze i najprostsze wyjście z przykrej sytuacji. Po drodze kupił na straganie ulicznym kilka pomarańcz i pudełko karmelków.

Rano wychodzili razem. Ona — do fabryki; on — do konspiracyjnego mieszkania na wyspie Bazylijskiej.

Odprowadził ją do bramy gmachu przędzalni Torntona.

Naścia spojrzała na niego chytrym, skrzącym się ironją wzrokiem i powiedziała głosem zagadkowym:

— Będę przez całe życie dumna, że miałam takiego kochanka. Włodzimierz Iljicz Uljanow! Ho, ho, to — nie żart!

— Niewielki honor! — uśmiechnął się z przymusem.

— Nie mów czego nie myślisz! — zaprzeczyła. — Wiem, że prędko o tobie cała Rosja słyszeć będzie.

— Prorokujesz? — spytał z szyderstwem.

— Może... — odpowiedziała i szybko weszła do bramy, gdyż syrena fabryczna ryknęła przeraźliwie.

Uljanow unikał odtąd spotkania z dziewczyną. Pracował teraz w oddalonej dzielnicy, w kółkach zakładów Putiłowskich i nawiązywał stosunki z warsztatami marynarki wojennej w Kronsztadzie; było to przedsięwzięcie nader niebezpieczne. Władze wojskowe, bowiem, trzymały majtków i robotników w surowym rygorze.

Powrócił właśnie z twierdzy kronsztadzkiej, gdy wpadł do niego Babuszkin.

— Źle, Iljiczu! — zaczął już od progu. — Wiesz co się stało? Naścia Kozyrewa znalazła sobie kochanka!

— Chyba nie pierwszego? — zapytał obojętnym głosem Uljanow.

— Nie żartujcie z tem, towarzyszu! — ofuknął go robotnik. — Może się zasypać teraz cała organizacja nasza! Ta dziewka związała się ze starszym wachmistrzem żandarmów! Rozumiecie?

— Dlaczego nie mam zrozumieć? — wzruszył ramionami. — Jestem przekonany, że nic nam nie grozi. Na wszelki wypadek przenieście hektografy do innego lokalu. Najlepiej będzie, jeżeli przewieziecie je do jadłodajni Technologicznego Instytutu i oddacie memu przyjacielowi, Hermanowi Krasinowi. Chociaż nie obawiam się niczego...

— Żandarm wyciągnie z niej tajemnicę, bo dlatego, pewno, udał się do niej, — mówił Babuszkin, bardzo wzburzony i niespokojny.

— E—e! — machnął ręką Włodzimierz. — Posiada ona inne przynęty, niż tajemnice naszych kółek, miły towarzyszu! Bądźcie dobrej myśli!

Istotnie, chociaż widziano Naścię, spędzającą z dziarskim, przystojnym wachmistrzem całe wieczory w restauracjach i teatrzykach, organizacja długo żadnych przykrości nie miała.

Babuszkin spotkał dziewczynę na ulicy i chciał przejść niepostrzeżenie, lecz ona zatrzymała go i rzekła:

— Powiedzcie Włodzimierzowi Iljiczowi, żeby był o swoje sprawy spokojny, a o mnie powiedźcie mu, że ja chcę żyć i nie jestem stworzona na mniszkę lub mola książkowego. Mam w sobie dużo nienawiści, ale jeszcze więcej radości. Chcę sobie pożyć, aby ta radość nie umarła przed czasem. bo wtedy cóż mi pozostanie? Utopić się, powiesić, czy karbolu łyknąć? Jeszcze pohulam przedtem, naśmieję się, nacieszę dosyta, a dalej — to się zobaczy. Może do was powrócę i umrę na barykadach. Tymczasem chcę żyć... Powiedźcie mu o tem i bywajcie zdrowi!

Babuszkin powtórzył tę rozmowę Uljanowowi.

Włodzimierz wzruszył ramionami i rzekł tylko tyle:

— No, widzicie, towarzyszu, że nic nam nie grozi?

Zapomniano o niej wkrótce, gdy nagle Uljanow otrzymał przez nieznanego mu robotnika list. Pisała Naścia, ostrzegając, że policja tajna śledzi Iljicza, Babuszkina, Szapowałowa, Katańską i nauczycielkę Knipowicz, ponieważ usta-

lone zostało, że broszury „Kto czem żyje“ oraz „Król Głód“, wydane potajemnie przez drukarnię ludową, a podpisane nazwiskiem „Tulin“, były napisane przez Uljanowa.

Włodzimierz nie przerwał swej pracy, lecz się ukrywał tak umiejętnie, że żaden agent policyjny nie mógł go wyśledzić. Kilka razy omal, że nie ujęto go na ulicy, lecz zawsze spokojny i odważny rewolucjonista znał specjalne plany miasta — sieć domów przechodnich, konspiracyjnych legowisk, skrytek w piwnicach, w składach węgla i w szopach, stojących po ogrodach warzywnych, ciągnących się w okolicach Petersburga.

Wymykał się więc z rąk szpiclów i puszczał w obieg coraz to nowe, bardziej silne, stanowcze, niepokojące rząd, a porywające robotników ulotki i broszury. Z całej grupy ściganych dostała się do więzienia tylko nauczycielka Knipowicz, zdradzona przez szpiega tajnego, zecera drukarni ludowej, a wraz z aresztowaną kilku jej znajomych, do partji nienależących, lecz ukrywających u siebie nielegalne broszury.

Nieraz zaczajał się Uljanow w księgarni Kałmykowej w śródmieściu, gdzie władze nie spodziewały się spotkać odważnego rewolucjonisty.

Przez czas swego pobytu w stolicy Uljanow nawiązał rozległe stosunki konspiracyjne, dobrze zamaskowane. Miał nawet pewnego przyjaciela — Morsina, palacza kotłów w pałacu Aniczkowskim. Dwa dni spędził u niego Uljanow w okresie najenergiczniejszych poszukiwań go po przedmieściach. W bluzie robotniczej, umazany węglem, pomagał mu przy piecach, myśląc, że mógłby z łatwością dokonać zamachu na cara, lecz nie robił tego, bo nie widział żadnego pożytku z romantyczno-rewolucyjnych czynów szaleńców.

Jednak wkrótce policja tak ścisnęła go, osaczywszy ze wszystkich stron, że pozostała mu jedna tylko droga ucieczki — zagranicę. Żądał tego założony przez Uljanowa i szybko rozrastający się „Związek bojowników o wyzwolenie klasy robotniczej“, nalegali też przyjaciele, przeczuwający w młodym rewolucjoniście, zawsze wesołym, wytrwałym, odważnie patrzącym prawdzie w oczy, wybitnego wodza.

Wystarano się dla niego o paszport zagraniczny i Uljanow zniknął z oczu ścigających go agentów rządu, posiadając dla

władz cudzoziemskich zapasowy paszport, wydany na zmyślone nazwisko.

W Berlinie Włodzimierz stanął w małym hoteliku wpobliżu Moabitu, zwiedzał miasto i uczęszczał na zebrania socjalistów niemieckich. Tu poznał wielu słynnych przywódców partji, lecz nie znalazł bezpośrednich nici, któremi mógłby się związać z nimi.

Zrozumiał, że wszyscy myśleli w zakresie parlamentarnej pracy, walcząc na wyborach o największą ilość mandatów do Reichstagu. Taką burżuazyjną ideologją był zarażony nawet najbardziej energiczny ze wszystkich — Karol Liebknecht, o czem się Włodzimierz wkrótce przekonał.

Uljanow spotkał go na zebraniu w Szarlottenburgu i podszedł do niego.

— Powiadomiono mnie o was, towarzyszu — oświadczył Liebknecht, posłyszawszy nazwisko rosyjskiego socjalisty. — Mówiono mi, że psujecie krew Struwemu i Potresowowi.

— Różnie bywa — odparł Włodzimierz z uśmiechem. — Chciałem zapytać was, towarzyszu, jak długo niemiecka socjaldemokracja będzie tak beznadziejnie dreptała na jednem miejscu, niby kura przed linją, nakreśloną kredą na stole tuż przed jej dziobem?

— O jakiej linji mówicie? — spytał Liebknecht.

— Linją tą jest parlamentaryzm — burżuazyjna pułapka dla łatwowiernych biedaków, — odparł spokojnie.

Niemiecki socjalista wzruszył ramionami.

— Czegóż chcecie? — mruknął. — Nie mamy innych sposobów.

— Wy — Niemcy, kraj tak uprzemysłowiony, posiadający całą armję robotników, bezrobotnych i wywłaszczonych wieśniaków, nie macie innych sposobów?! — zawołał z szyderczym śmiechem. — Ależ to zupełna kapitulacja? Idźcie więc na żołd do kajzera...

Liebknecht uważnie spojrzał na mówiącego.

— Partja nasza nie jest dość energiczna dla wystąpień rewolucyjnych i zajęta jest walką w zakresie praktycznych zagadnień ekonomicznych — rzekł.

— Ja też miałem na myśli praktyczne zagadnienia ekonomiczne, dlatego sądzę, że lepiej odrazu zagarnąć

cały dom, niż czekać dziesięć lat, aż właściciel odstąpi za wysoką zapłatę jeden pokój w suterenie! — powiedział Uljanow.

— Jak to zrobić, jeżeli wogóle nie jest to utopją? — spytał Liebknecht.

— Jak wy macie to uczynić, — nie wiem, — odpowiedział Włodzimierz. — Powiem tylko, jak to będzie zrobione w Rosji, kraju, pozbawionym wielkich ośrodków fabrycznych, gdzie ogólna ilość robotników nie przekracza tej, jaką posiada nieomal każdy poszczególny niemiecki obwód przemysłowy. Nie mówię już o różnicy intelektualnej, towarzyszu!

— Bardzo jestem ciekaw! — odezwał się Niemiec.

— Zadam pytanie: czy nie myślicie o tem, że dobrze zorganizowana, karna i na wszystko zdecydowana grupa, rzuciwszy dobrze obmyślane hasła, zasadniczo pociągające rzesze pracujących, może dokonać rewolucji? Czy nie sądzicie, że potrafi ona rozbić istniejące społeczeństwo, przeraziwszy je terorem bezwzględnym, i z pomocą tegoż środka ująć w swoje ręce ster władzy nad bierną i wahającą się częścią klasy, o którą chodzi? — spytał Uljanow.

— Myślę, że tak jest istotnie — mruknął Liebknecht.

— Zostanie to wykonane w Rosji! — zawołał Rosjanin. — I tylko tą drogą konspiracji i zaprzysiężenia ideologów można dojść do celu. Wcześniej czy później i Niemcy obiorą tę drogę, bo innej niema, towarzyszu! Wierzcie mi!

— Gdzież można znaleźć taką grupę idejowców? — westchnął Liebknecht, mierząc wzrokiem drobną, lecz barczystą postać stojącego przed nim człowieka o zmrużonych, przenikliwych oczach.

— „*Est modus in rebus...*“ — odpowiedział Uljanow i rozpoczął rozmowę z Liebknechtem o możliwości otrzymania z partyjnej kasy niemieckich socjalistów subsydjum na szerzenie marksizmu w Rosji dla wzmocnienia wspólnego frontu bojowników o dalszy los pracujących.

Po trzytygodniowym pobycie w Niemczech, Uljanow przybył do Paryża. Miał wskazanych kilka adresów studentów Rosjan, studjujących w stolicy Francji.

Imię jego było już dobrze im znane. Pokazali mu Paryż, gdzie szczególnie zainteresowało go muzeum „*des Arts et*

Métiers" oraz bibljoteki, skąd niemal przemocą wywlekali go nowi znajomi.

— Ech! — wzdychał. — Gdybym tak mógł przewieźć to wszystko do Rosji!

Pewnego dnia wpadł do niego młody student Arinkin i zawołał radośnie:

— Paweł Lafargue, wódz socjalistów francuskich, zgodził się przyjąć was, towarzyszu, na krótką rozmowę. Spieszmy się!

Uljanow roześmiał się.

— Przyjąć? Krótka rozmowa? Cóż to za burżuazyjne słowa?! Lafargue będzie rozmawiał ze mną tyle czasu, ile ja zechcę!

Pojechali do Lafargue'a.

Francuz ostrym i szyderczym wzrokiem ogarnął postać i mongolską twarz gościa.

— Czy towarzysz jest Rosjaninem? — spytał z grzecznym uśmiechem.

— Tak! — zaśmiał się Uljanow. — Mistrza z pewnością zastanowiły tatarskie rysy mojej osoby?

— Przyznam się, że tak! — odpowiedział.

— Mamy u siebie mało czystych rosyjskich typów! — odparł Włodzimierz. — Proszę pamiętać, że 300 lat byliśmy w niewoli tatarskiej. Pozostawili nam Azjaci dość niepociągające oblicza, lecz i bardzo cenne cechy charakteru. Jesteśmy zdolni do rozumowanego okrucieństwa i do fanatyzmu!

Lafargue z uprzejmym uśmiechem pochylił głowę i, zmieniając temat rozmowy, zapytał:

— Chciałbym wiedzieć, jaki jest właściwie poziom inteligencji socjalistów rosyjskich?

— Najbardziej inteligentni studjują i komentują Marksa — ze spokojem odpowiedział gość.

— Studjują Marksa! — zawołał Francuz. — Lecz czy rozumieją?

— Tak!

— Puff! — wykrzyknął Lafargue. — Oni go nie rozumieją! Nawet we Francji nikt go zrozumieć nie może, a jednak partja nasza istnieje już dwadzieścia lat i wciąż się rozwija!

— Rozumie zato Marksa Lafargue i inni przywódcy! — zawołał Uljanow. — To wystarczy! Masy lubią powodować się cudzym rozumem i żyć pod twardą ręką.

— Tak sądzicie, towarzyszu? Dziwnie to brzmi w ustach socjalisty! Gdzież wolność i szacunek dla kolektywu? — pytał Francuz, z coraz większem zainteresowaniem słuchając chrapliwej mowy Rosjanina, o przykrym dla paryżanina akcencie.

— Wolność jest przesądem burżuazyjnym. Kolektyw korzysta z rozumu wybitnych kierowników i to mu powinno wystarczyć! Zresztą dla dobra kolektywu — musi on być trzymany żelazną ręką — mówił spokojnie i z przekonaniem Uljanow.

— Tedy car jest idealnym typem władcy dla was, towarzyszu!

— Dla mnie — nie! Dla kolektywu, z którego wyszedł car — tak! Car nie myśli o wszechrosyjskim kolektywie, tylko o szlachcie i burżuazji... — odpowiedział Włodzimierz.

Rozmawiali jeszcze długo. Żegnając gościa, Lafargue szepnął do niego:

— Chciałbym doczekać się czasu, kiedy wy, towarzyszu, zaczniecie działać podług swego planu!

— Spodziewam się, że czas ten już się zbliża, mistrzu! — odparł Uljanow.

W kilka dni później siedział już w małej kawiarence w Genewie, zapatrzony w turkusową taflę jeziora Lemańskiego. Przy stoliku zajęli miejsca wypróbowani rewolucjoniści rosyjscy, przebywający oddawna na wygnaniu. Byli to Plechanow — ojciec socjalizmu rosyjskiego, Akselrod — jego organizator i Wiera Zasulicz — jego sztandar.

Z szacunkiem patrzał Uljanow na surową twarz Plechanowa i jego brwi krzaczaste. Nauczył się od niego wielu potrzebnych rzeczy, czytając książki i artykuły starego rewolucjonisty w nielegalnych rosyjskich pismach zagranicznych. Wpatrywał się z uwielbieniem, z rzewną miłością w te uparcie zaciśnięte usta, które wypowiedziały nigdy niezapomniane słowa, ognistemi głoskami zapisane w duszy Uljanowa:

— Dobro rewolucji stanowi najwyższe prawo! Pozbawienie tyranów życia nie jest morderstwem!

Wspaniałe, potężne słowa wielkiego wodza i nauczyciela! Takie zrozumiałe, drogie dla Uljanowa, bo szeptał je jeszcze ustami chłopaka, noszącego mundurek uczniowski.

Z rozczuleniem patrzał na Akselroda, — człowieka-maszynę, piszącego od rana do nocy, pędzącego od miasta do miasta, kontrolującego, doradzającego, poruszającego całym mechanizmem partji, zapominającego o sobie w płomiennym, burzliwym porywie.

Włodzimierz wywarł na wszystkich silne wrażenie. Wyczuli w nim niewyczerpane siły, nieugiętą wolę i niezwykły spryt rewolucyjny, oparty na zrozumieniu duszy warstw społecznych i okoliczności, w których wypadało działać.

Uljanow mówił mało o sprawach partyjnych, tem bardziej, że odczuł chłód, którym wiało od całej postaci Plechanowa. Stary lew był gniewny na tego młodzika, który ośmielił się wyłamywać z programowych poczynań szeregowców socjaldemokracji.

Włodzimierz opowiadał o swoich wrażeniach zagranicznych. Nie skrywał swego zachwytu przed cywilizacją zachodu.

— Czegożbyśmy dokazali przy takich środkach materjalnych i technicznych! — zawołał. — Tymczasem u nas, jeżeli mam powiedzieć szczerą prawdę, to, oprócz cara, nie mamy nawet kogo ograbić. Żebrak na żebraku! Wspaniałe tu są rzeczy. Tak wspaniałe, że z bólem serca podniósłbym na nie rękę!

— Czyż w Rosji niczegobyście, towarzyszu, nie żałowali — spytał Akselrod.

— W Rosji — niczego! — odparł bez wahania. — Czegobym miał żałować? W Rosji bić i burzyć — łatwo! Bił nas od tysiąca lat ze wszystkich stron, kto chciał! Wariagi, Pieczyngi, Tatarzy, Polacy, samozwańcy, Szwedzi, nasi carowie, policja. Tysiącami palą się wsie co roku, niby fury słomy. Tysiące ludzi umiera z chorób i z głodu. Czego mamy żałować na naszej bezgranicznej płaszczyźnie, pokrytej lasami, gliną i bagnami tundry? Naszych kurnych chat, o cuchnących strzechach ze zgniłej słomy? Tych zaduchu pełnych barłogów, gdzie ludzie wloką podłe życie obok krów

i cieląt, jedzą z jednej misy, na jednem łożu mnożą się, rodzą dzieci i umierają? Naszego życia katorżników, bez idei, pełnego zabobonów: począwszy od ofiar dla domowych biesów aż do zachwytu przed zachodnim parlamentaryzmem?—Dokoła nas pustkowie, gdzie albo nas bili, albo my mordowaliśmy. A wśród tego wszystkiego — pierwotny, ciemny, jak dziewiczy las, rosyjski chłop — rab boga, rab cara i rab djabła...

— Jednak miasta nasze, nasza sztuka, literatura... — zaprotestowała Zasulicz.

— Miasta? — powtórzył Uljanow. — Są one gdzieś daleko, zresztą są to tymczasem wielkie wsie. Ośrodki nieraz wspaniałe, a tuż obok — nędza! Sztuka, literatura? Piękne są niezawodnie! Lecz Puszkin — metys i dworak; Szczedrin — gubernator, Tołstoj — hrabia, Niekrasow, Turgieniew, Lermontow, Dzierżawin, Żukowskij — szlachta, burżuazja! Cała sztuka wyszła ze dworów i pałaców, lub natchnioną została przez wrogów klasy pracującej. Nienawiść do tych twórców silniejsza jest od zachwytu nad ich dziełem!

— A na zachodzie, na zgniłym zachodzie, towarzyszu? — spytał z surowym błyskiem zimnych oczu Plechanow.

— Czyż można porównywać?! — zawołał Uljanow. — Tu na każdym kroku potężne, genjalne wcielenie w realne formy zorganizowanej woli ludzi, dążących do tego, aby z dumą powiedzieć: „my potrafiliśmy skierować pierwotne siły natury do łożyska rozumnych potrzeb człowieka! Jesteśmy władcami ziemi!"

— Co za zachwyty! — uśmiechnęła się Zasulicz. — Nie zna pan tego raju władców ziemi!

— Być może, — zgodził się spokojnie. — Zachwycam się tem, co już jest zrobione. Lecz widzę też słabe strony. Zachodni człowiek zbytnio wierzy w wartość istoty ludzkiej, żywi nadmiar szacunku dla swej pracy i czuje godność osobistą. Słowem — jest indywidualistą. To zrodziło egoizm bezgraniczny. Tymczasem wielkich, niebywale wielkich dzieł dokonają masy zmechanizowane, poruszane władnym, twardym intelektem kierowniczym, rozumiejącym cele ogólnoludzkie, zbiorowe!

— Dalekie widzicie przed sobą horyzonty! — zauważył Plechanow.

— Widzę je wyraźnie, więc są bliskie! — odparł Uljanow.
— Zachód musi zginąć przez parlamentaryzm, który pożera go, jak trąd. Zadaniem naszem jest — ochronić Rosję przed tą nieuleczalną chorobą!...

— Śmiała myśl! — szepnął Akselrod.

— Zdrowa i jasna! — poprawił go Uljanow, wstając i żegnając się z nowymi znajomymi.

ROZDZIAŁ VIII.

Na jesieni Uljanow powrócił do Petersburga.

Długo nie mógł uporządkować i skonkretyzować wszystkich swoich wrażeń zagranicznych. Musiał jednak przyznać, że zachód mu zaimponował.

— Tam dopiero można zrozumieć słowa Maksyma Gorkiego, który włożył je w usta jednego ze swoich bohaterów: „Człowiek — to brzmi dumnie!" Tyle pracy, wysiłku myśli, twórczości wspaniałej i śmiałej! Są to narody, wydające ze swego łona „nadludzi" — myślał Włodzimierz.

I nagle to ostatnie słowo — „nadludzie" wzbudziło w nim zwątpienie.

Zaczął się zastanawiać.

— Twórca, wznoszący wspaniały gmach z „Tysiąca i jednej nocy"; rzeźbiarz, wykuwający w marmurze piękny posąg; malarz, dający genjalny w formie i barwie obraz; poeta, piszący dla dźwięcznie brzmiących strof; literat, ujmujący w jednym eposie całokształt świata, byliżby nadludźmi? Hm! Czy nie są oni, jednak, raczej ślepcami, albo nikczemnymi fałszerzami, oszukującymi ludzkość? Czyż można spokojnie tworzyć, gdy dokoła panują ucisk, nędza, formuła odwieczna „*homo homini lupus est?*" Jakiem prawem szafują swoim genjuszem dla tego, co potrzebne jest dla tysięcy, wtedy, gdy miljony biedaków nie mają sił, aby doczołgać się do tych utworów natchnionych i podnieść na nie oczy? Jak można zagłuszać jęki, szloch i przekleństwa upośledzonych tłumów dźwięcznemi wierszami i genjalną muzyką? Kto uczciwie odważy się odwracać uwagę ludzkości od codziennych, dręczących kłopotów na wielkie zjawiska w dziejach tego świata, dziejach, któremi kierują możni i silni, a nędzni i słabi mają prawo tylko umierać w milczeniu, za co wystawiają im zbiorowe pomniki z napisem, że poległo ich w takiem a takiem miejscu tyle lub więcej

tysięcy? Epos, wielkie utwory literackie! Nikt ze śmiałością i uczciwością nie powiedział nigdy wprost i bez obłudy: „Precz z przegniłem społeczeństwem, w którem może istnieć Louvre, obrazy i rzeźby wielkich mistrzów, nauka wszechpotężna, a obok — więzienie, wypchane pod sam dach wyłamującymi się poza sztuczne normy społeczeństwa ludźmi, i dalej, na wschodzie — kryta zgniłą słomą chata, a pod jej ścianą, stara znachorka, bijąca deską ciężarną dziewczynę wiejską po wystającym brzuchu! Wszyscy, wszyscy oszukują siebie: i ciemiężyciele i uciemiężeni! Usiłują dojść do porozumienia w parlamentach, strzeżonych przez wojsko i policję... Nie! Nigdy największy genjusz nie zaradzi złemu! Tu potrzebna jest wola zbiorowa, nie znająca litości, gniew oskarżyciela i sędziego w jednej postaci, nie stawiającej przed sobą innego celu, prócz zupełnego zwycięstwa.

Myśli te krok po kroku doprowadziły go do określonych wniosków. Był przekonany, że na pomoc towarzyszy zagranicznych liczyć nie może, raczej spodziewał się sprzeciwu, ciosu w plecy. Uśmiechnął się prawie wesoło i, widząc wchodzącego do pokoju towarzysza partyjnego, zawołał, ściskając mu rękę:

— Piotr Wielki przerąbał okno od zachodu i wpuścił do stęchłej Rosji powiew świeżego powietrza, teraz my otworzymy do Europy okno od wschodu, a przez nie wyrwie się niszczący huragan, towarzyszu!

Robotnik spojrzał ze zdumieniem na Uljanowa. Ten poklepał go po ramieniu i rzekł z uśmiechem:

— To nic! Odpowiedziałem głośno na własne swe myśli!

Usiedli i zaczęli konferować o drukowaniu nowych ulotek, które miały być rozrzucone po fabrykach w związku z oczekiwanym strajkiem.

Znowu zaczęła się potajemna praca agitacyjna.

Policja dowiedziała się wkrótce o powrocie niebezpiecznego rewolucjonisty, umiejącego wywijać się z rąk ścigających go szpiclów.

Uljanow był spokojny, jak zwykle, i z pedantyczną dokładnością wykonywał swoje czynności. Zawsze w wyznaczonym terminie artykuł jego był przygotowany do druku, o określonej godzinie stawiał się na zebrania partyjne, na czas

bił ulotki na hektografie i rozdawał je przychodzącym na umówione miejsce kolporterom.

Pracował, jak maszyna, zimna, sprawna, dokładna. Żywił się byle czem, spał zaledwie parę godzin, ustawicznie ukrywając się w różnych, dobrze mu znanych i bezpiecznych miejscach.

Idąc pewnej nocy przez wyspę Bazylijską, spostrzegł człowieka, który go ani na krok nie odstępował.

Uljanow zatrzymał się, udając, że czyta naklejony na ścianie komunikat rządu w sprawie poborowych, i czekał spokojnie.

Idący za nim nieznajomy, mijając go, mruknął:

— Towarzyszu, dzielnica otoczona jest policją. Ratujcie się!

Włodzimierz przyjrzał się nieznajomemu. Nigdy go nie widział.

— Może jakiś szpicel? — pomyślał i szedł dalej, baczny i gotów w każdej chwili ukryć się w dziedzińcu pobliskiej kamienicy, wychodzącej na trzy ulice.

Wkrótce przekonał się, że na wszystkich rogach tkwiły tajemnicze postacie cywilów i patrole policji.

— Obława... — domyślił się. — Czekają, aż noc zapadnie.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła godzina siódma. Wszedł do najbliższej bramy i ukrył się w klatce schodowej. Przesiedział, czytając demonstracyjnie arcy-konserwatywnego „Obywatela", aż do 9-ej. Wyjrzał przez bramę. Szpicle i policjanci pozostawali na swoich placówkach.

Uljanow przeszedł na drugą stronę ulicy i zapuścił się do ciemnej czeluści wąskiego zaułka. Ujrzał tu żółtą, odrapaną, brudną kamienicę z palącą się latarnią, na której czerniał napół starty napis: „Przytułek nocny".

Wszedł do sieni i wyciągnął do dozorcy pięć kopiejek, prosząc o miejsce.

Jednooki człowiek, siedzący przy kantorku, oglądał go podejrzliwie. Jasne, biegające niespokojnie oko obmacywało postać klienta.

Nic podejrzanego nie dostrzegł jednak. Zwykły robotnik w wyszarzałem palcie, wykrzywionych butach z cholewami i zatłuszczonej czapce.



NADZIEJA KONSTANTYNÓWNA KRUPSKAJA
ŻONA LENINA

— Bezrobotny? — rzucił pytanie.

Uljanow w milczeniu skinął głową.

— Paszport! — rzekł dozorca i wyciągnął rękę, okrytą dużemi piegami.

Przeczytał podany mu papier, wystawiony na nazwisko Bazylego Ostapienki, wieśniaka z guberni Charkowskiej, zecera.

Zapisał do księgi, schował pieniądze do pudełka i z brzękiem rzucił na stół mosiężną blaszankę z numerem.

— Drugie piętro, trzecia izba. — mruknął i, wydobywszy z pod kantorka czajnik, nalał herbaty do zatłuszczonej, dawno niemytej szklanki.

Uljanow odnalazł swoje miejsce w ciemnej, zakopconej izbie, pełnej zaduchu, bo obłoki dymu tytoniowego i trzydzieści, cuchnących potem, wódką i brudnem ubraniem postaci leżało na pryczach w pozach nieprzymuszonych i malowniczych. Niektórzy klienci przytułku leżeli zupełnie nadzy z ropiącemi się wrzodami na ciele, z ranami na spracowanych stopach. Wyłapywali na sobie wszy i klęli, złorzecząc wszystkim i bluźniąc ohydnie.

Nikt nie spał jeszcze. Gwar rozmów dolatywał też z innych izb, wychodzących do wąskiego korytarza.

Ujrzawszy nowego klienta, jakiś brodaty, półnagi drab, krzyknął:

— Hrabia raczy kroczyć! Cicho, chamy, stulcie gęby przed wysokorodnym, nieznajomym panem! Cześć panu hrabiemu!

— Cześć wam, generale! — odpowiedział Uljanow, śmiejąc się wesoło.

— Dlaczego myślicie, że jestem generałem? — zapytał zdumiony drab.

— Bo prędko oni tak wszyscy wyglądać będą. Myślałem, że już się zaczęło od was! — odpowiedział, zdejmując palto.

Wszyscy śmiać się zaczęli.

— To myślisz, że tak będzie? — zadał pytanie stary żebrak, owinięty w łachmany.

— Powiedz...! — podtrzymali go inni.

— Jakżeż może być inaczej?! — odparł. — Czyż myślicie, że na wieki starczy nam cierpliwości, aby przymierać

z głodu i tułać się po tych brudnych legowiskach? Nie, braciszkowie! Dość tego! Tylko patrzeć, jak zapędzimy generałów, hrabiów i wszelkich panów do tych dziur, a sami będziemy mieszkali w ich pałacach.

— A to ci chwacki pasażer! — zachwycali się sąsiedzi. — Gada jak z książki, a co słowo, to szczere złoto! Czas już brać się do roboty i skończyć z temi psami! Za długo piją naszą krew!

— Cierpieć i milczeć potrzeba! — odezwał się nagle cichy głos z pryczy, tonącej w mroku. — Cierpieć i milczeć, aby być godnymi Chrystusa-Zbawiciela umęczonego...

To powiedziawszy, jakiś niemłody, ponury chłop zaczął hałaśliwie drapać sobie pierś, oglądać wyczochrane robactwo i dusić je na krzywym grubym, jak kopyto, paznogciu.

Uljanow zaśmiał się szyderczo i spytał:

— Wesz?

— Wesz! To — już piąta; cała prycza zarażona — odmruknął.

— Cierpieć i milczeć potrzeba! — naśladując go, rzekł Włodzimierz. — Nie możesz wytrzymać dźgnięcia wszy, a prawisz o cierpliwości, bracie miły! Albo nas chcesz oszukać, albo siebie samego, chrześcijaninie!

Słuchacze ryknęli śmiechem. „Chrześcijanin" nie odzywał się więcej.

— Ech! — zawołał nagi drab. — Gdyby tak mnie na sędziego powołali, jabym tam długo nie gadał! Nożem po gardle i — do rowu. Tyle tej nienawiści we mnie się zebrało niczem wszy i pluskiew w pryczach. Ech!

— Może doczekacie się, towarzyszu! — pocieszył go Włodzimierz.

— Oj! Chociażby jeden, jedyny taki dzionek przeżyć, to później już umrzeć nie żal! Za całą krzywdę, za nędzę!

— Może doczekacie się! — powtórzył Uljanow, kładąc się i otulając paltem.

Nic nie mówił więcej.

Spędzający w przytułku noc biedacy cichemi głosami opowiadali o swoich cierpieniach, nędzy i klęskach życiowych.

Jeden po drugim milkli i zasypiali.

Uljanow nie mógł zasnąć. Oczekiwał rewizji policyjnej i nadsłuchiwał czujnie.

Gdzieś niedaleko zegar wydzwonił północ.

W przytułku panowała cisza. Ludzie, zgnieceni kołem życia, spełzający się tu zewsząd, niby pokaleczone robactwo, zapadali w ciężki, niespokojny sen.

Nagle Uljanow usłyszał wyraźny szmer i cichy szept:

— Wańka, chodź! Już można...

Dwuch ludzi wyślizgnęło się z półciemnej izby, oświetlonej wysoko pod sufitem zawieszoną lampką naftową, straszliwie kopcącą, i zniknęło w mroku korytarza.

Wkrótce rozległy się ostrożne, skradające się kroki i do izby ze śpiącemi postaciami miotających się i pomrukujących we śnie nędzarzy weszło dwuch mężczyzn i dwie kobiety.

Po chwili wszyscy leżeli już w szeregu innych na brudnej pryczy, szepcąc niewyraźnie, jakgdyby ćwierkające gdzieś za piecem świerszcze.

W chwilę później doszły odgłosy pocałunków...

Z korytarza rozległy się nagle ciężkie kroki kilkunastu ludzi i głośne okrzyki:

— Rewizja we wszystkich naraz izbach! Spieszyć się!

Na progu wyrosły postacie barczystych policjantów i dozorców z latarkami.

Weszli do izby, pobudzili uśpionych ludzi, zrywali okrywające ich łachmany, przeszukiwali ubranie i oglądali paszporty, świecąc w oczy, zmrużone od światła i przerażenia.

Uljanow, nie podnosząc się z pryczy i jęcząc, wyciągnął swój paszport. Policjant obejrzał go, odnotował nazwisko w książce i zwrócił dokument. Rewizja szła dalej wśród westchnień, wystraszonych głosów nocnych mieszkańców przytułku, pogróżek policjantów, pogardliwych wyzwisk.

Jeden z dozorców wydał nagle przeraźliwy krzyk:

— Ach, nierządnico, rozpustna wiedźmo, djablico! W przytułku taka ohyda?!

Włodzimierz ostrożnie podniósł głowę. Ujrzał stojącą w świetle latarek niemłodą już kobietę o twarzy zniszczonej, pijackiej. Rozwichrzone włosy spadały na chude, obnażone

ramiona i wynędzniałą pierś. Stała, szeroko otwierając wydęte wargi i szczerząc zgniłe, połamane zęby.

Patrzyła wzrokiem szyderczym, złym, twardym.

— Precz stąd, do kobiecej izby! — krzyczał dozorca, tupiąc nogami i błyskając jednem okiem. — Taka parszywa owca całe stado psuje!

Kobieta śmiała się bezczelnie.

— E—e! macie tu, jak widzę, nie jedną parszywą owcę! — zaśmiał się policjant i zwlókł z pryczy drobną, może piętnastoletnią dziewczynę, o dziecinnej jeszcze twarzyczce. Zupełnie nagie, szczupłe, wiotkie ciało wiło się, jak wąż, w rękach tęgiego mężczyzny.

Uljanow z ciekawością przyglądał się całemu zajściu.

Dozorca okładał pięściami olbrzymiego draba, obok którego znaleziono dziewczynę i krzyczał:

— Zabieraj swoje szmaty i precz z przytułku, natychmiast, bo każę wyrzucić ciebie na zbity łeb!

— Zaco? — pozornie zdumionym głosem pytał drab, niby nic nie rozumiejąc. — Gdyby wypadła mi z kieszeni kopiejka. dozorca nie gniewałby się na mnie, a trzeba było na nieszczęście wypaść dziewczynie — zaraz gwałt! Dziwny charakter ma pan dozorca!

Dziewczyna tymczasem, bluzgając, niby błotem, wstrętnemi słowami, wyrywała się i szukała wśród porozrzucanych łachmanów koszuli swojej i spódnicy, patrząc dokoła wściekłemi, groźnemi i bezwstydnemi oczami. Były to oczy dziecka. Ich wyraz budził jednak trwogę. Zdawało się, że żmija jadowita wbija nieruchome, mściwe, nie migające i nie znające strachu źrenice.

Dziewczyna znalazła wreszcie swoje brudne szmaty, szybko się ubrała i stanęła, podparłszy się pięściami w boki.

Głos jej, niby stłuczone szkło, dzwonił ostro i przenikliwie.

Krzyczała, odchodząc od zmysłów:

— Psy nieczyste, katy, padło cuchnące! Zagnaliście mnie do ciemnej jamy i nie pozwalacie bronić się, jak mogę, przed śmiercią głodową! Żeby was stryczek nie minął! Oby was zła choroba spotkała! Oj, biada wam! Przyjdzie na was czas, gdy za wszystko przed ludem odpowiecie! Wtedy ja

stanę przed nim i powiem to, co wiem o was, psy, zbóje. oprawcy, męczyciele! Tfu! Tfu!

Pluła na policjantów, dozorców i rzucała coraz straszliwsze i ohydniejsze słowa.

Wypchnięto ją z izby.

Rewizja przeszła pomyślnie. Wszyscy mieli dokumenty w porządku. Jeden tylko „chrześcijanin“ wzbudził podejrzenie jakąś niedokładnością w paszporcie. Zabrano go do policji.

Włodzimierz uśmiechnął się złośliwie i pomyślał:

— Dobrze mu tak! Niech teraz cierpi i milczy... Prorok. psia krew, rabia dusza zgniła!

Reszta nocy minęła w spokoju.

O świcie dozorcy przynieśli kubki, duży czajnik z herbatą i chleb. Po posiłku wypędzono nocujących z przytułku. Uljanow wyszedł. kryjąc się w ich tłumie.

Szedł, myśląc o dziewczynie-dziecku, mającej groźne oczy żmii.

— Chciałbym ją spotkać! Dałbym jej ulotki do rozrzucenia, bo taka już niczego się nie ulęknie. Niema nic do stracenia...

Jednak nie spotkał jej. Przez labirynt mało uczęszczanych uliczek i wąskich zaułków dążył w stronę Newskiej rogatki. Miał tam przyjaciół. Powiedziano mu jednak, że nie może tu pozostać. gdyż mieszkania poddano pod dozór policji. Wskazano zato szkołę, gdzie w charakterze robotnika. pobielającego sufity i ściany, mógłby zmylić szpiclów.

Nauczycielką szkoły była znajoma Uljanowa od kilku lat — Nadzieja Konstantynówna Krupskaja, partyjna socjaldemokratka. posiadająca obszerne stosunki, a śmiała i czynna, chociaż milcząca i wstydliwa.

Spotykał ją u socjalistów, „skowronków liberalnej burżuazji“ u Kałmykowoj i u Knipowicz.

Nie piękna, raczej nawet brzydka, pozostawiała jednak po sobie ciepłe i radosne wspomnienie. Zależało to od równowagi ducha. spokoju, nigdy nie znikającej pogody i głębokiej wiary w ideje. którym służyła.

Cicha, skromna. małomówna nauczycielka umiała słuchać i rozumiała każdy odruch myśli i nastroju spotykanych ludzi.

Uljanow wiedział, że należała do jego nielicznych przyjaciół z warstw inteligencji rewolucyjnej; słyszał nawet, że staczała o niego zażarte spory ze Struwem i innemi socjalistami petersburskimi.

Spędził w szkole kilka dni.

Rozmawiali ze sobą dużo.

Włodzimierz, który zawsze pamiętał o swoim celu i w rozmowach nigdy nie dawał porwać się uniesieniu, frazeologji, marzycielstwu, i, napozór wydając się zupełnie szczerym, z panią Krupską zapomniał o surowym rygorze względem siebie i zwierzał się jej z najtajniejszych myśli.

Ujrzawszy w jej spokojnych, rozumnych oczach głębokie współczucie dla siebie i niemy zachwyt, nagle się zamyślił.

Wydała mu się stworzoną na żonę dla niego. Tak, jak on, niczego od życia nie żądała dla siebie. Gotowa była w każdej chwili wszystko poświęcić dla sprawy. Czytała dużo, miała dar krytyki i orjentacji, znała języki obce i niczego się nie bała.

Mogła się stać najlepszą pomocnicą, idealnym wprost, najwierniejszym przyjacielem.

Popatrzył na nią uważnie i spytał, mrużąc oczy:

— Coby towarzyszka powiedziała, gdyby dowiedziała się, że uczyniłem coś takiego, co społeczeństwo określa słowem podłość lub zbrodnia?

Podniosła na niego spokojny, pogodny wzrok i natychmiast odparła prosto, bez afektacji:

— Nie wątpiłabym, że uczyniliście to dla dobra idei.

Uljanow cicho się roześmiał i zatarł ręce.

— A gdybym zawołał nagle z patosem, jak Czernow *): „Nadziejo Konstantynówno, będę dyktatorem Wszechrosji“?! — spytał ze śmiechem.

— Uwierzyłabym bez wahania! — odpowiedziała, patrząc na niego łagodnie i szczerze.

— Hm, hm! — mruknął. — W takim razie myślę, że, może, uczynilibyśmy mądrze, związawszy nasze życie i idąc przez nie razem aż do końca... do szubienicy, czy... do dyktatury, Nadziejo Konstantynówno!

*) Znany rosyjski działacz z partji socjalistów-rewolucjonistów.

Spuściła na chwilę oczy i spokojnie, bez żadnego wzruszenia rzekła:

— Powiedziałabym — tak, jeżeli wam to dogadza, towarzyszu!

— Dogadza!

Więcej o tem nie mówili. Zresztą nie mogli nawet mówić, bo w nocy do Krupskiej wpadł posłany przez Babuszkina robotnik i powiadomił, że koło szkoły już się kręcą szpicle.

Uljanow umknął w stronę cesarskiej fabryki porcelany; w kilka dni później przeniósł się do śródmieścia, gdzie w wypadkach zaostrzonego pościgu czuł się najbezpieczniej.

Jednak policja była już na jego tropie.

W grudniu uczyniono na niego obławę w całem mieście. Zrewidowano mieszkania wszystkich podejrzanych osób, nie wyłączając nawet liberałów.

Uljanow został schwytany i osadzony w więzieniu.

Krupskaja dostarczała mu książek i powiadomiła Marję Aleksandrównę o areszcie syna. Staruszka przyjechała do Petersburga i odwiedziła Włodzimierza. Uspokoił ją, że nic poważnego mu nie grozi, gdyż żandarmi mieli tylko podejrzenia, nie znalazłszy żadnych obciążających go dowodów.

Tak też było w istocie. Uljanowa nawet nie oddano pod sąd i zarządzeniem władz policyjnych zesłano na Sybir na przeciąg lat trzech.

— Jadę na urlop wypoczynkowy i na polowanie! — powiadomił Krupską z więzienia, przesyłając jej wypożyczoną książkę z listem, napisanym mlekiem pomiędzy drukowanemi linjami.

ROZDZIAŁ IX.

Dobiegał końca trzeci rok wygnania.

Minęły te lata w zupełnym niemal spokoju. Syberyjskie władze były znacznie liberalniejsze i nie wysilały się nad gnębieniem politycznych zesłańców.

Włodzimierz Uljanow żył we wsi Szuszenskoje, niedaleko od miasta Minusinska, położonego na malowniczych brzegach rzeki Jenisej.

Wkrótce, po odbytem więzieniu przybyła tu z matką swoją Nadzieja Konstantynówna Krupskaja.

W kilka tygodni po przybyciu stała się ona żoną Uljanowa. Nie czuli oboje ani wielkich uniesień, ani radości i szczęścia, które dla kochających serc przemienia całą ziemię na raj słoneczny, a szmer lasu i podmuchy wiatru — w czarodziejską muzykę, nieznaną, boską. Nie czuli tego i nie myśleli o tem.

Podali sobie ręce, jako dwaj przyjaciele, złączeni więzami, nie mniej silnemi od miłości i oddania się wzajemnego, — wiernością dla idei, droższej nad własne życie i jedynej. Była dla nich pokarmem, słońcem, powietrzem. Ze zmierzchem jej nastąpiłaby chwila konania dla wyznawców jej i krzewicieli.

Zupełne zaufanie miał Uljanow do Nadziei Krupskiej, ona — niczem niezachwianą, fanatyczną wiarę w jego siły.

Czas syberyjskiego wygnania w pięknym, żyznym kraju Minusińskim pędzili z pożytkiem. Tu w ostatecznej formie skrystalizowały się myśli Włodzimierza i ułożony został plan jego działalności na przyszłe życie.

Przeczytał niezliczoną ilość książek. Dostarczali mu ich z Petersburga przyjaciele jego i Krupskiej, a także mieszkający we wsi Karatuzie Polak, inżynier-górnik. Eugenjusz Różycki, który, chociaż zajmował stanowisko urzędowe, sprzyjał wszystkim zesłańcom.

Na wygnaniu Włodzimierz wykończył swoją pracę o rozwoju kapitalizmu. Zaczął ją w więzieniu, gdzie pisał potajemnie mlekiem na odwrotnej stronie arkusików, zapełnionych niewinnemi cytatami z dzieł autorów rosyjskich i zagranicznych. Tylko taki rękopis mógł się przedostać poza bramę więzienną. Mleko nalewał do małych kałamarzy, zrobionych z ugniecionego w palcach chleba.

— Pewnego razu do mojej celi sześć razy wchodzili dozorcy, więc sześć razy łykałem kałamarze! — ze śmiechem opowiadał Uljanow żonie i z westchnieniem dodawał żartobliwie:

— Szkoda, że prędko wypuścili mnie z więzienia! Trzeba byłoby dłużej nad tą książką popracować, bo tu nie tak łatwo o potrzebne materjały!

Na Syberji nagrzewał arkusiki nad lampą naftową, a zapisane mlekiem słowa ciemniały i występowały na białem tle.

Nie odrywając się od pracy, czytał i pisał Uljanow; wraz z Krupską, z polecenia Struwego, tłumaczył Engelsa i Webba, zarabiając dodatkowo. Było to niezbędne, bo rząd wyznaczył na jego utrzymanie tylko osiem rubli na miesiąc i zaledwie drobne sumy przysyłały co miesiąc Marja Aleksandrówna i siostra Włodzimierza — Elizarowa.

Jedyną rozrywką Uljanowa stanowiły dalekie przechadzki i polowania. Strzelał zające i cietrzewie zapamiętale, lecz ponieważ zbytnio się śpieszył, — zdobycz nie była obfita. Lubił jednak to namiętnie i nie opuszczał sposobności spędzenia czasu ze strzelbą w polu lub w lesie.

Podczas wypraw myśliwskich, poznał chłopa syberyjskiego, niezależnego, ufnego w swoje siły i prawie nie uznającego przedstawicieli obcych mu władz centralnych. Ujrzał Włodzimierz, rozumiejący duszę chłopa nadwołżańskiego, różnicę i podobieństwa, zachodzące pomiędzy ludnością syberyjską a rosyjską.

Różnica polegała na tem, że chłop syberyjski nie posiadał żądzy ziemi. Mógł mieć ją w dowolnej ilości.

Nie było tam obszarów, należących do szlachty, lub nadanych dekretem carskim urzędnikom i wojskowym za wierną służbę państwową.

Zupełnie inaczej czuł się chłop rosyjski. Pamiętał dokładnie i nigdy o tem nie zapominał, że niegdyś, czy to za chanów mongolskich, czy za carów moskiewskich, ziemia należała do władcy, a uprawiana i wykorzystywana była przez ludzi od radła. Dopiero od Piotra Wielkiego, a szczególnie od czasów caryc Katarzyny II i Elżbiety, które obdarzały swoich kochanków majątkami ziemskiemi, zaczęto odbierać ziemię chłopom.

Wieśniacy nigdy nie uznawali tego i wciąż wyczekiwali na „białe pismo". Ten zagadkowy, mistyczny akt, urojony w mrocznych głębiach chłopskiego mózgu, miał zwrócić zagarniętą nieprawnie ziemię jej naturalnym właścicielom.

Kilka razy w dziejach rosyjskich następowały dni, gdy włościanie usiłowali odebrać ją samowolnie, podnosili bunty chłopskie, wstrząsające Rosją od czasów Katarzyny aż do roku 1861, do manifestu Aleksandra II o wolności.

Wybuchały one i później, lecz, na skutek militaryzacji kraju i rozszerzenia sieci administracyjnej, miały charakter lokalny i zostawały tłumione w zarodku.

Chłop syberyjski — potomek kryminalnych zbrodniarzy, wysyłanych do azjatyckich prowincyj imperjum, lub mieszaniec z Mongołami różnych szczepów, marzył o oddzieleniu się od Rosji, której nie lubił i bał się, bo narzucała mu swój system, obcy, kłopotliwy i wymagający dużych kosztów.

Podobieństwo jednak obydwóch typów chłopskich było rażące.

Oba były zasadniczo anarchiczne i bierne. Nawykłe, podług dawnych tradycyj, rządzić się samodzielnie w obrębie swojej dzielnicy rozumem komuny włościańskiej, były podtrzymywane w tem nawyknieniu przez rząd. Władze centralne były zmuszone do oddania komunom części swoich zadań, nie mogąc na tak wielkiej przestrzeni dosięgnąć każdego poszczególnego obywatela.

Oba typy odznaczały się skrajną biernością. Słabo oświecone nie dążyły do żadnego postępu i tylko władza państwowa narzucała włościanom zmianę trybu życia i systemu gospodarczego.

Uljanow zrozumiał to wszystko i dobrze zapamiętał.

Nie wątpił wcale, że włościaństwo ulega nakazom rządu

wyłącznie pod naciskiem siły, uznając za najlepszych władców tych, którzy odznaczali się stanowczością i zdolnością do przejawów swej woli bezwzględnej.

Gdy myślał o tem, uśmiechał się, zacierał ręce i szeptał:

— O, Karolu Marksie, byłeś wielkim znawcą duszy bydlęcia ludzkiego! Wyczułeś, jak nikt inny, iż lubi ono chodzić w stadzie, a stado potrzebuje pasterza z batem i psa z ostremi kłami!

Powracał ze swych wypraw myśliwskich wesoły i podniecony, mówiąc do żony:

— Droga moja! Mało znałem wieś rosyjską, za wyjątkiem mojej nadwołżańskiej, lecz tu przechodzę przez niczem niezastąpiony uniwersytet.

Opowiadał o swoich spostrzeżeniach i wrażeniach, pytając ze śmiechem:

— Powiedz mi tylko: kto i w jaki sposób poprowadzi za sobą włościaństwo? Normalnym sposobem nikt tego nie dokaże! Chłopa rosyjskiego należy pędzić przed siebie kijem Piotra Wielkiego, kulomiotami lub bagnetami współczesnych gubernatorów, a nam cóż pozostaje? Jeszcze bardziej skuteczny bat! Należy wynaleźć go! Musi to być jednak taki bat, żeby jego klaśnięcie poruszyło niebo i ziemię! Nad tem należy poważnie pomyśleć!

Zastanawiał się nad tem Uljanow, błąkając się bez celu po stepie. Zwierzał się tylko przed żoną, a gdy mówił, zniżał głos, zaciskał zęby i mrużył oczy, jak gdyby widział wroga przed sobą. Widocznie, straszne były te myśli i słowa, bo Nadzieja Konstantynówna miała twarz bladą i z przerażenia przyciskała ręce do piersi. Jednak nie przeczyła, bo pałała wiarą niezachwianą w tego człowieka, tak groźnie szczerego, a twardego, jak kamień.

Zrzadka odwiedzali innych zesłańców, rozrzuconych w sąsiedztwie, lecz z nimi o swoich najtajniejszych myślach nigdy nie rozmawiał Włodzimierz. Wiedział, że to, co postanowił, nie mogło być przez nich przyjęte. Nie odeszli zbyt daleko od lojalnego socjalizmu niemieckich towarzyszy, a żaden z nich nie dorównywał śmiałością myśli Plechanowowi, chociaż, po osobistem poznaniu go, już nie był pewien Uljanow swego mistrza.

Nie lubił Włodzimierz częstych odwiedzin towarzyszy wygnania. Powodowały one zaostrzenie dozoru, rewizje, dociekania, szpiegostwo, co zakłócało spokój, tak potrzebny do normalnej pracy i głębokiego namysłu. Pozatem zbyt bliskie stosunki towarzyskie prowadziły do starć i nieporozumień na tle życia prywatnego powstawały plotki, drobne kłótnie, a nawet sądy honorowe, dość częste w kołach zdenerwowanych ludzi, znękanych długiem wygnaniem.

Uljanow do swoich rozmyślań poważnych, niemal ascetycznych, potrzebował ciszy i samotności.

Narazie ze strzelbą na ramieniu zapuszczał się w stepy. Siadał w cieniu brzóz i napawał się widokiem bezbrzeżnych łanów i łąk zielonych, pokrytych bujną trawą, wspaniałemi kwiatami o jaskrawych barwach i woni odurzającej: fiołków nocnych, białych, żółtych i czerwonych lilij, głogów i innych bez liku, o nazwie jemu nieznanych. Stada bydła, owiec i tabuny koni pasły się bez dozoru. Na południu ledwie dostrzegalnem, granatowem pasmem majaczyły dalekie góry — odnogi Sajanów.

Rzadkie wsie, rozległe, bogate, ciągnęły się wśród pól pszenicy i gajów brzozowych. W głębokich jarach i rozłogach biegły wartkie potoki i rzeki, mknąc ku łożysku Jeniseju.

Kryjąc się w trawie, sunęły stadka cietrzewi stepowych, przepiórek i dropi. Wysoko, niby czarna plama na błękitnym namiocie pogodnego nieba, tkwił olbrzymi berkut-sęp, wypatrujący zdobyczy, kwilił drapieżnie, jękliwie, cienko, niby się żalił, że nie dano mu nadmiaru siły, aby wszystko mógł zabić i rozszarpać.

Tu i owdzie ponad trawą i krzakami wznosiły się słupy i płyty z czerwonego piaskowca. Były to dolmeny, starożytne cmentarzyska niezliczonych szczepów, od wieków odbywających wędrówki przez żyzne równiny ku nieznanemu celowi.

Uljanow wiedział, że wielcy wodzowie Mongołów dążyli tym szlakiem na Zachód, pozostawiając za sobą trupy swoich i obcych wojowników, śpiących wieki całe snem nieprzebudzonym pod czerwonemi monolitami.

— Daleka była droga i mglisty cel wnuków Dżengiza, — myślał Włodzimierz, — a jednak doszli do równiny pol-

skiej i węgierskiej i, gdyby nie spory i nie zawiść, kto wie, czy nie ujrzałyby ich mury Rzymu i Paryża? A wszakże zaszli daleko, bo aż na Śląsk. pod Budapeszt i Wiedeń! Tym samym szlakiem najeźdźców mkną moje myśli, szlakiem, już przetartym przez potężne hordy bez liku...

Po prawej stronie Jeniseju ciągnęły się duże wsie bogatych kozaków, osadzonych tu niegdyś przez carów dla obrony południowych granic Syberji. Pozostali tu na zawsze, chociaż nikt już nie myślał o napadzie na potężne imperjum, które, niby pająk olbrzymi, rozparło się szeroką siecią, rzuconą na piątą niemal część całej planety.

Wśród nich w miejscach mniej żyznych rząd osiedlił chłopów wywłaszczonych, biedaków bezdomnych, pozbawionych w Rosji swoich zagonów. I tu w tym pięknym kraju wlekli oni żywot nędzny — ciemni, leniwi, zazdrośni i źli. Kradli kozakom konie i bydło, kosili ich łąki, wyrąbywali las, wyjmowali z sieci i wiersz — ryby, podpalali domy, a w bójkach mordowali bogatych sąsiadów.

Za rzeką, dalej od skał nadbrzeżnych, koczowali Tatarzy, strzegąc tabunów koni i stad owiec. Oganiali się od zgraj wilków i od band złych ludzi, bezkarnie czyniących napady na surowych wyznawców wojowniczego proroka z Mekki.

Wrogość, nigdy nie przemijająca, panowała pomiędzy obydwoma brzegami Jeniseju, który, ściśnięty czerwonemi urwiskami Kizył-Kaja, toczył się z pluskiem, i pomrukiem, wirując, pieniąc się wśród kamieni podwodnych i dążąc ku oceanowi, gdzie panował biały duch, szalejący w iskrzących się pałacach lodowych i przemawiający groźnie rykiem wichrów północnych i mroźnym oddechem śmierci.

Tu rodziły się i kształtowały myśli Uljanowa, śmiałe do zuchwalstwa, niemal szaleństwa; tu dojrzewały i krzepły w przysięgi gorące a surowe, niby ascetyczne wybuchy fanatycznego proroka, niby ponure modły sekciarzy, ukrytych po leśnych kaplicach i barłogach pustelników, zapatrzonych w zaświaty.

Tymczasem on sam, ścigany wygnaniec, myślał spokojnie, bez uniesień i marzycielstwa o rzeczach zwykłych, z ziemi i jej łez zrodzonych a zapłodnionych w samej chwili narodzin przez nienawiść głuchą, niemą i ślepą; przerzucał

mosty nad przepaściami; podminowywał groźne twierdze. zwodził i na manowce prowadził tysiące wrogów.

Tu, słuchając plusku wartkiego prądu Jeniseju, wyczuwając każde drgnienie potężnych sił pierwotnej natury, szepty cieniów, wychodzących z pod czerwonych kamieni dawnych cmentarzysk, zrozumiał, że wśród bojowników o losy uciemiężonych, powołanych do budowania nowego życia, on był jedynym, który posiadał siłę, wolę i umiejętność wodza.

Miałżeż zginąć za kratami więzienia, na szubienicy, od kuli lub na dalekiem wygnaniu ponownem? Byłoby to bezmyślnem szafowaniem sił, niezbędnych dla wielkiego celu!

Przyszedł do przekonania, że nie może pozostać w Rosji — rabiej, ciemnej, carskiej, nieruchomej, jak gnijący, zarośnięty rzęsą, wodorostami i sitowiem staw.

Pragnął wolności, świeżego powietrza, swobody ruchu, głębokiego oddechu i czynu, niczem nieskrępowanego.

Wiedział, że po wysłaniu go na Syberję i po aresztowaniu uczniów, wychowanych przez niego, partja szybko staczała się ku upadkowi. Nic się w niej nie działo; z trudem zaledwie podtrzymywano łączność pomiędzy pozostałymi członkami. Drobna, zmudna praca nad uświadomieniem dawała błahe wyniki. On czuł się powołanym do wielkiego dzieła.

— Kruszę skały, posługując się młotkiem do użytku domowego — myślał z goryczą, — tymczasem potrzebuję młota — ciężkiego, mocnego i miażdżącego. Mógłby to być duży dziennik rosyjski, wydawany zagranicą i rozpowszechniany regularnie przez niewidzialne kanały po Rosji. Wiem, że będzie on młotem burzącym i tworzącym, czuję się na silach ująć go i zadać nim ciosy nieomylne!

Od tej chwili ciężyło mu wygnanie.

Przestał spać, jeść, chodził milczący i niespokojny, trawiony gorączką pracy i żądzą wykonania obmyślonego planu.

Z takim to utajonym zamiarem, po skończonym terminie przymusowego pobytu na Syberji, powrócił do Petersburga, pozostawiwszy żonę w Ufie.

Rozejrzał się po stolicy, zbadał dokładnie stan partji i nastrój w kołach rewolucyjnych, naradzał się z wybitnymi przywódcami ruchu socjalistycznego a, zrozumiawszy wszystko, napisał do żony krótki list:

— Wszystko, o czem myślałem, patrząc na stepy minusińskie i potężny prąd Jeniseju, ziściło się lub ma się wkrótce ziścić. Wyjeżdżam zagranicę Czekaj listu, po którym natychmiast przyjeżdżaj.

Uljanow już widział przed sobą wymarzony młot, a był on podobny do młota Tora, wykuwającego ostre groty, tarcze, pancerze i miecze, rozbijającego nim góry i głowy wrogów, wrzucanych do mrocznej Walhali, skąd niema powrotu po wieki wieków.

Młot ten kruszył i rozwalał piętrzące się skały przeciwieństw, lecz budować nie mógł, będąc narzędziem zniszczenia.

— Najpierw zburzyć stare, obalić, wytępić do szczętu, a później tworzyć nowe! — myślał Uljanow, zaciskając zęby i mrużąc skośne oczy.

ROZDZIAŁ X.

W małej piwiarni, jakich setki spotkać można na przedmieściach Monachjum, przy stoliku koło okna siedziała skromnie ubrana kobieta o poważnej, skupionej twarzy.

Przed nią stał kufel piwa. Nie tknęła go jednak. Niecierpliwie spoglądała na zegarek. Widocznie czekała na kogoś.

Zegar nad ladą wybił godzinę 11-tą.

W tej chwili drzwi się otwarły i do półciemnego lokalu wszedł mały, barczysty mężczyzna w szarem palcie i wygniecionym, miękkim kapeluszu. Obejrzał się uważnie. O tej godzinie w piwiarni, gdzie się zwykle gromadzili robotnicy, nikogo nie było.

Wchodzący gość zwrócił skośne oczy w stronę samotnej postaci kobiety w czarnym płaszczu i podszedł do stolika.

— Bachariow? — mruknął.

Twierdząco skinęła głową.

Mężczyzna usiadł i pytająco oglądał nieznajomą.

Do stolika zbliżył się właściciel piwiarni.

— Jasne? Ciemne? — zadał zwykłe pytanie.

— Proszę o szklankę kawy — odpowiedział gość.

Niemiec poszedł do kuchni, pykając fajką.

— Doktór Jordanow? — zapytała kobieta.

— Jordanow...

— Pan wydaje ten dziennik „Iskry" wzywający do walki o sprawiedliwość?

Chwilę się wahał, lecz pochylił głowę i szepnął:

— Przypuśćmy, że tak, ale o co chodzi?

Natychmiast odpowiedziała:

— Chcę dać znaczną sumę na wydawnictwo. Wiem, że redakcja ma ciągłe kłopoty finansowe, zwykłe, zresztą, dla nielegalnych gazet zagranicą, więc...

Umilkła, bo zbliżał się kelner, niosąc dużą filiżankę kawy.

Gdy odszedł, mówiła dalej:

— Wyjaśnię wszystko! Jestem siostrą Bachariowa, powieszonego za organizację zamachu na Mikołaja II-go... Chcę się mścić... Ale nie na carze, bo to do niczego nie prowadzi... Cale zło nietylko jest w carze. Nie ten, to drugi będzie... Cały ustrój winien...

Człowiek o skośnych oczach nieznacznie się uśmiechnął i słuchał:

— W „Iskrze“ prowadzi pan walkę z socjal-rewolucjonistami, nazywając ich tchórzami, romantykami, drobnemi burżujami. Tak jest w rzeczywistości! Znam ich dobrze! „Iskra“ zbija teorje legalnych socjalistów, nieubłaganie dążących do oportunizmu i podporządkowania się burżuazyjnym ideałom. Tymczasem dziennik pana postokroć ma rację, dowodząc, że nie mamy ani chwili do stracenia w tworzeniu prawdziwej socjalistycznej i rewolucyjnej partji, która w najcięższym nawet okresie powinna rozpocząć walkę przeciwko zmowi, burżuazji i jej pomocnikom z pośród socjal-rewolucjonistów, demokratów i liberałów!

Hm, hm — mruknął doktór Jordanow. — Pani istotnie żnie czyta artykuły „Iskry“, jednak, nie rozumiem, co to ma wspólnego z zamiarem dokonania zemsty za śmierć terorysty Bachariowa?

— Chcę rozbić, zniweczyć socjal-rewolucjonistów, którzy posyłają na śmierć płomienne głowy, podczas, gdy sami kryją się i nadal oszukują ludzi! — wybuchnęła kobieta.

— Ta—ak? — przeciągnął, uważnie przyglądając się nieznajomej i śledząc wyraz jej twarzy. — Hm... propozycja do omówienia... musimy się naradzić w swojej grupie...

— Martow, Potresow, Zasulicz nie będą chyba czynili sprzeciwu... — zaczęła.

— Pani, jak widzę, jest dobrze obeznana ze składem kierowników „Iskry“? — spytał z ironją.

— O, tak! — odparła żywo. — Noszę się oddawna z zamiarem porozumienia się z wami...

— Jakież warunki? — przerwał jej pytaniem.

Narazie mogłabym dysponować sumą 3000 marek... żądam, aby dopuszczono mnie do stałej współpracy... Posiadam dobry styl, jestem wykształconą... ukończy-

łam wyższe kursy profesora Piotra Lesgafta w Petersburgu.

— Jak nazwisko pani? — spytał spokojnie, ogarniając ją łagodnem spojrzeniem.

— Roszczyna; Wiera Iwanowna Roszczyna... mój mąż jest weterynarzem na Kubani...

Człowiek o skośnych oczach siedział zamyślony. Twarz jego miała rzewny, dobrotliwy wyraz. Jednak z pod opuszczonych powiek, wzrok jego niepostrzeżenie ślizgał się po twarzy siedzącej przed nim kobiety. Nie uszły jego baczności błyski triumfu w jej bladych oczach i nerwowe ruchy palców.

Podniósł głowę i rzekł cicho:

— Muszę się naradzić z kolegami, Wiero Iwanowna! Jutro dam odpowiedź. Spotkamy się tu o tej samej godzinie przy tym stoliku...

Skinął na kelnera, zapłacił i, ze szczerym uśmiechem na twarzy uścisnąwszy dłoń nowej znajomej, wyszedł.

Długo krążył po mieście, aż wreszcie, obejrzawszy się dokoła, szybko skierował się do dzielnicy Schwabing i zniknął w podwórku starej, dość brudnej kamienicy.

Wpadł do małego mieszkania i zawołał do kobiety, krzątającej się w kuchni:

— Moja droga! Rzuć do wszystkich djabłów to pitraszenie i leć natychmiast po Parwusa, Bobrowa i Różę Luxemburg. Powinna być u Parwusa. Niech przychodzą tu, nie zwlekając ani chwilki. Od nich wpadnij do naszego zecera Blümenfelda i zawołaj go tu. Tylko się śpiesz, śpiesz! *Periculum in mora!*

Mówił wesołym głosem, chodził po pokoiku, zacierał ręce i coś nucił niskim głosem. Był w wybornym humorze.

W godzinę później, wciąż krążąc po pokoju, opowiadał zebranym towarzyszom o schadzce w piwiarni i zakończył słowami:

— Przebiegli są żandarmi — czcigodni Łopuchin, Siemiakin, von Kotten, Klimowicz, Harting, ale i Włodzimierz Uljanow, chociaż znany tu jest jako niewinny bułgarski lekarz Jordanow, ma olej w głowie! Cha—cha—cha! Chcą oni wślizgnąć się do naszej organizacji, okupiwszy się 3000 marek. Świetnie! Ja pieniądze wezmę, bo wtedy rozdmuchamy nieco

naszą „Iskrę“. Niełatwo podsycać ją temi groszami, które zbierają ubodzy towarzysze i posyłają nam przez Babuszkina, Lepeszyńskiego, Skubika i Goldmana... 3000 marek — to ogromna suma! Wezmę ją, a żandarmów w pole wyprowadzę! Ho, ho, wyprowadzę!

Śmiał się na głos i zacierał ręce.

Jednak towarzysze zaprotestowali. Milczała tylko, jak zwykle, Nadzieja Konstantynówna, wpatrzona w męża, jak w tęczę.

Atak rozpoczął Parwus. Gadatliwy nadmiernie, zapalający się, jak kupa suchej słomy, tupał nogami, wymachiwał rękami i wprost odchodził od zmysłów:

— Brać pieniądze od żandarmów i szpiegów?! To zbrodnia, zdrada! Tego nam nigdy nie przebaczy Plechanow, grupa „Wolności Pracy“, nasza i inne pokrewne partje. Pamiętać należy, że...

Mówił całą godzinę i mówiłby jeszcze, gdyby nagle nie przyskoczył do niego Uljanow i, mrużąc oczy, zimnym, straszliwie spokojnym głosem oznajmił:

— Dość! Ja pieniądze od żandarmów wezmę! Pluć chcę na to, co szczekać będą głupcy i co pomyślą „pokrewne“ partje! Istnieje cel, to przedewszystkiem, a jaką się drogą do niego dąży, jest to obojętne dla mnie!

Bobrow nerwowym ruchem podniósł ramiona i skrzywił się.

Spostrzegł to Uljanow i, patrząc na niego badawczo, powtórzył:

— Ja te pieniądze wezmę!... Chodzi wam o burżuazyjną „przyzwoitość“? Dlaczegoż wtedy przyklasnęliście mi, gdy zorganizowałem napad na pocztę w Tule i zdobyłem kilka tysięcy rubli? Przecież zginęły wtedy nietylko pieniądze burżujów, lecz i biednych chłopów, ubogich robotników, a wy wołaliście: „brawo, brawo!“ Odrzućcie przesądy, towarzysze! A nie bójcie się! Całą odpowiedzialność biorę na siebie. Cha! Cha! Całą! Całą! Jak się mówi w liturgji: „I teraz, i zawsze, i na wieki wieków!“

Spór urwał się. Uljanow uśmiechnął się i rzekł:

— Towarzyszu Blümenfeld, wy znacie wszystkich Rosjan w Lipsku, Dreznie i Monachjum...

— I w Berlinie! — dorzucił zecer z dumą.

— I w Berlinie! — zawołał Uljanow ze śmiechem. — Jutro przed 11-tą zajrzyjcie do piwiarni i powiedźcie, kogo to do mnie podesłali żandarmi? Powiedziała mi, że się nazywa — Roszczyna... Będę czekał na rogu wieści od was i wtedy dopiero pójdę po pieniądze.

Długo jeszcze rozmawiali ze sobą towarzysze. Włodzimierz Uljanow z taką rozbrajającą prostotą i przekonywującą siłą uspokajał ich rewolucyjne sumienie, że wkrótce śmiali się, wyobrażając sobie głupie miny agentów ochrany carskiej, złapanych na lep tak łatwej prowokacji.

Po ich odejściu, Uljanow, uśmiechając się chytrze, podyktował Krupskiej kilka listów do najbliższych przyjaciół, opisując całe zajście, swój plan i postanowienie nie zwracać się do zarażonych burżuazyjnemi przesądami Martowa, Akselroda i Potresowa, którzy stanęliby mu na przeszkodzie. Podpisując te listy, dopisał własnoręcznie:

— Widzę, że będę zmuszony przekształcić umysły tych ludzi, nazywających siebie socjalistami, albo nawet zerwać z nimi. Moralność i legalne środki walki nie leżą na naszej drodze. My niesiemy ze sobą rewolucję w całem życiu i we wszystkich pojęciach ludzkich. Zapamiętajcie sobie dobrze te słowa!

Skończywszy zatarł ręce i chodził po pokoju, śmiejąc się głośno i mrucząc wesoło:

— Hm... hm... hm...

Nazajutrz do Uljanowa, stojącego w pobliżu piwiarni, podbiegł Blümenfeld. Sepleniąc i plując co chwila, szepnął:

— Znam tę babę... Jest to Szumiłowa, krewna agentki ochrany Zenajdy Gerngross-Żuczenko, tej, która „przewaliła" terorystów Bachariowa, Iwana Rasputina, Akimową i Sawina, a teraz ukrywa się przed zemstą socjal-rewolucjonistów w Lipsku i Hajdelbergu. To — szpicle. Włodzimierzu Iljiczu, prawdziwi szpicle z szajki szubrawca Hartinga!... Słyszałem, że Żuczenko używa służbowego pseudonimu „Michejew".

— Dziękuję wam, towarzyszu! — rzekł Uljanow i poszedł do piwiarni.

Usiadł przy stoliku, zajętym przez Szumiłową, i uśmiechając się do niej życzliwie, rzekł:

— Grupa nasza uważa, że walka z drobno-burżuazyjną partją socjal-rewolucjonistów odpowiada jej zamierzeniom. Zgadzamy się na propozycję pani.

— Bardzo dobrze! — odparła napozór spokojnie. — Oto są pieniądze — 3 000 marek. Kiedy mogę stawić się do redakcji, aby rozpocząć pracę? Mam gotowy artykuł o agitacji naszych wspólnych wrogów przeciwko „Iskrze"...

— Zaraz... zaraz... — szepnął Uljanow, starannie licząc i uważnie oglądając banknoty.

Skończył, schował paczkę do kieszeni tużurka, zapiął palto i podniósł szyderczy wzrok na siedzącą przed nim kobietę. Pochylił się nad stołem i dobitnie przemówił cichym, syczącym głosem:

— Szanowna pani Szumiłowa! Proszę wyrazić naszą wdzięczność jeszcze bardziej szanownej Zenajdzie Teodorównie Żuczenko, czcigodnemu panu radcy Hartingowi oraz innym „ochrannikom" — za tak cenny dar! Zużyjemy go z pożytkiem, proszę mi wierzyć! Co do współpracy z nami, to może pani się nie śpieszyć, chyba że zechciałaby spotkać u nas kilku najenergiczniejszych bojowców partji socjal-rewolucjonistów, pragnących od pewnego czasu bliżej poznać Zenajdę Teodorównę? Pieniądze zwrócimy wkrótce z procentami, z procentami, szanowna pani!

Wstał i z głośnym śmiechem skierował się ku wyjściu.

— Potwór! — syknęła Szumiłowa, zaciskając pięści.

Obejrzał się i zmrużył oczy.

„Iskra" od tego dnia nabrała nowego rozpędu. Ataki jej na marzycielstwo drobnych burżujów-socjal-rewolucjonistów, na oportunizm socjal-demokratów, na Struwego i Tugan-Baranowskiego z ich „legalizowanym marksizmem" stawały się coraz ostrzejsze i wścieklejsze, odrywając od tych partyj coraz liczniejsze zastępy robotników.

Uljanow tylko do tego dążył. Jego dziennik dawał rozbitkom teoretycznego socjalizmu gotowy program i plan pracy, narzucał im rewolucyjną wolę czynu; wyprowadzał poza mury społeczeństwa; nawoływał do budowania własnemi siłami twierdzy prawdziwego socjalizmu, wypowiadającego wojnę przestarzałym bogom: państwu, społeczeństwu, kościołowi, rodzinie i moralności mieszczańskiej.

— Wszystkie ideje, prawa, sympatje umarły, oprócz jednej — rewolucji dla stworzenia nie burżuazyjnej republiki, lecz dla założenia na ruinach dawnego świata — państwa pracy. To jest jedynym celem, do którego dążyć musimy, na nic i na nikogo się nie oglądając, idąc przez zbrodnie, krew, trupy, depcąc wszelkie prawo! Zwycięstwo nasze powinno być bezwzględne i bezwzględnem będzie nasze postępowanie! — mówił Uljanow do robotników, przybywających do niego dla ustalenia programu 2-go zjazdu socjal-demokratycznej partji.

Wtedy młoda partja rosyjskich socjalistów była jeszcze zjednoczona i żadne prądy rozbieżne nie nurtowały jej. Na czele partji stali „bożkowie" rosyjskiego socjalizmu: Plechanow, Dejcz, Akselrod, Martow, Zasulicz, Potresow. Śmiałe artykuły „Iskry" przerażały ich. Zaczęły nadlatywać pierwsze zimne powiewy, zwiastuny nieuniknionej walki.

Burza została jednak zażegnana z powodu wypadków zewnętrznych.

„Iskra" dłużej nie mogła się drukować w Niemczech. Właściciele drukarni, naciskani przez policję, działającą pod wpływem tajnej agentury carskiej, nie chcieli bić pisma w swoich zakładach.

Plechanow nalegał na przeniesienie „Iskry" do Genewy. Miał zamiar poddać ją osobistej kontroli i wpływowi swemu, lecz Uljanow postanowił przekoczować do Londynu, aby jeszcze bardziej uniezależnić się od starego nauczyciela i oddanych mu bezkrytycznie socjalistów.

Całe dnie i noce bezsenne spędzał teraz w głębokiej zadumie. Musiał dokonać tego, co postanowił. Nie miał na to pieniędzy. Przejazd do Anglji i wydawanie tam pisma wymagały znacznego kapitału.

Pieniądze z Rosji przychodziły rzadko i były to drobne sumki, po groszu zbierane w środowiskach robotniczych. Policja nieraz przyłapywała te posyłki, lub, wpadając na trop zbiórek, rekwirowała pieniądze, a ludzi wtrącała do więzienia.

— Ciężka sytuacja! — mruczał Uljanow. — Jak tu wybrnąć?

Wyszedł z domu i na rowerze pojechał za miasto. Potrzebował samotności dla namysłu. W powrotnej drodze już późno wieczorem odwiedził niejakiego Walcisa, Łotysza-gra-

wera. Był on w swoim czasie zesłany na Sybir za podrabianie pieniędzy, lecz umknął zagranicę i teraz pracował w zakładzie graficznym. Przychodził nieraz do Uljanowa i prosił się do roboty. Włodzimierz zbywał go niczem, bo uważał go za człowieka ciemnego i nie posiadającego trwałych przekonań rewolucyjnych.

Teraz zapukał do jego pokoju w małym, brudnym hoteliku.

— Przychodzę do was w ważnej sprawie, towarzyszu! — rzekł. — Czy mogę liczyć, że potraficie zachować tajemnicę?

— Jakżeby mogło być inaczej?—odpowiedział uradowany z zaufania Walcis.

— Czy moglibyście sporządzić w swoim zakładzie, potajemnie przed wszystkimi, dobrą kliszę banknotu rosyjskiego i wydrukować chociażby dwieście sztuk? — szepnął Uljanow.

— Muszę się przedtem dobrze zastanowić—odparł grawer.

Minęło kilka dni niespokojnego oczekiwania. Uljanow nie mógł usiedzieć w domu. Po skończonej pracy wychodził z domu i błąkał się po mieście.

Miotał się, jak dziki zwierz w klatce. Towarzysze w Rosji czekali na nowe numery „Iskry", tymczasem pismo nie wychodziło i brakowało pieniędzy na przejazd do Londynu.

Doszły go wieści, że Plechanow szydził pocichu, widząc, jak niepokorna, buntownicza „Iskra" powoli umiera.

W chwili ostatecznego zdenerwowania Uljanowa późno w nocy do mieszkania jego w Schwabing zapukano podług umówionego znaku.

Wszedł Walcis. Miał tajemniczą minę.

Szepnął:

— Zapalcie lampę!

Gdy światło błysnęło, Łotysz wyjął z pod poły palta sporą paczkę, mocno obwiązaną sznurkiem.

Uljanow spojrzał i krzyknął:

— Pieniądze! „Iskra" będzie żyła!

— Pięćset banknotów po 10 rubli każdy! — chwalił się Walcis. — Robota czysta! Tu nikt i nic nie spostrzeże! Zrobiłem próbę. Zmieniłem w banku dziesięć takich papierków. Poszło gładko!

Włodzimierz ściskał ręce grawera i dziękował mu, śmiejąc się i ciesząc.

— Nigdy nie zapomnę wam tej przysługi! — mówił. — Dajcie-no mi teraz kliszę. może się jeszcze raz przydać!

— Klisza pękła przy odbijaniu 511-go banknotu — mruknął Walcis. spuszczając oczy.

Uljanow przelotnie spojrzał na niego i rzekł spokojnie:

— Pękła — powiadacie? No, niech i tak będzie! Dziękuję wam, towarzyszu!

Walcis odszedł.

Krupskaja, patrząc na męża, spytała:

— Czy nie myślisz, Wołodzia, że ten człowiek będzie teraz bił fałszywe banknoty?

— Niezawodnie, że będzie! — zawołał wesołym głosem. — Nic to mnie nie obchodzi. Będzie bił, aż go wpakują do więzienia. Tymczasem do roboty!

Podzielili dużą paczkę na małe, po sto rubli w każdej. Nazajutrz rozdano je towarzyszom, aby w różnych dzielnicach zmienili na pieniądze niemieckie.

Koło godziny trzeciej Włodzimierz Uljanow kupował już funty angielskie i bilety do Londynu, a Nadzieja Konstantynówna pakowała książki i szczupłą walizkę, gdzie się mieści ich skromny, raczej ubogi dobytek.

W Londynie rozpoczęła się ożywiona praca.

Przybył nowy współpracownik. Był to młody socjalista, Leon Bronsztejn, znany pod pseudonimem Trockij. Niedawno uciekł z więzienia syberyjskiego i przedarł się zagranicę. Znali go już w kółkach studenckich i robotniczych, gdzie z powodzeniem występował jako komentator marksizmu.

Młody rewolucjonista miał nieprzeparty pociąg do dziennikarstwa i zaczął codziennie pisywać w „Iskrze“.

Uljanow przyglądał mu się uważnie. Pewnego razu. gdy Trockij wyszedł od niego, rzekł do Krupskiej:

— Ten młodzieniec posiada pierwszorzędne zdolności agitacyjne i, ponieważ niczem się nie krępuje, niezawodnie wysoko zajdzie. Jako człowiek swej rasy jest impulsywny, rzutki. lecz niewytrwały. Potrzebuje on takiego mentora, jak ja. który nigdy się nie zapala, ja zaś potrzebuję jego, bo tymczasem tylko on, jak mi się zdaje, potrafi do końca myśleć i działać, podług mego planu.

Nadzieja Konstantynówna odezwała się cicho:

— Ma za dużo aplombu i styl posiada przykry, arogancki, feljetonowy, arbitralny, a bez przekonywującej głębi i prostoty...

— Młody jeszcze! — zaśmiał się Włodzimierz. — Niebawem nauczy się wszystkiego! Chcę go wprowadzić do naszej grupy z Plechanowym. Będzie on siódmym, co dobrze dla głosowania, i nasz — co niezbędne dla przeprowadzenia moich wniosków!

Jednak Plechanow słyszeć nie chciał o Trockim, do grupy nie przyjął i do komitetu swojej „Jutrzni" oraz „Iskry" nie dopuścił.

Trockij obrażony wyjechał do Paryża.

Kierunek, nadany „Iskrze" przez Uljanowa, nie podobał się Plechanowowi. Próżno jednak przyjeżdżał sam do Londynu i konferował z Włodzimierzem, ten powtarzał:

— Jestem zwolennikiem rewolucyjnego, wojującego marksizmu i takim pozostanę, chociażbym miał być porzuconym przez wszystkich!

Pewnego razu zaprosił Plechanowa na przechadzkę.

Powiózł go do Highgate i zaprowadził na cmentarz.

— Co za fantazja włóczyć się po tym śmietniku? — zapytał Plechanow.

— Za chwilę, Jerzy Walentynowiczu, nie powtórzycie tych słów! — szepnął Uljanow.

Przeszli jeszcze kilkaset kroków i stanęli przed skromnym pomnikiem.

— Karol Marks! — przeczytał na głos Plechanow.

— Karol Marks —powtórzył Włodzimierz. —Usiądźmy tu w milczeniu i oddajmy się zadumie. Miejsce to zasługuje na to...

Siedzieli długo, nic nie mówiąc do siebie.

Uljanow pochylił głowę i z pod oka obserwował starego rewolucjonistę. Zżymnął się, bo poczuł, jak zimny dreszcz przebiegł mu po grzbiecie.

— Ten człowiek myśli w tej chwili o sobie... — szepnął bezdźwięcznie.

Wyprostował się i zaczął mówić, wbijając wzrok w blade oczy Plechanowa:

— Ja nie umiem wygłaszać błyskotliwych frazesów. Powiem wprost, co myślę w tej chwili. Układało się to w mojej

głowie oddawna, — od dnia, gdy po raz pierwszy spotkałem was, Jerzy Walentynowiczu; zgłębiłem wszystko do dna, dokładnie, bo tylko taką myśl uznaję. Na głos powtarzałem to, co mam powiedzieć w tej chwili, powtarzałem tu, wywołując w pamięci oblicze największego z proroków, — starego Karola Marksa. On słyszał spowiedź moją i utwierdził mnie w zamiarze...

Plechanow podniósł krzaczaste brwi i słuchał.

— Jeżeli pracująca klasa będzie oczekiwała swego uprawnienia przez panującą burżuazję — wszystko przepadnie. Uprawnienie to będzie dane wtedy, gdy nasi wrogowie posiądą broń nie do zwalczenia. Technika i chemja dążą ku temu. Musimy przedtem zgnieść burżuazję, musimy przedtem trzymać cały świat w stanie nigdy nie gasnącej rewolucji, musimy odrzucać wszystko, co nam zdradliwie obiecuje i daje państwo burżuazyjne, musimy mieć zawsze w pogotowiu ukryty sztylet i kamień w zanadrzu, aby uderzyć znienacka w momencie najodpowiedniejszym! Innej drogi niema, niema, Jerzy Walentynowiczu!

Stary socjalista nachmurzył czoło i mruknął niechętnie:

— Tymczasem fałszujecie pieniądze! Hańbicie święte ideały rewolucji i socjalizmu?

Uljanow zacisnął szczęki i zmrużył oczy.

— Fałszuję pieniądze, lecz z chwilą, gdy zaczynają one służyć rewolucji, stają się prawdziwemi! — wybuchnął. — Hańbę odczuwają zwyciężeni, zwycięzcy nie znają tego słowa!

— A jednak... — zaczął Plechanow.

— Nic więcej! — przerwał mu Włodzimierz. — Bolą mnie słowa wasze, och, jak bolą! Dokończę więc tego, o czem myślałem nieraz nad grobem Marksa. Muszę dokończyć, szczególnie po tem, com usłyszał od was! Wiedźcie, że nie zatrzymam się przed rozbiciem partji, przed zerwaniem z wami, przed oskarżeniem najcięższem i druzgocącem, które rzucę wam, nie zamyślę się ani na chwilę, żeby zgnieść was, którego kocham i uwielbiam szczerem sercem, zdeptać, a imię wasze zohydzić na wieki! Nie mam nic dla siebie, oprócz idei, a tej bronić będę zębami, pazurami, słowem, bagnetami i szubienicami! Idźcie ze mną do końca, a imię wasze pozostanie jasnem, jak słońce! Jeżeli odstąpicie mnie — gorzej wam!

— Pogróżka? — spytał Plechanow.

— Ostrzeżenie i gorące błaganie! — wyrwał się Uljanowowi namiętny szept.

Więcej nic nie mówili do siebie i powracali do Londynu, zgnębieni, zamyśleni.

Plechanow wkrótce wyjechał. Rozstanie się było zimne i krępujące dla obydwuch. Na pożegnanie obaj nie wiedzieli, co mają sobie powiedzieć.

Wkrótce Uljanow wyjechał na cały miesiąc do Bretanji.

Chciał zobaczyć się z matką, spędzającą tam lato, a także ujrzeć otwarte morze.

Pozostawił w redakcji kilka artykułów dla „Iskry", podpisanych nowym pseudonimem — „Lenin".

Pierwszy raz uczynił to bezwiednie. Napisał pierwsze nazwisko, jakie przyszło mu na pamięć.

„Lenin"?

Nagle wypłynęła we wspomnieniach niegdyś kochana, uduchowiona twarz Heleny, złociste warkocze, oczy pełne zachwytu i błysków rzewnych.

— Czy słyszała ona o mnie? — pomyślał z westchnieniem. — Może, uważa mnie za potwora, jak ta Szumiłowa? Eh! Z pewnością dawno już zapomniała! W innem niezawodnie obraca się środowisku ta... córka generała.

Jednak czuł wokoło siebie jakieś lekkie szmery, jakieś drgania powietrza, jakgdyby drobne motyle muskały twarz jego i dotykały powiek.

Zdziwił się nawet, bo wpadł w zadumę, ogarnięty wspomnieniami młodości.

W tej chwili Nadzieja Konstantynówna zapytała go o adres jednego z towarzyszy w Nowym Jorku. Niestosowne myśli rozwiały się natychmiast, niespodziewanie napływające wspomnienia prysnęły spłoszone.

— Głupstwo wszystko! — szepnął. — „Lenin" z tej samej przyczyny, a raczej bez żadnej przyczyny, co inne pseudonimy: Ulin, Iljin, Iwanow, Tulin; dlatego, dlaczego w Niemczech byłem — doktorem Jordanowym, Modraczkiem — w Pradze, a tu — Richterem. Nic innego! Wszystko głupstwo, drobiazg, czcze wrażenie wobec celu życia!

Śmiał się długo, szyderczo i cicho przed samym sobą, i nikt o myślach jego wiedzieć nie śmiał.

Bowiem wtedy przekroczył już niewidzialny rubikon.

Na tamtym brzegu pozostały jego osobiste uczucia i marzenia, na tym — stał on, a z nim wszystko, czego dokonać zamierzał. Tu nie widział nic dla siebie. Czuł się najwyższym kapłanem idei, którą uważał za najszczytniejszą.

Śmiał się więc z tego, co, opuszczone na przeciwległym brzegu, pozostawało takie nędzne, drobne, na zawsze dalekie.

— A teraz? Ach, tak! Gdzież zapisał adres tego towarzysza z Nowego Jorku, skąd „Iskra“ otrzymywała dwa razy do roku po sto dolarów?

W Bretanji spotkał się z matką.

Rozmawiali z sobą krótką chwilę. Marja Aleksandrówna zrozumiała duszę syna. Wszystko było poza nim. On zaś cały był w przyszłości, którą zamierzał budować. Nie pozostało w nim miejsca dla niej — matki! Zasmuciło to ją, bo biedne, kochające serce matczyne pragnęło miłości i uczucia ciepłego; chciało ujrzeć dziecko... syna.

Uspokoiła się jednak prędko, bo wrażliwa i pełna wyrozumiałości ujrzała, że w sercu Włodzimierza niema miejsca nawet dla niego samego. Stał się człowiekiem-maszyną, pracującym podług wyższego nakazu, wskazującego cel daleki, czy bliski, jemu tylko widzialny.

Włodzimierz całe dnie, wieczory, a nawet noce spędzał nad morzem.

Wciskał się pomiędzy poszczerbione skały, wyżarte przez bałwany i wichry, i zapadał w zadumę.

Przyglądał się, jak nadbiegające fale przypływu biły w strome urwiska, rozpryskiwały się w pianę i bryzgi, cofały się i znowu mknęły z sykiem, hukiem i pluskiem wściekłym. Zdawało się, że nie miały mocy zadać ciosu tym skałom czarnym, twardym, odwiecznym. Parły, zderzały się z piersią brzegu i odbiegały...

Jednak bystre oczy Włodzimierza spostrzegły głębokie szczeliny w urwistych spychach, pełne mroku zagłębienia w granitowej zbroi skał i odłamy niezliczone, staczające się na zalewany wodą zdziar nadbrzeżny.

Była to robota fal i zdobycz ich...

— Wieki przeminą — myślał Uljanow — i nic z tej twierdzy skalnej nie pozostanie! Siwe. spienione morze wdzierać się pocznie tam, gdzie teraz skrzętny rolnik ziarno rzuca na rolę zoraną. O, gdyby wiedziało morze, czego chce i do czego dąży! Podwoiłoby wysiłek, pomnożyłoby szeregi fal potężnych i zdobyłoby za jednym zamachem to, na co teraz, walcząc bezmyślnie, wieki całe trawi. Nie tak czynię ja! Przebijam i drążę pierś starych pojęć i marzeń, odrywam od nich skałę po skale, połać po połaci, lecz wiem, że za tą przegrodą leży odłogiem nizina. Chcę zdobyć ją, zalać falami moich myśli i nową twierdzę wznieść, potężne zamczysko, którego zdobyć nie potrafi nikt, nikt!

Tymczasem fale odbiegały. Już nie docierały do skalistych przylądków i ciemnych zatok; ukojone, omdlewające lizały kamieniste łachy, rozbijały się bezsilnie o ostre krawędzie raf poszczerbionych i odchodziły dalej, coraz dalej, znikając w białej zwarze morza, w skotłowanej mgle, w szalonym tańcu spienionych bałwanów, nad któremi miotały się i szybowały mewy, krzycząc jękliwie:

— Szał! Szał! Szał!

Wtedy wzrok wytężał i szukał blizn na skałach, ran, zadanych kipielą przypływu. Nic nie dostrzegał... Nic!

Spych granitowy stał niewzruszony, potężny i dumny, pierś wystawiając kamienną, urągając morzu i wichrom.

Powiew bryzy zalatywał tu, szemrał wśród suchych, twardych traw, syczał po szczelinach i rozpadlinach głębokich:

— Nie siła, lecz czas! Czas! Czas!

Uljanow ręce zaciskał, chciał grozić, przeklinać i miotać słowa nienawiści, lecz nie mógł i milknął, oczarowany, oniemiały.

Zapalały się na morzu i płonęły, sunąc od horyzontu aż do wąskich wybrzeży żwirowych, — smugi światła cudnego.

Różowe, zielone, złociste — o świcie, szkarłatne i fioletowe — w godzinę zorzy wieczornej, okrywały, pieściły, koiły morze wzburzone, gniewne bez przyczyny, bez wytchnienia.

Milkło, pluskało pokorne, obezwładnione, łagodnie namiętne, szemrało cicho, szeptało gorąco, a rzewnie, niby tajemnicę powierzając niemym, skałami najeżonym brzegom:

— Przeminie wszystko, a prawda pozostanie. Prawda, żyjąca dalej niż kraina, gdzie słońce wschodzi i zachodzi... Dalej! Dalej!

— Gdzież ona? — pytał Uljanow. — Gdzież? Rzuć mnie tam, a zdobędę ją i oddam ludzkości zbiedzonej, potem, krwią i łzami zlanej! Gdzież?

Nadlatywały mewy lotną czeredą i jęczały:

— Szał! Szał! Szał!

ROZDZIAŁ XI.

Uljanow miotał się po pokoju i mówił do siebie. chociaż Krupskaja siedziała przy stole. Nie zwracał na nią żadnej uwagi, nie spostrzegał nawet jej obecności.

Wykrzykiwał, zaciskając pięści:

— Dobrze! Doskonale! Komitet przegłosował mnie?... Musimy przenieść „Iskrę“ do Genewy? Teraz — koniec! Wiem, co będzie... Wątpliwości nie mam! Plechanow zagarnie naszą gazetę! Będę zmuszony zerwać z Plechanowym i innymi, wystąpić do walki. To boli... to gnębi mnie!

Zatoczył się nagle i upadł zemdlony. Drgawki straszliwe wstrząsały stężałem ciałem; zgrzytał zębami i rzęził, jęcząc i mrucząc słowa bez związku.

Nadzieja Konstantynówna z trudem doprowadziła go do przytomności.

Otworzył oczy i, widocznie, natychmiast przypomniał sobie wszystko.

Zaklął i szepnął, patrząc w okno, za którem wznosiła się brudna, ceglasta ściana:

— Pisz!

Krupskaja natychmiast usiadła przy stole.

— Napisz do Trockiego, aby się śpieszył z przyjazdem do Genewy. On doprowadzi do zerwania stosunków z Plechanowym i jego grupą... Chcę pozostać nieco na uboczu. Na wszelki wypadek... Przygotuj też listy do tych młodych studentów Zinowjewa i Kamieniewa. Gorące to głowy i zuchwałe serca. Niech przyjeżdżają... Źle to, że nie mam przy sobie żadnego tęgiego Rosjanina, źle i przykro, lecz na wojnie nie można zważać na to, kto porwie za broń. Byleby się bił! Napisz prędzej!...

Zupełnie rozbity, chory, gorączkujący przyjechał Uljanow do Genewy. Znalazł już tam Trockiego. Długo naradzał się z nim i z przybyłym do Szwajcarji Łunaczarskim.

Ucieszył się, poznawszy tego wspaniałego mówcę, o głosie głębokim, szlachetnym, wzbudzającym zaufanie i szacunek. Był to prawdziwy Rosjanin o wysokiej kulturze i dużej wiedzy.

Uljanow nie posiadał się z radości.

— Taki nabytek! Taki nabytek! — myślał, zacierając ręce.

Jednak radość jego wkrótce osłabła.

Poznał Łunaczarskiego dokładnie, nachmurzył czoło i mruczał do siebie:

— No, i cóż z tego, że mam Rosjanina?! Niesie na sobie przekleństwo rasy — ów na niczem realnem nie oparty maksymalizm myśli. Wierzy w zwycięstwo nasze, jak w jakiś cud nadprzyrodzony, który gwałtownie odmieni myśli i przyrodę ludzką. Święty Mikołaj, czy rosyjskie, głupie, rabie „awoś“ — te nasze „potęgi“ mają i nad nim władzę. On pójdzie za mną, lecz płakać będzie i bić się w piersi, gdy ujrzy, że krwią będziemy zatwierdzali nasze prawo, że przez niewolę poprowadzimy ludzkość do wolności!

Trockij wkrótce rozpoczął atak przeciwko Plechanowowi.

Cała redakcja „Iskry“ zebrała się w kawiarni Landolta. Omawiano projekt trzeciego zjazdu rosyjskich socjalistów. Trockij bronił programu, opracowanego przez Lenina. Łunaczarskij podtrzymywał go. Plechanow i Akselrod zbijali dowodzenia nowych członków partji.

Jednak robotnicy i studenci, przysłuchujący się debatom, wypowiedzieli się za programem Lenina.

Trockij, zwracając się do Plechanowa, zawołał z szyderczym śmiechem:

— Czy rozumiecie, towarzyszu, dlaczego zostaliśmy podtrzymani przez członków partji? Dlatego, że wy już nie znacie i nie wyczuwacie pracującej klasy. Emigracja wyżarła w was poczucie rosyjskiej rzeczywistości, a słowa i myśli wasze są dobre dla legalnych socjalistów europejskich, lecz nie dla nas! Staliście się już okazami muzealnemi!

Od tego dnia nie tylko w komitecie partji, lecz i w redakcji „Iskry“ stosunki z grupą Plechanowa tak się zaostrzyły, że Uljanow, Martow i Potresow odmówili swej współpracy.

Włodzimierz z Krupską i Martowym pracowali całemi dniami i nocami, pisząc listy i okólniki, wyjaśniając sytuację w partji i żądając pieniędzy na nową gazetę.

W parę tygodni później zjawił się mały świstek „Naprzód".

Gdy pierwszy próbny numer leżał już na stole, a Trockij odczytywał artykuły, skierowane przeciwko Plechanowowi i oskarżające starego wodza o tchórzostwo, a żądające nowego zjazdu partji dla omówienia programowej i taktycznej działalności, Uljanow, jeszcze słaby i chory, zaciskał zimne ręce i niemal z rozpaczą patrzył w lazurowe niebo, szepcąc nieruchomemi wargami słowa, same jakgdyby cisnące mu się do głowy. Były to słowa Chrystusa, wyłkane w chwili miotania się ducha, tęsknicy i wahania:

— Boże, oddal ode mnie ten kielich męki!

W chwili, gdy miał rozgorzeć bój śmiertelny, rozumiał Uljanow, że odtąd już sam ma poprowadzić pracujących ku pałającemu w oddali ognisku, nad którym grała łuna krwawa; musiał ująć w swoje ręce losy miljonów zrozpaczonych nędzarzy, pchnąć ich na walkę z zastępami wrogów, chociażby wśród nich byli bracia i mistrzowie, dla których serca biły uwielbieniem rzewnem.

Niebo nie odpowiedziało na milczące wołanie Uljanowa.

Bój się rozpoczął.

Padały ciężkie oskarżenia, oszczerstwa, płomienne słowa oburzenia, nienawiści; twarde, jak kamienie, myśli, gnębiące lub porywające.

Mały, ubogi „Naprzód" dopiął celu.

Mimo intryg i wysiłków Plechanowa, odbył się trzeci zjazd rosyjskiej socjalistycznej partji. Stał się on pierwszym kongresem bolszewików i zarodkiem partji komunistycznej, do której przyłączało się coraz więcej dawnych stronników genewskiej grupy starych „bożków" i wodzów socjalizmu. Nie pomogły zabiegi Bebla, usiłującego skłonić Lenina do zgody z mieńszewikami Plechanowa i proponującego sąd rozjemczy.

Dla Uljanowa już wszystko było jasne. Drogi jego nauczyciela rozminęły się na zawsze z drogami rewolucyjnego marksizmu. Plechanow był dla niego już tylko agentem burżuazji, wrogiem, który musiał być zgnieciony do reszty.

Po raz pierwszy otwarcie, na cały świat rzucił Uljanow zuchwałe hasła komunizmu rosyjskiego, nawołując robotników, aby się nie zatrzymywali na tworzeniu burżuazyjnej republiki w Rosji i aby się nie dali usidlić gnijącemu parlamentaryzmowi Zachodu.

— Dążymy do założenia pierwszej socjalistycznej rzeczypospolitej w Rosji — mówił do towarzyszy, przybywających do niego. — Jest to naszym ideałem. Nie chcę was oszukiwać obietnicą, że odrazu dojdziemy do celu. W zbyt ciężkich warunkach, istniejących w naszym kraju i wszędzie zagranicą, gdzie panuje fałsz, podnosimy sztandar walki. Wierzę jednak, że potrafimy rozpalić rewolucję, która odrazu stanie na rubieży pomiędzy burżuazyjnym a socjalistycznym przewrotem. Dalsze kroki będą łatwiejsze! Pogłębienie rewolucji doprowadzi nas jeszcze bliżej do osiągnięcia ideału. Nie cofniemy się nigdy!

Imię Uljanowa-Lenina stawało się coraz głośniejszem, porywało nowe zastępy zwolenników i oddanych towarzyszy, wytwarzało kadry zaciekłych wrogów.

O osobiste przyjazne stosunki nie dbał. Chodziło mu tylko o zwiększenie ilości oddanych sprawie towarzyszy.

Nieprzyjaciół się nie bał i mawiał słowami poety:

— Uznanie dla nas nie w radosnych krzykach tłuszczy, lecz w nienawiści i przekleństwach wrogów obalonych.

Kiedy w Rosji po nieudanej wojnie z Japonją wybuchnęła burżuazyjna rewolucja, podtrzymana przez socjalistów, Lenin przekradł się potajemnie do Petersburga.

Mieńszewicy, kierowani z Genewy przez Plechanowa, stworzyli Radę robotniczych delegatów, do której natychmiast weszli bolszewicy: Trockij, Zinowjew, Kamieniew, Badajew oraz inni, nadając energiczny i prawdziwie rewolucyjny bieg pierwszej w dziejach ludzkości instytucji, gdzie klasa robotnicza ujmowała w swoje ręce władzę, wypowiadała wojnę burżuazji i rzucała hasła rewolucji socjalnej.

Siedząc na galerji sali, gdzie obradowała Rada robotnicza, nieznany nikomu, ukryty w tłumie publiczności, Lenin przysłuchiwał się mowom mieńszewików i wyszkolonych przez siebie towarzyszy partyjnych.

Myślał, zaciskając zęby:

— Tylko przemoc, gwałt, niesłychany teror zjednoczy tych ludzi i poprowadzi ku memu celowi. Żadnego miłosierdzia i litości, chociażby to był ojciec lub żona! Kto nie ze mną, ten musi zginąć!

Mrużył oczy i, patrząc na mówiących mieńszewików, rozprawiających o współpracy z rządem, szeptał:

— Zginiesz! I ty, i ty... Zginiecie wszyscy!

Patrząc na swoich stronników, zadawał sobie męczące pytanie:

— Czy są oni dość silni, mężni i wytrwali, aby nie dopuścić do rozpędzenia rad robotniczych, tworzących się wszędzie?

Pojechał do Moskwy, bo wiedział, że tam najpierw wybuchnie zbrojne powstanie robotników, a na ulicach wyrosną barykady.

Naradzał się i dawał wskazówki Szancerowi — Muratowi, przywódcy dojrzewającego powstania.

Fale rewolucji przelewały się od zachodniej granicy aż do Władywostoku.

Władze traciły głowę i oddawały bez oporu swoje placówki. Armja, pozostająca jeszcze na terenie wojny, przechodziła na stronę ludu.

Nikt nie wiedział o tem, że przewrotny Witte dał milczącą zgodę na wybuch oburzenia i protestu, aby zniewolić Mikołaja II-go do podpisania dekretu o nowej konstytucji, przewidującej zwołanie Dumy państwowej.

Rozumiał zaufany przyjaciel Aleksandra III-go, że parlamentaryzm olśni i porwie wszystkie wzburzone warstwy ludności i na czas dłuższy uspokoi umysły.

Rozumiał to i Lenin. Obawiał się, że Witte potrafi ująć rewolucję w spokojne łożysko parlamentaryzmu. Dlatego też przez swoich stronników nadawał burzliwy, rewolucyjny charakter Radzie robotniczej i podsycał dążenie do zbrojnych powstań.

Wybuchnęło ono wreszcie w Moskwie, lecz zachłysnęło się we własnej krwi na Preśni.

Wtedy wrogowie Wittego, aby oczernić go w oczach monarchy, pchnęli cały swój aparat na stłumienie rewolucji. Pracować zaczęły oddziały karne Rinna, hrabiego Mellera, barona Rennenkampfa, skrzypiały szubienice, pod gradem

kul padały setki skazanych na śmierć rewolucjonistów, więzienia zostały wypełnione po brzegi politycznymi przeciwnikami cara.

Witte, w obawie o swoją karjerę, rozpędził Radę robotniczych delegatów, wtrącając najbardziej radykalnych mówców do więzienia i oddając ich pod sąd.

Uljanow-Lenin ukrył się w Finlandji.

W małej mieścinie fińskiej potajemnie zamieszkał obywatel niemiecki, drukarz z zawodu, Erwin Weikoff. Odbywał ciągłe wycieczki pomiędzy Kuokkałą, Perkiarwi, Wyborgiem i Helsingforsem, a wszędzie miewał spotkania z różnymi ludźmi, dążącymi do niego z Rosji.

Pewnej nocy do małego domku, stojącego w podwórzu, otoczonem świerkami, zapukano trzy razy, a po krótkiej przerwie — jeszcze dwa.

Był to znak umówiony.

Mały, barczysty człowiek o potężnej czaszce łysej, otworzył drzwi. Na progu stał młody robotnik w czarnym palcie z nastawionym kołnierzem.

— Włodzimierzu Iljiczu, to ja — Badajew! Przyprowadzam wam gości — rzekł, wyciągając rękę do gospodarza.

— Ach, bardzo się cieszę, towarzyszu! — odpowiedział Lenin. — Wchodźcie, proszę!

Do pokoju weszło trzech marynarzy i młody pop o szeroko rozwartych, marzycielskich oczach.

Wszyscy usiedli. Badajew opowiadał:

— Towarzysze Dybienko, Żelezniakow i Szustow byli majtkami na pancerniku „Patiomkin", który podniósł flagę rewolucyjną.

— Pozdrawiam was, towarzysze! — zawołał Lenin. — Proletarjat nigdy nie zapomni waszego czynu! Stał się on bowiem zarodkiem rewolucji we flocie! Opowiedźcie mi cały przebieg sprawy.

Marynarze długo mówili ponuremi głosami. Gdy doszli do rozbrojenia ich w porcie rumuńskim, Dybienko rzekł:

— Uciekliśmy z Rumunji i szukaliśmy was po świecie, abyście postanowili, co mamy robić teraz?

Lenin odpowiedział natychmiast:

— Pojedziecie zagranicę i stamtąd będziecie kierować towarzyszami, służącymi we flocie wojennej.

— Znamy wszystkich w Sebastopolu, Odesie, Kronsztadzie... — wtrącił Szustow.

— Tak też myślałem! — ucieszył się Lenin. — Będziemy posyłali im nasze gazety i broszury, aby towarzysze byli gotowi stanąć w naszych szeregach.

— Oni staną wszyscy, jak jeden mąż! — zawołali majtkowie. — Tylko przedtem wymordują oficerów, którzy znęcają się nad nimi i krzywdzą.

Lenin podniósł głowę i długo patrzał na mówiących. Uśmiechnął się prawie dobrotliwie, niby do dzieci, i rzekł dobitnie:

— Oddamy oficerów na wasz sąd, towarzysze!

— My z nimi poigramy po swojemu! — mruknęli.

— Poigracie! Waszego wyroku zmieniać nie będziemy — odpowiedział łagodnie i oczy zmrużył.

Naradzali się szeptem i, otrzymawszy od Lenina list, wyszli.

Badajew, wskazując oczami na popa, rzekł:

— Ojciec Grzegorz Gapon prowadził robotników przed pałac Zimowy, aby prosić cara o dymisję dla złych ministrów i o nadanie konstytucji.

Lenin nie odzywał się, zaciskając szczęki i mrużąc oczy.

Milczał długo, swoim zwyczajem nieznacznie przyglądając się popowi, siedzącemu przed nim.

Wreszcie wyszeptał:

— Gdy spotkałem was zagranicą, byłem przekonany, że pop Gapon jest agentem ochrany, podłym prowokatorem, prowadzącym głupi tłum najciemniejszych robotników pod salwy gwardji cara!

Gapon drgnął i złożył ręce na piersi, wpatrując się w przenikliwe źrenice Lenina.

— Teraz, gdy patrzę na was, waham się... Uważam was raczej za człowieka, nierozumiejącego, co czynił. Prosić cara? Błagać tyrana na kolanach? O co? O to, co można wyrwać mu z gardła tylko siłą, wyrwać wraz z sercem jego i głową?! Szaleńcy! Obłąkańce! Dusze rabie!

To mówiąc, Lenin zaczął biegać po izbie i trzaskać w palce.

Po chwili zatrzymał się przed milczącym popem i, wbijając w niego ostry wzrok, rzucił:

— Cóż, nic nie mówicie?! Słucham!

Pop poruszył się i, przyciskając blade dłonie do piersi, jęknął:

— Ludzie ślepi oskarżają mnie o zdradę... A ja? A ja od pięciu lat budzę w robotniczych dzielnicach ducha, wzmacniam wiarę w przyjście królestwa Bożego na ziemi....

Wciągnął powietrze i dalej mówił:

— Miałem widzenie prorocze i głos usłyszałem rozkazujący: „Odmieniło się serce tyranów, więc prowadź za sobą ludzi, aby serce to wylało strugę dobroci!"

— A ono wylało strugę ołowiu z karabinów! — wybuchnął złym śmiechem Lenin. — Twój Bóg nie zna cara i doradził ci czyn zbrodniczy, straszny!... Cóż zamierzacie czynić teraz?

— Nie wiem! — szepnął Gapon z namiętnością. — Myśl moja miota się na bezdrożu...

— Ja wskażę wam drogę prawdziwą — rzekł po namyśle Lenin. — Jedźcie zagranicę, wejdźcie do rodzin emigrantów, dotrzyjcie do bogatych domów i do najbiedniejszych, a wszędzie opowiadajcie o tem, co uczynił car z błagającym tłumem, z krzyżami i ikonami. Powtarzajcie jak słowa Biblji jedno i to samo: „Cara i jego obrońców musimy zgnieść rękami spracowanych ludzi!" Rozumiecie?

— Rozumiem... — odpowiedział cicho pop.

— Idźcie teraz! Muszę porozmawiać z towarzyszem na osobności — rzekł Lenin, odprowadzając Gapona do progu.

Gdy się za nim zamknęły drzwi, a za chwilę stuknęła furtka, Lenin spojrzał na Badajewa i spytał:

— Agent?

— Nie! — zaprzeczył stanowczo.

— Wasza sprawa! — wzruszył ramionami Lenin. — Co chcecie uczynić z nim?

— Podejmuje się przewozić przez granicę wszystko, co mu polecimy: broń, granaty, nielegalne druki... Na popa nikt nie zwróci uwagi.

Lenin ze zdumieniem spojrzał na robotnika i podniósł ramiona.

— Kto polecił wam przyprowadzić do mnie tego człowieka? — spytał nagle.

— Nie obawiajcie się! — odparł Badajew. — Dobry partyjny towarzysz, śmiały, wypróbowany! Nazywa się Malinowski.

— Malinowski? Malinowski? — powtórzył Włodzimierz. — Aha, przypominam sobie. Mówił mi o nim Leon Trockij. Z wami i z innymi kandydatami ma od naszej partji pójść do Dumy.

— Włodzimierzu Iljiczu! — zawołał Badajew. — Zwolnijcie mnie! Ja przecież nie mogę rozpatrywać budżetu państwowego, wnosić poprawek do projektów nowych praw! Ciemny jestem, nie uczony! A tu nie żarty: praca parlamentarna!

Lenin wybuchnął głośnym śmiechem i śmiał się długo, zacierając ręce. Wreszcie uspokoił się nieco i powiedział, klepiąc robotnika po ramieniu:

— A poco macie rozpatrywać budżety, projekty praw? Powinniście przy każdej sposobności wychodzić na trybunę i powtarzać, że klasa pracująca nie uznaje żadnych burżuazyjnych projektów i budżetów, że dąży do obalenia zmurszałych, cuchnących instytucyj państwowych, że rozpędzi na cztery wiatry cara, ministrów, burżuazję, a gdy się będą opierali, pośle ich na latarnie! To wszystko, co macie umieć tymczasem, bracie miły!

Badajew ze zdziwieniem patrzył na mówiącego.

— Jakżeż tak? — pytał z powątpiewaniem. — Zbiorą się w tej dumie ministrowie, generałowie, poważni panowie, bogacze, a my takie słowa będziemy mówili?!

— Czyż myślicie, że ministra i bogacza stryczek nie udławi? — spytał Lenin.

— To wiadomo... — mruknął robotnik. — Tylko takiej mowy słuchać nie zechcą.

— Głupiej mowy waszej o budżecie nie będą słuchali, a o szubienicy jeszcze jak posłuchają! — zaśmiał się Lenin, żartobliwie patrząc na Badajewa.

Nagle urwał śmiech i, pochylając nisko głowę, spojrzał zpodełba i mruknął:

— Gapon — zdrajca, kupiony przez rząd...

— Nie! — zawołał Badajew. — Znają go oddawna w kołach robotniczych.

— Gapon — sprzedajny zdrajca! — powtórzył z naciskiem Lenin. — Powiedźcie o tem Trockiemu. Niech napomknie o nim przewódcom mieńszewików i socjal-rewolucjonistów. Oni już załatwią z nim porachunki! Dziś zmienię mieszkanie. Powiadomię was o miejscu. Teraz idźcie już, bo mam jeszcze dużo do zrobienia.

Po odejściu Badajewa, Lenin natychmiast przeniósł się do innego domu i zaczaił się. Przez kilka dni nikt z partyjnych towarzyszy nic o nim nie wiedział.

Tymczasem przed dawnem mieszkaniem Lenina przez cały dzień siedziała starucha, sprzedająca z koszyka karmelki, jabłka i ziarna słonecznikowe. Przyglądała się bacznie przechodniom i na trzeci dzień spostrzegła młodego popa, który szybkim krokiem kilka razy przechodził przed domem, usiłując nieznacznie zajrzeć przez szpary ogrodzenia do podwórka.

Gdy zbliżał się do końca ulicy, podszedł do niego elegancki mężczyzna małego wzrostu, o mięsistej, wygolonej twarzy i zezującem oku, co chwila znikającem pod drgającą, ciężką powieką.

Starucha podniosła swój koszyk i podreptała przez miasteczko, wykrzykując:

— Jabłka! Cukierki! Słonecznikowe ziarna—a—a!

Zatrzymała się przy małej chatce i, obejrzawszy się ostrożnie, wślizgnęła się do sieni.

Na stuk wyszedł Lenin.

— Towarzyszu! — szepnęła. — Pop Gapon krąży koło waszego domu, a z nim razem czatuje Iwan Manasewicz-Manujłow, ochrannik i agent Wittego.

— Dobrze, towarzyszu Szymonie! Teraz dowiedźcie się, gdzie mieszka Gapon i powiadomcie Rutenberga, o którym pisał do mnie Nachamkes.

Z temi słowami Lenin zamknął drzwi.

Upłynęło kilka tygodni. Włodzimierz krył się w Teriokach, Perkiarwi, Usikirce i Helsingforsie. Powrócił wreszcie do Kuokkały, do dawnego mieszkania. Zastał tam towarzysza Szymona.

— No, opowiadajcie, jak się to wszystko odbyło? — spytał, potrząsając ręką robotnika.

— Gapon mieszkał w Teriokach. Wyśledziłem go i powiadomiłem inżyniera Rutenberga. Przyszedł do popa z dwoma jeszcze towarzyszami, doręczył mu oskarżenie i wyrok... Związali i... powiesili. Policja znalazła Gapona. Wisiał już od paru dni. Na piersi miał arkusz z wyrokiem śmierci od socjal-rewolucjonistów.

— Psu — psia śmierć! — zaśmiał się Lenin. — Ten Rutenberg — dobry inżynier, ale i kat, co się zowie! Mógłby się i nam przydać, gdyby przeszedł do nas!

— Nie przejdzie! — odpowiedział Szymon. — To — druh Sawinkowa, socjal-rewolucjonista zakuty!

— Szkoda! — westchnął Lenin. — Jabym go posłał zabić tego błazna rewolucji!

— Kogo?

— Borysa Sawinkowa!... — cicho śmiejąc się, odpowiedział Lenin.

Towarzysz Szymon ze zdumieniem zajrzał w zmrużone oczy stojącego przed nim Lenina. Ten w milczeniu uśmiechnął się dobrotliwie i chytrze zarazem, kiwnął głową, a palcem wskazał na ziemię.

— Czy teraz, czy później poślę go tam! — szepnął z naciskiem.

— Zaco?

— Ja wiem — zaco! — warknął Lenin, biorąc do rąk książkę i siadając przy oknie.

Szymon opuścił mieszkanie Lenina.

Dopiero gdy wszyscy się przekonali, że nowa konstytucja była aktem oszukańczym, zasadniczo zmienionym i niemal zniesionym, partja zażądała od Lenina, aby wyjechał zagranicę, ponieważ policja polityczna była już na jego tropie i coraz ciaśniejszem kołem otaczała znienawidzonego przez rząd wodza klasy robotniczej.

Odjeżdżając, pożegnał odprowadzających go towarzyszy słowami:

— Przekonaliście się, że nie mamy wspólnych dróg ani z caratem, ani z burżuazją wraz z jej przegniłym do reszty parlamentaryzmem. Niech kroczą po tej drodze te warstwy

robotnicze, które nie mają odwagi i wstrętu do niewoli. My bez ich pomocy zdobędziemy władzę nad krajem, swoje ustanowimy prawo i swoją wymierzymy sprawiedliwość wrogom naszym! Nie zapomnimy też o tych towarzyszach, którzy, ulegając woli fałszywych proroków i zbrodniczych kierowników, stają na drodze naszej ku zwycięstwu proletarjatu. Nie ustawajcie w organizowaniu się, w powiększeniu szeregów waszych, w przygotowaniach do ostatecznej bitwy!

Były to słowa tak śmiałe, że wydały się wszystkim przechwałką bez treści i znaczenia.

Reakcja zaczęła już pokazywać kły, szalały sądy wojenne, grupy nacjonalistyczne otwarcie wypowiadały się za rozpędzeniem i zniesieniem Dumy, żądały zastosowania najsurowszych sposobów ujarzmienia rewolucjonistów, wychodzących ze swych skrytek podziemnych, i przecięcia raz na zawsze przedwczesnych marzeń budzącej się Rosji.

Któż mógł w tym okresie wierzyć pełnym nadziei i siły słowom odjeżdżającego wodza? Słuchali go towarzysze z niedowierzaniem i szeptali, smutnie kiwając głowami:

— Nim słońce wzejdzie, rosa oczy wyżre!...

ROZDZIAŁ XII.

Nikomu nie pokazał odjeżdżający z Rosji Lenin swego oblicza.

Było ono straszne.

Gdy siedział sam w wagonie i patrzał na sunące przed oknami smętne krajobrazy, oblicze jego stało się tragiczną maską nienawiści.

Nienawidził teraz wszystko i wszystkich.

Praca kilku lat wydawała mu się marną, nędzną, pozbawioną rozpędu i siły.

Nienawidził Plechanowa, Struwego, Bebla, dawnych przyjaciół — Martowa i Potresowa, nienawidził Trockiego.

— Oni wszyscy chcą, — szeptał przez zęby, — abym po upadku powstania i wzmożeniu się reakcji palnął sobie w łeb, jako największy zbrodniarz, niemal zdrajca, w rodzaju Gapona, jako potwór, posyłający ludzi na pewną śmierć!

Zaśmiał się cicho i złośliwie, bo uświadomił sobie dokładnie, że myśl o możliwości samobójstwa ani razu nie przychodziła mu do głowy.

Wiedział, że jest źle, że Rosja, przerażona „stołypińskiemi krawatami“, jak nazywano szubienice, któremi prezes rady ministrów — Piotr Stołypin pokrył cały kraj, zapada się w otchłań bezdennego mroku i zgnębienia.

Przed oczami Lenina przeszły setki robotników, włościan, żołnierzy i rewolucyjnej inteligencji, — wszystkich odwiedzających go w Kuokkale i Teriokach.

Rozmawiał z nimi i słyszał, a jeszcze bardziej wyczuwał niewypowiadane myśli. Były one mroczne i beznadziejne. Wszyscy byli przekonani, że rewolucja została na długie lata zdławiona, robotnicze organizacje wytępione, że należy zrewidować programy partyjne i dążyć najwyżej do zatwierdzenia legalnej socjal-demokratycznej frakcji w parlamencie.

Lenin kipiał gniewem. Nienawidził swoich upadających

na duchu stronników. Nigdy nie miał przyjaciół, bo nie uznawał przyjaźni, żądając tylko oddania się sprawie.

Każdego z najbardziej wiernych towarzyszy mógłby bez wahania odtrącić, rozdeptać, posłać na śmierć, gdyby się okazał niepotrzebnym lub szkodliwym. Czuli to wszyscy i unikali bliższych z nim stosunków. Żył zapatrzony w sprawę. Przestawał być człowiekiem. Zmieniał się w maszynę, to burzącą przeżyte ideje, to przekształcającą ruch swoich kół i trybów, odpowiadając wiernie na wszystkie, najbardziej zawiłe, nieprzewidziane odruchy zewnętrzne.

Przypomniał sobie nagle wypadek, który miał miejsce w Kuokkale. Obudził on dawne wspomnienia z nad Wołgi i z Syberji i zmusił Lenina do zaciśnięcia zębów i milczenia, chociaż gotów był przeklinać i rozwalać głowy własnemi rękami.

Kalinin, jeden z najbliższych uczniów jego, przyprowadził ze sobą kilku chłopów, delegatów partji pracy w Dumie Państwowej. Goście patrzyli nieufnie, zpodełba i milczeli.

— Witam was, towarzysze, — zaczął Lenin, dobrotliwie uśmiechając się do wieśniaków. — Spodziewam się, że razem pójdziemy do celu — do zupełnej zmiany ustroju Rosji?

Stary chłop, siedzący naprzeciw Lenina, podejrzliwie zerknął w jego stronę i pomyślał:

— E—e, nie oszukasz nas! Znamy się na takich buntownikach w miejskich tużurkach i sztywnych kołnierzykach! Różnemi drogami chadzamy!

Nie powiedział tego na głos i tylko mruknął:

— To się pokaże... Musimy wpierw dobrze się przyjrzeć wam — bolszewikom...

Lenin odrazu wyczuł nieufność, niemal wrogość. Ostrożnie, krok po kroku jął wyjaśniać cel rewolucji — wytępienie burżuazji.

— Robotnicy zagarną w swoje ręce fabryki i banki i dadzą wam ziemię, pługi, traktory, kosiarki... — mówił.

Wieśniak znowu zerknął na niego i przerwał:

— Chłopi sami potrafią przywłaszczyć ziemię. Nas — mrowie! Gdy się podniesiemy, — kto nas wstrzyma? Żołnierze — synowie nasi strzelać do nas nie będą, oj, nie będą! My z ziemią i panami poradzimy sobie w jeden mig!

— Doskonale! — zawołał Lenin. — Proletarjat poprowadzi was wtedy do nowych zdobyczy rewolucji, towarzysze!

— Poczekajcie-no trochę! — upomniał go chłop, ponuro spoglądając na czysty kołnierzyk i białe, nie znające ciężkiej pracy ręce Lenina. — Proletarjat — to niby pracujący lud?

— Tak! — odpowiedział Włodzimierz, jeszcze nie rozumiejąc, do czego zmierza wieśniak, spokojny, twardy, jak łaz, albo pion starego dębu.

— Jakaż wasza praca, twoja, naprzykład? — spytał i sztywnym, zgiętym, niby żelazny hak, palcem, czarnym, o popękanej skórze, dotknął ostrożnie bladej, miękkiej dłoni Lenina.

Był to niespodziewany obrót sprawy.

Prorok i wódz robotników zmrużył oczy i po chwili odparł łagodnym głosem:

— Pracuję głową, aby Rosja mogła żyć szczęśliwie...

— T-a-a-k! — mruknął chłop, patrząc na swoich towarzyszy, którzy szyderczo uśmiechali się pod wąsem i głaskali kłaczaste brody. — To i car tak samo powiedziałby, i policjant, i nauczyciel!

Nagle się ożywiając, mówić zaczął, wymachując czarnemi, zgrzybiałemi rękami:

— Nie, bratku! To już my nieraz słyszeliśmy! Oj, nieraz! Ty, miły człowieku, przy pługu pochodź, boso, w twardych portkach płóciennych, poznaj krwawicę naszej pracy, chłód i mróz, troskę o rodzinę, lęk przed nieurodzajem, głodem, chorobami... Ech!...

Lenin odpowiedział wymijająco:

— My was poprowadzimy ku lepszej doli, towarzysze! Staniemy przed waszemi szeregami i poprowadzimy.

Chłopi zamienili pomiędzy sobą bystre spojrzenia.

Starzec, gładząc brodę, mruknął:

— Teraz to już wiemy... Wy nas poprowadzicie? Nie pytacie tylko, co nam potrzeba?

— No, to mówcie, chociaż i sami wiemy — odezwał się Lenin, łagodnie patrząc na chłopów.

— Co tu długo gadać?! — ciągnął stary wieśniak. — Nie chcemy cara, bo o wojnie od czasu do czasu myśli, ludzi nam porywa, podatkami ciśnie. Nie chcemy monarchji, bo póki

ona będzie, póty wy buntów wszczynać nie zaniechacie i — nigdy spokoju nie zaznamy! Z obszarnikami i szlachtą damy sobie radę. Od czegoż siekiery, drągi i pożar? Hę? Tak to! Tego chcemy i do tego zmierzamy, miły człowieku!

Leninowi oczy na chwilę błysnęły, lecz pohamował się i spytał jeszcze bardziej łagodnym głosem:

— Nic nie mówiliście o burżuazji, o kapitalistach. którzy płacą wam tanio za chleb, a drogo żądają za towary swoich fabryk? Dobrze wam z nimi, towarzysze? Czyż potrzebni wam są uczeni, adwokaci i inna inteligentna kanalja, oszukująca was i ciągnąca w objęcia burżuazji, aby ona mogła złupić z was skórę?!

Chłopi milczeli, namyślając się i od czasu do czasu ślizgając zagadkowym wzrokiem po przysłuchujących się rozmowie robotnikach.

Jeden z wieśniaków, potężny, barczysty, spojrzał śmiałemi oczami niebieskiemi i rzekł spokojnie, lecz dobitnie:

— Słyszeliśmy już te wasze gadania w Dumie! Puste one, czcze, niemądre. Kukułcze słowa!

— Kukułcze?! — wyrwało się oburzonemu Kalininowi.

— Jak raz — kukułcze! — zaśmiał się chłop. — Nie macie nic: ani domu, ani roli, a do cudzych gniazd ochoczy jesteście i za gospodarzy we wszystkiem się podajecie! Burżuje dają nam pługi, wyborowe ziarna na zasiew, piękne bydło. dobre towary. Cóż? Płacimy za wszystko, bo są to rzeczy potrzebne. Na całym świecie płacą — płacimy i my. A cóż wy nam dacie? Nie umiecie rządzić fabrykami, prowadzić gospodarstwa. Kowal, ślusarz, cieśla — to, bracie mój, nie mądry człek, który wszystko umie... Jakże też można bez adwokata i uczonych się obejść? Któż wtedy doradzi? Nie wy przecież?

— My wam dopomożemy odebrać ziemię, zagarniętą przez carów i burżujów — wtrącił Lenin.

— Dziękujemy! — odezwali się chłopi chórem. — W tej sprawie pójdziemy razem z wami.

— To już i zgoda! — zawołał Włodzimierz.

Wieśniacy uśmiechnęli się chytrze.

— Po prawdzie powiemy. — mruknął stary, — powiemy, aby później sporu nie było pomiędzy nami! Ziemię odbie-

rzemy, ale nikomu do naszych spraw mieszać się nie pozwolimy... Nasz będzie wtedy rząd. Nie dopuścimy ani buntów, ani wojny...

— A robotnicy? — wybuchnął Kalinin. — Cóż wy sobie myślicie? My się z tem nie pogodzimy nigdy! Taki wam strajk urządzimy, że gorąco będzie!

Lenin z groźnym wyrzutem spojrzał na towarzysza.

Chłopi jednak już podnieśli głowy i, ponuro patrząc na wszystkich, milczeli.

— Jakoś załatwimy polubownie nasze sprawy — rzucił pojednawczo Lenin, chociaż oczy miał zmrużone i mocno zaciskał szczęki. — Załatwimy...

Stary wieśniak nie zwrócił na te słowa żadnej uwagi. Wstał i, ociągając na sobie sukmanę, rzekł:

— Odrazu powiem, co „ziemia" myśli o was! Wiemy, że od robotników bunt i niepokój idą. My zmusimy do zniesienia wielkich fabryk, gdzie tysiące się was gromadzą. Rozrzucić każemy małe fabryczki po całej Rosji, zdaleka jedną od drugiej. Gdy na każdej fabryce będzie po stu robotników, my sobie z nimi damy radę! Spokój będzie, bo teraz pracować nie możemy...

Obecni przy rozmowie robotnicy wszczęli hałas. Rozległy się krzyki, pogróżki, wyzwiska:

— Burżuje! Czytać nie umieją, a już o pognębieniu robotników marzą! Nauczyli was dobrze lokaje burżuazji, całe to padło inteligenckie, te szuje liberalne! Zdrajcy!

Wieśniacy spoglądali na siebie, jakgdyby pytając, czy nie czas rękawy zakasać i bić ciężkiemi, stwardniałemi pięściami.

Lenin przyłapał spojrzenia ich i myśli.

Zaśmiał się nagle dźwięcznie, szczerze i wesoło.

— Towarzysze! — krzyknął przez śmiech. — Zabawna historja! O co się kłócicie? Wszyscy mają rację! Towarzysze od ziemi myślą o ziemi, bo to dla nich pierwsze do zdobycia. Robotnicy — o władzy politycznej, ponieważ jest to ich najważniejsze zadanie. Zdobywajmy razem placówki naszych wrogów, a później dojdziemy do porozumienia i w innych sprawach. Cóż mamy dzielić skórę niedźwiedzia, którego tymczasem nie upolowaliliśmy?!

Robotnicy mruczeli i złośliwie spoglądali na wieśniaków. Chłopi patrzyli na nich pogardliwie i mówili:

— Dlaczego nie porozumieć się?... My gotowi. Tylko najpierw ziemia!

Wreszcie opuścili mieszkanie Lenina.

Towarzysze rzucili się na swego wodza i osypywali go wyrzutami:

— Mówiliście z nimi, a tymczasem to są — zdrajcy rewolucji! Co to znaczy? Wstyd! Hańba!

Lenin porwał się z krzesła, przyskoczył do wzburzonych robotników i krzyknął syczącym głosem:

— Dość! Dość! Chłopów jest sto miljonów, słyszycie wy — półgłówki? Muszę z nimi politykować ciągle. Z nimi będzie trudniejsza, dłuższa walka, niż z carem i burżuazją! Rozumiecie?

Towarzysze umilkli, patrząc na wściekłą twarz Lenina. Spostrzegłszy to, uspokoił się natychmiast i nawet uśmiechnął.

— Powiem wam tylko jedno, a wy zapamiętajcie to sobie dobrze! — rzekł. — Gdy będziemy robili rewolucję socjalną, — wieś, „ziemia“ rzuci hasło chłopskiej burżuazyjnej rewolucji.

Po wyjściu towarzyszy, Lenin zaczął biegać po pokoju i zacierać ręce, ciesząc się i wykrzykując:

— Nie pomyliłem się ani o jotę! Zrozumiałem wszystko tam nad Wołgą i Jenisejem. Nic się nie zmieniło! Szedłem dobrą drogą. Bez inicjatywy i kierownictwa proletarjatu włościaństwo jest zerem dla rewolucji, przygotowywanej przeze mnie. Zero! Ale ja to tego zera dodam nowe, ogromne liczby!

Umilknął i, mrużąc oczy, rzucił przez zaciśnięte zęby:

— Chociażbym miał wytępić pięćdziesiąt miljonów chłopów! Są oni chciwymi niewolnikami, a ja ugnę ich krwawym batem, widmem strasznej śmierci, uciskiem, jakiego nie znali nigdy! Zmienię ich na nowych rabów proletarjatu, aż się opamiętają i pójdą z nami ramię przy ramieniu!

Splunął. Nienawidził w tej chwili tego mrowiska ciemnych ludzi od pługa, stojących na jego drodze.

Był samotny zupełnie, lecz myśl o ciężkiej walce z włościaństwem, dodała mu chęci do życia.

Odjeżdżał, mając przy sobie Nadzieję Konstantynównę, milczącą, skromną, surową — posłuszne narzędzie w jego ręku, i kilku młodych ludzi obcej mu rasy.

Jeden z robotników, odprowadzających go, zapytał:

— Jak się to stało, Włodzimierzu Iljiczu, że najbliżsi wasi pomocnicy: Trockij, Swerdłow, Joffe, Zinowjew, Kamieniew, Stiekłow są żydami?

Lenin zmrużył oczy i odpowiedział:

— Z Rosjanami nie można porywać się na takie rzeczy! Natychmiast zaczną bawić się w mrzonki, tęsknić do duszy wszechświata, myśleć o uszczęśliwieniu ludzkości, a gdy urwie im się guzik od bluzy, wpadną w rozpacz, siądą, płacząc na brzegach „rzek babilońskich“, bić się w pierś zaczną, skruchę odczuwać i na niebo baraniemi oczami spoglądać. Dla naszej sprawy najlepsi byliby Amerykanie, Anglicy lub Niemcy. Z braku ich, biorę innych, nie mających w sobie krwi rosyjskiej, towarzyszu!

Zaśmiał się złym śmiechem.

— Wy jesteście nasz, rosyjski człowiek, a przecież prowadzicie do celu i na duchu nie upadliście? — zadał robotnik nowe pytanie.

— Jakiż ja rosyjski człowiek? — odparł, wzruszając ramionami. — Ojciec — Kałmuk astrachański, matka — z domu Blank, nazwisko — pochodzenia obcego... Ja od Kałmuków odziedziczyłem śmiałość do burzenia i zuchwałość do budowania nowego świata na ruinach i cmentarzach starego!

Spojrzał na zdumionego towarzysza i urwał nagle.

Uśmiechnął się dobrotliwie i łagodnym głosem dodał:

— Zażartowałem z was, przyjacielu! Jakiż ze mnie cudzoziemiec? Urodziłem się nad Wołgą i od dzieciństwa słuchałem opowieści o Stieńce Razinie, Jemielce Pugaczowie i innych rozbójnikach i buntownikach. Cha—cha—cha!

— No, przecież, uspokoiliście mnie! — zawołał robotnik.

— Uspokoiłem? To — dobrze! Powiem wam teraz coś innego — ciągnął Lenin. — Ja w rozpacz nie wpadnę nigdy i przed niczem się nie zawaham! Wierzę, że to, co dziś prze-

graliśmy, jutro odbijemy! Nie podobny w tem jestem do rosyjskiego człowieka! A to dlatego, że w młodości wyrzuciłem z serca miłość dla siebie i troskę o życie własne. Niczego nie pragnę, oprócz zwycięstwa partji, i dojdę do niego prędko, tylko patrzeć, towarzyszu! Nie myślcie o tych obcych nam z krwi pomocnikach naszych! Czyż zaprzątacie sobie głowę tem, czy to Rosjaniu, czy też kto inny sfabrykował dla was młotek, piłę, tokarkę? Nie! Więc niech wam nie chodzi o to, kto: Rosjanin, Żyd, Polak, Łotysz czy Murzyn da wam państwo socjalistyczne! Aby tylko dał!

Robotnik zaśmiał się i rzekł z przekonaniem w głosie:

— Pewno, że tak!

— No, widzicie, jakie to proste i jasne?!

— Pewno, że tak! — powtórzył robotnik i więcej już o nic nie pytał.

Lenin zamieszkał narazie w Zurychu. Pracował tu nad stworzeniem naraz dwu dzienników, ciułając grosz po groszu z przysyłanych mu z Rosji od niedobitków jego partji drobnych zapomóg pieniężnych.

Głównym wrogiem dla niego byli teraz mieńszewicy i na nową walkę z nimi ostrzył nóż.

Nie miał też wygórowanego pojęcia o zachodnich towarzyszach, ujętych w karby demokratycznej ideologji.

W Stuttgarcie w końcu r. 1907 po raz pierwszy wypróbował zachodnio-europejską socjal-demokrację, zwołaną na kongres II Międzynarodówki.

Lenin zaproponował do przyjęcia wniosek, żeby, na wypadek wojny europejskiej, wszystkie partje socjalistyczne dążyły do wybuchu wojny cywilnej przeciwko kapitalizmowi, podnosząc sztandar rewolucji socjalnej. Podtrzymała go tylko Róża Luxemburg i propozycja została odrzucona z całą stanowczością. Bebel zasadniczo zgadzał się z myślą wniosku, lecz ze względów taktycznych uważał przeprowadzenie go za niewłaściwe.

Lenin z pogardliwym wyrazem na twarzy zawołał wtedy:

— Pamiętajcie, że za kilka lat albo przyjmiecie mój wniosek, albo też przejdziecie w szeregi wrogów proletarjatu!

Nacisnął czapkę na głowę i zamierzał opuścić salę posiedzeń.

Jednak nie uczynił tego.

— Nie wolno cofać się! Kongres przyjmie nikczemną „gutaperkową“ formułę, która osłabi nas.

Został i wraz z Zinowjewym i Różą Luxemburg przeforsowali poprawkę, obowiązującą partyjnych socjalistów do wysiłków, skierowanych przeciw wojnie i kapitalizmowi.

Nazajutrz, przeglądając dzienniki, Lenin śmiał się długo i złowrogo.

Cała prasa socjalistyczna rzuciła się na niego z wściekłością, nazywając go „anarchistą“, Maratem, zbrodniarzem i szaleńcem, opętanym przez manję wielkości i ambicję osobistą.

— Głupcy! Głupcy ślepi! — syczał przez śmiech.

Gdy wziął do rąk gazety rosyjskich socjalistów, kierowanych przez Plechanowa, przestał się śmiać. Uspokoił się nagle i czytał uważnie, zatrzymując się na poszczególnych wyrazach i słowach.

Skończył i, zamknąwszy oczy, siedział zamyślony.

— Czytałaś? — spytał Krupskiej, ruchem głowy wskazując stos rozrzuconych po biurku i podłodze dzienników.

— Przeglądałam dzisiejsze pisma — odparła. — Atak przeciwko tobie na całej linji!

— Atak... — szepnął. — Atak, który skończy się ich klęską! Tymczasem nic mnie nie obchodzi grzeczniutki, dobrze wychowany i wytresowany, jak piesek cyrkowy, socjalizm europejski. Rozprawię się z nim później! Przyjdzie czas, gdy na mnie połamie zęby... Ale nie mogę pozostawić bez odpowiedzi naszych półgłówków, owczym pędem brnących za Plechanowym. On wie co robi i tylko dotąd nie odkrył swoich kart! Inni idą za nim, o niczem nie myśląc. Nie mogę dłużej czekać! Muszę otworzyć oczy partyjnych towarzyszy i w proch obrócić stare „ikony“ socjalistyczne... albo... albo przynajmniej obryzgać je błotem od stóp do głów. Muszę z tem zrobić porządek!

Schwycił „Jutrznię“ i na głos czytał.

— Słyszysz? — zawołał. — Nazywają mnie Nieczajewym. Tyle lat ze mną pracują, a dotąd nie znają mnie. Ja i — Nieczajew!! Co mam z nim wspólnego? Nienawiść klasową, wiarę w zbawienność rewolucji, energję do walki? Ale to mają Plechanow, Kautzky, Bebel, Lafargue, ba! nawet

Czernow i Sawinkow. Nieczajew był wściekły ślepiec, bez namysłu porywający się na czyny szalone. O, jam nie taki! O każdym swoim kroku myślałem lata całe i nogę stawiam tam, gdzie znam każdy kamień, najmniejsze źdźbełko trawy. Znam i przewidzieć mogę każde drgnienie duszy narodu rosyjskiego, którego nikt nie zna i nie znał nigdy... Dowód najlepszy — nie rozumieją mnie!

Krupskaja zaśmiała się cicho.

— Co ci przyszło do głowy? — spytał Lenin.

— Kiedyś czytałam twoją charakterystykę. Już nie pamiętam, kto pisał, że jesteś najzdolniejszym uczniem jezuitów, że w tobie się skojarzyły wady i talenty Machiavelego, Talleyranda, Napoleona, Bismarka, Bakunina, Blanqui i Nieczajewa — rzekła ze śmiechem.

— Do takiego biografa można zastosować określenie popów rosyjskich, którzy o głupcach mówią, że są „bałwanami króla Niebieskiego“! — odparł i zaczął się śmiać głośno i wesoło.

Był to śmiech dziwnie beztroski i zupełnie szczery.

Lenin przeniósł się do Genewy, gdzie założył dziennik i tu, w jaskini „lwa“ — Plechanowa rozpoczął wojnę z mieńszewikami.

Nazwał ich „zgniłkami“ i „pobitemi psami“, szczekającemi na własny cień.

Wreszcie napisał artykuł, który przeraził nawet Nadzieję Konstantynównę.

Lenin dowodził, że mieńszewicy zaprzedali się burżuazji.

— Tak nie można pisać! — zaprotestowała Krupskaja. — Jest to już wyraźne oszczerstwo! Któż uwierzy, że Plechanow, Dejcz, Czcheidze są zaprzedańcami?!

Lenin śmiał się, patrząc na nią, a w jego oczach była tak głęboka pogarda dla obaw żony i jej oburzenia, że umilkła i zgnębiona wyszła z pokoju.

Socjaliści nie pozostawili tego oskarżenia bez odpowiedzi.

Lenin został powołany przed sąd partyjny.

Stawił się spokojny, beztroski, tylko w źrenicach jego zapalały się szydercze ogniki.

Na zapytanie, czy miał zamiar wzbudzić w szerokich kołach robotniczych nieufność do partji, uśmiechnął się i odparł:

— Użyłem zupełnie świadomie takich wyrazów, aby robotnicza klasa zrozumiała moje słowa literalnie, czyli, że jesteście kupieni przez burżuazję.

— Przecież, jest to ohydne oszczerstwo! — zawołali sędziowie, zrywając się z miejsc.

Lenin obojętnym wzrokiem ogarnął zgromadzenie i, wzruszając ramionami, spokojnym głosem oświadczył:

— Zwalczając przeciwnika należy zawsze używać wyrazów, wzbudzających w tłumie najgorsze podejrzenia. Właśnie tak uczyniłem!

— Gdzież są pańskie zasady moralności? — z oburzeniem zapytał jeden z sędziów.

— Któż to, towarzyszu, opowiedział wam takie brednie, że ja mam zasady i że hołduję moralności? — odpowiedział pytaniem, mrużąc oczy.

— Istnieją zasady etyczne, niezmienne... — rozpoczął sędzia.

Lenin niecierpliwie przerwał mu:

— Towarzyszu, nie traćcie słów i czasu! W moim słowniku pojęcia te nie istnieją. Zasada moja — rewolucja; moralność — rewolucja!... To już i wszystko! Dla powodzenia wszystkie drogi i środki są dopuszczalne.

— Nawet fałszowanie pieniędzy, lub „pożyczki" od żandarmów? — krzyknął z miejsc dla publiczności jakiś młodzieniec, bijąc się w pierś. — Cóż na to odpowiecie, towarzyszu Uljanow?!

Lenin uśmiechnął się zagadkowo i odparł łagodnym, dobrotliwym głosem, niby do dziecka mówił:

— Odpowiem! Towarzyszu, czy nie macie przy sobie kliszy banknotu, a ja go odbiję na rzecz partji i rewolucji? A, może znacie jakiego żandarma, który chciałby dać pieniądze na mego „Proletarjusza", bo ja chętnie wezmę?...

Wszczął się hałas, krzyki oburzenia, przekleństwa.

Lenin podniósł głowę i chrapliwym głosem zawołał:

— Towarzysze! Nie mam nic więcej do powiedzenia wam. Odchodzę i oświadczam, że wyrok wasz nie zwiąże mi rąk, że będę postępował tak, jak tego wymagają sprawy rewolucji i partji bolszewików, czyli istotnych socjalistów, nie zaś lokajów, nadskakujących liberalnym fałszerzom i demokratycznym szantażystom!

Jednak przeciwnicy szkodzili mu w Genewie na każdym kroku. Nie mógł nawet znaleźć drukarni dla siebie. Zmuszony był przenieść się do Paryża.

Lenin z Krupską pędzili tu ciężkie życie.

W Rosji wszystko się pochowało lub legło zduszone przez wzmagającą się, ponurą reakcję.

Socjaliści albo się wyrzekali swoich przekonań i przechodzili do obozu legalnych liberałów, albo opłakiwali minione czasy nadziei, twierdząc, że rewolucja zamarła na długie lata, a może nawet na zawsze. Nikt już nie szukał nowych dróg i tylko z dalekiego Paryża zalatywał samotny, a potężny głos:

— Nie dawajcie się oszukać grabarzom rewolucji, którą mieńszewicy i inni zdrajcy naszej sprawy nazywają chaosem. Przeżyliśmy okres wielkiej rewolucji nie dlatego, że był ogłoszony manifest 17 października 1905 r. o rosyjskiej konstytucji, nie dlatego, że burżuazja zaczęła protestować przeciwko zgrzybiałym formom rządu, lecz dlatego, wyłącznie dlatego, że w Moskwie wybuchnęło zbrojne powstanie robotników i że przed światowym proletarjatem na jeden miesiąc zabłysła petersburska rada robotniczych delegatów, jako gwiazda przewodnia. Echa jej nie umrą! Rewolucja odrodzi się niebawem, powstaną Rady robotnicze, Rady zwyciężą!

Te słowa śmiałe, nadzieją opromienione, świeciły, jak dalekie błyskawice. Dla jednych były one ostatniemi pomrukami odlatującej burzy, dla drugich — fałszywemi ogniami, puszczanemi dla postrachu, dla innych, a tych coraz mniej pozostawało w Rosji, brzmiały one — niby rzewne słowa Ewangelji, którą niegdyś w mrocznej epoce prześladowania chrześcijan głosili z ukrycia apostołowie i ich uczniowie, podtrzymując i pokrzepiając wiarę ściganych, umęczonych, trwogą ogarniętych, niepewnych ani dnia ani godziny wyznawców drogiej i jedynej dla nich prawdy.

Tymczasem rozproszona i prawie zgładzona partja nie mogła zaopatrywać swojego proroka i wodza w środki pieniężne.

Drobne sumy, przysyłane z Rosji, nie starczyłyby na utrzymanie Lenina, Krupskiej, Zinowjewa i Kamieniewa, a tymczasem większą część zapomóg oddawano na drukowanie ga-

zety „Socjal-Demokrata", gdzie rzucano hasła nadziei i nawoływano do czujności, aby nie zmarnować chwili, nadającej się do podniesienia czerwonego sztandaru.

Były to lata głodu i nędzy ostatecznej.

Lenin, żywiąc się czarną kawą i suchym chlebem, dnie całe spędzał w Narodowej Bibljotece i opracowywał szereg książek, które miały się stać później biblją nowej sekty rewolucyjnego proletarjatu.

Nie zwracał już żadnej uwagi na napaści socjalistów z innych obozów, na ich drwiny i oszczerstwa, — pracował, nie upadając na duchu, niezłomnie wierząc w dążący świt nowej rewolucji.

— Skąd macie tę wiarę i pewność, że przyjdą inne czasy, kiedy pracujące warstwy będą mogły dążyć do swego celu? — pytał go nieraz Kamieniew.

Takie same pytanie czytał Lenin w oczach Krupskiej i Zinowjewa.

Podnosił głowę, nadsłuchiwał, baczny i drapieżny.

Zdawało się, że to dziki zwierz wietrzy i czyha, czując zbliżającą się zdobycz.

Mrużył skośne oczy, zacierał ręce i szeptał przenikliwie:

— Wielka wojna jest nieunikniona... Wyczuwam ją każdym fibrem duszy. Słyszę jej ciężki chód, a z dniem każdym rozlegają się głośniej, bliżej jej twarde kroki. Nadchodzi nasz czas! Godzina ostatecznej walki i zwycięstwa!

Więcej nic nie mówił. Chory, blady, głodny, w podartem ubraniu biegł do bibljoteki, czytał, pisał, jakgdyby się obawiał, że nie zdąży na czas zakończyć pracy, gdyż lada chwila nastanie potrzeba czynu, walki, dla których on — nędzny, ubogi emigrant — skrzętnie zbierał, systematyzował i ożywiał hasła, układał „świętą księgę" nowej wiary, broń bitewną i narzędzia zniszczenia wrogiej twierdzy.

Po ciężkich latach ucisku, sumienie uciemiężonego narodu rosyjskiego budzić się zaczęło. Na dalekiej Lenie syberyjskiej wyzysk i znęcanie się kapitału doprowadziło do powstania robotników w kopalniach złota.

Echa strzałów żandarmskich do bezbronnych ludzi poniosło ponurą, drażniącą wieść ponad bezkresne równiny Rosji.

Odpowiedziało im wrzenie w środowiskach fabrycznych, w kołach inteligencji, w Dumie państwowej, w prasie rosyjskiej i zagranicznej.

Rząd uląkł się i natychmiast rewolucyjne żywioły zajęły nowe placówki. W Petersburgu i Moskwie zjawiły się legalne, chociaż skrajne pisma „Gwiazda", „Prawda" i „Myśl".

Lenin rzucił całą powódź swoich artykułów.

Podnosił w towarzyszach partyjnych gasnącą wiarę w możliwość rewolucji socjalnej, zohydzał parlamentaryzm, przytaczał nowe oskarżenia, potępiające przeciwników, i twierdził, że zachodni socjalizm przegnił razem z legalizmem socjal-demokratów.

Ciskał zuchwale w twarz całego świata rękawicę, oświadczając, że tylko rosyjski proletarjat rewolucyjny posiada siłę do zburzenia starego, przeżytego, tonącego, w marazmie społeczeństwa i do wyprowadzenia ludzkości na drogę prawdziwego postępu, idąc na czele pracujących wszystkich ras i narodów.

W tym okresie ożywiającego się ruchu, partja zażądała od Lenina, aby zamieszkał w pobliżu rosyjskiej granicy. Potrzebowała bowiem ciągle rad jego i kierownictwa.

Natychmiast porzucił Paryż i przeniósł się narazie do Pragi.

Codziennie przybywali tu towarzysze z Petersburga i Moskwy. Stosunki z Rosją nie przerywały się odtąd ani na chwilę. Lenin znowu złączył i powiększył szeregi partji, kierował gazetą „Prawdą", w której umieszczał artykuły, odzywając się na wszystkie echa życia, przygotowywał mowy dla najbardziej śmiałego posła do Dumy, towarzysza Malinowskiego.

Lenin odmłodniał. Niewyczerpany zasób sił burzył się w nim i tryskał. Nie spał, nie jadł, naradzając się z gośćmi, pracując przy biurku, rozsyłając listy prywatne, cyrkularze, komunikaty.

Stawał się znowu wodzem.

Towarzysze myśleli, że kieruje życiem partji w przeżywanej dobie. On zaś przygotowywał partję do wielkich czynów, bo czuł i wierzył niezłomnie, że chwila dawno oczekiwana zbliża się szybko i nieubłaganie.

W tym czasie Lenin zwołał zjazd partji w Pradze czeskiej dla omówienia taktyki, uzgodnionej z okolicznościami momentu politycznego.

Przed rozpoczęciem obrad otrzymał list cyfrowany. Odczytał go i uśmiechnął się zagadkowo.

Na zjeździe zbliżył się do niego nieznajomy człowiek i, przyglądając mu się podejrzliwie, rzekł:

— Niezmiernie się cieszę że was poznaję, towarzyszu! Jestem delegatem od socjalistycznej lewicy Dumy Państwowej. Wygłaszałem pisane przez was mowy...

— Malinowski? — przerwał mu Lenin.

— Tak! — potwierdził nieznajomy.

— Sądzę, że macie do pomówienia ze mną na osobności... — szepnął Lenin.

— Istotnie... chciałem... — zaczął Malinowski.

— Nie tutaj! — potrząsnął głową Lenin. — Przyjdziecie do mnie dziś wieczorem. Będziemy sami... W cztery oczy łatwiej się mówi. Prawda?

— Rzecz jasna, że łatwiej! — zgodził się. — Przyjdę do was, Włodzimierzu Iljiczu.

Około północy zjawił się w pokoju Lenina i niespokojnym wzrokiem szperał po wszystkich kątach.

— Widzę, że macie coś ważnego do powiedzenia! — uśmiechał się Lenin. — Mówcie śmiało — nikt nas nie podsłucha.

Usiedli i pochylili ku sobie głowy, jak dwaj spiskowcy.

— Spotkała mnie pewna przykrość... — zaczął Malinowski niepewnym, drżącym głosem. — Towarzysze twierdzą, że posiadają dowody... dowody...

— Że służycie na dwa fronty: rewolucji i policji! — dokończył za niego Lenin.

— To już wiecie? — spytał, ze zdumieniem i trwogą patrząc w jarzące się źrenice Włodzimierza.

Ten w milczeniu skinął głową i czekał, nie spuszczając wzroku z niespokojnie biegających oczu gościa.

— Oszczerstwo! Krzywda mi się dzieje, Włodzimierzu Iljiczu! — zawołał i uderzył się w piersi. — Wiecie, że byłem mieńszewikiem, lecz stopniowo, po długich obserwacjach i namyśle, przeszedłem do bolszewików i wykonam wszystkie wasze zlecenia, towarzyszu!

— Dość! — syknął Lenin. — Ani słowa więcej! Wiem wszystko, „towarzyszu Romanie“. Wszystko! Od waszej pierwszej zwykłej kradzieży i ostatniej — z włamaniem, za co skazano was na więzienie, — do rozmów tajnych z szefem żandarmów, Kurłowym, i z Bieleckim z departamentu policji!

Malinowski porwał się na równe nogi i sięgnął do kieszeni.

Lenin zaśmiał się szyderczo.

— Zostawcie rewolwer w spokoju! Nic wam nie zagraża ze strony naszej partji... tymczasem, — szepnął. — Potrzebni nam jesteście, bo tylko wy jeden... z zezwolenia departamentu policji możecie bezkarnie wygłaszać w Dumie to, co my wam podyktujemy. Dla partji jest obojętnem, kto wypowiada nasze myśli: uczciwy socjalista, czy podły prowokator. Chodzi nam o to, aby Rosja słyszała, co myślimy i do czego dążymy.

Towarzysz Roman milczał, ze zdumieniem i nieufnością patrząc na Lenina, który uśmiechał się do niego uprzejmie i ciągnął dalej:

— Przez cały czas współpracy z nami będziemy bronili was przed wszelkiemi zarzutami. Jeżeli zaczniecie uchylać się od tego...

Włodzimierz wstał i podszedł do Malinowskiego. Dotknął jego kieszeni i rzekł:

— Rewolwer, ani nawet cały korpus żandarmów nie uratują was, towarzyszu. Zginiecie tegoż dnia, w którym centralny komitet partji wyda na was wyrok śmierci. A teraz bądźcie spokojni tymczasem! Zupełnie spokojni!

Rozstali się, mocno potrząsając sobie ręce i rozmawiając życzliwie.

Ledwie zamknęły się drzwi za prowokatorem, z szafy wyślizgnął się Zinowjew, a z pod łóżka wypełznął Murałow, stary partyjny robotnik.

Śmiali się cicho i mówili do Lenina:

— Ależ zabiliście mu, Iljiczu, ćwieka do głowy! Cha, cha, cha!

Włodzimierz zacisnął usta i szepnął:

— Szkodnik to i ostatni szubrawiec, jednak partja ma z niego więcej korzyści niż niebezpieczeństwa. Musimy go bronić wszelkiemi sposobami. Wyśpiewa on nam kiedyś

wszystko, co potrzebujemy wiedzieć, a później nastąpi... likwidacja...

— Śmierć? — zapytał Zinowjew.

— Tacy żyć długo nie powinni — z uśmiechem łagodnym odpowiedział Lenin. — Zapamiętajcie tylko dobrze dzień dzisiejszy, bo, być może, że będziecie zmuszeni poświadczyć rozmowę moją z prowokatorem i z wami.

W milczeniu skinęli głowami.

— Chcę wprowadzić Malinowskiego do centralnego komitetu partji; zapewnijcie jednogłośne obranie go przez kongres jutrzejszy! — dodał Włodzimierz.

Znowu skinieniem głowy potwierdzili rozkaz wodza.

Nie mieli żadnych zwątpień i cienia wahań.

Szli przecież ku celowi partji.

Dla niej gotowi byli oddać życie... swoje i innych. chociażby dla tego musieli wytępić połowę całej ludzkości.

Był to wyższy nakaz. Dla nich — promienny ideał, dla wrogów — zbrodnia ponura.

ROZDZIAŁ XIII.

Burza nadciąga!

Ledwie padły te słowa, burza rozszalała. Burza w górach, — wściekła, ognista, zgiełkliwa, stugłosa burza.

Zrodziła ją chmura czarna.

Ta, co od świtu wzbierała na wschodzie.

Była o brzasku dnia jako opary nad bagnem. W południe wyrosła w potworny zwał żółtawych, mętnych mgieł, spływających z bladości nieba. Przed zachodem słońca stwardniała w płachtę ciemną o plamach obłoków białych, szybko mknących.

O tej godzinie szkarłatnego zmroku zwisała czarna, jak kir żałobny, całą wschodnią połać nieba przytłoczyła.

Jeszcze czekała w bezruchu, niby potwór brzemienny, w lęku porodu niemy.

Aż zawyła z bólu, szarpiącego łono.

Wyrzuciła westchnienie potężne.

Pochyliła oddechem swoim gałęzie drzew i pomarszczyła srebrne wstęgi potoków. Zwinęła macki, rozpostarte bezwładnie, wyprężyła pierś i ryknęła głosem męki niezmiernej.

Wpadł głos zgrozy rozpaczliwej w wąwozy gór tatrzańskich, biegł potokiem rozszalałym, smagał i targał łożysko skalne.

Z hukiem toczyły się kamienie, obsuwały się ławiny piargów, pluskały i wybiegały na strome brzegi potoki wzburzone i wylękła struga rzeki, co była jak krew w ostatnich błyskach słońca.

Rozdarte łono chmury roniło płód ognisty — skręty wężowe piorunów.

Przed chwilą zrodzone, już wściekłe, wbijały żądła w wierchy gór, spadały w doliny, strącały grube piony drzew, łamały konary, rzygały płomieniem na strzechy schronisk halnych.

Ich porykom wtórowały góry łoskotem toczących się głazów, trzaskiem druzgotanych świerków i echem potężnem.

Rozszalało ono, rozpętało się. Niby strachem porwana kozica, przesadzało doliny i biegło wierchami w popłochu. Staczało się na dno dolin głębokich, mknęło naoślep, uderzało w zwisające krawędzie skał, w biegu wstrzymywało potoki spienione i ginęło hen! gdzieś pod ścianą czarnych smreków. na pastwiskach opustoszałych.

Znowu westchnęła chmura i dyszeć jęła raz po raz, z bólu wielkiego, w rozpaczy męki.

W poszumie, świście, wyciu, zawodzeniach podmuchu potwornego utonęły wszystkie głosy. Błyskawice spadały chyżym biegiem wężowym bez dźwięku, oniemiało echo płochliwe.

Tylko ciężko dyszała pierś, rozrywana jękiem wyjącym.

Pokotem położył ten dech przepotężny czarną połać lasu, popchnął ku przepaści lawinę piaszczystą, zrzucił nadół od prawieków leżące zwały skał, mchem i kosodrzewiną obrosłych, a nie ulżył brzemiennemu łonu.

Wyplusnęło ono z głębin nieznanych strugi wody; rozpłynęło się we łzach, wypełniło ponad brzegi koryta potoków, zmyło i poniosło wśród wirów i piany zerwane darniska, krzaki, szmaty łąk, szczątki zagród i bezwładne w przerażeniu dzikiem stadko owiec.

Włzawem łkaniu rozedrgała się, rozprysła, roztopiła chmura brzemienna i z ostatniemi strugami deszczu spadła na ziemię struchlałą.

Na zachodzie cienką kreską znaczyła się niezagasła zorza wieczorna. Na zrzucającem ciemne spowicia niebie zapalały się gwiazdy...

Dwuch ludzi, ukrytych pod zwisającą skałą, wyszło na ścieżkę i wzrokiem ogarniało dalekie, tonące w miękkim mroku doliny i góry.

— Zrozumiałem wszystko! — zawołał jeden.

Podniósł ku niebu potężną twarz natchnioną i całą piersią wciągnął wonny powiew halny.

— Zrozumiałem wszystko! Zamierzasz w proch i nicość obrócić nieprawość pokoleń, na ruinach i zgliszczach zbudować świątynię wolnej ludzkości. Widzę, jak na jawie, oj-

czyznę moją, kierowaną niczem nieskrępowanym duchem. Przeczuwałem w miotaniach duszy ten czas znojny, bom mówił do braci:

Tliło w mej piersi zarzewie,
Materjał skier tak bogaty,
Że jeno dąć w palenisko,
A płomień ogarnie światy...
Pali się świat... Niechże ginie
W tej strasznej skier zawierusze,
Byleby wyszły z niej cało
Nasze stęsknione dusze...

Ręce podniósł, w natchnieniu ogarniając ziemię całą, i zawołał:

— Lenin! Lenin! Wielkim prorokiem jesteś, nauczycielem, mesjaszem ludów uciemiężonych!

Ten, któremu poeta gorejący rzucił słowa zachwytu, kiwnął nagą, okrągłą czaszką, oczy zmrużył i odparł chrapliwie:

— Jam jest! Przyjście moje przepowiedział przed 140 laty inny buntownik — walczący o szczęście uciemiężonych... Pugaczow! Na szafocie rzucił katom słowa prorocze: „Jam nie orzeł, ino pisklę orle; orzeł szybuje jeszcze pod obłokami, lecz spadnie, spadnie!“ Otom spadł!

Skurczyła się twarz o wystających policzkach, oczach skośnych i wargach sinych, wydętych.

Śmiał się cicho... długo... bez dźwięku i bez wyrazu.

Poeta drżeć zaczął na całem ciele, wpatrując się w tę zjawę, bladą plamą występującą w ciemności, niby zwid straszliwego oblicza, wyłaniającego się z mgły zapomnienia.

Skośne oczy, wystające policzki, wargi grube, okryte rzadkim porostem wąsów, żółtawa skóra nagiej czaszki rozpływać się jęły w mętny krąg, biegnący w dal niezmierzoną, okiem nieogarniętą.

Jacyś jeźdźcy na małych wierzchowcach pędzą, a ziemia jęczy i tętni pod tysiącami krzepkich, lotnych kopyt. Ludzie w spiczastych czapach, w baranich kożuchach wyją i gwiżdżą przeraźliwie. Z sykiem mkną strzały. Połyskują podniesione w zamachu ostrza mieczów. Migocą wysunięte naprzód żądła włóczni. Pędzą jak wicher, a dokoła łuny i szał płomieni nad

grodami i łanami żyta. Przy ogniskach wybucha zgrzytliwy śmiech i przeszywają go jęki, szloch zgrozy i rozpaczy. W połyskach i drganiach szkarłatnych języków płomieni miotają się branki nagie. Ich białe ciała i włosy rozplecione kłębią się wszędzie, niby piana grzywiastych fal. Zbrojni ludzie o oczach skośnych porywają je z głuchym śmiechem, zdławionym żądzą. Padają na stratowaną trawę.

Pośród chybkich przygaśnięć ognisk garną do siebie białe, nagie ciała, szybko i drapieżnie zdobywają je i tuż w obłokach dymu, w zgiełku śmiechu i okrzyków, w obliczu śmierci szaleją w uciechach namiętnych. Do groźnych wodzów na postronku wloką zwalczonych kniaziów ruskich i tłumy jeńców. Śmieją się wodzowie, rozradowani zwycięstwem, i własnemi rękami podcinają gardła, otwierają piersi, wyrywają serca wrogów. Krew, lament, rzężenie konania, krzyk boleści mordowanych, szloch niewiast, nagich i obłędem skutych, rzucanych pod nogi zwycięzcom. Syci uciech i krwi wodzowie mongolscy pokornym kniaziom, co klęczą na skraju drogi, darowują swoje siostry i córy, a ruscy bojarowie w lęku o życie wiodą do namiotów najeźdźców swoje niewiasty. Z mroku wypływają tatarskie oblicza potomków zwycięzców i zwyciężonych, ponura, drapieżna głowa Iwana Groźnego i jeszcze groźniejsze widma okrucieństwa carów ruskich i nie znającej miłosierdzia potęgi ich, tratującej narody i ludzi... Łupy dokoła i trupy pomordowanych; zgliszcza i ruiny; szubienice i lochy więzienne; szloch, jęki, przekleństwa, nienawiść, bunt i znowu — szubienice, kajdany, mogiły bez liku, otaczające, niby mroczne wiechy, znikający na wschodzie szlak stratowany, krwią zlany i ponury, jak stare cmentarzysko...

Lenin wciąż się śmiał. Cicho... długo... bez dźwięku i bez wyrazu...

Poeta przetarł oczy i oprzytomniał.

Zajrzał głęboko w mroczne oczy skośne, w szeroką twarz o grubych wargach; spostrzegł kości wystające pod żółtą skórą na policzkach, rzadki zarost nad grubemi wargami i na brodzie, wzrok zatrzymał na mocnej, okrągłej czaszce łysej, świecącej się w ciemności i wzdrygnął się cały.

— Otom spadł... — szepnęły wydęte, sine wargi Lenina.

Poeta milczał.

Spojrzał ku wschodowi. Tam zawisł bezdenny, okiem nie przeniknioný mrok.

Obrócił twarz na zachód. Za czarną zasłoną gasły resztki zorzy.

Jakgdyby zrywająca się znagła burza przyszła zgroza bezmierna. Poeta rękę podniósł i rzekł głosem, w duszy zrodzonym:

— A jeśli w mroku i zbrodni ziemię tę pogrążysz — zginiesz i przeklinać cię będą wnuki wnuków naszych...

Lenin śmiał się, a z grubych warg jego sączył się ostry, przenikliwy syk.

Trząsł się cały i oczy skośne mrużył...

Gdzieś daleko — daleko, już za górami przebiegł głuchy pomruk przewalającej się nad światem burzy.

Słaby pomruk... Nawet echo nie odpowiedziało mu.

Nie słyszało odgłosu odlatującej burzy, a, może, nie rozumiało dalekiej groźby?...

ROZDZIAŁ XIV.

Lenin, rozstawszy się z poetą w uzdrowisku górskiem, — Zakopanem, powracał samotny do swojej chaty w wiosce Poroninie.

Przeniósł się tu wraz z Krupską i Zinowjewym z Krakowa, gdzie mieszkał przez pewien czas, chcąc być bliżej granicy rosyjskiej. Codziennie pieszo przychodził ze wsi Poronina na pocztę lub do Zakopanego, gdzie miał kilku przyjaciół — Polaków i Rosjan.

Tu przybywali różnemi drogami, a najczęściej szlakiem przemytników — przez „zieloną granicę“, rosyjscy rewolucjoniści z partji bolszewików dla narad ze swoim wodzem. Powracali, niosąc zaszyte w ubraniach, czapkach i butach napisane przez niego artykuły, broszury i ulotki, rozchodzące się po Rosji w tysiącznych odbitkach.

Teraz, po wycieczce w góry, wchłaniając całą piersią ożywcze powietrze, świeże i czyste po burzy, jeszcze przemawiającej zdaleka głuchym pomrukiem, powracał do domu.

Miał przed sobą kilka kilometrów drogi.

Pomyślał, że może wstąpić do znajomego Rosjanina Wigiłowa i pożyczyć od niego roweru, lecz nie uczynił tego. Postukując okutą laską góralską, szedł drogą na Poronin.

Przypomniał sobie natchnione słowa poety polskiego, błogosławiące go na wielkie dzieło wprowadzenia ludzkości na drogę niebywałego w dziejach postępu ducha.

Uśmiechnął się chytrze i mruknął:

— Obietnicą oswobodzenia narodów uciemiężonych wstrząsnę całym światem!

Znowu się zaśmiał już głośniej.

Myśl jego biegła dalej. Zdawało się, że czyniła przegląd sił, kontrolowała zdobyte placówki, wysunięte naprzód posterunki, badała nieprzyjacielskie twierdze.

Każdy inny wpadłby w rozpacz i zwątpienie. Dokoła bowiem piętrzyły się wrogie, potężne przeszkody.

Wojna europejska, którą od kilku lat przepowiadał, wybuchnęła. Oceniał sytuację z zimną rozwagą. Nie wątpił, że europejskie mocarstwa skupiają, gromadzą cały zasób sił wewnętrznych, że postanowiły doprowadzić do końca ostateczny porachunek.

— Będziemy świadkami krwawej rzezi pomiędzy imperjalistycznymi drapieżnikami! — pomyślał i znowu się zaśmiał wymachując laską.

W Rosji wzmagający się patrjotyzm, sztucznie podtrzymywany przez prasę i rząd, zmusił rewolucyjne partje do milczenia, lub do ukrycia się po mysich norach.

Wiedział Lenin, że w kołach socjalistów niemieckich i francuskich uważano go za szaleńca i fanatyka, wierzącego w socjalną rewolucję; mieńszewicy, z Plechanowym, Martowym, Danem, Akselrodem na czele, usiłowali wykopać przepaść pomiędzy swoją partją a bolszewikami, prowadząc zażartą kampanję przeciwko „anarchizmowi“ ich wodza; Trockij, Joffe, Urickij pracowali nad pogodzeniem obydwu odłamów socjalizmu; w samym obozie organizacji, stworzonej przez Lenina, panował rozkład i rozbieżność w taktyce: zdolni ludzie, jak Łozowski, Wolski, Bohdanow, Łunaczarskij i Aleksinskij zwalczali bolszewickie centrum, kierowane przez Lenina, Kamieniewa, Zinowjewa i Krupską.

Wszystko jakgdyby przeszło do obozu wrogów.

— Kogóż mam w swoich szeregach? — pytał Lenin. — Trzech wiernych towarzyszy, którzy zresztą mogą ulęknąć się ostatniego, stanowczego słowa w chwili krytycznej? Małe grupki partyjnych robotników, jak wyspy na burzliwem morzu, otoczonych nieprzyjaciółmi. Liebknecht, Róża Luxemburg, może Klara Zetkin w Niemczech... Tak! Oni nie zdradzą, nie odstąpią od naszych haseł, lecz jak postąpi cała masa, tych kilka miljonów zorganizowanych w II-ej Międzynarodówce robotników, kierowanych przez starych wodzów, jak Kautsky, Bebel, Plechanow, Wanderwelde, Vaillant, Scheidemann, Ladzari? Wyprowadzone na manowce, czy pójdą te rzesze za głosem rewolucyjnego sumienia i zdrowego rozsądku?

Lenin przystanął i zamyślił się na chwilę.

— Nie! — szepnął. — Tam na zachodzie nie znajdę sojuszników...

Zaśmiał się i gwizdnął przeciągle.

— Więc cóż? — spytał kogoś, ukrytego w mroku. — Więc cóż? Pochylić głowę pokornie, czekać na lepsze czasy i milczeć?

Śmiech stawał się coraz bardziej syczący, szyderczy.

We wspomnieniach ożyły nagle łańcuchy zielonych i różowych gór, widzianych z podobłocznej przełęczy, gdzie zaprowadził go rozmiłowany w swoich wierchach i „halach" poeta polski, nieugięty i mocny jak skała, zrodzony z niej cały — od stóp do głowy.

Widział Lenin za kamienną przegrodą, za zasłoną z mgieł i krzyżujących się promieni słonecznych całą ziemię.

Ujrzał ją taką, jaką znał od lat głębokiej zadumy, troski ciężkiej, nienawiści palącej.

Była to kraina łez, płaczu i zgrzytu zębów...

Od wieków, wieków niezliczonych, od zamierzchłych czasów potężnych, dumnych cesarzy czterech stron świata, siedzących na tronie Assyru i Babilonu, od tajemniczych królów-kapłanów, synów egipskiego Ra — słońca, od boskich władców Chin i tak bez końca, przez epoki, stulecia, po przez miecze i berła koronowanych drapieżników, mędrców i świętych... Kraina wiecznej, krwawej przemocy garstki możnych, mądrych i zbrojnych nad mrowiskiem nędznych, bezbronnych, bezradnych.

— Cha! cha! cha! — rozległ się głośny, zły śmiech stojącego na drodze człowieka w wyszarzałem ubraniu i zniszczonem obuwiu.

— Cha!-cha-cha! — śmiał się Lenin, oczy skośne mrużył, zaciskał szczęki, aż koło małych, przyciśniętych do czaszki uszu zadrgały guzy mięśni. — Cha-cha-cha! To są moje zastępy! Wszyscy ci, którym pozostawiono jedyne prawo — płakać, ryczeć, wyć z rozpaczy, zębami zgrzytać z nienawiści!... Oni pójdą za mną!... Najnieszczęśliwsi, najciemniejsi, najbardziej zdeptani na czele, na pierwszy ogień, a za nimi ci, co już cierpieć i milczeć umieją. Lecz ja wyszarpnę z nich taką nienawiść zimną, że aż zgrzytną zębami i pójdą za mną... pójdą!...

Uśmiechał się cicho, niemal łagodnie, jak zwykle, gdy wiedział, że rozważył wszystko dokładnie i był pewien powodzenia.

Szedł dalej, obojętnym wzrokiem ślizgając się po usianem gwiazdami niebie. Było mu ono obce, nieciekawe dla niego, bo dalekie, nieuchwytne. Oczy wesołe, ostre, przenikliwe wbijał w ziemię, w góry, czarną zębatą ścianą występujące na niebie, w lasy ciemne, w okna chat góralskich, które świeciły się z obydwuch stron drogi.

Ziemię wyczuwał całą swoją istotą.

Przenikały go przyziemne drgania, zalatywały od pól, boru i chat ubogich szmery i szepty; rozumiał je i odpowiadał na nie myślami i cichą radością, odczuwaną w sercu.

Dziwne są zrządzenia nieznanego ludziom przedwiecznego wyroku!

Oto w tej chwili, w mroku nocnym, na drodze, piaskiem zasypanej, wpobliżu wiosek, ukrytych w rozłogach górskich, szedł samotny człowiek. Niósł pod kopułą potężnej czaszki myśl, mającą wstrząsnąć światem całym; tu pod namiotem starych wierzb przydrożnych zapalały się ognie w zuchwałych oczach skośnych, widzących wszystko, co żyło, myślało i cierpiało za temi górami i za dalekim horyzontem, a zamierzających żarem swym zapłodnić nienawiść, aby wydała obfity, wiekuisty plon miłości; przez rozklekotany, drewniany mostek, przerzucony nad wartkim potokiem, kroczył człowiek o żółto-bladej twarzy dalekich przodków mongolskich i myślał o zburzeniu wszystkiego, co przez wieki krwawej walki i orlego lotu genjuszu budowały tysiące pokoleń, dążących do szczęścia i kierowanych podświadomem dążeniem do bóstwa.

W nieznanym, drobnym zakątku górskim szedł taki człowiek. W tej samej chwili we wspaniałych pałacach władców, parlamentów, bogaczy, w świątyniach wiary i nauki, w zacisznych pracowniach twórców wojny, wiedzy, pokoju i ładu płynął swojem łożyskiem niczem nie zmącony potok codziennych trosk i zagadnień, jakgdyby wyrytem przed wiekami i na wieki korytem. Nikt nie przeczuwał dążącej katastrofy, spowodowanej słowem, które mogło kiedyś stać się ciałem; nikt nie podejrzewał, że gdzieś w zaciszu Tatr oddychał

i myślał człowiek, posiadający moc, żeby się ogłosić drugim Mesjaszem — białym lub czarnym, promiennym lub mrocznym, Chrystusem lub Antychrystem...

Nikt o tem nie wiedział.

Ludzkość, zagnana szybkim pędem życia, szła wydeptaną od wieków ścieżką bezimiennych bohaterów i męczenników, patrząc obojętnie na wiechy zmurszałych, zbutwiałych idej, nie widząc przed sobą innego celu, oprócz ciemnej czeluści grobu.

Dawno wyzbyła się wiary i nadziei, nie marzyła o nowych Mesjaszach i nie słyszała kroków człowieka o skośnych oczach nienawidzących, o zaciętych w uporze wargach, zwartych niezłomnem postanowieniem.

Lenin zbliżał się do Poronina.

Spostrzegł samotną postać, stojącą na drodze. Wyminął ją, przyglądając się bacznie.

Ujrzał młodego mężczyznę. Na twarzy pięknej, uduchowionej płonęły w bladem świetle wschodzącego księżyca, oczy natchnione.

— Przepraszam... — doszedł Lenina cichy okrzyk. — Czy mam przyjemność widzieć towarzysza Włodzimierza Iljicza Uljanowa-Lenina?

Włodzimierz przystanął, podejrzliwie patrząc na nieznajomego.

— Jestem Lenin — odparł i przybrał czujną, gotową do obrony postawę.

— Przysłano mnie do was, towarzyszu, — rzekł młodzieniec. — Dziś przybyłem z Rosji... Jestem członkiem centralnego komitetu socjal-rewolucjonistów, Sielaninow, Michał Pawłowicz Sielaninow, partyjne imię „Muromiec". Widzicie, że mam zupełne zaufanie? Prosiłbym o to samo ze strony waszej, towarzyszu!

Lenin oglądał go bacznie, nieufnie i milczał.

Nieznajomy uśmiechnął się nieznacznie i szepnął:

— Nie mam przy sobie żadnej broni... Gotów jestem poddać się rewizji osobistej. Przybyłem tu nie dla zamachu terorystycznego na was, lecz dla rozmowy poważnej... ostatecznej...

Lenin potrząsnął głową i spytał:

— Jesteśmy blisko domu... Może zechcecie wstąpić do mnie?

— Wolałbym pomówić z wami tu. W domu nie jesteście sami... — odparł Sielaninow.

— Jak chcecie! — wzruszył ramionami Lenin. — Usiądźmy tedy. Powracam z gór... Znużony jestem...

Usiedli obok siebie na stosie kamieni i milczeli długo.

Lenin ze zdziwieniem podniósł oczy na nieznajomego.

— Zaraz... — szepnął Sielaninow, odpowiadając na nieme pytanie. — Chcę jak najwyraźniej sformułować swoje pytania i żądania.

— Żądania? — powtórzył Włodzimierz i zmrużył oczy.

Nagle zrozumiał cel przybycia posła.

Sielaninow zadał pierwsze pytanie:

— Zamierzacie rozpocząć rewolucję w okresie wojny?

— Tak!

— Zamierzacie oddać władzę polityczną masie robotniczej?

— Tak!

— Zamierzacie postawić proletarjat zdeklasowany na czele ludu rolnego? — dopytywał Sielaninow.

— Tak! Wiecie o tem, bo pisałem nieraz o naszym programie partyjnym na okres rewolucyjny, — odparł Lenin.

— Wiemy! — potwierdził młodzieniec. — W tej właśnie sprawie partja moja posłała mnie dla porozumienia się z wami, towarzyszu.

— O cóż chodzi?

— Proponujemy współpracę na całej linji rewolucyjnej...

— Na całej? Czy dobrze słyszałem? — wyrwało się Leninowi szydercze pytanie.

— Tak, lecz... do chwili zwycięstwa rewolucji — odpowiedział Sielaninow.

— To zabawne! — zaśmiał się Włodzimierz. — Może będziecie uprzejmi wyjaśnić szczegóły tak niezwykłej propozycji?

— Właśnie w tym celu przybywam — odpowiedział młodzieniec. — Centralny Komitet socjal-rewolucjonistów będzie współdziałał z wami do chwili obalenia dynastji, zniesienia monarchji i wywłaszczenia ziemi. Będzie dopomagał wam w uregulowaniu życia pracującego proletarjatu, żąda

jednak niemieszania się do polityki włościaństwa. Ma on bowiem swoje ideały i tradycje...

— Tradycje drobnych burżujów, stokroć gorszych od wielkich, bo włościanie są ciemni i bierni! — przerwał mu Lenin z pasją.

Sielaninow zajrzał głęboko w jarzące się źrenice Włodzimierza i powtórzył z siłą:

— Włościaństwo ma swoje ideały i tradycje klasowe! Partja nasza potrafi z tych stu miljonów ludzi uczynić najpotężniejszy odłam społeczeństwa, który pokieruje dalszemi losami Rosji.

— Chcecie rewolucji chłopskiej, drobno burżuazyjnej, a my mamy przelewać dla niej naszą krew, żeby wpaść pod nowe jarzmo i, kto wie, czy nie cięższe i nie trudniejsze do zrzucenia?

— Dopomożemy wam do zatwierdzenia sprawiedliwości — zawołał Sielaninow.

— Nie! Sprawiedliwość zapanuje wtedy, gdy my ją ustanowimy, my — pracujący proletarjat! — wybuchnął Lenin.

— Zginiecie! — szepnął młodzieniec. — Wcześniej czy później żywiołowa siła ludzi ziemi zmiecie was, jak przyniesione z obcego kraju suche liście!

— Bardzo poetyczne porównanie, lecz nie przekonywujące bynajmniej! — zaśmiał się Lenin szyderczo. — Damy sobie radę z owemi stu miljonami ciemnych, chciwych ludzi. *Est modus in rebus*, towarzyszu!

— Trudne zadanie! — uśmiechnął się Sielaninow. — Nie dokończyliście łacińskiego tekstu, Włodzimierzu Iljiczu, a, może, nie znacie go? Rzymski poeta powiedział dalej: „*sunt certi denique fines, quod ultra citraque nequit consistere rectum!*“ Niezłomna prawda całej sprawy tkwi w miłości do ziemi, własnym potem zlanej, towarzyszu! Jej nie oddamy nikomu! Mówię o rosyjskiej ziemi, gdzie od prawieków pokolenia przodków naszych odwalały skiby i cięły brózdy!

Lenin syczącym głosem mówił:

— My te wasze sto miljonów podzielimy na trzy — cztery odłamy i rzucimy je do walki pomiędzy sobą! Wielka to zasada i mądra: „*divide et impera!*“

— Zginiecie! — powtórzył z naciskiem Sielaninow.

— Doprowadzimy do końca nasz plan! W Rosji uda się socjalna rewolucja.

— Zginiecie! — jak echo, rozległ się szept gorący.

— Zwyciężymy! — odpowiedział syczący głos.

— Nie przyjmiecie więc naszej pomocy i naszych warunków?

— Nie! Postokroć nie! — krzyknął Lenin i laską uderzył w kamień z rozmachem. Pękła i okuty koniec jej zarył się w głęboki piasek i lotny kurz.

— Tak samo się stanie z wami! — zauważył Sielaninow. — Wasza broń rozpryśnie się i ziemia pokryje ją.

— Nie bawię się w gusła, towarzyszu! — oburzył się Lenin.

— Zapamiętajcie sobie dobrze dzisiejszy wypadek z laską i moje słowa! — rzekł młodzieniec wstając i patrząc na Włodzimierza.

— Nie udawajcie wieszczbiarza lub czarownika! — odpowiedział Lenin złym głosem i, pochylając głowę, dodał:

— Powiedźcie waszym towarzyszom, że za ich usiłowania odwieść mnie od mego celu partja nasza pośle ich na stryczek, czego i wam, Czernowowi i Sawinkowowi z duszy życzę!

Zawrócił się i poszedł w kierunku domu.

— Zginiecie! — doszedł go zdaleka dźwięczny, natchniony głos. — Zginiecie i wy, i partja wasza!

Lenin szedł do domu i zacierał ręce.

— Wybornie! Boją się mnie i już podsyłają kusicieli — myślał. — Wielkie, prawdziwe powodzenie!

W domu zastał niemal wszystkich towarzyszy i przybyłych z Rosji emisarjuszy. Pokój był cały przesiąknięty dymem. Rozlegały się wzburzone głosy spierających się ludzi

Ujrzawszy wchodzącego, rzucili się do niego obstąpili.

— Nie czytaliście dziś „Vorwaertsa“, Iljiczu? Klęska! Niemiecka socjal-demokracja postanowiła uchwalić kredyty na wojnę! W Reichstagu tylko jeden Liebknecht, będzie protestował, ale nikt nie wątpi, że pozostanie samotny! Klęska! Zdrada! Za nic mają niemieccy towarzysze rezolucję Stuttgarcką i jej potwierdzenie na zjeździe w Bazylei!

Lenin skoczył naprzód, roztrącił otaczających go towarzyszy i, porwawszy „Vorwaerts“, przeczytał sprawozdanie z posiedzenia niemieckiego parlamentu.

Zbladł straszliwie. Tarł spocone czoło i patrzał na zebranych nieprzytomnym wzrokiem.

Wreszcie zacisnął zęby i wykrztusił:

— Tego nie może być! To nacjonaliści wydali sfałszowany numer „Vorwaertsa". Rekiny imperjalizmu zdolne są do wszystkiego!

Omawiali długo niepokojącą wiadomość. Nikt nie myślał tej nocy o śnie. Przed północą dostarczono Leninowi depeszę z Berlina.

Telegrafowała Klara Apfelbaum.

Odczytawszy krótkie doniesienie, Lenin, ciężko oddychając, usiadł, jakgdyby siły opuściły go nagle.

Wątpliwości nie było. Parlamentarne frakcje socjalistów niemieckich, francuskich i angielskich były zdecydowane uchwalić kredyty na wojnę.

W pokoju zapanowało głuche milczenie.

Wszyscy wpatrywali się w twarz Lenina.

Stawała się coraz żółtsza i bardziej ponura. Przenikliwe oczy rozwarły się szeroko, usta zacisnęły się kurczowo, drgały powieki i guzy, wyrastające koło uszu. Z półzmroku wyzierała dzika, skamieniała we wściekłości i nienawiści twarz mongolska, a palce, skubiące rzadką brodę, kurczyły się i prostowały, niby szpony drapieżnego ptaka.

Długo nie odzywał się Lenin. Wreszcie wstał i rzucił chrapliwie:

— Druga Międzynarodówka umarła!...

Zdumieli się obecni, słysząc te bluźniercze słowa, wypowiedziane o potężnej organizacji, szeroką siecią ogarniającej stary i nowy świat.

Jeszcze większe zdumienie, a raczej przerażenie wywołało następne powiedzenie wodza i nauczyciela:

— O, karta nasza jeszcze nie bita! Założymy trzecią Międzynarodówkę; ona nie zdradzi proletarjatu; ona nie wbije noża w plecy socjalnej rewolucji! My będziemy jej twórcami! Towarzysze, żegnajcie! Muszę pisać...

Usiadł przy stole i zamyślił się.

Pisał do świtu. Rzucał straszne obelgi i oskarżenia zdrajcom pracujących rzesz; nawoływał robotników wszystkich ludów do protestu przeciwko ugodowcom, sługom kapitału,

tchórzom nikczemnym i wymachiwał czerwoną flagą, na której paliły się słowa: „Tworzyć nową międzynarodówkę dla ostatniej, zwycięskiej bitwy uciemiężonych przeciwko ciemiężcom!“

Kilka dni, prawie nie odrywając się od pracy, pisał Lenin, redagując komunistyczny manifest o wojnie, rozsyłając listy na wszystkie strony świata, przekonywując, buntując sumienia, nawołując do walki, poddając anatemie wczoraj jeszcze uwielbianych wodzów, a dziś zdrajców sprawy, wrogów pracujących tłumów.

Pewnego wieczora w małym wiejskim domku, zajmowanym przez Lenina, zjawiła się policja austrjacka i patrol wojskowy.

Ktoś zadenuncjował tajemniczego Rosjanina, oskarżając go o szpiegostwo na rzecz Rosji. Po zrewidowaniu mieszkania, aresztowano go i odstawiono do więzienia w Nowym Sączu.

Lenin nie myślał o grożącem mu niebezpieczeństwie. Inne, ważniejsze myśli pochłaniały go.

Tymczasem z dniem każdym coraz czarniejsze chmury zbierały się nad jego głową.

Austrjackie doraźne sądy wojenne nie zadawały sobie zbytnich kłopotów z osobnikami, podejrzanemi o szpiegostwo. Na początku wojny prawie codziennie rozstrzeliwano zupełnie przypadkowo pojmanych, niewinnych ludzi. To też polscy socjaliści poruszyli wszystkie sprężyny, aby zwolnić Lenina z więzienia.

Przywódca austrjackich socjalistów, Wiktor Adler, powiadomiony przez nich o całej sprawie, miał długą rozmowę z prezesem rady ministrów, hrabią Stürgkhiem; gorąco z patosem dowodził, że uwięzienie tak znanego wodza wywoła niechybnie oburzenie rosyjskich sfer robotniczych, biernie lub nawet wrogo względem wojny usposobionych, wskazywał na niezliczone korzyści pozostawienia na wolności Lenina, pracującego nad wybuchem rewolucji w Rosji w okresie toczącej się wojny.

Wyjaśnienia Adlera trafiły do przekonania ministra, który po raz pierwszy posłyszał wtedy o partji i programie bolszewików, natychmiast informując o wszystkiem swój sztab generalny i rząd niemiecki.

Z Wiednia wysłano rozkaz uwolnienia Włodzimierza Uljanowa-Lenina.

Podczas trwania korespondencji w jego sprawie Lenin przebywał w więzieniu.

Siedział w głębokiej zadumie w celi, gdzie został umieszczony jeszcze jeden więzień.

Był to również Rosjanin, — prosty chłop bez ziemi, ciemny, niepiśmienny. Przybył do Austrji przed rokiem na roboty polne, gdyż w domu przymierał z głodu. Opowiedział o tem wszystkiem Leninowi i dodał, że został aresztowany kiedy przechodził granicę.

Zapytany przez patrolujących żołnierzy, dokąd idzie, odparł ze szczerością, że jako rezerwista, powraca do ojczyzny, aby stanąć do wojska w dobie wojny.

Podczas rewizji znaleziono u niego list z planami dróg szosowych i wyliczeniem pułków austrjackich, stojących w pobliżu granicy rosyjskiej.

— Kto wam dał ten list? — wykrzyknął Lenin, słuchając opowiadania towarzysza niedoli.

— Rządca posiadłości, w której pracowałem, jako robotnik — odpowiedział. — Dał mi list i kazał doręczyć w Moskwie swemu znajomemu. Nie wiedziałem, co w tym liście pisał, a teraz powiadają mi, że byłem szpiegiem.

Skończył i westchnął ciężko.

Lenin więcej nie słuchał chłopa i nie rozmawiał z nim. Myślał nad sprawami, znacznie ważniejszemi od losu ciemnego wieśniaka, nikomu niepotrzebnego.

Układał w myślach plan nieomylnego ataku na drugą Międzynarodówkę.

Gdy wreszcie praca została ukończona w najdrobniejszych szczegółach, zaczął się przysłuchiwać temu, co mówił leżący na pryczy chłop. Biedak, widocznie, czuł nieprzepartą potrzebę wynurzenia się z myśli, trapiących go. Mówił bez przerwy, przeskakując z przedmiotu na przedmiot.

Pewnego ranka przyszedł po niego patrol i odstawił do sądu.

Chłop powrócił dopiero pod wieczór. Był spokojny i dziwnie pogodny. Oczy jarzyły mu się niezwykłym blaskiem, radość biła z rozjaśnionej twarzy.

— No, jak tam sprawa wasza? — spytał go Lenin obojętnie.

— Skończona... — odpowiedział, uśmiechając się łagodnie.

— Widzę, że dobrze poszło? — rzekł Włodzimierz. — Zwolnili was?

Chłop chytrze spojrzał na mówiącego i szepnął:

— Wyrok śmierci...

Lenin drgnął i podniósł na niego zdumione oczy. Nie spostrzegł najmniejszego wzruszenia i niepokoju na ogorzałej, głębokiemi, niby brózdy na roli, zmarszczkami pociętej twarzy chłopa.

Stał wyprostowany i palcami rozczesywał rudawą brodę, spadającą mu na pierś.

Uśmiechnął się z jakimś dziwnym wyrazem na twarzy i cicho spytał:

— W Boga i Syna Bożego wierzysz?

— Boga nie znam, a Jezusa z Nazarei poważam, bo strachu napędził możnym i nieprawym — odparł Lenin, z wymuszonym śmiechem.

— Boga znać nikt nie może, Jego potrzeba czuć! Głęboko ukrył się On w człowieku, bracie... oj, głęboko! A człowiek, to mocna rzecz, potężna... Przez jego skorupę nawet Bogu nie łatwo się przedostać!

Pomyślał chwilę i dorzucił:

— Dobrze to, że Chrystusa poważasz... pochwalam!...

— Zaco? — spytał Lenin, dziwiąc się sobie, że o obcych mu pojęciach podtrzymuje rozmowę.

— Zato, że czujesz w człowieku najnędzniejszym jaśniejącego Boga!... Syn ubogiej dziewicy, o której sąsiedzi z pewnością sobie powtarzali ohydne, sprośne rzeczy, i nagle — Syn Boży! Nikt nie wiedział, dlaczego jest Synem Boga, Sam też objaśnić nie mógł, a wierzył w to, inni też uwierzyli i wierzą wieki całe... Dlatego tak się dzieje, że każdy człowiek jest Synem Bożym, bratem Chrystusowym...

— I Zbawicielem, do którego modły zanoszą ludzie ciemni, ulegając namowom popów! — dodał Lenin ze złym śmiechem.

— Nie, miły człowieku, nie! Zbawiciel był jeden... A wiesz, dlaczego?

— Mówisz, jak bardzo oczytany mnich... — zauważył Włodzimierz.

— Jaki ja oczytany?! — podnosząc chude ramiona, odparł chłop. — Gdy swój zagon straciłem, włóczęgą byłem długie lata, w klasztorach żyłem, pracując na kawałek chleba, z mnichami uczonymi lubiłem rozmawiać...

— Oni to nauczyli cię cerkiewnych bredni? — wtrącił pytanie Lenin.

Chłop potrząsnął głową i szepnął:

— Nie! Nie oni. Od pewnego pustelnika, kryjącego się w lasach na Kamie, poznałem prawdę.

— Do sekciarzy należysz?

— Nie! — zaprzeczył wieśniak. — Szukałem u nich prawdy, ukojenia, pociechy, — nie znalazłem nic. Same oszukaństwo!...

— Spodziewam się! — zawołał Lenin. — Nie powiedziałeś jednak, dlaczego Jezusa uważasz za prawdziwego Syna Bożego?

Chłop usiadł na pryczy i, oparłszy głowę na ręku, odpowiedział:

— Dlatego, że miał zuchwałość tworzenia... Zuchwałość boską, albowiem tworzył prawdę wśród nieprawości, uczynił apostołów — z nędzarzy, wieśniaków, rybaków; umarłych wskrzeszał, a później przykazał: „N i e s ą d ź c i e!"

— Nie rozumiem... — przyznał się Lenin, z zaciekawieniem patrząc na towarzysza.

— Proste to! — odparł, dotykając jego ramienia. — Posłuchaj! Bóg nie jest Bogiem tylko dlatego, że pozostaje na niebie sam w sobie, wszechpotężny, wszechwiedzący, nieśmiertelny Twórca. Nie! Jest takim dlatego, że razem z Nim potęgę, wiedzę i tworzenie noszą w sobie archanioły, anioły, duchy złe i ludzie słabi. Każdy z nich ma swój los i swoje przeznaczenie... coś jakby termin i zadaną pracę do wykonania. Chrystus zrozumiał to pierwszy i jedyny. Nie myślał o tem, że tylko On jeden cierpi, znosi znój i mękę, raduje się i płacze; wiedział, że każdy człowiek tak samo, a, może, jako słabszy, jeszcze więcej cierpi, głębiej się raduje. Chrystus poznawał, pojmował, miłował, w poszanowaniu miał i jawnogrzesznicę, i Marję, i Martę, i Judasza, i Jana-Apo-

stoła, i cesarza rzymskiego. „Nie sądźcie!“ — pouczał, tylko nie dodał jeszcze: „zajrzyjcie w każde serce, w każdą duszę!...“

— Dlaczegoż nie dodał? — spytał Lenin.

— Gdyż wtedy nie przyszedł był czas — szepnął chłop. — Ludzie nie okupili grzechu pierworodnego... Musieli przejść przez drogę krzyżową, którą wskazał im Chrystus, Zbawiciel nasz.

Słuchając dziwnego towarzysza więziennego, Lenin przypomniał sobie żebraka wiejskiego, „Ksenofonta w żelazie“ i uśmiechnął się rzewnie. Chłop spostrzegł to i ucieszył się.

Zaczął mówić śmielej i głośniej:

— Musimy przejść panowanie Antychrysta i pokusy jego. Z Bożej woli przyjdzie on, jako drugi syn Boży; poprzedzać go będą wojny, bunty, mór, choroby i zbrodnie. Wtedy ludzie zaczną poznawać jeden drugiego, łączyć się dla walki i obrony, jak żołnierze, stawiając nad sobą wodzów, tworząc kompanje, pułki, armje, i — przetrwają! Ci, których nie dosięgły słowa Zbawiciela, jak stado wieprzy, opętanych przez szatanów, skoczą do morza i otchłań pochłonie ich. Pozostali utworzą na ziemi „gród święty“, „Niebiańskie Jeruzalem...“

— W Rosji „świętej“? — zapytał Lenin.

— Eh! Co znaczy Rosja w takiej sprawie?! Drobne ziarnko piasku, kropla w morzu! — odpowiedział chłop. —Rosja może zginąć, lecz my — naród głosić prawdę będziemy wszystkim ludom! My im tę prawdę damy!

— My! — zaśmiał się Lenin. — Rosyjska prawda?

— A jakaż inna? — zdziwił się wieśniak. — Powiedz, kto inny może to uczynić?! Inne narody żyją w dostatku i pysze, myślą, że są równe aniołom potężnym. Nie! Z naszych borów ciemnych, z naszych stepów, gdzie dokoła niebo łączy się z ziemią, z naszych chat kurnych, słomą krytych, z naszych więzieni, gdzie dzwonią łańcuchami niewinni, ciemni ludzie — stamtąd ona przyjdzie, jasna i potężna Prawda! Tylko my ludzie od sochy, młota i kajdan mamy zuchwałość tworzenia. Mamy miejsca poddostatkiem, sił niespożyty zasób, u siebie nie znajdujemy nic do roboty, jesteśmy robotnikami świata... Tylko krzyknąć, a zbudujemy pałac, czy świątynię, jakich nikt nie oglądał dotąd!

Umilknął i patrzał nieruchomym wzrokiem na Lenina.

Włodzimierz już zupełnie poważnie spytał:

— Jakże budować i tworzyć będą ludzie ciemni od sochy i kurnej chaty? Nie potrafią przecież?

— Nie obawiaj się, człowieku miły! Chodzą po ziemi naszej — ubodzy, ciemni, chodzą też święci i mądrości pełni... Ci nauczą nas, nie bój się! Bóg — nie ino dla robaków nędznych, lecz i dla orłów o skrzydłach szerokich, mocarnych... Dla wszystkich świeci jedno słońce — Prawda Boża!

— Nie widzę nawet świtania tego słońca — mruknął Lenin.

— Ty nie widzisz, miły, ale inni widzą już i tu, i tam... Ujrzałem ją przed sobą w tym ostatnim dniu życia... i raduję się, że dano mi ujrzeć ją — promienną, jak zorza! Wielkie to szczęście!

Chłop zamyślił się i milczał.

Lenin przyglądał mu się bacznie. Powoli uświadamiał sobie obraz duszy rosyjskiej — maksymalizm dążeń — albo wszystko, albo nic; mistyczną wiarę w możliwość założenia na ziemi, „Niebiańskiego Jeruzalem"; tajemnicze przeświadczenie o posłannictwie narodu i wieczną tęsknotę i poczuwanie się do odpowiedzialności i męczeństwa za szczęście całej ludzkości od kresu do kresu ziemi, bez samolubstwa, bez miłości dla swojej ojczyzny, składanej, jak jagnię ofiarne, na ołtarzu Boskiej Prawdy dla dobra wszystkich, wszystkich, jak świat szeroki, a, może, dalej, aż po granicę najdalszych, ledwie dostrzegalnych na niebie gwiazd i mgławic świetlnych.

Chłop nie tknął przyniesionego posiłku.

Klęczał, zwróciwszy twarz ku wschodowi, żegnał się zamaszyście i bił pokłony, uderzając czołem w deski pryczy.

Po północy obudzono więźniów. Dozorca i żołnierz z bagnetem wyprowadzili chłopa. Odszedł w milczeniu, skupiony, pogodny.

Lenin długo nadsłuchiwał, lecz towarzysz nie powrócił.

Zrana dowiedział się, że wyrok został wykonany.

Włodzimierz zacisnął zęby, aż skrzypnęły, i wyrzęził głucho:

— Mówiłeś: „nie sądźcie“! Tymczasem ciebie osądzono i stracono? O, ja będę sądził bez litości. bez żalu... karał całą potęgą nienawiści i bólu mego!

Nowy dzień przyniósł śmierć ciemnemu prostakowi, wierzącemu w powstanie „grodu świętego“, gdzie ludzie ludzi sądzić nie będą, i — wolność — dla człowieka o umyśle zuchwałym, pysznym, w którym zapadł już wyrok bez miłosierdzia i płonęła żądza kary, ręką mściwą wymierzonej.

ROZDZIAŁ XV.

Przyszło lato 1915 roku.

Z małego domku, z wiszącym nad drzwiami szyldem ubogiej restauracyjki „Puits de Jacob“ wyszedł mały, krępy człowiek, o żółtej twarzy i ciemnych oczach skośnych.

Popatrzył na lazurowe niebo i szedł w stronę Belvoir-Parku, uśmiechając się do niebieskiej, tryskającej blaskiem oślepiającym tafli jeziora Zurychskiego.

Na wybrzeżu stanął i oglądał przechodzącą publiczność, ogarniając złym, ponurym wzrokiem wystrojone kobiety, mężczyzn w białych spodniach i koszulach sportowych, czeredę wesołych, szczęśliwych dzieci.

Łuki brwi mongolskich marszczyły się, zacięte wargi drgały chwilami, coś szepcąc bez dźwięku.

Nagle uśmiechnął się radośnie i przyjaźnie.

Wysoki, atletyczny człowiek w jasnem ubraniu i miękkim kapeluszu szedł sprężystym krokiem, zlekka kołysząc się na mocnych biodrach.

— Hallo, Mr. Lenin! — krzyknął zdaleka i na ogolonej, spalonej słońcem i wiatrem twarzy wykwitnął łagodny, prawie dziecinny uśmiech.

Patrząc stalowemi oczami, w których migotały iskierki wesołości i lekkiej ironji, zamaszyście potrząsnął ręką Lenina i poklepał go po ramieniu.

— No, cóż, jedziemy? — spytał, nabijając fajkę.

— A jakże! — odpowiedział Włodzimierz. — Dziś mam wyjątkowo wolny dzień. Chcę go spędzić z pożytkiem i przyjemnością, Mr... King.

— Pan zawsze musi się potknąć na mojem nazwisku! — zaśmiał się Amerykanin.

— Muszę wyznać, że przez moje gardło nie przechodzi ono z łatwością! — zgodził się Lenin. — Też jakieś złe duchy

podszepnęły przodkom pana takie okropne nazwisko! King? Król!! Pomyśleć tylko!

Amerykanin parsknął śmiechem.

— Nie wiedzieli staruszkowie, że ich marnotrawny potomek będzie miał tak bardzo radykalnego znajomego — zawołał, pykając gęstemi kłębami dymu. — Pojedziemy dziś na Utokulm. Straszna spiekota, z pewnością, nie spotkamy tam nikogo. Obawiam się tylko, że panu, Mr. Lenin, będzie gorąco w tem ciemnem ubraniu?

— Bynajmniej! — odpowiedział wesołym głosem Włodzimierz. — Ponieważ posiadam tylko jeden garnitur, więc, wkładając go dziś, zapowiedziałem mu, żeby był przewiewny i lekki, jak chiton grecki!

King znowu otoczył się dymem i śmiał się głośno.

Zębatą kolejką elektryczną podnieśli się na sam szczyt. Z żelaznej werandy hotelu rzucili wzrok na leżący przed nimi krajobraz.

Biało-żółta plama Zurychu, niby kreci kopiec na brzegu niebieskiego jeziora, zielona dolina Limmatu, łańcuchy gór, skrzących się śniegiem; mgły złociste i fioletowe; majaczące w oddali, spowite chmurami, białe, mętn eturbany olbrzymów górskich, lazurowe niebo i srebrne lśniące obłoki na niem — wszystko to wchłaniały zachwycone dusze.

Milczeli, zapatrzeni w nieogarnioną okiem, wspaniałą, wielobarwną paletę wielkiego mistrza — natury.

Mr. King westchnął i rzekł cicho:

— My nie mamy takich krajobrazów w Stanach Zjednoczonych! Prawie wszędzie koleje tną ziemię, horyzont zasłaniają dymy fabryk, kopalni, stacyj elektrycznych. Muszę co pięć lat przyjeżdżać tu, aby odpocząć od wściekłości życia amerykańskiego. Przywożę tu swoich synów, niech uczą się kochać naturę i rozumieć, że jej odwieczna praca i energja wspanialsza jest i potężniejsza od wysiłków ludzkich!

Lenin uśmiechał się zagadkowo.

Gdy Amerykanin umilkł, rzekł drwiącym głosem:

— A ja, patrząc na tę panoramę, taką łagodną, spokojną, szczęśliwą, widzę w oddali, ot tam! — na wschodzie puste, nagie płaszczyzny Rosji, góry przez nikogo nie zamieszkałe,

kręte drogi bagniste, wydeptane przez miljony dzwoniących kajdanami ludzi! Kroczą w tej chwili z nisko opuszczonemi głowami, przygarbieni, do ziemi przybici pod siekącym ich batem cara, a dążą wszyscy do więzienia, cerkwi lub mogiły. Gdybym miał synów, przywiózłbym ich tu, a oni krzyknęliby z nienawiścią: „Sprawiedliwości! Zemsty! Nowego życia!“

Amerykanin pomyślał chwilę i powiedział cichym, poważnym głosem:

— Myślałem wczoraj cały wieczór o poglądach i ideach pana. Zastanowiły mnie... Przyszedłem jednak do przekonania, że jesteś pan marzycielem, utopistą. Nie można, przecież, z Utokulmu skoczyć jednym susem na szczyt Rigi? Dlatego potrzebny jest samolot, albo kolejka linowa, jak nad Niagarą, albo w wąwozach Skalistych Gór!

Lenin nic nie odpowiedział. Stał zapatrzony w dalekie szczyty, okrywające się coraz bardziej gęstemi zwojami miękkich, srebrzystych obłoków.

— Chodźmy wyżej, na sam szczyt! — zaproponował Mr. King.

Lenin skinął głową w milczeniu. Wąską kamienistą ścieżką szli wśród zwałów skalnych i drobnych krzaczków rododendronów, czepiających się korzeniami szczelin i sypkich piargów.

Doszli wreszcie i usiedli na kamieniach.

Pod nimi ciągnął się zębaty łańcuch Albis, a nad nimi płynęły białawe smugi i płachty obłoków.

Mr. King spojrzał na Lenina i powtórzył:

— Rozmyślałem nad naszą wczorajszą rozmową! Przyszedłem do przekonania, że plan pana stworzenia człowieka-maszyny i społeczeństwa-maszyny jest chybiony. Znajdą się zawsze osobniki tak wybitne, dla których nie będzie miejsca w żadnym zbiorowym mechanizmie. Jeżeli pan umieści takich ludzi w systemie, — zburzą go, rozsadzą, wstrzymają harmonijny bieg, pomimo własnej chęci, kierowani indywidualną wolą swoją. Są to ludzie, o całą głowę wyżsi od tłumu.

— Społeczeństwo skróci swój tułów o jedną taką głowę, bo władza i prawo należą do istotnej większości — odparł Lenin spokojnie.

— Ale ta głowa będzie niezawodnie należała do genjusza — zauważył Amerykanin.

— Tłum posiada zbiorowy genjusz i to musi mu wystarczyć.

— Historja, podobno, nie zna takich wypadków — wzruszył ramionami Mr. King. — Genjusze przychodzą na świat niemal zawsze z głęboko anarchicznemi charakterami — w sensie niepoddania się regule masy; genjalne głowy prowadzą za sobą tłumy, nigdy — odwrotnie.

Lenin milczał. Amerykanin spojrzał na niego i dodał:

— Etapy postępu... epoki historyczne w dziejach narodów — to biografje genjuszów na różnych polach pracy.

Lenin wciąż się nie odzywał.

Pykając fajką i lekko kołysząc się na kamieniu, Mr. King mówił:

— W zakresie poglądów materjalistycznych Ameryka prześcignęła wszystkie inne kraje. Doszła do tego drogą popierania wybitnych indywidualności. Posiadamy całe dynastje dziedzicznych indywidualnych zdolności, graniczących z genjalnością. Należy pamiętać, że wyłoniły się one z najniższych, nieraz najnędzniejszych warstw społeczeństwa. To przeczy twierdzeniu pana, Mr. Lenin, że tylko dziedziczna burżuazja jest zdolna do uciemiężania słabszych. Pan, może, nie wie, jakie myśli rodzą się w głowach potomków pastuchów, ulicznych sprzedawców gazet, drobnych handlarzy, zwykłych majtków, nieraz — kryminalnych zbrodniarzy!

Lenin podniósł głowę i słuchał uważnie.

— Myślą oni o zmianie pustyni na plantacje bawełny. Mają opracowane plany i kosztorysy potężnych tam na Missisipi i jej dopływach; wiedzą o możliwości podniesienia urodzajności gleby zapomocą prądów elektrycznych wysokiego napięcia; marzą o zastąpieniu rąk ludzkich traktorami w rolnictwie, a w przemyśle — skomplikowanemi, dokładnemi maszynami, poruszanemi elektrycznością, którą dostarczą w dowolnej ilości wodospady, wartkie rzeki, wiatr i bijące w brzegi fale morskie; są przekonani, że wkrótce porzucą kopalnie węgla, gdzie w pocie czoła i z narażeniem życia pracują, jak niewolnicy, ludzie różnych barw. Wszystko zastąpi elektryczność! Zaopatrzy nas w ciepło, światło i siłę. Znikną tłu-

my robotników, ustanie ich ciężka praca i przestanie istnieć zwalczona przestrzeń. Elektryczna energja i chemja staną się karmicielkami i służebnicami ludzkości. Ba! Jeden z moich kolegów — inżynier-chemik, jak ja, twierdzi, że za 50 lat chemja będzie dostarczała włókna na ubranie, syntetycznego pokarmu, a w połączeniu z elektrycznością i biologją — czarodziejskiego panaceum w walce ze śmiercią! Znam pewnego agronoma, opracowującego system gospodarki rolnej pod ziemią na wypadek oziębienia powierzchni naszej planety... Inny znów — biolog pracuje nad uregulowaniem płodności much i nad wytwarzaniem dowolnie, czy to męskich, czy żeńskich osobników, nosząc się z myślą o sztucznem wychowaniu genjuszów, narazie... wśród owadów i jaszczurek!

Lenin siedział zasłuchany. Miał szeroko otwarte oczy, pełne błysków. Wchłaniał każde słowo.

Spostrzegłszy zainteresowanie się Rosjanina, Amerykanin ciągnął dalej:

— W innych dziedzinach wiedzy praktycznej kipi również wytężona praca! Werbujemy obecnie kadry ludzi, najzdolniejszych do przyjęcia i rozwoju pewnych doktryn, czy to naukowych, czy technicznych; formujemy armję wysoko wykwalifikowanych robotników o zupełnie harmonijnym stosunku fachowości do fizjologicznych i psychologicznych odruchów; projektujemy założenie specjalnej organizacji dla racjonalnego wykorzystania czasu, aby żadna chwila nie była stracona bez pożytku.

— Jakie to wspaniałe! — wyrwał się Leninowi okrzyk zachwytu.

— Bardzo wspaniałe, ale również niebezpieczne, my dear! — zauważył Mr. King. — Zadam panu kilka pytań, które objaśnią moją obawę. Czy nie grozi ludzkości niebezpieczeństwo, że na gruncie podobnych eksperymentów zjawi się człowiek, umysłowo niezwykle potężny, i podporządkuje wszystkich swojej woli, być może, skierowanej na najstraszliwszy ucisk? Czy tworzenie armji najzdolniejszych robotników, najbardziej przystosowanych do pewnych czynności, nie stanie się początkiem nowej klasy uprzywilejowanej i czy nie powstanie wskutek tego jeszcze bardziej głęboka przepaść pomiędzy warstwami społecznemi? Czy

nie pociągnie to za sobą wybuchu nienawiści, rewolucji, wojny? Wreszcie — co uczynimy z miljonami szeregowych, zwykłych robotników, systematycznie wyrzucanych za burtę życia państwowego przez maszyny nieżywe i przez maszyny żywe i myślące, jakimi będą specjaliści, dobrani na podstawie ścisłych badań naukowych?

Lenin długo nie odpowiadał. Zmarszczki poruszały mu się na czole, przymknięte powieki drżały.

— Szeregowcy powinni powstać — syknął. — wymordować nadmiar ludzi-maszyn, potrzebnych zaś trzymać żelazną ręką, gwałtem, terorem zmusić ich do służenia całemu społeczeństwu, które będzie kontrolowało i dokonywało sprawiedliwego podziału produktów.

Amerykanin zaśmiał się szyderczo.

— Zburzenie wyższej formy cywilizacji dla dobra tłumu biernego i ciemnego? Powrót do starych metod gospodarstwa? — spytał.

— O, nie! — wybuchnał Lenin. — Proletarjat posiada wielką wynalazczość w zakresie przerażającego teroru! Potrafi on zmusić fachowców do pracy wytężonej, sumiennej i postępowej. Oprócz tego, jak mrowisko, zacznie on wytwarzać ściśle obliczone kadry specjalistów we wszystkich dziedzinach. Będzie to następnym etapem pracy biologów i psychologów!

Mr. King oczy szeroko otworzył.

— *God!* — zawołał. — Zabrnął pan jedną nogą w mroczne średniowiecze, z jego gwałtem i przemocą, drugą — w krainę dalekich, fantastycznych wieków! Ani na jednem, ani na drugiem nic zbudować panu się nie uda!

— Zobaczymy! — syknął Lenin i zęby zacisnął.

— Nie zobaczymy! — zaprzeczył Amerykanin.

— Strach o życie i twarda, niemiłosierna ręka cudów mogą dokazać! — szepnął Lenin.

— Cudów — nie! Zbrodni — tak! — padła stanowcza odpowiedź.

Po tych słowach, wypowiedzianych z oburzeniem, Amerykanin wstał i, nie patrząc na Lenina, rzekł:

— Myślałem, że pan dąży do rewolucji, aby wstrząsnąć zmaterjalizowanym, mieszczańskim światem i utorować dro-

gę dla ducha... Tak myślałem... Tymczasem pan marzy o bandytyzmie na wszechświatową skalę. To straszne!

— Dla pana, Mr. King, który sobie przyjeżdża co pięć lat na wypoczynek do Szwajcarji, wypchany dolarami! — zawołał Lenin, z nienawiścią patrząc na potężną figurę Amerykanina. — Ale takich, jak pan, na świecie jest, powiedzmy, miljon, a reszta — tysiąc siedemset miljonów nie mają tak eleganckiego ubrania, ani dziesięciu chociażby dolarów na dzień jutrzejszy i są głodni. Rozumie pan? Głodni! Nasze przysłowie rosyjskie mówi: „głodnego słowika nie można nakarmić najpiękniejszemi piosenkami"! Duch! Człowiek dolarów ośmiela się prawić o duchu!

Śmiał się zuchwale, bezczelnym, złym wzrokiem małych oczu czarnych wpatrując się w czerstwą twarz zdumionego i oburzonego Amerykanina.

Mr. King w milczeniu skinął głową i odszedł.

Lenin pozostał, czerniąc się na kamieniu, jak duży, posępny ptak. Patrzył nadół, na rozciągające się w różne strony doliny, na kwadraty winnic i pól, na błyszczące nici stalowych szyn, na szare plamy wiosek, miasteczek, na połyskujące kopuły i krzyże Zurychu, na taflę spokojnego jeziora, które leżało na dole, jak płyta z lapis-lazuli.

Nie widział nic. Wzrok jego przebijał mgliste opary i chmury, gromadzące się na wschodzie i biegł dalej i dalej...

Spodziewał się ujrzeć nędzne zagony chłopów rosyjskich i — nie poznał ich.

Toczyły się tam olbrzymie traktory, poruszane elektrycznością i zastępujące pracę tysięcy rolników spoconych, zziajanych, i koni, z wysiłkiem ciągnących pługi.

Dymiły kominy setek elektrowni i fabryk bez liku; w schludnych domkach wieśniaczych świeciły się okna, rzęsiście oświetlone.

Odświętnie ubrani robotnicy, o rękach czystych i obliczach spokojnych, powracali do domu bez pośpiechu i radości. Byli wszyscy podobni do siebie, jak bliźnięta, w jednakich strojach, nie różniąc się pomiędzy sobą ani wyrazem twarzy, ani ruchami.

Lenin zrozumiał, że te ludzkie zjawy, zrodzone w jego wyobraźni, są maszynami, posiadającemi harmonijność

ruchów i straszliwą siłę zbiorową, pozbawioną namiętności.

— Czy są szczęśliwi ci ludzie? — błysnęła nagła myśl.

— Są spokojni — dobiegła odpowiedź.

Lenin patrzył wciąż, wbijając czarne oczy w daleki, mglisty horyzont.

Na placach miasteczek i osad — tam, gdzie niegdyś stały przybytki Boże, wznosiły się teatry, muzea i szkoły.

Nie dochodził uszu Lenina, chociaż nadsłuchiwał z natężeniem, ani brzęk kajdan, ani jękliwe, rabie zawodzenia:

— O—ej! O—ej!

Prawie drżąc z obawy, że ujrzy straszne widowisko, szukał wszędzie bezmyślnej twarzy leżącej w trumnie Naśćki z zaostrzonym nosem i nieprzymkniętem okiem, po którem biegała mucha czarna.

Nie słyszał zaklęć starej znachorki Anny, bijącej ciężarną dziewczynę deską po brzuchu.

Nie mógł znaleźć wściekłego ze znużenia olbrzyma-burłaka, z owrzodzoną piersią, ani pastuszki-niemowy, obciągającej na sobie jubkę i drapiącej się pod pachami...

Wszystko minęło, co trapiło i nienawiścią przepełniało duszę jego.

Nad bezkresną płaszczyzną niby szmer lekkiego łagodnego wiatru niosły się słowa kojące:

— Równość... szczęście...

Oprzytomniał nagle, bo przechodząca grupa turystów rozmawiała głośno. Lenin podchwycił urwane zdanie:

— Socjaliści okazali się dobrymi patrjotami...

Zjawa prysnęła. Surowa prawda zajrzała szyderczo w oczy skośne, czarne i ostre.

Zerwał się i biegł prawie ku kolejce, aby prędzej dostać się do miasta i pisać, rzucać w świat gorące, zrozumiałe słowa zemsty, proste, a zuchwałe nawoływania do walki o to, co zagrabili, przywłaszczyli sobie możni, bogaci, potężni, depcąc obojętnie po znękanych ciałach miljonów, setek miljonów pracujących w pocie czoła, bez wytchnienia, bez nadziei.

— Ja wam niosę wyzwolenie! — szeptał gorąco. — Pójdźcie za mną, a słowo nadziei ciałem się stanie!

Ze szczytu Utokulmu powrócił innym człowiekiem.

Żył tylko nienawiścią, z nienawiści czerpał płomień swoich myśli i siłę słów, od nienawiści kreślił szlak ku miłości dla jęczącej ludzkości i znowu postanawiał, że doprowadzi ją do celu — jasną i promienną, skąpaną w ożywczem źródle krwi, zahartowaną i wykutą w ogniu zemsty za wieki ucisku.

— Nie sądźcie! — dochodził go nieraz szept straconego w więzieniu austrjackiem wieśniaka.

Wzdrygał się i odpowiadał w duchu:

— Głupie, ciemne, rabie bydło!

Na krótki czas oderwał się od swoich myśli, niby gęsta mgła, otaczających go. Czuł się chorym i przepracowanym. Zresztą uważał za konieczne na pewien czas zniknąć z oczu rządu szwajcarskiego. Wjeżdżając do wolnego kraju, podpisał zobowiązanie, że nie będzie zakłócał spokoju.

Fizycznie nie zakłócał go, lecz polemiczne artykuły jego, przedrukowane w szwajcarskich pismach socjalistycznych, zaniepokoiły opinję publiczną i władze. Zaczęto przyglądać mu się bacznie, śledzić każdy jego krok. Wyczuwały się w tem wpływy politycznych agentów Rosji i jej aljantów.

Postanowił wyjechać. Skorzystał z zaproszenia mieszkającego na Capri pisarza rosyjskiego Maksyma Gorkiego.

Pewnego dnia zniknął bez śladu, porozumiawszy się przedtem listownie z włoskimi socjalistami, Nittim i Serratim.

Zastał Gorkiego chorego i zgnębionego.

Olbrzymi, niezgrabny człowiek, o twarzy ciężkiej, zgruba wyciosanej, o oczach myślących i surowych, z radością spotkał małego, ruchliwego przyjaciela, który założywszy ręce do kieszeni spodni i zadarłszy głowę, świdrował go przenikliwemi źrenicami i mówił niby do siebie:

— Źle! Do djabła — źle! Cera, jak ziemia, oczy podkute, wargi blade, życia na obliczu ani krzty! Jakżeż tak można? Powinno się oszczędzać talent, bo taki spotyka się nie często... Ja gadam i gadam, a on, jak ten kot w bajce Kryłowa: „słucha i zajada", coprawda, zdaje się, jakieś pigułki, ale w każdym razie zajada!...

Obaj śmiali się głośno i przyjaźnie.

Kilka dni spędzili razem.

Zwykle wyjeżdżali wczesnym rankiem na barce starego rybaka, Giovanni Spadaro, i, kołysząc się na łagodnych falach lazurowego morza, gwarzyli cichemi głosami o wszystkiem i o niczem, co umieją czynić tylko prawdziwi Rosjanie, niżąc na jedną nić zupełnie różne myśli i wrażenia. Lecz trwało to zwykle niedługo.

Zupełnie przypadkowe słowo otrzeźwiało Lenina.

Mrużył nagle oczy. Nie widział wtedy białych i różowych żagli rybackich; przejrzystych, szafirowych fal; srebrnych, niby lecące łabędzie, obłoków; szybujących mew; dalekich dymów parowców; zielenią i kwiatami okrytych stromych barwnych skał Capri. Przed oczami stawały mu szeregi towarzyszy partyjnych, w zgiełku i panice szukających wodza, a tuż inne tłumy — zbrojne i gniewne, pędzące do ataku.

— Przekleństwo! — szeptał Lenin i pięści zaciskał.

Gorkij niemal ze łzami w oczach mówił o straszliwych klęskach, ponoszonych przez Rosję na polach bitwy, o setkach tysięcy zamordowanych wieśniaków.

— Ile łez płynie teraz po wsiach naszych! — mówił załamując ręce. — Ile szlochów i krzyków rozpaczy słyszą nasze chaty nędzne!

Lenin spoglądał na niego twardym wzrokiem i odpowiadał:

— Niech tak będzie! Dużo ludzi gnieździ się w tych chatach. Na sto wojen starczy... Wszystkich nie wymordują! Tymczasem jest to woda na nasz młyn... Niech-no jeszcze głód przyjdzie i przyciśnie dobrze! Rewolucja nabrzmieje, jak wrzód. Tylko dotknąć i — pęknie! Cha—cha! Za tę krew chłopów i robotników wylejemy całe morze krwi naszych wrogów i morderców!

Stary rybak, lubiący beztroski, szczery śmiech Włodzimierza, w takie chwile z niepokojem i obawą przysłuchiwał się chrapliwym, głuchym tonom mowy jego.

— Ależ to straszne! — żachnął się Gorkij. — Rewolucja przez taką hekatombę niewinnych ludzi, poszarpanych, zmiażdżonych! Nie! Nie!

Lenin marszczył brwi mongolskie i mówił:

— Głupiec tylko boi się zbroczyć miecz krwią, skoro ma miecz w ręku i wie, poco go ma! Dla rewolucji nie masz zbyt wielkich ofiar, wierzaj mi, Aleksy Maksymowiczu! Pa-

miętaj, że my jesteśmy synami buntu narodu naszego. Niechże wrogowie nasi dopomogą bunt ten wszcząć i podnieść go aż pod obłoki, jak czerwoną falę!

— To okropna prawda! — szepnął pisarz.

— Okropna? — zaśmiał się Lenin. — To mówisz ty? Maksym Gorkij? Człowiek, który wyszedł z najciemniejszej, najbardziej zdeptanej warstwy ludu? Ty — znawca duszy bosiaka bezdomnego, nienawidzącej dziewki publicznej, zbuntowanego chłopa i robotnika, o świtającej myśli rewolucyjnej?! Wstydź się! Przeżywamy żelazne czasy! Dziś nie dano nam głaskać ludzi po głowie. Ręce opadają ciężko, by strzaskać czaszki, zmiażdżyć kości bez miłosierdzia!

Umilknął i po chwili dodał:

— Najwyższem pragnieniem naszem stało się wytępienie wszelkiego gwałtu! Piekielnie ciężkie zadanie!... Gwałtem i uciskiem dojdziemy do rozwiązania go. Innej drogi niema, bo człowiek nie jest zdolny do tworzenia rzeczy i pojęć idealnych, doskonałych w chwili dowolnej! Potrzebne były wieki niewoli, aby zrodził się bunt, przejdą dziesięciolecia nowego ucisku i panowania żelaznej ręki, nim z buntu wyłoni się prawdziwa wolność, która jest niczem innem, tylko równością...

Gorkij nic nie odpowiedział.

Nie chciał rzucać goryczy zwątpienia do duszy przyjaciela, mówiącego z takiem głębokiem przekonaniem, silnem, rozbrajającem.

Wielki pisarz rozumiał, że Lenin w tej chwili przemawiał nie do niego, lecz do zbiedzonych tłumów, marzących ślepo o równości, do nędzarzy ciemnych, których zamierzał prowadzić ku dalekiemu celowi, kryjącemu się w złowrogiej mgle.

Milczał.

Lenin otrzymał wkrótce list od żony. Donosiła o kongresie socjalistycznym, który, na żądanie Lenina, miał się odbyć w Szwajcarji.

Nie zwlekając ani chwili, pożegnał pisarza, znajomych rybaków, partnerów, z którymi chętnie grywał w szachy, i powrócił do Zurychu.

Na czas przybył do Zimmerwaldu, gdzie z nienawiścią w oczach i głosie ścierał się namiętnie z wodzami socjalizmu

europejskiego: Ledebourem, Serratim, Rakowskim, Ladzarim, Brizonem, Maringiem, Heglundem, Horterem; zwalczał ich, zohydzając, stawiając pod pręgierzem ciężkich podejrzeń, obdzierając z uroku i czci, narażając na pośmiewisko; wywoływał oburzenie tłumu i krzyki nienawiści; oskarżał o zdradę i tchórzostwo; rzucał obelgi; niesumiennie spekulował słowami przeciwników; mówił prostym, twardym, nieraz zbyt dosadnym stylem, posługiwał się logiką ostrą, jak klinga miecza; powtarzał wkółko główną myśl; zmuszał słuchaczy do przyjęcia jego wniosku; pozbawiał ich swobody wyboru; przemawiał głosem chrapliwym, głuchym, bez cienia patosu, lecz ruchem rąk, głowy i całego ciała, groźnym lub dobrotliwym, ironicznym wyrazem twarzy, przenikliwym spojrzeniem małych, bacznych oczu rozpraszał szeregi przeciwników, odrywając od nich coraz to nowych zwolenników. Krok za krokiem, niby walcząc na bagnety, torował sobie drogę i, poruszywszy instynkty zgromadzonych szeregowych towarzyszy partyjnych, wbijał w ich mózgi swoją formułę o zamianie wojny imperjalistycznej na wojnę cywilną przeciwko rządom i kapitalizmowi.

Nie dbając o oskarżenia, że zdradza ojczyznę, na kongresie w Kienthalu w pół roku później cisnął zuchwałe, straszne słowa, że Rosja może zginąć, aby się tylko udała rewolucja socjalna, i wtedy już założył podwaliny trzeciej Międzynarodówki.

Już wtedy sformułował jasno to, o czem myślał na szczycie Utokulmu. Powtarzał to ciągle, wtłaczał w głowy garnących się do niego internacjonalistów. Mówił, tupiąc nogą z wściekłością i podnosząc pięść, niby ciężki młot kowalski:

— Człowiek jest zbyt głupi, aby wystarczyć samemu sobie. Dziesięciu lub miljon wolnych głupców — to stado! Demokratyzm i wolność — to bezczelny pomysł burżuazji i zabobon najgłupszy! Najlepszą formę rządu dla ludzkości stanowi bezgraniczny despotyzm, który dokonywany jest nie na korzyść rządzących i ciemiężców, lecz dla dobra uciemiężonych i za ich wolą.

Przysłuchiwali się tym słowom wodza najnędzniejsi, ścigani parjasi ducha, ci, co „chlebem tylko żyć mogą“, ziejący zemstą, podsycani zawiścią, błyskali oczami i pięści zaciskali, powtarzając słowa straszliwej ewangelji:

— Bezgraniczny despotyzm uciemiężonych...

Za Mesjaszem gwałtu w imię miłości dążyli coraz liczniejsi apostołowie buntu, zagłady, krwi rozlewu i marzeń szaleńczych.

W r. 1917, jak huk pioruna, rozdzierającego niebo i ziemię, nad brzegi spokojnego, lazurowego jeziora Zurychskiego przyleciała wieść:

— W Rosji rewolucja! Car zrzekł się tronu!

Lenin zatarł ręce, zmrużył oczy i kilka razy powtórzył:

— Nastał mój czas! Nastał mój czas!

Szukał dróg do Rosji. Wszystkie były straszliwie długie.

Pozatem wszędzie po swojem wystąpieniu w Zimmerwaldzie mógł napotkać niezwalczone trudności w państwach, sprzymierzonych z Rosją, a nawet spodziewać się napadu agentów rządu petersburskiego.

Najkrótsza droga prowadziła przez Niemcy i Szwecję. Uświadamiał sobie, że posypią się na niego oskarżenia o zdradę ojczyzny, lecz widział przed sobą tylko takie wyjście z sytuacji.

Nie wahając się, postanowił obrać tę jedyną drogę. Zaryzykował sobą w imię rewolucji.

Internacjonaliści szwajcarscy z Plattenem, Pannekockiem i Henrietą Roland-Holstem na czele skomunikowali się z Liebknechtem, który przez innych socjalistów uzyskał pozwolenie na przejazd przez terytorjum niemieckie dla Lenina, Krupskiej, Zinowjewa, Rakowskiego i innych. Porozumiawszy się z socjalistami zagranicznymi co do zamiaru swego, Lenin na granicy szwajcarskiej wsiadł do niemieckiego zaplombowanego wagonu i ruszył w drogę. Jednak obawiał się, że towarzysze partyjni z oburzeniem przyjmą wiadomość o jego postanowieniu. Żeby się zabezpieczyć przed rozłamem własnej partji, zaprosił do Berna internacjonalistów wszystkich państw, aby podpisali protokół o celach i warunkach przejazdu rosyjskich komunistów przez Niemcy. Jednocześnie w swojem imieniu zwrócił się z listem pożegnalnym do robotników szwajcarskich, wyjaśniając swoje zamiary rewolucyjne i zaznaczając swoją wrogość dla rządów imperjalistycznych, nie wyłączając niemieckiego i austrjackiego.

W Berlinie Scheideman, Noske, Ledebour z innymi ugodowcami zamierzali spotkać się z wodzem rosyjskiego proletarjatu. Posłyszawszy o tem, Lenin zerwał się z miejsca i krzyknął do swoich towarzyszy:

— Powiedźcie tym zdrajcom, że, jeżeli chcą, abym ich spoliczkował, niech wchodzą...

Stał, blady i wściekły.

Nikt z niemieckich socjalistów nie zaryzykował stanąć przed małym człowiekiem o szerokich barach i przenikliwych oczach mongolskich.

W pobliżu granicy rosyjskiej, ktoś zauważył:

— Teraz dopiero zaczną nas obrzucać obelgami i oskarżać o zamiar szpiegostwa i zdrady Rosji! Zacznie się taniec wiedźm na Łysej Górze! Brr...

Lenin spojrzał na mówiącego obojętnie i mruknął:

— Pluję na to! Idę do swego celu. Droga przez Niemcy była najkrótsza z tych, które prowadzą do niego.

Wzruszył ramionami i zaczął nucić francuską piosenkę kabaretową:

„*Tu ne sais rien, mon gä...*"

ROZDZIAŁ XVI.

Włodzimierz Lenin, samotny i ostrożny, odbywał dalekie wycieczki po Piotrogrodzie. Spostrzegał każdy szczegół, łowił i utrwalał w pamięci urwane słowa, wyczuwał utajone myśli. Był wszędzie. Wystawał godzinami w długich kolejkach przy sklepach spożywczych i chytrze, chociaż na pozór obojętnie, podsycał oburzenie, panujące w tłumie. W określonych godzinach wyczekiwał wyjścia ze szpitali ludzi, odwiedzających rannych i chorych żołnierzy, przywożonych z frontu, gdzie armję spotykała klęska po klęsce. Razem z chłopami rozpaczał nad zagonami, opuszczonemi przez młodych, kipiących życiem wieśniaków, i z braku rąk leżącemi odłogiem; przepowiadał nieurodzaj i głód; obliczał straty wojsk na trzy miljony ludzi, ginących w obronie bogaczy i szlachty; robotnikom i robotnicom, odwiedzającym synów lub przyjaciół, szeptał tajemniczo o sprawiedliwych i mądrych hasłach bolszewików; zbiedzonym, zrozpaczonym kobietom z warstw inteligencji rzucał przerażające słowa o tem, że Niemcy wynaleźli nowe armaty i trujące pociski, które będą zmiatały naraz całe pułki; napomykał o generałach, podkupionych przez przeciwników.

— Nie wolno nam — Rosjanom, nieprzygotowanym do wojny, znosić dłużej znęcania się nad sobą! Musimy zniewolić rząd do zaniechania wojny. Inaczej — zachłyśniemy się we własnej krwi!

— Cóż robić? Cóż robić? — zapytała go pewnego razu sędziwa staruszka, załamując ręce w rozpaczy.

Lenin pochylił się do niej i szepnął:

— Niech powstanie naraz cały naród, niech zagarnie władzę w swoje ręce i krzyknie: „Skrzywdzeni, mordowani, przyłączcie się do nas! Budujmy nowe życie, piękne i sprawiedliwe!“

— A jeżeli inni nie zechcą? — spytała.

— Wtedy zrobimy to sami, zawarłszy pokój z Niemcami. Mamy u siebie roboty w bród! — odparł.

— Niemcy, widząc łatwą zdobycz, mogą oderwać od Rosji potrzebne im obszary? Co wtedy? — szepnęła.

Niecierpliwie wzruszył ramionami i syknął:

— Co stanowi dla nas Rosja?! My musimy urządzać swoje własne życie wolnych ludzi ziemi!

Staruszka podniosła na niego oburzone oczy, a twarz jej oblał gorący rumieniec.

— Zdrajco! Jesteś, pewno, z bandy tego sprzedawczyka Lenina! — krzyknęła.

Włodzimierz musiał szybko wycofać się z otaczającego go tłumu i zniknąć w bramie najbliższego domu.

Rozmawiał z żołnierzami, którzy uciekali z frontu i dążyli do domu, unosząc ze sobą karabiny. Tych nie potrzebował pouczać; był to tłum niesforny, podbudzony niepowodzeniami na wojnie, panującem na szczytach łapownictwem, brakiem broni, ładunków i prowjantów. Rzucał im hasła komunistyczne, które roznosili po całej Rosji, jak zarazki straszliwej choroby.

Ostrożnie i oględnie wtrącał się do rozmów żołnierzy, gromadzących się przed koszarami, i zatruwał ich podejrzeniami, że rząd tymczasowy marzy o nowym carze i zniesieniu zdobyczy rewolucji.

Po paru tygodniach Lenin wiedział już i rozumiał wszystko.

Chodząc po mieszkaniu jednego z towarzyszy partyjnych, podsumował wszystko, wyciągnął wnioski i zatarł ręce.

Mrużąc oczy, rzekł do Nadziei Konstantynówny:

— Moja droga! Powiedz Zinowjewowi, aby zwołał do mnie odpowiedzialnych towarzyszy. Muszę dać im plan działania.

Wieczorem tegoż dnia mówił do zebranych głosem spokojnym, głuchym, nie zapalając się ani na chwilę:

— Opracowałem program. Jest nader prosty i zupełnie niezbędny. Należy mieć wszędzie swoich agitatorów: w armji, w tłumie, w Radzie żołnierskich i robotniczych delegatów, w koszarach i w fabrykach! Muszą rozkładać armję, bo jeżeli tego nie uczynią, pułki frontowe wyrżną nas. Muszą krzyczeć wszędzie, że bolszewicy żądają zakończenia wojny. Wtedy dopiero przyciągniemy do siebie żołnierzy i wło-



WYNIESIENIE SZTANDARU NA ZBUNTOWANYM KRĄŻOWNIKU



CZERWONA GWARDJA Z R. 1917—18

(tak zwana „awangarda proletarjatu")

ściaństwo. Nie możemy przepuścić żadnego zarządzenia władz i legalnych socjalistów, aby zawsze wystawiać żądania bardziej radykalne i tem paraliżować wpływ tych instytucyj. Narazie to już i wszystko! I nadal, jak dotąd czyniliśmy zarzucać miasta naszemi gazetami, plakatami i broszurami; organizować kadry bojówek i zbroić się, zbroić na gwałt! Pamiętajcie, że musimy być gotowi w każdej chwili do ujęcia steru wypadków w swoje ręce!

Jak pająk snuje swoją sieć, przeciągając ją pomiędzy gałęziami drzew, jak wicher, roznoszący zarodki chorób, jak w epoce Nerona pierwsi chrześcijanie, z ust do ust podający słodkie, pokrzepiające słowa Nauczyciela, — tak przędli niewidzialne nici wielkiego spisku, tak krzewili nową ewangelję towarzysze sprzysiężeni, kierowani przez Trockiego, Kamieniewa, Zinowjewa, Łunaczarskiego, Stiekłowa i Bucharina, rozsiewając coraz dalej i dalej hasła niepokojące, budzące nadzieję i przerażenie.

Ten, w którego imieniu czyniono to, zostawał w cieniu, tajemniczy, ukryty przed okiem ludzkiem, — mały człowiek o twarzy mongolskiej i oczach bacznych, ostrych, nieugiętych.

Zaczaił się, jak pająk drapieżny, czyhający na zdobycz w ciemnej norze, gotowy do skoku i napadu; okrył się, jak straszliwy Jehowa, chmurami i mgłami, gdzie mogły się zrodzić łagodne błyski dnia i czarne, ponure zwoje mroków nocnych.

Czekał nieprzenikniony, niepojęty, zagadkowy i groźny zarazem.

Patrzył na wszystko spokojnie, pewny biegu wypadków.

Jeden po drugim odchodzili ministrowie burżuazyjni i inteligentni, gnębieni troską o los ojczyzny, a bezsilni; po nich przyszedł drobny, ambitny adwokacik, Aleksander Kierenskij, podający się za zwolennika formuły zimmerwaldskiej, lecz pozujący na Napoleona. Miotał się beznadziejnie, pociągając do rządu coraz to nowych ludzi: to miljonera, to wczorajszego katorżnika-socjalistę; daremnie usiłował zadowolić rosnące z dnia na dzień żądania armji i tłumu ulicznego, którego bożyszczem chciał być; w tym pościgu szalonym za popularnością rozkładał własnemi rękoma armję, odtrącał

od siebie wytrawnych i rozumnych polityków, otwierał drogę czekającemu na swoją kolej bolszewizmowi.

W tłumach obudziły się już instynkty drapieżne. Nie było sposobu uspokoić ich i zadowolić.

Kierenskij rzucił na stół ostatnie atuty: kontrolę Rad żołnierskich nad rozkazami dowódców i zniesienie kary śmierci nawet dla dezerterów i zdrajców.

Posłyszawszy o tem, Lenin zatarł ręce i zawołał:

— Cha! Cha! Ten krzykacz już się wyczerpał! Teraz jest w naszym ręku! Armja wkrótce pójdzie za nami, bo to już nie armja, lecz zbrojny tłum, niebezpieczny i niepoczytalny.

— Kierenskij zniósł radykalnie karę śmierci... — zauważyła Nadzieja Konstantynówna. — To może wywrzeć wrażenie...

— Cha! Cha! — śmiał się Lenin. — To — oznaka zupełnej dezorjentacji! Jak można w czasach rewolucyjnych odrzucać taką broń, jaką jest kara śmierci? To — słabość, tchórzostwo, brak rozumu! My podniesiemy tę broń! Wtedy, gdy partja nasza otworzy swoje atuty!

W Radzie robotniczych i żołnierskich delegatów szła nieprzerwana walka pomiędzy socjal-demokratami, ludowcami i bolszewikami, którzy nie pozwalali Radzie połączyć się z rządem i zrealizować swoich umiarkowanych projektów.

Głód i zamieszanie w Rosji rosły.

Wreszcie pewnego dnia na początku lipca, Lenin znowu zwołał swoich towarzyszy i, mrużąc oczy, zapytał cicho, znacząco:

— Czy nie spróbować otwartej, zbrojnej walki o władzę?

Zapanowało głębokie, trwożne milczenie. Wszyscy zrozumieli, że padły słowa, rozstrzygające losy rewolucji, partji i nielicznego grona sprzysiężonych.

— Zaczynać! — rozległ się dźwięczny, śmiały głos.

To mówił Stalin, Gruzin, odważny organizator bojówek.

Inni zaprotestowali. Spierano się długo i postanowiono odłożyć wystąpienie zbrojne. Rozumieli, że Rada robotniczych delegatów mogła jeszcze wstrzymać tłumy; na froncie pozostawały wierne dotąd rządowi pułki; prowincja nie przesiąkła dostatecznie rozkładowemi hasłami bolszewików; wieś, zagadkowa wieś rosyjska, siedziba Boga, biesów, męczeństwa biernego, dzikich, żywiołowych porywów, milczała.

Jednak robota agitatorów nie poszła na marne.

Zrozpaczone, głodne, czujące brak silnej władzy tłumy samorzutnie wyległy na ulicę z bronią w ręku. Bolszewicy zmuszeni byli stanąć na ich czele.

Zamach nie udał się.

Rząd i Rada posiadały dosyć jeszcze zbrojnych sił, aby móc stłumić wybuch. Bolszewiccy wodzowie zostali aresztowani i wrzuceni do więzienia.

Wśród nich jednak nie było tego, którego imię, jak płonące „*Mane, Tekel, Fares*", nieraz zapalało się na ścianach wspaniałego gabinetu Aleksandra III-go w Zimowym pałacu, gdzie obrał sobie siedzibę „Aleksander IV-ty", jak szyderczo nazywał Kierenskiego Trockij.

Lenin i Zinowjew zniknęli bez śladu.

Daremnie szukał ich Kierenskij i kierownicy Rady robotniczo-żołnierskiej — Czcheidze, Ceretelli, Czernow i Sawinkow.

Nie pomogło wyznaczenie olbrzymiej nagrody pieniężnej za wykrycie lub pojmanie „zdrajców ojczyzny".

Nikt nic o wodzu proletarjatu nie wiedział.

Kierenskij tymczasem triumfował. Wygłaszał coraz bardziej napuszone mowy, kreował się na dyktatora Rosji, lecz, spostrzegłszy, że niewidzialny wróg niemal codziennie umieszczał w gazetach swoje artykuły, uląkł się ich groźnego znaczenia.

Znowu zaczęło się miotanie szaleńcze, bezładne, nikczemne.

Jednego dnia projektował Kierenskij dyktaturę wojenną carskiego generała Korniłowa, nazajutrz zdradzał go, ogłaszał wrogiem ojczyzny i stawiał go niemal poza prawem.

Nawoływał do nowej ofenzywy na froncie, przysięgał, że Rosja wykona swoje zobowiązania względem sprzymierzonych i wytrwa do zwycięskiego końca; jednocześnie coraz głębiej rzucał do armji ziarna demoralizacji, schlebiał żołnierzom, obiecywał to, czego spełnić nie mógł; okłamywał i zwodził.

Konferował z posłami cudzoziemskimi o obronie frontu i tuż na poczekaniu zwoływał „naradę demokratyczną", składającą się ze zdecydowanych przeciwników wojny.

Odgrażał się z bezczelnem zuchwalstwem, że zdusi wszelkie oznaki buntu i niekarności, a tymczasem nie wiedział

tego, że bronić go będą tylko uczniowie szkół wojskowych: dzieci i młodzież, porwane czczemi frazesami „błazna rewolucji“, oraz bataljon dziewcząt i młodych kobiet, dowodzonych przez Boczkariową.

Kierenskij nie uświadamiał sobie ani rzeczywistej sytuacji, ani swego wpływu, urojonego w zaciszu gabinetu cesarskiego, ani swoich sił.

Wiedział o tem dokładnie ktoś inny.

Chodził właśnie po poddaszu szopy, stojącej na podwórzu domu robotnika Jemeljanowa niedaleko od Piotrogrodu, przy stacji Razliw.

Był to Włodzimierz Lenin.

Zacierał ręce, śmiał się i mówił do towarzyszy Jemeljanowa i Aliłujewa:

— Stary Kryłow napisał w jednej ze swoich bajek, że „usłużny głupiec niebezpieczniejszy jest od wroga“. Burżuje mogą teraz mówić tak o Kierenskim! „Aleksander IV-ty“ był naszym najlepszym sprzymierzeńcem! Wpuścił nas do Rosji, rozwalił armję i zohydził samego siebie w oczach wszystkich. Możemy teraz iść i niemal gołemi rękami brać władzę. Rządu niema... Być może, trzeba będzie popukać z kulomiotów w mołojców-mieńszewików, ale i to nie zabierze dużo czasu!

— Poczekać trzeba trochę, Iljiczu, bo, słysz, generałowie ruszać się zaczęli, kozaków podburzają przeciwko nam i jakieś oficerskie bataljony tworzą. Nie czas jeszcze!

— Wiem! — śmiał się Lenin. — Nie spieszy mi się, bo wiem, że nasza sprawa z dniem każdym na lepszą drogę wychodzi! Wrogowie nasi sami się pożrą...

Pisał listy, artykuły, ulotki: szerząc podejrzliwość, oburzenie, nienawiść; rozpowszechniając plotki, oszczerstwa; oskarżając rząd i idących z nim socjalistów o imperjalistyczne tendencje, nawołując do organizacji, do zbrojenia się; nalegając na zawarcie natychmiastowego europejskiego pokoju bez aneksji i kontrybucji; żądając oddania pełnej władzy robotniczym, żołnierskim i włościańskim Radom.

Socjaliści-mieńszewicy, zatrwożeni rosnącą rewolucyjnością fabrycznych robotników, wytężyli siły i wpadli wreszcie na ślad Lenina.

Wódz został na czas poinformowany.

Wyjechał z Razliwa i przeniósł się do Finlandji. Zatrzymawszy się w Wyborgu, spowodował straszliwą rzeź oficerów miejscowej załogi, co natychmiast echem się odezwało w Kronsztacie, gdzie marynarze wymordowali swoich oficerów i faktycznie zawładnęli twierdzą i całą flotą na Bałtyku.

Krwawy ślad ciągnął się za Leninem, aż raptem się urwał.

Straszliwy człowiek przepadł nagle, jakgdyby zapadł się pod ziemię.

Tymczasem mieszkał on spokojnie w domu policmajstra Helsingforsu, Rowio, który sprzyjał bolszewizmowi i uwielbiał jego twórcę.

Pomiędzy Leninem a Piotrogrodem wkrótce nawiązał się bliski kontakt.

Zorganizował go i starannie podtrzymywał Finlandczyk. socjalista Smilga, który też wkrótce przewiózł Włodzimierza do Wyborga, jako zecera, Konstantyna Iwanowa.

Lenin z pomocą Smilgi przygotowywał pułki finlandzkie i flotę bałtycką do walki z wojskami rządowemi; agitował wśród rosyjskich żołnierzy, rozlokowanych na granicy, prowadził układy z lewem skrzydłem socjal-rewolucjonistów i rozwinął w całej pełni wściekłą agitację na wsi.

Obawiał się wtedy autorytetu Korniłowa, usiłującego obudzić patrjotyzm i ratować Rosję. Wiedział, że byłaby to ciężka walka.

— Jakim sposobem zwalczymy bojowego, zdolnego generała, nie mając fachowych oficerów w swoich szeregach? — zadawał sobie pytanie i klął straszliwie.

Myślał o tem w dzień i w nocy, nie mógł spać ani jeść.

Doszedł wkrótce do takiego stanu, że w jakimś rozpaczliwym obłędzie podbiegł do spotkanego w Wyborgu pułkownika sztabu generalnego, idącego w otoczeniu kilku uzbrojonych kozaków, i zawołał:

— Towarzyszu pułkowniku! Przechodźcie na stronę robotników, którzy, wcześniej czy później zwyciężą! Jeżeli pułkownik nie pójdzie z nimi — skończy na stryczku lub pod ciosami kolb; jeżeli zgodzi się na moją propozycję, mianujemy go wodzem naszych sił zbrojnych!

— Jak śmiesz tak mówić do mnie, zdrajco! — zawołał oburzony oficer i, skinąwszy na kozaków, rozkazał: — Aresztować tego człowieka! Odstawić do sądu!

Kozacy otoczyli Lenina.

Włodzimierz obejrzał się i skrzywił usta.

Spostrzegł włóczących się po ulicy żołnierzy.

Byli to ci, którzy przed dwoma miesiącami mordowali swoich oficerów.

Pijani, w rozpiętych płaszczach, rozchełstanych bluzach i w czapkach, zsuniętych na tył głowy, śpiewali, klęli i gryźli ziarna słonecznikowe, przezwane „orzechami rewolucji".

Niewielka grupa żołnierzy stała, przyglądając się zajściu.

Lenin nagle podniósł rękę i krzyknął:

— Towarzysze! Ten burżuj-pułkownik, ten żłopacz krwi żołnierskiej, siedział w sztabie bezpiecznie, a nas gnał na śmierć! Teraz aresztował mnie za to, że nie chciałem mu powiedzieć, gdzie się ukrywa nasz Iljicz, nasz Lenin!

W jednej chwili tłumy żołnierzy sypnęły się ze wszystkich stron. Wylękli kozacy uciekli. Pułkownik, widząc to, chciał wyciągnąć rewolwer z pochwy. Nie zdążył. Jeden z nadbiegających żołnierzy uderzył go kamieniem w głowę. Upadł, a w tej samej chwili zaczęły się nad nim podnosić pięści i ciężkie buty żołdactwa, ryczącego wściekle i miotającego bluźniercze przekleństwa.

Lenin zdaleka obejrzał się.

Na bruku leżały jakieś skrwawione szmaty.

Uśmiechnął się łagodnie i rzekł na głos:

— Rodzona matka nie poznałaby teraz czcigodnego pułkownika! Tak go urządzili żołnierze wielkiej rewolucji rosyjskiej! Hm... hm...

Zapomniał o nim po chwili.

Myślał teraz, że trzeba wysłać listy do Piotrogrodu, z napomnieniem surowem, aby towarzysze nie bawili się w narady, posiedzenia, kongresy i różne inne gadania.

— Rewolucja żąda tylko jednego — zbroić się, zbroić! — szeptał, szybko idąc ku domowi.

Gdzieś na bocznej ulicy rozległ się strzał i wściekłe krzyki tłumu. Zajrzał, ostrożnie wychylając głowę z poza rogu domu.

Jacyś ludzie bili kogoś, włokąc go po kamieniach bruku co chwila wybuchając bezmyślnym śmiechem.

Głowa bitego człowieka tłukła się i podskakiwała po kamieniach, a za nią ciągnął się krwawy ślad.

— „Święty“ gniew ludu budzi się... — pomyślał Lenin i uśmiechnął się zagadkowo.

— Nie sądźcie...! — wypłynął z tajników wspomnień gorący szept.

Ujrzał Lenin celę więzienia austrjackiego, i klęczącego na pryczy dziwnego chłopa — skazańca, bijącego pokłony i zamaszyście kreślącego nad sobą znak krzyża.

— Nie! — szepnął z gniewem. — Oskarżajcie, sądźcie i karę wymierzajcie sami! Nastał czas zemsty za wieki jarzma i udręki. Wrogowie wasi muszą polec, a ich groby chwastami zapomnienia porosnąć! Sądźcie, bracia, towarzysze!

Tłum przebiegał z rykiem, świstem, tupotem nóg. Wlókł po jezdni młodego oficera, bił go, tratował, szarpał.

— Niech żyje socjalna rewolucja! — krzyknął Lenin. — Niech żyje władza Rad robotników, żołnierzy, wieśniaków!

— Ho! Ho! Ho! — odpowiedział mu tłum i biegł dalej, znęcając się nad zabitym.

Lenin odprowadzał oddalających się morderców dobrotliwem wejrzeniem czarnych oczu i szeptał:

— Jeden z moich atutów! Rzucę go, rzucę...

Na wieży pobliskiej uderzył dzwon na nabożeństwo wieczorne.

Zachodzące słońce zapaliło ognie i blaski na złotym krzyżu, godle męki.

Lenin przyjrzał się mu zmrużonemi oczami i rzekł wyzywająco:

— No, i cóż? Gdzież potęga Twoja i Twoja nauka miłości? Milczysz i nie sprzeciwiasz się? I będziesz milczał, bo to my zatwierdzamy prawdę!

ROZDZIAŁ XVII.

Ciemna noc listopadowa wisiała nad Piotrogrodem. W łożyskach ulic warstwił się mrok, ciężki, mroźny. Rzadkie latarnie, pozostałe po krwawych dniach lipcowych i nieustających walkach, oświetlały słabo wyboistą jezdnię Newskiego Prospektu, mętne, ciemne okna domów i wystawy sklepowe, zabite deskami.

Prószył śnieg.

Tu i ówdzie z wnęk bram wyglądały blade twarze żołnierzy i czarne, czapki policjantów. Głucho szczękały opierane o chodniki kolby karabinów. Błyskały ostrza bagnetów.

Ulica była pusta. Cisza czaiła się wszędzie, groźna, pełna naprężonej, czujnej trwogi.

Nagle od wybrzeża kanału Mojki rozległ się łoskot otwieranej bramy i drugi — głośniejszy zatrzaskiwanej, ciężkiej furty.

Szybkie kroki idącego człowieka odezwały się trwożnem echem, odbijającem się od domów opustoszałej ulicy.

Przechodzień, nasunąwszy czapkę z daszkiem na oczy i podniósłszy kołnierz, wyszedł na Newski Prospekt i skręcił ulicą Morską ku łukowi, prowadzącemu na plac Zimowy.

Pod olbrzymią arką kroki rozlegały się jeszcze donośniej, huczały niby warkot bębna.

Idący już widział przed sobą ciemne kontury pałacu Zimowego i wysmukłą sylwetkę kolumny aleksandrowskiej; zamierzał przeciąć plac, kierując się ku wyspie Bazylijskiej, gdy od strony białego gmachu Admiralicji gruchnęło kilka strzałów.

Kule z lekkiem klaskaniem uderzyły w mur i odłupały tynk, z szelestem spadający na przysypany śniegiem chodnik.

Przechodzień potknął się i runął na jezdnię.

— Cha! Cha! — zasyczał z poza grubych bloków granitowej podstawy łuku śmiech. — Szczekacz Kierenskij boi się

o swoją skórę. Ktoś jeszcze broni pałacu i osoby kuglarza rewolucji! Jak myślicie, towarzyszu Antonow-Owsienko, co będzie jutro?

Mówił to człowiek małego wzrostu, o szerokich barach i dużej głowie, tonącej w starej czapce robotniczej.

Jego towarzysz — blady, chudy, odziany w płaszcz żołnierski, wzruszył ramionami i, zdejmując okulary, odparł:

— Włodzimierzu Iljiczu, ja już swoje słowo powiedziałem. Stolica jutro do wieczora zostanie zdobyta... Dwa dni biegam po wszystkich fabrykach i koszarach. Czterdzieści tysięcy uzbrojonych robotników, pułki Pawłowski i Preobrażeński na pierwszy rozkaz Lenina wyjdą z bronią na ulicę. Od was teraz wszystko zależy...

— Jam gotów! — syknął Lenin.

Mongolska twarz skurczyła się, przez wąskie szparki zmrużonych, skośnych oczu połyskiwały czarne źrenice, oświetlone latarnią elektryczną.

— Jam gotów! — powtórzył. — Tylko oni jeszcze się wahają...

— Kto? — zapytał Antonow. — Zinowjew. Kamieniew?

— Tak! Oni, a i inni, oprócz młodzieży, nie są pewni zwycięstwa. Muszę ich przekonać, bo zaczynać bez wiary w triumf byłoby zbrodnią przed proletarjatem!

— Cofać się już nie możecie! — zawołał Antonow. — W swoim artykule zapowiedzieliście stanowczo termin walki o władzę komunistów. Cofać się za późno!

— Ja się nie cofam! — zaśmiał się Lenin. — Ja tylko dążę do osiągnięcia ogólnego porywu i wysiłku największego.

— Rzeknijcie słowo, Włodzimierzu Iljiczu, a za godzinę nie będzie opornych... — mruknął Antonow i ponuro spojrzał na Lenina. — Wyrżnę chociażby cały centralny komitet partji i całą Radę robotniczych i żołnierskich deputatów!

Trzeci, ukryty w ciemnem załamaniu muru, zgrzytnął zębami.

— Co wam jest, towarzyszu Chalajnen? — spytał Lenin.

Łamaną mową odpowiedział:

— Znacie fińskich rewolucjonistów, ochraniających was? Powiedźcie, a my zrobimy porządek... Nikt już nie będzie miał odwagi sprzeciwiać się wam...

Znowu zgrzytnął zębami i wyprostował się. Był jak młody dąb, twardy, nieugięty.

Lenin śmiał się cicho.

— Obaczymy... Dzisiejsza noc pokaże — szepnął. — Teraz chodźmy!

Nie kryjąc się, wyszli na Newski prospekt, rozmawiając głośno o rzeczach obojętnych.

Zatrzymano ich koło pałacu Aniczkowskiego.

Patrol przeglądał legitymacje.

Były wydane na imię sekretarzy Rady robotniczej i delegata, powracających z pałacu Zimowego, gdzie rezydował rząd tymczasowy.

Poszli dalej.

Na ulicy, gdzie podziemnem korytem przepływała rzeczka Ligowka, spostrzegli przed gmachem dworca kolejowego patrole żołnierskie, a w bramach wszystkich domów — zaczajone kupki ludzi — młodych i starych, w ubraniach cywilnych i w wojskowych płaszczach.

Posuwając się w stronę pałacu Taurydzkiego, spotykali coraz liczniejsze gromady robotników i żołnierzy, ukrytych w półciemnych zaułkach i we wnękach domów. Samotne postacie i znaczniejsze tłumy ciągnęły ku Ligowce i placowi Znamienskiemu. Dalekie przedmieścia wyplusnęły te milczące groźne cienie, czające się i czołgające w mroku nocnym, łożyskami ubogich, brudnych ulic.

— Awangarda proletarjackiej rewolucji!... — szepnął Lenin i zatarł ręce. — Ci nie zdradzą!

— Nie zdradzą! — powtórzył Antonow. — Innych zgromadziliśmy wpobliżu poczty, fortecy i gmachu Banku Państwowego...

Umilkli, szybko idąc naprzód.

Doszli do dużego, rzęsiście oświetlonego gmachu, otoczonego obszernym ogrodem. Nie zdejmując palt i czapek, weszli do sali, zatłoczonej robotnikami, żołnierzami, studentami.

Spostrzeżono ich odrazu. Po sali przebiegł szept zdumienia:

— Włodzimierz Lenin! — Kierenskij kazał aresztować go... Lenin nie zna strachu!

Towarzysze tymczasem zamaszystym krokiem przedzierali się przez tłum, dążąc do stołu prezydjalnego, stojącego na wysokiem wzniesieniu.

Lenin wszedł na estradę, zerwał z głowy czapkę i, mnąc ją obydwiema rękami, zaczął mówić.

Głos jego brzmiał brutalnie, myśli padały twarde, proste, zrozumiałe; frazesy krótkie, nie upiększone fachową wymową, urwane nieraz na półsłowie, uderzały, jak ciężkie kamienie; była to mowa pełna siły wewnętrznej, przekonania niezwalczonego, swady niemal szalonej, gotowej wybuchnąć w nienawiść i bluźnierstwo.

Łysa czaszka miotała się w mętnem, przepojonem dymem powietrzu, podnosiły się, niby młoty i biły w stół pięści, zapalały się i gasły ognie w oczach, które wszystko ogarniały, badały każdą twarz, odpowiadały na każdy wykrzyknik, groziły i pochwalały, oceniały najdrobniejszy szczegół, nieuchwytny grymas na obliczach zgromadzonych.

Mowa była długa, lecz Lenin, niby wbijając gwoździe w drzewo, co raz to powtarzał jedną i tę samą zwrotkę:

— Oczekiwać dłużej byłoby zbrodnią! Byłoby zdradą rewolucji! Powstanie zbrojne powinno być rozpoczęte natychmiast! Rząd obecny nie ma ani zdrowego sensu, ani planu, ani sił, ani ratunku. Ulegnie nam! Zawarcie pokoju zaproponujemy jutro! Ziemię wieśniakom — natychmiast! Fabryki — robotniczym masom natychmiast! Albo zwycięstwo rewolucji, albo zwycięstwo reakcji!! Jeżeli zbrojne powstanie wybuchnie dziś — zwycięstwo, jeżeli będziemy zwlekali — klęska! Zwłoka to — zbrodnia, to — zdrada! Zwycięstwo nasze będzie wymagało dwuch lub trzech dni bitwy. Niech żyje socjalna rewolucja! Niech żyje dyktatura proletarjatu! Niech żyje zbrojne powstanie!

Zerwała się burza okrzyków, oklasków; do Lenina cisnęli się, tłocząc i przedzierając przez tłum robotnicy, żołnierze; ludzie krzyczeli, wyciągali do niego ręce, bili się w piersi. W tym zgiełku utonęły krzyki protestów i głosy, wołające:

— Szaleństwo! Utopja!

Na estradę wbiegł nagle olbrzymi marynarz i głosem, pokrywającym zgiełk i hałas, oznajmił:

— Krążownik „Aurora“ na wezwanie towarzysza Lenina rzucił kotwicę na Newie! Działa jego skierowaliśmy na fortecę i pałac Zimowy! Czekamy sygnału!

Nieopisany entuzjazm ogarnął całe zgromadzenie. Nawet ci, co przed chwilą protestowali, krzyczeli teraz wraz z innymi:

— Niech żyje zbrojne powstanie!

Lenin uderzył pięścią w stół i podniósł wysoko nad głową rękę z zaciśniętą w niej czapką:

— Towarzysze! O świcie musicie być na miejscach, na najniebezpieczniejszych miejscach, w szeregach awangardy rewolucji! — wołał chrapliwie.

— Niech żyje Lenin! — rwały się i wybuchały nowe okrzyki.

Powstał zgiełk, zamieszanie: ludzie wybiegali z sali, tłoczyli się przy drzwiach, szukając swego ubrania. Inni otoczyli stół prezydjalny i słuchali, co mówił człowiek o bladej twarzy i zaciętych wargach; wbił czarne oczy, kruczą czuprynę, rozmiotaną w nieładzie, pochylił nad mapą i, zdawało się, groził haczykowatym nosem, na którym połyskiwały binokle.

— Tak! Tak! Towarzysz Trockij ma rację! — potakiwali chorąży Krylenko i barczysty marynarz Dybienko, wpatrując się w plan Piotrogrodu.

— Wysłać telegram do towarzysza Murawjewa, aby zaczynał „katarynkę“ w Moskwie — rzekł Lenin, dotykając ramienia Trockiego.

— Telegram przygotowany! — odparł Trockij, patrząc przez szkła binokli zuchwałemi, świdrującemi oczami. — Towarzysz Wołodarskij pojedzie na telegraf i wyśle depeszę.

— Czy uda mi się oszukać baczność rządowych cenzorów? — zapytał młody student.

— Telegraf w naszym ręku od południa. Cenzorowie przyłączyli się do partji — rzekł Antonow.

Lenin zaśmiał się głośno, zaczął pocierać ręce i chodzić po estradzie, powtarzając:

— A, to dobrze! To dobrze!

Nagle spoważniał i skinął na Antonowa.

— Zaczynajcie, towarzyszu, natychmiast, aby się nie cofnęli ci, co nie mają odwagi!

Człowiek w żołnierskim płaszczu nic nie odpowiedział i wybiegł z sali.

Lenin usiadł na uboczu i nie słuchał narad dowódców, którzy nazajutrz mieli poprowadzić proletarjat na zwycięstwo lub na śmierć.

Wydobył z kieszeni kajet i zaczął pisać.

Zbliżył się Trockij i ze zdumieniem patrzał na niego.

— Piszę artykuł, coś nakształt naszego manifestu; powinien on stanowić podwaliny nowego prawa — odpowiedział Lenin na milczące pytanie towarzysza. — Zróbcie wszystko, aby ten artykuł był jutro w dziennikach.

— Otoczę drukarnię „Prawdy“ bataljonem Pawłowskiego pułku i dziennik z artykułem waszym zjawi się — rzekł Trockij.

Lenin zaczął się śmiać, zacierać ręce i powtarzać:

— Dobrze i tak, jeżeli inaczej nie można!... Dobrze i tak!

Dokończył i oddał zapisane arkusiki Trockiemu.

Dotknął jego ramienia i spytał:

— Jak będziemy tytułowali naszych ministrów? Ministrami nie możemy ich nazywać. Stary to i znienawidzony tytuł! Pomyślcie tylko! Minister Plewe, minister Goremykin, minister Kierenskij... Do djabła! To — na nic! Samo takie zestawienie może wzbudzić w masach nieufność i zgubić całą sprawę. Minister — to przeklęte, potrzykroć przeklęte słowo!

— Może... „komisarzami ludowymi“ — poddał myśl Trockij.

— Ludowy komisarz?... — mruknął Lenin. — Ludowy komisarz... Może, to i dobre?... Pachnie rewolucją, a to grunt dla mas... Komisarz ludowy!... Zupełnie dobrze!

Zatarł ręce i rzekł ze śmiechem:

— Już pisałem w naszych dziennikach o tem „Czy utrzyma proletarjat władzę w swoich rękach“. Że władza zostanie zagarnięta — o tem już nie może być mowy i wątpliwości. Lecz jak ją utrzymać — należy wyjaśnić tłumom...

— To sprawa dalsza! — odparł Trockij. — Najpierw musimy dojść do władzy, a później...

Lenin zmarszczył brwi i gniew zapalił zimne ognie w oczach skośnych.

— Nic na później! Wszystko odrazu!... Ja wiem, co należy czynić. Nie jestem tylko pewny centralnego komitetu partji komunistycznej i wszelkich ugodowców. Może zechcą bawić się w sentymentalizm i prawowierność burżuazyjną? Do djabła! Ja jeszcze zagranicą wszystko sobie ułożyłem. Znam lud rosyjski od dna do szczytów. Na górze panuje utopja i brak woli, dalej przepaść, a na dnie — nieporuszone, uśpione siły! Obudzić je — to nasze zadanie. A droga, prowadząca do celu — wyraźna, raczej nie droga, lecz bita szosa!

Trockij pochylił głowę i pytająco spojrzał na przyjaciela.

— W jaki sposób doszliśmy do wypadków dnia dzisiejszego i do tej sali? — ciągnął Lenin. — Drogą zrozumienia niemych dążeń mas i zgody na żądania ich instynktów. Były one znużone i zgnębione wojną, więc rzuciliśmy hasło: „Precz z wojną“! Chłopi niechętnie patrzyli na zabieranie im ludzi od pługów — hasło nasze trafiło wnet do przekonania, a gdy rzucimy inne — „ziemia dla wieśniaków“ — przejdą duszą i ciałem na naszą stronę. Robotnicy, tyle razy i tak długo oszukiwani przez socjal-demokratów, pozbawieni nadziei na polepszenie bytu, w jednej chwili stanęli w naszych szeregach, nad któremi widniały czerwone płachty z napisami — „Kontrola nad produkcją i pracą — robotnikom“. Teraz damy im jeszcze więcej.

— A burżuazja, inteligencja? — zapytał słuchający tej rozmowy stary, brodaty robotnik.

— Ta musi wyginąć! Zmieciemy tę klasę z drogi zwycięskiego proletarjatu, towarzyszu! — zawołał, zaciskając pięści, Lenin.

— A! Nareszcie! Nareszcie doczekam się godziny zemsty! — krzyknął robotnik. — Za nędzę całego życia, za zabicie radości od dzieciństwa, za córkę-prostytutkę, za...

Lenin podszedł do niego i położył mu ręce na ramionach. Wpatrywał mu się w oczy długo, a później zmrużył powieki i przez zęby szepnął:

— Dokonacie zemsty, towarzyszu, w całej pełni, od początku i do końca! Dam wam tę sposobność. Jak się nazywacie?

— Piotr Bogomołow. Kowal z fabryki w Obuchowie...

— Towarzyszu Bogomołow, gdy władza będzie do nas należała, przypomnijcie mi rozmowę dzisiejszą, dam wam

możność zemsty do dna, do syta. a, gdybyście przyszli do mnie z córką waszą, — to i jej dam!... Niech odbije na wrogach proletarjatu nędzę i hańbę swoją!...

W tej chwili z poza olbrzymich okien sali przybiegł i szarpnął. zadzwonił szybami suchy trzask dalekiej salwy.

Wszyscy umilkli i wstrzymali oddech.

Słychać było, jak tętniły serca.

Z różnych stron dolatywały oddzielne odgłosy strzałów, zlewały się w salwy i zamierały. Gdzieś zaturkotał kulomiot. Jeszcze jeden... jeszcze...

Po ciemnem niebie ślizgnęło się białe żądło projektora i wnet po niem buchnął strzał armatni. Zadrżały z żałosnym brzękiem szyby okien i zgasła stojąca na stole lampka elektryczna.

— To — „Aurora!“ — zawołał Zinowjew. — Bombarduje fortecę!

— Zaczęliśmy nareszcie! — westchnął Lenin i, rozłożywszy ramiona, przeciągnął się.

Ze zmrużonemi oczami i rozchylonemi wargami grubemi był podobny do dużego zwierza drapieżnego.

— Zaczęliśmy... — szeptem odpowiedzieli mu siedzący przy stole ludzie.

— W szczęśliwą godzinę! — odezwał się uroczystym, zachwyconym głosem kowal i przeżegnał się nabożnie.

Lenin tupnął nogą i zwrócił do niego złośliwą pełną pogardy twarz.

— Nie przychodźcie do mnie, towarzyszu, bo nic dla was nie uczynię! — syknął. — Jesteście niewolnikiem starych, obezwładniających przesądów, głupich, jadowitych zabobonów o Bogu. Taki z was rewolucjonista, jak ze mnie metropolita!

Splunął i poszedł ku wyjściu z sali, wołając:

— Suchanow! Idę się przespać u was...

Kowal jednak zaszedł mu drogę i mruknął:

— Ja wam popów rżnąć i dusić będę temi oto rękami, bo oni pomagali carom gnębić nas... Ale Bóg — to co innego. On mówi do człowieka...

— Jeżeli mówi, to słuchajcie Go, a mnie dajcie spokój! — przerwał mu Lenin.

— Tak! Odzywa On się głosem duszy... tam gdzieś głęboko... Oj, nie mówcie tak, towarzyszu Lenin, nie mówcie hardo, bo nieraz usłyszycie Go, gdy ciężko wam będzie, a myśl, jak zbłąkany żebrak głodny, będzie stała na skrzyżowaniu dróg, nie wiedząc, dokąd iść — na prawo czy na lewo? Oj, nie mówcie! Bóg — to wielka rzecz!

Lenin nic nie odpowiedział. Nawet nie spojrzał na mówiącego.

Robotnik stał jeszcze chwilę i patrzył na niego. Mrucząc, szybko wyszedł z sali.

— Ciemne, głupie bydlę, oszukane przez kościół! — powiedział Lenin i, zwracając się do Trockiego, dodał:

— Słyszeliście, jaką nienawiścią brzmiał głos tego starca, gdy mówił o zemście? To był zew instynktu! Wykorzystanie jego doprowadzi nas do zwycięstwa!

— A jeżeli wszystkie instynkty ciemnego, dzikiego jeszcze narodu przerwą się nazewnątrz? — spytał stojący wpobliżu Zinowjew.

Tej rozmowie przysłuchiwał się wysoki, chudy człowiek, o zapadłej piersi. Twarz jego ciągle kurczyła się i drgała. Zimne, nieprzytomne oczy pozostawały szeroko otwarte, nieruchome. Podszedł i z bladym uśmiechem na twarzy rzucił przez zaciśnięte zęby:

— Jest na to rada! Zdusić, przerazić terorem, jakiego świat nie widział nigdy, terorem, wykonywanym w imię wyższych haseł, niż żądze instynktu... Trzeba tylko potrafić wynaleźć takie hasła, rzucić, aby pękły w tłumie, jak maszyna piekielna, z hukiem, ogniem, krwią.

Lenin podniósł na niego badawczy, ostry, podejrzliwy wzrok. Nie przypominał sobie tego człowieka.

Pytająco spojrzał na Trockiego.

Ten pochylił się i rzekł:

— Towarzysz Dzierżyński... Mało znacie go, Włodzimierzu Iljiczu, chociaż to nasz stary, bojowy druh. Oddał nam wielkie przysługi podczas propagandy w armji na froncie. Uważam towarzysza Dzierżyńskiego obok Dziewałtowskiego i Krylenki za najzdolniejszego i najenergiczniejszego działacza naszej partji.

Lenin wyciągnął dłoń do Dzierżyńskiego.

— Pozdrawiam was, towarzyszu! Cieszę się, słysząc to... Jesteście Polakiem? Cenię Polaków, bo jest to naturalny, historyczny element rewolucyjny...

— Jestem Polakiem, — syknął Dzierżyński — Polakiem z duszą pełną nienawiści i pragnienia zemsty.

— Nad kim? — spytali z nagłym niepokojem Lenin i Trockij.

— Nad Rosją... — odparł Dzierżyński bez namysłu.

— Nad Rosją?

— Tak! Nad Rosją carską, która rzuciła siew spodlenia do narodu polskiego. Magnatów potrafiła przywiązać do tronu, a lud wieśniaczy zmusiła do samowolnego, w obronie własnej nałożenia kajdan, niewolniczego, ślepego umiłowania ziemi i tradycyj!

— Towarzysz Dzierżyński hołduje nacjonalizmowi i patrjotyzmowi?! — pogardliwie krzywiąc usta, spytał Lenin.

— Nie! — potrząsnął głową Dzierżyński. — Chcę tylko widzieć Polaków w pierwszych hufcach proletarjackiej armji; tymczasem jest to niemożliwe, bo ojczyznę miłują do fanatyzmu, towarzyszu!

— Znajdziemy na nich sposoby! — uspokoił go Trockij.

Dzierżyńskiemu twarz zadrgała straszliwie, aż musiał ją ścisnąć obydwiema rękami. Oczy rozwarły się jeszcze szerzej, kurcz wykrzywił cienkie, blade wargi.

— Zamierzacie, towarzysze, wciągnąć Polskę w sferę waszych działań? — spytał.

— Teraz chodzi nam o Rosję — wymijająco odpowiedział Lenin.

— Teraz... a później? — padło nowe pytanie i jeszcze straszliwszy kurcz przebiegł po bladej twarzy Dzierżyńskiego. Patrzył na stojących przed nim towarzyszy zastygłym, nieruchomym wzrokiem, niemal obłąkanym, lecz groźnym.

— Polska wejdzie w plan światowej rewolucji proletarjackiej — odpowiedział Trockij, bo Lenin w milczeniu uważnie przyglądał się Polakowi.

— Zdaje mi się, że rozumiem was — mruknął po chwili, robiąc krok w stronę Dzierżyńskiego. — Cieszę się, że poznałem was... Oddamy w wasze ręce ściganie wrogów proletarjatu i rewolucji.

Dzierżyński nagle wyprostował się i wysoko podniósł głowę. Zdawało się, że chce niebo powołać na świadka słów swoich.

Dobitnie rozdzielając słowa i sylaby, rzucił krótkie zdanie:

— We krwi utopię ich...

— Rewolucja klasowa zażąda tego od was... — szepnął Lenin.

— Spełnię!... — padła odpowiedź.

Do sali wbiegł student bez czapki z karabinem w ręku:

— Dworce kolejowe opanowane prawie bez strzału... Walka idzie o pocztę, Bank Państwowy, stację telefoniczną...

Wybiegł z sali, przewracając krzesła i potrącając wychodzących ludzi.

Gdzieś daleko przewalały się echa strzałów armatnich, ciężko toczyły się nad miastem i uderzały w olbrzymie okna, wstrząsając niemi.

Przez szyby sączyły się już pierwsze mętne strugi przedświtu.

ROZDZIAŁ XVIII.

Od strony angielskiego wybrzeża sunął duży samochód. Szofer oglądał się na wszystkie strony. Dziwił się, że mimo 9-ej godziny, na ulicach nie było żadnego ruchu. Ani powozów, ani przechodniów.

Gdzieś szczękały kulomioty i rozdzierały powietrze salwy karabinów.

Nad domami unosiły się stada spłoszonych gołębi, opadały na dachy i natychmiast wzbijały się wysoko, zataczając szerokie koła nad miastem.

Z pobliskiego zaułka wybiegło kilku żołnierzy i zastąpiło drogę samochodowi.

— Kto jedzie? — padły groźne pytania i bagnety wysunęły się naprzód.

Przerażony szofer drżącym głosem odpowiedział:

— Inżynier Bołdyrew, dyrektor fabryki tytoniowej...

Jeden z żołnierzy otworzył drzwiczki wozu i, zaglądając do środka, mruknął:

— N-no! Wychodzić! Z rozkazu wojenno-rewolucyjnego komitetu samochód podlega rekwizycji. Obywatel jest wolny. Uprzedzam jednak: idźcie zpowrotem, bo w tej dzielnicy o kulę łatwo!

— Jakiem prawem... — zaczął siedzący w karetce samochodu wspaniały mężczyzna o długich, siwiejących bokobrodach i wąsach.

Do wozu wślizgnął się połyskujący bagnet i zajrzała ponura twarz żołnierza.

— To nasze prawo! — mruknął.

— Gwałt... Przemoc... — mówił, wychodząc z wozu, inżynier Bołdyrew. — Będę się skarżył ministrowi...

Żołnierz zaśmiał się cicho:

— Niech-no tylko obywatel nie zwleka, bo za godzinę wszystkich ministrów wrzucimy do więzienia... Iwa-

now! Siadaj przy szoferze i oddaj samochód komendantowi!

Jeden z żołnierzy natychmiast wsiadł do samochodu i, szczerząc zęby, rzucił zdumionemu inżynierowi:

— Basta! Najeździliście się, napiliście naszej krwi, teraz na nas przyszła kolej! Ruszaj!

Bołdyrew, nic nie mówiąc, poszedł ku mostowi Aleksandryjskiemu.

Nie był zbytnio zdziwiony.

Miotanie się drobnego adwokata Kierenskiego, którego fala rewolucyjna wypadkowo wyniosła na stanowisko kierownika rządu; jego zdrada sprawy generała Korniłowa, zamierzającego wprowadzić ład w kraju i utrzymać obronny front na zachodnich granicach; zjawienie się stanowiącej drugi rząd Rady robotniczych i żołnierskich deputatów, kierowanych przez obcokrajowców Ceretellego i Czcheidzego; wyzywający ton dzienników bolszewickich, żądających dla Rady pełnej władzy, — wszystko wskazywało na możliwość wojny domowej. Oczekiwał jej, rozumiał, że musiała być zażartą i krwawą, ponieważ znał naród rosyjski; nie myślał jednak, że moment ten nastąpi tak prędko.

Zdawało się nawet dyrektorowi, że zaszły pewne wypadki odraczające początek wojny wewnętrznej.

W Pałacu Zimowym odbywały się posiedzenia zwołanej dla ratowania ojczyzny rady demokratycznej; ogłoszono zjazd robotniczych i żołnierskich delegatów; mogło to opóźnić, a nawet. być może, uczynić niewykonalnem zbrojne wystąpienie bolszewików, działających pod wpływem ukrywającego się w Finlandji Lenina.

I nagle — nietylko powstanie, ale już objawy nowej władzy: rekwizycja samochodów prywatnych i zupełnie wyraźny, wrogi nastrój powstańców.

— Najeździliście się, napiliście naszej krwi, teraz — na nas przyszła kolej... — przypomniał sobie dyrektor słowa żołnierza.

Bardzo poważne i zatrważające objawy zaniepokoiły Bołdyrewa.

Nie chodziło mu już o wojnę.

Rozumiał, że armja, rozpraszająca się, samowolnie opu-

szczająca front, wiecująca nad każdym rozkazem dowództwa i znęcająca się bezkarnie nad oficerami, nie może wstrzymać tak silnego przeciwnika, jak Niemcy. Obawiał się tylko tego, żeby Rosja nie odpadła od sprzymierzeńców w sposób hańbiący i nie została zgnieciona przez wroga zewnętrznego, wciągnięta w wir wojny domowej, o przebiegu nieobliczalnym w skutki.

Szedł, kierując się ku Litejnemu prospektowi, skąd nie dochodziły jeszcze żadne odgłosy bojów ulicznych. Widział wyraźne chmury, gromadzące się nad ojczyzną i usiłował znaleźć dla niej możliwe drogi ratunku i nadziei.

Te myśli przysłoniły przed nim nieuniknioną, zawsze ciężką i przykrą rozmowę z żoną. Wiedział, że tak będzie, bo powtarzało się to coraz częściej i gwałtowniej.

Uświadamiał sobie, że sam dawał powód do zajść domowych, nie widział dla siebie usprawiedliwienia i to gniewało go i sprawiało przykrość.

Szczególnie dręczyło go przekonanie, że, mimo mocnego postanowienia, nic nie mógł zmienić w swojem życiu. Był bezsilny, bezradny wobec nastroju, który ogarnął go przed trzema laty i pozbawił woli. Pojmował całą śmieszność, bezcelowość, nietrwałość sytuacji, w jaką popadł w okresie nagłego podniecenia i podrażnienia nerwowego.

— Choroba, szał, ale nic na to nie poradzę... — szeptał do siebie w chwili wyrzutów sumienia.

Zamyślony doszedł do Litejnego prospektu, biegnącego od wybrzeża rzeki do śródmieścia.

Nie zdołał jednak przejść stu kroków, gdy z dachu najbliższego domu niespodziewanie rozległ się suchy turkot kulomiotu.

Bołdyrew podniósł głowę, lecz nic nie spostrzegł. Dochodził go tylko zdyszany szczęk karabinu maszynowego i głośne echo, odbijane od domów, stojących na przeciwległej stronie ulicy.

Sypały się czerwone odłamki cegły i kawały tynku, rozpryskującego się w kłęby białego kurzu; z brzękiem pękały szyby i z wyższych pięter spadały na chodnik drzazgi potrzaskanych ram.

Kulomiot umilkł, a wtedy we framugach wybitych okien zjawili się ludzie i dali salwę, mierząc wysoko.

Inżynier postanowił ukryć się w bramie, lecz w tej chwili z dachu z łoskotem i brzękiem blachy stoczył się i upadł tuż przed nim policjant ze skrwawioną twarzą.

Bołdyrew umknął do bramy, gdzie stał już cały tłum przechodniów.

— Ginie nasza Rosja święta!... — wzdychała jakaś staruszka.

— To bandyci, zdrajcy ojczyzny chcą zagarnąć stolicę — wtórował jej gruby, brodaty kupiec i nagle zaczął się żegnać, niby w kościele.

Siedzący na stopniu schodków blady młodzieniec w zniszczonem ubraniu, zapewne — robotnik, zaśmiał się szyderczo.

— No tak! Stare pieśni! — odezwał się. — Komu potrzebna jest ta wasza „święta Rosja", gdzie po więzieniach mordowano ludzi?! Komu? Wam, tylko wam! A my — pracujący lud nic od niej nie mieliśmy. Dla was była ona matką, a macochą — dla nas! Teraz my wam zaśpiewamy, o czem marzyliśmy oddawna... Koniec! Przyszedł nasz czas!...

Do rozmowy wmieszali się inni i rozgorzał spór.

— Można było dojść do porozumienia bez przelewu krwi! — wołano.

— Bezwątpienia! Tylko robotnicy tego nie chcieli. Bez rewolucji — ani rusz!

— Wybrali też zdrajcy czas na powstanie! Wojna domowa, a tu wróg stoi na progu ojczyzny! — krzyknął starszy człowiek w uniformie urzędnika.

Robotnik powstał i złym głosem odparł:

— Kraczcie, kraczcie, nic nie pomoże! Poco mamy porozumiewać się z wami? Sami możemy wyrwać wam wszystko i — wyrwiemy! Późno teraz!

— Zdrajcy! — krzyknął kupiec, podchodząc do robotnika z zaciśniętemi pięściami. — Ojczyzny bronić należy — nie bunty podnosić, psie syny!

Robotnik znowu się zaśmiał:

— Najlepszy czas dla buntu, panie kupiec! Gdyby nie wojna — rozdusilibyście nas, a teraz was to czeka! Tak, panie burżuj, nadchodzi ostatnia wasza godzina!

Kupiec rzucił się na mówiącego i uderzył go w pierś. Słaby, chudy człowiek upadł pod ciężkim ciosem. Jeden ze stojących wpobliżu mężczyzn zaczął kopać leżącego. Robotnik zerwał się i wybiegł na ulicę, krzycząc:

— Towarzysze! Bolszewików biją!

Bołdyrew nie czekał dłużej, szybko wyszedł i zawinął do najbliższej bramy. Widział, jak kilku uzbrojonych robotników pędziło już przez ulicę i otoczyło poturbowanego.

Po chwili wywleczono z bramy kupca i okazałego młodzieńca w urzędniczej czapce. Prowadzono ich, popędzając kolbami i pięściami, lecz nagle grupa się zatrzymała.

Szybko ustawiono aresztowanych pod murem.

Robotnicy odbiegli na środek ulicy i dali salwę.

Na chodniku pozostały dwa nieruchome ciała.

Bołdyrew nie patrzył na leżące trupy, bo czuł, że ogarnia go przerażenie, a dreszcz wstrząsa całem ciałem.

Zaczął badać siebie.

Nie! Nie był to lęk o życie własne. Czuł raczej zgrozę wobec nieznanej jeszcze, lecz już nadążającej klęski. Nie widział jej, nie słyszał jej głosu, lecz czuł, jak zmorę, tłoczącą pierś i zaciskającą gardło zimnemi palcami.

Odgłosy strzelaniny dochodziły zdaleka.

Paru przechodniów przewinęło się przed bramą, gdzie stał w ukryciu Bołdyrew. Poszedł za nimi i skręcił w boczną ulicę. Musiał jednak stanąć. Chodnik i jezdnie były przegrodzone

Tłum wyrostków w czapkach gimnazjalnych budował barykadę. Znoszono z dziedzińców kamienie, kawały węgla, kloce drzewa, skrzynie, stoły. Szybko wyrósł spory szaniec; nad nim trzepotała czerwona chorągiew.

Chłopcy pracowali w pośpiechu. Jedni dźwigali jeszcze ciężkie worki i deski, drudzy już nabijali karabiny i zajmowali stanowiska na barykadzie.

Ktoś krzyknął przeraźliwie:

— Żołnierze!

Wszyscy ukryli się za szańcem. Tłum, przyglądający się pracy chłopców, rozproszył się w jednej chwili. Zagrzmiała salwa. Nad oddziałem, sunącym ulicą, podniesiono białą płachtę. Odezwała się trąbka.

Kilku chłopców, wymachując chustkami, poszło na spotkanie żołnierzy.

— Poco strzelacie? — pytali ich żołnierze.

— My za towarzysza Lenina walczymy! — odpowiedzieli chórem.

— Toż i my idziemy mu na pomoc ku Zimowemu Pałacowi — odpowiedział podoficer, prowadzący oddział.

Z wylotu poprzecznej ulicy wyszło kilku uzbrojonych ludzi i stanęło na chodniku.

— Hasło? — krzyknęli.

— Proletarjat... — odpowiedzieli żołnierze.

W tej chwili padły strzały. Oddział rozsypał się w popłochu, na bruku, pławiąc się we krwi, długo miotały się ciała żołnierzy i dwuch uczniów gimnazjalnych, niby ryby, wyrzucone na brzeg.

— Boże!... — jęknął Bołdyrew i już biegł blady, drżący, na nic niepomny. Miał jedno tylko pragnienie — ukryć się czem prędzej w swem zacisznem mieszkaniu, aby nic nie słyszeć i nie widzieć. Wpadł do sieni domu i skierował się do windy.

— Maszyna nieczynna — odparł stary portjer niechętnym głosem.

— Bardzo przykra nowina... — zauważył inżynier.

— Będzie gorzej... Winda to — głupstwo! Nie wysoko, może pan zajść na piechotę. Prosty lud obchodzi się bez windy, więc i burżuje mogą...

Bołdyrew ze zdumieniem spojrzał na portjera. Człowieka tego znał od 15 lat. Był zawsze grzeczny, cichy, usłużny. Teraz spoglądał na inżyniera ponurym wzrokiem i miał złośliwy uśmiech na twarzy.

— Szybko zmieniliście się... obywatelu... — mruknął Bołdyrew.

— Żałuję, że przyszło do tego dopiero na stare lata! — odparł portjer prawie zuchwale.

Inżynier nic już więcej nie mówił. Wszedł na drugie piętro i zadzwonił.

Pokojówka otworzyła mu drzwi i patrzyła na niego zagadkowem spojrzeniem.

— Pani w domu? — spytał.

— W domu, — odparła. — Pani nie chciała dać mi dziś urlopu przed południem, a tymczasem...

— Zapewne — przerwał Bołdyrew, — przecież należy wprzód podać śniadanie.

— Mam teraz ważniejsze sprawy! — odparła zapalczywie. — Wszystkie służące muszą być dziś na wiecu... Możecie państwo sami przyrządzić sobie śniadanie i nakryć do stołu... Nie umrzecie!...

Bołdyrew zrozumiał wszystko i pomyślał:

— Niewolnicy czują wolność i podnoszą głowy. Od nich nacierpimy się najwięcej...

Zrzucił płaszcz i wszedł do gabinetu.

Zaczął chodzić po pokoju i rozcierać zziębnięte ręce.

Czuł nieznośną trwogę. Jakieś złe przeczucie kamieniem leżało na sercu.

Ten dzień, jego dzień, został zatruty przedtem, nim powrócił do domu.

Zwykle czuł się w mocy i pod urokiem przeżyć, w stanie cichego rozmarzenia. Dziś z tego nastroju śladu nie pozostało.

Przeszedł do pokoju żony.

Siedziała przy biurku i na odgłos jego kroków nawet nie podniosła głowy.

— Marie... — rzekł cicho.

Pani Bołdyrewa nagle opuściła głowę na ręce i zaczęła ciężko szlochać.

— Marie... Marie... — powtarzał wzruszonym głosem.

— Widzę teraz, jak jestem ci obojętną... — zaczęła mówić przez łzy. — W takiej strasznej chwili nie pomyślałeś o mnie, pozostawiłeś mnie samotną... Dokoła strzały... Służba odrazu stała się brutalna i wyzywająca... A ty... ty... wolisz przebywać z tamtą kobietą!... Dla niej wszystko — uczucie i troska, a dla mnie — nic! Zaco! Przed rokiem jeszcze, pozostając sama, całe noce przepłakiwałam, tłukłam głową o ścianę w rozpaczy... Miałam jednak nadzieję... że powrócisz... że zrozumiesz różnicę pomiędzy tamtą... baletnicą, a matką twoich synów... kobietą, która w niedoli i doli zostawała przy tobie... Pomyliłam się! To już nie szał, nie spóźnione fantazje, to —

miłość! Ty kochasz ją... Troszczyłeś się w tę straszną noc o nią, tylko o nią!

Łkanie przerwało jej słowa.

Wstała i zapłakanemi, zrozpaczonemi oczami patrzyła na zmieszanego męża. Stał przed nią i myślał, że mogłaby się wydać kobietą młodą. Zgrabna, wyniosła postać, czarne, wspaniałe włosy, w których gdzie-niegdzie tylko połyskiwały srebrne nici, twarz ściągła, piękne oczy szafirowe i świeże jeszcze, gorące wargi, niemal dziewczęce, — nic nie mówiło o starości. Tylko dwie głębokie zmarszczki koło ust i męczeński, zbolały wyraz oczu świadczyły o głębokiem cierpieniu i smutku tej kobiety.

— Marie... — rzekł Bołdyrew. — Ja wiem, że jestem winien i nie zasługuję na przebaczenie... Nieszczęśliwy poryw... jakiś prawie chorobliwy, a nieprzeparty pociąg do tamtej kobiety... *C'est plus fort que moi*... Byłem niespokojny o ciebie i bardzo wcześnie wyjechałem... Długo nie mogłem dostać się na tę stronę, bo wszystkie mosty były podniesione, a później, wyobraź sobie, zarekwirowano mi samochód, szedłem piechotą... kryłem się przed kulami... byłem świadkiem strasznych wypadków... wstrząsających...

Jak małe wylękłe dziecko, ujął żonę za rękę i urywanym głosem opowiadał o swoich przejściach.

— Czeka nas wielkie nieszczęście...! — powtarzał ciągle.

Milczała, nie mogąc pohamować łkań, wzbierających w sercu, i zapomnieć urazy, ciężkiej, bolesnej, przechodzącej chwilami w nienawiść.

W przedpokoju rozległ się dzwonek, niecierpliwy, gwałtowny.

Za chwilę wpadł wysoki, smagły młodzieniec.

— Cieszę się, że widzę was razem! — zawołał. — Mamo czy Grzegorza jeszcze niema?

— Nie! — odpowiedziała pani Bołdyrewa, wycierając łzy.

— Czy miał przyjść?

— Płaczesz? — spytał młodzieniec i, patrząc na ojca z szyderczym uśmiechem, dodał: — Kolejna eskapada romantyczna? Aj! Aj! W twoim wieku, ojcze, to już śmieszne! Dziwię się tylko, że mama przez trzy lata nie przyzwyczaiła się do tych występów gościnnych swego płomiennego pana i władcy!

— Piotrze! — upomniała syna pani Bołdyrewa, z niepokojem spoglądając na męża.

Ten zaś siedział w fotelu, blady i zamyślony. Widocznie, nie słyszał nawet szyderczych słów syna.

— Walerjanie! — rzekła, z trwogą dotykając jego ramienia i z troską patrząc na tę wypieszczoną twarz, tak bezwolną, podatną, lekkomyślną i porywczą jednocześnie. Chwilami nienawidziła tych oczu niebieskich, pulchnych warg, białego czoła, miękkich, złocistych bokobrodów i bujnej, prawie młodzieńczej czupryny, nienawidziła, jako żona opuszczona, zdradzona.

Chwilami znowu czuła jednak tkliwość dla niego, bezbronnego wobec wszystkiego, co wychodziło poza granice normalnego bytu przeciętnych ludzi.

Znała swego męża, wiedziała, przecież, że nie własną pracą, nie wysiłkiem mózgu i mięśni doszedł do dobrobytu. Szczęśliwy zbieg okoliczności wpłynął na los jego, dając niezależne stanowisko.

Bołdyrew potrafił tylko nie popsuć sobie karjery. Był uczciwy, systematyczny w pracy bez nadmiernego oddania się jej, tyle, ile wymagała od niego i nic poza tem. Był zadowolony ze swej sytuacji i większych ambicyj nie posiadał.

W tej chwili podniósł na żonę zamglone, niebieskie oczy, w których nie zagasły jeszcze błyski przerażenia i smutku.

— Co? — szepnął zdumiony, jakgdyby przebudzony z ciężkiego snu. — Pytałaś mnie o coś, Marie?

— Piotr przyszedł i oczekuje na Grzegorza... — rzekła.

— Co u was słychać? — zapytał pan Bołdyrew, patrząc na syna. — Jak się zachowują wasi robotnicy?

— Źle! — zawołał syn. — Dziś zrana stanęła tylko dziesiąta część robotników. Reszta poszła za bolszewikami. Pozostali urządzili wiec i wywieźli na taczkach wszystkich inżynierów. Oszczędzili tylko mnie za to, że, jak objaśnili, po ludzku ich traktowałem i razem z nimi pracowałem przy obrabiarkach. Obrali mnie na stanowisko dyrektora. Sytuacja stała się głupia i bardzo drażliwa. Odmówiłem i podałem się do dymisji. Inaczej nie mogłem postąpić wobec zarządu naszego. Musiałem być solidarnym!

— Zapewne! — zgodził się ojciec. — Zarząd oceni to niezawodnie, gdy nastaną czasy normalne.

— Nie nastaną! — rzekł poważnym głosem syn.

— Nie nastaną? — zapytała pani Bołdyrewa.

— Może... kiedyś... w każdym razie nieprędko — odparł młody inżynier. — Jestem przekonany, że rewolucja się uda i właśnie taka, o jakiej marzą ci ludzie. Cieszę się z tego!

— Co ty mówisz, Piotrze! — oburzył się ojciec.

— Mówię to, co myślę! — odparł syn. — Nie można było dłużej znosić takiego stanu. Ci, co najciężej pracują, w gruncie rzeczy pozostają na stopniu niewolników, lub niepożądanych, chociaż niezbędnych maszyn, które się wyrzuca, gdy pracują nie dostatecznie sprawnie, lub, gdy na skutek kalkulacji właścicieli, nie są potrzebne...

— Wszędzie istnieje ten sam system — bronił się pan Bołdyrew.

— Wszędzie też jest źle! Zrozumieli to kapitaliści amerykańscy i, wybierając z masy robotniczej najlepsze, najzdolniejsze okazy, czynią z nich uczestników przedsiębiorstwa w części, sprawiedliwie i rzetelnie obliczonej. Innym krajom, a pierwszej zkolei — Rosji, rewolucja już świeci łuną w oczy... — z rumieńcem na twarzy odpowiedział Piotr.

W gabinecie zadzwonił telefon.

Pan Bołdyrew wziął słuchawkę.

Zbladł nagle i prawie bez sił opuścił się na fotel. Szeptał, rzężąc i nie mogąc złapać tchu:

— Nasze składy zostały zrabowane przez oddział marynarzy i robotników. Fabryka podpalona... Telefonuje mi o tem nasz prezes...

Piotr Bołdyrew trzasnął w palce i, chodząc po pokoju, mówił:

— Tego się boję najwięcej! Dziki instynkt naszego tłumu, podsycany nadmiarem mściwości, odda się burzeniu... Co wtedy będzie z Rosją? Chętnie będę współpracował z wyzwolonym ostatecznie ludem, lecz nie z burzycielami! To — okropne! Pojedziesz do fabryki?

— Prezes mówi, że w całej okolicy wre bitwa pomiędzy buntownikami i pułkiem Semenowskim, podtrzymującym rząd — szepnął zgnębiony inżynier.

Do gabinetu wszedł Grzegorz Bołdyrew.

Podobny był do matki, tak samo jak starszy brat. Te same włosy krucze, smagła twarz, wielkie oczy niebieskie. Tylko, o ile brat kipiał życiem i zapałem, o tyle cała postać Grzegorza zdradzała marzycielstwo i skłonność do głębokich rozmyślań.

— Ach! Zjawił się nasz metafizyk! — zawołał Piotr na widok brata.

— Co się dzieje! Co się dzieje! — zawołał, składając ręce, Grzegorz. — We wszystkich dzielnicach — bitwa! Z trudem, bocznemi ulicami dotarłem do was!

— A co u ciebie słychać? — spytał ojciec.

— Nic dobrego! Rada robotnicza postanowiła zamknąć naszą fabrykę, jako niepotrzebną dla proletarjatu, bo robimy mydło pachnące, wodę kolońską i proszek do zębów, — odparł ze smutnym uśmiechem.

— Ale robicie też środki lecznicze! — zawołał Piotr.

— Wskazywaliśmy im na to. Powiedzieli, że wszelkie aspiryny, piramidony są dobre dla burżujów, nie dla ludu robotniczego. Wszystkie zapasy zarekwirowano i wywieziono, niewiadomo dokąd. W fabryce zaś rozlokowano oddziały powstańców z podmiejskich fabryk. Widziałem na własne oczy, jak robotnicy odkręcali mosiężne i bronzowe części aparatów i wynosili naczynia z platyny i srebra... Piękna rewolucja w XX wieku!

— Piękna, nie piękna, ale rewolucja i do tego — rosyjska! Inną być nie może, bracie! Dzikim jesteśmy narodem, a dzikość naszą spotęgował ucisk niebywały, zbrodniczy, głupi, graniczący ze zdradą Rosji! — zawołał Piotr.

— Rewolucja powinna porwać cały naród, pociągnąć go ku sobie! — zaprotestował młodszy brat. — Jakżeż osiągnie to, gdy się splami pospolitym rabunkiem, ohydną zbrodnią?

— Twoje rozumowania dobre są dla kwakrów lub ewangelickich chrześcijan, Grzegorzu, nie dla nas! My — półpogański jeszcze naród, błąkamy się w mroku — mówił Piotr.

— Nasza inteligencja nie ustępuje europejskiej, nasza sztuka jest wszędzie podziwiana — powiedział Grzegorz.

— Mój drogi! — zawołał starszy brat. — Są to stare, zupełnie nieprzekonywające dowodzenia! Nasza inteligencja myślowa i twórcza obliczona jest na dwa lub trzy miljony, a pozostałe 150 miljonów w okresach epidemji lub głodu tłuką kijami, lub rąbią siekierami lekarzy, nauczycieli, agronomów, weterynarzy, bo oni bezpośrednio „cholerę roznoszą"; baby topią wiedźmy, bo one swemi czarciemi sztukami powodują gniew Boży. Pomiędzy nami a ludem — przepaść. Żadnego mostu nie potrafimy przez nią przerzucić!

— To — prawda! — zgodził się pan Bołdyrew. — Dwadzieścia sześć lat znam robotnika. Gdy mówię z nim o rzeczach fachowych, rozumiemy się wybornie. Dość jednego słowa o czemś życiowem, ogólnem, natychmiast mam wrażenie, że słowa moje nie dochodzą do robotnika... W oczach jego spostrzegam zmieszanie, nieufność, wrogość. Myślicie, że chłop rozumie robotnika, lub mieszczucha? Nie! Bywałem na wsi u brata Sergjusza i wiem, że chłopi nienawidzą właścicieli ziemskich, są pełni podejrzliwości względem ludzi z miasta i pogardy dla robotnika...

— Tak! — zawołał Piotr. — Niestety, nie posiadamy społeczeństwa. Mamy kilka warstw, niczem ze sobą nie złączonych, wzajemnie usposobionych wrogo, a jeżeli dodamy do tego różnice dzielnicowe, religijne, szczepowe — obraz staje się rozpaczliwie beznadziejnym!

— W jaki sposób potrafi Lenin połączyć to wszystko? — zapytał Grzegorz.

— W tem pytanie! — zgodził się Piotr. — Dowiemy się wkrótce, jeżeli zwycięży ten zagadkowy wódz proletarjatu.

— Chodźcie na śniadanie! — rzekła pani Bołdyrewa, otwierając drzwi. — Sama wszystko przyrządziłam, bo służba rozbiegła się po wiecach.

Przy stole panowało milczenie. Pani Bołdyrewa była smutna i ukradkiem wycierała łzy. Spostrzegła, że mąż miał bladą, stroskaną twarz.

Była przekonana, że niepokoi się o swoją kochankę, która całkowicie zawładnęła starzejącym się, zawsze jednak pełnym werwy, dowcipu i wspaniałego zdrowia inżynierem. Myliła się jednak pani Bołdyrewa. Mąż jej myślał w tej chwili o rewolucji i ani razu nawet nie przypomniał sobie zalotnej

panny Tamary, jej świeżej, różowej twarzyczki, otoczonej złocistemi kędziorkami puszystych włosów.

Synowie współczuli matce i czuli rosnącą pogardę dla niewłaściwego, spóźnionego romansu ojca; nigdy zresztą nie poważali go szczerze. Nie imponował im wcale. Spostrzegli dawno jego lekkomyślność, bierność i brak siły, która zdobywa życie przebojem, nie zatrzymując się przed walką. Czuł to sam Bołdyrew w tej chwili z dokładnością, sprawiającą mu niemal ból fizyczny. Wiedział, a raczej przeczuwał, że nadchodzi czas ciężkich prób, nowe, nieznane życie; dla ogarnięcia go rozumem, przeciwstawić się dążącym wrogim zjawiskom nie miał już sił. Nie potrafiłby żyć inaczej, niż dotychczas, ani myśleć kategorjami człowieka walczącego, zdobywającego. Uświadamiał sobie bezbronność, swoją słabość, zwątpienie we własną wartość. Przed tem męczącem uczuciem znikały wyrzuty sumienia, gdy z niepokojem i zawstydzeniem spoglądał na smutną, zapłakaną żonę; zapomniał o odczuwanem zawsze skrępowaniu wobec synów, krytykujących go i zwykle unikających długich rozmów z ojcem.

Teraz ten przykry nastrój odstąpił go. Coś wielkiego, ogarniającego wszystko i chłonącego wszelkie odruchy duszy, przyszło i przytłoczyło go.

Po śniadaniu mężczyźni wyszli na miasto, aby rozejrzeć się w sytuacji. Strzelanina ustała. Ulicą przeciągał oddział żołnierzy. Mieli czerwone wstążki na piersiach lub na bagnetach. Śpiewali pieśni rewolucyjne.

Na Newskim prospekcie, gdzie koncentrowało się życie stolicy, tłumy ludzi płynęły chodnikami. Na wieży miejskiej powiewała czerwona flaga. Rozległy się okrzyki:

„Niech żyje socjalna republika“!

Ulicą Morską wyszli na plac przed Pałacem Zimowym. Ujrzeli tu obóz wojenny.

Stały armaty i kulomioty; leżały rozrzucone w nieładzie, wdeptane w śnieg i błoto puste łuski naboi; dymiły kuchnie ruchome; parskały konie; łamaną linją ciągnęły się barykady.

Mury gmachu sztabu generalnego i ministerstwa spraw zagranicznych, upstrzone białemi plamami odbitego tynku i dziurami od kul, żałośnie spoglądały czarnemi oknami o

wybitych szybach. Wszędzie stały oddziały żołnierzy i zbrojnych rabotników, skupionych przy płonących ogniskach. Rozprawiali o wypadkach dnia.

— Drużyny z fabryki Kołomienskiej wyważyły bramy pałacowe! Zaraz pójdą do ataku! — krzyczeli powstańcy, spoglądając w stronę pałacu.

Z turkotem kół przez plac przejechały furgony Czerwonego Krzyża.

Bołdyrew spostrzegł, że na granitowych stopniach kolumny, wzniesionej na pamiątkę odparcia armji Napoleona, leży kupa ciał. Były to ofiary rewolucji. Z pod płaszczów i palt cywilnych, narzuconych na poległych, wyglądały nogi w grubych butach, sztywne, martwe.

Na wewnętrznych podwórzach olbrzymiego gmachu pałacowego przelewały się głucho strzały. Dwie salwy, a po nich trzecia — bezładna, za którą rozległy się burzliwe krzyki, kilka strzałów pojedyńczych, głuchy gwar wściekłych głosów, brzęk rozbijanego szkła, łoskot żelaza, trzask drzewa i — nowe salwy. Z głównej bramy wybiegały w popłochu kupy robotników i żołnierzy, chowały się za barykadami i strzelały w pośpiechu i zamieszaniu.

Trwało to jednak niedługo, bo z bramy wyłoniły się sprawne szeregi szarych żołnierskich sylwetek. Idący na przodzie strzelali w stronę placu, inni — gęstemi salwami zasypywali dziedziniec.

— Junkrów i babski bataljon Boczkariowoj wzięto we dwa ognie! — wołali robotnicy, leżący w pobliżu ukrytych za kuchnią obozową Bołdyrewa z synami. — Ostatni to obrońcy Kierenskiego!

— Nasi wyparli tych szerszeni z pałacu! — krzyczeli inni.

Istotnie pałac był zdobyty.

Na wysokiem drzewcu, gdzie niedawno jeszcze powiewały dumne sztandary carskie, ślizgnęła się i łopotać zaczęła duża czerwona płachta.

Na ten sygnał wszystko, co żyło, rzuciło się na obrońców pałacu.

Zaczęła się rzeź.

Bołdyrew widział, jak wznosiły się kolby karabinów i, niby potężne cepy, spadały na junkrów, jak kłuto ich bagnetami,

strzelano, przykładając lufy do piersi i brzuchów. Napastnicy walczyli ze sobą o miejsce, aby zadać cios wrogom proletarjatu.

Wychowańcy szkół wojennych rozpaczliwie bronili się resztkami sil i nie prosili o miłosierdzie.

Grupa robotników otoczyła dwuch junkrów, wyrwała im z rąk karabiny, obaliła, zgniotła i okryła szamocącemi się ciałami, niby zgraja psów — rannego zwierza. Bito ich kolbami i pięściami, kopano nogami, kłuto, rąbano, wyrywano włosy, wybijano zęby i oczy. Wściekli, skrwawieni, szałem porwani ludzie długo miotali się i szamotali nad ofiarami, chociaż z nich pozostały tylko straszliwe, zgrozą przejmujące szmaty.

Powstańcy ryczeli, wyli, rzygali ohydnemi, bluźnierczemi przekleństwami, znęcając się nad trupami.

Kolby uderzały w miękkie szmaty, przepojone krwią i przy każdym ciosie bluzgające czerwonemi strugami. Obcasy ciężkich butów grzęzły w skrwawionej masie poszarpanych ciał, rozbitych głów, mięszaniny włosów, łachmanów. mózgu i błota.

W innem miejscu wybuchnęły ryki i śmiech, głuchy, zły, rozradowany ponuro.

To żołnierze Pawłowskiego pułku zaatakowali cofający się z pałacu szturmowy bataljon kobiet. Broniły się odważnie i coraz częściej przechodziły na bagnety. Wtedy żołnierze cofali się, lecz po chwili znowu rzucali się do ataku. Bataljonowi odcięto odwrót, otoczono ciasnem, żelaznem pierścieniem i ściśnięto ze wszystkich stron. Rozpoczęła się dzika walka na pięści i zęby. Trwała jednak niedługo. Co chwila wyrywano kobiety z załamanych szeregów, szarpano je, zdzierano z nich ubranie.

Rozległy się wybuchy śmiechu i krzyku:

— Stara wiedźma! Do piekła z nią!

Wtedy wznosił się karabin, dochodził głuchy odgłos trzaskających kości i półnaga postać znikała w kotłującej się ciżbie.

Rozwścieczeni, zagrzani bitwą żołnierze porywali młode ochotniczki, wlekli je za włosy, za nagie ramiona, za resztki ubrania i znikali z rozpaczliwie szamocącemi się kobietami w dziedzińcach pobliskich domów.

Olbrzymi, piegowaty żołnierz przerzucił sobie przez ramię obnażoną do pasa dziewczynę i biegł z nią przez plac. Kasztanowate włosy rozmiotały się dokoła bladej, drobnej twarzy. Piersi jak dwa pączki róży z drażniącem wyzwaniem prężyły się ostatnim wysiłkiem życia. Białe, ledwie przykryte pasmami i skrawkami podartego płaszcza ciało zwisało bezwładnie, omdlałe, wyczerpane bitwą, zdjęte zgrozą hańby i śmierci.

Żołnierz dobiegł do furgonu Czerwonego Krzyża. Zajrzał do wnętrza nieprzytomnemi oczami, rzężąc, wyciągnął karabin i wrzasnął:

— Precz!

Strzelił, kulą przebijając płócienną budę.

Lekarz, sanitarjuszka i żołnierz, siedzący na koźle, natychmiast wyskoczyli z furgonu i zamieszali się w tłumie.

Żołnierz cisnął swoją zdobycz na dno wozu, aż drgnął i zgrzytnął na resorach; wgramolił się do wnętrza i opuścił połę furgonu.

Tłum otoczył wóz.

Ludzie stali w milczeniu, niby przed obliczem wielkiej tajemnicy w chwili pogańskiego nabożeństwa, strasznego i ponurego.

Z furgonu dochodził urywany, zdyszany ryk i słabe, żałosne jęki.

W tej chwili z pod arki Sztabu Generalnego wytoczył się samochód pancerny.

Żołnierze z karabinami, z powiewającemi czerwonemi wstęgami na czapkach i rękawach stali na stopniach samochodu i leżeli na jego błotnikach. Pośrodku, wyżej od wszystkich, stał człowiek w szarej, robotniczej czapce i czarnem palcie cywilnem. Szeroka, o wystających policzkach i grubych wargach twarz łagodnie, radośnie się uśmiechała, skośne oczy biegały, badawczym wzrokiem ogarniając tłum i cały plac. Człowiek ten miał oczy owada, który w okamgnieniu obejmuje olbrzymią ilość szczegółów, patrząc tysiącami źrenic naraz.

Ktoś z tłumu poznał go.

— Niech żyje Lenin!

— Niech żyje towarzysz Lenin — nasz wódz! — rozległ się krzyk.

— Lenin! Lenin! Niech żyje Lenin! — targnęły powietrzem setki gardzieli.

Ludzie podnosili się na palce, zadzierali głowy, tłoczyli się i potrącali, żeby lepiej widzieć tego, kto prowadził ich ku lepszej, wymarzonej przyszłości.

— Ustąpcie z drogi, towarzysze! — wołał szofer. — Drogę dla towarzysza Lenina!

— Co się tu u was dzieje? — spytał Lenin dobrotliwym głosem, spostrzegłszy niezwykłe błyski w oczach ludzi, otaczających furgon.

— Cha! Cha! — zagrzmiał śmiech. — Żołnierz porwał burżujkę ze szturmowego bataljonu, no i... Cha! Cha! Cha! Po takim zuchu odechce się jej bronić pałacu i burżujów... Cha! Cha! Cha!

Lenin skrzywił usta ze wstrętem i jeszcze bardziej zmrużył skośne oczy. W wąskich szparkach, niby węgle rozżarzone, świeciły się jego czarne, przenikliwe źrenice. Badał nastrój, wchłaniał w siebie myśli tłumu. Pojął przyczynę tej bladości twarzy, te mroczne, drapieżne połyski oczu i drżenie mocno zaciśniętych warg... Uśmiechnął się wesoło i beztroskim głosem odkrzyknął:

— Niech się zabawi wierny obrońca proletarjatu! Wszystko od dziś należy do was, towarzysze! Rabujcie zrabowane!

— Oho — ho — ho! — zawył tłum. — Lenin! Niech żyje Lenin!... Ach! Nasz on — umiłowany, wódz,... ojciec! Lenin! Lenin!

Pancerny samochód powolnie sunął naprzód, a za nim, popychając się, biegł tłum, Lenin zatrzymał się w pobliżu miejsca, gdzie dobijano resztki junkrów i kobiet bataljonu ochotniczego.

— Skończyć z nimi! — krzyknął Lenin. — Śpieszcie się na oględziny pałacu, waszego pałacu, towarzysze, bracia, walczący o wolność i szczęście proletarjatu, o promienną przyszłość ludzkości! Za mną!

Tymczasem z furgonu Czerwonego Krzyża wyskoczył piegowaty olbrzym. Leniwemi ruchami poprawiał na sobie ubranie, uśmiechał się lubieżnie i zuchowato spoglądał na wpatrzonych w niego powstańców.

— Dogodziłem dziewce, oj, dogodziłem... a, może, to córka jakiegoś generała? Wysokorodne pokrewieństwo... Cha — cha — cha!

Uczynił bezwstydny ruch i nagle krzyknął:

— Stawajcie w ogonek! No, kto pierwszy? Generalska córka czeka... całkiem gotowa!

Tłum, śmiejąc się i mrucząc, prawie bezwiednie spełnił ohydny rozkaz, tłocząc się i ustawiając w długą kolejkę. Do furgonu wskoczył wyrostek o jednem oku, bez czapki. Nie miał butów na nogach. Z prawej stopy zwisały brudne szmaty porwanej onuczy.

— Bogaty narzeczony dostanie się tej dziewce! — wołano w tłumie.

— Cha — cha — cha! — ryczeli żołnierze.

Ktoś gwizdnął przeraźliwie, włożywszy palce do ust.

Nagle powstało zamieszanie.

Grzegorz Bołdyrew roztrącał tłum i, błyskając oczami, przedzierał się do furgonu. Wskoczył do wozu i zniknął za zwisającem płótnem.

— Śpieszno mu... Patrzcie-no, jaki płomienny! — wołano dokoła. — W ogonek stawaj! Nie ustąpimy... po sprawiedliwości trzeba, bez szulerki!

Wybuchnął śmiech, żarty i wyzwiska zgniłe, straszliwe.

Urwały się po chwili. Z furgonu wypadł jednooki wyrostek, i potoczył się po stratowanym, topniejącym śniegu, niby wyrzucony kloc drzewa.

Na furgonie zjawił się Grzegorz.

Trzymał w ręku rewolwer. Patrzył groźnie i krzyczał.

— Kto się waży dotknąć tej kobiety — temu łeb rozwalę! Hańba! Walczący o wolność proletarjat gwałci kobietę bezbronną! Wstydźcie się, obywatele!

Tłum znieruchomiał, umilknął, przyczaił się.

Jednak trwało to krótko. Rozległ się drwiący głos:

— Proletarjat nie zna hańby! To burżuazyjny przesąd!

Grzegorz Bołdyrew nie spostrzegł, że stojący w pobliżu niego żołnierz ukradkiem podniósł karabin i z rozmachem uderzył go kolbą w pierś. Jak rażony piorunem, młodzieniec padł nawznak, znikając we wnętrzu furgonu.

Stary Bołdyrew uczuł nagle niczem nieprzezwyciężony. zwierzęcy strach przed tem, co musiało się stać. Nie uświadomiona rozumem myśl o potędze tłumu, o zagrażającem niebezpieczeństwie i bezcelowości obrony wybuchnęła w obłędny strach i zmusiła mięśnie do czynu. Nie oglądając się pobiegł ku łukowi, słysząc, że ktoś ściga go. Zdyszany, zatrzymał się wreszcie. Obejrzał się. Tuż za nim stał blady. drżący Piotr.

Patrzyli na siebie oczami zbrodniarzy, którzy przed chwilą dokonali mordu. Milczeli, jak dwaj spiskowcy. W oczach ich miotały się strach, wstyd i nienawiść. Nie wyrzekli do siebie ani słowa.

Powrócili na plac biegiem. Furgonu nie znaleźli. Odjechał już. Oddziały powstańców odpłynęły ku placowi. Nowe tłumy, wynurzające się ze wszystkich ulic. porwały Bołdyrewych. Biegli razem z innymi; zgubili się w ciżbie; byli nawet radzi, że mogą nie patrzeć sobie w oczy. Czuli się drzazgami, unoszonemi przez potężny wir, wezbrany, oszalały. W sercu mieli gryzący wstyd i pogardę dla samych siebie. Jakieś głosy — donośniejsze od zgiełkliwego gwaru tysięcy ludzi wołały władnie do czynu, natychmiastowego, śmiałego, niezbędnego, jak obrona własnego życia.

Dokoła rwały się ryk, gwizd, śmiech, wrzaski:

— Do pałacu! Do pałacu!

ROZDZIAŁ XIX.

Na placu dobijano jeszcze ostatnich obrońców rządu tymczasowego, gdy Lenin wchodził już do pałacu Zimowego. Chalajnen i Antonow-Owsienko na czele fińskich i łotewskich rewolucjonistów torowali dla niego drogę w tłumie.

Żołnierze, robotnicy, złodzieje, bandyci, wypuszczeni przez powstańców z więzień kryminalnych, żebracy, zapominający nagle o swojem kalectwie, służba pałacowa, dozorcy z sąsiednich domów, prostytutki, wyrobnice i nawet dzieci; tłumy wyjących, ryczących, śmiejących się obłędnie ludzi przebiegały nieskończone amfilady wspaniałych sal o wybitych kulami oknach i odłupanych gzymsach marmurowych sufitów.

Pijany chłop, otoczony gromadką roześmianych kobiet, stał przed olbrzymim zwierciadłem w rzeźbionej, złoconej ramie. Przyglądał się sobie długo, z poważną twarzą, poprawiając barankową czapkę i gładząc brodę. Po chwili przyszła mu do głowy myśl wesoła. Zaczął tupać nogami, podśpiewywać i nagle puścił się w tan, przysiadając i bijąc hołupce. Podsunął się tak blisko do lustra, że otarł się o szklaną taflę rękawem kożucha. Rozgniewało go to. Przystanął i złemi oczami przyglądał się chwilę, a później rzygnął potokiem zgniłych przekleństw i z całej siły kopnął szkło nogą. Rozprysnęło się w kawały, rozsypało się z brzękiem. Tłum zaryczał, wybuchnął śmiechem i wyciem.

Rzucono się do niszczenia.

Rozbijano lustra, wazy rzeźbione, zrywano ze ścian obrazy i deptano nogami; kilku wyrostków, połamawszy krzesło, ciskało odłamkami drzewa w żyrandol wenecki, zasłaniając twarze i głowy przed sypiącemi się kawałkami barwnego szkła i lampek elektrycznych; kobiety zdzierały draperje, szarpały obicia kanap i foteli, zrywały jedwabne tkaniny, okrywające ściany.

— Grabcie, brachy, zagrabione! — wrzeszczał blady robotnik, bagnetem dziobiąc posążek amora z malachitu.

Trzask niszczonych mebli, łoskot zrzucanych obrazów, w kamieniu rzeźbionych wazonów, posągów, zegarów z bronzu łączyły się z krzykiem i przekleństwami rabusiów, wszczynających kłótnię i bijatykę o zdobycz.

Żołnierze strzelali do pięknych głowic kolumn marmurowych, selenitowych i malachitowych, bili kolbami w zwierciadła i obrazy, w kamienne blaty stołów, w połyskujące emalją i mozaiką szafki, biurka; bagnetami rozpruwali kobierce, makaty chińskie, japońskie, tureckie; strącali na posadzkę portrety w ciężkich ramach złotych, uwieńczonych koronami cesarskiemi.

W małym gabineciku wisiał samotny portret Aleksandra III-go.

Tłum, wbiegłszy, stanął, zdjęty przerażeniem.

Z mroku spoglądało ciężkie, nieruchome oblicze cara.

Zimne, niebieskie oczy, zdawało się, żyły.

W czarnym mundurze, z samotnym, białym krzyżykiem św. Jerzego na piersi, na którą spadała długa, szeroka broda, car stał z ręką w zanadrzu i patrzył surowo, przenikliwie.

— Aleksander Aleksandrowicz, imperator... — rozległ się głos, w którym brzmiał strach. — Srogi był car... Aleksander III, ojciec Mikołajki...

— Kat! Morderca chłopów i robotników... Tyran! — krzyknęli inni. — Bić go!

Zwleczono portret z ściany, połamano ramy. Dziesiątki rąk chwytały płótno malowidła, wpijały weń palce, drapały, łamiąc i wykręcając sobie paznogcie, aż krew plamić zaczęła blade oblicze cara.

Rozwścieczona tem stara baba, owinięta w jedwabną kotarę, zrabowaną przed chwilą, skoczyła obydwiema nogami i przerwała płótno. Ze zgrzytem odrywały się twarde, sztywne pasma portretu. Pozostał tylko skrawek z kawałkiem czoła i jednem surowem, przenikliwie połyskującem okiem.

— Patrzysz jeszcze na nas?! Grozisz?! — piskliwym wściekłym głosem krzyknął stary robotnik z karabinem na

ramieniu. — Tyś mnie posłał na Sybir, kacie, wypiłeś całe moje zdrowie, moją krew! Ja ci się odwdzięczę... Czekaj! Czekaj!

Szerokim ruchem rąk odsunął tłum i zaczął odpinać rzemyk, podtrzymujący spodnie. Obnażył się i usiadł nad portretem, bezmyślny, ciemny, jak noc.

Milczał, patrząc wprost przed siebie nieruchomemi oczami.

Tłum ryczał, wybuchając śmiechem, żartami i wykrzykując sprośne słowa.

— Lenin! Lenin przemawia! Śpieszcie się towarzysze! — doniosły się głośne nawoływania biegnących przez sąsiednią salę ludzi.

— Lenin przemawia! Lenin! — powtarzał tłum.

Wybiegli wszyscy, pracując łokciami i pięściami, przeklinając i wrzeszcząc oszalałemi, ochrypłemi głosami.

Na zmiętym kobiercu wśród drzazg połamanych ram i kawałków złocenia pozostały skrawki cesarskiego portretu, znieważonego tem, czem tylko mogła bluznąć ślepa i dzika zemsta niewolnika.

W ogromnej sali malachitowej, zapełnionej dymem cuchnącej machorki, zaśmieconej łupinami ziaren słonecznikowych, zawzięcie gryzionych przez zwycięzców, na stole stał, górując nad tłumem, barczysty Lenin.

Miał na sobie rozpięte palto, miotał się na wszystkie strony, wymachiwał rękami i bił słowami, niby młotem w twardy kamień niepodatny.

— Towarzysze, bracia! — krzyczał, mrużąc oczy. — Towarzysze, bracia! Zwyciężyliście w stolicy. Pracujący proletarjat całego świata nie zapomni nigdy waszej odwagi i porywu! Założycie teraz nowe państwo. Państwo proletarjatu! Musi się ono stać maszyną do zgniecenia wszystkich wrogów waszych... Jeszcze długo będzie trwała walka. Nie cofajcie się, pamiętajcie, że w tej chwili towarzysze wasi zdobywają Moskwę, a inni — przelewają krew we wszystkich miastach Rosji. Zwycięstwo należy do was, towarzysze! Wy, tylko wy, będziecie rządzić, sądzić i korzystać z bogactw kraju! Niema więcej praw, krępujących wolność robotników, żołnierzy i wieśniaków! Niema przywilejów! Precz z wojną!



NA POSTERUNKU

Grzmiące okrzyki, ryk i wycie przerwały mowę Lenina. On stał, niewzruszony, i bacznie, jak czujny zwierz, patrzył, słuchał i, mrużąc oczy, swoim instynktem wchłaniał ukryte, nie wyrywające się nazewnątrz myśli i żądze tego tłumu. Podniósł rękę i uciszył zebranych.

— Jutro zaproponujemy wszystkim państwom walczącym na frontach zawarcie pokoju bez aneksji i kontrybucji! Zaproponujemy zawieszenie broni pomiędzy Niemcami a nami! Ziemię, zagarniętą przez carów i burżujów, oddajemy chłopom!

— Oho — ho — ho! — przemknęło przez salę.

— Fabryki, banki, koleje, statki — wezmą robotnicy i będą odtąd sami kierowali wszystkiem!

— Lenin! Niech żyje Lenin! — targnęły powietrzem burzliwe okrzyki, brzmiące radością i zachwytem.

Ludzie cisnęli się do stołu, wyciągali ręce do mówcy. Wreszcie dosięgli go, porwali, unieśli nad głowami i szli z nim, jak chodzili niegdyś, uginając się pod ciężarem obrazów świętych, noszonych w procesjach kościelnych.

Lenin stał się od tej chwili nowym mesjaszem, bóstwem dla tych głodnych, uciśnionych, ciemnych, ślepych tłumów. Krzyczał coś jeszcze, wymachiwał czapką, lecz wszystko tonęło w zgiełku, w burzy tysiącznych głosów.

W jednej z sal przez tłum przebili się rewolucjoniści fińscy, stanowiący przyboczną straż Lenina. Obok niego stanął nieodstępny, mocny, jak dąb, Chalajnen, a pomiędzy szeregami Finnów przeciskali się do wodza Trockij, Zinowjew, Kamieniew, Unszlicht, Dzierżyński, Wołodarskij, Urickij, Kalinin, Krasin, Joffe, Nachamkes i ci wszyscy, którzy pozostawali w pierwszych szeregach wodzów i kierowników lipcowej i październikowej rewolucji proletarjatu.

Do Lenina zbliżył się Łunaczarskij i, pochylając się do ucha, szepnął:

— Towarzyszu! Proletarjat czyni gwałty, burzy niezrównane skarby sztuki, wynosi obrazy z galerji Ermitażu.

Lenin podniósł głowę i przyglądał się rozradowanym, czerwonym, dzikim, bezmyślnym twarzom ludzi, stojących w tłumie.

— Dziś jest ich dzień! — odparł spokojnie. — Zabytki sztuki nie są im potrzebne, towarzyszu, a i Rosja bez nich się obejdzie! Tymczasem wolno im wszystko... tymczasem... Taka jest ich wola... taką czują żądzę... w dniu dzisiejszym!

Poprzedzani przez fińskich strzelców szli dalej poprzez wspaniałe sale, któremi tłoczyły się przed nimi rozszalałe kupy powstańców i tłuszczy ulicznej. Pod nogami dzwoniło potłuczono szkło, zawadzały odłamki mebli, kawałki posągów, tynku, jakieś szmaty pętały nogi.

Gdy Lenin wyszedł na wybrzeże, ktoś roztrącił otaczających go żołnierzy i stanął przed nim.

Wysoki człowiek o bladej twarzy i długich, siwiejących bokobrodach stał bez czapki, zgubionej w ścisku. Ponura stanowczość, granicząca z rozpaczą, zapaliła mroczne ognie w jasnych oczach, usta drżały, a skurcz gwałtowny krzywił je co chwila. Przez zaciśnięte zęby mówił:

— Obywatelu! Mój syn nie mógł dopuścić, aby wolny lud gwałcił bezbronną kobietę... Zraniono go za to... zabrano... Nie wiem: gdzie i poco... Żądam sprawiedliwości, obywatelu!

Lenin obejrzał się nieznacznie.

Tłum pozostał we wnętrzu pałacu, nie mogąc przecisnąć się przez wąskie drzwi prywatnego wyjścia z apartamentów carskich i przez szeregi fińskich strzelców.

Nikt z tych, dla których stał się bóstwem, nie mógł go słyszeć.

Spojrzał na stojącego przed nim człowieka i rzekł, zwracając się do zdobywcy Zimowego pałacu:

— Towarzyszu Antonow! Dopomóżcie pierwszemu burżujowi, odwołującemu się do sprawiedliwości proletarjatu. My mamy najwyższe prawo do sprawiedliwości, przetrwawszy wieki niewoli. Nasze prawo — sąd doraźny i doraźne miłosierdzie!

Lenin wsiadł do samochodu wraz z Chalajnenem i kilkoma Finnami.

Auto ryknęło i pobiegło wzdłuż wybrzeża. Za nim sunęły inne, wioząc przyszłych komisarzy ludowych i strzelców eskorty.

Antonow-Owsienko wypytywał inżyniera Bołdyrewa o szczegóły wypadku, telefonował z kancelarji pałacowej do szpitali,

poczem skinął na dwóch żołnierzy i kazał odprowadzić Bołdyrewa na registracyjny punkt Czerwonego Krzyża.

Tłum niechętnie opuszczał siedzibę carów, wypierany z gmachu przez żołnierzy.

Jednak stopniowo sale opustoszały.

Antonow wraz z organizatorem bojówek komunistycznych, towarzyszem Frunze, obchodził parter i pierwsze piętro.

— Pohulali nasi! — śmiał się Antonow, wskazując na wysadzone drzwi szaf, rozsypane papiery, potłuczone zwierciadła, posągi, wazy, żyrandole, połamane meble, zdarte tapety i makaty, porwane kobierce i zrzucone na posadzkę portrety i obrazy. — Pohulali...

Frunze nic nie odpowiedział.

Już mieli zejść na podwórze, gdy do słuchu ich doszły głośne wybuchy śmiechu, śpiewy i pisk kobiet.

Poszli na te odgłosy i znaleźli się wkrótce w prywatnych apartamentach rodziny cesarskiej. Hałas dochodził z dalszych pokoi.

Otworzyli drzwi i stanęli w podziwie.

W jasnej, obszernej komnacie, o ścianach, okrytych złocistą tkaniną, stały dwa wspaniałe łoża, miękkie meble, biała toaleta, zawalona odłamkami zbitego lustra i flakonów.

W rogu wisiały obrazy święte i na srebrnych łańcuchach wspaniała, rzeźbiona lampka kościelna. Portrety i obrazy leżały już na podłodze.

Był to sypialny pokój cara i carowej.

Zgromadziła się w nim niewielka grupa marynarzy i kilka dziewczyn ulicznych. Nagie, rozpustne, przeraźliwie nawołujące, leżały na żółtych atłasowych pokrowcach z wyhaftowanemi na nich czarnemi orłami herbowemi. Bezwstydnemi wyuzdanemi ruchami podniecały mężczyzn, krzycząc:

— Jam caryca... Hej, towarzyszu, chcesz być carem? Idź-że do mnie!

Na łożach, nie skrępowane obecnością ludzi, odbywały się ohydne orgje, mroczne misterjum dzikiego szału.

Frunze namarszczył brwi. Antonow tarł czoło i myślał, że inaczej w marzeniach wyobrażał sobie pierwszy dzień wyzwolenia proletarjatu. Widział go podczas bezsennych nocy, po więzieniach niezliczonych i w wilgotnych okopach

na froncie. Miał to być czerwony dzień, w którym krew musiała występować z ziemi, tryskać z ciał mordowanych wrogów ludu, spływać z nieba. Dzień skupienia poważnego, zimnej zemsty, wobec których nie pozostawało ani chwili czasu na rozpustę.

Już szczęki ścisnął, aż mięśnie się poruszyły koło uszu, już chciał krzyknąć, gdy nagle jeden z marynarzy, tuląc do siebie nagą dziewczynę, zawołał:

— Cha! Cha! Towarzysze! Zabawcie się z nami... Hulaj, dusza — dziś żyjemy, jutro gnijemy... Hu — ha! Mańka, ugaszczaj gości!...

Frunze spojrzał na przybladłą twarz Antonowa i błysnął oczami. Hamował zrywającą się w nim burzę na widok spodlenia proletarjatu, ich zgniłych, dzikich namiętności, poza któremi nie istniało nic oprócz zachcianek ciała.

— Jeść, pić i oddawać się rozpuście — to ich ideał. — myślał oddany komunizmowi Frunze. — Najlepsze, najśmielsze umysły pracowały dla wyzwolenia proletarjatu, tysiące bojowników o nową erę w historji ludzkości zginęły w więzieniach, w kopalniach syberyjskich, przykuci do taczek, na szubienicy i w policyjnych zakamarkach, gdzie duszono rewolucjonistów i zabijano jak psy wściekłe! Dla kogo wszystkie te ofiary bez liku? Dla tych zdziczałych, bezwstydnych zwierząt, dla prostytutek nagich, rozpustnych?

Antonow myślał inaczej, prościej i potężniej:

— Psy i suki!—mruczał.—Gdybym mógł, kazałbym postawić ich pod ścianę i strzelałbym z Kolta w łeb każdemu i każdej!

Porwał go gniew namiętny, niepohamowany. Musiał zerwać go na czemś, rozproszyć, ukoić.

Obrzucił pokój wzrokiem zamglonym, bo krwią zaszły mu oczy.

Spostrzegł obrazy święte, wiszące w ciemnym kącie.

Zbolała, surowa twarz Bogarodzicy Kazańskiej i słodkie wszystko wybaczające oczy Chrystusa błogosławiącego występowały z półmroku.

Antonow nagle zbladł jeszcze bardziej, drżącemi palcami przetarł okulary i jął wpatrywać się w obrazy, jakgdyby po raz pierwszy widział je.

Myśl pracowała usilnie:

— Gdybyście istnieli, zgładzilibyście sami to brudne stado wieprzy i świń, w ohydzie i bezwstydzie miotających się przed wami w tym dniu, gdy nastąpiło błogosławione przez was państwo nędznych, ubogich i skrzywdzonych... Lecz wy zachowujecie milczenie?... Jesteście starą bajką dla dzieci!... Kawałkami drzewa, szmatami płótna, warstwą farby!... Gińcie, rozproszcie się bez śladu, jak widziadła nocne!

Wyrwał z pochwy rewolwer i zaczął strzelać raz po raz. Za każdym strzałem sypały się kawałki ram i szkła, pękało i zwisało podziurawione, podarte płótno obrazów świętych.

Przerażeni marynarze i nagie dziewczyny z krzykiem, wyciem i dzikim skowytem w popłochu wybiegali, pozostawiając karabiny, płaszcze i suknie. Jedna z uciekających prostytutek porwała pokrowiec z orłem dwugłowym i biegła, owijając się w jedwabną tkaninę, plącząc się w jej ciężkich zwojach, padając i z jazgotem oszalałym czołgając się ku drzwiom.

Frunze przyglądał się towarzyszowi w milczeniu. Wyciągnął do niego rękę i mocno potrząsnął ją. Antonow nic nie mówił, stał blady i wściekły, czując podnoszącą się w sercu rozpacz bezmierną, jakgdyby przed chwilą pożegnał kogoś bardzo drogiego, który już nigdy nie powróci i przez nikogo nie będzie zastąpiony.

Pałac wkrótce opustoszał. Tylko w sieniach przy wejściach pozostały patrole.

Antonow, skinąwszy na żołnierzy swego oddziału, obchodził oficyny urzędów pałacowych, zaglądał wszędzie, sprawdzał czy nie pozostali gdzie obcy ludzie, lub czy nie tli się nieostrożnie rzucony papieros. Doszli do wewnętrznego podwórza. Tu jeszcze uwijali się żołnierze, robotnicy, czerń. Wybiegali z suteryn, gdzie mieściły się piwnice z winem, wynosili butelki; zataczając się i śpiewając, szli ku bramom.

Antonow zbiegł nadół.

Przy palących się czerwonemi płomykami świecach odbywała się uczta zwycięzców. Śpiewając pijanemi, zachrypniętemi głosami, śmiejąc się i co chwila wyrzucając bluźniercze, rozpustne przekleństwa, pili na umór. Uderzeniem dłoni w dno butelek wybijali korki i, zadarłszy głowy, wylewali wino do gardzieli, sapiąc i bełkocąc głośno; inni odkręciwszy

krany w beczkach, podstawiali pod strugę wyciekającego wina szeroko rozwarte usta, żłopiąc i cmokając wstrętnie.

Co chwila obsuwały się na ziemię pijane ciała i leżały, chrapiąc i rzężąc.

Antonow zacisnął pięści i krzyknął:

— Precz stąd!

Żołnierze szczęknęli karabinami, uderzając kolbami w posadzkę.

Ucztujący tłum, zataczając się, klnąc, opuszczał piwnicę.

— Rozbić beczki! — zakomenderował Antonow.

Żołnierze wysadzili dna, waląc w nie kolbami, drewnianemi młotami do nabijania obręczy lub ciężkiemi dębowemi zydlami; wyrywali czopy beczek.

Strugi czerwonego i białego wina z pluskiem tryskały z pośród pękających klepek i płynęły po białych płytach posadzki.

Gdy żołnierze wyszli z suteryn pałacowych i skierowali się w stronę Ermitażu, do piwnicy skradać się zaczęły ciemne postacie. Mężczyźni z butelkami, kobiety z wiadrami, nawet dzieci z blaszankami w rękach, wszyscy zbiegali nadół i, świecąc sobie zapałkami, czerpali wino i biegli, ustępując miejsce innym, coraz tłumniej napływającym z miasta.

Nikt nie widział w mroku, na ciemnej, wchłaniającej migotliwe błyski zapałek i płomyczków latarek powierzchni wylanego wina pływających topielców-pijaków, którzy pozostali wśród beczek i przewróconych stołów i ław.

Spostrzeżono ich dopiero nad ranem, gdy wynoszono już resztki wina, zmieszanego z błotem i ohydnemi śladami przebywania pijanego tłumu.

Gdy ostatni rabusie opuszczali piwnice pałacu, na jego murach naklejano czerwone plakaty, wzywające do wstrzemięźliwości i trzeźwości w imię szczęścia i wysokich ideałów proletarjatu, rozpoczynającego świetlaną erę w dziejach świata...

ROZDZIAŁ XX.

Lenin jechał do fortecy św. Piotra i Pawła. Na narożnikach i na kopule katedry, dumnie podnoszącej ostrą „igłę“ dzwonnicy ze złotą galerą na szczycie, powiewały już czerwone flagi.

Plac przed kościołem, blanki i podwórka cytadeli były szczelnie zapełnione przez żołnierzy, robotników i ciekawy tłum uliczny. Powitano Lenina burzliwemi okrzykami. On szedł, otoczony eskortą i towarzyszami, na środek placu. gdzie dla niego przygotowano mównicę.

Wstąpił na nią i długo patrzył na zwolna milknący tłum. Gdy ostatnie pomruki zacichły na blankach murów i krużgankach katedry, wyciągnął ręce, niby objąć, ogarnąć chciał wszystkich tu zebranych, stojących w oczekiwaniu namiętnem.

— Towarzysze! — zawołał. — Po raz pierwszy w dziejach naszego kraju rewolucja stąpa po kamieniach tego straszliwego miejsca. Po raz pierwszy dumnie i zwycięsko powiewają nad niem sztandary czerwone, sztandary wyzwolenia! Wieki widziały tu rewolucjonistów, w lęku śmiertelnym dążących ku miejscu stracenia, lub dzwoniących kajdanami w kazamatach i lochach fortecy. Zgoła inne flagi biły czerwienią w oczy wykonawców woli carów i burżuazji. Były to skrwawione. szkarłatne, krwią zlane ciała męczenników, straconych ręką kata za walkę o wolność!

— Śmierć carowi! Precz z burżuazją! — buchnęły złe, ogłuszające okrzyki.

— Car będzie oddany pod sąd robotników, włościan i żołnierzy! — ciągnął Lenin, gdy się uciszyło znowu. — Burżuazja zostanie wytępiona, jako najstraszliwszy wróg wasz, wróg proletarjatu! Odbierzecie od niej ziemię, fabryki, kapitały, władzę; burżuazja zmarnieje, bo to tylko stanowiło jej siłę. Jeżeli zaś ośmieli się sprzeciwiać wam, zginie w

potokach krwi! Proletarjat będzie nielitościwy i zwycięstwo rewolucji utrwali na zawsze! Towarzysze! Wszystko należy do pracujących i nic bez ich woli i zgody nie zostanie postanowione!

— Śmierć ministrom! — rozległ się krzyk. — Znajdują się w cytadeli! Oddać ich w ręce nasze!

Nie zdołał przebrzmieć ten krzyk niebezpieczny, podbudzający, gdy Lenin rękę podniósł i, uprzedzając inne głosy, zawołał donośnie:

— Towarzysz nie wyraża woli proletarjatu, żądając burżuazyjnej zemsty nad nieszkodliwemi nikczemnikami. Kierenskij umknął i zamierza prowadzić na stolicę wojska. Lecz wiemy, że nasi towarzysze już uniemożliwili ten zamiar. Wojska Kierenskiego rozpadły się i żadna kompanja nie dojdzie do Piotrogrodu!

— Niech żyje Lenin! Lenin! Lenin! — przelewała się fala krzyków.

Finnowie uciszyli tłum.

— Towarzysze! Któż pozostał? Niemowlęcy Tereszczenko, śmieszny ministerek, kukiełka dziecinna, i inni, co nic nie zrobili ani złego, ani dobrego, bo nie mogli nic zrobić, nie mając ani rozumu, ani woli, ani władzy? Muszą oni wykryć nam wszystkie tajemnice carskiego rządu, nieznane narodowi układy, najważniejsze dokumenty i tem przysłużyć się proletarjatowi. Zwolnimy ich, bo tymczasem są nam potrzebni. Ministrowie Kierenskiego nie są dla was bardziej niebezpieczni niż wróble na dachu, towarzysze!

Tłum ryknął śmiechem, niosły się zewsząd okrzyki:

— Och, Lenin! Och Iljicz, tęgi chłop! Ostry ma język, niczem brzytwa! Cha — cha — cha! Ministrów nazwał wróblami na dachu! Och, rozśmieszył nas! Lenin! Lenin!

Inni wołali jeszcze głośniej:

— Wypuścić wróbli z klatki...! Hej, czem oni są dla nas?! Plunąć i rozetrzeć...

— Dobrze, towarzysze, spełnimy wasze życzenie! Ministrowie po przesłuchaniu ich przez towarzyszy Trockiego, Preobrażeńskiego, Zalkinda i Rykowa zostaną zwolnieni — krzyknął Lenin. — A teraz rozchodźcie się do domów po znojnym dniu, a bądźcie baczni, aby nigdzie nie zaczaił

się wróg rewolucji i proletarjatu! Niech żyje socjalistyczna republika! Niech żyje pracujący lud całego świata!

— Hurra! Hurra! — wył tłum. — Niech żyje Lenin! Niech żyje rewolucja!

Lenin stał i przyglądał się krzyczącym bezmyślnie ludziom. Badał każdą parę oczu, każden grymas, wsłuchiwał się w ryk, chwytając ostrym słuchem oddzielne słowa; zamieniał się w jakiś najczulszy mikrofon, odpowiadający ledwie zapalającej się w mózgu myśli tych tysięcy ludzi, każdemu jeszcze podświadomemu nastrojowi, rodzącemu się dopiero uczuciu.

Widział przed sobą to morze głów o pałających oczach i szeroko rozwartych ustach, lecz odróżniał wyraźnie każdą twarz, poznawał ją w szczegółach najdrobniejszych, czuł żądze i pragnienia wszystkich i każdego zosobna. Przemawiał do nich ich myślami, budził w nich to, co leżało głęboko w ich mrocznych duszach niewolników nienawidzących, spełniał ich zatajone marzenia; był władcą, bożyszczem tego tłumu; czuł się jednak sługą jego, biegnącym przed orszakiem; wiedział, że już nie może się zatrzymać ani na mgnienie oka, bo pozostanie sam; nie może się cofnąć, bo zgniecie go ta tłuszcza rozszalała, żądna coraz to nowych ofiar, wstrząsów i obietnic, gdyż wymagały tego nagle wyzwolone siły, zduszone ciężką stopą ucisku, obezwładnione okrucieństwem rządu, podstępem kościoła, zgnębione nieudanemi próbami socjalistów-ugodowców.

Fińscy strzelcy i bataljon pułku Pawłowskiego zręcznym manewrem odcięli większą część zgromadzonych od mównicy i, niby torując dla nich drogę, oczyścili plac, blanki i boczne podwórka koło rawelinów, gdzie jeszcze niedawno pędzili smutne życie wrogowie cara.

Lenin z towarzyszami pozostali sami na placu.

Na krużganku katedry stał jednak tłum, zbity głowa przy głowie.

Byli to ci, o których Leninowi nie chodziło. Gawiedź uliczna, służba domowa, drobni urzędnicy, jakieś kobiety w chustkach na głowach i szalach na ramionach — przeróżne typy, przerzucające się w dobie rewolucji z jednego obozu do drugiego, „polityczna galareta“, jak zwykle mawiał.

Narazie chciał kazać, aby usunięto tę gromadę ludzi, lecz po chwili pomyślał, że są to ci, którzy najszybciej rozniosą po mieście potrzebne wieści. Należało uczynić tak, aby mogli potwierdzić zwycięstwo partji. Podniósł głowę i w sołym głosem krzyknął:

— Towarzysze! Zajrzyjmy w oczy ciemiężców naszy Do katedry!

Szybko zbiegł po stopniach i wszedł do przedsionka świątyni.

Ludzie tłoczyli się przed nim, milknąc i żegnając się nabożnie.

Lenin wkroczył do kościoła w czapce, a za nim szli komisarze, fińscy strzelcy, prowadzeni przez Chalajnena, i żołnierze, a nikt nie obnażył głowy.

Tłum skamieniał i ze zgrozą patrzał na bezbożników. Gdyby kościół był przepełniony ludźmi, Lenin nie uczyniłby tego, bo nie potrafiłby uprzedzić wybuchu oburzenia. Z tą gawiedzią eskorta dałaby sobie radę, więc nie obawiał się i postanowił dać pierwszą naukę. Skutki jej i doniosłość dla przebiegu „wiecznej rewolucji“ obmyślał na wygnaniu syberyjskiem, po więzieniach i na emigracji zagranicą.

Los sprzyjał mu.

Otwarły się złote podwoje „bramy cesarskiej“ w wielk ołtarzu, i duchowieństwo w rytualnych szatach, z krzyżami w rękach i ewangelją, niesioną na głowie przez opasłego arcydiakona, wyszło na spotkanie nowych władców stolicy.

Lenin stanął i pogardliwie spoglądał na popów, śpiewających i dymiących kadzielnicami.

— Albowiem rzekł Chrystus, Zbawiciel nasz: „Każda władza od Boga jest...“ — zaczął proboszcz katedralny przemówienie swoje, ze zgorszeniem i strachem patrząc na małego barczystego człowieka w robotniczej czapce, z pod daszka której pytająco i przenikliwie błyskały zmrużone oczy mongolskie.

— Dość tej komedji! — dobitnie rzekł Lenin. — Władza pracujących nie jest od żadnego z istniejących bogów, tylko — od warsztatów i pługów, z potu i krwi! Dość tego! Nie znamy waszych bajek o bogach. Nie potrzebujemy tego

opjum, tego haszyszu, krępującego wolę ludu! Bogów niema ani na niebie, ani na ziemi! Nigdzie! Nigdzie!

Duchowieństwo w lęku cofać się zaczęło; jeden z popów, --kasawszy ciężką szatę, biegł, plącząc się w jej połach.

nin wybuchnął śmiechem, a za nim komisarze, żołnierze m, przed chwilą zgorszony i strwożony.

a zmiana nastroju nie uszła uwagi Lenina, więc, zwracając się do popów, zawołał:

— Gdyby wasz Bóg istniał, to i wtedy odstąpiłby on was, — służalców carskich, pasibrzuchów, pijaków, rozpustników, ciemiężycieli pracującego ludu. Lecz niema Go nigdzie! Pokarałby mnie za słowa moje, a tymczasem widzicie? Cofacie się i uchodzicie, posłyszawszy prawdę!

Lenin spostrzegł, że ten i ów z tłumu wcisnął czapkę na głowę, a stojąca wpobliżu kobieta, zamierzająca zrobić znak krzyża, nagle opuściła rękę i uśmiechnęła się zagadkowo.

Otoczony komisarzami i eskortą Lenin poszedł dalej. Wzdłuż ścian ciągnęły się grobowce carów i ich małżonek. Biały i różowy marmur, korony, krótkie, złocone napisy...

Chalajnen zatrzymał się przy jednym grobowcu i uderzył ń kolbą karabinu. Żołnierze i tłum rzucili się do rozbija- pobliskich grobowców, wywlekali trumny z zabalsamoanemi resztkami dawnych władców, otwierali je, zrywali złote przedmioty, drogie tkaniny i wlekli sztywne, zabalsamowane zwłoki po posadzce, śmiejąc się, krzycząc i dopuszczając się sprośnych, bezwstydnych żartów.

— Wrzućcie te lalki do Newy! — poradził Lenin, dobrotliwie patrząc na rozzuchwalony, rozbawiony tłum, niby ojciec na dzieci swawolne.

Wyciągnięto ciała i trumny na plac i wleczono dalej aż do murów; wśród gwizdu, wycia, krzyku i śmiechu strącono wszystko do rzeki.

Tłum z wesołemi okrzykami powracał do katedry, lecz baczny na wszystko Lenin zjawił się na krużganku. Twarz mu się śmiała. Wołał, wyciągając ręce do biegnących ku niemu ludzi.

— Wyrzuciliście te niepotrzebne śmiecie, te relikwje burżuazji! Pokazaliście całemu światu, co myślicie o koronowanych katach!...

— Towarzyszu... — przerwał mu człowiek w czapce listonosza. — Pozostał tam jeszcze Piotr Wielki... Poigralibyśmy z nim...

Lenin wybuchnął beztroskim śmiechem.

— To, już widzę, nie chcecie, towarzyszu, nic dla mnie zostawić? Podarujcie mi Piotra Wielkiego!

— Cha! cha! Darowujemy ze wszystkiemi gnatami, jeżeli jeszcze pozostały!... Podarunek dla Lenina, ho — ho — ho! — zaryczał ubawiony tłum.

— A wiecie, dlaczego proszę o niego? — zapytał Lenin, mrużąc oczy i dotykając ręką brody.

— Nie wiemy! Nie wiemy! Niech mówi towarzysz Lenin! — rozległy się krzyki i śmiech.

— Mam szacunek dla dwóch tylko carów — dla Iwana Groźnego i Piotra Wielkiego! Tak! Szacunek...

— Oho — ho! — odezwał się tłum.

— ...dlatego, że obaj krew puszczali bojarom, popom, słowem burżuazji. Iwan bronił wieśniaków, Piotr stał się pierwszym rewolucjonistą. Będą naszymi nauczycielami w sztuce tępienia wrogów. Rozumiecie?!

Lenin skończył i z drwiącym uśmiechem patrzył na stłoczoną przed nim gromadę ludzi.

— Cha — cha! — rozległ się znowu śmiech. — Darowujemy Leninowi Piotra Wielkiego ze wszystkiemi flakami, na wieczyste władanie!

Lenin kiwał głową, wtórował tłumowi cichym, syczącym śmiechem i zacierał ręce. Pochylając się do Swerdłowa, rzekł z naciskiem:

— Towarzyszu! Każcie natychmiast odrestaurować zburzone grobowce...

Był niezmiernie szczęśliwy. Dziś pierwszego zaraz dnia zrozumiał, że jest stworzony na wodza ludu. Wiedział do jakiego celu poprowadzi te masy ślepe w nienawiści; miał wolę nieugiętą, aby czynić to; dziś przekonał się, że potrafi wolę swoją narzucić. Wyniosły go na szczyt fali siły żywiołowe, nie będzie się im opierał, jednak... ulegając potędze mas, część tej potęgi skieruje w łożysko, przez siebie przygotowane.

Jakgdyby potwierdzając ten plan, zbliżył się do niego,

stary, o zbiedzonej twarzy wieśniak. Miał na sobie porwany kożuch i czapczynę, z której wyzierały kłaki brudnej waty. Zwichrzona, szczeciniasta broda, z zaplątanemi w niej zdźbłami słomy i resztkami jakiegoś jedzenia, okrywała ciemną, węglem i kurzem zawalaną twarz aż do oczu. Malutkie, wylękłe, chytre oczki biegały niespokojnie i ciekawie.

Zdjął czapkę i zbliżył się do Lenina.

— Wysokorodny panie... — zaczął.

— Skądże wiecie, że jestem wysokorodny? — przerwał mu Lenin.

— Jakżeż inaczej — naczelnikiem teraz jesteście... — odpowiedział.

— Włóżcie czapkę, towarzyszu, bo naczelnikiem jesteście wy, nie ja! Z pewnością, pracujecie, jako ładownik węgla na kolei?

— Jakbyście wiedzieli, ładownikiem jestem...

— Cóż chciecie mi powiedzieć? — zapytał Lenin.

— Gadali ludzie, że Lenin nosi na głowie koronę złotą, a w ręku trzyma „białe pismo"... — mruknął. — A teraz sam widzę, że szczekali tylko. Ani korony, ani pisma...

Lenin zaśmiał się.

— Korony nie noszę, bo jakżebym ją nosił, kiedy sam chcę zerwać ją ze wszystkich cesarzy świata? A pismo mam — jest nim wolność dla was, towarzyszu, szczęśliwe życie, równość! Nie potrzebujecie teraz przed nikim zdejmować czapki, nikogo się lękać. Wy jesteście sami „solą ziemi", jej gospodarzem!

— To już nie mam stać bez czapki przed moim naczelnikiem? — spytał chłop.

— Pocóż robiliście to?

— Bo gdy nie zdejmowałem czapki, bił mnie w ucho i strącał ją — odparł chłop. — Kiedyś tak mnie uderzył, że krew trysnęła i na lewe ucho nie słyszę...

Lenin zamyślił się na chwilę i krzyknął:

— No, to idźcie do tego „naczelnika" i uczyńcie z nim to, czego doznaliście od niego, a — dobrze! Nie żałujcie pięści!

— Ho — ho — ho! — wyli słuchacze i śmiali się, widząc, że chłop biegł już z podwórza i, zaciskając ogromne, twarde pięści, ryczał:

— Aha! Teraz czekaj, ja z ciebie duszę wytrząsnę!

Lenin zwrócił się do otaczających go ludzi, w zachwycie, strachu i podziwie patrzących na niego, i rzekł dobitnie:

— Proletarjat musi obalić swoich wrogów, którzy znęcali się nad nim! Uczyni to rząd, obrany przez was, towarzysze! Powtarzam, że każdy może dokonać zemsty nad burżujem za swoją ciężką obrazę. Naszym wybaczymy wszystkie winy, burżujom — żadnej!

— Śmierć burżujom! — krzyknął Trockij.

— Śmierć sługom burżuazji — urzędnikom i oficerom! — dodał Zinowjew.

— Śmierć, śmierć! — niosły się coraz wścieklejsze głosy z tłumu.

— Jeżeli jest taka wola wasza, towarzysze, bracia drodzy, czyńcie, co każe wam sumienie proletarjackie! — pokrył te głosy chrapliwy krzyk Lenina. — W tem sumieniu tai się wielka mądrość. Oto czuję, że myślicie w tej chwili: Jakże będę zabijał wszystkich urzędników i oficerów? Wszakże wśród nich mogę zabić synów robotników, wieśniaków?

— Prawda! Pewno, że tak myślimy! — rozległy się zmięszane głosy.

— W sumieniu swojem znaleźliście już odpowiedź. Słyszę ją. Są nasi urzędnicy, nasi oficerowie, którzy wyszli z proletarjatu i proletarjatowi służyć będą. Ale są tacy, co gnietli wszystkich, obsypani łaskami cara, orderami, pieniędzmi i ziemią, zabraną wam! Tym śmierć! Śmierć książętom, bogaczom, generałom, spoglądającym na nas, jak na bydło brudne! Tym śmierć!

Tłum zerwał się z miejsca, jak kupa liści, porwanych przez wicher. Biegli ku bramie cytadeli, rycząc:

— Śmierć książętom, bogaczom, generałom! Śmierć ciemiężcom!

Lenin zacierał ręce, mrużył oczy i milczał.

— Samosąd... teror... — szepnął Trockij, szarpiąc czarną bródkę.

— Samosąd!... teror! — powtórzył Lenin. — Nie mamy czasu do stracenia. Szeregi wrogów rewolucji powinny być zdziesiątkowane!

Zaturkotały zajeżdżające samochody.

Lenin, komisarze i żołnierze eskorty wsiadali do wozów.

Wyjechali z bramy fortecy.

O kilka kroków od niej, duża grupa ludzi, krzycząc i klnąc, biła kogoś. Wznosiły się i opadały pięści. Tłum szamotał się i przewalał z chodnika na jezdnię.

Lenin stanął w samochodzie.

Ujrzał jakiegoś staruszka, małego, siwego, jak gołąb.

Miał na sobie płaszcz generalski z czerwonemi klapami i szlify złote ze srebrnym zygzakiem — oznaką dymisjonowanego oficera.

Siwe włosy w kilku miejscach już nasiąkły krwią.

Staruszek co chwila chylił się pod spadającemi nań ciosami i zataczał się, tracąc przytomność. Nie pozwalano mu upaść i bito, kopano, szarpano.

Lenin zamyślił się i zmarszczył brwi.

Usiadł jednak i niedbale kiwnął ręką, szepnąwszy:

— Ich pierwszy dzień... dzień gniewu...

Nie oglądał się więcej. Samochód szybko mknął wybrzeżem.

Przed pałacem wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza kupa wyrostków ciskała kamieniami do dużych okien na parterze, a inni zbiegali schodami, wynosząc zrabowane rzeczy.

— Ich pierwszy dzień... — powtórzył Lenin.

Zmrużywszy oczy, zaczął liczyć czerwone flagi, powiewające nad domami, pałacami i gmachami urzędów i przyglądać się bacznie tłumom przechodniów, wzburzonych, biegnących w różnych kierunkach i radośnie wymachujących rękami. Tu i ówdzie tkwiły patrole i niewielkie oddziały żołnierzy z czerwonemi wstęgami na rękawach obok — grupki uzbrojonych robotników.

Gdzieś zdaleka dochodził turkot kulomiotu i salwy karabinowe.

Były to ostatnie echa dogasającej bitwy o władzę w stolicy, ostatnie chwile obrońców rządu Kierenskiego, który w przebraniu wieśniaczki miotał się w okolicy Piotrogrodu, próżno szukając wiernych pułków dla wyzwolenia zdradliwie opuszczonych przez niego kolegów — ministrów.

Lenin rzekł do Chałajnena:

— Każcie, towarzyszu, jechać na główny telegraf! Muszę wiedzieć, jak stoją sprawy w Moskwie.

ROZDZIAŁ XXI.

Na przedmieściu „Piaski“ otoczony staremi lipami wznosi się piękny pałac z kościołem, wybudowanym dla cesarzowej Elżbiety przez znakomitego Rastrellego.

Różne wypadki widziały mury pałacu „Smolnego“.

Romanse i dumne marzenia carowej; modły pobożnych mniszek, którym z biegiem czasu oddano ten wspaniały gmach, a później jednostajne życie arystokratycznych pensjonarek, tak zwanych „szlachetnych dziewic“; w tym okresie, jak krążyły plotki dworskie, zaglądał tu nieraz Aleksander II, posiadający klucz od bocznej furty dawnego klasztoru, — wszystko to przeminęło, i nad gmachem powiewała teraz czerwona flaga, godło rewolucji.

Tu mieścił się sztab partji bolszewickiej i Rady komisarzy ludowych, kierowanej przez Lenina.

Sam on chodził w tej chwili po obszernym, prawie pustym pokoju. Kilka krzeseł, kanapa i biurko, zawalone dziennikami, książkami i paskami papieru z korektą artykułów.

Lenin chodził szybko, prawie biegał, włożywszy ręce do kieszeni tużurka, i myślał.

Mógł nie spać, nie jeść, lecz potrzebował codziennie godziny samotności.

Nazywał tę część dnia „pracą kanalizacyjną“.

Wyrzucał z głowy niepotrzebne myśli i resztki wrażeń, wymiatał błahe wspomnienia; układał starannie, sortował i przechowywał wszystko to, co było wartościowe i znaczące. Gdy porządek był zrobiony, zaczynał pogłębiać „kanał“, prowadzić nowe odnogi. Do łożyska ich wpływały, wpadały różne myśli i mknęły narazie niesfornym potokiem, aż rozbijać się zaczynały po coraz drobniejszych rozgałęzieniach mózgu, a wtedy wyjaśniało się wszystko, układało w plan. Myśl pracowała spokojnie, zimno, sprawnie nad wykonaniem



„CZYSTOŚĆ JEST PIERWSZĄ OZNAKĄ KULTURALNOŚCI"



ZWYCIĘZCY REWOLUCYJNI MARYNARZE
sprzedają na rynku zrabowane przedmioty

zamierzenia z szybkością i nieomylnością. Nic wtedy nie stawało na przeszkodzie dyktatorowi Rosji.

Widział drogę swoją wyraźnie.

Nie ukrywał przed sobą, że piętrzą się na niej niebezpieczne przeszkody. Nie wątpił jednak, że zwalczy je. Nie było to przeświadczenie marzyciela. Był człowiekiem najrealniejszym na świecie. Każdą myśl usiłował natychmiast wprowadzić w czyn. Gdy okazywał się szkodliwym — bez wahania odrzucał go. Dla Lenina istniał tylko cel. Aby go osiągnąć, wyrzekł się dobrowolnie osobistego życia. Nie znał ciepła rodzinnego, nie chciał miłości, nie rozumiał szczęścia poza pracą w imię dobra sprawy; dążąc do celu, nie odczuwał ani wahania, ani pokus.

Miał przed sobą walkę i musiał zwyciężyć za każdą cenę

Nie istniało nic, coby mogło go wstrzymać. Zbrodnia, nikczemność, fałsz, zdrada nie wzruszały go, nie znajdywały echa w jego duszy. Były dla niego środkami, narzędziem, kamieniami do wytknięcia drogi.

Istniał i działał poza granicami moralności.

Cel... tylko cel, taki, o jakim nikt nie śmiał nawet marzyć przed nim!

Ogrom zadania nie przerażał go. Miał przecie w ręku również ogromny młot do wykucia z potężnej, surowej bryły tego, co chciał wznieść u mety swego życia, — 150 miljonów biernych, o potężnych siłach Rosjan, uśpionych, dzikich, gotowych i zarazem obojętnych na wszystko.

Nikt nigdy nie posiadał takiej armji!

Czyżby już należała do niego duszą, sercem i ciałem?

Odpowiedział, nie bojąc się zajrzeć prawdzie w oczy, zmierzyć się z nią:

— Nie! Sercem — tak!

Rzucone dotąd obietnice, odpowiadające śmiałym marzeniom robotników i wieśniaków, przyciągały ku niemu ślepe, zrozpaczone serca niewolników. Czuł w sobie pewność Spartakusa — rozbójnika, więźnia i gladjatora, bo i on też zbiegł na Wezuwjusz namiętnych, mściwych czynów, skrzyknął do siebie wszystkich, ogarniętych nienawiścią niewolników, pobił na głowę pretorów rzymskich. Jednak Sparta-

kus zginął dlatego, że w szeregach jego przyjaciół powstały niesnaski. On był inny, niż buntowniczy Spartakus. Umiał trzymać swoich zwolenników w karbach posłuchu nie siłą i postrachem, lecz przebiegłem wynoszeniem ich przed tłumem, ponad siebie. Dla nich — triumfy, dla niego — powodzenie sprawy.

Wielomiljonowy olbrzym rosyjski tymczasem nie należał do niego.

Różne siły władały nim i przerzucały z jednej ostateczności w drugą: od bohaterskiego męczeństwa na froncie, fanatycznego patrjotyzmu i ascetycznej cierpliwości — do barykad ulicznych, krwawych wystąpień przeciwko carowi lub ubóstwianym przez siebie wodzom. Skruszyć i zniweczyć nazawsze te rozbieżne siły, aby całe to morze ludzkie pokornie lizało brzeg, na którym stoi meta komunizmu, — o tej chwili myślał, chodząc po nieprzytulnym pokoju Smolnego pałacu, Włodzimierz Iljicz Lenin, prezes Rady komisarzy ludowych, dyktator, mesjasz Rosji, mknącej nieznaną w dziejach ludzkości drogą.

Marszczył brwi, szarpał brodę i mrużył oczy.

Wypukłe, kopulaste czoło, zdawało się, drgało i prężyło się pod nawałnicą szalejącego w niem orkanu myśli, lecz serce biło równo, oczy patrzyły zimno, wprost przed siebie, jakgdyby usiłowały z dokładnością niezwykłą odmierzyć odległość do jemu tylko znanych punktów.

Podniósł głowę.

Ktoś dobijał się do drzwi.

— Wejść! — zawołał Lenin.

Na progu stanął Chalajnen.

— Jakaś obywatelka prosi o przyjęcie, — rzekł niepewnym głosem.

Lenin nachmurzył czoło.

— Ma jakąś prośbę? Może, burżuazyjna kobieta?

— Powiada, że nie ma żadnej prośby! Lekarka...

— Wpuśćcie ją, towarzyszu!

Po chwili weszła mała, chuda kobieta, lat 45-ciu w skromnym, czarnym płaszczu i z welonem żałobnym, spadającym z kapelusza.

Uśmiechnęła się i radośnie zawołała:

— Nie pomyliło mnie przeczucie! To jest pan, Włodzimierzu Iljiczu! Nasz mądry, surowy „Wola“!

Lenin zmrużył oczy i jakgdyby się zaczaił.

— Wola? — powtórzył. — Tak nazywano mnie tylko w jednem miejscu...

— W domu mego ojca, doktora Ostapowa, gdzie wyczuto już wtedy, że jest pan — „wolą“! — szepnęła wzruszona.

— Helena?! Helena Aleksandrówna?!

— Tak! — uśmiechnęła się rzewnie. — Nie poznałby mnie pan! Dużo wody upłynęło od chwili naszego pożegnania w Samarze!

— O, dużo! — zawołał. — Jakże wszystko się zmieniło! Doprawdy, wydaje mi się, że stulecia przemknęły już! Ale, ale! Pani w żałobie? Czy po ojcu?

— Nie! Ojciec i mąż dawno już umarli. To po synu. Zabito go w Galicji podczas odwrotu generała Brusiłowa.

— To pani wyszła zamąż? Za kogo?

— Za doktora Remizowa. Jestem też lekarką — odparła.

Lenin się zaśmiał szyderczo:

— A widzi pani? Mówiła mi pani niegdyś, że nigdy nie zapomni o mnie... Wszystko się zmienia... wszystko mija, Heleno Aleksandrówno. Proszę siadać!

To mówiąc, posunął krzesło w jej stronę i, usiadłszy na biurku, patrzył na nią, badając jej twarz, oczy, drobne zmarszczki koło powiek i ust i przebiegając wzrokiem całą jej postać, od bucików do kapelusza żałobnego.

Poznał te oczy niebieskie, pełne błysków dobrotliwych, a gorących; przypomniał usta, jeszcze świeże i barwne; dojrzał wymykające się z pod kapelusza pasemko włosów złocistych.

— A widzi pani? — powtórzył, skończywszy swoje obserwacje.

Podniosła na niego pogodną twarz i patrzyła łagodnemi oczami, bez lęku i podziwu, tak, jak patrzą doświadczone kobiety na dziecko, chociażby najcudowniejsze.

— Czekałam na pana długo... Później nadzieja zgasła nazawsze. Teraz widzę, że miałam rację — powiedziała z uśmiechem, bez goryczy.

— No? Proszę? — zapytał, przechylając głowę nabok,

jakgdyby przygotowując się do długiego, cierpliwego słuchania.

— Bardzo lubiliśmy pana... Wszyscy... — zaczęła. — Obchodził nas bardzo los jego. Słyszeliśmy coś-niecoś o panu, chociaż ciągle znikał nam z oczu nasz przyjaciel Uljanow!

— Więzienie, konspiracja, nieprzerwane krecie życie, wygnanie syberyjskie, emigracja, przeklęta emigracja, wyżerająca duszę! — wybuchnął.

— Tak! Tak! — kiwnęła głową. — Słyszeliśmy jednak, że nasz „Wola“ Uljanow przeistoczył się w groźnego publicystę, który się dziś podpisywał — „Iljin“, jutro — „Tulin“... Dowiedziałam się, że podobno pan się ożenił na Syberji... Wspominała o tem Lepeszyńska...

— A — a! — przeciągnął Lenin. — Wtedy to pani zadecydowała, że już nigdy nie powrócę?

— Nie! Wcześniej... daleko wcześniej...

— To ciekawe!

— To bardzo proste! — zaprzeczyła. — W artykułach i broszurach, pisanych przez pana, wyczułam, że dla niego nie istnieje nic poza ideą i celem. Miałam te podejrzenia zawsze... Tymczasem, jako kobieta, chciałam mieć, oprócz wielkiego celu, swój, własny, mały! Jestem pełna burżuazyjnych przesądów...

Uśmiechnęła się spokojnie.

Lenin zauważył głośno:

— Najniewinniejszy tymczasem z burżuazyjnych przesądów!

— Tymczasem? — zdziwiła się Helena. — Czyż może być inaczej, jeżeli chodzi o kobiety?

— O, może! — zawołał. — Nie będę szukał przykładów daleko! Wymienię moją żonę — Nadzieję Konstantynównę. Dla niej istnieje tylko ogólny cel; jestem dla niej wozem, dostarczającym ją i innych do mety.

— Czyż to możliwe? — zapytała.

— Ręczę pani swoją głową, że Nadzieja Krupskaja znajdzie w sobie siłę i równowagę ducha, aby wygłosić nad moim grobem mowę polityczną i nie uronić ani jednej łzy! Wykorzysta śmierć moją w celach propagandy! — w głosie jego brzmiała duma.

— To potworne! — zawołała, podnosząc ręce.

— To mądre dla żony Lenina! — odparł, krzywiąc usta.

Umilkli.

Pierwsza przerwała milczenie pani Remizowa.

— Długo nie wiedziałam, że Lenin, ten nowy pseudonim, to — pan! — rzekła. — Chciałam się przekonać i przypomnieć panu.

— „Lenin“ — to na cześć pani, Heleno Aleksandrówno! — zawołał z beztroskim, szczerym śmiechem. — Ma pani do mnie interes? Rad będę spełnić życzenie pani! Doprawdy, niech pani mi wierzy. Podobno, mam miljony wad, ale wiem, że mam jedną zaletę — umiem cenić dawnych... przyjaciół.

— Właściwie, nie mam żadnego szczególnego interesu — odparła. — Jestem lekarzem i przełożoną przytułku dla bezdomnych dzieci. Dziś doszły mnie pogłoski, że nowa władza ma dokonać zmian w składzie kierowników wszystkich instytucyj. Chciałam prosić, aby mnie nie wydalano... Spełniam obowiązki swoje sumiennie i nadal tak czynić zamierzam. Znam swoich wychowanków i mam na nich dobry wpływ...

Lenin szybko napisał kilka słów na skrawku papieru i podał Helenie, mówiąc:

— Niech pani nosi przy sobie ten cyrograf! To wystarczy w każdym wypadku. Tymczasem mamy na głowie pilniejsze zadania, niż przytułki dla dzieci! Rozpoczynając pracę twórczą, zwrócę się do pani, Heleno Aleksandrówno.

Powstała, zamierzając odejść.

— Niech pani pozostanie! — poprosił. — Dawno już nie rozmawiałem z nikim tak, jak teraz. Czuję się, jakgdybym sam do siebie mówił na głos, bez owijania w bawełnę, bez oglądania się na słuchacza... Wszystko jest takie jasne i proste, — jestem przekonany, że pani mnie z łatwością zrozumie!

— Dawniej rozumiałam pana... — odparła.

— Dawniej to było co innego! — zawołał. — Byłem cały pod wrażeniem śmierci brata mego Aleksandra, a i pani, zdaje się, też...

— Ach! — powiedziała cicho. — Czytałam po rozstaniu się naszem pewną broszurę o organizacji zamachu na Alek-

sandra III. To brat pana obmyślił sporządzenie maszyny piekielnej nakształt książki oprawnej, którą spiskowcy mieli rzucić do powozu cara. Gdyby nie zdrada, nie powieszonoby takiego dzielnego rewolucjonisty!

Kiwnął głową i przeszedł się po pokoju.

Włożywszy ręce do kieszeni spodni, zaczął mówić cichym głuchym głosem:

— Śmierć jego, łzy matki, ściganie nas przez żandarmów, ciągłe rewizje, docinki nauczycieli, drwiny, szykany bogatych kolegów, głupie, ohydne „nauki moralne“, udzielane mi przez popa gimnazjalnego, obudziły we mnie nienawiść, żądzę zemsty! O, wcześnie, bardzo wcześnie zacząłem się kształcić na mściciela za śmierć brata i za uciemiężenie ludu! Wychowywałem siebie na realnego, zimnego mściciela i wodza. Dziś radowałem się, widząc, jak tłum kucharek, stróżów i hołoty miejskiej wlókł po błocie i bruku zabalsamowane zwłoki Aleksandra III! Muzyką najwspanialszą wydawał mi się chrzęst pustej czaszki jego, skaczącej na kamieniach! Ta scena dwa razy śniła mi się w młodości i powtórzyła się na jawie we wszystkich szczegółach!...

— Słyszałam o tem... — szepnęła Helena. — Przeraziłam się! Mógł pan ściągnąć na siebie oburzenie czerni...

— Cha — cha! — zaśmiał się Lenin, mrużąc oczy. — Piotr Wielki zmusił Rosję, jak niesfornego, dzikiego rumaka, by odrazu dęba stanął i chodził na tylnych nogach, niby na arenie cyrkowej! Ja potrafię uczynić to po raz drugi! A ta „czerń“ i wszystko inne będzie zmuszone odrzucić, zdeptać, opluć bożyszcza swoje, wczoraj jeszcze uważane za nietykalne, cudowne, zesłane z nieba!

Helena słuchała w milczeniu.

Lenin, nagle urwał i, spojrzawszy na nią, spytał z uśmiechem:

— Była pani kiedyś zwolenniczką „Woli Narodu“? Posyłała mnie z bombą na cara? Czy pozostała pani socjal-rewolucjonistką, czy przeszła do socjal-demokratycznego obozu?

— Do socjal-demokratów nie mam przekonania! — odparła, spokojnie wzruszając ramionami.

— Dlaczego?

— Nie wierzę w skutki teoretycznego, ugodowego i ewolucyjnego socjalizmu. Długa to droga, a dla Rosji stokroć dłuższa niż dla innych ludów!

— Hm! Hm! Bardzo mądre! Ja też od pierwszych dni studjów nad marksizmem nie wierzę w to i nigdy nie uwierzę! — krzyknął i począł zacierać ręce. — Więc?...

— Pozostałam socjal-rewolucjonistką z przekonań — rzekła. — Do partji nie należę, gdyż nie nadaję się do pracy potajemnej.

— Zwolenniczka Wiktora Czernowa i tych co marzą o konstytuancie? — mruknął, marszcząc brwi.

— Kierownicy nie grają roli — rzekła, spokojnie poprawiając kapelusz. — Chodzi mi o to, że Rosja — to jedna wielka rola, na której przed wszystkimi innymi powinny czuć się dobrze i szczęśliwie sto miljonów wieśniaków-oraczy, i siewców. Rosja do nich należała i należeć będzie...

— Nie będzie! — zawołał Lenin i tupnął nogą. — Nie będzie należała tak, jak to sobie wyobraża Czernow i jego głupia, podła banda, która od osiemdziesięciu lat ciągle robi gwałt, a w chwili niebezpieczeństwa chowa się w krzaki!

— Co pan mówi?! — zaprotestowała żywo.

— Ech, proszę pani! Nie można wierzyć piśmidłom i obietnicom tych szantażystów rewolucji. Oni nic nie mogą zrobić, bo nie mają wytkniętych dróg i stanowczości, tak samo, jak i socjal-demokraci. Nadzieje pokładają w altruizmie, w zdrowym rozumie rządu i burżuazji ziemiańskiej. Zaślepieńcy! Nigdy się tego nie doczekają! A gdyby się stał taki cud, to natychmiast wytworzą oni z chłopów nową burżuazję, z którą już żaden rewolucjonista sobie nie poradzi! Będzie to kamień, spiż, martwe, niedostępne trzęsawisko...

— Pocóż nowa rewolucja, jeżeli masa wieśniacza stanie się posiadaczką całej ziemi? — spytała, ze zdumieniem patrząc na Lenina.

Chodząc po pokoju, potrząsając ramionami i głową łysą, mówił chrapliwie:

— Bywają w historji okresy przełomowe... Nagle coś pęknie z hukiem i przed ludzkością utworzy się przepaść bez dna... Rozumie pani? Bez dna! Co robić? Stanąć i czekać? Na co mamy czekać? Może, przepaść się zapełni

czemś, albo zamkną się jej czeluście? Nie! tego nie bywa! Nigdy! Nigdy! Doszliśmy od kilkunastu lat do przepaści i stoimy, nie wiedząc, co mamy dalej robić. Nikt się nie ośmiela rzucić i wykonać zuchwałego projektu! Ale ja się na to porwałem!

Spojrzał na Helenę i dodał pośpiesznie:

— Ja... tu nie chodzi o mnie — Włodzimierza Uljanowa... Uważam się za tego wybrańca, w którym skojarzyły się wszystkie myśli i dążenia uciemiężonych... dlatego się odważyłem...

— Cóż zamierza pan uczynić? — spytała szeptem.

— Chcę wydobyć z ludu naszego siły uśpione. Najwięcej ich w prostym wiejskim ludzie. Nieznany, nieoceniony, czarowny skarb, strzeżony przez różne czarne djabelskie potęgi. One pierwsze się wyrwą i zaczną szaleć. Po tej wichurze wystąpią na światło dzienne prawdziwe siły, jeszcze śpiące, leniwe i bierne. Ale obudzą się wkrótce!... Jednym skokiem przesadzą one przepaść i popędzą naprzód, porywając za sobą inne narody! Nikt się sprzeciwiać nie będzie, bo miłość i troska o losy ludzkości będą kierowały nami, Heleno! Nic nie stanie nam na przeszkodzie, wszystko zgnieciemy, zmieciemy i zburzymy w imię wielkiego budowniczego...

— Wielkiego budowniczego?... — zapytała, podnosząc oczy na żółtą twarz Lenina.

— Jest nim człowiek wolny, o życiu ziemskiem myślący, a nie zatruty mrzonkami... — odpowiedział głucho.

— Nie rozumiem... — przerwała mu Helena.

— Biblja mówi, że kiedyś ludzie jęli się szalonej pracy wzniesienia wieży Babel, bo chcieli zajrzeć Bogu w oczy. Zbudowawszy ją, ludzie zrozumieliby, że tajemnicze niebo — to pustynia kosmiczna; myśl swoją skierowaliby na sprawy ziemskie, które jedynie mogą utrwalić miłość i sprawiedliwość ludzką. Mądre przysłowie nasze mówi, że „nie obiecuj żórawia w niebie, daj siniczkę w ręce!“ Tymczasem ludzkość ulękła się bezmyślnie urojonego Boga, przerwała zuchwałą pracę, wymordowała budowniczych i poróżniła się nazawsze. Odtąd panuje prawo nieludzkie, obce, wrogie, trujące nas i obezwładniające... My zbudujemy inny świat, posiejemy

papieru, gdyż wkrótce podpiszemy inną — z proletarjatem niemieckim, z rządem Karola Liebknechta!

Towarzysze uspokoili swoje rewolucyjne sumienie.

Jednakże wytrawni niemieccy dyplomaci, oceniając dokładnie sytuację Rosji, zaproponowali tak ostre warunki, że nawet bolszewicka delegacja nie odważyła się przyjąć ich bez porozumienia się z Piotrogrodem.

Był to wielki cios dla nowych władców dawnego imperjum.

Lenin namyślał się długo, bo nie wiedział, w jaki sposób w chwili, gdy jeszcze istniała Rada socjalistów wrogich odłamów, gdy na prowincji żyły hasła patrjotyczne, rzucone przez generałów Korniłowa i Aleksejewa, mógłby przekonać towarzyszy o konieczności pokoju za wszelką cenę, aby rewolucja mogła choć na krótki czas odetchnąć swobodnie i nabrać nowego rozpędu.

Korzystając ze zwłoki, Niemcy i Austrjacy już pędzili przed sobą czerwoną, niesforną armję, na południu wkroczyli na Ukrainę, od północy zajęli Psków i dla wywarcia nacisku posyłali samoloty, które zaczęły coraz częściej krążyć nad Piotrogrodem.

— Musimy zostać jedynymi panami sytuacji. Groźna jest dla nas konstytuanta, więc rozpędzimy ją na cztery wiatry! — szeptał do siebie prezes Rady komisarzy ludowych.

Ten zuchwały czyn należało jednak przygotować starannie.

Całą noc przechodził Lenin po pokoju, obmyślając plan ataku.

— Gdy wszystkie najpotrzebniejsze i najczynniejsze warstwy społeczeństwa będą po naszej stronie, — nie potrzebujemy niczego się obawiać! — myślał. — Potrafimy wtedy przeprowadzić w życie postanowienia naszej Rady.

Nazajutrz wszyscy, w najdalszych zakątkach frontu i prowincji, wszędzie, gdzie istniał telegraf, wiedzieli o nowych dobrodziejstwach Rady komisarzy.

Cios był zadany pewną i wprawną ręką.

Był to manifest nowego rządu, pozwalający żołnierzom na własną rękę zawierać pokój z nieprzyjacielem i powracać do domu; doradzający chłopom zagarnięcie ziemi i dobytku właścicieli wielkich posiadłości, nie czekając na zwołanie konstytuanty; dający zgodę na to, aby ludy nierosyjskiego po-

chodzenia bezkarnie odrywały się od dawnego imperjum i tworzyły własne, samodzielne państwa; nawołujący wreszcie robotników do ujęcia w swoje ręce kapitalistycznych przedsiębiorstw i faktycznego ich prowadzenia własnemi siłami.

Wszczynając i przerywając pokojowe układy, targując się, zwodząc, rzucając coraz to nowe, czcze, lecz efektowne frazesy, w rodzaju „ani pokój, ani wojna", Trockij i jego szwagier — Kamieniew tymczasem powstrzymywali ofenzywę Niemców.

Obaj — Lenin i Trockij czekali na wyniki wyborów do przyszłej konstytuanty. Wkrótce przekonali się, że ludowcy zwyciężyli i że bolszewicy nie zdobędą większości głosów w instytucji, która miała ustalić formę rządu w kraju i pokierować jego losami.

Dowiedziawszy się o tem, Lenin zatarł ręce i rzekł wesoło:

— Bardzo dobrze! Normalną drogą dojdziemy do zwycięstwa!

— Normalną? — spytał Trockij, nie rozumiejąc.

— Tak! — zawołał Lenin. — Przez krew i wojnę domową, w której zdusimy odrazu wszystkich wrogów! Radykalniejsza to droga od śliskich ścieżek kompromisów i szermierek językowych!

— Z konstytuantą łatwo nie pójdzie... — zauważył Trockij.

— Nie powtarzajcie głupstw, towarzyszu! — oburzył się Lenin. — Przed kilkoma miesiącami Duma Państwowa tak samo mówiła o carze. Ale, ale! Każcie, aby cara z rodziną przewieziono z Tobolska do Jekaterynburga. Myślałem o tem minionej nocy... Powinien być bliżej nas, abyśmy mogli mieć go w każdej chwili w ręku. Jekaterynburg — dobre miejsce! Mamy tam twardych ludzi w radzie robotniczej — Jurowskich, Wojkowa i Biełoborodowa. Możemy polegać na nich!

— Tak, to — prawda, — zgodził się Trockij, — lecz, Iljiczu, czy możemy targnąć się na konstytuantę?

Lenin stanął przed nim z zaciśniętemi pięściami i syknął:

— Nie możecie otrząsnąć się z tych przeżytków! Jedni tłuką się łbami przed krzyżami i posągami świętych, inni — przed autorytetami ludzi i instytucyj! Mrok dokoła mnie ślepota, niewolnicza myśl!

Splunął zamaszyście i nagle się uspokoił. Uśmiechnął się nawet i rzekł, dotykając ręki towarzysza:

— Lekarzu, ulecz się sam! Pamiętaj, że niema na ziemi nieśmiertelnych ludzi i nieśmiertelnych instytucyj... Wszystko umiera, wszystko upada i w proch się obraca. Tak przecież mówił i twój Jehowa? Mądry to był Bóg, bo na ludzkie stado miał twardy bicz!

Trockij zamyślony i zaniepokojony odszedł.

Lenin pozostał sam.

Chodził po pokoju i trzaskał w palce.

Wreszcie uchylił drzwi i zawołał:

— Towarzysza Chalajnena do mnie! Natychmiast!

Finn stanął przed nim i patrzył w oczy wodza nieruchomym, oddanym wzrokiem.

— Towarzyszu! Biegnijcie i sprowadźcie do mnie Feliksa Dzierżyńskiego. Niech przyjdzie z tymi, którym ufa całkowicie.

Chalajnen wybiegł, a Lenin zaczął chodzić po pokoju, nucąc jakąś piosenkę i pogwizdując.

Był zupełnie spokojny i już o niczem nie myślał. Wypił szklankę herbaty i, usiadłszy przy biurku, rozwinął gazetę. Po chwili zaczął rozwiązywać zadanie, które znalazł w dziale szachów. Twarz miał pogodną; łagodny uśmiech błąkał się po wydętych wargach i krył się w rzadkich mongolskich wąsach, opadających nisko.

Zegar na wieży kościoła Smolnego wydzwonił północ. Z ostatniem uderzeniem, zapukano do drzwi pokoju.

— Można wejść! — krzyknął wesołym głosem Lenin, wstając.

Wszedł Dzierżyński. Twarz mu drgała, powieki marszczyły się, poruszane skurczem; chude, węzłowate palce zginały się drapieżnie i prostowały.

— Potrzebny wam jestem? —spytał cichym, przenikliwym głosem. — Przyszedłem i przyprowadziłem ze sobą pewnych ludzi. Są to Urickij, Wołodarskij i Peters. Prowadzimy razem wywiad...

— Urickij? — spytał Lenin i przymrużył oko.

Dzierżyński skrzywił usta, wyrażając tym ruchem uśmiech, i szepnął:

— Tak! To on sprowokował mord oficerów i nasłał marynarzy, aby zabili w szpitalu chorych ministrów, Szyngarjowa i Kokoszkina; z jego też polecenia majtkowie zamordowali w Soczi byłego premjera carskiego, Iwana Goremykina z całą rodziną... On — to!

Lenin ściskał ręce przybyłych towarzyszy.

Wreszcie spytał cicho, prawie groźnie:

— Czy mogę być z wami szczerym?

W milczeniu skinęli głowami.

Wtedy rzekł krótko:

— Siadajcie i słuchajcie! To, o czem będę mówił, tymczasem musi pozostać w tajemnicy... Przewiduję, że wkrótce wybuchnie wojna domowa, taka prawdziwa, rosyjska wojna, w której się swoich nie szczędzi! Nie wiem, czy zrozumiecie to, bo nie jesteście Rosjanami... ale zapewniam was, że wojna domowa będzie taka, o jakiej nikomu się nie śniło! Cha! Cha! Czasy Pugaczowa i Dymitrów Samozwańców — to fraszki, zabawy dziecinne!

Śmiał się długo, a potem mówił:

— Dla wojny, nawet domowej, aby ją wygrać, niezbędną jest armja. Mamy dużo bagnetów i chłopów, trzymających je w mocnych dłoniach; nie mamy natomiast oficerów! Przeciwna strona posiadać ich będzie. Towarzysze, zróbcie tak, aby wałęsający się bez roboty lub ukrywający się oficerowie przeszli na naszą stronę dobrowolnie, czy z musu, pod wpływem... strachu.

— A — a! — odezwał się Dzierżyński. — Nareszcie! Potrafimy to zrobić — bądźcie spokojni, Włodzimierzu Iljiczu! Będziemy ścigali ich, trapili przerażeniem, głodem, więzieniem, mordem, dokonywanym na opornych i schwytanych z bronią w ręku! Rewolwer w naszych oskarżeniach wyolbrzymieje do rozmiarów największego działa, scyzoryk zmieni się w zatruty sztylet! Założymy tajne stowarzyszenie kontrrewolucyjne i wciągniemy setki białych oficerów. Gdy uwikłamy w naszych sieciach tysiące łatwowiernych, uczynimy wybór. Najlepszych oddamy wam, resztę... ziemi! Zmusimy do posłuchu tych, którzy są nam potrzebni. Zmusimy! Od czegóż mają matki, siostry, żony, dzieci? Wrzucimy to wszystko do lochów więzienia, jako zakładników, dręczyć,

w lęku śmiertelnym trzymać będziemy! Damy do wyboru oficerom — albo wierną służbę w naszej armji, albo śmierć rodzin, a dla nich mękę, którą obmyślimy z Petersem podług recepty Wielkiego Inkwizytora!

— Tak! Widzę, że zrozumieliście mnie, towarzyszu! — zawołał Lenin, zacierając ręce. — A teraz inne sprawy, nie mniej ważne. Słuchajcie! Musicie mieć w pogotowiu ludzi, aby zgładzić Mikołaja Krwawego z rodziną... kilku pewnych terorystów... na wszelki wypadek.

Wszyscy podnieśli głowy, słuchając spokojnego, prawie wesołego głosu Lenina.

— Czy nie będzie sądu nad carem? — spytał Wołodarskij. — Tak, jak to uczyniła wielka rewolucja francuska?

Lenin odpowiedział nie odrazu.

Wahał się chwil kilka, aż rzekł dobitnie:

— Sądzić cara publicznie byłoby niebezpieczną tragikomedją, bo nie wiemy, jak się będzie zachowywał. A nuż zdobędzie się na wypowiedzenie słów, porywających lud? Albo potrafi umrzeć śmiercią bohatera? Nie wolno nam robić nowych męczenników i świętych! Nie możemy też pozostawić go przy życiu, aby nie porwali go niemieccy lub angielscy krewniacy, albo kontr-rewolucjoniści, czyniąc z cara i jego rodziny nowe fetysze! Jasne?

— Rozumiemy! — szepnęli towarzysze.

— Jeszcze raz pytam, czy mogę na was polegać i nie obawiać się zdradzenia tajemnicy? — spytał Lenin, ostrym wzrokiem ogarniając każdą twarz siedzących przed nim ludzi. — Obiecuję wam, że proletarjat nie zapomni o waszej przysłudze i wiernej obronie jego sprawy. Potrafi on nietylko karać zdrajców, lecz także być wdzięcznym za usługi. Ma on ciężką, nielitościwą dłoń, spadającą na wrogów i zdrajców w chwili wykrycia zbrodni, umie też tą samą ręką wynagrodzić wspaniałomyślnie, wynieść na szczyt sławy...

W milczeniu skinęli głowami i wargi zacisnęli mocniej.

— Od jutra zaczynajcie! — dodał Lenin, wstając. — Nie mamy czasu do stracenia. Djablo dużo gadali towarzysze, a tego, co najważniejsze, nie zrobili! Teraz musimy się śpieszyć!

Pożegnał wszystkich z łagodnym uśmiechem na twarzy, a gdy wyszli, zmrużył oczy i podszedł do okna, przeciągając się leniwie i ziewając głośno.

Ujrzał złocony krzyż katedry Smolnej. Padały na niego blade promienie księżyca. Lśnił się, jakgdyby z diamentu skrzącego był wykuty.

Zaśmiał się Lenin i mruknął:

— Zniknij! Cięższysz zbytnio nad tą ziemią. Nawołujesz do męki i pokory, a my pragniemy życia i buntu!

Wzrok jego padł na zegar.

Dochodziła godzina pierwsza.

— Czas widm, djabłów i zjaw straszliwych — pomyślał — a tymczasem żadna nie przychodzi... żadna... Cha — cha!

Zamknął oczy i drgnął.

Wynurzyła się nagle twarz Dzierżyńskiego.

Blada, nieprzytomna, o zapadłych, zimnych, zezowatych oczach, do połowy ukrytych pod drgającemi powiekami, o kurczących się straszliwie mięśniach policzków i wykrzywionych, zapadłych wargach.

Śmiała się cicho i wydawała lekki syk.

Lenin obejrzał się dokoła i uśmiechnął się radośnie:

— Ten towarzysz pozostanie twardy, jak mur!

Skrzypnęły drzwi i poruszyła się zmięta, zawalana rękami żołnierzy draperja.

Do pokoju szybko wślizgnął się nieznajomy człowiek.

— Poco wchodzicie o tak późnej porze? — zapytał Lenin i nagle oczy mu błysnęły.

Przypomniał sobie drogę koło małej wioski góralskiej w Tatrach i bladego młodzieńca o pałających oczach.

— Poco wchodzicie? — powtórzył, bacznie patrząc na stojącego koło drzwi człowieka i nieznacznie posuwając się do biurka.

— Poznaliście mnie? Jestem Sielaninow. Byłem u was w Poroninie, towarzyszu... Przychodzę raz jeszcze ostrzec was... Jeżeli zrobicie zamach na konstytuantę...

Nie skończył, bo w kurytarzu rozległ się przeciągły, trwożny dzwonek.

To Lenin, ostrożnie skradając się, doszedł do biurka i nacisnął guzik elektryczny.

Wbiegł Chalajnen z żołnierzami.

— Weźcie go! — rzekł spokojnie Lenin. — Ten człowiek zakradł się do mnie i groził mi...

Finnowie porwali Sielaninowa i wywlekli go z pokoju.

Lenin rzucił się na sofę i natychmiast usnął.

Był straszliwie znużony, a sumienie miał spokojne.

Nie słyszał nawet, że na podwórzu, tuż pod jego oknami, huknął samotny strzał rewolwerowy i rozległ się ponury głos Chalajnena:

— Wyrzucić ciało na ulicę!...

Zegar wydzwonił jeden raz...

Głucho, przeciągle, niby na pogrzeb... Godzina widm i djabłów minęła..

ROZDZIAŁ XXII.

W domu państwa Bołdyrewych po pewnym czasie zapanował spokój. Słowo to nie zupełnie ściśle określało stan rzeczy. Właściwie żadnego spokoju nie było. Zjawiła się możliwość istnienia. W przeżywane krwawe, burzliwe czasy podnosiło się to do potęgi szczęścia.

Po zdobyciu Piotrogrodu przez komunistów mieszkanie inżyniera Bołdyrewa zostało zarekwirowane. Na szczęście dostało się ono jego dawnym robotnikom. Żył z nimi zawsze w dobrych stosunkach, więc narazie nie robili żadnych przykrości, pozostawiwszy dla rodziny właściciela mieszkania, a swego byłego dyrektora dwa pokoje i rozlokowawszy się w innych z żonami i gromadą dzieci.

Drażniły i smuciły państwa Bołdyrewych dochodzące odgłosy tłuczonych zwierciadeł i porcelanowych drobiazgów, łoskot przewracanych mebli, niemilknący ani na chwilę hałas, tupot nóg uganiających po mieszkaniu dzieciaków, niesfornych, wrzaskliwych, kłótnie kobiet, waśniących się o zagarniętą kanapę, kobierzec lub o miejsce przy piecu w kuchni. Przyzwyczaili się stopniowo do nowej sytuacji. Żyli, starając się nie pokazywać ludziom na oczy i jak najmniej spotykać się z nimi, chociaż nieraz spostrzegali, że żony robotników wynoszą z domu rzeczy, należące do mieszkania, i sprzedają je na mieście.

— Trudno! — szeptał Bołdyrew do żony. — Nie smuć się, Masza! Jeżeli burza przeminie, jak zły sen, — nabędziemy wszystko, co stracimy. Usprawiedliwiam robotników. Co mają biedacy robić? Zagarnęli wszystko w swoje ręce, a teraz z głodu przymierają. Fabryki pozostają nieczynne, praca nie idzie, bo przeróżne komitety naradzają się, układają nowe plany, kłócą się... Nikt nic nie płaci, chleba, mięsa, masła na targu niema. Ludzie wprost zmuszeni są grabić i sprzedawać zrabowane rzeczy! Chwała

Bogu, że choć nikt nas nie rusza, że mamy swój kąt i synów przy sobie!

To mówiąc, przeżegnał się nabożnie i, z wdzięcznością spojrzawszy na święty obraz, objął żonę.

— Masz słuszność, drogi! — szepnęła. — Wczoraj, gdy chodziłam na poszukiwanie kaszy i mleka, spotkałam generałową Uszakową. Opowiadała mi wprost przerażające rzeczy! Do nich codzień wrywały się bandy czerwonych gwardzistów, dokonywały rewizyj, wynosiły wszystko, co wpadało pod rękę, lżyły, potrącały, a wkońcu uprowadziły ze sobą generała. Pani Uszakowa daremnie poszukuje męża już drugi tydzień.

— Zabity? — spytał Bołdyrew, blednąc i wylękłym wzrokiem spoglądając na żonę.

— Z pewnością... Ona sama też tak myśli, lecz jeszcze łudzi się nadzieją! — odparła. — Straszne czasy! Kara, dopust Boży!

Oni jednak czuli się zadowoleni.

Pamiętnego dnia zdobycia Pałacu Zimowego, Bołdyrew z synem Piotrem późno w nocy odnaleźli Grzegorza. Miał silnie potłuczoną pierś, lecz mógł opuścić szpital. Mając mandat Antonowa-Owsienko, Bołdyrew zabrał syna i przewiózł go do domu.

Od tego czasu żyli jak w norze lecz dość spokojnie.

Cały kapitał rodziny, złożony w banku, dostał się w ręce zdobywców Piotrogrodu, a w dwa dni później równał się zeru, gdyż Rada komisarzy ludowych zniosła system pieniężny i zniszczyła wszelkie papiery wartościowe. Bołdyrewowie jednak posiadali sporo srebra, klejnotów, ubrania, bielizny i futer, mogli więc prowadzić handel zamienny z przybywającymi do stolicy wieśniakami.

Dawało to możność istnienia całej rodzinie. Pani Bołdyrewa na piecyku naftowym sporządzała skromne obiady, wcale do kuchni nie zaglądając, gdzie z dniem każdym rozpalała się coraz bardziej zażarta wojna domowa pomiędzy żonami robotników, a za ich namową i wśród mężczyzn. Nieraz wieczorem, po powrocie robotników z wieców i nigdy nie skończonych narad, rozlegały się ohydne wyzwiska, przekleństwa, a po nich — ponure wycie, łoskot padających mebli brzęk rozbijanych szyb — odgłosy bójek.

Nieraz po takiej burdzie Bołdyrewowie musieli iść i robić opatrunek poturbowanym. Bijatyki stały się codziennem zjawiskiem. Dopomagała temu wódka. Chociaż alkohol pozostawał zakazany, jednak wszechmocni żołnierze, pod pozorem rewizji, zaczęli plondrować składy win i sklepy monopolu spirytusowego, sprzedając zdobycz z wolnej ręki.

Ze wszystkiem tem godziła się inteligentna, kulturalna rodzina inżyniera.

Pani Bołdyrewa, widząc, jak lekkomyślny i bezwolny mąż jej zmienia się pod wpływem niespodziewanie spadających ciosów; jak powoli zacieśniają się bliższe więzy duchowe pomiędzy nim a synami, od paru lat zgorszonymi panującemi w domu stosunkami, nieraz myślała, że dopiero teraz czuje się naprawdę szczęśliwą, taką, jaką była w pierwszych latach małżeństwa. Bez skargi i rozgoryczenia znosiła drobne przykrości, niewygody i pracę, której zmuszona była się podjąć dla męża i synów.

Pomagali jej, jak mogli. Roboty mieli poddostatkiem.

Dziwnem się wydawało, że takie zwykłe, oddawna funkcjonujące urządzenia, jak wodociągi miejskie i stacja elektryczna, kierowane rękami nowych administratorów-bolszewików, zaczęły szwankować i nieraz przerywały swoją działalność. Rury wodociągowe i kanalizacyjne zamarzały i pękały. Młodzi inżynierowie zmuszeni byli naprawiać je i nosić wodę w kubłach z kranów ulicznych, wystawać godzinami w kolejkach, oczekując na wyznaczoną przez nowe prawo porcję nafty, węgla na opał, chleba i innych produktów spożywczych.

Inżynierowie narazie zmobilizowali wszystkich robotników i wspólnemi siłami podtrzymywali porządek w domu, naprawiając to, co się psuło.

Taki stan rzeczy przetrwał zaledwie miesiąc.

Jeden z robotników, potrzebując dla domu kawałka rury, poprostu odkręcił ją od maszyny fabrycznej.

Towarzysz partyjny zadenuncjował go przed komisarzem bolszewickim. Robotnik został aresztowany, oskarżony o kradzież majątku narodowego i stracony. Nie przeszło to jednak bezkarnie i dla Bołdyrewych.

W ich pokojach była zarządzona rewizja, przyczem odebrano im wszystkie droższe rzeczy. Piotr, za to, że polecił

robotnikowi zdobyć kawał rury, został osadzony w lochach „nadzwyczajnej komisji dla walki z kontr-rewolucją, sabotażem i spekulacją“, czyli „czeki“, przy ul. Grochowej.

Prokurator, ciągle pijany zamiatacz ulic, nieustannie obiecywał aresztowanemu burżujowi, że każe go stracić i groził podczas dochodzenia sądowego rewolwerem, co chwila przystawiając go do piersi lub czoła młodego inżyniera.

Na szczęście robotnicy i majstrowie z fabryki, gdzie pracował Piotr, wnieśli podanie o zwolnienie go.

Piotr Bołdyrew po dwóch tygodniach powrócił do domu i, uśmiechając się zagadkowo, szeptał do rodziców i brata:

— Napatrzyłem się w „czeka“ różnych pięknych rzeczy i przeszedłem wspaniałą szkołę...

Nie chciał jednak opowiadać w domu o szczegółach. Obawiał się robotników, którzy chętnie podsłuchiwali pode drzwiami. Można było się spodziewać denuncjacji, bo pomiędzy lokatorami mieszkania Bołdyrewych na tle kłótni takie wypadki już się zdarzyły.

Podczas przechadzek po mieście, Piotr opowiedział ojcu, że w tym najwyższym sądzie, gdzie się wymierzała sprawiedliwość proletarjacka, panują warunki straszliwe, wołające o pomstę do nieba.

Codziennie rozstrzeliwano ludzi bez sądu, dopuszczano się prowokacji, jak za dawnych czasów policji politycznej, wyłudzano pieniądze za zwolnienie z więzienia, bito aresztowanych, znęcano się w taki sposób, o jakim w najbardziej ponurych okresach caratu nie słyszano nigdy.

— Uważam, że kto się tam dostanie, powinien odrazu zamówić dla siebie trumnę i nabożeństwo żałobne! — szeptał z uśmiechem Piotr. — Tylko trafem można wyjść cało z tego mrocznego przybytku sprawiedliwości.

Z przerażeniem patrzyli na siebie, porozumiewając się oczami i szepcąc:

— Źle! Coraz gorzej!

Pan Bołdyrew wśród niezliczonych, większych i mniejszych przykrości, kłopotów, rewizyj, trwogi i codziennej obawy o rodzinę i własne życie, zapomniał, zdawało się zupełnie o spóźnionej miłości, niedawno tak potężnie trzymającej go w swej władzy.

Pewnego razu, idąc Newskim Prospektem, przypomniał sobie o uroczej Tamarze.

Przeszedł most i skierował się w stronę domu, gdzie wynajął przed rokiem przytulne mieszkanko dla tancerki.

Zdziwił się, że na dzwonek jego otworzyła mu drzwi ta sama pokojówka, którą znał oddawna. Wiedział, że nowe prawo zakazywało posługiwać się pracą najemną i za niewykonanie tego karało surowo.

— Ryzykuje Tamara... — pomyślał Bołdyrew i zapytał pokojówki: — Czy pani jest w domu?

Sprytna dziewczyna opuściła oczy i, uśmiechając się dwuznacznie, odparła przytłumionym głosem:

— Pani jest w domu, tylko nie może nikogo przyjąć... Właśnie przed chwilą przybył do pani komisarz naszej dzielnicy, więc...

Bołdyrew nie słuchał dalej. Zrozumiał wszystko. Dochodziły go wybuchy wesołego śmiechu, zalotny szczebiot Tamary, podniecony głos męski, a nawet, jak mu się wydało, echa pocałunków, przygłuszonych brzękiem szkła.

Rzucił spojrzenie na wieszadło i uśmiechnął się. Wisiały tam skórzana kurta szwedzka i takaż czapka z dużym daszkiem — ulubiony strój nowych komisarzy, szabla i teczka — nieodstępne symbole władzy komunistów.

— Proszę powiedzieć pani, że byłem, aby złożyć jej życzenia szczęśliwego życia — rzekł ze szczerym śmiechem. — Niestety, nie mogę dać panience żadnego napiwka, bo nic nie mam!

Znowu się zaśmiał i wyszedł. Stanąwszy na pierwszem piętrze, wziął się za boki i zaczął śmiać się, zataczając i zacierając ręce. Oddawna nic go tak szczerze nie ubawiło. Stuknąwszy siebie parę razy palcem w czoło, wyszedł na ulicę.

Miał przed sobą długą drogę na piechotę.

Taksówki były zarekwirowane od pierwszych dni październikowej rewolucji, dorożki i tramwaje jeszcze nie kursowały, bo woźnice, konduktorzy i mechanicy wciąż debatowali nad nowemi warunkami i wygłaszali radykalne mowy, opowiadając się po stronie Rady komisarzy ludowych i jej prezesa, „towarzysza“ Lenina. Wpośród sporów politycznych szalejący motłoch zapominał nawet o tem, że dostawał zaledwie

pół funta marnego chleba na dzień, a o wódce nie śmiał marzyć, bo za używanie jej wrzucano do więzienia; zresztą, sprzedawana potajemnie doszła do straszliwie wygórowanej ceny, dostępnej wyłącznie dla biurokratów sowieckich.

Bołdyrew, znużony długą przechadzką, powrócił do domu nad wieczorem i, spostrzegłszy stroskaną twarz żony i niepokój w jej pytających oczach, przygarnął ją do siebie, ucałował w czoło i szepnął wesoło:

— Bądź spokojna, Masza! Wszystko jest bardzo dobrze... Skończyłem z tem wszystkiem, co tobie zatruwało życie, a mnie hańbiło. Skończyłem na zawsze!...

W tydzień później Bołdyrew z synami otrzymał wezwanie do komisarjatu pracy.

Jakiś robotnik w skórzanej czapce, brutalnie patrząc na nich, zapytał:

— Burżuje! Czy chcecie służyć proletarjatowi? Potrzebujemy waszej wiedzy tymczasem, nim będziemy mieli swoich fachowców ... Jeżeli nie zgodzicie się, odbierzemy wam kartki aprowizacyjne, bo „kto nie pracuje, ten nie je!“ Cha — cha! Tak powiedział nasz Lenin! No, cóż? Zgadzacie się? Pamiętajcie, że w razie odmowy spotkają was różne inne kary, a mamy ich duży zapas dla was, wrogów rewolucji!

Bołdyrewowie zamienili między sobą porozumiewawcze spojrzenia.

— Przystajemy na propozycję waszą — odparł za wszystkich Piotr. — Nie jesteśmy wrogami rewolucji...

— Znam ja was, psy podstępne! — zawołał robotnik-komisarz. — Prawie wszyscy uprawiacie sabotaż i bojkot proletarskiej Rosji. Nie w smak wam socjalna rewolucja! Chcielibyście po dawnemu gnębić nas?!

Stary Bołdyrew nie wytrzymał. Zaśmiał się i spytał:

— Towarzyszu! Niezawodnie byliście robotnikiem, czy majstrem w fabryce; napisane to jest na waszych rękach spracowanych. Powiedźcie mi szczerze, uczciwie, czy w biurze fabrycznem burżuje rozmawiali z wami tak, jak to czynicie wy?

Robotnik nie spodziewał się takiego pytania i zmieszał się.

Po chwili jednak przybrał dawną zuchwałą postawę i mruknął groźnie:

— No, wy macie gęby wygadane! Wiadoma rzecz!

Wydał inżynierom jakieś wąskie pasemka papieru z adresami fabryk, gdzie mieli pracować od jutra.

Rozpoczęła się praca dla proletarjatu.

Robotnicy z małemi wyjątkami spędzali całe dnie poza warsztatami.

Naradzali się i spierali zażarcie o sposobach kontroli nad fabryką, opracowywali fantastyczne plany prowadzenia własnemi siłami przedsiębiorstwa, ustanawiali godziny zajęć, śpiewali „Międzynarodówkę", niszczyli maszyny, ponieważ zamieniali na prowjanty najdroższe części mechanizmów i znajdujące się na składzie materjały.

Inżynierowie, protestujący przeciwko takiej gospodarce i nawołujący do pracy, wkrótce byli znienawidzeni przez robotników i oskarżeni o burżuazyjne metody prowadzenia robót.

Na szczęście sprawę ich ujął w ręce naczelny komisarz pracy — człowiek inteligentny; kazał wszystkim stawić się do biura, i uważnie słuchał skarg robotników oraz objaśnień Bołdyrewych.

Podczas toku rozprawy rozległy się radosne wiwaty i okrzyki ludzi, tłoczących się w korytarzach komisarjatu.

— Niech żyje Lenin! Niech żyje rewolucja!

Do sali, gdzie się odbywała rozprawa, wszedł wódz proletarjatu, a za nim wpadł tłum robotników. Porozumiawszy się z komisarzem pracy, Lenin uważnie przyjrzał się spokojnym, inteligentnym twarzom inżynierów i zatrzymał ostry wzrok swój na oskarżających ich robotników, powtarzających wkółko frazesy, wyczytane z powodzi ulotek i dzienników bolszewickich.

Lenin kiwnął głową i uśmiechnął się uprzejmie, prawie łagodnie.

Podniósł oczy na tłum, oczekujący z ciekawością wyroku samego dyktatora, i rzekł chrapliwie:

— Towarzysze, opuśćcie natychmiast salę!

Ponieważ Kuno Chalajnen i dwóch fińskich żołnierzy, przybyłych z Leninem, zręcznie utorowali im drogę, skie-



PIERWSI OBROŃCY KOMUNIZMU, POSZUKUJĄCY DLA SIEBIE PROWJANTÓW



ŻOLNIERZE CZERWONEJ ARMJI, HANDLUJĄCY NA ULICACH MIAST

rowując ku drzwiom, sala wkrótce została uwolniona od gapiów.

Lenin usiadł przy stole i, zwracając się do oskarżycieli, rzucił pytanie:

— Co zrobiono w fabryce przez czas pracy tych inżynierów?

Oskarżyciel odczytał listę dokonanych robót.

— Dlaczego praca została przerwana?

— Mieliśmy ważne wiece i... materjałów zabrakło, bo towarzysze wynieśli je ze składów fabrycznych — odpowiedział jeden z robotników.

— Co powie o tem towarzysz-inżynier? — zapytał Lenin.

Bołdyrew odparł:

— Istotnie na składach nie znaleziono materjałów. Dlaczego — nie wiem, bo kontrola nie należała do mnie. Jestem doradcą technicznym. Gdybym miał bronz, miedź i stal, naprawiłbym uszkodzone maszyny. Chcąc pracować sumiennie i wydajnie, wskazywałem komitetowi fabrycznemu na konieczność obowiązkowej pracy chociażby przez sześć godzin...

— Tymczasem ile godzin pracowali towarzysze? — spytał Lenin.

Bołdyrew spokojnym głosem odpowiedział:

— Komitet prowadził listę, więc może poinformuje was, towarzyszu prezesie Rady komisarzy ludowych...

Lenin skinął głową na oskarżyciela, który, zajrzawszy do swej teki, oznajmił:

— Wypadało... po dwie godziny i to... nie codzień...

Lenin wstał i, mrużąc oczy, powiedział dobitnie:

— Kradzież majętności publicznej, szkodliwe marnowanie czasu, sabotaż, przykryty rewolucyjnemi wiecami, towarzysze?! Dyktatura proletarjatu została wprowadzona przez was poto, abyśmy mogli zdeptać burżuazję i każdy inny wrogi nam odłam społeczeństwa. Dlatego niezbędna jest wytężona praca każdego robotnika. Nie sześć, nie osiem, a dziesięć, czternaście lub dwadzieścia cztery godzin pracy! Słyszycie?!

Robotnicy porwali się z miejsc i krzyczeć zaczęli:

— To — gorsza katorga niż za burżujów?! Gdzież zdobycze rewolucji? Gdzież raj socjalistyczny, o którym pisali-

ście i gardłowaliście? Gdzie wyzwolenie ludu pracującego? Ani chleba, ani wypoczynku po ciężkiej pracy w jarzmie kapitalistów!!

Lenin uśmiechnął się dobrotliwie, chociaż wydęte wargi krzywiły mu się i drgały.

— Towarzysze! — rzekł. — Zrobiliście rewolucję i zwyciężyliście, aby zbudować raj, o którym mówicie. Żeby budować, trzeba napracować się, a nie gadać, nie gadać, co wy od trzech miesięcy robicie! Patrzę na was i myślę: oto ci dobrzy ludzie i dzielni rewolucjoniści wdrapali się na wysokie drzewo, usiedli na najwyższej gałęzi, podziwiani przez cały świat, a tymczasem dla zabawy sami rąbią gałęź, na której się znajdują! Baczcie, abyście nie runęli z wierzchołka drzewa i nie rozbili sobie łbów. Któż wtedy szczekać będzie?!

Na sali rozległ się głośny śmiech.

Lenin zrozumiał, że ma już stronników w obecnych przy rozprawie świadkach, więc ciągnął dalej z uśmiechem zjadliwym:

— Nic się nie robi wbrew waszej woli! Spełniamy wasze nakazy. Postanowiliście w znoju największym pracować tak, żeby w dwa miesiące odrobić zaległą od dziesięciu lat pracę, żeby w dwa lata dogonić Europę, która wyprzedziła nas o lat pięćdziesiąt! Tymczasem ten znój — to dwie godziny pracy i sześć gardłowania?! Jak wam gęby nie spuchną, mili towarzysze? Zadrościcie, widać Kiereńskiemu, który tylko gadał — w dzień i w nocy? Przez sen nawet podobno wygłaszał mowy! Nie chcieliście przecie, słyszałem to na wiecach, iść za radą Kuźmy Prutkowa, nakazującego „pośpieszać powoli“? Pamiętajcie, że nasi wrogowie nie śpią! A gdy ruszą na nas, żadne gadanie nie pomoże! Możecie przegadać sprawę swoją i umilknąć dopiero, gdy stryczek generałów zdusi wam szyję!... Praca, praca, praca, towarzysze! Praca i wysiłek konieczne są dla powodzenia waszej rewolucji i waszego szczęścia!

Umilknął i, szepnąwszy kilka słów do komisarza pracy, oznajmił spokojnym, stanowczym głosem:

— Imieniem pracujących postanawiam: inżynierowie pozostają nadal w fabryce, komitetowi stawiam za warunek niezbędny, aby tygodniowo wyrabiał tyle, ile dawała fabryka

w pierwszym okresie pracy inżynierów! Jeżeli nie spełnicie tego, staniecie przed sądem doraźnym za sabotaż! Proletarjat nie zna lenistwa i litości, towarzysze!

Milczeli robotnicy i rozchodzili się posępni.

Czuli, że nieznana dotąd ciężka, przerażająco groźna ręka spada na nich.

Inżynierowie, podtrzymani wyrokiem Lenina, gorąco namawiali robotników do pracy, zachęcali własnym przykładem, doradzali, lecz ci kiwali głowami i mruczeli:

— Teraz już późno! Maszyny do połowy popsute, materjałów nie mamy. Nikt nie poradzi na to!

Jeden po drugim zapisywali się do czerwonej armji, uciekali na wieś, z którą robotnik rosyjski nigdy nie zrywał więzów pokrewieństwa; bardziej inteligentni ubiegali się o posady w niezliczonych urzędach nowej Rosji, z dniem każdym zmieniającej się w państwo biurokratów, żerujących na ciele narodu.

Wreszcie fabrykę zamknięto. Bołdyrewowie byli wolni. Smuciło ich to, ponieważ nie zgadzali się ze swoimi kolegami, którzy, uważając panowanie bolszewików za zjawisko krótkotrwałe, uporczywie bojkotowali „rząd najeźdźców i zdrajców".

Bołdyrew i synowie jego myśleli inaczej. Nie wierzyli w prędkie wygaśnięcie rewolucji, bo, podług ich zdania, była ona zaledwie jednym z etapów potężnego ruchu i musiała przejść kilka okresów w przeciągu szeregu lat. Jako uczciwi obywatele, nie mogli i nie chcieli pozostawiać ojczyzny bez pomocy, widząc, jak ją rozdzierały i burzyły niewprawne ręce teoretyków, marzycieli, zbrodniarzy i ciemnych prostaków.

Piotr Bołdyrew mówił:

— My — fachowcy musimy pozostać na stanowisku swojem, bo jesteśmy potrzebni każdemu rządowi. Pamiętajmy, że ostatnie słowo, stanowcze, decydujące słowo powie wieśniak. On tupnie nogą, zaklnie, ugnie opętańców i ład ustanowi na długo. Jakżeż się obejdzie bez fachowych ludzi? Przecież włościaństwo nie uwierzy hołocie w skórzanych kurtkach, z tekami pod pachą, tym tysiącom przeróżnych komisarzy, którzy burzą Rosję i żądają, aby wieś żywiła ich? Chłopi wogóle nic wspólnego z miastem nie mieli, a teraz

nagle to miasto wsadziło im na karki komisarzy-pasorzytów, obcych im i nie otoczonych nawet szacunkiem, bo są ciemni i niepiśmienni nieraz. Władze żądają od włościan chleba, mięsa, masła dla czerwonej armji, niczem za to nie płacąc, bo miasto samo nie posiada żadnych towarów, oprócz dzienników, broszur, haseł i innych rewolucyjnych dekoracyj. My musimy czekać na przyjście chłopa z mocnym kijem i twardą pięścią, aby pomóc mu w odrodzeniu chorej ojczyzny!

Takie myśli zmusiły inżynierów do ponownego zgłoszenia się w komisarjacie pracy. Powiedziano im, że zostaną wezwani, gdy proletarjat będzie potrzebował ich fachowej pomocy.

Tymczasem komisarz dzielnicowy, korzystając z tego, że część robotników mieszkających w domu Bołdyrewa, wyjechała na wieś, ulokował kilka rodzin.

Byli to żebracy oraz ciemne osobistości z pośród najgorszych mętów wielkomiejskich. Zaczęły się natychmiast kradzieże i bójki, a po nich — rewizje, ciagłe nachodzenie milicji, oddziałów wojskowych, władz śledczych, składających się z robotników, żołnierzy i dawnych kucharek. Najwięcej cierpieli od tych wizyt „burżuje", którym za każdym razem coś zabierano i na dobitkę wymyślano od „grabieżców pracującego ludu".

Życie z dnia na dzień stawało się nieznośniejszem.

Kobiety szpiegowały panią Bołdyrewą i donosiły milicji o kupowanych przez nią zapasach żywności, o „nadmiernej" ilości posiadanego ubrania, bielizny i obuwia. Po nocach wdzierali się jacyś ludzie, podający się za agentów walki ze spekulacją, rekwirowali chleb, mąkę i różne rzeczy, należące do rodziny burżuazyjnej, obsypywali obelgami i za każdym razem kradli to i owo.

Wreszcie nadszedł kres cierpliwości.

Było to na początku grudnia. Szalały mrozy. Bołdyrewy siedzieli w swoich pokojach w futrach, bo w nieopalonem mieszkaniu panował przejmujący chłód i wilgoć.

Nagle w sąsiednim pokoju, zajmowanym przez sześć rodzin robotniczych, rozległy się przeraźliwe krzyki. Płakała i jęczała żałośnie jakaś kobieta.

Pani Bołdyrewa długo nadsłuchiwała, poczem rzekła:

— Może coś złego przydarzyło się tej kobiecie? Zajrzę do niej...

Weszła i po chwili powróciła, blada i wzruszona.

— Grzegorzu! — zawołała, zwracając się do młodszego syna. — Biegnij natychmiast po doktora Lebediewa i proś, żeby wnet przyszedł. Jakaś robotnica ma poród! Śpiesz się!

Znajomy lekarz przybył natychmiast, zbadał chorą i oznajmił:

— Nie mamy ani chwili do stracenia! Jednak w lokalu położnicy panuje taki straszny nieporządek i brudy, że grozi jej zakażenie i śmierć. Nie wiem, co robić?

Pani Bołdyrewa spojrzała na męża i synów.

— Moi drodzy, — rzekła, — wyjdźcie na miasto, a my tymczasem przeniesiemy chorą do mego pokoju. Nie można biedaczki zostawić bez pomocy!

Mężczyźni wyszli, lecz gdy powrócili, spotkała ich zapłakana pani Bołdyrewa.

— Wiecie, jaką nikczemność uczyniła kobieta, którą niemal od pewnej śmierci uratowaliśmy? Po skończonym porodzie bezczelnie oznajmiła, że nie ruszy się już z mego pokoju. Natychmiast też wprowadziła się cała rodzina: jej matka, mąż, czworo dzieci...

Rozmowę tę posłyszano w sąsiednim pokoju, bo rozległ się ostry, złośliwy głos kobiety:

— Burżuje przeklęte! Mieszkają w czystości i bogactwie i myślą, że my jesteśmy gorsi od nich! Dość tego! Napili się naszej krwi, teraz my — górą!

Wyplunęła jakieś zgniłe wyzwiska i umilkła.

— Niema rady! — zawyrokował Bołdyrew. — Trzeba uciekać...

— Dokąd? — spytała żona.

— Na wieś, do brata Sergjusza. Dawno zapraszał nas. Na wsi, może, spokojniej będzie — odpowiedział szeptem.

— To dobra myśl! — podtrzymali go synowie.

Kilka dni upłynęło, zanim udało się Bołdyrewym otrzymać pozwolenie na wyjazd ze stolicy. W wolnej republice proletarjackiej całą ludność, oprócz należących do partji bolsze-

wików, jak skazańca do taczki, przykuto do swego miejsca. Znajomi robotnicy dopomogli jednak i rodzina Bołdyrewych, ograbiona do szczętu, przeniosła się do majątku Rozino w obwodzie Nowgorodzkim.

Westchnęli z ulgą, przypominając sobie ostatnią przed wyjazdem z Piotrogrodu rekwizycję, pozbawiającą ich resztek mienia, ciągłe rewizje i kontrole paszportów w pociągu, podejrzliwość milicji i obelgi bezkarne, doznawane od włóczących się wszędzie marynarzy. W Rozinie panował spokój i dostatek.

Dopiero teraz zrozumieli Bołdyrewy, jak mało cenili dobrobyt i dobrodziejstwa cywilizacji. Pojmowali też, że człowiek kulturalny zbyt wielką wagę przywiązuje do zbytków, wchodzących w tryb codziennego życia.

Piotr ze śmiechem mówił:

— Dawniej gniewałem się na praczkę za źle wyprasowany kołnierzyk, a teraz mogę chodzić zupełnie bez kołnierzyka. Wszystko na świecie jest warunkowe!

Jednak fala rewolucyjna szybko dotoczyła się i do Rozina.

Pewnego razu we dworze zjawiła się gromada chłopów. Prowadził ich ponury człowiek w oficerskim płaszczu bez szlifów. Miał złą twarz i oczy pełne nienawiści i zaciętości.

Zażądał, aby właściciel majątku wyszedł do „ludu“.

Sergjusz Bołdyrew zaprosił przybyłych wieśniaków do dworu.

„Lud“, stanąwszy przed „panem“, milczał, chrząkał i trącał się łokciami.

Wreszcie wystąpił nieznajomy człowiek i rzekł hardo:

— W ważnej sprawie przyszliśmy do was... towarzyszu burżuju...

Bołdyrew przyglądał mu się bacznie. Po chwili klasnął w dłonie i zawołał:

— Nie poznałem was narazie! Klim Gusiew? Dawno was nie widziałem. To wy przepiliście swoją chatę i ziemię, a potem porzuciliście wieś? Cóż robicie teraz?

Nie dopowiedział wszystkiego pan Bołdyrew. Wiedział, że pijany chłop popełnił w pobliskiem miasteczku jakąś zbrodnię, został skazany na więzienie i wykluczony z „obszczyny“, czyli pierwotnej, nieśmiertelnej komuny włościańskiej.

— Jestem pełnomocnikiem Rady robotniczych i włościańskich delegatów na cały obwód — odparł z dumą, zuchwale patrząc na „burżuja“.

— Z czem przychodzicie do mnie? — spytał Bołdyrew.

Gusiew, unikając jego wzroku, mruknął:

— Przyszliśmy do was, towarzyszu, aby zażądać od was oddania chłopom waszej ziemi, bydła, inwentarza i dworu. Należy to teraz do ludu!

Na potwierdzenie tych słów groźnie podniósł pięść.

Bołdyrew zmarszczył brwi. Nie podobał mu się argument „prawny“ niepiśmiennego pijaka Gusiewa.

— Pięść schowajcie, człowieku, bo inaczej nie dojdziemy do niczego! — rzekł surowym głosem. — Z gazet wiem, że w styczniu ma się zebrać konstytuanta. Ona uchwali nowe prawo o ziemi. Zaczekajmy! Do terminu niedługo już!

Pogłaskał siwą brodę, spływającą mu na pierś, i spoglądał na chłopów spokojnie i życzliwie.

Gusiew nagle zaklął ohydnie:

— Nie zwódź nas, burżuju, krzywdzicielu! Dość już wycisnąłeś z nas łez, potu i krwi! Oddawaj wszystko! Bacz, abyśmy nie urwali ci głowy i nie zaświecili ci do oczu, chacha — chłopską iluminacją!

— Grozisz? — spytał Bołdyrew i, zwracając się do chłopów, zawołał:

— Cóż milczycie, sąsiedzi? Żyłem z wami w przyjaźni. Wy wiecie, że ja nie wyciskałem z was ani potu, ani łez, ani krwi! Brednie to głupie tego bezdomnego włóczęgi, pijaka, aresztanta! Mówcie! Chcę wiedzieć, czy sprawiedliwość żyje w waszych sercach!

Chłopi przestępowali z nogi na nogę i pomrukiwali:

— No... pewno, że... niby po dobremu żyliśmy... Ucisku nie było żadnego... Co mówić?! Tylko rozkaz wyszedł, żeby ziemię i dobytek wszelki panom odbierać i... dzielić... Przyszliśmy, aby po sąsiedzku, po dobremu, doradzić... zgodę waszą na to mieć... bo i tak... weźmiemy...

— Weźmiecie? — krzyknął Bołdyrew. — A jakiemże to prawem? Zbrodniarzami chcecie być? Co na to powie rząd, gdy ustali się ład w kraju? Nie pomyśleliście o tem?

— Za twego życia, burżuju, nie będzie innego rządu, oprócz nas — robotników i chłopów! — zaśmiał się Gusiew. — Oddawaj, inaczej sami weźmiemy!

Bołdyrewa, starego, dymisjonowanego pułkownika, bohatera dwuch wojen, niełatwo było nastraszyć. Wyprostował się dumnie i odparł, wyraźnie akcentując każde słowo:

— Nie oddam, nie mając w ręku pisanego i zatwierdzonego przez rząd prawa! Jeżeli Zgromadzenie Narodowe postanowi — oddam bez słowa sprzeciwu. Teraz, jeżeli chcecie, możecie czynić gwałt i zbrodnię, lecz odpokutujecie za to ciężko! Opamiętajcie się póki czas! Idźcie do domu, pomyślcie, a o tem, co uradzicie, niech mi wójt doniesie.

Skinął ręką i wyszedł.

Chłopi opuścili dwór w ponurem milczeniu.

— Sprawiedliwie gadał „pan"... — mruknął jeden z wieśniaków. — Można zaczekać...

— Czekajcie... Czekajcie! — rzucił się na niego Gusiew. — Doczekacie się nowych policjantów, więzienia i batów... Burżuje w konstytuancie ustalą stary porządek, a wy, jak bydło, pójdziecie w ich jarzmo... Brać! Brać póki czas!

— N-no, jak brać, to brać... — rozległy się jeszcze nieśmiałe głosy.

W godzinę później do dworu przybiegł wójt.

Miętosił czapkę, czuł się zakłopotany, oglądał się tchórzliwie.

— Biada, panie, biada! Oszalał lud... Ostatnie przychodzą czasy! Postanowili chłopi odebrać wam ziemię, bydło, dom, maszyny, a was i panią... wygnać ze dworu. Kazali mnie powiedzieć, żebyś bez zwłoki wyprawił przyjezdnych krewniaków, bo, jak mówi Gusiew, — objadają chłopów... To nie my tego chcemy... tylko ten... Gusiew... Podjudził wszystkich, jak ten djabeł kusiciel... Biada!

Pochylił się do ucha pana Bołdyrewa i szepnął:

— Przebierzcie się, panie, w chłopski przyodziewek i czekajcie. Ja po was przyślę wóz... Mój syn, wasz chrześniak, odwiezie wszystkich do miasta... Bezpieczniej tam będzie...

Stary pułkownik przybladł i namyślał się długo.

Odezwał się wreszcie:

— Dziękuję wam, wójcie! Przyślijcie Iwana z wozem..

Wójt wyszedł, a pan Bołdyrew skierował się do salonu, gdzie zgromadziła się cała rodzina.

Spokojnym głosem, który ani razu nie zadrżał mu, oznajmił, że postanowił oddać chłopom majątek i pozostać, aby ciemni włościanie nie zmarnowali gospodarstwa.

— Będę ich doradcą i pomocnikiem! — zawołał. — Nie mam prawa porzucać placówki swojej. Jeżeli ma przejść do ludu, niechże lud ma największy pożytek z niej, czego beze mnie nie potrafi osiągnąć. Pozostaję! Co do was, to chłopi żądają, abyście odjechali... Brat Walerjan zabierze swoją rodzinę i żonę moją. Zamieszkacie u mego przyjaciela Kostomarowa. Siedzi on na małym zagonie roli, pracuje, jak zwykły chłop, więc od niego ziemi nie odbiorą. Najbezpieczniejsze to miejsce na te czasy!

Żona Sergjusza Bołdyrewa — sędziwa staruszka zaprotestowała.

— Ja pozostanę przy tobie! — zawołała. — Nie opuszczę ciebie. Na wojnę za tobą pojechałam, jako sanitarjuszka, to teraz nie godzi mi się pozostawiać ciebie samego... Dzieci nie mieliśmy, żyliśmy dla siebie, możemy więc i umrzeć razem... Pozostanę i nie staraj się mnie odwieść od tego zamiaru. Koniec! Postanowiono!

Wzruszony Bołdyrew nie przeczył. Podszedł do żony i rzekł prosto:

— Dziękuję ci, Juljo!

Naradzał się z bratem, prosił go o przechowanie pewnych dokumentów i kilku klejnotów, które mogłyby być zczasem spieniężone; polecał mu, aby uprzedził starego dziwaka Kostomarowa, że, być może, wkrótce zjedzie do starego druha na dłuższy pobyt.

— Obawiam się, — mówił, — że chłopi wpadną w szał, jak i wasi robotnicy! Gdy stracę nadzieję — przyjadę do Kostomarowa i będę pomagał mu.

Po zachodzie słońca inżynier z rodziną odjechał.

Dwór w Rozinie opustoszał.

W starożytnym domu, pamiętającym pyszny wiek Elżbiety, pozostała sędziwa para staruszków.

Siedzieli w półciemnym pokoju i rozmawiali przyciszonym głosem.

— Powiedz, czy jest chociaż jeden człowiek w okolicy któremu uczyniliśmy krzywdę? — pytała staruszka. — Za cóż tyle nienawiści do nas?!

Westchnęła i zapłakała gorzko.

Mąż długo nic nie mówił.

Przeszedł się kilka razy po pokoju i, namyśliwszy się, zaczął szeptać:

— Kwestja to zawiła, oj, bardzo zawiła! Odpowiadamy nie za swoje winy... Za grzechy rządu, szlachty, urzędników, inteligencji, za zbrodnie cara musimy ponieść karę. Uważano chłopa za bydło, którem rządzić można tylko batem. Ciemnego nie chciano z ciemności wyprowadzić. Kopano coraz głębszą przepaść pomiędzy włościaństwem a rządem i inteligencją... No, i doczekaliśmy się dni zemsty! Dziki i ciemny chłop sam wyrwał się z ciemnicy... My dla niego — nie jesteśmy tylko dobrymi sąsiadami — Sergjuszem i Julją, których znają od pięćdziesięciu łat. Jesteśmy „panami“, uczonymi, bliskimi ludźmi dawnych władz, a więc — wrogami...

Długo rozmawiali, smutnie pochyliwszy ku sobie stroskane, sędziwe głowy.

Nagle z brzękiem rozprysnęła się szyba, duży kamień wpadł do pokoju, a przez rozbite okno wleciał obłok mroźnego powietrza.

Głuchy gwar dochodził z podwórza.

Bołdyrew wyjrzał przez okno. Zwarty tłum chłopów, poprzedzanych przez Gusiewa, prowadzącego za sobą baby wiejskie z workami w rękach, sunął ku stopniom ganku.

— Otwierać! Otwierać! — rozlegały się głosy.

Przerażona służba uciekła. Bołdyrew przeżegnał się i poszedł ku drzwiom.

Wbiegł Gusiew, a za nim, krzycząc i potrącając się, wdarły się baby. Zaczęły natychmiast wrzucać do worków stojące na stołach przedmioty, zrywać firanki, wyłamywać drzwiczki szaf i kredensów.

— Zabierajcie wszystko, bo to teraz — wasze! Koniec z burżujami, teraz każda rzecz należy do ludu! — wrzeszczał Gusiew, wymachując kijem.

— Opamiętajcie się, ludzie! — wołał Bołdyrew, lecz tłum, złorzecząc, odepchnął go i biegł dalej.

Z dziedzińca i od zabudowań folwarcznych dochodziły zgiełkliwe krzyki i wycie chłopów.

Baby, podburzone przez Gusiewa, szalały. Łamały meble, tłukły lustra, niszczyły fortepian, wyrywając struny, wykręcając klawisze, zdzierając obicie mebli, draperje, kobierce.

Wreszcie wybiegły, dźwigając worki ze zdobyczą.

— Spalić tę starą szopę! — krzyknął nagle Gusiew, miotający się w tłumie.

Ktoś wsunął palącą się żerdź pod okap drewnianego dachu, inny polał naftą ścianę i podpalił. Języki płomieni zaczęły lizać sczerniałe, suche deski starej budowli, dym wyrywał się ze szczelin pomiędzy belkami i poszyciem krokwi. Upłynęło kilka minut i cały budynek stanął w ogniu.

— Zatarasować drzwi! — wrzasnął jakiś głos kobiecy. — Niech się upieką w swojej norze wrogowie ludu! Szczury żarłoczne!

Spokojni i nawet potulni chłopi, nabożni, lubujący się w tajemniczych książkach religijnych, zasłuchani nie tyle w znaczenie, ile w sam dźwięk poważnych, majestatycznych, uroczystych słów starej, słowiańskiej mowy cerkiewnej; baby i dziewki wiejskie, garnące się niemal codziennie do dobrej, łagodnej staruszki, aby pożalić się, popłakać nad swoim losem niewolnic, dręczonych, poniewieranych przez pijanych mężów i ojców, poradzić się w chorobie dzieci, dostać zapomogę, napisać list, lub skargę do władz; starcy, którzy przychodzili przed każdem świętem do dworu, aby pogwarzyć z „panem" o sprawach domowych, wysłuchać objaśnień niezrozumiałych, zawiłych zarządzeń gubernatora, policji, urzędu skarbowego, wyprosić krowę, lub konia dla zubożałego sąsiada, — wszystkich ich tej nocy zimowej ogarnął szał.

Tłum krzyczał, wył, gwizdał, śmiał się dziko, bezmyślnie.

Spoglądając na szkarłatne płachty płomieni, z hukiem miotających iskry i czerwone węgle, na słupy czarnego i białego dymu, na łunę, pląsającą na ciemnem niebie, słuchając trzasku desek i krokwi, żałosnego brzęku pękających szyb, czując na sobie gorący dech ognia, szybko pożerającego starą siedzibę Bołdyrewych, — tłum przewalał się niespokojnie z miejsca na miejsce, klął i bluźnił.

Jakaś starucha o nieprzytomnych oczach, w których biegały krwawe odbłyski pożaru, bez przyczyny zakasując jubkę wyżej kolan, z jazgotem przeraźliwym wykrzykiwała:

— Palcie, palcie, ludzie Boży! Gdy spalimy dom, już nigdy nie powrócą panowie!

Inna, rzygając ohydnemi słowami, wtórowała jej:

— Matko Przeczysta, Chryste Panie, pozwoliliście mi dożyć dnia radosnego!

Głos jej załamał się w dymie gryzącym, więc pluć zaczęła i wyrzucać zgniłe, rozpustne wyzwiska i przekleństwa wściekłe, do bluźnierstw podobne.

Jakiś chłop, bezmyślnie podrygujący przed gankiem, nagle krzyknął:

— Pan i pani przy oknie, ludzie prawosławni!

Ogień dosięgnął już zamieszkałej części domu.

Bołdyrew, porwawszy omdlałą z przerażenia żonę, wlókł ją ku wyjściu. Drzwi były zatarasowane, narzucanemi przez chłopów klocami drzewa. Nie mógł wyważyć ich stary pułkownik, więc krzesłem wybił szybę w sieni i zamierzał tą drogą ratować życie.

Chłopi przyglądali się miotającej się przed oknem siwej głowie Bołdyrewa, podnoszącego osuwającą się ciągle żonę.

Do okna przyskoczył jakiś wyrostek i cisnął w starca kamieniem. Natychmiast zawył tłum, zaskowytał i grad kamieni posypał się na siwą głowę i pierś, okrytą długą, srebrzystą brodą.

Bołdyrew nagle zniknął. Widocznie upadł, ugodzony kamieniem.

W tej chwili z trzaskiem, zgrzytem i hukiem zawalił się pułap, wyrzucił wysoko, pod same niebo słupy iskier, płonących żagwi i węgli.

— Hurra-a-a! — przeniosły się nad tłumem radosne, triumfujące krzyki i brzmiały długo, zagłuszane łoskotem zawalających się belek i ścian.

— Wyprowadzajcie konie! — przebił się przez zgiełk i hałas przeraźliwy krzyk.

Wszyscy pomknęli ku zabudowaniom gospodarczym, lecz

nie zdążyli dobiec, bo stajnia, kryta słomą, spichrz i drewniany barak z lokomobilą, maszynami i narzędziami rolniczemi, zasypywane palącemi się żagwiami, odrazu stanęły w płomieniach.

Rozległ się cienki, żałosny kwik i trwożne rżenie koni, syk ognia, zgrzyt i trzask płonącego drzewa...

„Chłopska iluminacja", jedna z niezliczonych, któremi rozświetlona była Rosja, przygasła dopiero o świcie...

Chłopi i baby, wymachując rękami i krzycząc wzburzonemi głosami, powracali do swoich chat, pędząc bydło, zabrane z obory Bołdyrewych.

— Ech, Akimie Semenowiczu, wesoła nocka była! — krzyczał jednooki wieśniak, klepiąc wójta po ramieniu.

— Czysta robota! — odparł, błyskając ponuremi oczami. — Wszystko docna pożarły płomienie. Nic nie pozostało! Maszyn szkoda! Nowe, dobre były...

— Mała bieda — krótki żal! — pisnęła idąca obok kobieta, schylona pod ciężkim worem, wypchanym zrabowanemi we dworze rzeczami. — Nasze prawo teraz! Wszystko należeć ma do ludu... Tak pouczał towarzysz Gusiew!

Odczuwając nagłą i serdeczną wdzięczność dla Stwórcy, wysoki wieśniak z opaloną brodą, zawołał w uniesieniu:

— Grubą świecę postawię przed ikoną św. Mikołaja Cudotwórcy za to, że bez żadnej przeszkody zakończyliśmy sprawę raz na zawsze! Nasza — ziemia, cała do nas należy matka — karmicielka!

— Patrzcie tylko, aby spadkobiercy Bołdyrewa nie powrócili — odezwał się ostrzegawczy głos. — Oj, na Sybir pogonią nas za tę noc, braciszkowie. Chryste Panie, zlituj się nad nami, obroń rabów Twoich!

Chłopi zaczęli oglądać się bojaźliwie, żegnać i szeptać modlitwy.

Posłyszał to Gusiew i, zsuwając czapkę na tył głowy, krzyknął:

— Nie bójcie się, towarzysze! Nigdy nie powrócą... Dla spokoju i pewności wbijemy na pogorzelisku pal z osiki. To już murowane — nigdy nie powróci tu żaden Bołdyrew!

— Wbijemy pal.. dlaczego nie wbić?!... — mruczeli chłopi.

Tak szli, gwarząc, to radując się ponuro, to czując wielki strach, pełznący zewsząd w szarem, niepewnem świetle zimowego, mroźnego przedświtu.

W tej chwili w Piotrogrodzie maszyny drukarskie ze zjadliwym, złym szczękiem biły odezwę Włodzimierza Iljicza Lenina do chłopów:

— Mówimy do was: nie czekajcie na żadne prawo, bierzcie sobie ziemię, zagarniętą przez sługi cara, przez bogaczy i szlachtę! Zmiatajcie ze swej drogi wrogów swoich, ciemiężców i wyzyskiwaczy! Przysługuje wam prawo skrzywdzonych, zrzucających kajdany. Spieszcie się, bo właściciele ziemskich obszarów czekają na posiłki, prowadzone przez generałów carskich! Oni niosą dla was sądy doraźne, śmierć, baty, więzienia i katorgę! Spieszcie się i pamiętajcie, że tego, co zagarniecie, nikt wam nigdy nie odbierze! Niech żyje socjalna rewolucja! Niech żyje robotniczo-włościański rząd! Niech żyje dyktatura proletarjatu!

Lenin napisał tę odezwę przed północą, powróciwszy z posiedzenia Rady komisarzy ludowych. Słuchając mów towarzyszy, uczuł smutek i trwogę, ogarniającą go.

Idąc długiemi korytarzami Smolnego Instytutu, myślał:

— Czy naprawdę jestem i będę dyktatorem miljonów chłopów i robotników? Czy mam dość siły, aby narzucić im swoją wolę? Chcę to uczynić, bo wola moja nigdy nie będzie skierowana dla mego osobistego dobra. Wszystko, nie wyłączając życia swego, chcę poświęcić dla sprawy — zwolnienia pracujących z więzów niewolnictwa najemnego. Tymczasem wydaje mi się, że tłum włada mną, narzuca mi swoje nakazy, a ja z trudem wybłagać mogę o spełnienie okruszyny swoich dążeń... Czyżbym był niewolnikiem tłumu? Tego zbiorowiska obcych ludzi, gardłujących robotników, ciemnych, najgorszych chłopów? Musiałem, ustępując im, aby wyrwać od nich prawo na dyktaturę aprowizacyjną, jeszcze raz powołać chłopów do burzenia najlepszych, najkulturalniejszych gospodarstw... Zresztą, poco mam obawiać się tego! Dyktatura przechodzi do mnie, a gdy będę ją czuł zaciśniętą w ręku, odwrócę wszystko tak, jak zechcę!...

Smutek jednak nie rozwiał się po tych rozmyślaniach twórcy nowej rewolucji...

W tymże czasie w pokoju, strzeżonym przez zbrojnych łotewskich rewolucjonistów, utrzymywanych w karbach przez Petersa i Łacisa, leżał na sofie Feliks Dzierżyński. Nie spał, bo cierpiał od lat kilku na bezsenność.

Przez te nieskończenie długie pasmo dni i nocy męczeńskich straszne, obłędne myśli dręczyły i truły dawnego katorżnika, socjalistę, człowieka, utkanego z nerwów, rozszalałych z nienawiści i żądzy zemsty.

Pałał nienawiścią do całego świata. Marzył o zemście nad wszystkiem, co żyło i co było dziełem rąk żyjących istot. Pragnął widzieć dokoła siebie krew, ciała zamordowanych i umęczonych, cmentarzyska, ruiny i zgliszcza, a nad tem — ciszę śmierci.

Teraz leżał z szeroko otwartemi oczami. Drgające, czerwone, nabrzmiałe powieki co chwila przykrywały jarzące się, to złe, to męczeńskie źrenice; rękami ściskał kurczącą się konwulsyjnie bladą, wychudłą twarz, syczał z bólu, krzywiąc usta w straszliwym uśmiechu cierpienia, i zgrzytał zębami.

Późno w nocy przyniesiono mu kartkę od Lenina.

Dyktator pisał, że ma do niego zupełne zaufanie, więc poleca mu ważną sprawę, która może zaważyć na losach rewolucji. Przewidywana jest wojna domowa, aby zdusić opornych i zdobyć prowincję. Będzie zorganizowana duża armja oraz gwardja pretorjanów dla obrony Rady komisarzy ludowych. Wejdą do niej Łotysze, Finnowie i Chińczycy, sprowadzeni w swoim czasie przez rząd carski na roboty wojenne. Tych ludzi trzeba odżywiać suto. Pożywienia poddostatkiem muszą też mieć żołnierze, walczący na frontach wewnętrznych. Nie można zostawić bez aprowizacji miast, bo w nich łatwo wybuchną bunty. Prowjant dla robotników, żołnierzy i miast powinna dostarczyć wieś, lecz — zubożała i wyczerpana, — nie zechce uczynić tego dobrowolnie. Rada komisarzy poleca towarzyszowi Dzierżyńskiemu obmyślić sposoby zniewolenia chłopów do zwożenia produktów na punkty aprowizacyjne. Plan ten ma być wykonany przez niego samodzielnie, bez kontroli i w najkrótszym czasie.

O tej kartce Lenina myślał Dzierżyński, wijąc się i miotając na twardej sofie.

Wreszcie, spostrzegłszy pierwsze szare błyski świtu, usiadł i, ściskając w głowę w zimnych dłoniach, syczał:

— Ja z tej dziczy ciemnej, okrutnej, pogańskiej w swojem chrześcijaństwie sekciarskiem, rozpustnej, tchórzliwej i niewolniczej wycisnę wszystko, chociażby miała ona całą krew swoją wysączyć! Wnuki ich pamiętać mnie będą!

Klasnął w dłonie.

Na progu wyrosła sylwetka żołnierza-Łotysza.

Bezbarwna twarz, zimne, prawie białe oczy, szare włosy, wymykające się z pod daszka czapki, pozostawały nieruchome, jak cała silna, zwinna postać szyldwacha.

Dzierżyński spytał nagle:

— Nienawidzicie, towarzyszu, Rosjan, tych robotników gardłujących, tych chłopów ciemnych, jak noc, tych inteligentów, którzy uciskali wszystkie podbite narody: Polaków, Łotyszów, Finnów, Tatarów, Ukraińców, Żydów?...

Żołnierz spojrzał surowo i badawczo.

— To — psy wściekłe! — warknął.

— Psy wściekłe!... — powtórzył Dzierżyński. — Nie można oszczędzać wściekłych, nie należy żywić dla nich litości...

Żołnierz milczał, sztywny, czujny.

Dzierżyński rzucił na papier kilka słów i rzekł:

— Poślijcie, towarzyszu, ten list do Malinowskiego i powiedźcie Petersowi, aby przyszedł do mnie!

Upadł na sofę, wyczerpany tym wysiłkiem i widokiem żywego człowieka, syczał z bólu i zaciskał zęby, aby nie zawyć, nie jęknąć.

Za drzwiami szczęknęły karabiny. Zmieniali się Łotysze na czatach.

W tym czasie w Rozinie dopaliły się ostatnie belki i deski.

Na stratowanym, okopconym śniegu pozostały czarne, ponure zgliszcza i sterczące szkielety kominów popękanych. Unosiły się smugi dymu i kłęby pary.

We wsi chłopi dzielili bydło, kłócili się i obrzucali wstrętnemi wyzwiskami. Skończyli wreszcie i rozproszyli się po chatach, patrząc w niebo dziękczynnym wzrokiem i szepcąc w pobożnem rozrzewnieniu:



FELIKS DZIERŻYŃSKI
(Prezes wszechrosyjskiej Czeki)

— Chryste Boże, Zbawicielu nasz! Niech imię Twoje błogosławione będzie na wieki wieków, boś pocieszył nas nędznych i ubogich i nagrodę nam zesłał za lata ucisku i niedoli! Hosanna, hosanna Bogu naszemu na wysokościach!

Nad lasem z krzykiem i nawoływaniem chrapliwem podnosiła się, krążąc zgiełkliwie i miotając się w mroźnej mgle, czarna chmara kruków i wron... Z noclegu odlatywała na żer. Krakała drapieżnie, złowrogo.

ROZDZIAŁ XXIII.

W Smolnym Instytucie, siedzibie Rady komisarzy ludowych, przed samemi świętami Bożego Narodzenia zauważyć się dawał jakiś niepokój.

W korytarzach nie tłoczyły się gromady ludzi, przychodzących tu w sprawach ważnych i bez żadnego celu, albo z zamiarem przyjrzenia się bliżej temu, co się działo, spotkania się oko w oko z komisarzami, którzy się znęcali nad olbrzymim organizmem Rosji.

Korytarze były prawie puste. Tkwiły tylko tu i ówdzie patrole Finnów i Łotyszów, a z poza szczelnie zamkniętych drzwi biur i sal dochodziły głosy ukrytych żołnierzy i ciężki łoskot karabinów.

Koło południa do sali narad otoczona uzbrojonymi robotnikami przeszła grupa ludzi, dotąd tu nie widzianych. Szli w milczeniu, niepewnym wzrokiem oglądając się na wszystkie strony.

Wprowadzono ich do sali.

Przy stole i na estradzie zgromadzili się komisarze i kilkunastu członków wykonawczego i wojenno-rewolucyjnego komitetu.

— Wysłańcy Rady robotniczych, żołnierskich i włościańskich delegatów! — oznajmił robotnik z czerwoną opaską na ramieniu i karabinem w ręku.

— Słuchamy was, towarzysze! — rzekł Lenin, przeszywając wzrokiem przybyłych.

Na czoło deputacji wystąpił chudy, niemłody człowiek i mówić zaczął drżącym głosem:

— Jesteśmy przedstawicielami socjal-demokratów i rewolucjonistów; przybywamy z ramienia Rady, która dziedzicznie piastuje władzę rządu.

Lenin uśmiechnął się wesoło i odpowiedział:

— Towarzysze znajdują się w tej chwili w siedzibie jedy-

nego rządu rosyjskiego, nie dziedzicznego, coprawda, lecz rewolucyjnego! Ta nieścisłość nie ma w chwili obecnej szczególnego znaczenia. Prosimy o wyjaśnienie powodów przybycia!

Delegat odchrząknął i rzekł:

— Socjal-rewolucjoniści zapytują komisarzy ludowych, jakiem prawem uzurpowali ich projekt oddania ziemi chłopom?

Lenin pochylił łysą czaszkę nad stołem i śmiał się. Szerokie ramiona podnosiły się wysoko. Gdy uniósł głowę, oczy jego pełne były wesołych, chytrych błysków.

— Chociaż projekt wasz nie odpowiada naszym poglądom na ziemię, uzurpowaliśmy go, ponieważ włościanie życzyli sobie takiego właśnie prawa. Dlaczego pośpieszyliśmy się z opublikowaniem waszego projektu? Dlatego, że w waszym ręku pozostałby skrawkiem papieru, w naszym — przybrał już żywe kształty.

— To demagogja! — zawołali deputaci.

— To dobrze, czy źle? — spytał naiwnym głosem Lenin, szyderczo patrząc na socjalistów.

— To bezczelna uzurpacja! — krzyczeli.

— Każda uzurpacja dla tych, którym coś uszczknięto z pod nosa, wydaje się bezczelną. Uzurpatorowie patrzą na to innem okiem — łagodnie i pobłażliwie wtrącił Lenin. — Co dalej?

Wystąpił inny towarzysz. Był straszliwie blady i wargi mu drżały. Z trudem wyduszał z siebie słowa:

— W imieniu socjal-demokratycznej frakcji Rady protestuję przeciwko haniebnemu pokojowi, do którego dążą komisarze ludowi. Naród rosyjski nigdy nie przebaczy wam tej obelgi!

— Towarzysze życzą dalszego ciągu wojny na froncie? — ze współczuciem w głosie zapytał Lenin.

— Tak! Naród nie zniesie hańby! — krzyknął delegat.

— Towarzysze mają armję, na której mogą się oprzeć w swoim szlachetnym zamiarze? — dopytywał dyktator.

— Nie! Niestety! Wy potrafiliście doprowadzić wojska do zupełnego rozkładu!

— Przepraszam, lecz muszę wskazać na nową i bardzo poważną nieścisłość! — zawołał Lenin. — W kwestji „roz-

kładu“ ustępujemy wam pierwszeństwo. Trudno! Historja tego dowodzi. — Dość wspomnieć posunięcia waszego „Napoleona“ — Kierenskiego, Sokołowa z jego słynnym rozkazem Nr. 1 i mówców z waszego obozu, odwiedzających front. Nam pozostało tylko postawić kropkę nad „i“. Postawiliśmy ją!

Delegat milczał, zbity z tropu. To widząc, Lenin tymże łagodnym, rozbrajającym tonem ciągnął dalej:

— Wy uprzejmie utorowaliście nam drogę, podjąwszy się dobrowolnie „czarnej roboty“. Wiecie dobrze, że wojna obecnie jest niemożliwa. Naród, zmęczony, wyczerpany, nie da nikomu rekrutów. Armja wojny ma dość, marzy o wypoczynku. Pozostaje tylko — pokój za wszelką cenę. Czynimy to i na naszem miejscu, nawet wielki książę Mikołaj Mikołajewicz nic innego nie wymyśliłby. Co do mnie, to zawsze miałem przekonanie, że lepiej wstrzymać się od uderzenia, niż machnąć pięścią i... dostać w pysk, aż świeczki w ślepiach staną. Radzę wam o tem, towarzysze, pamiętać i w dzień i w nocy!

Deputacja wyczuła ukrytą pogróżkę. Wzburzyło to towarzyszy.

Podnieśli krzyk:

— Nie pozwolimy uzurpatorom znęcać się nad krajem i zagrażać zwołaniu Zgromadzenia Narodowego. Ono jedno ustalić może prawo i opracować warunki pokoju. Będziemy bronili konstytuanty wszystkiemi siłami! Pamiętajcie o tem i wy!

Lenin przeciągnął się leniwie. Spokojnie, bez gniewu i podniecenia odparł:

— Rozstrzelamy was z kulomiotów!

Rozmowa była skończona. Deputacja oddaliła się wzburzona i zgnębiona.

Komisarze otoczyli swego wodza i z niepokojem patrzyli w jego czarne, przenikliwe oczy.

— Zerwanie ze wszystkimi socjalistami w takim niebezpiecznym momencie, w chwili tak bardzo odpowiedzialnej... — mruknął Kamieniew, nie patrząc na Lenina.

— Rękawica, rzucona konstytuancie, to groźna rzecz — dodał Tomskij.

— Bardzo groźna i zupełnie nie obliczona na nastrój włościaństwa i armji — dorzucił Trockij, zdejmując binokle.

Zapanowało milczenie, ciężkie, męczące.

Odezwał się Swerdłow:

— Pogróżka, poparta czynem, przestaje być pogróżką i staje się faktem przekonywującym.

Na to odpowiedział Stalin, błyskając białemi zębami i płomieniem namiętnych oczu:

— Dziś jeszcze możemy obsadzić Piotrogród naszemi wojskami! Wystarczy wiernych pułków grenadjerskiego, pawłowskiego i kulomiotowego! Będzie cicho, jak makiem zasiał!

Lenin nadsłuchiwał uważnie. Gdy towarzysze wyczerpali swoje obawy i dowodzenia, rzekł twardym głosem:

— Partja, do której, jak mi się zdaje, należymy wszyscy, zażądała wprowadzenia dyktatury proletarjatu. Odstąpić od niej nie możemy, nie sprzeniewierzając się partji. Jestem bardzo zdziwiony, iż muszę wykładać wam w tej chwili główne zasady dyktatury i partji, towarzysze! Doprawdy, w takim momencie jest to groźniejsze od targnięcia się na sławetne Zgromadzenie Narodowe, hipnotyzujące was!

Oparłszy łokcie na stole, mówił bez oburzenia i patosu, jakgdyby prowadził pogadankę w kółku przyjaciół:

— Dyktatura jest potęgą, opartą bezpośrednio na przemocy, nie znającą żadnych prawnych ograniczeń. Potęga państwa jest symbolem przemocy. Stąd logiczny wniosek: dyktatura proletarjatu posiada funkcje państwa, które jest jedynem źródłem i twórcą prawa. Prawo to powinno być takiem, aby stało się maszyną dla zgniecenia wrogich odłamów społecznych i wrogich ideologij. Tylko zdrajcy lub głupcy mogą żądać tolerancji dla wrogów dyktatury i rządu, reprezentującego interesy i ideje jednej tylko klasy! Takie są zasady! Odstąpienie od nich — zbrodnia, szaleństwo lub zdrada! Polityka partji zostanie w odpowiedniej chwili poparta bagnetami i karabinami maszynowemi!

Pełne siły i odwagi oświadczenie Lenina wywarło wrażenie.

Nawet wahający się członkowie Rady i Komitetu zamyślili się, czy nie lepiej istotnie byłoby nie dopuścić do kon-

stytuanty, niż mieć w niej ciężkie starcia o wynikach wątpliwych.

Mimowoli jednak przychodziły mu na pamięć dosadne słowa dyktatora: — Lepiej wstrzymać się od uderzenia, niż machnąć pięścią i dostać w pysk, aż świeczki w ślepiach staną!

Widocznie, Lenin wyczuł zwątpienia towarzyszy, bo z wesołym, beztroskim śmiechem zawołał:

— Jeżeli bić to tak, żeby niebo nikłą szmatką się wydało! O tych sprawach będziemy jeszcze nieraz rozprawiali, bo są to posunięcia zasadnicze!

Towarzysze zaczęli wychodzić, Lenin, zgarnąwszy pod pachę leżące przed nim papiery, poszedł do swego lokalu.

Spotkała go w korytarzu Nadzieja Konstantynówna.

— Zaszło co nowego? — spytał, patrząc na żonę.

— Czekają na ciebie przedstawiciele gmin żydowskich. Już dwie godziny siedzą. Mówiłam, żeby jutro przyszli; odpowiedzieli, że jutro już muszą odjechać... — objaśniła Krupskaja.

— Żydzi? — zapytał. — A ci czego chcą ode mnie? Tylu ich rodaków pracuje w naszej Radzie, a oni akurat do mnie! Może, uważają mnie za żyda?

— Nie! — zaśmiała się. — Wiedzą przecież, że jesteś Uljanow i nawet. . . szlachcic!

— Były szlachcic! — poprawił ją żywo.

— Były... — powtórzyła, biorąc go za rękę. — W każdym razie — wiedzą o tem!

Lenin uchylił drzwi i stanął zdumiony.

Przy ścianach w sztywnych postawach, w uroczystem milczeniu rozsiedli się żydzi. Byli to nie ci rewolucyjni żydzi z Bundu, których Lenin dobrze znał oddawna.

Atłasowe i aksamitne szuby, szerokie lisie czapy z nausznikami i zwisającemi tasiemkami, długie siwe brody, sędziwe twarze, srebrne loki, spadające ze skroni na ramiona, łzawe oczy w czerwonych obwódkach nabrzękłych, zaognionych powiek, pomarszczone dłonie, w nieruchu skupionym złożone na kolanach.

Lenin, obejrzawszy każdego z gości uważnie, z pytającym wyrazem twarzy stał przed nimi.

Jeden ze starców podniósł się i rzekł po rosyjsku:

— Pozdrawiamy ciebie, wodza uciemiężonych! Grono rabinów izraelickich i cadyków, wysłanych przez radę duchowną, przybyło do ciebie z błaganiem serdecznem.

Zdumienie Lenina rosło z chwili na chwilę.

— Słucham was, — rzekł i usiadł przy biurku.

— Przybyliśmy, aby prosić błagalnie, żebyś oddalił od siebie rodaków naszych, obranych na komisarzy ludowych!

— Powarjowaliście?! — krzyknął Lenin. — Trockij, Zinowjew, Kamieniew, Radek, toż to najlepsi, najenergiczniejsi towarzysze, to ci, którzy zakładają podwaliny życia nowej ludzkości! Historja będzie mówiła o nich, zapisując ich imiona obok Marksa, Lassala!

— Wodzu! — odparł uroczyście rabin-tłumacz, objaśniwszy cadykom po hebrajsku słowa Lenina. — Wodzu! Ty wiesz, że warunki życia żydów w Rosji uczyniły z nich rewolucjonistów; nasza gmina wychowała nas na zorganizowanych socjalistów; prześladowania zmusiły nas do dania wykształcenia naszym synom, aby dodać im sił do walki. Od ponurych czasów niewoli egipskiej i babilońskiej jesteśmy internacjonalistami i nacjonalistami jednocześnie. Możemy żyć i pracować wszędzie, lecz nigdy nie wychodzimy poza granice gminy. Ona — ul, my — rój pszczół! Rozumiemy, że w Rosji tylko żydzi mogli dostarczyć organizatorów i przewódców rewolucji. Przyklaskiwaliśmy i błogosławiliśmy ich do chwili obalenia imperjum okrutnych Romanowych i doprowadzenia narodu do dnia konstytuanty. W tym momencie rola żydów miała być skończona; stawali się szeregowymi obywatelami republiki rosyjskiej.

— Znowu konstytuanta? — wyrwało się Leninowi pytanie. — Jakiś przeklęty dzień, w którym wszyscy zaprzątają sobie głowy tą sprawą!

— Konstytuanta — to najwyższy wyraz odruchów duszy, serca i mądrości narodu! — podnosząc palec, szepnął rabin. — Nie wierzycie tysiącu wybrańców, zgromadźcie na szerokich błoniach dwa miljony rosyjskich obywateli i zapytajcie o ich wolę! Gorze wam, jeśli trzydziestu ludzi kierować zechce miljonami! Istnieje u narodów semickich przysłowie,

głoszące: „jeżeli nawet umiesz najwspanialej jeździć konno, nie waż się wsiąść na pysk swego wierzchowca!“

Lenin milczał, zamieniony w słuch.

Rabin mówił dalej:

— Rada duchowna posiada ścisłe wiadomości, że komisarze, wśród których jest dużo naszych rodaków, knują zamach na konstytuantę, a niektórzy z nich, jak Wołodarskij, czyli Mojżesz Goldstein, Guzman i Mojżesz Radomyślskij, ukrywający się pod przybranem nazwiskiem Urickij, stali się katami, mordują bez sądu, w sposób najokrutniejszy wrogów nieuznanej tymczasem Rady komisarzy ludowych. My na to zezwolić nie możemy!

— A cóż to wam szkodzi, że żydzi wytępią tych, którzy urządzali pogromy, lub tych, którzy z czasem mogliby je powtórzyć? — spytał Lenin, podnosząc ramiona.

Rabin po hebrajsku tłumaczył jego słowa. Cadyki kiwali głowami i patrzyli okrągłemi, ptasiemi oczami. Najstarszy z nich cichym, ledwie dosłyszalnym głosem przemówił.

Rabin skłonił się z uszanowaniem i powtórzył słowa jego po rosyjsku:

— Mądry, sędziwy cadyk rzekł: „Biada nam, biada! Albowiem nierozumne czyny i nieprawości naszych rodaków spowodują klęskę, o jakiej nie czytamy w kronikach narodu żydowskiego.“

— Czy porozumieliście się już z Trockim i innymi? — zadał pytanie Lenin.

— W tej chwili nasi ludzie oznajmiają im nasze żądania... — odpowiedział rabin.

— Więc cóż? — rzekł Lenin. — Jeżeli się zgodzą i odejdą, stanie się zadość waszym... żądaniom.

Rabin pochylił głowę i szepnął:

— Oni są odszczepieńcami wybranego narodu, odrzucili naszą wiarę i nie uznają naszego prawa; oni się nie zgodzą! Błagamy ciebie, abyś zechciał odprawić ich od siebie! Twoja sprawa — rosyjska, niech Rosjanie czynią, co im nakazuje sumienie!

Lenin zerwał się z krzesła i krzyknął gniewnie:

— Jakiem prawem wtrącacie się w sprawy Rady komisarzy ludowych?!



„WSPÓŁPRACOWNIK“ CZEKI



WOJENKOM – KOMISARZ WOJSKOWY

Ochłonąwszy, spojrzał na dziwnych gości.

Siedzieli nieruchomo, sztywnie, patrzyli okrągłemi oczami, łzawemi, otoczonemi obwódkami zaognionych powiek.

Po długiem milczeniu, stary cadyk wyrzekł kilka słów.

Rabin natychmiast przetłumaczył, patrząc na Lenina:

— Mądry cadyk rzekł: „Gdy żądanie nasze nie zostanie uwzględnione, chmura zawiśnie nad wami, a z chmury paść może deszcz życiodajny lub... piorun niszczący“.

— Mili moi starcy! — odparł szyderczo Lenin. — Możecie „błagać“, dowodzić, pragnąć, lecz żądać i grozić — wara wam od tego! Jest to przywilejem proletarjatu! Słyszycie? Możecie odejść teraz! Rozmowa nasza dobiegła końca...

Odwrócił się do nich plecami i milczał. Kipiał cały. Ręka ciągnęła się do dzwonka elektrycznego.

— Kazać Chalajnenowi wyprowadzić tych „kapłanów“ nieistniejącego Jehowy, postawić pod mur i wypuścić w nich dwie paczki nabojów z Kolta.

Nie odważył się jednak na to. Nie dlatego, żeby się bał ich osobiście. Targał się i nie na takie czyny, lecz nie chciał. Któż mógłby zastąpić żydów w partji?

Arystokraci i burżuazja — naturalni wrogowie proletarjatu? Nigdy! Chłopi? Ci do pewnej chwili są sprzymierzeńcami, ale mogą się stać najstraszliwszymi przeciwnikami. Nie!

Ciemny, rozgadany robotnik rosyjski? Dobry jest tylko na mięso armatnie, na rozbijanie głów bezbronnym burżujom i inteligentom, na burzenie dorobku cywilizacyjnego.

Rosjanie — niewytrwali, nieobliczalni, niekonsekwentni, chwiejni, miotający się pomiędzy ascezą i anarchją, nie mogą zastąpić żydów, przepojonych nienawiścią, a związanych świadomie lub dziedzicznie instynktem „roju“.

Takie było niezłomne przekonanie Lenina.

Nie nacisnął więc guzika dzwonka elektrycznego i czekał cierpliwie aż za ostatnim z izraelickich kapłanów z cichym szmerem zamknęły się drzwi.

Przeszedł się po pokoju, zaciskając zimne palce.

Rozmyślał długo nad słowami cadyków i postanowił nic o swej rozmowie z nimi towarzyszom — żydom nie wspominać.

— Podejrzliwi są i czujni... — rozważał Lenin. — Mogą pomyśleć, że w głębi mojej duszy czają się zarodki antysemityzmu...

Długo nie mógł się uspokoić.

Zdawało mu się, że jeszcze słyszy miękki szelest atłasowych szub i cichy syk oddechu sędziwych starców. Zewsząd pytająco i ostro patrzyły na niego okrągłe, ptasie oczy w czerwonych obwódkach zmęczonych powiek, bielały siwe brody i srebrne skręty loków, spadających na ramiona. Szemrały ledwie dosłyszalne echa spokojnej, ufnej w swoją siłę i znaczenie pogróżki:

— Z chmury paść może deszcz życiodajny lub... piorun niszczący...

— Skąd ma paść? Kiedy? Na kogo? — pytał siebie Lenin.

Za drzwiami, na korytarzu szczęknął karabin szyldwacha.

Lenin zaśmiał się cicho.

— Spróbujcie! — szepnął i z mocą zacisnął pięść.

ROZDZIAŁ XXIV.

W Kijowie w domu rabinatu odbywało się potajemne zgromadzenie przedstawicieli izraelickich. Gmach synagogi i przytykające do niej budynki były bacznie strzeżone przez młodych żydów, czających się na rogach ulic i w pobliskim ogrodzie.

W sali radnej przy okrągłym stole siedzieli rabini i cadyki w szatach rytualnych, poważni, skupieni i strwożeni. W głębokiem milczeniu stali wysłańcy gmin, stłoczeni, nieruchomym, gorejącym wzrokiem wpatrzeni w starszyznę.

Powstał podtrzymany pod łokcie sędziwy cadyk i rzekł:

— Izajasz prorok mówił: „Biada narodowi grzesznemu, ludowi nieprawością obciążonemu, nasieniu złemu, synom złośliwym: opuścili Pana, bluźnili świętego Izraelowego, obrócili się wstecz.*)“

Usiadł, głową sędziwą trząsł i ciężko oddychał.

Podniósł się młody rabin przyjezdny i, zwróciwszy się do zebranych, mówił:

— Sędziowie i wierni prawu Mojżeszowemu! Poleciliście mi zbadać, zgłębić sprawę ważną. Uczyniłem to. Rzucam oskarżenie na głowę ukrywających się pod obcemi nazwiskami, złośliwych synów Izraela. Stwierdziłem, że nieprawości czynią i we krwi chadzają. Zbrodnia to przed Panem, bo izraelska krew przelana została przez nich! Zbrodnia to przed ludem naszym! Rosjanie i inne narody, widząc żydów śród morderców nielitościwych, nienawiścią pałać przeciwko nam zaczynają. Poleje się krew narodu wybranego, zginą winowajcy i niewinni mężowie, niewiasty, dziatki! Ze słowami opamiętania zwróciliśmy się do synów złośliwych, w nieprawości trwających, lecz oni tyłem się odwrócili ku Panu. Nie nachylili uszu ku prośbom i radom kapłanów

*) Proroctwo Izajaszowe, I. 4.

Jego. Serca ich pozostały zimne na proroctwo Izajaszowe, głoszące: „Ziemia wasza ogołocona, miasta wasze ogniem popalone, krainę waszą przed wami cudzoziemcy pożerają i spustoszeje, jako w zburzeniu nieprzyjacielskiem“. Oskarżam przeto nieprawych wielkiem oskarżeniem, podług Miszny i Tosefty, zgodnie z tekstem Makkot, albowiem „zetrze złośniki i grzeszniki społem, a którzy Pana opuścili, będą wyniszczeni“. Oskarżam i żądam śmierci dla nich, jako że prawo dał nam Mojżesz: „Kto uderzy człowieka, a ten zamrze, ma być śmiercią karany“!

Znowu podnieśli rabini cadyka sędziwego, a ten ręką potrząsnął i rzekł poważnym głosem:

— Powtarzam za Ezechielem słowa Jehowy: „Przetoż i Ja będę czynił w zapalczywości: nie sfolguje oko moje, ani się zmiłuje, a gdy będą wołać do uszu moich głosem wielkim, nie wysłucham ich!“

— Amen! — wyrzekli rabini i cadyki, pochylając głowy.

— Amen! — westchnął tłum.

Sługa synagogalny umieścił na stole urnę. Wszyscy obecni stłoczyli się dokoła. Rabin oskarżyciel czytał nazwiska, a drżący, wiekowy cadyk wyjmował z urny kartki.

Cisza zaległa salę.

Rabin wykrzykiwał:

— Salomon Szur!

Cadyk odpowiadał:

— Biała kartka.

— Mojżesz Rozenbuch!

— Biała...

Trwało to długo. Ogłaszano coraz to inne nazwiska, a po nich odzywał się słaby głos starca:

— Biała...

Nareszcie, gdy rabin odczytał:

— Dora Frumkin...

Cadyk podniósł nad głową kartkę i rzekł uroczyście:

— Czarna!...

Prawie do północy odbywało się głosowanie. Czarne kartki wykonawców wyroku śmierci padły na Dorę Frumkin, Kanegissera, Fanię Kapłan, Jankiela Kulmana, Mojżesza Estera

i pięciu innych członków gmin żydowskich, które dostarczyły synhedrjonowi nazwisk ochotników, gotowych zgładzić zbrodniarzy, ściągających na cały naród izraelski nienawiść i zemstę świata chrześcijańskiego.

Sala powoli opustoszała. Tylko cadyki, kiwając głowami, długo pozostawali w niej, szeptali coś do siebie i wzdychali.

Tej nocy w tajemnicy zapadł wyrok.

Nikt o nim nie wiedział, bo gmina, jak rój pszczół, umiała działać społem, milczeć i ukrywać zamiary swoje.

Jednocześnie w innem też miejscu była postanowiona śmierć znienawidzonych komisarzy ludowych, srożących się coraz bardziej.

Lenin ani na chwilę nie przerywał swojej pracy. Wytężał wszystkie siły i zdolności swoje, aby zburzyć to, co przeszkadzało mu w budowie nowego życia.

Zwierzał się z planów swoich przed Nadzieją Konstantynówną, właściwie przed samym sobą.

Siedziała milcząca, nieruchoma. Czuła się przedmiotem, niezbędnym w tej chwili wynurzeń Lenina.

— Socjalizm... socjalizm — to mrzonka! — mówił. — Dla niego nie dość rozwoju kapitalistycznego przemysłu i proletaryzowania społeczeństwa. Nie! Dla socjalizmu konieczne jest jeszcze coś, co ma się zrodzić tu i tu!

Z temi słowami uderzył się w czoło i pierś.

— Nie chodzi mi o socjalizm!... Jest niemożliwy, bo ludzkość nie posiada poczucia i potrzeby ofiarności...

Spostrzegłszy, że żona podniosła na niego oczy z milczącem pytaniem, zawołał:

— Tak! Tak! Jestem tylko lawiną, przebijającą gwałtem drogę dla socjalizmu w przyszłości! Teraz chcę zburzyć przeszkody: własność prywatną, indywidualność, kościół i rodzinę. Są to przeklęte twierdze, wstrzymujące postęp! O kapitalistach i burżujach nie myślę. Za miesiąc lub dwa nic z nich nie pozostanie. Nie byli ani zorganizowani, ani nie mieli odwagi przeciwstawić się nam. Idą jak barany pod nóż! Cha! Cha! Trudno będzie z chłopami, bo są najmocniejszymi drobnymi burżujami! Pazurami i zębami trzymają się ziemi...

— Masz jakiś plan? — wtrąciła nieśmiałym głosem Krupskaja. Wybuchnął wesołym śmiechem i odparł:

— Już zabiłem im klina do głowy, opublikowawszy dekret o wykonaniu wywłaszczenia ziemi samorzutnie przez chłopów bez udziału jakiejkolwiek władzy! Już tam piękne iluminacje urządzają nasi potulni, pobożni chłopkowie, podrzynają gardziele i pieką swoich „panów“ w palących się dworach! Teraz udało mi się rozbić partję socjal-rewolucjonistów, przeciągając na swoją stronę ich lewy odłam. Skusiłem ich służbą w „czeka“, gdzie mogą wypuścić, ile zechcą krwi z posiadaczy dużych obszarów ziemi! Będą się starali! Teraz wbijamy w chłopskie łby przeświadczenie, że konstytuanta, jak dziurawa, znoszona podeszew, nikomu nie jest potrzebna, bo ziemię już posiedli na wieczyste władanie!

— Znowu dużo piszesz... nocami — szepnęła Nadzieja Konstantynówna, z niepokojem spoglądając na żółtą twarz męża.

— Cóż chcesz, moja droga? Nasza dyktatura stała się dyktaturą dziennikarzy! — zaśmiał się. — My dopiero dowodzimy potęgi drukowanego słowa, które coprawda natychmiast popieramy czynem!

Odezwał się dzwonek telefonu. Lenin zdjął trąbkę z aparatu. Po chwili wesołym, radosnym głosem mówił do kogoś:

— Bardzo się cieszę! Proszę przyjść. Czekam!

Zwracając się do żony rzekł:

— Za kwadrans będę miał wizytę...

Krupskaja, o nic nie pytając, wyszła.

W kilka minut później zjawił się sekretarz Lenina i zameldował:

— Helena Aleksandrówna Remizowa...

— Proszę! — żywo odparł Lenin i poszedł ku drzwiom.

Do gabinetu weszła Helena. Miała bladą, wzburzoną twarz, usta jej drżały, w oczach migotały iskry gniewu.

— Przychodzę do pana ze skargą! — zawołała bez powitania.

— Co się stało? — zapytał Lenin, uśmiechając się ironicznie.

— Byłam w cerkwi ze swoimi wychowańcami. Ach! To wprost straszne! Wierzyć mi się nie chce! Raptownie wdarli się żołnierze czeki, powypędzali modlących się, szukających ukojenia i pocieszenia!.. Proszę pomyśleć,

że to teraz Boże Narodzenie! Żołnierze biją ludzi, bluźnią straszliwie, strącają ze ścian obrazy, wyłamują podwoje, prowadzące do ołtarza, zwlekają z jego stopni biskupa, znęcają się nad nim, a później strzelają do obrazów i krzyżów... To straszne! To może wywołać wybuch oburzenia ludu, wojnę domową!

— A czy lud się sprzeciwiał, odgrażał, wszczynał bunt? — spytał Lenin, spokojnie patrząc na Helenę.

— Nie! W popłochu uciekał, tłocząc się i w ścisku walcząc sobą na pięści — odparła, na to wspomnienie wzdrygając cała.

— No widzi pani, że wszystko idzie jak najlepiej! — zauważył ze śmiechem.

— Ależ były tam dokonane rzeczy straszne — bluźniercze, świętokradzkie! — wybuchnęła. — I wszystko pod płaszczykiem rozkazów Lenina!

— Dlaczego pani mówi w imieniu Boga? — wzruszył ramionami obojętnie. — Czy Bóg się bardzo gniewał? Czy iał? Czy pokarał żołnierzy „czeki"? Pani milczy? Więc, y, nie gniewał się i nie karał? Wyśmienicie! Dlaczepani jest tak oburzona, Heleno Aleksandrówno?...

Nic nie mówiła, z przerażeniem patrząc na niego.

Ujął ją za rękę i rzekł:

— Droga Heleno! Niech się pani uspokoi! Nie zrobiono tego bez mojej wiedzy... Ja jestem temu winien i całkowicie biorę na swoją odpowiedzialność bluźnierstwo, świętokradztwo i wszelkie skutki gniewu bożego. Wszystko! Wszystko!

Przyjrzał się jej bacznie i dodał:

— Widzi pani, ja muszę zburzyć kościół i wyplenić religijność. Są to kajdany, ciężkie kajdany ducha! Kościół prawosławny nie jest wojujący, jak katolicyzm, nie potrafił wyzwolić się ze zbrodniczych rąk rządu. Stał się narzędziem jego, żandarmem duchowym! Uczy bierności, rabiej pokory, posłuchu milczącego!

Przeszedł się po pokoju, poczem mówił przenikliwym głosem:

— Jakżebym mógł z opętanym religijną hipnozą ludem przerąbywać w ciemnym, odwiecznym borze szeroką drogę szczęścia i prawdziwej, dumnej wolności człowieka? Jak?!

— To straszne! — szepnęła.

— Możliwe, lecz czy zrozumiałe? — spytał, pochylając się ku niej.

Milczała, nie mogąc ochłonąć ze wzruszenia i otrząsnąć się ze wspomnień widzianych rzeczy, przejmujących lękiem, niemożliwych do pomyślenia.

Lenin pochylił się jeszcze niżej i suchą, gorącą dłonią znowu dotknął jej ręki.

— Heleno!... Heleno!... niech mi pani wierzy, bo ja nigdy nie mówię pięknie brzmiących frazesów. Niech mi pani wierzy! Dla Boga, jeśli istnieje jakaś wyższa potęga w kosmosie, w owem tajemniczem niebie, bardzo, zresztą, zaszarganem przez Kopernika i Galileusza, a także dla wierzących w bóstwo będzie stokrotnie lepiej, jeżeli ludzie przetrwają okres nowych wstrząsów i prześladowań!

— Nie rozumiem! — szepnęła.

— Wierzący biernie, z przyzwyczajenia, bezmyślnie pobożni staną się bojownikami swego Boga, bronić Go będą i uwielbiać w myśli i sercu. Zjawi się nie religijność, jako środek uciemiężenia, lecz wiara, płomienna wiara apostołów i męczenników, ta, która góry z posad zrzuca i cudów dokazuje! Ta nowa, wyzwolona, krwią i męką ożywiona wiara zrodzi uczucia prawdziwie chrześcijańskie, a z nich najpierwsze — ofiarność — początek i koniec moich dążeń — socjalizm na ziemi! Czy pani zrozumiała, Heleno?

— Tak... — jęknęła prawie z rozpaczą.

Więcej już o tem nie mówili.

Rozmawiali o rzeczach innych.

Rozstali się, mocno uścisnąwszy sobie ręce.

Z szafirowych oczu Heleny sączyły się łagodne blaski. Rozumiała Włodzimierza Uljanowa, przebaczała mu bezwzględność jego, surowość fanatyka i ascety, przekonania twarde, jak skała... Takich ludzi nigdy nie spotykała. Imponował jej, przerażał i zachwycał.

Ze smutkiem myślała, że, gdyby żył syn jej, oddałaby go temu potężnemu człowiekowi, aby służył mu wiernie w imię szczęścia narodu i ludzkości całej.

Ciężkie czasy przeżywał Lenin, chociaż wesołość i bujna swada nie opuszczały go.

Przeciwnicy jego, czując, że knuje coś przeciwko nim i konstytuancie, obsypywali dyktatora ciężkiemi oskarżeniami i oszczerstwami.

Szczególnie chętnie posługiwano się wynikami śledztwa, przeprowadzonego jeszcze przy Kierenskim. Mieńszewicy, posiadający dokumenty sądowe, dowodzili, że Lenin i jego pomocnicy byli płatnymi agentami Niemiec. Opierali swoje twierdzenia na tem, że Rada komisarzy ludowych otrzymała z Niemiec pieniądze przez niejaką Sumenson, mieszkającą w Sztokholmie.

Zarzut był ciężki i wywierał wrażenie w szerokich masach ludności. Nawet komuniści byli zbici z tropu i z powątpiewaniem kiwali głowami, pytając siebie:

— Lenin nic na to nie odpowiada?... To — dziwne!...

Dyktator, dowiedziawszy się o skutkach agitacji przeciwników, zatarł ręce i zaśmiał się wesoło.

— Dobrze! — zawołał i skinął na stenografistkę. — Proszę zapisać krótkie oświadczenie moje i jutro umieścić w gazetach!

Przeszedł się po pokoju i podyktował:

— Pieniądze istotnie były otrzymane od towarzyszki Sumenson. O ich pochodzeniu wiedzą dokładnie Karol Liebknecht, Klara Zetkin, Róża Luxemburg, Franz Platten i inni internacjonaliści zagraniczni. Żądamy stanowczych dowodów, że wskazana suma, niedostateczna jednak aby sprzedać Rosję Wilhelmowi II-mu, pochodzi z kasy głównego sztabu niemieckiego, jak twierdzą oszczercy, którym odpowiemy wkrótce innemi argumentami.

Zaśmiał się wesoło i raz jeszcze powtórzył:

— Do jutrzejszych gazet najgrubszym drukiem!

Po wyjściu stenografistki, telefonicznie porozumiewał się z Dzierżyńskim i Petersem.

W nocy rozległ się niecierpliwy sygnał telefonu.

Mówił Dzierżyński:

— Załatwiliśmy wszystko. Łotysze przyłapali trzech dziennikarzy, posiadających materjały śledztwa. Przed kwadransem zostali straceni...

— Dziękuję! — odpowiedział Lenin. — A miejcie baczne oko nad tą sforą szczekającą!

— Wiemy o każdym ich zamiarze! — brzmiała odpowiedź. — Jutro ma być próbna manifestacja na cześć Zgromadzenia Narodowego, wyznaczonego na 6 stycznia.

Lenin nachmurzył czoło i rzekł:

— Już mówiłem, jak macie postąpić.

— Jesteśmy przygotowani! — doszedł zły, syczący głos Dzierżyńskiego.

Lenin powiesił słuchawkę.

W kilka godzin później, mimo silnego mrozu, stał przy otwartem oknie i nadsłuchiwał. Zastygłe zimowe powietrze dziwnie wyraźnie donosiło odgłosy salw karabinowych i złośliwy, zdyszany turkot kulomiotów.

Na dziedziniec pełnym pędem zajechała motocykletka. Wyskoczył z niej żołnierz fiński i zniknął w sieni pałacu.

Po chwili wchodził do gabinetu dyktatora.

— Manifestacja rozproszona. Około pięciuset demonstrantów poległo. Sztandary i plakaty zerwane i zniszczone. Ludność miasta spokojna. Patrole nasze z kulomiotami czuwają na skrzyżowaniach ulic, towarzyszu! — meldował urywanym głosem.

— Dobrze! Możecie odejść! — rzekł Lenin.

Błysnął czarnemi oczami i szepnął:

— Macie już dwa argumenty, panowie mieńszewicy i ludowcy! Nie obawiajcie się zwłoki — przyjdą inne jeszcze...

O jednym z nich myślał przez całą noc ubiegłą.

Posłał żołnierza po towarzyszy Trockiego, Kamieniewa, Zinowjewa, Stalina, Antonowa, Urickiego, Murałowa, Piatakowa i Dybienkę.

— Jakie wieści z frontu? — spytał, gdy wszyscy wezwani zgromadzili się w gabinecie.

— Bardzo złe! — odparł niechętnie Trockij. — Donoszą nam, że Niemcy zamierzają rozpocząć nową ofenzywę w celu zdobycia Piotrogrodu. Wtedy — koniec rewolucji! W kołach kontr-rewolucyjnych czekają na Niemców, jak na zbawienie duszy!

Lenin się zaśmiał i mruknął:

— To już prawdziwa zdrada! A na nas psy wieszają, że my chcemy pokoju!

— Ludność Piotrogrodu i Moskwy wygląda Niemców, którzy mają przywrócić dawny porządek, wprowadzić na tron dynastję, a z nami zrobić koniec! — zawołał Zinowjew, chwytając się za gestą, kędzierzawą czuprynę.

Lenin obojętnie wzruszył ramionami.

— Towarzysz prezes zanadto sobie lekceważy sytuację! — zauważył złośliwie Urickij. — Tu trzeba coś obmyśleć, postanowić radykalnie! Nie można się bawić w tępienie innych socjalistów rękami polskiego szlachcica Dzierżyńskiego gdy wróg stoi na progu! Imperjalizm niemiecki jest silny i nie będzie robił żartów, gdy wkroczy do Piotrogrodu, spotykany entuzjastycznie przez ludność.

— Tak! Towarzysz Urickij ma słuszność! — podtrzymał go Kamieniew, porozumiewawczo patrząc na Trockiego.

Lenin słuchał uważnie, a przed jego bacznym wzrokiem nie ukryły się najmniejsze odruchy wrażeń i niewypowiedzianych myśli towarzyszy.

— Wyczuwam, że towarzysz Urickij niezadowolony jest z mego zaufania do Dzierżyńskiego? Nie chcę nieporozumień pomiędzy nami. Dzierżyńskiemu poleciłem drażliwą sprawę, aby nie narażać was — izraelitów na niebezpieczeństwo. Posiadam informacje, że gmina uprzedzała was... Czy tak?

Milczeli chwilę, poczem skinęli głowami.

— No, więc z tem koniec! Chyba zrozumieliście teraz? Dzierżyńskiemu ufam, bo przypomina mi piekielną maszynę, naładowaną nienawiścią.

— To szaleniec, manjak! — zawołał Zinowjew histerycznym patosem. — Czy wiecie, towarzyszu, że on szpieguje nawet nas?!

Lenin uśmiechnął się łagodnie, co zmusiło towarzyszy do szczególnej czujności. Znali ten uśmiech. Wzbudzał obawę, że w tej chwili spadnie ciężki cios, nieodparty, niespodziewany i szybki.

Jednak Lenin zaśmiał się wesoło i rzekł:

— Ten szalony Polak prosił mnie niedawno, abym wyznaczył nadzór nad nim samym. Taki z niego fanatyk! Nikomu, nawet sobie nie wierzy!

— Malinowskiego zwabił do siebie przed tygodniem i kazał zabić! — zawołał Urickij, tupiąc nogami. — Zabił, z pe-

wnością, bo nikt nie widział od tego czasu towarzysza Malinowskiego!

Lenin zmrużył oczy i szepnął:

— Trochę się pośpieszył... Trochę tylko... Tymczasem ten agent carskiej policji więcej nam przyniósł korzyści, niż szkody... No, ale i tak, wcześniej czy później musiał zginąć... Wkrótce nie byłby już nam potrzebny.

Machnął niedbale ręką i rzekł:

— Towarzysze! Przez trzy dni, które pozostają nam do nowego roku, musicie trąbić w prasie we wszystkie trąby jerychońskie, że proletarjat musi chwycić za broń i odeprzeć germańskich imperjalistów od czerwonej stolicy. Skierujcie na to całą energję i zdolności wasze! Puścić w ruch aparat agitacyjny!

— Armja nie zechce podstawiać raz jeszcze swojej głowy — zauważył Antonow ponuro.

— Tak! — mruknął Murałow. — Wiedzą dobrze, że zbraknie nam materjałów wojennych i prowjantu. Na wojnę domową — pójdą, bić się z wrogiem zewnętrznym — nie zgodzą się!

— Poślemy tedy robotników zbrojnych, proletarjat rewolucyjny! — zawołał Lenin. — Francuska rewolucja dowiodła czego może dokazać nawet nieuzbrojony lud!

Trockij uśmiechnął się zjadliwie.

— Francuska, nie rosyjska... — syknął.

Lenin nagle się zaśmiał tak szczerze, że aż mu łzy wystąpiły na oczy.

— Nic nie rozumiecie! — mówił, zanosząc się od śmiechu. — Przecież przewiduję, że jeżeli Niemcy plutą z kulomiotów, — nasze rewolucyjne drużyny rozproszą się, jak stado myszy! Jednak wystąpienie nasze mieć będzie skutki pierwszorzędnej wagi. Posłuchajcie!

Przechodząc od jednego do drugiego, chwytając za ręce i klepiąc po ramionach, objaśniał przez śmiech:

— Rewolucyjna armja wystąpiła... Udekorujemy to *urbi et orbi* pompatycznie, ho, ho! potrafimy pięknie przybrać ten fakt! Co z tego wyniknie? Zamilkną nasi oszczercy — socjaliści z dogorywającej po Kierenskim Radzie; zamyślą się kontr-rewolucjoniści, marzący o stworzeniu nowej armji ochot-

niczej; przeciągniemy na swoją stronę oficerów, których już nie puścimy potem; Francuzi i Anglicy podniosą głowy i niezawodnie natrą z nową siłą na zachodzie; Niemcy zmuszeni będą odciągnąć od naszego frontu kilka dywizyj i staną się bardziej podatni do pokojowego z nami traktatu; nasze wystąpienie przeciwko Niemcom raz na zawsze rozwieje podłe oskarżenie nas o służbę na rzecz Germanji; gdyby tak było, musiałby sztab Wilhelma opublikować kompromitujące nas dokumenty, czego nie może uczynić, bo dokumentów takich nie posiada...

Wszyscy się zdumieli.

Był to plan szatański, stworzony w proroczem zrozumieniu stanu rzeczy.

— Machiaveli!... — pomyślał Trockij, z szacunkiem patrząc na żółtą twarz i kopulastą czaszkę Lenina.

— Niech żyje Iljicz! — wrzasnął namiętny Gruzin — Stalin.

Ten okrzyk podchwycili natychmiast Murałow, Piatakow, Dybienko i Antonow.

Po chwili i inni towarzysze przyłączyli swoje głosy do gorącej, żywiołowej owacji na cześć tego mędrca o twarzy mongolskiej i przebiegłych, wesołych oczach drobnego przekupnia.

Lenin śmiał się, umiejętnie ukrywając swoją radość.

Czuł, że odniósł wielkie zwycięstwo i, że towarzysze, na których mu bardzo zależało, stali się w tej chwili jego ludźmi.

Chciał umocnić swój triumf ostatecznie.

— Zrozumieliście mój plan? Zajmijcie się nim starannie i szybko! Ponieważ, jednak, nasza „czeka“ będzie miała dużo pracy, mianujmy, towarzysze, Wołodarskiego szefem wywiadu politycznego, Urickiego — kierownikiem zbrojnych sił tej instytucji, a Dzierżyńskiemu oddajmy najbrudniejszą robotę — sąd. Mówię: najbrudniejszą, bo to i — krwawe dzieło, i takie, za które przeklinać nas będą, ponieważ sąd ten nie będzie normowany żadnem innem prawem, oprócz osobistego przekonania prokuratora, sędziego i... kata w jednej osobie. Zgoda?

— Nie protestujemy! — odezwali się towarzysze.

— Doskonale! Do roboty zatem! — zakończył naradę Lenin.

Towarzysze wyszli, a on biegał po pokoju, zacierał ręce i, mrużąc oczy skośne, chytre, śmiał się cicho, urągliwie.

W trzy dni później syrena, ustawiona na dachu Smolnego Instytutu, ryczała długo, groźnie, rzucając nowe hasło, poprzednio zapomocą dzienników i agitatorów wbite w głowy robotników, chłopów okolicznych i różnych wyrzutków, wykolejeńców, zbrodniarzy, kręcących się koło „rządu proletarjatu“.

Lenin nie pomylił się.

Wszystko, przewidziane przez niego, dokonywało się niby na rozkaz wprawnego reżysera. Zmylił, oszukał, zwiódł wszystkich: aljantów carskiej Rosji, Niemców, kontr-rewolucjonistów, socjalistów, proletarjat i... własnych towarzyszy.

Myśląc o nich, Lenin krzywił usta i szeptał:

— Oni się boją konstytuanty, jako najwyższego wyrazu woli ludu... Teraz ten wyraz gnieździć się będzie we mnie... Ja zaś rozpędzę lub zgniotę konstytuantę, podpiszę pokój i zacisnę wszystko w jednym roku... Nikt mi się nie oprze teraz!

Postanowił zadać nowy cios sprzeciwiającym się dyktaturze proletarjatu socjalistom. Kazał zwołać wielki wiec informacyjny w maneżu Michajłowskim. Krzyczały o tem wszystkie dzienniki; czerwone afisze i plakaty, rozwieszone na ulicach, nawoływały ludność na wiec, wyznaczony na pierwszego stycznia r. 1918.

W wilję tego dnia w gabinecie Lenina zjawił się Wołodarskij w towarzystwie nieznajomego człowieka o niespokojnych ruchach i biegających oczach.

— Przyprowadziłem towarzysza Guzmana, mego pomocnika, — rzucił Wołodarskij. — Mamy do zakomunikowania ważną sprawę. Czy tu nikt nas nie podsłucha?

Lenin wzruszył ramionami i odparł z uśmiechem:

— Tu? Chyba nikt...

— Towarzyszu, posiadamy bardzo ważne i zupełnie ścisłe informacje. Pewna organizacja przygotowuje zamach...

— Na kogo? Na mnie? — spytał.

— Nie wiemy dokładnie na kogo. Powiadomiono nas tylko, że na komisarzy ludowych — szepnął Guzman i podniósł palec do góry.

— Jakaż to organizacja? — zadał pytanie Lenin i z ciekawością czekał odpowiedzi, nie spuszczając podejrzliwego wzroku z oczu komisarzy.

Po krótkim namyśle odpowiedział Wołodarskij:

— Organizacja mieszana... Wchodzą do niej biali oficerowie i socjal-rewolucjoniści... o ile wiemy...

— Posiadacie nieścisłe informacje! — zawołał Lenin. — Carscy oficerowie nie biorą w tem udziału. Mogli tysiąc razy targnąć się na zamach, a nie uczynili tego. Są pozbawieni ducha i odwagi... Żywe trupy polityczne! Socjal-rewolucjoniści, albo... Zresztą nie ma to znaczenia! Cóż poradzimy na te knowania? Znacie domniemanych wykonawców zamachu?

— Nie! Wiemy tylko, że zamach jest przygotowany — odpowiedział Wołodarskij. — Przyszliśmy, aby powstrzymać was, towarzyszu, od zamiaru wystąpienia na jutrzejszym wiecu!

Lenin przeszedł się po pokoju.

Zaciskał ręce i śmiał się.

— Powstrzymać mnie? Zapowiedziałem przecież swoją mowę! Wystąpię, towarzysze! — odparł.

Patrzyli na niego ze zdumieniem.

— Myślicie, że można mnie nastraszyć? Człowiek, który oddawna o sobie nie myśli, nie zna strachu. Wiecie, przecież że zagranicą chodziłem samotny na rozmowy z agentami policji politycznej? Pamiętacie, że po przyjeździe do Piotrogrodu, przed wystąpieniem lipcowem, odwiedzałem koszary i wygłaszałem mowy. Przechodziłem wtedy wśród szeregów nienawidzących mnie, uzbrojonych oficerów dawnej gwardji carskiej i żołnierzy, przekonanych, że jestem zdrajcą ojczyzny, i gotowych rozszarpać mnie. Było to nie raz i nie dwa, a dziesięć, dwadzieścia! Rezultat był zawsze jeden i ten sam! Po mowie mojej żołnierze wynosili mnie na rękach, a oficerowie zmuszeni byli się ukrywać przed gniewem oszukanych przez nich szeregowców! Tak będzie i teraz. Skoro zacznę mówić, nikt już nie odważy się napaść mnie. Nikt!

Długo spierali się jeszcze komisarze, lecz Lenin był nieubłagany. Miał myśl rzutką, elastyczną, bo łatwo przechodził od jednego postanowienia do drugiego, uważając je

za lepsze, praktyczniejsze, lecz w wypadkach wzięcia odpowiedzialności na siebie i narażenia życia nie znał wahania.

Musieli mu więc ustąpić.

Nazajutrz o godzinie 11-ej wchodził już do maneżu, zatłoczonego tak szczelnie, że ludzie poruszać się nie mogli. Gdy stanął na mównicy i spojrzał na tłum, wydało mu się, że widzi olbrzymi łan, gdzie chwiejące się głowy, niby kłosy dojrzałe, tworzyły fale.

— W takim ścisku nikt strzelić nawet nie potrafi — pomyślał, z uśmiechem dobrotliwym patrząc na najbliższe szeregi widzów.

Przez całą godzinę głuchym, chrapliwym głosem, wymachując rękami i tłukąc niemi w mównicę, niby młotem w kowadło, podkreślając ruchami łysej czaszki najważniejsze pojęcia, wbijał Lenin w głowy słuchaczy kilka niezbędnych myśli, powtarzając je wkółko w coraz to innej formie i odmiennym, bardziej stanowczym tonem.

Objaśniał konieczność obrony przed imperjalizmem niemieckim, obiecywał prędki koniec wojny, która zakończy się skierowanem do proletarjatu błaganiem germańskiej burżuazji o pokój.

— Wy go nie dacie rządowi Wilhelma, — wołał Lenin, — bo wiecie, że lada dzień powstanie w Berlinie socjalistyczny rząd Karola Liebknechta, z którym warunki pokoju będą warunkami wojny z kapitalizmem Anglji i Francji o dyktaturę proletarjatu w Europie! Wy tylko — robotnicy i wieśniacy Rosji, jesteście awangardą światowej rewolucji! Wieśniacy mają w posiadaniu całą ziemię i dostarczą walczącemu proletarjatowi potrzebnych produktów w imię wolności, równości, wiecznego pokoju! Baczcie tylko, aby wrogowie nie oszukali was! Już teraz żądają od nas posłuchu dla konstytuanty, do której wejdą jawni i tajni zdrajcy pracującego ludu!

Podniosły się krzyki stronników i przeciwników Lenina.

Dyktator mówił dalej.

Doszedł wreszcie do opisu dobrobytu, jaki zapanuje w Rosji, gdy wszyscy pracować będą, jako bracia, dla ogółu, gdy zapomną o ciężkich latach niewoli i ucisku; pytał surowo, niby ojciec, upominający dzieci:

— Czyż myślicie, towarzysze, bracia i siostry, że dla przyszłego szczęścia waszego nie warto przetrwać kilku miesięcy niewygód, niedostatków i wysiłków?

Zerwała się burza okrzyków:

— Niech żyje Lenin! Ojciec nasz! Wódz! Opiekun! Obrońca! Prowadź nas! Naucz!

Lenin podniósł rękę i krzyknął:

— Pamiętajcie, coście postanowili w tej chwili. Obrona kraju! Praca i chleb dla armji! Odrzucenie konstytuanty, która nową waśń rozpali w narodzie i więzy na wieśniaków nałoży nieskruszone!

— Pamiętamy! Przysięgamy! — ozwały się okrzyki.

Tłum drgnął, docisnął się do mównicy, porwał Lenina i, podając go sobie z rąk do rąk, wyniósł z maneżu.

Lenin wsiadł do samochodu, a za nim chciał wsunąć się Trockij.

— Nie! — rzekł dyktator. — Mam do pomówienia z towarzyszem Plattenem. On pojedzie ze mną!...

Szwajcarski internacjonalista natychmiast wszedł do samochodu.

Lenin uśmiechał się i myślał, że poco miał jechać z Trockim, nad którego głową zaciężył wyrok, wyraźnie brzmiący w słowach deputacji żydowskiej? Najlepszą towarzyszką odwagi jest ostrożność.

Myśli te przerwały dwa strzały rewolwerowe.

Ich suchy trzask ledwie przebił się przez zgiełk okrzyków i wycie tłumu, wylegającego z maneżu.

Siedzący obok Lenina Platten jęknął i schwycił się za ramię. Przez zaciśnięte na rękawie palce sączyła się krew.

— Jestem ranny... — szepnął.

Samochód całym pędem ruszył z miejsca.

Lenin obejrzał się. W ścianie samochodu spostrzegł dwa otwory od kul.

— Dobrze strzelali, — pomyślał, — lecz niezupełnie..

Skrzywił usta pogardliwie.

W korytarzach Smolnego Instytutu natychmiast zaroiło się od towarzyszy. Komisarze ludowi, przedstawiciele wszelkich organizacyj, komitetów i dowódcy wiernych pułków przy-

bywali, aby dowiedzieć się o zdrowie swego wodza i o szczegóły zamachu.

Lenin spotykał wszystkich życzliwie i śmiał się wesoło, mówiąc:

— Nie mam pojęcia o tem, kto strzelał do mnie. Śledztwo zarządzone. Towarzysz Dzierżyński pokaże, co umie.

Najwyższy sędzia nie zjawiał się tymczasem. Telefon w jego biurze nie odpowiadał wcale. Posłany po niego motocyklista powrócił z wiadomością, że towarzysz Dzierżyński od rana nie był widziany w gmachu „czeki". Łotysze, stojący na wewnętrznych posterunkach, spostrzegli go wychodzącego o godzinie 7-ej rano na ulicę. Od tego czasu nie powracał.

Antonow, pełniący obowiązki komendanta pałacu, wzmocnił posterunki na korytarzach, schodach i dokoła gmachu. Dopiero późno w nocy wyrzucił „Smolny" ze swego wnętrza obcych ludzi. Na najwyższem piętrze, gdzie mieszkali Lenin i inni komisarze, zapanowała cisza.

Dyktator siedział w swoim pokoju i spokojnie pisał artykuł, w którym gromił burżuazję i jej najemnych morderców za zamiar zadania rewolucji śmiertelnego ciosu w plecy.

Pisał, rzucając na papier krótkie, dobitne zdania, najeżone cudzysłowami, znanemi każdemu cytatami z Pisma Świętego i wyjątkami z bajek najpopularniejszych, dosadnych i złośliwych.

Tak się zagłębił w pracy, że nie słyszał cichej rozmowy za drzwiami i szmeru kroków człowieka, stąpającego po kobiercu, okrywającym pokój.

Ujrzał go przypadkowo, podnosząc od papieru oczy, aby przypomnieć sobie końcową strofę bajki Kryłowa o „Świni i dębie".

Przed nim stał Dzierżyński. Zimne oczy wbił w oblicze dyktatora i krzywił kurczące się usta.

— Szukałem was przez cały dzień... — rzekł Lenin, uśmiechając się do straszliwie drgającej twarzy Dzierżyńskiego.

— Wiem, — odparł, — byłem na mieście... Szukałem sprawców zamachu. Jeszcze wczoraj mówiłem Wołodarskiemu, gdzie ma ich znaleźć... Nie chciał, czy nie śmiał...

Spojrzał znacząco na Lenina i długo wytrzymywał ostry, badawczy blask czarnych oczu mongolskich.

— No, i cóż? — spytał Lenin.

— Pochowali się, jak krety pod ziemię, — szepnął, — lecz ja ich wytropię. Kazałem aresztować Wołodzimirowa...

— Mego szofera?! — wykrzyknął Lenin.

— Waszego szofera... On był w zmowie z zamachowcami — szepnął Dzierżyński. — Zresztą, przekonacie się wkrótce, towarzyszu. Zostawcie tylko tę sprawę mnie!

Lenin skinął głową i wzruszył ramionami.

Dzierżyński, nic nie mówiąc więcej, opuścił pokój.

Dyktator znowu pochylił się nad biurkiem.

Cicho skrzypiało pióro. Duże litery pisma wiązały się w krzywe, faliste linje, nad któremi, jak nad zaroślami krzaków, podnosiły się do wysokich drzew podobne — wykrzykniki, znaki zapytania i cudzysłowy bez końca.

Praca szła swoim trybem. Rewolucja proletarjatu nie dopuszczała zwłoki, chwiejności, obawy, cofania się, wzruszeń, pozbawiających równowagi.

Albo wszystko, albo nic! Albo zaraz, albo nigdy!

Lenin pisał... Szeleścił papier. Jak cykanie zjadliwego owadu cienko zgrzytało pióro.

W korytarzu i na dworze rozlegały się twarde, ciężkie kroki.

Zbrojni w karabiny i granaty Łotysze strzegli proroka wolności i szczęścia nędzarzy, gotowi w każdej chwili porwać, przebić bagnetem, rozszarpać śmiałka, wdzierającego się do kuźni promiennego jutra...

ROZDZIAŁ XXV.

Do Piotrogrodu ze wszystkich stron Rosji dążyli chłopi, robotnicy, mieszczanie i szlachta, wybrani do konstytuanty.

W tem środowisku różnorodnych ludzi wrzała wytężona praca.

Dwie najruchliwsze partje — ludowcy i bolszewicy agitowali zawzięcie, pociągając przyjezdnych pod swoje sztandary.

Socjal-rewolucjoniści, obawiając się zbrojnego zamachu Lenina na Zgromadzenie Narodowe, wyłonili z siebie komitet obrony, kierowany przez Borysa Sawinkowa. Werbowano żołnierzy i ochotników z pośród różnych wyrzutków społeczeństwa, nawet z „czarnych secin“ carskich, ukrywających się na prowincji, gdzie hasła komunistów nie zwyciężały dotąd. Zamierzano w chwili stosownej rzucić się na Radę komisarzy ludowych i wyrżnąć ich do nogi.

Lenin wiedział o tem i działał w tajemnicy.

Piotrogród był podzielony na dzielnice, czujnie strzeżone przez wierne wojsko i drużyny robotnicze. Niemal codzień znikali bez śladu najbardziej energiczni wrogowie dyktatury proletarjatu, o losie ich wiedziała tylko „czeka“, straszliwa czerwona kloaka, ociekająca krwią, i jej twórca — Lenin.

Chociaż zręczni agitatorowie bolszewiccy z powodzeniem rozkładali masę delegatów konstytuanty, komisarze nie byli jednak pewni ostatecznych wyników.

5-go stycznia roku 1918 Lenin naradzał się długo z Dybienką i Antonowym, a później opracowywał manifest proletarjatu do konstytuanty, z żądaniem uznania władzy Rady komisarzy ludowych i Komitetu Wykonawczego, za co obiecywał dopuścić zwołanie Zgromadzenia Narodowego z głosem doradczym.

— Towarzyszu! — wołali Trockij, Zinowjew, Kamieniew i inni. — Jesteśmy zaledwie czwartą częścią Zgromadzenia

Narodowego, jakże możemy żądać i wystawiać takie wprost zuchwałe wymagania? Wojna domowa nieunikniona, a wtedy prowincja — zgubiona dla nas!

Lenin słuchał uważnie, tłumaczył, przekonywał chwiejnych a gdy zrozumiał, że nic nie wskóra, zawołał:

— Połowę Zgromadzenia stanowią socjal-rewolucjoniści. Są to „gardłujące draby". Żadnej siły nie posiadają. Rozpędzimy tę hołotę!

Długo jeszcze trwały narady. Towarzysze wychodzili niespokojni. Zbliżający się dzień obrad konstytuanty nie wróżył dla nich nic dobrego.

Tylko Włodzimierz Lenin widział wyraźnie przebieg wypadków.

6-go stycznia czerwone wojska bezkarnie rozstrzeliwały na ulicach licznych demonstrantów. Marynarze Dybienki otoczyli Pałac Taurydzki, gdzie miało odbywać się Zgromadzenie Narodowe, wygrażali i obsypywali obelgami przybywających delegatów.

Zgromadzenie, po wysłuchaniu żądań Rady komisarzy ludowych, odmówiło uznania jej za najwyższą władzę w Rosji. Wtedy do sali wkroczył oddział zbrojnych marynarzy, a olbrzymi, ponury bosman Żelezniakow rozpędził delegatów.

Lenin przez kilka dni uważnie studjował dzienniki wszystkich obozów i stawał się coraz weselszy. Zacierając ręce, rzekł do Nadziei Konstantynówny:

— Mój zamach na sławetną „wolę ludu" udał się! Naród, znużony bezsilną powodzią słów i czczych haseł, przyjął ze spokojem wiadomość o zgonie wymarzonej konstytuanty. Pragnie tylko czynu, nie słów. My podbijemy go czynem!

Przeszkody na tej drodze nie były jednak ostatecznie usunięte.

Pozostawali Niemcy.

Rozpoczynali ofenzywę.

Lenin rozumiał, że zdobycie przez nich stolicy zada cios rewolucji, — gdyż prawie cała ludność kraju będzie uważała Niemców za zbawców Rosji.

Należało powstrzymać nieprzyjaciela od tego zamiaru. Lenin postanowił pokrzyżować plany Niemców i uczynić bezcelowym marsz ich na Piotrogród.

Na posiedzeniu Komitetu Wykonawczego wniósł projekt przeniesienia się do Moskwy.

— Ucieczka?! — wybuchnęły krzyki. — Kapitulacja przed imperjalizmem?! Zginęliśmy!

Trockij wystąpił z długą i gorącą mową. Dowodził, że opuszczenie Piotrogrodu spowoduje ostateczną klęskę partji.

— Smolny Instytut otoczony jest legendą, stał się fetyszem! — wołał. — Gdy zniknie legenda, — rozwieje się urok naszej władzy. Nie mamy prawa czynić tego!

— Musimy pozostać i umrzeć z honorem na naszych stanowiskach! — krzyknął z patosem Zinowjew, podnosząc nad głową pięść.

Towarzysze przerażonemi, oburzonemi głosami wypowiadali swoje zdania i z wściekłością napadali na wodza. Jeszcze chwila i mógłby być zgubiony w oczach pokornego przed chwilą i wielbiącego go tłumu ludzi, wyciągniętych przez niego z nędzy i nicości.

Lenin słuchał, nie przerywając nikomu, spokojny, prawie wesoły. Nikt nie widział, że palce mu kurczyły się, jak pazury drapieżnego zwierza. Ręce trzymał na kolanach, ukryte pod stołem, aby nie zdradziły jego uczuć.

Nareszcie zgiełk i wrzawa uciszyły się. Wszyscy patrzyli na wodza groźnie, podejrzliwie.

Lenin wstał i mówić zaczął.

Głos drżał, przerywany syczącemi, chrapliwemi westchnieniami.

— Podziwiam was, towarzysze! Zachwycam się waszem bohaterstwem i wiernością dla sprawy proletarjatu! Zaiste imiona wasze przejdą do historji obok imion Dantona, Marata, Robespierre'a! Nie omieszkam dać oceny waszej proletarskiej odwagi przed najszerszemi warstwami narodu! Cześć wam, uwielbienie i miłość pracujących rzesz! Jesteście prawdziwymi wodzami! Przekonaliście mnie i zawstydziliście! Istotnie niech umrze rewolucja, niech w kajdany pójdą miljony dowierzających wam ludzi, aby honor wasz, imię bojowników nie zostały poniżone! Zostajemy w Piotrogrodzie i będziemy w spokoju czekali na swój los...

Opuścił głowę, pięściami wsparł się o stół i głosem

głuchym, w którym brzmiały już echa z trudem hamowanego szyderstwa, ciągnął:

— Wstydzę się swej myśli o wycofaniu się z Piotrogrodu! Wstydzę się... A może, nie powinienem się wstydzić jej? Opowiem wam, towarzysze, jak rozumowałem... Jeżeli źle pracował mój mózg, powiecie mi o tem; jeżeli miałem słuszność — rozważcie sprawę raz jeszcze na zimno, bez ognistych słów i wybuchu pierwszych wrażeń, najsilniejszych, bardzo szlachetnych, a nie zawsze najtrafniejszych. Doprawdy wstyd mi zaprzątać wasze głowy bohaterów, prawdziwych obrońców proletarjatu, rozmyślaniami człowieka praktycznego, dla którego istnieje tylko cel i którym włada tylko jedna myśl! Wstydzę się swego zimnego serca i materjalistycznego rozumu! Nie, wolę nic nie mówić o swoich rozważaniach! Jestem porwany urokiem waszych słów, pięknych, podniosłych!

— Niech mówi Iljicz! — krzyknął Stalin.

— Niech mówi! — podtrzymali go inni, bijąc pięściami w stół i tupiąc nogami.

— Bydlęta!... — syknął Trockij, pochylając się ku Kamieniewowi i Urickiemu.

Nie powiedział tego głośno i zaczął przecierać binokle, pochylając czarną, drapieżną głowę.

— Skoro pozwalacie, powiem, com myślał! — zaczął Lenin, ostrym wzrokiem, przebiegając po twarzach zebranych. — Postanowiliście jeszcze w październiku podpisać pokój z Niemcami. Bez niego zdobycze rewolucji wiszą na włosku. To rozumie każdy z was... Zajęcie naszej siedziby przez nieprzyjaciela — to koniec rewolucji, no, i śmierć jej bohaterów — wasza śmierć drodzy towarzysze! Chciałem opuścić Piotrogród... Dla celów wojny nie jest on potrzebny Wilhelmowi Hohenzollernowi. Czyni to dlatego, aby wziąć nas do niewoli i w zarodku zniszczyć groźną dla imperjalizmu rewolucję. Jeżeli odjedziemy, ofensywa natychmiast zostanie wstrzymana przez Niemców. Nie pójdą za nami w głąb Rosji. Pamiętają o losie Napoleona, wiedzą, że przestrzeń jest najlepszą twierdzą naszą! Powiadacie, że umrze legenda Smolnego Instytutu? Myślałem, że legenda ta otacza, opromienia was — bohaterów, wodzów, proroków! Legenda ta

pójdzie za wami wszędzie, chociażby na szczyt Kaukaskich gór, lub na tundrę Sybiru, aby tylko tam powiewał sztandar czerwony i jaśniały wasze imiona, towarzysze!

Pomruk zdumienia przemknął po sali.

— Mędrzec! — z zachwytem szepnął Stiekłow-Nachamkes.

— Prorok jasnowidzący! — odezwał się głośno Boncz-Brujewicz.

— My tylko czujemy, on — myśli za wszystkich! — dodał z westchnieniem Piatakow.

— Zdumiewająca siła myśli! — wykrzyknął Newskij.

— Pozwólcie dokończyć towarzysze! — zwrócił się Lenin do obecnych. — Pomyślcie na chwilę, że jesteśmy już w Moskwie. Nie w jakimś „instytucie" lub w przygodnym pałacu Krzesińskiej, lecz w Kremlu! W Kremlu!

— W Kremlu! — wybuchnął ogólny krzyk zachwytu.

— Stulecia historji natworzyły tam legend bez liku! Do nich wpłynie jeszcze jedna, nowa, czerwona, najszlachetniejsza legenda. Wasza legenda obrońców praw proletarjatu, towarzysze! Kto nie zna Kremlu? Oczy, myśli i serca całej Rosji będą skierowane na was! Wasz głos przebrzmi z jego białych murów na cały kraj, na cały świat! Mówicie: „honor, kapitulacja, opuszczona placówka". Jaki piękny poryw! Tak mówił też Kutuzow, broniący Moskwy przed Napoleonem, a jednak cofnął się, oddał stolicę na zniszczenie, lecz zwyciężył. Zwycięzców nie sądzą, towarzysze! Honor wodzów widzę w zwycięstwie, nie w śmierci bohaterskiej, bezmyślnej, niepotrzebnej, wspaniałej, a nieraz szkodliwej! Jeżeli wy, pomni na honor, umrzecie na szubienicach, kto zastąpi was? Kto poprowadzi rewolucję i losy proletarjatu ku ostatecznemu zwycięstwu? Tak myślałem z troską i bólem przedtem, nim przedstawiłem wam plan przeniesienia się do Moskwy, na Kreml... Wasze bohaterstwo płomienne posiało we mnie zwątpienie.... Teraz będę słuchał, co wy powiecie, bo tylko to jest wolą najlepszej części proletarjatu, dumy rewolucji!....

Cały Komitet Wykonawczy, komisarze, nawet stojący na czatach żołnierze otoczyli Lenina, cisnęli się do niego, jak owce do pasterza, jak dzieci do ojca, bili się w piersi, krzyczeli:



MARYNARZ FLOTY PROLETARJACKIEJ



„DUMA ROSYJSKIEJ REWOLUCJI"
(marynarz zbuntowanej floty carskiej)

— Prowadź nas! Za tobą pójdziemy wszędzie!

Nawet Trockij i Kamieniew wołali, wymachując rękami:

— Niech żyje Lenin — wódz!

Dyktator spostrzegł to odrazu i, podniósłszy rękę, uciszył zgiełk.

— Niech legenda nie opuszcza całkowicie Smolnego Instytutu! Czuję, że żądacie tego i żądanie jest sprawiedliwe i mądre. Postanówmy więc, żeby czerwony sztandar naszej partji powiewał nadal nad tym pałacem, gdzie po raz pierwszy proletarjat rzucił potężne, władne słowo o dyktaturze swojej. Tego hasła bronić będzie oddany sprawie, mój stary druh, wypróbowany bojownik, natchniony wódz — Zinowjew i nasi wierni towarzysze z „czeki", tej pięści proletarjatu, — Wołodarskij i Urickij! Ofiarnością swoją, pracą i odwagą zapiszą oni w historji nowe imiona najsławniejszych!

Nowe krzyki i wiwaty przeniosły się po sali, wylały się do kurytarzy i brzmiały długo, biegnąc dalej i dalej.

Lenin przeszedł do swego gabinetu, szybko chodził z kąta w kąt, zacierał ręce i, krzywiąc usta, syczał:

— Raby, bydło ciemne...! Buntownicy ślepi...!

Z wściekłością kopnął stojące na drodze krzesło i, odczuwając straszliwe wyczerpanie, upadł na kanapę.

— Taka godzina równa się pięciu latom życia! — syknął przez zaciśnięte zęby.

Długo nie mógł się uspokoić. Zrywał się i biegał po pokoju, rozkładał ręce i mówił do siebie:

— Umrzeć! Najłatwiejsza rzecz! Koniec i spokój.... Niczego innego nie życzyłbym sobie, lecz nie mogę... Muszę przebić ciemność, muszę przerąbać las! Będzie to mojem dziełem. Nic nie zbuduję nowego i wiecznego. Będę szczęśliwy, jeżeli mi się uda zmusić ludzkość, by nie oglądała się poza siebie, lecz patrzyła w przyszłość, tylko w przyszłość, zrzuciwszy urok grobowców. Zacznie wtedy kiełkować myśl o nowym ustroju społecznym i wyłoni się w czyn, który trwać będzie do czasu, aż zaginie pamięć o mnie. Uczynię wszystko, aby ją wrzeźbić we wspomnieniach ludzi miłością, czy nienawiścią, zachwytem lub pogardą, błogosławieństwem pokoleń, czy ich przekleństwem! Pragnę stać się nowym

„świętym“ proletarjatu, aby tajemniczy związek pomiędzy mną, nawet umarłym, a żywymi trwał. Wobec takiego celu nizkie pochlebstwo przed tłumem, cały ten fałsz ohydny, obłudne obietnice i płynące stąd własne upokorzenie niczem jest, — niczem też jest życie moje i życie miljonów ludzi! Wiek nasz czci rozum i wielkość, połączone w jednym genjuszu. Mnie wystarczy kult dla mego rozumu! Wyznawcy usiłują zawsze naśladować tego, którego ubóstwiają. Niechże naśladują! Dopomoże to im do zrzucenia na zawsze nieznośnych więzów przeszłości z jej przesądami, pomyłkami i staremi trumnami!

Położył się nawznak na kanapie i, wpatrzony w sufit, usiłował więcej o niczem nie myśleć. Dochodził go głuchy hałas, trzask desek, łoskot rzucanych na ziemię ciężkich przedmiotów, nawoływanie, okrzyki ludzi, turkot samochodów.

Domyślił się, że towarzysze zarządzili już pakowanie dokumentów Rady komisarzy ludowych i przewiezienie plik papierów i skrzyń na dworzec kolejowy. Nie wiedział jednak dyktator, że wśród pracujących zamieszało się kilku przygodnych pomocników, nikomu nieznanych; przyszli z ulicy, gdzie przed Smolnym Instytutem stale gromadził się tłum ciekawych ludzi, nie mających ani przytułku bezpiecznego ani pracy.

Wbiegali razem z żołnierzami do gmachu, składali do skrzyń dokumenty, zabijali paki i wynosili. Niektóre skrzynie spadały z trzaskiem i hałasem na załamaniach schodów, toczyły się nadół i rozsypywały się. Wtedy niosący je ludzie wszczynali popłoch, biegali w zamieszaniu, szukając nowych skrzyń, inni szybko przeglądali rozsypane papiery, chowali do kieszeni, za cholewy butów, do czapek.

W kilka dni później Łotysze i Finnowie na placach Kremlu szkolili naprędce sformowane bataljony z kulisów chińskich, rozrzuconych przez obalony rząd carski w przyfrontowym pasie, a teraz zebranych zewsząd i przeznaczonych do obrony nowych władców.

Wojska te wchodziły w skład oddziału karnego wszechrosyjskiej „czeki“.

W Moskwie, przy ul. Bolszaja Łubianka, w domu, należącym do towarzystwa asekuracyjnego „Kotwica“, ukryła się

„wszechrosyjska komisja nadzwyczajna do walki z kontrrewolucją, sabotażem i spekulacją".

Życie i śmierć 150-miljonowego narodu zostały oddane w ręce prezesa „czeki" — Feliksa Dzierżyńskiego, posiadającego prawo kary śmierci bez zatwierdzenia wyroków przez Radę komisarzy ludowych i centralnego komitetu wykonawczego.

Legenda Kremlu odżyła...

Z poza grubych murów Kitaj-horodu, z zakamarków, z ciemnych lochów, z labiryntu mrocznych komnat, wąskich, potajemnych przejść, wynurzyło się straszliwe widmo cara Iwana Groźnego i jego kata wszechwładnego — Maluty Skuratowa. Za nimi sunęły, niby zgraja wilków, cienie pretorjanów krwawych — ponurych „opriczników", szalejących po całym kraju, pławiących się we krwi, wołających głosami złowróżbnemi: „Słowo i czyn"!

Widma z podziwem i strachem patrzyły na przechadzającego się po placu Kremlowskim małego człowieka o łysej czaszce, mongolskich policzkach, wargach i oczach.

Chodził, założywszy ręce do kieszeni wypłowiałego palta, a obok stąpał wysoki, chudy człowiek w szaro-zielonej kurcie i długich butach z cholewami. Szedł przygarbiony, zaciskając blademi dłońmi szarą, zniszczoną twarz, wykrzywianą przez zrywające się co chwila drgawki; nieruchomy wzrok wbijał w okrągłe kamienie starego bruku.

Słyszały widma słowa straszne, przerażające.

Dzierżyński opowiadał o pracy, wrzącej w „czeka", o tysiącach męczonych i mordowanych ludzi, porwanych w domach i na ulicach przez żołnierzy łotewskich i chińskich.

— Żadna tajemnica nie pozostanie w cieniu! — szeptał Dzierżyński, zaglądając w oczy Lenina. — Umiemy zmusić do szczerości, o, umiemy!

Lenin zaciskał ręce i patrzył dokoła ostrym, twardym wzrokiem. Gdy padał na tłoczące się, niewidzialne widma, pierzchały w popłochu, w lęku niewypowiedzianym.

Dzierżyński zatrzymał się i rzekł:

— Dziś będę prowadził śledztwo w sprawie zamachu. Waszego szofera Wołodzimirowa przywiozłem tu. Przychodź-

cie, towarzyszu, posłyszycie rzeczy ważne. Koniecznem jest, abyście słyszeli!

— Kiedy? — spytał Lenin.

— Dziś wieczorem ...— szepnął Dzierżyński.

— Przyjadę...

Rozstali się i poszli w różne strony.

Cienie starego Kremlu spoglądały oczami, pełnemi rozpaczy i strachu niemego.

Zerwał się wiatr mroźny.

Widma rozwiały się, jak mgławica nad moczarami.

Wtedy wychynęły inne zjawy. Blade, pokrwawione, umęczone cienie ludzi zmarłych przez długie pasmo wieków w lochach katowni kremlińskiej.

Wykrzywiały twarze straszne, miotały długie ręce pod nisko zwisające chmury, śniegiem brzemienne, śmiały się bezdźwięcznie, cieszyły się radością wściekłą, bluzgały przekleństwami i wzdychały jękliwie:

— Zemsta za nas...! Zemsta za nas...!

Te cienie jęczące tworzyły korowody ponure. W zwojach zamieci wyły i pląsały, wznosiły się coraz wyżej, igrały z płachtą czerwoną, łopocącą na wieży, śmiały się przeciągle i znikały, tonąc w wirach i strugach smagającej śnieżycy.

ROZDZIAŁ XXVI.

Wył wiatr i ciskał suchym, zmarzniętym śniegiem w ciemne okna domów, ciągnących się wzdłuż Bolszoj Łubianki. Żadnego przechodnia nie można było spostrzec na pustej ulicy, chociaż wskazówka zegara na wieży dobiegała dopiero godziny 11-ej.

Samotny człowiek w wyszarzałem palcie, podniósłszy wytarty barankowy kołnierz, wynurzył się z poza rogu poprzecznej ulicy. Szedł, patrząc na skrzące się pod nogami śnieżne zaspy, kurzące się pod smaganiem wichru.

Z bramy domu o wybitych szybach i odłupanym przez kule tynku wypadło trzech żołnierzy i, otaczając przechodnia, pytało groźnie:

— Dokąd idziesz? Pokazać legitymację!

Zapytany podniósł oczy na żołnierzy, a ci skamienieli, prostując się i szepcąc:

— Towarzysz Włodzimierz Iljicz Lenin!

Uśmiechnął się życzliwie i spytał:

— Pokażcie mi gmach „czeki"!

— Stoicie przed nim, towarzyszu, — odparł żołnierz wylękłym głosem.

Lenin obrzucił uważnym wzrokiem olbrzymi dom o dużych oknach, do połowy zabitych deskami, ciemnych, jakgdyby ślepych.

— Co u licha?! — mruknął niezadowolonym głosem. — Śpią tam wszyscy?...

Jakgdyby odpowiadając mu, gdzieś z wnętrza gmachu wyrwał się zdyszany turkot motoru samochodowego. Jakieś jeszcze inne dźwięki łączyły się z odgłosami maszyny. Po chwili umilkło wszystko. Cisza zapadła głucha, niepokojąca.

— Co to było? — spytał Lenin, patrząc na żołnierzy.

— „Czeka" rozstrzelała skazanych... — szepnął podoficer. — Zawsze przytem puszczają w ruch samochód cię-

żarowy, żeby zagłuszyć strzały kulomiotów, krzyki zabijanych, jęki...

Nic więcej nie mówiąc, Lenin skierował się ku bramie domu i zadzwonił.

Zachrypnięty głos zapytał po chwili:

— Kogo czarci niosą o tej porze! Odchodź od bramy, bo strzelę...

— Prezes Rady komisarzy ludowych do towarzysza Dzierżyńskiego — odpowiedział Lenin.

Posłyszał tupot nóg uciekającego szyldwacha i przeraźliwy gwizdek.

Minęło kilka minut nim otwarto furtkę. Jakiś człowiek. mały, krępy, o twarzy pooranej ospą, wyjrzał ostrożnie, podejrzliwie i w milczeniu przepuścił Lenina.

Zamknąwszy za nim furtkę, szedł ztyłu i mruczał:

— Musimy być czujni... Już kilka razy wchodzili do nas ludzie uzbrojeni, zamierzając zabić towarzyszy Dzierżyńskiego i Petersa... Polacy i Łotysze źli są na nich... Nie wyszli już stąd, lecz są też inni, którzy zaprzysięgli zemstę. Wczoraj w ogrodzie uniwersyteckim znaleziono towarzysza Bagisa, powieszonego przez niewykrytych złoczyńców...

Mrucząc, prowadził Lenina przez podwórze.

Przy żółtych płomykach latarni naftowych, słabo oświetlających dziedziniec, wznosił się wysoki, ślepy mur, znikający u góry we mgle zamieci, potrzaskany i poszczerbiony. Na pozostałym tynku widniały krwawe nasiąki i sople. Pod murem leżały nieruchome, nagie ciała, pokurczone, skulone, rzucone, jak zwał szmat. Nad niemi unosiła się lekka zadymka pary. Na uboczu stał duży ciężarowy samochód, pomalowany na czarno.

Lenin przystanął i obejrzał się za skradającym się ztyłu człowiekiem.

Odźwierny zrozumiał nieme pytanie skośnych oczu i znowu mruczeć zaczął:

— Tu tracimy skazańców. Kulomiot umieściliśmy w okienku suteryny. Nastawiony jest tak, że przechodzący przed nim ginie odrazu...

Zaśmiał się ponuro i dodał:

— Produkcja masowa... inaczej nie można!

Lenin skinął głową w stronę nagich trupów i spytał:

— Co robicie... z tem?

— Część wywieziemy za miasto, gdzie jutrzejsi skazańcy przygotowują już dla nich i dla siebie groby. Innych zabiorą do szpitali, gdzie lekarze uczą się na nich. Pewien uczony profesor często tu przychodzi i opowiada, że dla nauki dobre nastąpiły czasy, bo trupów w bród! Niewiadomo nigdy, komu i czem można dogodzić!

Zaśmiał się piskliwie, szeroką dłonią zasłaniając usta.

Wchodzili po schodach na drugie piętro. Wszędzie stały posterunki żołnierskie. Krzyki, jęki, płacz dochodziły zdaleka; rozlegały się głuche odgłosy strzałów.

Lenin szedł wyprostowany, oddychał ciężko; czuł dreszcz, wstrząsający nim.

Weszli do obszernej poczekalni, z biegnącym w głąb lokalu korytarzem, gdzie przy każdych drzwiach przechadzali się żołnierze chińscy.

— Zamelduję towarzyszowi — prezesowi czeki... — rzekł siedzący przy biurku chudy blondyn o zmęczonych, zaczerwienionych oczach.

Po jego odejściu, Lenin całą siłą woli pohamował ogarniające go wzburzenie. Cicho tu było. Tylko od czasu do czasu rozlegały się chrapliwe głosy Chińczyków i dzwonki, natrętne, niecierpliwe.

Urzędnik długo nie powracał. Stojący przy drzwiach żołnierze spoglądali na nieznanego im człowieka pogardliwie i zagadkowo. Wiedzieli, że przybywający tu w różnych sprawach rzadko opuszczali gmach. Widzieli ich wchodzących do poczekalni, wychodzących — prawie nigdy.

Na męki mogli przyjść tą drogą, dla umęczonych — istniały inne wyjścia.

Lenin pomyślał:

— Stworzyliśmy państwo w państwie. „Czeka" może się stać silniejszą od Rady komisarzy ludowych...

W głębi korytarza otwarły się drzwi i do poczekalni szybkim krokiem wszedł Dzierżyński.

— Przyszedłem, Feliksie Edmundowiczu — powiedział Lenin. — Trudno się dostać do was!

— Myślałem, że przyjedziecie samochodem, a tymczasem doniesiono mi, że jakiś człowiek kilka razy przeszedł przed domem „czeki“... Musimy być ostrożni. Czyhają na nas...

— Macie dobry wywiad — zauważył Lenin z uśmiechem.

— Towarzysze Blumkin i Jagoda są specjalistami od wywiadu — odpowiedział Dzierżyński. — Proszę do mnie!

Szli korytarzem. Na drzwiach widniały napisy „pokój Nr. 1. komisja śledcza tow. Rozsochina“, „komisja śledcza tow. Ozolina...“ Tabliczki z nazwiskami — Rittnera, Mienżyńskiego, Artuzowa, Guzmana, Blumkina bielały na drzwiach.

— Tu przesłuchujemy oskarżonych — objaśnił Dzierżyński, widząc, że Lenin czyta napisy. — W końcu korytarza mieści się sala kolegjum „czeki“ i dwa pokoje: biuro statystyczne i archiwum.

— A reszta gmachu?

— Cele ogólne i osobne dla więźniów. Dla najbardziej obciążonych — ciemnice w suterynach i lochach — odparł, dumny z ładu, panującego w instytucji.

— W środku miasta! — zdziwił się Lenin.

— Sztandary powinny powiewać na miejscach widocznych, uczęszczanych! — zaśmiał się cicho Dzierżyński. — Jesteśmy sztandarem władzy proletarjatu, — krwawej zemsty i gwałtu nad jego wrogami. Marzyłem o ulokowaniu się w katedrze Bazylego Błogosławionego, lecz budynek — na nic!

— Paradoksalny zamiar! — zawołał Lenin.

— Paradoks zastępuje nam logikę, towarzyszu! — znów zaśmiał się Dzierżyński. — Wszystko, co robimy, jest paradoksem, a, urzeczywistniając go, nabieramy niezwykłej siły i uroku w oczach ludzi o zgniłej, tchórzliwej myśli.

— Uważacie, Feliksie Edmundowiczu, że dzięki paradoksowi można długo przetrwać?

Dzierżyński przepuścił przed sobą Lenina i, patrząc na niego, rzekł dobitnie:

— Przez cały czas sprawnego funkcjonowania „czeki“, towarzyszu! Zaręczam wam...

Usiedli. Dzierżyński zapalił papierosa i namyślał się, kurcząc twarz i trąc drgające powieki.

Lenin oglądał gabinet.

Biurko, dwa fotele, trzy krzesełka. szeroka sofa ze zmiętem posłaniem; na podłodze — jasno różowy, gruby kobierzec, z czarnemi plamami w kilku miejscach. Na biurku wśród czerwonych teczek z papierami i na ścianie za stołem spostrzegł Lenin pistolety Mauzera i Parabellum.

— Towarzysz mieszka w swoim gabinecie? — zapytał Lenin.

— Nie! — odparł Dzierżyński, podejrzliwie patrząc na niego. — Mam kilka konspiracyjnych mieszkań. Nie dowierzam nawet swoim ludziom, bo i wśród nich byli zdrajcy. Polują na mnie zewsząd...

Umilknął i schylił się nad papierami, przeglądając je i podpisując.

Skończył i mruknął:

— Dziś mamy „na wydatki“ 150 ludzi... Grupa białych agitatorów, działających na wsi...

— Na wydatki? Co to znaczy? — zapytał Lenin.

— Do stracenia, bo śledztwo skończone, — odparł Dzierżyński. — Możemy zacząć z Wołodzimirowym?

Lenin skinął głową. Dzierżyński zdjął słuchawkę telefonu i rzucił krótki rozkaz:

— Natychmiast ma się stawić u mnie towarzysz Fedorenko! Przyprowadzić do mnie aresztowanego z celi Nr. 31. Mieć w pogotowiu celę siedemnastą! Gdy zadzwonię — wprowadzić do mnie!

Wkrótce zapukano do drzwi. Dzierżyński szybko porwał z biurka rewolwer i, zwróciwszy lufą ku drzwiom, powiedział:

— Wejść!

Na progu stanął człowiek, zupełnie, zdawało się, nieodpowiedni dla tego mrocznego miejsca. Wysoki, zgrabny, gładko ogolony i starannie uczesany, trzymał się swobodnie i wyniośle. Odprasowany granatowy garnitur leżał bez zarzutu na wiotkiej, eleganckiej figurze, jasny krawat i wysoki sztywny kołnierzyk świadczyły o kulturalnych nawyknieniach ich właściciela.

— Ach, to wy, towarzyszu Fedorenko! — zawołał Dzierżyński, kładąc rewolwer zpowrotem. — Proszę przystąpić

do badania Wołodzimirowa w obecności prezesa Rady komisarzy ludowych.

Przybyły sędzia zatrzymał na Leninie zimne, niebieskie oczy i skłonił się przed nim z uprzejmym uśmiechem.

— Bardzo się dobrze składa! — rzekł dźwięcznym głosem. — Poproszę prezesa komisarzy usiąść przy oknie i odwrócić fotel w ten sposób, żeby nie być widzialnym, ot tak! Doskonale!

Klasnął w dłonie. Ze szczękiem karabinów weszli żołnierze, wprowadzając aresztowanego.

Długą chwilę panowało milczenie. Ludzie mierzyli się wzrokiem, pytali o coś, co nurtowało ich, badali siebie bez słów.

Wreszcie zabrzmiał uprzejmy głos Fedorenki:

— Doprawdy, nie chcielibyśmy żeby was, towarzyszu Wołodzimirow, miała spotkać krzywda! Tymczasem bezsilni jesteśmy, bo zachowujecie tajemnicę, którą wykryć musimy za wszelką cenę...

Wołodzimirow nie odpowiadał.

Fedorenko ciągnął dalej spokojnie, grzecznie:

— Przypomnijmy więc wszystko, co towarzysz raczył nam zakomunikować! Przed wybuchem rewolucji proletarjatu byliście kapitanem gwardji carskiej, a później zapisaliście się do związku szoferów i przyjęliście posadę w garażach Rady komisarzy ludowych. O ile mi się zdaje, powtórzyłem wszystko ściśle?

— Tak... — szepnął Wołodzimirow.

— Bardzo się cieszę! — zawołał sędzia śledczy. — Teraz pozostają rzeczy drażliwsze. Towarzysz zeznał, że w chwili odjazdu towarzysza Lenina z maneżu, mimo rozkazu ruszać, nie wykonał go i czekał na zamachowców, przedzierających się przez tłum, zebrany na wiecu.

— Tak... — brzmiała krótka odpowiedź.

— To znaczy, że byliście w zmowie ze zbrodniarzami?

— Tak... Zamierzaliśmy zabić Trockiego, który miał jechać z Leninem — objaśnił szofer.

— Ilu było zamachowców? — spytał Dzierżyński, trzęsąc głową, bo skurcz straszliwy wykrzywił mu twarz.

Wołodzimirow milczał.

— Kto kierował zamachowcami? Kto posłał ich?

Żadnej odpowiedzi.

— Kto kierował nimi? Kto nasłał zbrodniarzy? — powtórzył Dzierżyński, zacinając blade wargi.

Badany podniósł głowę i rzekł twardym głosem:

— Jestem w waszym ręku, możecie mnie stracić, ale nic nie dowiecie się. Chcę umrzeć za ojczyznę, umęczoną przez...

Nie dokończył, bo buchnął strzał. Kula utkwiła w prawem ramieniu Wołodzimirowa. Jęknął, lecz zacisnął zęby i spoglądał na bezwładnie zwisającą, krwawiącą rękę.

— Będziesz mówił, psie? — syknął Dzierżyński.

Aresztowany milczał. Prezes czeki miotał się, bił pięściami w stół, ciskał na podłogę czerwone teczki i rozrzucał papiery.

Rzęził i ciężko oddychał.

Fedorenko niewzruszonym głosem rzekł:

— Trudna rada z tak bohaterskiem milczeniem! Można podziwiać... Jednak musimy wiedzieć prawdę!

Wstał i nacisnął guzik dzwonka.

Słysząc, że drzwi się otwierają i wchodzą nowi ludzie, Lenin ostrożnie wyjrzał.

Zobaczył Wołodzimirowa, drżącego, z bladą, przerażoną twarzą, zwróconą ku wejściu. Lenin spostrzegł czarną kałużę krwi, zbierającej się koło nóg szofera i powoli wsiąkającej w gruby dywan.

— Poco tu różowy kobierzec?... Lepsze byłyby ciemne, bardzo ciemne barwy — pomyślał mimowoli i znowu cofnął się za wysokie oparcie fotelu.

Rozległ się głos Fedorenki:

— Niech żołnierze wyjdą i czekają w korytarzu! A więc porozmawiajmy teraz spokojnie! Oskarżony nie będzie przeczył, że ta kobieta jest jego małżonką, Zofją Pawłówną Wołodzimirową, a ten miły chłopczyk — to jego synek — Piotruś?

Wołodzimirow milczał. Lenin znowu wyjrzał. Twarz badanego skamieniała i tylko w oczach jego miotała się rozpacz i wahanie.

Drżąca kobieta, o bladej, zniszczonej twarzy ponuro patrzyła w ziemię i ściskała rączkę chłopca lat dziesięciu o

głęboko zapadłych oczkach i nieprzytomnej z przerażenia twarzy. Dziecko nie płakało, tylko głośno szczękało ząbkami, tuląc się do matki.

Fedorenko nagle zmienił ton. Głos jego stał się syczący i urywany.

— Dość tych zabaw... — mówił. — Jeżeli nie wymienisz nazwisk zamachowców i tych, kto ich posłał, w twoich oczach rozstrzelamy tę sukę i jej szczenię... N-no!

Nikt się nie odezwał. Fedorenko klasnął w dłonie. Wpadli żołnierze.

— Rozkrzyżować kobietę i chłopca na ścianie! — krzyknął sędzia. — A trzymajcie mocno tego draba, aby się nie wyrwał!

W jednej chwili otoczyli żołnierze matkę i dziecko, podnieśli, przycisnęli do ściany i rozciągnęli im ręce i nogi.

Wołodzimirowa milczała, wciąż patrząc w ziemię. Chłopak szamotał się, wił i krzyczał:

— Mamo! Mamusiu! Ojcze, ratuj nas, nie daj... Oni chcą nas zabić!

Fedorenko spokojnie zauważył, patrząc na aresztowanego:

— Już wiemy, że jesteś mężem tej kobiety i ojcem — chłopca. Obeszło się bez waszych zeznań! Teraz dowiemy się reszty... Własow, strzelajcie!

Gruby, o czerwonej twarzy wachmistrz dał ognia. Kula uderzyła w mur tuż nad głową kobiety, zasypując ją odłamkami tynku; druga utkwiła w ścianie koło ucha, trzecia — tuż przy szyi...

— Teraz zajmijcie się chłopakiem — syknął Fedorenko. — Dwie kule próbne, trzecią musicie umieścić w czole!

Kula głucho klasnęła nad głową chłopaka. Twarz mu się wykrzywiła, skurczył się cały i zemdlał.

Wołodzimirow szarpnął się z rąk trzymających go żołnierzy i jęknął:

— Zlitujcie się nad nimi... powiem wszystko...

— Słuchamy! — rzekł obojętnie Fedorenko i, zwracając się do wachmistrza dodał: — Włóżcie nowe naboje do rewolweru!...

Wołodzimirow jeszcze walczył ze sobą. Straszliwa męka szalała w jego nieprzytomnych, znękanych oczach.

— Słuchamy, do stu djabłów! — nie wytrzymał Dzierżyński, tupiąc nogami.

— Zamach był obmyślony przez prawych socjal-rewolucjonistów i żydów... — szepnął Wołodzimirow.

— Nazwiska wykonawców? — spytał sędzia.

— Nie znam wszystkich... było ich dziesięciu... przypadkowo słyszałem nazwiska Leontjewa, Schura i Frumkin... — mówił, nie patrząc na nikogo, aresztowany.

— Frumkin — kobieta? Piękna, młoda żydówka? Na imię ma Dora? — spytał Fedorenko, mrużąc oczy.

— Tak... — szepnął Wołodzimirow.

— Nie rozumiem, poco była tak długa, bohaterska scena zapierania się? — podnosząc ramiona, z szyderstwem zauważył Fedorenko. — Ale jeszcze jedna formalność!... Muszę skonfrontować oskarżonego z osobą, nader nas interesującą. Własow, dajcie znać, aby dostarczono tu Nr. 15-ty! A biegiem, biegiem... towarzyszu!

Dzierżyński i Fedorenko naradzali się, paląc papierosy...

— Błagam, aby żołnierze nie męczyli więcej mojej rodziny! — zawołał rozpaczliwie Wołodzimirow.

— Za chwilkę! — odparł uprzejmie i spokojnie sędzia. — Od was tylko zależy, abyśmy zupełnie zwolnili sympatyczną panią i miłego Piotrusia...

Do gabinetu wprowadzono kogoś. Lenin ostrożnie podniósł głowę. Tuż przy progu stała kobieta.

Wydawało się, że zstąpiła z jakiegoś obrazu.

— Gdzie ja widziałem taką postać? — pomyślał Lenin, trąc czoło. — Zdaje się, na jakimś obrazie z czasów wielkiej rewolucji francuskiej? A, może, nie...

Wysoka, wiotka, o dumnie osadzonej pięknej głowie stała młoda żydówka. Biała, jak mleko, twarz, płonące oczy, czarne łuki brwi, namiętne usta i olbrzymi węzeł kruczych włosów, drobnemi kędziorkami spadających na kark i natchnione czoło, — wszystko było doskonałe w linji, rysunku i barwie.

— Judyta... — szepnął Lenin...

Stała spokojna, wyniosła z opuszczonemi wzdłuż kształtnych bioder rękami. Ledwie dostrzegalnie falowała wysoka pierś.

Fedorenko, lubieżnie mrużąc oczy, długo przyglądał się jej. Wreszcie spytał zmienionym głosem:

— Imię i nazwisko pięknej... pani?

Nie poruszyła się nawet i nie spojrzała na sędziów.

— Jaka pani niedobra! — cicho zaśmiał się Fedorenko. — Wiemy przecież, że zachwycamy się w tej chwili pięknością i wdziękiem panny... Dory Frumkin....

Nie zmieniła postawy; nawet powieki jej nie drgnęły. Zdawało się, że nic nie słyszy i nie widzi przed sobą.

— Czy to jest Frumkin, o której oskarżony mówił nam? — zadał sędzia pytanie Wołodzimirowowi.

— Tak... — szepnął oficer, bojąc się spojrzeć na stojącą przy drzwiach kobietę.

Przy tem strasznem dla niej słowie nie zdradziła najmniejszego wzruszenia i niepokoju.

— Własow! — zawołał urywanym głosem sędzia. — Odprowadźcie Dorę Frumkin do mojej kancelarji i powiedzcie, aby Marja Aleksandrówna zajęła się nią. Wkrótce przyjdę...

Żołnierze wyprowadzili aresztowaną.

— Włodzimierzu Iljiczu! — zawołał Dzierżyński. — Wychodźcie teraz i oznajmijcie, że za cenne zeznania darujecie życie obywatelowi Wołodzimirowowi. chociaż zasłużył na śmierć.

Lenin powstał i, patrząc na dawnego szofera i sędziów, nie mógł wyrzec ani słowa.

Fedorenko zbliżył się do niego i zaczął rozmowę, chwaląc się swojem doświadczeniem i opowiadając o dawnych czasach, gdy, jako rotmistrz żandarmów, potajemnie sprzyjał prawdziwym rewolucjonistom. Lenin słuchał go zimno, z wyrazem wstrętu na twarzy.

Dzierżyński tymczasem wydał jakieś rozkazy.

Żołnierze, zwolniwszy kobietę i chłopca, wyszli. Wołodzimirow tulił do siebie drżącego, słaniającego się synka i męczeńskim, zbolałym wzrokiem patrzył w surowe oczy żony.

— Jesteście wolni, zupełnie wolni — syknął Dzierżyński, oglądając się poza siebie, gdzie stał wachmistrz Własow. — Proszę wychodzić... Najpierw kapitan Wołodzimirow, a później kobieta... dziecko — naostatku.

Wołodzimirow ruszył naprzód, ledwie jednak doszedł do drzwi i wyciągnął rękę do klamki, padł strzał. Śmiertelnie ugodzony w głowę człowiek runął na ziemię. Żona rzuciła się do niego, lecz w tej chwili Własow wypuścił kulę. Upadła na ciało męża bez życia. Drzwi natychmiast się otwarły; wbiegł chiński żołnierz. Schwyciwszy chłopaka, zdusił mu gardło i wyniósł z pokoju. Chińczycy, popędzani przez wachmistrza, za nogi wyciągali do korytarza zabitych i zacierali ślady krwi.

Lenin wzdrygnął się.

— Państwo stoi na przemocy, sile i gwałcie! — przypomniały mu się słowa jego, tak często powtarzane.

— Czy na takim gwałcie, jaki widziałem tu, można budować państwo? Czy to jest droga do nowego życia ludzkości? — wirowały w głowie jego pytania.

Znowu się wzdrygnął i ze wstrętem słuchał opowiadania Fedorenki o niezwykłej celności oka grubego wachmistrza.

— Przyklejałem skazanym srebrne pięć kopiejek, drobną monetkę, na piersi, a ten chłop kulą wbijał ją w serce! — śmiejąc się, mówił z zachwytem.

— Kanalja... ohydny kat... — pomyślał Lenin, jednak nic nie powiedział.

Pamiętał słowa Dzierżyńskiego, że „czeka" jest sztandarem dyktatury proletarjatu, a on — Włodzimierz Lenin był jego dyktatorem i być takim chciał jak najdłużej, bo nikogo innego wśród tysięcy towarzyszy nie widział.

Znowu zamajaczyła przed jego wzrokiem daleka, mała, świetlana, promienna przyszłość świata zwolnionego z kajdan przeszłości.

Musiał tam zajść za każdą cenę.

Zacisnął zęby i milczał.

Uśmiechnął się nawet, gdy Dzierżyński powiedział:

— Wołodzimirowy umarli z wdzięcznością w sercu dla was, towarzyszu! Lekka, przyjemna śmierć, a dla was — dobry omen!

Zaśmiał się Lenin, lecz nic nie odpowiedział. Nie miał sił i odwagi.

Szybko wyszedł, skinąwszy głową w stronę Dzierżyńskiego i Fedorenki.

W sieni oczekiwał na niego agent „czeki“. Miał go eskortować do Kremlu z rozkazu Dzierżyńskiego.

— Jak się nazywacie, towarzyszu? — spytał go Lenin, gdy już wyszli na ulicę.

Chciał posłyszeć głos człowieka, który przed chwilą nikogo nie zamordował i nie widział męki i konania.

— Apanasewicz, pomocnik komendanta „czeki“ — odparł, salutując po wojskowemu.

Lenin wypytywał go o straszny dom śmierci.

Agent na wszystko odpowiadał jednakowo:

— Zapytajcie o to, towarzyszu, naszego prezesa. Ja nic nie wiem!

Jednak, gdy doprowadził dyktatora do bramy Kremlu, zatrzymał go i szepnął:

— Jeżeli potrzebny wam będzie człowiek zuchwały, na wszystko gotowy, przypomnijcie sobie moje nazwisko: Apanasewicz!

— Apanasewicz... — powtórzył Lenin i obejrzał się.

Agent znikał już w kotłujących się strugach i obłokach zamieci, szybkim krokiem idąc w stronę katedry św. Bazylego.

Wygwizdywał jakąś piosenkę ludową...

ROZDZIAŁ XVII.

Ponury nastrój, niby kleszcze zimne, lub śliskie skręty płaza wstrętnego, ściskał serce i mózg Lenina. Czuł się tak, jakgdyby sam przed chwilą wyszedł z więzienia. Chciał się uśmiechnąć, przypominając sobie radość, niemal pijaną, bujną, gdy niegdyś opuścił celę, a furtka więzienna zatrzasnęła się za nim przy ul. Szpalernej w Petersburgu. Nie zdobył się jednak na uśmiech.

Potarł czoło i zaczął chodzić po pokoju, włożywszy wilgotne ręce do kieszeni tużurka.

Uświadomił sobie wkrótce swoje uczucia. Stanowczo nie mylił się. Miał wrażenie, że w straszliwym gmachu, gdzie panował Dzierżyński, pozostawił kogoś, potrzebującego pomocy i obrony. Odczuwał potrzebę powrotu, by zasłonić kogoś piersią swoją... Kogo? Dlaczego?

Wzruszył ramionami i mruknął:

— Djabelnie trudno zabijać ludzi! Zabijać, mając ciągle na ustach słowa miłości dla wszystkich uciemiężonych, nieszczęśliwych, umęczonych!

Zgrzytnął zębami i zacisnął pięści założonych do kieszeni rąk.

— W katowni „czeki" jęczą i cierpią sami uciemiężeni, nieszczęśliwi bezmiernie, umęczeni męką niewypowiedzianą... Powrócić tam i rozkazać zwolnić wszystkich... zabronić znęcania się, mordu obłędnego! Tak! Tak!

Doszedł do okna i przystanął.

Na placu wewnętrznym przechadzali się żołnierze na warcie.

Smagała ich zamieć, ścinał im krew w żyłach mroźny powiew wiatru.

Nie mieli ciepłego ubrania, więc tupali nogami, bili rękami, biegali, aby się rozgrzać.

Lenin pomyślał:

— Ginęli na froncie za ciemiężców, giną teraz w wystąpieniach rewolucyjnych, będą ginąć haniebną śmiercią, gdyby rewolucja została zdławiona; nie myślą jednak o tem. wszystko znoszą cierpliwie, bo ufają mi i wierzą w rzucone przeze mnie hasła. Wierzą mi! Czyż mogę zawieść ich zaufanie? Posiać w ich sercach rozpacz i zwątpienie? Czyż mam prawo poddać się własnym uczuciom?

Przeszedł się po pokoju i szepnął:

— Nigdy! Nigdy!

Jednak męczący niepokój nie opuszczał go. Drażniła go i gnębiła jakaś niepewność; niejasny, głuchy nakaz brzmiał bezustannie, wołając, aby powracał do ponurego gmachu „czeki".

Zadzwonił.

— Proszę zatelefonować do towarzysza Dzierżyńskiego, aby się wstrzymał z badaniem aresztowanej Frumkin do mego przyjazdu, — rzekł do sekretarza. — Niech natychmiast podadzą samochód!

Wypił szklankę wody i chodził po pokoju, trzaskając w palce niecierpliwie.

W kwadrans potem zajeżdżał przed gmach „czeki". Znalazł bramę otwartą i ujrzał oddział żołnierzy, prezentujących broń przed dyktatorem. Spotkał go przy wejściu Dzierżyński, Liaris i Blumkin.

Na podwórzu stał tłum zaaresztowanych tej nocy ludzi. Skulone, drżące postacie, wylękłe, blade twarze, oczy ponure, podle, nikczemnie łaszące się lub obłędnie zrozpaczone.

Lenin, otoczony komisarzami, szybko przeszedł do poczekalni drugiego piętra.

— Chcę być obecnym przy badaniu Dory Frumkin! — oznajmił Lenin, patrząc w zezujące, podejrzliwe oczy Dzierżyńskiego.

Prezes „czeki" nic nie odpowiedział. Zwierzęca czujność zaczaiła się na kurczącej się, wynędzniałej twarzy. Szarpał małą bródkę i tarł drgające, opuchnięte powieki.

Lenin zrozumiał obawy Dzierżyńskiego i uśmiechnął się łagodnie.

— Towarzyszu! — szepnął, obejmując go wpół. — Ciekaw jestem, co powie Frumkin. Możemy dowiedzieć się od niej rzeczy wielkiej wagi... Podejrzewam, że żydowscy socja-

liści z „Bundu“ przyłączyli się do wrogiego obozu. Muszę o tem wiedzieć...

Dzierżyński skinął głową w milczeniu.

Nic nie mówiąc, prowadził Lenina wewnętrznemi schodami nadół.

Przechodząc koło zamkniętych drzwi jednego z pokojów parterowych, rzekł:

— Zabierzemy Fedorenkę...

Pchnął drzwi. Lenin zajrzał i stanął, jak wryty.

Zobaczył stojącą nawprost drzwi szeroką sofę, wyściełaną czerwonym aksamitem. Na jaskrawem, gorącem tle, niby marmurowy posąg, leżała naga postać kobiety. Fala czarnych włosów spływała na podłogę; piękne, wysmukłe biodra, rozchylone bezsilnie, nieruchomo zastygłe w bezwstydnej pozie, ręce, bezwładnie odrzucone, zwisały w omdleniu; bujne, strzeliste piersi groziły swoim bezruchem, niby ostrza włóczni... Śmiercią i zgrozą wiało od obnażonych, wystawionych na spojrzenia ludzkie tajemnic pięknego ciała kobiecego, świecącego w półmroku.

— Dora Frumkin... — wyrwał się Leninowi szept przenikliwy.

— To — kanalja... rozpustnik... żadnej nie przepuści!... — warknął Dzierżyński, wstrząsając ramionami.

Kryjąc się w kącie pokoju, ubierał się w pośpiechu Fedorenko.

— Wlecz ją na badania! — krzyknął Dzierżyński i zaczął się śmiać.

Po chwili żandarm, obleśnie uśmiechając się i poprawiając krawat, wyszedł na środek pokoju. Spostrzegłszy Lenina, wykrzywił twarz i rzekł błazeńskim tonem:

— Taka dziewuszka, że palce lizać! Szkoda było opuścić okazję... Podobne krasawice coraz rzadziej się spotykają... Jestem znawcą kobiet!.. Gotów jestem głowę oddać, jeżeli jakikolwiek rzeźbiarz wykryje w tym cudzie piękności chociaż jedną wadę... Junona, Wenus, Diana, Terpsychora... natura wszystko dała jednej kobiecie!... Fedorenko nie taki niedołęga, żeby nie ocenił tego i nie zakosztował! O, nie! Fedorenko — chłopak zuchowaty!...

Widząc, że komisarze słuchają go spokojnie, zawołał:

— Marja Aleksandrówna!

Weszła otyła, czerwona, lśniąca od potu i tłuszczu kobieta w czarnej halce i niebieskiej bluzce. Kurczyła w uśmiechu zakłopotania i służalczości wstrętną owrzodzoną twarz i kłaniała się raz po raz.

Fedorenko zawołał:

— Marjo Aleksandrówna, potrafiliście uśpić tę boginię antyczną, musicie teraz obudzić aresztantkę i odprowadzić do dużej sali... A niech — no tam chińskie poczwary będą w pogotowiu...

Zwracając się do Lenina, rzekł z ukłonem:

— Możemy zejść do suteryn...

Ruszyli w milczeniu.

Szli długim, załamującym się kurytarzem, wąskim i brudnym.

Dwie latarnie naftowe ledwie oświetlały go z dwóch końców. Kilku szyldwachów chińskich przechadzało się, szczękając karabinami, opieranemi o cementową posadzkę.

Małe, niskie drzwi, zamknięte na kłódki, ciągnęły się z obydwóch stron.

— Niech towarzysz trzyma się zdala od tej celi — uprzedził Fedorenko, patrząc na Lenina.

Ten spojrzał pytająco.

Żandarm zaśmiał się cicho i szepnął.

— Jest to cela „naturalnej" śmierci! Zarażona wszelkiemi możliwemi chorobami: głodowy i plamisty dur, gruźlica, skorbut, cholera, nosacizna, nawet, zdaje się, dżuma... Wszystko to zastępuje nam katów i oszczędza pracy. Mrą tu ludziska, jak muchy... Mieści się tam stu więźniów, a komplet zmieniamy gruntownie co tydzień...

Znowu się zaśmiał.

— Rozniesiecie epidemję po mieście! — rzekł surowym głosem Lenin.

— To przewidziane! — zaprzeczył Fedorenko. — O, my znamy się na higjenie! Codzień rano... zresztą, uwięzieni nie wiedzą, czy to ranek, czy dzień, czy noc, bo jest to ciemnica, gdzie się pali jedyna mała lampka elektryczna, — wsuwamy skrzynię drewnianą... Więźniowie składają do niej ciała umarłych; Chińczycy zalewają odrazu wapnem. za-

bijają skrzynię deskami i wywożą za miasto, gdzie wrzucają do rowów, również napełnionych wapnem... Żadne niebezpieczeństwo nie grozi Białokamiennej Moskwie!

Z innych cel dochodziły krzyki, płacz i jęki ludzi.

— Szaleją z rozpaczy! — uśmiechnął się Dzierżyński. — Jęczą z głodu, bo to dobry sposób na wzbudzenie szczerości w zeznaniach!

Ktoś dobijał się do zamkniętych drzwi i dzikim głosem wył:

— Kaci! Bądźcie przeklęci... Oprawcy!... Pić! Pić!...

— Ach! — zawołał Fedorenko. — To „śledziowcy“!

Lenin zwrócił ku mówiącemu bladą twarz.

— Niektórych karmimy tylko bardzo słonemi śledziami, nie dając im ani kropli wody. Dręczy ich pragnienie, więc złorzeczą! Tacy albo tracą zmysły, albo wpadają w omdlenie. Pierwszych przeznaczamy „na wydatki“, drugim — obiecujemy dużo zimnej, czystej wody... Cha! Cha! Niechybny to środek! Stają się pokorni jak jagnięta...

Lenin milczał, a Fedorenko, widząc w tem niemą pochwałę, prawił dalej:

— Mamy lokale, gdzie zamknięci są ludzie, którym nie pozwalamy spać i doprowadzamy tem do obłędu lub zeznań. W innych znów działamy na upartych „moralnym biczem“. Słyszą oni, że w sąsiedniej celi torturują ich żony lub dzieci... Lecz to wszystko dla najbardziej zatwardziałych! Takich mamy nie dużo... Najczęściej wystarcza nastraszyć parę razy tem, że są już prowadzeni na stracenie... Zaczynają śpiewać wszystko, co wiedzą...!

Fedorenko pobiegł naprzód i otworzył drzwi.

Weszli do sporej sali, o łukowatych sklepieniach, oświetlonej kilkoma jasnemi lampami. W kącie stało biurko i dwa taburety.

Na murach pozbawionych okien, widniały bryzgi i czarne strugi skrzepłej, wżartej w cementowy tynk krwi.

Dzierżyński usiadł przy stole, posunąwszy drugi taburet w stronę Lenina.

Chuda, zaciekła twarz, gorejące, bezsenne oczy i trzęsące się palce Dzierżyńskiego przerażały Lenina. Przyglądał się z lękiem źrenicom nieruchomym i co chwila opadającym

powiekom, spostrzegał straszliwą zaciętość i bezmyślne okrucieństwo krzywiących się ust, nie znających śmiechu.

— Torquemada — średniowieczny inkwizytor, czy kat rewolucji paryskiej, Fouquier — Tinville? — przyszła Leninowi do głowy myśl nagła i dręcząca.

Zdawało mu się, że coś nader ważnego zależy od prawidłowej odpowiedzi na to pytanie.

Fedorenko krzyknął do żołnierza, stojącego przy wejściu:

— Biegnijcie po Marję Aleksandrównę! Niech się śpieszy!

Lenin nagle się skrzywił prawie boleśnie.

— Nazywajcie, towarzysze, tę agentkę swoją jakoś inaczej, nie... Marją Aleksandrówną... — szepnął i nagle zmrużył oczy skośne ze wściekłością, gotową wybuchnąć z całą siłą.

— Dlaczego? — spytali ze zdziwieniem. — Towarzyszka Łopatina jest akuszerką i wyświadcza nam niepospolite przysługi w sądowych procesach kobiet.

Lenin, zaciskając pięści, syknął:

— Dlatego, że...

Urwał nagle. Uświadomił sobie, że serce mu się zbuntowało przeciwko czerwonej, otyłej agentce, ośmielającej się nosić imię jego matki, zmarłej przed czterema laty, samotnej, wiecznie stroskanej staruszki.

— Dlatego, że... — powtórzył i spostrzegł w tej chwili szydercze błyski w zimnych oczach byłego żandarma. Pohamował się gwałtownie i uśmiechnął się chytrze. Strzepnął palcami i dokończył głosem beztroskim:

— Ech — drobiazg! Wprost imię to nasunęło mi pewne wspomnienia, nie licujące z tak nieurodziwą osobą, jak obywatelka Łopatina. Ale to — bagatela! Nie zwracajcie na to uwagi, towarzysze!

Śmiał się wesoło, niewymuszenie, powtarzając:

— Jak Marja Aleksandrówna, to — niech będzie Marja Aleksandrówna!

Nie chciał, nie miał prawa pokazać nagle ogarniających go uczuć i słabości przed tymi ludźmi, trzymającymi wysoko sztandar dyktatury proletarjatu i opuszczającymi pięść jego na głowy wrogów.

Śmiał się więc, czując jednak, że spokój i równowaga nie powracają. Gdzieś głęboko w piersi podnosił się drobny

dreszczyk, wzmagał się, potężniał i wstrząsał całem ciałem z taką siłą, że aż głowa drżała i kurczyły się barki szerokie.

Do sali wpadła gromada Chińczyków. Krzyczeli chrapliwemi głosami, szczerzyli żółte zęby, krzywili dzikie, ciemne twarze.

Po nich weszło czterech dozorców, prowadząc bladą, słaniającą się Dorę Frumkin.

Pozostała naga, lecz nie usiłowała nawet zasłonić nagości swojej ramionami. Ręce były opuszczone bezsilnie. Tylko oczy ukryła pod powiekami i długiemi rzęsami czarnemi. Za nią wślizgnęła się okrągła, jak kula, Marja Aleksandrówna.

Oskarżoną postawiono przed stołem sędziów.

Mężczyźni ogarniali wzrokiem natchnioną twarz i piękne, budzące zachwyt kształty żydowskiej dziewczyny.

Lenin z zapartym oddechem patrzył na to białe ciało i myślą biegł wstecz, ku tym dniom, gdy zachwycony stał przed marmurowemi posągami mistrzów w Luwrze, Dreznie, Monachjum.

Jednak w tej sali o niskich sklepieniach i mdłej woni nie mógł nie myśleć, że pod białą, gorącą skórą dziewczyny krąży krew, bije serce, miotają się myśli i uczucia, pręży się dusza w rozpaczy i tęsknicy niewypowiedzianej.

Raptem przyszły mu na pamięć urywki z „Pieśni nad Pieśniami“.

— Lepsze są piersi twoje nad wino. Piękne są jagody lica twego, jako synogarlice; szyja twoja, jako klejnoty! Otoś ty jest piękna, a oczy twoje, jako gołębice, włosy twoje jako stado kóz, które zstąpiły z góry Galaad! Zęby twoje, jako trzody owiec postrzyżonych, wychodzących z kąpieli! Jako tkanina karmazynowa wargi twoje oprócz tajemnych twoich; jako połowy równe jabłka granatowego, tak jagody twoje! Jako wieża Dawidowa szyja twoja. Dwie piersi twoje, jak dwoje bliźniątek sarny, które się pasą między liljami!...

Myśli jego przerwał drwiący głos Fedorenki:

— Czy powiesz, dziewko, kto posłał ciebie, abyś strzelała do wodzów narodu?

Zamarła w nieruchomej postawie, świeciła się tajemniczą bielą marmuru, jak kamień milcząca.

— Jeżeli nie wskażesz innych zbrodniarzy, umrzesz w mękach! — zawołał żandarm i, podbiegłszy do dziewczyny, zaczął kopać ją, drapać piersi, wyrywać włosy i pluć w twarz.

— Żydówka, wraża krew! ty... ty...

Jął wyrzucać straszne, ohydne słowa, padające, jak bryzgi cuchnącej, zgniłej cieczy.

Dora Frumkin oczu nie podniosła nawet. Milczała, podobna do głazu nieczułego, obojętna na wszystko, jakgdyby życie już odleciało od niej.

Fedorenko powrócił na swoje miejsce i uderzył pięścią w stół.

— Z tą dziewką nic sobie nie poradzimy — szepnął. — Hej, tam który! Przyprowadźcie tu aresztowaną z siódmej celi!

Nie zwracając uwagi na nikogo, chodził po sali, klnąc ponuro.

Wprowadzono sędziwą żydówkę. Dwuch Chińczyków trzymało ją za ręce.

Ujrzała stojącą nagą dziewczynę i nagle osunęła się na ziemię z jękiem przeciągłym:

— Dora...

— Mino Frumkin! Jako matce oskarżonej o zamach na życie towarzyszy Lenina i Trockiego, radzę wam namówić córkę, aby powiedziała nam prawdę, bo inaczej zginie śmiercią straszliwą!

Stara żydówka jęczała, wbijając zrozpaczone, gorejące oczy w zamarłą nieruchomą twarz dziewczyny.

— Dora... córuchno! — łkała.

Drgnęły powieki dziewczyny, dreszcz wstrząsnął nagiem ciałem.

Na chwilę, krótką, jak gasnąca w mroku iskra, otwarły się oczy płomienne, zajaśniały źrenice i znowu znikły za zasłoną długich rzęs.

W tem jednem spojrzeniu była odpowiedź i rozkaz. Chwytając się za siwe włosy, matka kiwała się i zawodziła głucho, żałośnie:

— A... — a — a... a!

— Może Mina Frumkin wie coś o zamachu? — spytał Dzierżyński, zaciskając kurczącą się twarz i szarpiąc brodę.

— A... a... a... a! — jęczała stara żydówka.

— Postawić tę wiedźmę i zmusić, aby patrzyła! — krzyknął Fedorenko.

Żołnierze podnieśli Minę Frumkin, a otyła, czerwona Marja Aleksandrówna spoconemi palcami rozdzierała jej powicki.

Fedorenko skinął na Chińczyków.

Popchnęli Dorę do muru. Czterech żołnierzy rozkrzyżowało ją na ścianie, a dwuch, wydobywszy noże, stanęło przy niej, oczekując sygnału sędziów.

— Zaczynaj! — warknął żandarm.

Przywarli do nagiego ciała, jak drapieżne zwierzęta.

Rozległ się cichy, przenikliwy syk i ostry zgrzyt zębów.

Chińczycy odbiegli ze śmiechem chrapliwym i skowytem.

Na murze bielało nagie ciało dziewczyny, a krew spływała po niem z odciętych piersi...

— A — a — a — a! — wyła matka, szamocąc się z trzymającymi ją żołnierzami.

— Kto posłał ciebie na morderstwo? — spytał Fedorenko.

Żadnej odpowiedzi. Tylko Mina Frumkin wyła coraz rozpaczliwiej, niby głodna wilczyca, z sykiem i świstem rwał się oddech Dory.

— Dalej!... — rzucił Dzierżyński.

Chińczycy uderzyli nożami w oczy dziewczyny. Płomienne, natchnione rozpłakały się krwawemi łzami...

— A... a... a.... a... — miotało się pod sklepieniem rozpaczliwe, obłędne zawodzenie sędziwej żydówki.

Z głośniejszem syczeniem oddychała męczona.

— Powiedz, kto posłał ciebie... — zaczął Fedorenko, lecz przerwał mu blady Lenin. Skośne oczy ciskały iskry, a palce kurczyły się i prostowały.

— Skończyć! — krzyknął nieswoim głosem, zrywając się z miejsca.

Fedorenko zwrócił na niego zimne, szydercze oczy i z pogardliwą uprzejmością pochylił głowę.

— Skończyć! — powtórzył.

Jeden z Chińczyków uderzył nożem.

Nagie, skrwawione ciało, nagle obmiękłe, skulone, upadło na cementową posadzkę.

W tejże chwili Mina Frumkin wyrwała się z rąk żołnierzy, odtrąciła usiłującą pochwycić ją agentkę, przywarła, wczepiła się rękami w martwe ciało córki.

Żandarm w milczeniu wskazał na staruchę oczami i opuścił rękę ku ziemi.

Nim przyskoczyli żołnierze, stara żydówka podniosła się, i, potrząsając siwą głową rzuciła jakieś słowo.

Hebrajskie, jedno tylko słowo, bo wtem spadł ciężki cios kolby. Zwinęła się i ciałem swojem przykryła umęczoną córkę.

— Twarde sztuki... — mruknął Dzierżyński, zapalając papierosa.

— Zbyt pośpieszyliśmy się... — zauważył Fedorenko niezadowolonym głosem. — Gdyby tak jeszcze pomęczyć... Marja Aleksandrówna ocuciłaby zemdloną... dokonalibyśmy jeszcze parę operacyj... może, powiedziałaby sama, lub ta... stara klacz.

Lenin podszedł do niego i zajrzał mu w oczy.

Wiedział, że, gdyby był tu Chalajnen, kazałby mu przebić bagnetem tego kata, w eleganckim granatowym tużurku. Teraz musi go uderzyć w twarz, obalić na ziemię i deptać nogami, jak gadzinę jadowitą, podłą.

Czuł, że coś nakazuje mu tak postąpić z tym oprawcą w tużurku granatowym i jasnym krawacie.

Już wyciągał z kieszeni pięść zaciśniętą, gdy nagle Fedorenko z uprzejmym uśmiechem, nisko pochylając głowę, przemówił drwiącym głosem:

— Towarzysz Włodzimierz Iljicz przekonał się teraz, że służymy proletarjatowi wiernie i oddanie? Staliśmy się maszyną, która gniecie do szczętu jego wrogów i pozbawia życia odrazu setki ludzi. Proletarjat powinien zwalczyć! Siła i postrach są jedyną bronią jego! Ona ugnie filozofów, uczonych, poetów...

Ten straszny człowiek powtarzał jego słowa!

On — Włodzimierz Lenin, rzucając je w miljonach gazet, ulotek, plakatów i telegramów stał się twórcą „czeki", wodzem tego szalonego, fanatycznego obłąkańca — Torquemady — Dzierżyńskiego i tej żmii z szeregów żandarmskich, ich ojcem duchowym, ich natchnieniem.

Zrozumiał to odrazu, wszystko przypomniał sobie i uświadomił, wskrzesił w pamięci artykuły wrogów, oskarżających go o to, że ukrzyżował, storturował, pohańbił Rosję.

— Tak, jak Fedorenko, — Dorę!... — pomyślał.

On to uczynił, nie Fedorenko, nie Dzierżyński, nie inni, tylko on, który zwołał pod swoje sztandary dzicz pół-mongolską, pijaną od wódki, krwi i nienawiści, mścicieli, obłąkańców, zbrodniarzy, ponurych katorżników, prostytutki...

On, tylko on — Włodzimierz Uljanow — Lenin, a więc...

Uśmiechnął się do Fedorenki łagodnie i odparł:

— Istotnie, służycie wiernie proletarjatowi! Nie zapomni on o wdzięczności dla was, towarzysze!... Narazie trudno pozostawać obojętnym...

— My już przyzwyczailiśmy się — syknął Dzierżyński. — Coraz szersze koła ludności uważane są przez Radę komisarzy ludowych za wrogów, więc musimy się śpieszyć, aby nadążyć... aby nadążyć za wami, towarzyszu!

— Tak, tak! — kiwając głową, szeptał Lenin, starając się zachować spokój i uprzejmy uśmiech na żółtej twarzy mongolskiej.

Odprowadzony przez Dzierżyńskiego, Fedorenkę i patrol wewnętrzny wsiadł do samochodu i odjechał do Kremlu.

Czekał na niego sekretarz.

— Ważne doniesienia od naszej delegacji pokojowej — rzekł, podając kilka telegramów.

Lenin usiadł przy biurku i odczytywał depesze Trockiego. Zmarszczył brwi i tarł czoło. Wieści nie były pomyślne. Niemcy wystawili nowe, jeszcze bardziej ciężkie żądania. Członek delegacji rosyjskiej, były generał carski, Skałon, pozbawił się życia, zostawiając pełen oskarżeń list.

— Odpowiem jutro, po posiedzeniu Rady, — szepnął. — Proszę zwołać ją na godzinę 8-mą rano.

Sekretarz wyszedł, lecz wkrótce zapukał do drzwi.

— Towarzysz Dzierżyński przysłał motocyklistę z pismem — rzekł, wchodząc. — Prosi o natychmiastową odpowiedź.

Podał kopertę. Lenin otworzył ją i wyjął czerwony arkusik z wyrokiem śmierci dla obywatelki Remizowej, u której przed zamachem mieszkała Dora Frumkin. Na osobnej kartce prezes „czeki“ pisał że skazana wniosła prośbę do towarzysza

Lenina o miłosierdzie. Dzierżyński doradzał odmowę, gdyż jakiś stosunek pomiędzy straconą Frumkin a obywatelką Remizową istniał niezawodnie.

— Remizowa?... Remizowa? — powtórzył Lenin. — Kiedyś słyszałem to nazwisko...

Wzruszył ramionami i napisał na czerwonej kartce dwa słowa:

— Wyrok zatwierdzam.

Sekretarz opuścił gabinet.

Lenin chodził po pokoju. Czuł dreszcze i chłód przenikliwy. Nie mógł się uspokoić.

— Napiłbym się gorącej herbaty... — pomyślał.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła godzina czwarta. Zamieć nie ustawała. Siekła szyby, szeleściła po murach, wyła w kominach.

Lenin starał się o niczem nie myśleć. Wiedział, że natychmiast ogarną go ciężkie zwątpienia, osłabiające wahania, zrodzone pod sklepieniem „czeki". Tymczasem musiał być twardy, nieustępliwy i spokojny, bo przeczuwał nową potyczkę w Radzie komisarzy. Już zaczął obmyślać plan swego przemówienia i sposób postępowania z najbardziej odpornymi towarzyszami, gdy spostrzegł leżącą na posadzce kopertę listu Dzierżyńskiego.

Podniósł ją i przeczytał czerwony napis: „Wszechrosyjska nadzwyczajna komisja śledcza w sprawach kontrrewolucji, sabotażu i spekulacji".

— Śledcza komisja? Czeka — uśmiechnął się Lenin, podnosząc ramiona. — Nie! Jest to nieznana dotąd forma sprawiedliwości. Rękawica, rzucona moralności całego świata! Oskarżyciel i — jednocześnie sędzia i kat!... To nie mieści się w żadnej prawniczej głowie zachodniej! U nas, w Rosji, „świętej" ujdzie! Przecież policmajster Bogatow opowiadał, że chłopi sami oskarżyli cygana i Tatarów o kradzież koni, sami osądzili na śmierć i pokarali ich, zabijając drągami i oddając na pożarcie mrówkom! Chłopów to nie zdziwi, a o nich mnie tymczasem najwięcej chodzi!

Zaśmiał się głośno i kręcił kopertę w palcach. Po chwili spostrzegł, że we wnętrzu jej leży mały, zmięty skrawek papieru.

Rozwinął i krzyknął przeraźliwie.

Była to kartka, na której przed trzema miesiącami napisał dla Heleny Aleksandrówny Remizowej upoważnienie na zwracanie się do niego osobiście w każdej sprawie...

Remizowa! Helena... Remizowa.

Złocista główka, pochylona nad haftem, niebieskie oczy, pełne łagodnych błysków... namiętne usta, posyłające go na zemstę za powieszonego brata... To — ona prosiła go o miłosierdzie?!

Skoczył do telefonu. Wywoływał numer „czeki".

Dzierżyński długo nie podchodził do aparatu. Wreszcie Lenin usłyszał jego głos.

— Proszę tymczasem zawiesić wyrok nad Remizową i jutro porozumieć się ze mną! — krzyknął zdyszanym głosem.

Dzierżyński nie odpowiadał. Widocznie, przeglądał papiery. Ich ostry szelest wyraźnie dochodził uszu Lenina.

— Obywatelka Remizowa, Helena Aleksandrówna, zamięszana w sprawie zamachu z dnia 1 stycznia roku bieżącego; oskarżonej udowodniono, że w jej mieszkaniu w Petersburgu, przy ulicy Preobrażeńskiej pod nr. 21, przebywała wykonawczyni zamachu, obywatelka Dora Frumkin. Obywatelka Remizowa została skazana na śmierć przez rozstrzelanie — powolnym głosem czytał Dzierżyński.

— Wstrzymajcie wyrok do jutra... — znowu krzyknął Lenin.

— Przed kilkoma minutami powiadomiono mnie, że wyrok został wykonany. Właśnie czytam: Remizowa, No. 1780, przesłana z Petersburga w związku z...

Lenin rzucił słuchawkę i ryczał:

— Przekleństwo... Przekleństwo!... Podły potwór... Kat krwawy... bez serca... obłędny... zbrodniczy....

Zwykle sprawnie pracujący umysł zadał odrazu pytanie:

— Kto? O kim mówisz?

Lenin ścisnął skronie i zawył przeciągle, tak, jak wyła zrozpaczona, oszalała sędziwa żydówka w lochach „czeki".

— To ja—a! To ja — a — a!

Drzwi się uchyliły i do gabinetu zajrzał zaniepokojony sekretarz.

Lenin odrazu zamilkł, zacisnął zęby, oczy zmrużył i, wkładając ręce do kieszeni, spytał obojętnie:

— Co się stało?

— Zdawało mi się, że... wołaliście, Włodzimierzu Iljiczu...

— Nie! — odparł krótko. — Lecz dobrze, że przyszliście. Siadajcie i piszcie. Będę dyktował.

Chodził po pokoju, kurczył i prostował palce i rzucał urywane zdania:

— Jakkolwiek ciężki będzie pokój dla Rosji... pamiętać... pamiętać musimy, że... wszelkie ofiary... nawet życie swoje... i najbliższych... najdroższych... najdroższych istot... powinniśmy oddać... dla dobra proletarjatu... który wyrwie wrogom wszystko... co w tej chwili straciliśmy...

Sekretarz zapisał i czekał.

Lenin nie odzywał się... Stał przed oknem, nieruchomy.

Głowa dyktatora trzęsła się, szerokie ramiona podnosiły się i opadały... w oczach czuł gryzący żar...

— Mnie nikt, nikt nie zwróci Heleny... Heleny...

Łza stoczyła się po żółtych policzkach, pozostawiając po sobie palący ślad.

Lenin ścisnął palcami gardło, aby nie zawyć, westchnął głęboko, ukradkiem obtarł wilgotne oczy, odwrócił się i głuchym, chrapliwym głosem wyrzęził:

— Jutro dokończymy, towarzyszu... Znużony jestem... Myśl nie pracuje. Ciemno dokoła... zamieć jęczy... mroźno... Noc już głęboka... tylko umierać można... umierać... w taką noc przeklętą!

Spojrzał na zdziwionego sekretarza i nagle krzyknął cienko, przenikliwie:

— Precz! Precz!

Młodzieniec wypadł wylękły.

Lenin odtworzył w pamięci fanatyczną, drgającą twarz Dzierżyńskiego, wzdrygnął się cały, zatkał palcami uszy i oczy, zwarł szczęki i runął na kanapę, sycząc:

— Helenę zabito! Zabito...

Pode drzwiami zmieniali się żołnierze na czatach i powtarzali ponuremi głosami parol nocny:

— Lenin... Lenin...

ROZDZIAŁ XXVIII.

Moskwa umierała... z głodu, przerażenia i nieustającego ani na chwilę rozlewu krwi.

Przebrzmiały już echa haniebnego pokoju z Niemcami.

Lenin przypominał sobie te dni z dreszczem i wstrętem. On — Rosjanin był zmuszony błagać komisarzy — żydów i Łotyszów, aby przystali na niewymownie ciężkie, upokarzające warunki niemieckie, bo, nie osiągnąwszy pokoju, władza proletarjatu rozwiałaby się, jak zła mara. Uzyskawszy z trudem zgodę towarzyszy, westchnął z ulgą i raz jeszcze dowiódł, że dyktatura proletarjatu w istocie swej była dyktaturą dziennikarzy.

W setkach artykułów haniebny pokój był przedstawiony, jako dobrodziejstwo nowego rządu, zamierzającego dać Rosji możność odetchnięcia i nabrania nowych sił. Oszukiwano i ogłupiano łatwowiernych robotników i ciemnych chłopów obietnicą bliskiej rewolucji w Niemczech i połączenia się z towarzyszami Zachodu, skąd Rosja miała czerpać nowe zasoby dla szybkiego rozwoju kraju i prześcignięcia „zgniłej Europy".

Zamilkły te echa.

Zubożała, wyludniona Moskwa pędziła nędzne istnienie, a chlaszcząca i łopocąca na wietrze czerwona chorągiew komunizmu, zdawało się, odliczała, nakształt aparatu kontrolującego, wciąż nowe i nowe potoki krwi, wylewanej przez „czeka" na Bolszoj Łubiance i na Arbacie.

Na rynkach i placach snuły się ponure, obszarpane, wychudłe postacie dawnych urzędników, oficerów, inteligentnych kobiet, nieraz arystokratek, które nie zdążyły ukryć się na Krymie lub zagranicą. Mężczyźni sprzedawali na ulicach resztki mienia, papierosy i dzienniki; starsze kobiety — jakieś pieczywo i łakocie, przyrządzane w domu, młodsze coraz częściej — własne ciało.

Milicja i patrole wojskowe polowały na ubogich, wynędzniałych „spekulantów“, odbierały ich lichy zarobek i wtrącały do lochów „czeki“, gdzie gnano ich pod ziejący kulami karabin maszynowy, ustawiony w groźnem okienku suteryny. Nikt nie miał czasu zajmować się drobnemi sprawami, karać więzieniem i żywić w okresie szalejącego głodu. Załatwiano się szybko i raz na zawsze. Kulomiot przez całe noce rzygał kulami.

Czarny samochód wyrzucał ze swego wnętrza nowe stosy trupów, odwożąc je za miasto.

Od czasu do czasu przez ulice Moskwy pędziły limuzyny dworskie z komisarzami w skórzanych kurtkach i z nieodstępnemi teczkami pod pachą, godłem władzy nad życiem i śmiercią zwalczonego i uciemiężonego społeczeństwa.

Po nocach do głodnych wilków podobne sunęły patrole, wdzierały się do mieszkań wystraszonych obywateli, przeprowadzały rewizje, zabierały ze sobą mężczyzn, kobiety, dzieci, gnały ich na poniewierkę i śmierć.

Po napadzie władz skradały się inne gromady. Byli to bandyci; pod postacią komisarzy wdzierali się do domów prywatnych, dokonywali gwałtów i grabieży, staczali walki z milicją i zrozpaczonymi mieszkańcami znękanej stolicy.

Milczały dzwony kościelne, a na placach i Moście Kuźnieckim orkiestry wojenne hałaśliwie grały „Międzynarodówkę“. Cerkwie, muzea, uniwersytet stały zamknięte, opustoszałe, lecz w teatrach i teatrzykach najlepsi artyści, z niedawnym ulubieńcem cara, Teodorem Szalapinym na czele, śpiewali, grali, tańczyli i dawali przedstawienia przed gawiedzią uliczną, pijanemi od krwi żołnierzami, wyrzutkami, ciemnemi i zbrodniczemi, wynurzającemi się z dna rosyjskiego życia.

Lenin po pamiętnej nocy, spędzonej u Dzierżyńskiego, z Kremlu nie wyjeżdżał.

Posiadał ścisłe wiadomości, że po Moskwie grasuje nieuchwytny Borys Sawinkow, odważny terorysta, przygotowujący zamachy. Dowodziły tego codziennie niemal znajdywane trupy zabitych komisarzy i agentów rządu.

Na Dzierżyńskiego i Fedorenkę, idących w przebraniu, na jednej z ludnych ulic uczyniła napad grupa Polaków, zabi-



OFICER CZERWONEJ ARMJI



MARYNARZ Z ODDZIAŁU, WYSŁANEGO PRZECIWKO ADM. KOŁCZAKOWI

jając dawnego żandarma i raniąc prezesa „czeki“. Żydowska organizacja tajna tępiła swoich rodaków, pracujących w moskiewskiej „czeka“, którą kierował podstępny i okrutny Guzman. Młody oficer Klepikow, nieodstępny towarzysz Sawinkowa, celnemi strzałami kładł trupem ludzi w skórzanych kurtkach, w sposób niepojęty unikając pościgu i zasadzek.

Trockij, Kamieniew, Rykow i Bucharin bez silnej eskorty nie mieli odwagi pokazać się za murami strzeżonego przez Łotyszów i Finnów pałacu Kremlińskiego.

Zaczęły kursować wieści, niepokojące, straszne dla nowych władców.

Powstał jakiś nieznany jeszcze „związek ratowania ojczyzny i wolności“, przygotowujący powstanie i marzący o zdobyciu Moskwy, zgniecionej krwawemi rękami Lenina, Trockiego i Dzierżyńskiego, oraz Piotrogrodu, gdzie szalał Zinowjew.

„Czeka“ porywała coraz to nowe setki, tysiące winnych i niewinnych ludzi i miażdżyła ich kołami swej krwawej maszyny.

Do Moskwy nadchodziły protesty z zagranicy, na co Rada komisarzy ludowych odpowiadała pełnemi wykrętów i fałszu notami, podyktowanemi przez Lenina, a Guzman dokonywał napadów, zamordował angielskiego kapitana Kromy, kilka rodzin francuskich, wreszcie polecił swemu agentowi Blumkinowi, aby sprowokował zamach socjal-rewolucjonistów na posła niemieckiego w Moskwie, barona Mirbacha...

Lenin, czytając energiczne protesty w pismach cudzoziemskich, mrużył oczy i śmiał się, mówiąc:

— Wszystko to obłudne sztuczki! Europa upiła się krwią i wszystko zniesie, wytrzyma i ze wszystkiem się pogodzi! Przecież, bojąc się nas, rzucając gromy przekleństw, kokietuje nas, jak stara prostytutka! Pamiętacie, jak błagalnie i służalczo zaglądali nam w oczy przedstawiciel Francji — kapitan Sadoul, angielski agent Lockart, Amerykanin Robins, podesłany przez posła Stanów Zjednoczonych? Nie udało im się powstrzymać nas od podpisania traktatu pokojowego i przeszkodzić organizacji armji dla celów rewolucyjnych, więc się miotają i odgrażają. Ale, powiadam wam,

towarzysze, dość kiwnąć na nich palcem i oznajmić, że, chociaż nie uznajemy żadnych umów cara z nimi, jednak damy im koncesje na Kaukazie lub Uralu, — natychmiast przybiegną i, jak psy, ogonem merdać zaczną!...

Nadchodziły do Kremlu stosy listów i podań z prośbami o litość dla ludzi, umierających w więzieniach i skazanych na karę śmierci.

Podania te były skierowywane najczęściej do Lenina, niektóre — do żony wszechwładnego dyktatora.

Pewnego razu Krupskaja przyszła do męża i nieśmiałym głosem mówić zaczęła:

— Słyszałam, że Dzierżyński, Wołodarskij, Urickij i Guzman dopuszczają się niebywałych okrucieństw... Chciałam prosić, abyś się wdał w te sprawy, bo to, przecież, są rzeczy okropne, nie do zniesienia, hańbiące proletarjat, naród, rząd!

Lenin opuścił głowę.

Krupskaja spostrzegła, że koło uszu męża wyrosły potężne guzy mięśni.

Nagłym ruchem zwrócił do niej wykrzywioną gniewem i rozpaczą twarz i krzyknął cienkim głosem:

— Ja tylko mogę wszystko znieść... wszystko zdławić w sobie, a oni — wrogowie narodu zasługują na miłosierdzie?! Naturalnie! Ja muszę zacisnąć serce, w dzień i w nocy odpędzać od siebie czarne, straszliwe myśli, bo to — Lenin, potwór, oprawca, warjat, a oni — biedni, niewinni, skrzywdzeni! Odejdź precz i nie waż się mówić mi o litości!

Maksymowi Gorkiemu, napadającemu na straszliwą „czeka", odpowiedział listem opryskliwym i raz na zawsze zmusił pisarza nie tylko do milczenia, ale nawet do obłudnych tłumaczeń okrucieństwa rosyjskiego narodu.

W dziennikach swoich dyktator opublikował oświadczenie, żeby nie zwracano się do niego lub do żony w sprawach uwięzionych, gdyż prośby skutku mieć nie będą.

W marcu nadeszły pierwsze doniesienia o zbrojnych powstaniach przeciwko władzy Sowietów. Długi okres wojny domowej, niezdecydowanie i opieszale podtrzymywanej przez dawnych aljantów, rozpoczął Jarosław, po długiej walce

utopiony we krwi powstańców, gdyż, oprócz zabitych w bitwach, stracono z wyroku sądu doraźnego 3500 oficerów.

W Penzie jeńcy wojenni — Czesi, sformowawszy pod dowództwem generałów Czeczeka, Syrowoja i Hajdy, swoje pułki, rozpoczęli marsz na Ural.

Podnosili się kozacy na Donie, Kubani, w Orenburgu, w Zabajkalu. Wypływały na widownię dziejową znane imiona „białych" wodzów: Korniłow, Kaledin, Krasnow, hetman Dutow, Denikin, Wrangel.

Zdemoralizowani żołnierze i niesforne tłumy robotników, należących do czerwonej armji, cofały się wszędzie w nieładzie, ściągając ku Moskwie.

Na zachodzie, północy i na Syberji zaczynali działać generałowie Judenicz, Miller, Ałmazow, Kołczak, hetman Siemionow i groźny szaleniec i mistyk „biały Dzierżyński" — Ungern-Sternberg.

Uciemiężony naród podnosił głowę. Wszyscy wyglądali zbawców i byli gotowi dopomóc im.

Rada komisarzy ludowych traciła głowę. W panice przybiegali towarzysze do swego wodza i krzyczeli, rwąc na sobie włosy:

— Ostatnia bije godzina! Śmierć idzie... Co powiecie, Włodzimierzu Iljiczu? Co z nami będzie?

Lenin uśmiechał się szyderczo i mówił:

— Co będzie? Was powieszą biali za złodziejstwo i morderstwo, mnie — za ideę, a wszystkich ryczałtem — za szyję! Nie chcecie tego? No, to trzeba skończyć z udawaniem wielkich administratorów. Do pracy się bierzcie, towarzysze, tak, jak to było w dni rewolucji październikowej! Trockij, dobry organizator, niech bierze Tuchaczewskiego, Brusiłowa, Budennoja, Blüchera, Frunzego i Ejche, niech tworzy na gwałt prawdziwą armję, agituje, przyciąga do naszych szeregów wszelkiemi sposobami i obietnicami niemieckich, austrjackich, węgierskich jeńców wojennych i byłych cesarskich oficerów, niech rozpoczyna wojnę obronną i zaczepną! Ogłosić musimy, „wojenny komunizm" i rzucić hasło: wszystko dla wojny w imię zwycięstwa proletarjatu!

— Kontr-rewolucja posiada znaczne siły i zostanie podtrzymana przez Francję, Anglję i Japonję — zauważył Ka-

mieniew. — Mam wiadomości od naszych agentów Joffego, Worowskiego, Litwinowa, Radka, że interwencja już postanowiona w Paryżu i Londynie; mówią nawet o możliwości blokady w celu zagłodzenia Rosji...

Lenin zaśmiał się.

— Nie taki straszny djabeł, jak go malują, towarzysze! — zawołał. — Trudna jest interwencja i posyłanie desantów do Rosji z jej pustemi przestrzeniami! Wszystko się ograniczy najwyżej do portów... Bagatela! Nasi domowi patrjoci sami się rozsypią, jak bałwany z wysychającej gliny!

— Niewiadomo! — wtrącił Rykow. — Tam są zdolni, bojowi dowódcy, jak generałowie Korniłow, Denikin, Wrangel, Judenicz...

— Niezawodnie! — wzruszył ramionami Lenin. — My przeciwko nim poślemy krawca-dziennikarza Trockiego, żółtodziobego kapitana Tuchaczewskiego, wachmistrza Budennoja... Oni będą wkuwać w chłopskie łby zawsze tylko jedno: „Władza — wieśniakom i robotnikom, wolność i szczęście — proletarjatowi", a „biali" generałowie narazie mrukną: „ziemia chłopom", a po pierwszem zwycięstwie zaczną gardłować: „Niech żyje wielka, niepodzielna Rosja, niech żyje ojczulek — car!" Hm, hm! Jak myślicie: pójdą za nimi chłopi, którzy zagarnęli już ziemię i powyrzynali swoich panów? Nigdy! Chodzi więc o dwie rzeczy: wdębić w głowy chłopom i robotnikom, że „biali" niosą im stryczek, i przygotować armję do poważnych działań wojennych!

Wszyscy milczeli i z głębokim szacunkiem słuchali głuchego, pewnego siły i przekonania głosu Lenina.

On zaś zamyślił się i rzekł po chwili:

— Jest jeszcze jedna sprawa... ważna, bardzo ważna i nagła! Musimy przewieźć cara z Jekaterynburga do Moskwy. Nie możemy oddać go „białym"! Stanie się on niebezpieczną dla nas bronią w ich ręku... Dziś na wieczór ogłaszam posiedzenie, na które przybyli wezwani przeze mnie towarzysze z Jekaterynburga.

W gabinecie Lenina tegoż dnia odbyła się tajemnicza narada. Komisarze i członkowie komitetu wykonawczego: Swerdłow, Trockij, Kalinin, Bucharin, Dzierżyński ze swoimi agentami Awanesowym i Petersem, kierownicy „czeki" w

Jekaterynburgu: Pieszkow, Jurowskij i Wojkow naradzali się długo nad tem, dokąd ma być przewieziona rodzina cesarska.

Wobec szalejących wszędzie pomiędzy Wołgą a Uralem powstań, postanowiono było pozostawić czasowo Mikołaja II. w domu Ipatjewa w Jekaterynburgu pod dozorem miejscowej Rady robotniczych, żołnierskich i włościańskich delegatów.

Na tem skończyła się narada i towarzysze opuścili gabinet dyktatora.

Lenin zatrzymał tylko komunistów, przybyłych z Jekaterynburga i długo jeszcze rozmawiał z nimi.

— Gdybym powiedział, że cara i rodzinę jego powinniśmy zgładzić, komisarze moskiewscy natychmiast podnieśliby krzyk. Są nader wrażliwi na odezwy dzienników cudzoziemskich! Z wami będę mówił otwarcie...

Pochylił się do Wojkowa, Jurowskiego i Pieszkowa, szepcąc:

— Przy najmniejszem niebezpieczeństwie zajęcia waszego miasta przez „białych", zabijecie całą rodzinę „Mikołaja Krwawego", nikogo nie szczędząc, aby świadków nie pozostało! Wiecie, że zaczną się dochodzenia, awantury, krzyki! Krewniacy z Niemiec i Anglji, którzy dotychczas nic dla poratowania Romanowych nie uczynili, nagle staną się szlachetni, pełni współczucia! Żałobę przy dworze ogłoszą! Cha — cha! Rada komisarzy ludowych będzie zmuszona złożyć wtedy całą odpowiedzialność za mord na waszą radę jekaterynburską. Musicie kogoś oskarżyć i stracić, aby się na tem sprawa urwała na zawsze.

— Oskarżymy prezesa naszej Rady Jachontowa, bo to były mieńszewik, człowiek niepewny! — zauważył ze śmiechem Wojkow.

— Znajdą się i inni — dodał Jurowskij, znacząco patrząc na towarzyszy.

— Zgładzenie Romanowych poleciłbym towarzyszom Jurowskiemu i Biełoborodowowi — rzekł Pieszkow.

— Podtrzymuję zdanie towarzysza — powiedział Wojkow, zgarniając wtył jasne, kędzierzawe włosy.

— Dobrze, polecam to wam, towarzyszu Jurowskij! — zawołał Lenin, — a uprzedźcie mnie o tem telegraficznie, tylko bardzo konspiracyjnie... O naszem dzisiejszem postanowieniu nikt nie powinien wiedzieć. Nikt!

Spojrzał na nich badawczo, przenikliwie i żegnać zaczął. Po wyjściu ich, Lenin zatarł ręce i szepnął:

— Spełni się jedyne osobiste marzenie całego mego życia!...

Odprowadzał na dworzec odjeżdżających do Jekaterynburga komunistów i, ściskając im ręce, powtórzył kilka razy:

— A śpieszcie się, śpieszcie, drodzy towarzysze!

Czekał z niecierpliwością na wiadomości. Nie spał nawet, trawiony gorączką wewnętrzną i niepokojem drapieżnym. Nic go nie mogło poruszyć i wstrząsnąć.

Z obojętnością wysłuchał doniesienia o rozszarpaniu Wołodarskiego przez tłum w Piotrogrodzie, o zdobyciu Kazania przez „białych“, o zwycięskim pochodzie Czechów i klęskach „czerwonej armji“ na Syberji i pod Archangielskiem.

Nie mógł o niczem myśleć. W dzień i nocy widział przed sobą ukoronowaną głowę Romanowa, syna mordercy brata; napawał się jękami i łkaniem zabijanych dzieci cara, drżał na myśl, że, być może, wkrótce zostanie powołany do kabla telegraficznego i usłyszy umówione słowa:

— Jesteśmy gotowi...

Nareszcie w połowie lipca przyszła ta chwila wymarzona.

Telegrafował prezes Rady jekaterynburskiej, Jachontow. Omawiał sposoby obrony miasta i ochrony koronowanych więźniów przed zbliżającemi się „białemi“ wojskami.

Lenin szczegółowo wypytywał o wszystko, doradzał, dziękował Jachontowowi za wydajną pracę i oddanie się sprawie.

Po skończonej rozmowie telegraficznej pozostał przy aparacie i czekał. Po kilku minutach sygnalizował Jurowskij.

— Jesteśmy gotowi... — wystukał aparat.

— Skończcie! — zatelegrafował dyżurny urzędnik na rozkaz Lenina.

W trzy dni potem po całym świecie mknęła już ponura wieść, że car z najbliższą rodziną został zamordowany bez sądu w lochach domu Ipatjewa, zamienionego przez Radę jekaterynburską na więzienie najpotężniejszego niedawno monarchy w Europie.

Oskarżenia, spadające na Lenina z powodu bezprzykładnego okrucieństwa i bezprawia, nawet w okresie rewolucyjnym wołającego o pomstę do nieba, wkrótce umilkły. gdyż

serca ludzkie stwardniały, a myśl miotała się w krwawych oparach wojny, codziennego, uprawnionego mordu.

Oszukana Europa, zbici z tropu stronnicy cara i strwożeni chłopi uwierzyli, że prezes Rady jekaterynburskiej Jachontow wraz z komunistami Gruzinowym, Malutinym, sfanatyzowanemi obywatelkami Aproskinoj, Mironowoj i dziewięciu „czerwonymi żołnierzami“ bez wiedzy władz centralnych wymierzyli sprawiedliwość, podyktowaną gniewem ludu, zabijając Mikołaja Krwawego, jego małżonkę — księżniczkę Heską, dzieci i nieliczne oddane im osoby ze świty.

Lenin po śmierci rodziny cesarskiej odrazu się uspokoił. Mimo szalejącego jeszcze po całym świecie wichru napaści, oskarżeń, przekleństw, najczarniejszych przepowiedni, klęsk czerwonej armji i zwycięskiej ofenzywy kontr-rewolucyjnych wojsk, zachowywał niezwykły spokój. Odbywał nieskończone narady z inżynierami, zamierzając wprowadzić elektryfikację w kraju, aby ożywić zamierający przemysł i olśnić ludność ciemnej Rosji nowem dobrodziejstwem rządu proletarjackiego, obdarzającego ubogie chaty o strzechach słomianych — światłem elektrycznem.

Był tak tem przejęty, jakgdyby widział w elektryczności ucieczkę przed piętrzącemi się trudnościami.

Kryły się w nastroju dyktatora inne, głębsze przyczyny. Spadł z niego ciężar nieznośny. Czuł, że spełnił konieczny obowiązek, zakończył własne życie i teraz był wolny. Wolny od słowa, danego na zaraniu świadomości życiowej. Pamiętał o niem zawsze. Było dla niego tłem pracy i rozmyślań, wystąpień zuchwałych, zamiarów jeszcze śmielszych, stojących na granicy obłędu, czem przerażał wrogów i pociągał serca i dusze stronników.

Słowo to padło z ust jego w chwili najcięższej. Pamiętał o niej, jak o policzku, jak o krzywdzie niepomszczonej.

Widział oburzoną twarz dziewczęcą, ciskające ognie gniewu oczy niebieskie, rozwichrzone włosy złote i usta, wymawiające zdania napozór obojętne, a zatrute zwątpieniem, być może, pogardą.

Słowo jego, wymówione głosem ponurym, zimnym, stało się ciałem, stosem ciał skrwawionych, posiekanych, pohańbionych...

Nic go już teraz nie łączyło z przeszłością.

Istniał w przyszłości absolutnej, w nadbycie wielkiego organizmu narodu, może, całej ludzkości.

W duszy miał pustkę zimną, zagasłe pogorzelisko, jak człowiek, który zrobił ostatni wysiłek w wielkiej pracy całego życia; nad tą pustynią, gdzie nie było ani rozpaczy, ani nadziei, przelatywała spokojna, nieznająca wahań myśl.

Mknęła jak wicher płomienny, który dokoła rzucał błyski gorące, zapałał serca ludzi, burzył swym prądem wszystko napotkane na drodze, lecz dla niego była to martwa bryła, którą obracał, kuł i ciskał dalej w otchłań czasu, w pogmatwany labirynt wypadków.

Stawał się maszyną potężną, z obojętnością i pośpiechem wyrzucającą z siebie słowa, myśli i czyny, jakgdyby obce, zimne. Pracowała sprawnie z coraz większym rozpędem i szybkością, wchłaniając w siebie różne zewnętrzne zjawiska i przetwarzając je w inne — potrzebne, wielkie i małe, mocne, jak głazy, i kruche, niby cienkie, rozpryskujące się płytki szklane.

Innemi oczami zaczął patrzeć na ludzi.

Nie mierzył już ich zwykłą miarą wartości ludzkiej.

Widział przed sobą tylko części wielkiej maszyny, którą on, jak motor, nigdy nie spoczywający, poruszał bezustannie i gnał, pożerając przestrzeń i czas.

Już nie oglądał się na to, że różni ludzie, jak Trockij, Zinowjew, Stalin i Dzierżyński miotali się w systemie motoru, jak rozpętane, rozpędzone koła, nie myślał, że pomiędzy nimi mogą powstać tarcia i rozbieżność ruchu. Czuł, że on — motor nadaje wszystkiemu ogólny kierunek, jednakowo wartki pęd, wspólny bieg. Wiedział, że w razie nieharmonijnego ruchu nie zawaha się przed odrzuceniem zawadzającej części maszyny, że strzaska ją na setki odłamków, zniszczy, przetopi.

Siedząc w swoim gabinecie, zaciskał ręce i zastanawiał się nad tem, co już zrobił i do czego zmierzał.

Wtedy wypływała przed nim oświetlona meta, poza którą widział wyraźnie nowe życie ludzkości i jakieś nieznane słońce, wschodzące nad ziemią odrazu w zenicie. Cofając się wzrokiem wstecz, obojętnem okiem ogarniał zgiełk, chaos sprze-



LENIN WYGŁASZA MOWĘ W MOSKWIE

cznych dążeń i idej, ruiny, groby, stosy męczenników zamordowanych, miljony walczących, rzeki, morza czerwone od krwi, wdychał mdłe, zgniłe powiewy, zalatujące od wypełnionych trupami, ledwie przysypanych ziemią dołów.

— Zburzenie... śmierć... chaos i nic pozatem!... Dopiero zaczynam stawiać pierwsze kroki... — szeptał i pytał kogoś, podnosząc brwi:

— A może na tem tylko urwie się moje życie? Któż znajdzie w sobie upór i siły, aby wyprowadzić lud z chaosu i krwawej mgły? Kto poprowadzi dalej dzieło moje? Myśl o niem zrodziła się nie w chwili namiętnego uniesienia, nie w wichrze gniewu, nie w porywie oburzenia. W mękach poczęła ją dusza moja i w łonie swem nosiła pod sercem długie, męczeńskie lata! Żywiła ją octem i piołunem, poiła troską o ludzi, o ich pot, łzy i krew. Do snu kołysało zawodzenie jękliwe, szloch, nigdy nie milknący i nieukojony. Nauczały i błogosławiły na życie zuchwałe — wielka mądrość człowieka i wielka nędza jego serca, niezmierzona, dumna siła, tworząca wspaniałe dzieła i depcąca po miljonach słabych i ciemnych. Jakiś nakaz przedwieczny roztworzył oczy moje, abym ujrzał promienną sprawiedliwość, pogrążony w ohydzie zbrodni. Istota nieznana, potęga wszechwładna przecięła nić mego życia i pchnęła moją myśl, namiętności i siły na dzieło zburzenia, wstrząsu, opamiętania i tworzenia nowego bytu. Kto czuł ten nakaz? Kto słyszał głos, żądający ofiary i wysiłku na ustawienie wiech, wskazujących drogi? Gdzież jest ten, który przeżył chwile ekstazy niemej i może zastąpić mnie?

Niepokój ściskał mu serce. Znał twórców bolszewizmu rosyjskiego — swoich najbliższych pomocników. Byli to ludzie zuchwali, przejęci ideą, ambitni, nie znający żadnych hamulców. Jednak nie byli podobni do niego. On zaś — utkany z woli i myśli, posiadał umysł praktyczny, giętki, pozbawiony dążeń egoistycznych. Indywidualista nieograniczony, absolutny, przejęty jednocześnie myślą o zniszczeniu wolności ducha i uczuć drogą podniesienia ogółu do własnego poziomu, aby wszyscy stali się równi, jednakowi, nabrali wspólnego rozpędu i siły, niszcząc indywidualność na rzecz komuny. On cofał się i napadał, umiał uznać swoje błędy,

nie wahając się, odrzucić to, co przed chwilą uważał za najkonieczniejsze, — robił to jednak dlatego, aby znowu napadać i kroczyć naprzód, ciągle naprzód!

Trockij i inni uparci w swoich postanowieniach, dumni, pewni siebie, nieugięci w zamiarze być zawsze kierownikami nieomylnymi i zwycięskimi, wierzyli w istnienie rzeczy niemożebnych i na nich porywać się nie śmieli, myśląc o kompromisie pomiędzy możliwością a absurdem... Wreszcie każdy z nich pragnął być niezastąpionym, wyższym od innego, uważając go za współzawodnika, nieraz nawet za wroga. Ludzie ci — stając pod nowemi sztandarami, nie wyrzekli się starych kajdan, uznawali niewzruszone zasady moralności, czuli się bezsilni przed zwyczajami i tradycjami, myśleli kategorjami logiki dawnych pokoleń, nie wierzyli we wszechpotęgę siły brutalnej, czarodziejskiej.

— Muszę żyć, bo na bezdroże wyjdzie komunizm i zginie w przepaści sprzeczności i niewiary w powodzenie! — myślał Lenin. — Oni wszyscy nie wierzą w Boga... Ja wierzę w bóstwo... W to, którego zew przepotężny słyszałem zawsze. Nie znam jego imienia, widzę jednak, jak się wyłania ono z chaosu, z mgławic krwawych. Poznaję bóstwo, jak poznajemy jasność, następującą po mroku. Do tego bóstwa zrozumiałego, bliskiego, ludzkiego, prowadzę wszystkich ludzi od skraju do skraju ziemi... Bóg się objawiał ludom w postaci słupa ognistego, pałającego krzaku, piorunu niszczącego. Pragnę być słupem, krzakiem i piorunem, aby ujrzało stado ludzkie prawdziwe oblicze Boga ziemskiego, któremu można w źrenice zajrzeć, dłonią dotknąć, głos jego usłyszeć... Jestem tym, który podnosi człowieka na szczyt góry, prowadząc go ścieżką kamienistą, krwawiącą stopy, zmuszającą słabych padać i wić się w mękach głodu, pragnienia i lęku; dojdą ze mną tylko silni i wytrwali, a, stanąwszy na cyplu podobłocznym, rzekną śmiele: „Bóstwo, ukrywające się od wieków, ukaż nam prawdziwe oblicze swoje, albowiem oczyściła nas męka niezmierna, strach wyzwolił z więzów troski o siebie i oto opadła z nas skorupa pożądliwości, równi jesteśmy tobie, towarzyszu w życiu kosmicznem, Wielki Kowalu, posługujący się siłami nieznanych nam sfer, chociaż echa ich brzmią w naszych duszach, a błyski przeszywają serca“.

Chciałby w tej chwili podzielić się myślami swemi z kimś bliskim, bardzo drogim, wyrozumiałym i dobrym bezmiernie.

— Matka? — pomyślał i westchnął. — Odeszła... odeszła z bolesnem zwątpieniem, czy zamyślone przez syna dzieło dobre będzie i sprawiedliwe... Konała, miotana niepokojem i trwogą. Któż inny mógłby zrozumieć mnie i bez obawy pochwalić lub zganić?

Patrzą z mroku niebieskie, sączące łagodny połysk oczy, lśnią się złote włosy, oświetlone lampą naftową, poruszają się purpurowe, namiętne wargi.

— Heleno! Heleno! — szepce dyktator i ręce wyciąga. Nagle łagodna twarz majacząca kurczy się, okrywa zmarszczkami, blednie, wykrzywia się przeraźliwie, oczy wychodzą z orbit, pełne obłędnego przerażenia, usta czernieją i rozwarte szeroko, wyją przeciągle:

— Miłosierdzia! Zabijają!... Litości!...

Lenin głowę opuszcza, oczy palcami zaciska i drży, szczęka zębami. Zrywa się po chwili, pięścią grozi i woła:

— Zniknij, zjawo przeszłości! Zniknij, zgiń na wieki!...

Po chwili jęczy i błaga kogoś, kto stoi blisko — blisko, szeleści oddechem i szepce gorąco.

Błaga Lenin żałośnie i długo:

— Odejdź!... Nie dręcz!... Przebacz!...

Otrząsa się, oczy przeciera i rzuca wzrok na kalendarz. Odwraca kartkę.

— 30 sierpnia... — odczytuje machinalnie.

Coś zapisał sobie na ten dzień? Ach! Wielki wiec, na którym ma dać wyjaśnienia z powodu zamordowania Mikołaja Krwawego, oczyścić od zarzutów partję, rzucić cień podejrzenia na ludowców, wyszydzić i poniżyć cudzoziemskich dyplomatów i pismaków! Tak, to — jutro!

Maszyna zaczyna pracować sprawnie, całym pędem, z zaciekłością ruchu i siły.

Lenin planuje swoją mowę, spokojnie, twardo, logicznie, przekonywująco.

Skończył i położył się na kanapie, patrząc w sufit.

O niczem nie myśli.

Widzi przed sobą morze głów, pałających, bezmyślnych i ponurych oczu, ust krzyczących, ramion podniesionych...

Stado bierne, ślepe, zbłąkane i on — pasterz, wódz, prorok, wzniesiony na grzbiet fali morza, na wyżynę mównicy czerwonej.

Zasypia... Śpi bez snów.

Budzą go kroki wbiegającego człowieka.

Otwiera oczy i spostrzega stojącego przed nim sekretarza.

— W Piotrogrodzie żyd Kanegisser zabił Urickiego! — woła zdyszanym głosem. — Uprzedzono zamach żyda Schneura na towarzysza Zinowjewa...

— Odpadają kółka maszyny... — mruczy Lenin, snując myśl, podświadomie trawiącą go w nocy. Spostrzega zdumienie i przestrach na twarzy sekretarza, przytomnieje ostatecznie.

— Dyktatura proletarjatu jest wielką maszyną, niszczącą stary świat — mówi z uśmiechem. — Wrogowie starają się zniszczyć ją, lecz łamią zaledwie poszczególne koła... Naprawimy ją i będzie, jak dawniej, druzgotała, dusiła! Proszę ułożyć telegram z ubolewaniem i wysłać do czerwonego Piotrogrodu!

Nazajutrz koło południa wchodził na wiec.

Przed nim szli Finnowie, dowodzeni przez Chalajnena, torującego drogę do mównicy, okrytej czerwoną tkaniną.

Nagle powstało zamieszanie.

Ktoś wykrzyknął głośno:

— Za naród umęczony! Za zbrodnie!

Niezawodnie głos ten, wysoki i dźwięczny, należał do kobiety młodej, porwanej oburzeniem lub rozpaczą namiętną. Przeszył gwar niby błyskawiczny cios ostrej szabli.

Finnowie stanęli, a wtedy rozległ się strzał, samotny, bliski.

Lenin potknął się i jął rękami chwytać powietrze, bo czuł, że pada w ciemną otchłań...

Finnowie podtrzymali go, porwali na ręce i wynieśli.

Za nimi przeraźliwie wył tłum, padały przekleństwa i jakieś okrzyki zgrozy czy triumfu: ludzie się szamotali, wlokąc kogoś i szarpiąc na szmaty, bezkształtne, skrwawione...

W godzinę później po Moskwie biegła radująca jednych i trwożąca innych wieść.

Fania Kapłan i Mojżesz Glanc dokonali zamachu na wodza proletarjatu, zraniwszy go lekko.

Wierny rządowi tłum zamordował Glanca na miejscu. Finnom udało się obronić kobietę i odstawić ją do „czeki“. Odpowiedzialność za podstępny cios, zadany rewolucji, mieli ponieść kontr-rewolucjoniści.

O tem już dyktator nie wiedział.

Był nieprzytomny i miotał się w gorączce.

Kula przeszyła mu ramię i utkwiła w grzbiecie.

Lekarze z powątpiewaniem kiwali głowami. Rana była ciężka, może śmiertelna...

Lenin leżał z otwartemi oczami, krzywił spieczone usta i szeptał przenikliwie, gorąco:

— Odejdź... Nie dręcz... Przebacz!... Towarzysze!... Wolność i szczęście ludzkości leżą na waszych barkach... Mikołaj Krwawy... Nie dręcz!... Przebacz! Hele...

Nie skończył, bo zaczął rzęzić ciężko. W gardle bulgotała i syczała nabiegająca krew, na bladych wydętych wargach wykwitały płatki czerwonej piany...

ROZDZIAŁ XXIX.

Wieść o zamachu na Lenina z błyskawiczną szybkością rozniosła się po całym kraju. Budziła różne myśli, zmuszała do nowych poczynań.

Kontr-rewolucjoniści, zgrupowani dokoła prowadzących wojnę domową „białych" generałów i zwalczani przez dyktatora socjaliści podnieśli głowy.

Ze wszystkich końców Rosji przychodziły do Moskwy doniesienia o wybuchających powstaniach, tworzeniu się miejscowych rządów — jaskrawo prawicowych; liberalno-inteligenckich; socjalistycznych; złożonych z ludowców, należących do Zgromadzenia Narodowego; wreszcie — mięszanych, przypominających niesforny, rozbieżny rząd Kierenskiego.

Pomiędzy temi nowotworami wkrótce rozgorzały walki klasowe i idejowe, co osłabiało znaczenie i siły powstających rządów.

O tem dokładnie wiedziano w Kremlu, gdzie Radą komisarzy ludowych, w zastępstwie Lenina, kierowali Trockij, Kamieniew, Stalin, Bucharin, Rykow, Cziczerin.

Trockij, pomysłowy organizator i świetny, porywający mówca, dokazywał cudów. Pod jego naciskiem, wciągnięci do „czerwonej" armji oficerowie z wielkiej wojny w przyśpieszonem tempie kształcili proletarjackich oficerów i ujmowali w karby samowolne, rozpuszczone wojska, wprowadzając z ramienia komisarzy ludowych surową dyscyplinę.

Zniesiono bezpowrotnie wiece i rady żołnierskie, ustalono taki ład i bezwzględny posłuch, o jakich w koszarach i szeregach przedwojennej armji nigdy nie słyszano. Specjalni komisarze polityczni, postawieni przy dowódcach, zajęci byli wychowaniem żołnierzy w duchu patrjotyzmu komunistycznego i dozorem nad nastrojem oficerów i żołnierzy.

„Wojenny komunizm" ogarnął całą Rosję, pozostającą pod rządami Kremlu.



„DUMA ROSYJSKIEJ REWOLUCJI"
(marynarze budzą podziw i strach w mieście)



WZBOGACENI REWOLUCJONIŚCI WZBUDZAJĄ POSZANOWANIE DLA SIEBIE NA WSI

nie skończyła się żywiołowym wybuchem dzikiego i krwawego mordu.

Stary dziwak przyjął rodzinę Bołdyrewych uprzejmie, lecz podejrzliwie.

Na wstępie odrazu spytał:

— Powiedźcie mi szczerze, Walerjanie Piotrowiczu, czy macie zamiar tylko ukrywać się przed rewolucją, czy też pracować?

— Chcemy pracować, a brat mówił mi, że moglibyśmy pomagać panu, — odparł Bołdyrew.

— Pomocy nie potrzebuję, bo sam daję sobie radę od trzydziestu lat — rzekł Kostomarow. — Jednak, skoro chcecie pracować i jesteście inżynierami, przychodzi mi do głowy pewna myśl...

Usiedli i długo się naradzali.

W parę tygodni później w dużej szopie, stojącej na skraju wsi Tołkaczewo, powstało nieznane dotąd w Rosji przedsiębiorstwo komunalne.

Były to warsztaty dla naprawy i ulepszenia narzędzi rolniczych.

Wkrótce jednak plan został znacznie rozszerzony. Na prośbę Rady wieśniaczej dostarczono z miasta nieczynną lokomobilę, tokarkę i kilka innych mechanizmów, wywiezionych ze zburzonej przez rewolucyjne tłumy fabryczki.

Inżynierowie wciągnęli do przedsiębiorstwa zbiegłych do wsi przed głodem w miastach i przymusowym poborem do wojska ślusarzy i kowali i rozpoczęli pracę na szeroką skalę.

Spółka komunalna, kierowana przez starego Bołdyrewa i Piotra, zaczęła produkować pługi amerykańskie, kosiarki. maszyny do siewu, żniwiarki i drobne narzędzia rolnicze.

Grzegorz Bołdyrew namówił chłopów, aby zwozili z pobliskiej fabryki metalurgicznej, spalonej przez robotników, i z porzuconej kopalni — szlakę i glinę. Z tych materjałów przyrządzał nawozy sztuczne i cegłę. Inżynierowie, wiedząc, że będę mieli kłopot z paliwem, zaczęli wspólnie z chłopami kilku wiosek eksploatować dawno opuszczone szyby, dostarczając węgiel do Tołkaczewa i znaczną część paliwa zamieniając w mieście na potrzebne towary i materjały.

Pani Bołdyrewa miała dużo pracy z wyżywieniem produkującej komuny, rozrastającej się z każdym dniem.

Skromny warsztat do naprawy starych pługów i kucia koni stawał się fabryką, posiadającą swoje filje w kopalniach węgla i gliny.

Pani Bołdyrewa została mianowana przez spółkę głównym buchalterem przedsiębiorstwa, bo prowadziła księgi w tak wzorowym porządku, że przybywający tłumnie komisarze nie tylko z Nowgorodu, lecz nawet z Moskwy nie mogli się nadziwić. Księgi świadczyły najwymowniej o zasadzie komunistycznej kontroli pracujących nad przedsiębiorstwem, o odrzuceniu metod, stosowanych przez kapitalizm.

Rząd proletarjatu, zaniepokojony poważnie upadkiem przemysłu, otaczał opieką powstającą w Tołkaczewie komunę produkcyjną. Dowody tego mieli młodzi Bołdyrewy w chwili powołania do wojska wszystkich mężczyzn do lat 40-tu.

Natychmiast stawili się do biura poborowego.

Przewodniczący, posłyszawszy ich nazwisko, uśmiechnął się chytrze i rzekł:

— E—e, nie! Poco mamy posyłać was na front? Tam niezawodnie przejdziecie na stronę „białych“! Potrzebni nam tu jesteście i tu pozostaniecie w swojej komunie. Pracujcie, jak dawniej...!

Wystawił dla nich świadectwa uwolnienia i pożegnał.

Chłopi cieszyli się z takiego wyniku. Lubili pracowitych, pomysłowych i zdolnych inżynierów, rozumieli, że istnienie pracującej komuny zabezpieczało ich przed najazdem komisarzy. Podarowali Bołdyrewym kawał ziemi i wspólnemi siłami zbudowali dla nich dom.

Życie stawało się coraz bardziej znośne i normalne.

Pani Bołdyrewa gorąco dziękowała Bogu za opiekę i pomoc, widząc już, że wyprowadził ich z mrocznego labiryntu piętrzących się zewsząd niebezpieczeństw i ciosów nieprzewidzianych.

Ze zdumieniem i szacunkiem patrzyła teraz na męża i synów.

Byli to już inni ludzie, których przedtem nie znała.

Stary Bołdyrew z dziwną łatwością otrząsnął się ze swej gnuśności i lekkomyślności. Odmłodniał, nabrał chęci do życia i walki.

Rutyna długoletniego, wprawnego administratora, wielkie doświadczenie fachowe i gruntowna wiedza obudziły się w całej pełni. Umiał obliczyć wszelkie możliwości, ocenić sytuację, wybrnąć z matni trudności, jakie nagromadzał codziennie naiwny rząd ludzi ciemnych, brutalnych, nieprzygotowanych do trudnych zadań życiowych. Lawirował zręcznie, zmuszając do poważnego namysłu niewykształconych, a bardzo pewnych siebie i opornych komisarzy, zawsze potrafił przekonać wahających się towarzyszy komuny.

Posiadając z natury miękki charakter, nawiązał najlepsze, przyjazne stosunki z chłopami, wywierał na nich wpływ moralny tak wielki, że przychodzili do niego tłumnie po rady, a uważali za szczęście, gdy odwiedzał ich w domu.

Pani Bołdyrewa, zawsze spokojna, uprzejma i dobra, w każdej chwili była gotowa dopomóc sąsiadkom w ich kłopotach domowych.

Kroiła dla nich suknie, uśmierzała waśnie domowe, uczyła dzieci i leczyła, jak mogła i umiała.

Synowie, pod wpływem, niegdyś panujących w domu utarczek pomiędzy rodzicami i śmiesznych spóźnionych miłostek ojca, w Piotrogrodzie tracili coraz bardziej szacunek dla niego, mimowoli patrząc na matkę z pogardliwem politowaniem. Teraz zmienili się do niepoznania. Zdolności i energja starego Bołdyrewa imponowała im i wzbudzała nieraz nieukrywany zachwyt.

Utalentowani w swoim zawodzie, pracowici i nie cofający się przed żadną czynnością, szli do ojca po radę, słuchali uważnie i uznawali jego autorytet i wyrobienie życiowe. Podziwiali równowagę ducha, pracowitość i umysł matki, nazywając ją swojem „ministerstwem spraw zagranicznych“.

Istotnie, pani Bołdyrewa posiadała niezrównaną umiejętność przemawiania do ludzi i ujarzmienia zbyt porywczych. Wieśniacy szli do niej, jak do sądu najwyższego.

Rodzina Bołdyrewych, niedawno rozpierzchła i płynna, luźnie ze sobą związana, stawała się mocną, zahartowaną

spojoną wzajemnym szacunkiem i miłością, czemś twardem, niewzruszonem jak stal, jak skała granitowa.

Nigdy nie rozmawiali ze sobą o tak nieoczekiwanie wybuchających wypadkach, burzących ich życie, jako ludzi bogatych i szanowanych w towarzystwie.

Raz tylko, podświadomie odpowiadając na myśli, które się rodziły czasami w głowach synów, Bołdyrew rzekł:

— Przewaga prawdziwego inteligenta zawiera się w tem, że w każdej sytuacji potrafi zająć odpowiednie stanowisko i zasłużyć na szacunek.

Pomyślał chwilę i dodał:

— I wiecie co? Ten szacunek jest cenniejszy i trwalszy od tego, jaki zdobywa się drogą wysokiego urzędu, urodzenia i majątku! Tam może się on rozprysnąć w jednej chwili. Tu — nigdy, bo oparty jest na zrozumieniu naszej wartości realnej!

Grzegorz Bołdyrew, zarządzając kopalniami, często wyjeżdżał z Tołkaczewa i zwiedzał dalsze wsie, skąd chłopi wysyłali swoich ludzi do szybów węgla i gliny.

Przekonał się wkrótce, że wysiłki Rady komisarzy ludowych, skierowane do rozbicia włościan i do rozkładu rodziny, w sposób niezwykle szybki dochodziły do nieoczekiwanych wyników.

Przekonał się o tem jeszcze bardziej, gdy komisarze zażądali od komuny Bołdyrewych, aby zorganizowała produkcję soli z wody mineralnej w pobliżu Starej Rusy.

Komuna wydelegowała Grzegorza.

Pewnego razu, siedząc w chacie miejscowego komisarza — chłopa, usłyszał wściekłe krzyki, tupot nóg i nawoływania głośne:

— Sąsiedzi, na pomoc! Biją nas łobuzy! Do broni!

Grzegorz wyszedł z chaty.

Chłopi, uzbrojeni w rewolwery, karabiny, przyniesione do wsi przez uciekających z frontu żołnierzy, biegli z zawziętemi twarzami i z wściekłością w oczach.

Przy ostatnich domach już wrzała bitwa. Rozlegały się strzały, rwały się dzikie okrzyki i przekleństwa, błyskały bagnety, siekiery, wznosiły się i opadały ciężkie kłonice, drągi.

Bitwa trwała długo. Kilka trupów, deptanych przez walczących, zaległo pobojowisko. Nareszcie wszystko ucichło. Chłopi rozeszli się po domach, unosząc w oczach ognie bitewne.

Komisarz, zastępujący dawnego wójta, opowiedział inżynierowi o przyczynach zatargu.

— Biada, towarzyszu! — skarżył się, kiwając głową. — Źle się to skończy... Komisarze z miasta przysłali do wsi tych łobuzów — chłopów, którzy oddawna utracili ziemię i gdzieś tam włóczyli się po świecie. Przyszli teraz, żądają ziemi, odbierają innym chłopom bydło, pługi, statki domowe... Gwałt! Krzywda nam się dzieje! Pomyśleć tylko, co to za ludzie! Piotr Frołow — pięć razy w kryminale siedział za kradzieże, Łukasz Borin, — zesłany do katorgi za napad na pocztę i zamordowanie urzędnika; Szymon Agapow — żebrak, włóczęga bezdomny, pijaczyna, rozpustnik, umie pieśni śpiewać, wesołe historje opowiadać i tyle tego! Nam takich sąsiadów nie potrzeba!... My całe życie trzymaliśmy się pazurami tej ziemi — matki, polewaliśmy ją swoim potem, a teraz musimy się dzielić z łobuzami, nicponiami, leniuchami, ludźmi nikczemnymi. Dlaczego? Czy to podług prawa?

Pochylił się do Grzegorza i szepnął:

— Prawdę powiem: tego przy carze nie było... A teraz niby to swój rząd mamy. Ech! Zdaleka wszystko pięknem się wydaje, a zbliska...

Spojrzał badawczo na Grzegorza, szukając współczucia w jego oczach.

Inżynier przywykł już mieć się na baczności wobec zbyt szczerych wynurzeń nieznajomych ludzi, więc odpowiedział spokojnie:

— Wszystko się ułoży, towarzyszu! Narazie tylko wydaje się to i owo niedogodnem.

— Ułoży się? Jeżeli nie, to sami sobie poradzimy... — mruknął komisarz.

— Oby tylko nie tak, jak dziś! — zauważył Bołdyrew. — Nie ujdzie to wam płazem!

— Obaczymy... — warknął komisarz i ponuro spojrzał na inżyniera.

Dwa tygodnie spędził Grzegorz w wiosce i doczekał się sprawdzenia swojej przepowiedzi.

W kilka dni po bitwie chłopów z pogardzaną przez nich „biedotą“, czyli bezrolnymi, oderwanymi od włościaństwa ludźmi, późno w nocy, gdy w chatach dawno już zgasły światła, wtargnął do wsi konny oddział nowogrodzkiej „czeki“. Pobici i wyparci przez chłopów „łobuzy“ zbiegli do miasta, oskarżyli sąsiadów o pogwałcenie dekretów rządu i przyprowadzili ze sobą żołnierzy, dowodzonych przez komisarza, agenta „czeki“.

Pobudzono mieszkańców wioski i wywleczono z chat na wiec.

Przestraszeni słuchali groźnej mowy komisarza, mało co rozumiejąc, gdyż był to cudzoziemiec — Łotysz, źle władający mową rosyjską.

Zrozumieli jednak, że chodziło o „biedotę“ i jakiś kontrrewolucyjny zamach, dokonany przez chłopów. Zrozumieli ostatecznie, gdy komisarz kazał wszystkim stanąć w szereg i, odliczając każdego piątego, stawiał osobno.

Jeden z żołnierzy objaśnił:

— Towarzysze włościanie! Ci ludzie stają się zakładnikami i będą rozstrzelani, jeżeli nie wydacie swoich sąsiadów, którzy zabili bezrolnych towarzyszy, upominających się o ziemię...

— Ziemię daliśmy im... Oni obdzierali nas, zabierając krowy, konie, pługi... Niema takiego prawa! — zawołał stojący wśród zakładników komisarz wiejski.

— Jakto! — wrzasnął dowódca oddziału. — Nie wiecie, że własność prywatna została zniesiona na zawsze? Wszystko jest wspólne... No! będę liczył do trzech. Powiadajcie, kto z was brał udział w bitwie?

Chłopi opuścili głowy i milczeli posępnie.

— Raz... dwa... — liczył przejezdny komisarz, wyjmując z pochwy rewolwer.

— Trzy!

Nikt słowa nie wyrzekł. Stojący przy zakładnikach agent „czeki“ przyłożył lufę rewolweru do ucha komisarza wiejskiego i wystrzelił. Chłop z roztrzaskaną głową runął na ziemię.

Zrozumieli wieśniacy całą prawdę. Zaczęli wnet mruczeć do siebie i potrącać się łokciami.

Z szeregów wystąpiło ośmiu chłopów i, zdejmując czapki, bełkotali niepewnemi głosami:

— Wybaczcie, towarzyszu komisarzu! My nie wiedzieliśmy i broniliśmy się przeciwko gwałtowi. Jakoś się stało, że tamtych zabito, a innych pokaleczono... Wybaczcie!

Komisarz skinął na żołnierzy. Otoczyli stojących przed szeregiem wieśniaków i wyprowadzili za wieś.

Złemi, mrocznemi oczami patrzyli za nimi chłopi, wyły i zawodziły baby, płakały dzieci przerażone.

Po chwili buchnęła salwa. Żołnierze powrócili sami.

— Pogrzebiecie tamtych później! — zawołał komisarz. — A teraz pamiętajcie, że dekrety są poto, aby je wykonywano!

Chłopi milczeli zgnębieni i przerażeni.

Komisarz ciągnął dalej:

— Musicie obrać teraz nową Radę dla swojej wsi. Rząd wystawia swoich kandydatów.

Rozwinął arkusz papieru i odczytał nazwiska wyłącznie bezrolnych chłopów, — znienawidzonej, pogardzanej „biedoty", byłych aresztantów, włóczęgów, żebraków.

— Kto protestuje? — zapytał komisarz, podnosząc rewolwer.

Nikt się nie odezwał.

— Jednogłośnie obrani! — zakończył ceremonję „wolnych i nieprzymuszonych" wyborów komisarz i kazał podać konia.

Przez cały czas pobytu Grzegorza Bołdyrewa we wsi Apraksinoj rządziła „biedota". „Władze" podzieliły mieszkańców na bogatych, czyli „kułaków" i na „średniaków". Zaczęło się od wywłaszczenia bogatych chłopów, a gdy z nimi skończono, przystąpiono do rekwirowania nadmiaru bydła i majętności, należących do „średniaków".

Trwało to dość długo. Nowi władcy, nie krępując się niczem, ufni w pomoc władz centralnych, wyprawiali do miasta odebrane u sąsiadów bydło i prowjanty, zmieniali zdobycz na wódkę, nowe ubranie, buty lakierowane lub przegrywali w karty. Wieś szybko ubożała. Chłopi ze strachem czekali nadejścia wiosny i rozpoczęcia robót polnych.

Nie mieli ani ziarna na zasiew, ani dobrych pługów, ani koni...

Surowa zima północna okrywała pola, ulice i chaty wioski grubą płachtą śniegu. Chłopi nie wychodzili z domów, oba-

wiając się pokazywać na oczy rozpanoszonej „biedocie“, ciągle pijanej, bezczelnej, zuchwałej. Z rozpaczą patrzyli na puste półki, umieszczone w prawym kącie izb pod pułapem, i wzdychali.

Stały tam niegdyś ikony Zbawiciela, Bogarodzicy, świętego Mikołaja Cudotwórcy, obrazy jaskrawe, w szatach z błyszczącego metalu, na których zapalały się i migotały iskierki od płonących przed niemi lampek olejnych i świec woskowych. Ścigani przez władze za wiarę w Boga wieśniacy ukryli je w lochach, gdzie przechowywano ziemniaki i kapustę kiszoną. Pod brzemieniem trwogi i nieszczęść wydostawali po nocach obrazy święte i stawiali na dawnych, należących do nich miejscach, zapalali świeczki i, bijąc pokłony, błagali o przebaczenie i miłosierdzie.

Modlitwy były krótkie, nic nie znaczące, uparte, niewolnicze błagania:

— Boże, zmiłuj się! Boże, zmiłuj się!

I tak bez końca — dziesiątki, setki namiętnych, jednostajnych jęków, przerywanych głuchemi uderzeniami kolan i głów o podłogę, westchnieniami ciężkiemi i szmerem rąk, któremi kreślono znak krzyża, mocno, rozpaczliwie przyciskając sobie palce do czoła, ramion i piersi.

Obrazy ze św. Mikołajem ożywiały w pamięci cara, który, opuszczony przez wszystkich, zginął z rąk rządu robotników i chłopów.

Był dla ludu pomazańcem Bożym, ziemskim Bogiem, znienawidzonym, lecz pełnym odwiecznego uroku.

— To — kara Boża za niego, za cara — ojczulka! — szeptali chłopi ze strachem i wydobywali ukryty w szczelinach pomiędzy belkami ścian zakopcony, pożółkły portret Mikołaja II-go, stawiali go pomiędzy ikonami i znowu bili pokłony, wzdychali i skamłali żałośnie:

— Boże, zmiłuj się nad rabami twoimi! Boże, zmiłuj się! Boże, zmiłuj się!

Byle zaszczekał pies na ulicy, lub doszły odgłosy kroków, w popłochu ściągano z półek obrazy święte i portret cara, wciskano pomiędzy ziemniaki, zwoje przędzy lnianej, belki domostw lub pod puste kadzie i kamienie, zdmuchiwano świeczki i trwożnie wyglądano przybysza.

Czasem, kryjąc się pomiędzy chwastami ogrodów warzywnych i w zaroślach nad jarem, przedzierał się do wioski żebrak wędrowny, unikał spotkania z komisarzami, wchodził do pierwszej od skraju chaty, rozmowę zaczynał, badał, macał ostrym, podejrzliwym wzrokiem każdą twarz, każdą parę oczu, zadawał przebiegłe pytania, wzdychał, lękiem przejmował, przerażającemi przepowiedniami gnębił, wtrącał w otchłań rozpaczy, napomykał o czemś niewyraźnem, tajemniczem i, poznawszy ludzi, przekradał się później od chaty do chaty i, bojaźliwie oglądając się, szeptał szybko, niby się obawiając, że nie skończy na czas.

Były to ponure, straszne opowieści. Skrawki, okruchy prawdy tonęły we mgle domysłów i tajemniczego, mistycznego fałszu.

— Znaki straszne pokazały się na niebie... Krzyż, obalony przez węża,... miecz ognisty... jeździec blady na koniu rudym... Anioł ze świecznikiem dymiącym,... Antychryst przyszedł i państwo swoje na ziemi zakłada... Widział go we śnie pustelnik Arkadjusz błogosławiony z Atosu... Dwa ów Antychryst posiada oblicza: jedno — Lenina, drugie — Trockiego...

— Boże, zmiłuj się nad nami! — wzdychali chłopi.

— Nasamprzód podniósł rękę Antychryst na pomazańców Bożych... Umarł już śmiercią męczeńską nasz car nieszczęśliwy, przez sługi niewierne porzucony, rychło patrzeć padną w proch cesarz austrjacki, cesarz niemiecki, a po nich — inni... Cara — męczennika zamordowali... a głowę jego posłali do Moskwy... do Kremlu... Lenin pluł na nią i Trockij pluł, a potem w piecu palił... Gdy to robili, burza straszna rozszalała i wszystkich w przerażeniu pogrążyła... W Kremlu straszyło później przez dni dziewięć... Czerwoni żołnierze widzieli błąkające się po nocach blade, gniewne, złowróżbne zjawy... Patrjarcha Filaret... pierwszy car Michał Teodorowicz... Iwan — groźny car... Zamordowany przez Tatara Godunowa — Dymitr — niemowlę... surowa carewna Sofja... mocarny Piotr Wielki z ciężkim kijem w ręku... Później kara Boża dosięgła Lenina... Postrzelony — umiera... Widzenia ma krwawe... miota się... zrywa się z łoża i wyje po nocach: „Ratujcie, zachłysnę się

we krwi... Krew już zalewa cały Kreml!“ Wierni żołnierze uratowali w Jekaterynburgu carewicza młodego i carewnę Tatjanę, tę, która miłosierna była dla rannych żołnierzy... Mnich z Wałaamu Florjan wywiózł z Ałapajewska zwłoki zamordowanej, Bogu miłej wielkiej księżny, mniszki pobożnej — Elżbiety Teodorówny i pogrzebał ją w pobliżu Jerozolimy, w Ziemi Świętej. Przy grobie jej cuda się objawiają — uzdrowienia chorych. jasnowidzenia prorocze, pocieszenie zrozpaczonych... Następca tronu, carewicz Aleksy, ukrywa się na Syberji i jest pod opieką sławnego wodza Kołczaka, który wyżenie prędko bolszewików za Ural i na Moskwę pójdzie... Francuzi i Anglicy są już na Murmaniu, w Archangielsku, w Odesie i pomagają naszym...

Mówił i mówił, roznosząc trwożne i pogmatwane wieści po wsiach zgnębionych, w rozpaczy i strachu żyjących.

Przebiegały Rosję jakieś staruchy, straszne, trędowate, pozbawione nosów i warg, półobłąkane.

Szeleszcząc zachrypniętemi, wyżartemi przez choroby gardzielami i potrząsając rękami nad siwemi, powichrzonemi głowami, syczały, jak sowy:

— W Kijowskiej Ławrze *) bolszewicy powyrzucali z grobów zwłoki świętych pańskich, czaszki i kości zmarłych pustelników, od wieków sączące wonny olej, obrazy cudowne, zbeszcześcili świętości i popalili. Łotysze, Finnowie, Madjarzy i Chińczycy męczą, mordują biskupów i popów, mnichów wieszają na drzewach przydrożnych, wbijają na pale, nad zakonnicami bezeceństwa czynią... W dzień Wielkiej Nocy strzelali do patrjarchy Tichona, a on, aczkolwiek ranny, nie przerwał nabożeństwa i, wołając wielkim głosem: „Chrystus zmartwychwstał, Alleluja!“ krew swoją Bogu-Ojcu i Synowi jego ze łzami ofiarował!... Antychryst panuje, pan wszelkiej nieprawości i złośliwości szatańskiej... Znaki widome i glosy tajemne nawołują: „Powstań, lud Boży, zrzuć antychrystowe plemię i Bogu swemu służ wiernie, albowiem w Nim tylko moc, nadzieja i zbawienie!“

Znikały staruchy tajemnicze. jak szare, chyże myszy, biegły dalej, roznosząc trwożne opowieści, budzące ponury lęk, osłabiający ducha, skradając się, jak widma nocne, sze-

*) Klasztor

rzyły strach od słonecznych gajów Krymu, aż po pustynne, tundrą pociągnięte brzegi morza Białego... Siały dreszcz mistyczny.

— Antychryst przyszedł... — szeptali ciemni chłopi. — Zguba, śmierć idzie, zagłada rodzaju ludzkiego... Któż z nas oprze się? Kto zwalczy wroga Chrystusowego? Gorze nam! Gorze!

Z jękiem i westchnieniami wpadali w bezwład, w rozpacz, odbierającą resztki sił i myśli. Wyglądali Archanioła z ognistym mieczem kary i z trąbą złocistą, wołającą na sąd ostateczny przed końcem świata.

We wsi, gdzie przebywał Grzegorz, działo się coraz gorzej. Komisarze z „biedoty", widząc przestrach i pokorną obojętność, zaczęli znęcać się nad ludnością. Targali za brody starców, urągali sędziwym wieśniaczkom. Porywali młode kobiety i dziewczęta, poili je wódką, urządzali z niemi orgje dzikie, rozpustne, obdarowując sztukami barwnych perkalików, pstremi chustkami, wstążkami.

Zgnębione jednostajnem, ubogiem i nędznem życiem, kobiety szybko zrozumiały swoją sytuację. Były pożądane, więc mogły wykorzystać to. Pozbawione trwałych zasad moralnych wkrótce przeszły ciałem i duszą na stronę zwycięzców.

Nowa klęska spadła na wieś. Rozwiewały się, jak opary nad łąkami, tradycje rodzinne, stare, dobre obyczaje.

Obok chaty, zamieszkałej przez Grzegorza Bołdyrewa, stał dom niegdyś bogatego wieśniaka, Filipa Kuklina.

Zupełnie zrujnowany przez komisarzy wpadł w rozpacz. Jedynem podtrzymaniem jego stała się żona, młoda, rezolutna Darja. Nikogo się nie obawiając, urągała władzom, sypiąc dosadne słowa, niby z rogu obfitości.

Urodziwa baba o śmiałych oczach i białych, równych zębach wpadła w oko sekretarzowi Rady wiejskiej. Pod jakimś zmyślonym pozorem zwabił ją do siebie i zatrzymał na hulankę z muzyką, wódką, tańcami. Darja powróciła do domu pijana, wesoła, rozbawiona.

Na wyrzuty i upomnienia męża machała ręką i powtarzała:

— Gwiżdżę na ciebie i na nasze życie marne! Choć krótko, a użyję! Chcę żyć dla siebie...

Zrozpaczony mąż pobił ją.

Darja tejże nocy uciekła z domu. Próżno szukał jej zaniepokojony wieśniak. Zjawiła się po trzech dniach i przyniosła ze sobą papierek, zatwierdzający rozwód, otrzymany na jej żądanie.

Kuklin poszedł na skargę do Rady wiejskiej.

— Takie prawo! — zawołali komisarze ze śmiechem. — Każdy może się rozwodzić i żenić, chociażby na przeciąg jednego dnia. Nie masz teraz żadnej władzy nad żoną! Jeżeli uczynisz jej coś złego, w więzieniu zamkniemy. Teraz koniec z niewolnictwem kobiet! Są wolne i równe nam!

Chłop przekonywał, namawiał. błagał Darję, aby powróciła do domu.

— Wolna jestem! — odpowiedziała, błyskając zębami. — Podoba mi się nasz nowy sekretarz. Za niego pójdę!

— Wychodź lepiej za mnie! — mruknął mąż.

— Po raz drugi?! — zawołała. — Niema głupich!

Kuklin chodził ponury i milczący. Przeżuwał jakieś myśli ciężkie. Wreszcie przeszły one w wybuch wściekłości dzikiej, nieokiełznanej. Przyłapał niewierną, lekkomyślną żonę, związał i bił długo, metodycznie, postępując według „mądrości“ narodowej: „bij i słuchaj, czy oddycha; gdy przestanie, polej wodą i znów bij, aby czuła i rozumiała!“

Przez dwa dni torturował Darję, a gdy zwolnił ją od sznurów, pogroził palcem i, chmurząc czoło, mruknął:

— Teraz mam serce lekkie. Możesz iść... A pamiętaj, jeżeli zaskarżysz, ubiję na śmierć, i żaden komisarz, a nawet sam Lenin ciebie nie ochroni! Pamiętaj!

Baba nie myślała o skardze. Sama się z mężem załatwiła. Zdobyła gdzieś flaszkę wódki, domieszała do niej sublimatu i, łasząc się do męża, rozradowanego z powrotu żony, zmusiła go do wypicia.

Kuklin zmarł.

Darja, stawiona na sąd, nic nie ukryła, opowiedziawszy ze wszystkiemi szczegółami swoją zbrodnię.

Usprawiedliwiono ją, na mocy wygłoszonej przez Lenina zasady, że „sprawiedliwość“ proletarjacka jest zmienną i zależną od okoliczności. Ta sama zbrodnia może być karana śmiercią lub uznana za zasługę przed pracującym ludem.

Został zabity „kułak“, bogaty chłop, drobny burżuj, uczyniła to wolna kobieta, oddana komunizmowi. Poczytywano jej to za zasługę i wypuszczono na wolność.

Grzegorz z przerażeniem przyglądał się rozpuście, otwarcie panoszącej się na wsi. Komisarze i przyjeżdżający agitatorzy umiejętnie siali ją przez kobiety wiejskie, ciemne, żądne zabaw i łakome na stroje, wino i przysmaki.

— Tresują je łagodnemi sposobami, jak zwierzęta — myślał młody inżynier, rozumiejąc, że zarazę podstępnie rzucono w podatne środowisko.

Z prawdziwą radością opuszczał wieś, powracając do swojej komuny w Tołkaczewie.

Tu znalazł też groźne zmiany.

Z Moskwy przyszedł dekret, wprowadzający przymusowe nauczanie.

Starzy, niepiśmienni chłopi i siwe staruchy, uważające alfabet za czarci wymysł, zmuszeni byli uczęszczać do szkoły razem z dziećmi i wnukami.

Przysłany z miasta nauczyciel-komunista wyśmiewał dorosłych, pozbawiając ich powagi w oczach młodzieży, wymyślał brzydkiemi słowami i pod niebiosa wychwalał zdolności małoletnich uczniów.

Z nauką dorosłych wieśniaków jakoś nie szło i wkrótce myśl o natychmiastowem, na rozkaz z Kremlu, wykorzenieniu analfabetyzmu została porzucona. Nauczyciel zwrócił całą uwagę swoją i siły na wykształcenie młodego pokolenia w duchu komunistycznym.

Dzieci przechodziły gruntownie, ucząc się napamięć, nieskomplikowany zresztą „katechizm“ komunistyczny, stanowiący podwalinę nauki; bardzo powolnie i opieszale zdobywały sztukę pisania i czytania oraz rachunku najprostszego, odrabiając zadania kredą na ścianach z braku tablic. Ponieważ w Tołkaczewie nie znalazło się wolnego budynku na szkołę, urządzono ją więc w starej, walącej się szopie.

Ławek nie było, więc uczniowie siedzieli na podłodze, w kożuchach i dziurawych butach filcowych, marznąc i coraz częściej zapadając na zdrowiu.

Na inne nauki rząd proletarjacki nie zwracał żadnej uwagi. Najpierw należały one do wiedzy burżuazyjnej, powtóre sam

profesor nie miał o nich pojęcia, a więc pogardzał niemi, jak najnędzniejszym zabobonem świata kapitalistycznego.

Nauczyciel wiejski, licho opłacany, otoczony nieufnością i nienawiścią chłopów, wiedział, że ktoś, daleko mądrzejszy od niego, myślał tak samo i innym myśleć w ten sposób rozkazał.

Był to prezes Rady komisarzy ludowych, Włodzimierz Iljicz Lenin. Dyktator w swoim czasie przyszedł do wniosku, że należy poddać proletarjackiej kontroli z punktu widzenia materjalistycznej filozofji wszystkie nauki, nie wyłączając wiedzy przyrodniczej.

Jego pomocnik, wysoce wykształcony komisarz oświaty — Łunaczarskij, historyk Pokrowskij i córka generała — Aleksandra Kołłontaj pracowali nad przeróbką historji, nad wykreśleniem z literatury utworów i idei burżuazyjnych, a chemję i fizykę, jako oparte na niezłomnych i niezmiennych prawach, uważali za wrogie dla proletarjatu nauki, niemal za przesądy średniowieczne, gdyż Lenin nie uznawał nic trwałego i osnutego na zasadach stałych.

Inne jeszcze zlecenia wypełniał nauczyciel szkoły we wsi Tołkaczewo.

Musiał wpoić w swoich wychowanków, że Bóg i kościół są dla ludu odurzającem i trującem opjum, o którem sam miał słabe wyobrażenie, nigdy go na oczy nie widząc.

Wprowadzał też do szkoły nową organizację „Komunistycznej młodzieży wiejskiej“, czyli tak zwany „Komsomoł“. Dziatwa szkolna miała posiadać równe z dorosłymi ludźmi przywileje, niezależność od rodziny, prawo sądu nad wykroczeniami kolegów, kontroli nad nauczycielem, oraz jeden tylko obowiązek — szpiegowanie i donoszenie władzom o postępkach i słowach rodziców i mieszkańców wioski.

Ta metoda pedagogiczna odrazu dała smutne wyniki, bo trzech chłopów i dwie baby wrzucono do więzienia w pobliskiem mieście za sarkanie na rząd robotniczo-włościański.

Pani Bołdyrewa, dowiedziawszy się o tem, wyciągnęła gorliwego, chociaż niebardzo mądrego nauczyciela na rozmowę o systemie wychowawczym i przekonała się o zasadniczej, bardzo głęboko przemyślanej idei.

— Zrewolucjonizowane dzieci, usposobione wrogo dla dorosłych, stanowią najlepszy sposób zrewolucjonizowania a na-

wet rozbicia rodziny i społeczeństwa — pisał towarzysz Lenin! — z zachwytem w głosie wołał nauczyciel.

Plan był wyraźny i w sercu Bołdyrewej wzbudził trwogę. W ciemnej, niczem nie hamowanej, nie kierowanej żadną ideą masie włościaństwa myśl, rzucona przez Lenina, prawdopodobnie, także nieopatrznie, pod wpływem taktyki demagogicznej, jak pamiętne, okupione niewinną krwią i zburzeniem dorobku całych pokoleń hasło: „Rabujcie zrabowane!“ — mogła mieć skutki nieobliczalne i groźne.

Organizację młodzieży komunistycznej zakończono prędko.

Miała ona wytworzyć kadry prawowiernych komunistów, wykształconych w zakresie propagandy idei Lenina i uprzywilejowanych w każdej dziedzinie życia państwa proletarjackiego.

Nauczyciel dawał przykład swoim uczniom. Człowiek młody i wesoły potrzebował rozrywki i zabawy.

Nie mógł obojętnie patrzeć na rozrosłe, dorodne dziewuchy wiejskie, otaczające go podczas pogadanek szkolnych.

Jedna z nich — pucołowata, rumiana Kacia Filimonowa podobała mu się szczególnie. Zaczął zalecać się do niej i wkrótce namówił do odwiedzenia go. Od tego czasu wymykała się do niego po nocach.

Rodzice krzywo patrzyli na to, robili córce gorzkie wymówki, lecz ona ze śmiechem odpowiadała:

— Teraz każda kobieta wolną jest i może sobą rozporządzać!

Tak też czyniła do chwili, gdy przekonała się, że zaszła w ciążę.

Nauczyciel wyrzucił ją od siebie i swoje uczucia zwrócił ku innej dziewczynie.

Kacia porodziła syna. Władze zabrały go natychmiast wraz z matką i odesłały do miasta. W przytułku, gdzie go karmiła, miał pozostać na zawsze.

Dziecko musiało należeć do państwa, gdyż wychowanie domowe, pieszczoty matki, ciepło rodzinne czyniły dziecko niezdolnem czuć i myśleć, jak na proletarjusza przystało.

Dotychczas cicha wieś Tołkaczewo została niebawem wstrząśnięta wypadkami, które coraz bardziej niepokoiły Bołdyrewych.

Wieś, gdzie się znajdowała komuna przemysłowa, tak

bardzo potrzebna dla władz, długo nie odczuwała najazdu komisarzy, zwykle obdzierających ludzi na mocy dekretów i bez żadnych dekretów. Tołkaczewo wypełniało sumiennie wszelkie przepisy prawne i żadnych zatargów z władzami nie miało.

Jednak po pewnym czasie przybyli do wsi jacyś agitatorzy z Moskwy. Bluźnili przeciwko Bogu, zrzucili krzyż z cerkiewki, znęcali się nad popem, nawoływali młodzież do rozpusty, urządzali dni wolnej miłości, gdzie ofiarą padały młode kobiety i dziewczyny, żądne zabaw i upominków.

Tołkaczewo spotkały losy wsi Apraksinoj.

Powstały spory, rodziny zaczęły się rozpadać; na ulicach i w okolicy wałęsały się tłumy uciekających z domu dzieci, które wędrowały z jednej wsi do drugiej, aż docierały do miasta. Nikt się niemi nie opiekował, bo rodzice, przejęci niesnaskami w domu, rozwodami, kłótniami, bójkami i skargami do władz, nie mieli czasu na poszukiwanie zaginionych.

Pewnego razu pani Bołdyrewa, rozmawiająca ze znajomą wieśniaczką, spostrzegła młodą dziewczynę, przechodzącą przed domem.

Była to córka komisarza wiejskiego — Mania Szulgina.

— Jak się miewasz? — spytała ją pani Bołdyrewa. — Słyszałam, że zamąż idziesz. Za kogo?

— Za Szczepana Lutowa — odparła, rumieniąc się. — Właśnie mamy się spotkać i ustalić dzień ślubu.

— Daj, Boże, szczęścia! — życzyła jej pani Bołdyrewa.

— Dziękuję! — zawołała dziewczyna i pobiegła dalej.

Szła ku domowi Lutowych.

Szczepan, chłopak 18-letni, czekał na nią przed bramą. Objął ją wpół i poprowadził w stronę stojącego za domem spichrza.

— Dokąd idziemy? — spytała zdziwiona.

— Muszę tam zajrzeć... — odpowiedział wymijająco.

Otworzył drzwi szopy, wszedł i nagle pociągnął dziewczynę za sobą.

— Słuchaj, Mańka — rzekł, zamykając drzwi. — Należysz do komunistycznej młodzieży, więc musisz spełniać żądania towarzyszy. Chcę, abyś mi się natychmiast oddała! Ślub — to głupie przesądy, obyczaj burżujski!

Skromna, uczciwa dziewczyna milczała, w przerażeniu patrząc w ponure oczy chłopca.

— No, cóż nic nie mówisz? — spytał i objął ją, okrywając szyję jej pocałunkami i głośno oddychając. Twarz miał bladą i zamglone oczy.

— Puść mnie! — krzyknęła i chciała się wyrwać z jego rąk.

— Toś ty taka? — warknął. — Hej, towarzysze, chodźcie tu!

Z poza zwalonych stert słomy rżanej wynurzyło się kilku wyrostków. Zakneblowano dziewczynie usta i zdarto ubranie.

Szczepan, obaliwszy ją na ziemię, upadł na nią. Walczyli długo. Dziewczyna była silna i zwinna. Jednak towarzysze pomogli i obezwładnili ją.

Chłopak, dusząc Manię za gardło i wyrzucając krótkie, urywane słowa, zniewolił ją. Wyrostki, ciężko dysząc, drapieżnie śledzili ruchy miotających się ciał.

Wreszcie Szczepan podniósł się i przeciągnął lubieżnie.

— Dobra dziewka! — mruknął. — Ale i ze mnie — dobry towarzysz! Bierzcie ją, kto chce!

Do samej nocy zemdlona dziewczyna i rozpustne wyrostki pozostawali w ciemnym spichrzu, gdzie pachniało żytem, pleśnią i myszami.

Chłopcy wymknęli się chyłkiem i powrócili do domu niespostrzeżenie.

Manię znaleziono dopiero po tygodniu martwą.

Leżała naga, okryta sińcami, pokrwawiona i zmarznięta.

Sąd bez trudu wykrył zbrodnię i chłopców odstawiono do miasta. Bawili tam przez dwa dni. Powrócili zuchwali, butni, chwaląc się tem, że sąd uniewinnił ich, a nawet pochwalił za wymierzenie kary dziewczynie, nie wypełniającej zobowiązań prawdziwej proletarjackiej kobiety wolnej, równej mężczyźnie. Nie miała bowiem prawa odmawiać pożądającym jej komunistom.

Nic nie pomogły skargi ojca Mani, więc przyszedł do Bołdyrewych, aby wypłakać się i użalić.

Poważny, stateczny Szulgin, spostrzegłszy, że Bołdyrewy, w obawie przed wszystko słyszącemi i widzącemi murami, milczą, ze współczuciem patrząc na niego, rzekł, podnosząc dwa palce do góry:

— Przysięgam przed wami, jak przed Bogiem, że zemszczę się...!

Spełnił przysięgę.

Szczepan Lutow nagle przepadł. Nikt go już nigdy nie zobaczył.

Jakaś starucha opowiadała później na ucho pani Bołdyrew, że na własne oczy widziała, jak Szulgin w noc księżycową niósł coś ciężkiego do przerębli i, uwiązawszy stary kamień młyński, wrzucił do rzeki.

Po tym wypadku zaszedł inny, który wzburzył całą wieś.

Stara Wasylisa Leontjewa przybiegła do Bołdyrewych i, szlochając głośno, rozpaczliwym głosem zawodziła:

— Ratujcie, radźcie, dobrzy ludzie! Dziś dowiedziałam się strasznej prawdy! Moja córka będzie miała dziecko od męża mego... od swego ojca! Grzech wielki... zbrodnia przed Bogiem i ludźmi! Doradźcie, co robić? Och! O—o!

Bołdyrewy myśleli długo, nie wiedząc, co mają powiedzieć.

Wreszcie Bołdyrew rzekł:

— Nie wiemy, czy jest to teraz zbrodnią... Nowe prawa inaczej na rzeczy patrzą. Naradźcie się z komisarzem, sąsiadko!

Starucha pojechała do miasta na skargę.

Odprawiono ją z niczem.

Sędziowie szydzili z niej i śmiali się głośno:

— Hej, stara! Cóżeś myślała, że twój mąż nie ma oczu? Woli on młodą córkę od takiej starej szkapy! Nie widzimy w tem żadnej zbrodni. Są to stare przesądy głupie! Powracaj do domu i patrz, jak się miłują ojciec z córką. Cóż to, nie znasz Starego Testamentu? Opowiada on o takich wypadkach. Czemże twój stary gorszy jest od proroków tam jakichś. Jary on jeszcze i ochoczy! Kłaniaj mu się od nas, kobieto, i nie zawracaj nam głowy głupstwami. Wielka rzecz, że — córka! Baba jak każda inna...

Starucha surowo patrzyła na sędziów suchemi, złemi oczami i rzekła spokojnie:

— Popamiętacie mnie... Oj, popamiętacie, bezbożniki!

Tejże nocy spłonął drewniany dom sądu, podpalony nieznaną, mściwą ręką.

Winę zwalono na kilku kontr-rewolucjonistów, byłych urzędników i rozstrzelano ich, ponieważ kara istnieje na to, aby się znalazł zasługujący na nią.

Tymczasem Wasylisa powróciła na wieś.

W nocy, bez szmeru stąpając bosemi nogami, oblała naftą i podpaliła złożone w sieni łuczywo, wyszła z chaty, zaryglowała drzwi i wsunęła pod słomianą strzechę palącą się drzazgę. Dom spłonął jak stóg suchego siana, a w trzasku belek i w syczeniu ognia utonęły rozpaczliwe krzyki ginących ludzi, próżno szukających ratunku.

Wasylisa przez dwa dni błąkała się po wsi z zawiniątkiem, okrytem szalem.

Sąsiadki z podziwem patrzyły na kawałek drewna, otulonego szmatami.

Starucha potrząsała zawiniątkiem, całowała, przyciskając do piersi, i pieszczotliwym głosem nuciła:

— Aj, luli, aj, luli, śpij, wnuczku, śpij, sierotko!

Doszedłszy do zamkniętej cerkwi, długo patrzyła na zieloną kopułę bez krzyża i nagle zaczęła podskakiwać i krzyczeć przeraźliwie:

— Hej—ha! Hej—ha! Czerwony ogień pożarł grzeszników; czerwony ogień pożarł sędziów. Hej—ha, puściłam dobre, gorące płomienie... Hej—ha!

Naczelnik milicji, posłyszawszy to, kazał odwieźć obłąkaną do miasta i doniósł władzom o przechwałkach staruchy.

Wasylisa z miasta nie powróciła.

— Rozstrzelali ją z pewnością? — szepnęła do męża pani Bołdyrewa, dowiedziawszy się o tem.

Mąż nic nie odpowiedział. Przeglądał przysłaną z miasta gazetę.

Nagle podniósł głowę i, spojrzawszy na żonę dziwnym wzrokiem, przeczytał:

— Proletarjat odrzuca od siebie starą moralność wrogich klas. Nie potrzebuje żadnej moralności. Żyje rozumem praktycznym, który stokrotnie wyższy jest i czystszy od sztucznej, obłudnej moralności burżuazji. My uzdrowimy, uszlachetnimy świat i, gdybym nie czuł wstrętu do burżuazyjnych, głupich słów, powiedziałbym, że proletarjat jest święty, mądry i bez grzechu!

Spojrzeli na siebie ze zgrozą, i bólem.

— Tak pisze towarzysz Leon Trockij... — szepnął Bołdyrew.

Westchnęli ciężko i opuścili głowy.

Przed oknami pod komendą nauczyciela maszerowali młodzi komuniści i darli się na całe gardło:

„Już od wschodu błyska świt —
Nowy my tworzymy świat
I nowy wykuwamy byt,
Jak dla równego brata brat..."

ROZDZIAŁ XXX.

Na kilku frontach szalała wojna domowa. Coraz to nowe większe i mniejsze armje powstawały przeciwko dyktatorom kremlińskim. Odcięci od całego świata blokującymi Rosję aljantami i podtrzymywanemi przez nich „białemi“ wojskami, komisarze, jak żeglarze na tonących okrętach, ciskali w przestrzeń swoje „S. O. S.“ Było to jednak nie rozpaczliwe wołanie o pomoc, lecz groźne ostrzeżenie, czynione „wszystkim, wszystkim“, całemu światu, że proletarjat czyha na stosowną chwilę, aby wywiesić na szczycie wieży Eiffla, na Westminsterze, na Kapitolu Waszyngtońskim, nad Wiedniem, Rzymem i Berlinem czerwoną flagę rewolucji.

Czerwoni żołnierze znęcali się nad schwytanymi do niewoli „białymi“ oficerami, wycinając im na ramionach szlify, a z bioder zdzierając pasy skóry, przypiekano nad ogniem, wydłubywano oczy; rąbano siekierami; polewano wodą na mrozie, zamieniając ludzi na słupy lodowe; topiono w przeręblach setki związanych sznurami „wrogów proletarjatu“.

„Biali“ płacili komunistom okrucieństwem za okrucieństwo. Komisarzom wyrzynano na piersiach pięciopromienne gwiazdy; odrąbywano uszy, nosy i dłonie; wędzono nad ogniskami; próbowano na jeńcach ostrza szabel kozackich; strzelano do nich, jak do żywych tarcz; powieszonymi „czerwonymi“ żołnierzami zdobiono drzewa przydrożne, aleje parków i ścieżki leśne.

Komuniści — chłopi z nad Wołgi, znalazłszy rannego oficera „białej“ armji, rozpruli mu brzuch i, wyciągnąwszy jelita przybili je gwoździem do słupa telegraficznego. Bijąc jeńca kijami i potrącając, zmusili go do biegania wokoło przy rykach śmiechu, aż upadł, wyciągnąwszy z siebie wnętrzności, któremi omotał słup.

Chłopi na Uralu, podtrzymujący „białych“ generałów, znęcali się nad komisarzami bardzo pomysłowo. Zdarłszy z nich ubranie, dokonali łatwej operacji wprowadzenia do kiszki odchodowej patronów z dynamitem i, zapaliwszy lont Bickforda, spowodowali wybuch żywego pocisku. W innem miejscu komuniści, idąc za przykładem uralskich włościan, nabijali jeńcom usta prochem, obwiązywali szmatami i drutami, poczem rozsadzali żywy granat wśród wybuchów ponurej wesołości i żartów.

Wojna domowa ogarnęła całą Rosję i stawała się coraz bardziej zaciekłą, okrutną i dziką.

Rosyjski człowiek w kraju swoim niczego i nikogo nie żałował i nie oszczędzał. Ludzi wszędzie było bez liku, niby karaluchów i pluskiew w brudnych, kurnych, cuchnących chatach; wsie oddawano na pastwę płomieni bez miłosierdzia, bo czyż nie obojętne było, że podpalono je, gdy i tak każdego roku pożary pochłaniały słomiane, nędzne wsie i drewniane, chaotycznie zbudowane miasta?

Wylękli, ograbiani przez „czerwonych“ i „białych“ mieszkańcy wiosek i miast codziennie spotykali innych władców i ciemiężców, śpiewając naprzemian to „Międzynarodówkę“, to „Boże, chroń cara“, tracąc pojęcie o prawie, moralności i człowieczeństwie.

Cudzoziemskie wojska nie miały powodu do litości dla Rosjan, bo albo pamiętały o zdradzie ich względem aljantów, albo o ciężkiej niewoli w głębi olbrzymiego kraju. Francuzi, Anglicy, Japończycy, Niemcy, Austrjacy, Madjarzy, Czesi, Polacy, Łotysze, rzygali kulami i pociskami swoich dział, dźgali bagnetami, wieszali i rozstrzeliwali tę „dzicz wschodnią“ tych „Tatarów obłąkanych i okrutnych“.

Rosja krwawiła straszliwie.

Z nią razem, o niczem już nie wiedząc, krwawił ten, który zamierzał wykuć dla niej lepszy świetlany byt.

Włodzimierz Lenin leżał w ciemnym pokoju bocznej oficyny Kremlu, przez długie miesiące walcząc ze śmiercią.

Fania Kapłan mierzyła dobrze. Zdawało się, że zamierzała zadać mękę dyktatorowi za mękę, którą udręczył naród.

Kula, zatrzymując się w kości pacierzowej, przebiła ważne sploty nerwowe. Lekarze, otaczający rannego, całą nadzieję

pokładali w sile tego barczystego, krępego człowieka o kopulastej czaszce, mongolskich policzkach i oczach skośnych, teraz ciągle przysłoniętych sinemi powiekami.

Przytomność powracała choremu rzadko i na krótko.

Długie doby mijały w cierpieniach, malignie, krzykach obłędnych, przeraźliwych. Lenin miotał się, zgrzytał zębami i bredził całemi godzinami. Wygłaszał mowy, a lewa ręka o skurczonych palcach wykonywała ruchy, niby narzucała ogromne litery na olbrzymim papierze.

Były chwile, że leżał nieruchomy z rękami i stopami zimnemi, bezwładnemi.

— Paraliż? — pytali, spoglądając na siebie, lekarze.

Lecz ranny nagle podnosił rękę i znowu pisał na niewidzialnym papierze, mrucząc urywanym głosem:

— Życie... szczęście... Helena... wszystko dla rewolucji, towarzysze!...

Później szamotał się z dozorującymi go sanitarjuszami, usiłował podnieść ciężkie, nabrzmiałe powieki i krzyczał:

— Dzierżyński... Torquemada... żandarm Fedorenko — pies plugawy... wściekły... Pod mur z nimi!... Powiedz mi, ...Feliksie Edmundowiczu... czy Chińczycy zadusili ...Piotrusia ...Dora... Dora... ach, ach! Dora Frumkin... Gdzie Dora? Towarzysze... powiedźcie Plechanowowi, że... ciężko zabijać...

Jęczał długo, żałośnie, a z pod sinych powiek toczyła się łza i nieruchomiała nagle, jakgdyby zamarzała na wystającym policzku, kościstym, żółtą obciągniętym skórą.

Zgrzytał zębami i poruszał blademi, wydętemi wargami, szepcąc niewyraźnie:

— Socjalizm, wszechludzka równość... furda!... mrzonki!... Najpierw precz z wolnością... to nie dla proletarjatu... później teror... taki, żeby Iwan Groźny... w grobie się wzdrygnął ..i tak przez pół wieku, może, przez stuleci[illegible] całe... Wtedy... zrodzi się jedyna cnota... jedyna ostoja socjalizmu... ofiarność... Lękiem wyzwolić ciała... prz[illegible] kształcić dusze... Nie gniewaj się, nie patrz surowo, [illegible] leno!... Taki nakaz... straszny... To nie ja!...

Znowu zapadał w bezwład. Myśli, błąkające się w [illegible] odlatywały w mrok; czuł, że stacza się w otchłań bez [illegible]

wiruje wśród odłamków światów, poszarpanych ciał ludzkich, porwany przez prąd potężny...

Rzęził, wyrzucając obłędne słowa, bez związku i znaczenia, słabnął, pogrążając się w milczenie, nieruchomy, prawie nieżywy. Wtedy pochylali się nad nim lekarze, dotykali pulsu, nadsłuchiwali, czy bije jeszcze serce Lenina — serce nikomu nieznane, tajemnicze, jak Rosja, — porywcza i obojętna, zbrodnicza i święta, mroczna i jasna, nienawidząca i miłująca, pochylająca głowę, jak skrzydlaty serafin Boży, i zuchwale podnosząca groźne oblicze Lucyfera; jęcząca, jak sierota na skrzyżowaniu dróg rozstajnych, i przerażająca dzikim świstem i okrzykiem Stieńki Razina, watażki okrutnego; płacząca krwawemi łzami Chrystusa i we krwi braci nurzająca się, jak najeźdźca tatarski.

Tak myślał oddany dyktatorowi. uwielbiający go doktór Kramer, trwogą o życie przyjaciela zgnębiony i przerażony.

Lecz serce jeszcze biło słabem, ledwie uchwytnem tętnem.

Dopiero po trzech tygodniach rozwarły się czarne oczy skośne i ze zdziwieniem oglądały pokój półciemny, majaczące w mroku stroskane, niespokojne twarze Nadziei Konstantynówny i doktorów.

Zaczął mówić słabym głosem.

Wypytywał o wypadki i znowu zapadał w sen, czy omdlenie.

Teraz jednak przytomność coraz częściej powracała. Tylko chwilami drętwiały mu prawa ręka i noga, nie mógł uczynić żadnego ruchu, ani słowa przemówić.

Czasami chciał powiedzieć coś, zapytać, lecz język odmawiał mu posłuszeństwa, bełkotał, wydając urywane mruczenie i bluzgając śliną.

— Objaw paralityczny... — szeptali lekarze.

Lenin zwalczał jednak te ataki. Zaczynał mówić i znów poruszał się swobodnie.

Nadzieja Konstantynówna spostrzegła, że chory coraz częściej krzywi się, marszcząc czoło, i oczy mruży.

Pochyliła się nad nim i spytała:

— Może, chcesz czego? Powiedz mi!

czynił znak, aby się niżej nachyliła, i szepnął:

Mózg mój zaczął pracować... Muszę pomyśleć nad róż-

sprawami... Chciałbym pozostać sam...

Krupskaja była ucieszona. Lenin niezawodnie powracał do zdrowia, bo pożądał samotności, podczas której tak potężnie pracowała myśl jego. Porozumiała się z lekarzami i ranny pozostał sam w półciemnym pokoju.

Leżał z otwartemi oczami, patrząc w sufit.

Pozostawał długo bez ruchu, wreszcie zmarszczył czoło i szepnął:

— Marja Ebner Eschenbach... Tak, niezawodnie — Eschenbach!... Jak to? „Cierpienie — wielki mistrz. Ono podnosi dusze ludzi“ ...Hm, hm! Alfred de Vigny napisał kiedyś coś podobnego: „Możliwe, że cierpienie jest niczem innem, jak prowadzeniem najbardziej treściwego życia...“

Umilknął i tarł czoło. Po chwili mruknął w zamyśleniu:

— Kto powiedział, że „dla ulepszenia“ gatunku człowieka pożyteczne są okrucieństwo, gwałt, niedola, niebezpieczeństwo, wstrząsy duchowe, zagłębienie się we własnem „ja“ ...potrzebne jest wszystko złe, straszne, tyraniczne, zwierzęce i podstępne także, jak i wszystko, przeciwne temu? Kto to powiedział? Ach — tak! Nietzsche! Dotychczas wszystko w porządku! ...Cierpienie i okrucieństwo... Cierpienie zrodziło okrucieństwo, okrucieństwo rodzi cierpienie... Wkońcu — świetlana meta — lepszy gatunek „człowieka“ ...wyższa forma jego bytu ...Dla tego żadna ofiara nie jest zbyteczna! Żadna... A Helena? Złotowłosa Helena w żałobnym welonie? ...Niebieskie oczy ...usta wykrzywione, krzyczące!...

Jęknął i przymknął oczy.

— A jeżeli całe okrucieństwo i cierpienie zakończą się powrotem do dawnego życia? Poco tyle ofiar, tyle łez, krwi, jęków? Poco zginęła Helena i Dora — piękna, naga Sulamit, kochanka Salomonowa, i Zofja Wołodzimirowa, i mały Piotruś, i ten blady Sielaninow, który odnalazł mnie aż w Tatrach?... Poco?

Myśli biegły wartko, jedna po drugiej, niby ktoś bardzo szybki i wprawny nizał perły na sznurek gładki i śliski.

Lenin szeptał i słuchał sam siebie.

— Nie jestem pewny... Więc eksperyment? Prób[illegible] Szalona, okrutna próba? Cha-cha! Nikt na nią się nie [illegible]

żył: ani francuscy przywódcy komuny, ani Blanqui i Bakunin, ani Marks i Liebknecht... Oni — marzyli... Ja — zrobiłem. Ja? Po wsiach wierzą, że jestem Antychrystem... Antychrystem...

Umilknął i zwarł szczęki rozpaczliwym ruchem.

Podnosząc oczy, mówić zaczął prawie głośno:

— Nie wierzę, żebyś istniał i rządził światem. Ty — Bóg! Jeśli przebywasz w tajemniczej krainie, daj znak, objaw swoją wolę, chociażby gniew swój! Oto ja — Antychryst bluźnię przeciwko Tobie; przekleństwa i ohydne szyderstwa ciskam w oblicze Twoje! Pokaraj mnie, lub daj dowód, że istniejesz! Daj! Zaklinam Ciebie!

Długo czekał, nadsłuchiwał, pałającemi oczami wodząc po suficie i ścianach.

— Nakreśl na murze ogniste: „Mane, Tekel, Fares"! Błagam! Zaklinam!

Cisza niezmącona panowała w pokoju.

Lenin słyszał tylko tętnienie krwi w skroniach i swój syczący oddech.

— Milczysz? — rzekł, zaciskając pięść. — Nie jestem więc Antychrystem, ale, może, i Ty nie istniejesz? Jesteś prastarą, zgrzybiałą legendą, ruinami dawnej świątyni, w której straszy?... A gdybym był zwykłym śmiertelnikiem i zawołał na cały świat: „Pogardzam Tobą, bo..."

Wbiegli lekarze.

Lenin bełkotał słowa, roztargane na strzępy, pogmatwane; pianę miał na wargach; leżał zwieszony z łóżka, bezwładny, zimny

Znowu mijały tygodnie walki ze śmiercią.

W krótkich chwilach przytomności Lenin z przerażeniem patrzył w prawy kąt pokoju, gdzie pozostały mosiężne haki od wiszących tu niegdyś obrazów świętych i szeroka smuga, zakopcona dymem lampki olejnej.

Coś szeptał. Lekarze starali się zrozumieć dźwięki, uporczywie powtarzane przez chorego, lecz były to słowa, nie mające żadnego znaczenia i takie dziwne w ustach Włodzimierza Lenina.

Drżąc i ukradkiem, bojaźliwie patrząc w kąt, powtarzał:

— Zjawa... zjawa... zjawa...

Niezawodnie gorączka zatruwała mózg, ukryty we wspaniałem czole, jak kopuła, podnoszącem się nad przenikliwemi, gorejącemi oczami. Bredził w malignie. Co chwila tracił przytomność.

W nocy, gdy pielęgniarka i Nadzieja Konstantynówna zasypiały, Lenin otwierał oczy i czekał, szczękając zębami i ciężko dysząc.

Sunęły przed nim lekkie mgły, niby nici przejrzyste, niby żałobny welon Heleny Remizowej...

Przychodziła, blada, z twarzą wykrzywioną, z oczami, w których miotały się przerażenie i rozpacz, stawała nawprost wezgłowia i wyciągała czerwony skrawek papieru, z palącem się na nim słowem: „Śmierć“! Stała długo, głową potrząsała i groziła leżącemu, lub przeklinała, podnosząc ręce...

Odchodziła powolnie, a za nią sunęła naga postać Dory, okrytej falą czarnych włosów, zbliżała się do łoża, pochylała się nad nim i roniła na pierś Lenina krwawe łzy...

W powietrzu drgała i tłukła się po kątach jękliwa, żałosna nuta:

— O — o — o — oj! O — o — o — oj!

— Czy to burłaki ciągną krypę ciężką i jęczą pod chylącym ich ku ziemi, tnącym barki sznurem mokrym? — miota się myśl dręcząca, chwiejna, usiłująca omamić, oszukać.

Z mgły zwisającej czołga się na kolanach, siwa, groźna Mina Frumkin, skarży się, szlocha bez łez i wśród zawodzeń i jęków ciska krótkie hebrajskie przekleństwo, ciężkie, jak głaz.

Za nią kroczy wysoki, blady, o oczach płomiennych Sielaninow... a tuż — tuż za nim car bez głowy... caryca, wyrywająca sobie bagnet, wbity w brzuch; ...carewicz z twarzą krwią zalaną; ...cały korowód miotających się, straszliwych zjaw... Skamłanie... szczęk zębów... syk urywanego oddechu... szamotanie się... westchnienia.

Nie! to jego zęby wydają zgrzyt ostry, jego gardło skamła, jęczy, jego pierś z sykiem dysze... to on, Włodzimierz Lenin chce się porwać z łóżka i słabnącemi ramionami, w oplocie bandaży, walczy z Nadzieją Konstantynówn[illegible] sanitarjuszką i dyżurnym lekarzem.

— Och! — wzdycha z ulgą i zapada w sen głuchy i śl[illegible]

Nad ranem budzi się chory i znowu myśli.

Mętny świt sączy się przez szpary firanek; zjawy, spłoszone zalatującemi tu odgłosami z placu i korytarzy, nie przychodzą. Zaczaiły się gdzieś po kątach i czyhają, lecz wyjrzeć ze skrytek swoich nie śmią... przeklęte duchy nocne, mamidła dręczące!...

Po południu kazał przyprowadzić do siebie agenta „czeki" Apanasewicza i pozostał z nim sam na sam.

Patrzy w skośne oczy dyktatora nieznany Leninowi człowiek, jakiś dziwny, tajemniczy, jak wąż. Nie wiadomo, czy tylko spogląda nieruchomym wzrokiem, czy mierzy przestrzeń dla skoku.

Lenin szepce, ledwie poruszając ustami:

— Zjawy... umęczonych przychodzą do mnie... grożą, przeklinają... To nie ja zabiłem! To — Dzierżyński!... Nienawidzę go!... Torquemada... oprawca... szaleniec krwawy! Zabij go! Zabij go!

Chce wyciągnąć rękę do stojącego przed nim człowieka. Nie może. Zimne ręce ciężą mu, niby ołowiem nalane... Wargi zaczynają latać, język sztywnieje, występuje piana na usta i spływa na brodę, szyję i pierś...

— Za... tow... bra... Hel... złot... — szeleszczą bezładnie i rozpryskują się jęki, pomruki, bełkot...

Lekarz odsyła agenta. Apanasewicz odchodzi, kiwając głową i szepcąc służalczo:

— Ciężko chory! Taki cios... wódz narodu... jedyny... niezastąpiony...

Znowu pełzły jednostajne, długie dni gorączki i zrywającego się na krótko szału, wlokły się nieskończone, ciężkie godziny omdlenia, nieprzytomnych szeptów, niewypowiedzianych skarg beznadziejnych, jęków głuchych, krzyków chrapliwych.

Miotał się Lenin i walczył z niewidzialnemi postaciami, które tłoczyły się koło jego łoża, zaglądały mu pod powieki, płakały krwawo nad nim, zawodziły ponuro, syczały, jak żmije...

Nie wiedział, że wybuchnęła przepowiadana przez niego [w] licznych mowach i artykułach rewolucja w Kilonji i lotem [bły]skawicy przemknęła po całej Germanji, zmuszając Hohen-

zollernów do abdykacji, a armję niemiecką — do cofnięcia się poza Ren i do zawieszenia broni; nie przeczuwał, że już rozprysło się na części dumne imperjum Habsburgów i, że we wszystkich krajach wśród chaosu wypadków, sporów i zawieruchy rewolucyjnej podnosił głowę głoszony z Kremlu komunizm. Już przemawiał śmiało ustami Liebknechta i Róży Luksemburg w Berlinie; już nawoływali do dyktatury proletarjatu Leon Jogiches — Tyszka — w Monachjum, Bela Kuhn — w Budapeszcie, Majsza i Miller w Pradze, lecz głosów ich nie słyszał twórca i prorok komunizmu wojującego. Borykał się ze śmiercią.

W rzadkie chwile przytomności, bał się pozostać sam, a w nocy, widząc, że pielęgniarkę zmorzył sen, budził ją i błagalnie patrzał na nią, mówiąc tylko oczami, pełnemi gorących, niespokojnych błysków:

— Boję się... nie śpijcie, towarzyszko!

Wracając znagła do świadomości, a nie mogąc wydać głosu i nawet poruszyć ręką, drżał i z lękiem bezmiernym oczekiwał dręczących go zjaw.

Przychodziły do niego i stawały z obydwóch stron łoża.

Inne widma, wyzierające zewsząd, trzęsąc się od złośliwego śmiechu, mknęły chyłkiem, znikając bez śladu w otchłani pustki bez kresu, zaczynającej się tuż przed źrenicami jego i uchodzącej w dal kosmosu.

Były to straszne zwidy, najstraszniejsze i najokrutniejsze.

Brat Aleksander, czerwono-siny, z wywalonym językiem obrzękłym i czarnym, ze stryczkiem, zaciskającym mu szyję, majaczył przed nim, jakgdyby kołysząc się na sznurze szubienicy i rzucał słowa niewyraźne, ciężkie i niemiłosierne. Rzęził, z wysiłkiem ruszając opuchniętemi wargami i długim, sztywnym językiem:

— Ginęliśmy na szubienicach... w lochach Schlüsselburga, w kopalniach Sybiru... Pestel, Kachowskij, Rylejew, Bestużew... Żelabow... Chałturin... Perowskaja... Kibalczycz... ja — brat twój... i setki... tysiące męczenników — umieraliśmy z radosną, dumną myślą, że torujemy narodowi naszemu drogę do szczęścia... Lecz oto przyszedłeś ty... w proch, w nicość obróciłeś ofiarę naszą.. zabiłeś w nas radość i spokój... Przygotowaliśmy drogę d

ciebie... zdrajcy... oprawcy... tyrana... Przeklęty bądź na wieki wieków!... Przeklęty!...

Odzywała się głosem groźnym w swej boleści druga postać, stojąca przy łożu... Siwa głowa trzęsła się, głęboko zapadłe oczy błyskały ponuro... podnosiła się wysoko dłoń o palcach skrzywionych jak szpony.

— Znowu Mina Frumkin, stara żydówka... — tłucze się pod czaszką myśl i szybuje, jak nietoperz, błyskawicznie, bez szmeru.

Lecz zjawa szeptać zaczyna gorąco i gniewnie:

— Nie oszukasz siebie! — Próżno!... Musisz poznać mnie... Jam matka twoja!... Uczyłam ciebie miłości dla ludu uciemiężonego... pobudzałam do rzucenia mu promienia światła... krzewiłam wiarę w potęgę najwyższą, która jest wszystkiem i poza którą — nie masz nic... Przelałeś morze krwi... rozpętałeś dzikie żądze ciemnego ludu... na zbrodnie posłałeś go... na Boga rękę zbrodniczą podniosłeś... Szalony, nie wiesz, że przesądzone są drogi życia ludzi i ludów! Nic nie uczynisz poza tem!... Każden wysiłek dumny zginie w głębinie wieków, jak ziarnko piasku na pustyni... Zostanie po nim wspomnienie czarne i imię twoje znienawidzone, przeklinane przez pokolenia, aż staniesz się marą obłędną i utoniesz w niepamięci po wieki wieków... Przeklęty bądź!...

Zbierał całą wolę, wszystkie siły, słabą, zdrętwiałą ręką zrzucał ze stolika flaszki i szklanki, budził dozorujących go ludzi i syczał:

— Nie śpijcie!... Nie śpijcie!... Oni mnie zamordują... Brat... Matka... Helena... Dora... Sielaninow... wszyscy, wszyscy czyhają na mnie!... Nie śpijcie!... Błagam... rozkazuję!...

Powoli, słabnąc, przeminęła gorączka a z nią razem odeszły majaki nocne, zjawy okrutne, nielitościwe.

Lenin już siadywał na łóżku i przeglądał dzienniki.

Dowiedział się o wszystkiem.

Wojna skończona! Rewolucja hula po świecie! Komunizm wzmaga się i potężnieje. Jego mózg — dzielna Róża Luxemburg, serce jego płomienne — Karol Liebknecht i ręka ...azna — Leon Jogiches działają, rozbijając szeregi ugo-

dowców socjalistycznych i ciosy zadając przerażonym imperjalistom!

Cóż wobec tych radosnych wypadków znaczyły wysiłki Anglji i Francji, aby zwolnionym, niepotrzebnym na froncie materjałem wojennym wzmocnić siły kontrrewolucji w Rosji? Proletarjat w Europie powstanie i zwycięży, a wtedy...

— Precz głupie, bezsilne zjawy — wytwory mózgu, trawionego gorączką! — myślał Lenin. — Jakże nędznie brzmią głosy wasze, jakże bezsilne i jałowe są groźby i śmieszne — przekleństwa, strachy na małe dzieci nierozumne!

O wszystkiem teraz zapomniał Lenin; porwały go całkowicie wypadki. Żył w nich i dla nich. Zwoływał komisarzy — kolegów, doradzał, pouczał, wahających się przekonywał, do nowych czynów popychał, pisał dla nich mowy, projektował wiece, kongresy, kierował wszystkiem.

Widział i rozumiał, że praca kipiała. Był przekonany, że powodzenie „białych“ armij powinno się skończyć prędko, bo już zdarzały się w nich wypadki zdrady, zamieszek i rozkładu. Już tu i ówdzie kontr-rewolucyjni generałowie przebąkiwali nieopatrznie o powrocie do dawnego ustroju monarchicznego, przerażając i podnosząc przeciwko sobie włościan, robotników, żołnierzy i zwiększając tarcia pomiędzy różnemi rządami dzielnicowemi, istniejącemi w Rosji.

Śmiał się cicho Lenin, oczy mrużył i ręce zacierał.

Wkrótce chodzić zaczął, jeszcze niepewnie, chwiejnie, potykając się co chwila i przystając, aby odetchnąć, nabrać sił, ledwie tlejących w jego barczystem ciele.

Przybywały delegacje nieraz z dalekich miejscowości, aby ujrzeć na własne oczy dyktatora, przekonać się, że żyje, że jest gotów do walki, do obrony wspaniałych zdobyczy rewolucji.

Odwiedzały go grupy robotników, ukradkiem przed „białymi“ przedzierających się z południa, z kopalni węgla i żelaza, z fabryk metalurgicznych na Uralu, z warsztatów tkackich, położonych w obwodzie moskiewskim; przychodzili poważni, zaniepokojeni i skupieni chłopi z bliskich i dalekich wsi.

Ze wszystkimi rozmawiał Lenin, przyjaźnie, jak równy z równymi, rozumiejąc każdą myśl i najmniejszy odruch

duszy, wypytując uważnie, zadając niespodziewane pytania, wyjaśniające to, czego nie dopowiadali, lub nie chcieli wyznać delegaci.

Robotnicy utyskiwali na wyczerpujące prace przymusowe, złe odżywianie, brak potrzebnych instrumentów i surowe kary.

— Nawet dawniej tego nie było! — oburzonym głosem skarżył się przed Leninem stary robotnik. — Pracowaliśmy dziesięć godzin, jedliśmy dosyta, mogliśmy kupować, co się zechciało, za złe obejście awantury robiliśmy, strajki, bunty. A teraz? Mamy tylko stęchły chleb z plewami, suchą rybę śmierdzącą; towarów żadnych; żony nasze i my sami chodzimy, jak żebracy, dzieci też nic nie mają; napół nagie, bose nie mogą z domu wyjść, ani do szkoły, ani na zabawę... Pracujemy po 12 godzin, nie licząc dodatkowej roboty, dobroczynnej, na rzecz państwa w dni świąteczne?! Jeżeli policzyć, to po 14 godzin wypadnie!... Jeżeli nie wyjść w swoim czasie—bez chleba zostawiają nas komisarze, do sądu ciągną, a, jak się powtórzy, to i pod mur stawiają...

Lenin słuchał i oczy mrużył, myśląc:

— Można tak rządzić, póki szaleje wojna... A co będzie, gdy się skończy? Jak damy sobie radę?

Robotnikom odpowiadał z dobrotliwym uśmiechem:

— Trudno, towarzysze! Wasze państwo, wasz rząd... Musicie zwyciężyć kontrrewolucję, wtedy inaczej będzie... Wkrótce połączymy się z zachodnimi towarzyszami. Wszystkiego będziecie mieć w bród, gdy zajrzymy do kieszeni europejskich burżujów! Bogactw nazbierali oni dla was niewyczerpane zasoby! Cierpliwości! Tymczasem — wszystko dla zwycięstwa proletarjatu! Nie uskarżajcie się, nie zniechęcajcie, pracujcie ze wszystkich sił, bo koniec już blisko! Wierzcie mnie!

Odchodzili z przebłyskami nadziei w sercach, zachwyceni prostotą, szczerością i zrozumieniem ich krzywdy przez „swego Iljicza".

Lenin po ich odejściu notował sobie nazwiska delegatów, a sekretarz wyprawiał do prezesów Rad i „czeki" listy poufne, aby zwrócono na niezadowolonych robotników baczną uwagę i stanowczo przecięto rosnące protesty.

Chłopi głuchemi głosami zanosili skargi „ziemi".

— Nie możemy ścierpieć rozpanoszonej „biedoty", tych nicponiów, marnujących ziemię, krzywdzących prawdziwych ziemiorobów! Nie poznajemy wsi; nieprawość wszelka, ohyda miejska trapi nas! To — nieporządek! Tak nie wolno z chłopami postępować! My pocimy się, karki gniemy, ręce, nogi zbijamy sobie przy pracy, a tu przyjeżdżają łobuzy w skórzanych kurtkach i wszystko zabierają! Pocóż pracujemy wtedy?! To nie podług prawa! Nie! Dać — damy, ino tyle, ile możemy, po sprawiedliwości. Patrz sam, Włodzimierzu Iljiczu, co się dzieje! Wieśniacy w Tambowskiej guberni zaczęli pracować tylko tyle, ile dla rodziny wystarczy! Gdzie tam! Przyjechali komisarze, nabrali zakładników i zagrozili, że rozstrzelają ich, jeżeli chłopi nie będą uprawiali całej roli. Myślała „ziemia", że to pogróżka dla strachu, a oni pięciudziesięciu chłopów postawili pod mur, no, i skończyli z nimi! Tak z nami nie igrajcie, bo to się musi skończyć źle! My dawno wzięlibyśmy się za karabiny i siekiery, ino wojna nam zbrzydła, a tej posoki mamy po same gardło! Cierpimy jeszcze, ale na wszystko przychodzi koniec, Iljiczu! Na wszystko! Powiedz swoim komisarzom, aby po sprawiedliwości rządzili, łobuzów, hołotę zabrali od nas, bo my ich wyrżniemy, jak chwasty na polu...

Lenin zamienił się w słuch, kiwał głową, wyrażał współczucie, obiecywał upomnieć komisarzy, aby nie krzywdzili „ziemi".

W duchu myślał:

— Aha! Wylazł burżuj... Potężny, o miljonie głów... uparty, cierpliwy nieskończenie, ale i groźny, jak potwór apokaliptyczny!

Nie odważał się przed nim na pogróżki i nie donosił władzom o śmiałych słowach i buntowniczych myślach włościan. Chciał, żeby mu wierzyli i byli pełni zaufania dla niego — takiego prostego w mowie, o chytrych oczach chłopskich i wesołej twarzy człowieka, który jakgdyby wczoraj odszedł od pługa, rozumie wszystkie potrzeby, biedy i krzywdy „ziemi".

Pewnego dnia z delegacją włościan z nad Wołgi przybył siwy, bezbarwny człeczyna, jakoś dziwnie ubrany, patrzący na Lenina zagadkowemi oczami, łagodnemi i przebiegłemi.

— Pewno jakiś sekciarz — pomyślał dyktator.

Chłopi zanosili zwykłe skargi. Ucisk, grabież, bezprawie, komisarze... słowa te powtarzali bez końca, ciągle powracając do nich.

Mały człeczyna, słuchając utyskiwań wieśniaków, uśmiechał się chytrze i szeptał:

— Próżność wszystko!... Dobrze jest i sprawiedliwie się dzieje. Ułoży się wszystko, sąsiedzi! Nie smućcie, nie siejcie troski w sercu Włodzimierza Iljicza... Niech rychło do zdrowia powraca!... Przed nim jeszcze wielka praca... nie skończona... wielka, oj, wielka!

Gdy delegacja żegnała Lenina i opuszczała jego pokój, siwy człeczyna podszedł do dyktatora i szepnął, ostro patrząc na niego:

— Pozwól mi, Włodzimierzu Iljiczu, pozostać i na osobności powiedzieć ci to, z czem tu przyszedłem.

— Zostańcie, towarzyszu! — zgodził się natychmiast Lenin, dla chłopów wyrozumiały, nigdy niezapominający o „potworze, posiadającym miljon głów", których ściąć nie mogłyby wszystkie „czeki" państwa proletarjatu.

Pozostali sam na sam.

Chytry uśmiech nagle zniknął z twarzy gościa. Wyprostował się i uroczystym głosem rzekł:

— Dawno nie widzieliśmy się, Włodzimierzu Iljiczu!

Lenin spojrzał na niego pytająco.

— Dawno! — ciągnął człeczyna. — Raz tylko spotkaliśmy się... w Kokuszkino nad Wołgą... Herbatę u was piłem... Rodzice twoi zaprosili... Uczciwi ludzie byli, dobrzy...

— Ach! — zawołał Lenin i klasnął w dłonie. — Już wiem! Mały, chudy popik, przybyły na pogrzeb dziewczyny wiejskiej...

— Tak, tak! Ojciec Wissarjon Czerniawin... — kiwnął głową gość. — Brata waszego znałem... świeć, Boże, nad jego duszą...

— Co robicie teraz? — spytał Lenin, marszcząc brwi.

Czerniawin uśmiechnął się:

— Na stare lata zmuszony byłem do roli się zabrać, bo popów nie macie w czci.

Zaśmiał się cicho i tajemniczo.

Milczeli długo, mierząc się wzrokiem, przełapując każdy błysk oczu, każdą rodzącą się myśl.

Pierwszy odezwał się pop:

— Przyszedłem wyrazić wam wdzięczność, Włodzimierzu Iljiczu! Wdzięczność ze szczerego serca, znającego miłość i noszącego w sobie zrozumienie głębokie.

To powiedziawszy, nagłym ruchem uklęknął i pochylił się nisko, czołem dotykając podłogi.

— Wdzięczność dla mnie? — wybuchnął śmiechem Lenin. — My waszych biskupów, popów i mnichów — darmozjadów przetrzebiliśmy i na cztery wiatry rozpędziliśmy. Cha! Cha! Koniec z tem! Amen! Wstańcie z kolan, jam nie ikona...!

Wissarjon Czerniawin wstał, uśmiechnął się chytrze i szepnął:

— Oj, nie koniec! Oj, nie koniec! Początek dopiero... Za to właśnie wdzięczność chciałem ci złożyć, pokłon do samej ziemi... — szepnął.

— Bredzisz, przyjacielu! — machnął ręką Lenin.

— Myślisz, że zabiłeś wiarę? — począł szeptać pop. — E-e, nie! Zburzyłeś kościół grecki, który był, niby płaz, po ziemi pełzający, nie mający skrzydeł orlich, aby się wzbić do górnego lotu. Tak, jak mówi nasz Maksym Gorkij: „Zrodzony, aby się czołgać, — szybować nie może!“ Ty zrozumiałeś pohańbienie i poniżenie wiary prawdziwej i zmusiłeś ją do życia od początku: od apostołów Chrystusowych, od zebrań tajemnych, męczeństwa i świeczników pierwszych chrześcijan! Wyzwoliłeś wiarę gorącą, niezłomną z więzów kościoła służalczego. Za to wdzięczność ci przynoszę od siebie i trzódki swej wiernej!

Lenin zbladł i próżno silił się wyrzec coś ustami drżącemi.

Pop, nie spostrzegając wzruszenia jego, mówił dalej:

— Myślisz, że chłopa przerobiłeś na tych, co w stadzie chodzą pokorni, jako niemowy od urodzenia? E-e, nie! Oni zrozumieli wszystko, wszystko! Wiedzą, jak trawa rośnie, słyszą, co rzeka szemrze! Porozumiewają się teraz rozważnie, ostrożnie, podejrzliwie, bez pośpiechu siły skupiają...

Przemówią naraz wszyscy, a będzie to pomruk, który posłyszy cały świat! Zmuszą oni, aby pochylili przed nimi głowy buntem ogarnięci, nic nie miłujący robotnicy i komisarze, ludzie obcy z krwi lub ducha! Chłopi ciemni, których ty oświeciłeś, do życia powołałeś, dłonią twardą, spracowaną ujmą życie ojczyzny i poprowadzą bez wahań. Za to wdzięczność ci przynoszę, Włodzimierzu Iljiczu, od siebie — sługi Bożego, od „ziemi" i od duszy umęczonego za lud brata twego, Aleksandra Uljanowa. Przyjmij go, wszechmogący, miłosierny Boże, do przybytku świętych Twoich!

Lenin, robiąc straszliwy wysiłek, wstał i oparł się o stół rękami. Oczy miał szeroko rozwarte, a w nich miotał się strach dziki, obłędny.

Stary pop oczy wzniósł do góry i szepnął z przejęciem namiętnem:

— Umieramy prześladowani, ścigani, umęczeni! Ach! Dobrze, szlachetnie i słodko dla surowej prawdy podlegać nienawiści bezwstydnych despotów, tyranizujących wolność w imię wolności, katujących duszę, aby poznała mądrość przedwieczną!

— Precz! — krzyknął Lenin i zatoczył się, jak pijany.

— Precz! — powtórzył chrapliwie i nagle, zgrzytnąwszy zębami, upadł na fotel w drgawkach.

Coś zadzwoniło przeciągle, syknęło, pękło... Cały świat zawirował, w szalonej spirali mknąc w otchłań wzburzoną, skotłowaną, gdzie snuły się czarne tumany i pełzły, niby blade węże, mgławice majaczące, kreślące w mroku zawiłe, tajemne zygzaki...

Mały, siwy człeczyna wyślizgnął się z pokoju i, ujrzawszy pielęgniarkę, rzekł do niej łagodnie:

— Idźcie do niego, siostro, snadź nie całkiem zdrów jeszcze nasz Włodzimierz Iljicz...

Wyszedł spokojny, uśmiechnięty.

Ciężki i długi atak ponownie pozbawił Lenina przytomności i sił.

Uporawszy się z nim, długo pozostawał w zadumie, nie spostrzegając nikogo i nie odpowiadając na pytania obecnych.

Jedna i ta sama, nieodstępna myśl świdrowała, dręczyła mózg jego:

— Czyżby wysiłek mój poto był, aby doprowadzić lud do przeciwnego bieguna? Byłoby to szyderstwem losu... przekleństwem najstraszniejszem... Jakżeż ciężkie zwątpienia rzucił do duszy mojej ten pop szalony! Nie! Nigdy!

Zadzwonił trzy razy, gwałtownie, niecierpliwie.

Wbiegł sekretarz.

— Piszcie, towarzyszu! — gorączkowym, chrapliwym głosem zawołał Lenin. — W Moskwie przebywa pop Wissarjon Czerniawin. Schwytać i rozstrzelać... dziś jeszcze!...

ROZDZIAŁ XXXI.

Lekarze nie wierzyli własnym oczom, patrząc na Lenina. Gotowi byli myśleć, że stał się cud. Ten beznadziejnie chory człowiek, napół sparaliżowany, wpadający w obłęd, nagle się podniósł, wyprostował bary, uśmiechnął się chytrze i wesoło, jakgdyby mówił:

— Tylko ja jeden coś wiem, ale nikomu tajemnicy swojej nie powierzę!

Wprost z łóżka prawie przeszedł do sali Rady komisarzy ludowych.

Był wielki czas po temu!

Komisarze, oprócz rzucającego się po całym froncie Trockiego i ponurego, upartego Stalina, potracili głowy.

„Białe" armje Kołczaka i Denikina odnosiły zwycięstwa nad komunistami. Wszystkie obietnice Lenina, rzucone na cały świat, zawiodły i nie zostały wypełnione.

Najpierw rozwiała się nadzieja na trwały pokój i zatwierdzenie socjalizmu w przeciągu dwuch miesięcy; nie sprawdziła się przepowiednia o zwycięskiej rewolucji w Niemczech. Powstanie proletarjatu, które istotnie wybuchnęło w Monachjum i Berlinie, runęło. Niemcy, kochający swój kraj i kulturę, niezależnie od tego, czy byli to oddani Hohenzollernom imperjaliści, czy liberali, czy socjaliści, kierowani przez Scheidemanna, Adolfa Hitlera i Noskego, zdławili komunizm w zarodku. „Spartakusowcy" zostali zwyciężeni, a rozwścieczony tłum robotników, żołnierzy i oficerów znęcał się na ulicy nad Liebknechtem, Luxemburg i Jogichesem, przewożonymi do więzienia, gdzie wodzowie komunizmu zostali zamordowani.

Niemiecka republika przeszła do obozu najniebezpieczniejszych, bo idejowo zorganizowanych wrogów dyktatury proletarjatu.

Wnet za nią, zrzuciły bolszewickie jarzmo Węgry, Czesi i państwa bałkańskie; we Włoszech komuniści nie odważyli się nawet na proklamowanie powstania, chociaż po więk-

szych i mniejszych miastach motłoch uliczny, olśniony rozmachem rosyjskiej rewolucji, pokrzykiwał wesoło:

— Viva Lenin! Viva il bolcevismo!!

Lenin wiedział już o tem podczas swej choroby, czytając dzienniki i naradzając się z kolegami. Przedstawiono mu istotny stan rzeczy raz jeszcze, natychmiast po przybyciu jego do sali Rady komisarzy.

Wszyscy obecni z wyrzutem patrzyli na niego, z zapartym oddechem oczekując słów dyktatora. Namyślał się krótko. Podniósł głowę i, mrużąc oczy, powiedział:

— Teraz my sami musimy zaszczepić komunizm w Germanji... Należy bez zwłoki rozpocząć dyplomatyczne stosunki z kapitalistycznemi państwami, wyrażając naszą szczerą chęć do pokojowego z niemi współżycia...

— To zdrada idei!... Kompromis!... Śmierć komunizmu! — krzyknęli Zinowjew i Kamieniew, tłukąc pięściami w stół. — Oportunizm zbrodniczy!

— Musimy żyć z sąsiadami formalnie w dobrych stosunkach — ciągnął spokojnie Lenin, — potrzebujemy od nich towarów, brakujących nam, pieniędzy i specjalistów dla naprawy naszego zniszczonego przemysłu. Dopuścimy kapitalistów zagranicznych, aby ożywili handel i ułatwili naszym komisjom ekonomicznym i dyplomatycznym wolny wstęp do swoich państw, gdzie będziemy szerzyli naszą agitację. Jednocześnie socjaliści o zabarwieniu Zimmerwaldu i Kienthalu muszą dokonać roboty rozkładowej wewnątrz tych państw. Rosyjski proletarjat musi za wszelką cenę zakończyć wojnę domową zwycięstwem i odetchnąć trochę. Przez ten czas wzmocnimy nasze placówki w Polsce, Niemczech, Czechach i zaczniemy od początku...

— Nie mamy żadnych sił w Niemczech. Tam wszystko zgnietli imperjaliści i ugodowi towarzysze... — zauważył Cziczerin.

— Nie dajecie mi skończyć! — wybuchnął Lenin. — Posiadamy olbrzymią armję, złożoną z kilkuset tysięcy rosyjiskich jeńców w Niemczech. Muszą oni być zorganizowani i rozlokowani na linji Elby. Towarzysze Busch i Kork pisali mi o tem. Jeńcy uderzą. Pójdziemy przez Polskę. Młode, słabe, zniszczone państwo nie będzie stawiało oporu...

Dzierżyński drgnął i nieruchomy wzrok wbił w Lenina.

Odezwał się Trockij. Mówił głosem szyderczym:

— Taki plan wymaga dużo złota... W kraju naszym fabryki stoją, głód, epidemje, niezadowolenie rosną, towarzyszu prezesie Rady komisarzy ludowych! Tymczasem jesteśmy zbuntowanymi nędzarzami...

Lenin spojrzał na niego pogardliwie. Uśmiechnął się i rzekł dobitnie:

— Mamy brylanty Romanowych, nieprzebrane skarby w Ermitażu i innych muzeach. Sprzedać wszystko!...

Zaśmiał się cicho.

— Fabryka papierów państwowych ma rozpocząć druk pieniędzy cudzoziemskich! — rzucił chrapliwym głosem. — Po upływie dwuch miesięcy będziemy mieli półmiljona uzbrojonych ludzi na terenie nieprzyjacielskim. Pamiętajmy, że otaczają nas narody, zgnębione wojną, niezadowolone, wyglądające pokoju. Zaczniemy od Czecho-Słowacji i Polski, po nich nastąpi kolej na Rumunję i Jugosławję. Po pierwszych powodzeniach przyłączą się do nas Włochy. Dziś dostarczono mi ścisłych informacyj, że mimo niepowodzenia, niemiecki proletarjat pójdzie pod naszym sztandarem. Czy długo potem zdoła przetrwać Francja? Padnie, a z nią runie Anglja! Dla tego planu musimy mieć w przygotowaniu wszystko do ostatniego skrawka papieru. Nikt nie wytrzyma naszego nacisku zbrojnego od wewnątrz i z zewnątrz!... Nie mamy prawa wpadać w rozpacz i zwątpienie, towarzysze! Precz z paniką! Musimy trochę odetchnąć, zebrać się z siłami i — do dzieła!

Pod wpływem wrzącej energji, spokoju i niegasnącej ani na chwilę wiary Lenina, rozpoczęła się nowa praca.

Formowano i szkolono olbrzymią armję, bito fałszywe funty i dolary, sprzedawano niemal na ulicach wszystkich stolic świata brylanty, perły, złote serwisy, należące do korony i kościołów; wywożono zagranicę obrazy, rzeźby; handlowano staremi ikonami, zabytkami muzealnemi, zbiorami księgarskiemi; obdzierano ze wszelkich kosztowności świątynie; wytężono wszystkie siły na zwalczenie rządu syberyjskiego, posiadającego prawie cały „złoty skarb" państwa.

Lenin myślał o wszystkiem.

Niewidzialnemi szczelinami sączył propagandę komunistyczną i pieniądze na rewolucję światową; zwoływał narady fachowców, planując elektryfikację kraju i zaprowadzenie w każdej chacie chłopskiej światła elektrycznego; ustawiał motory powietrzne do poruszenia dynamo-maszyn; budował samoloty; projektował nowe uniwersytety i szkoły dla wychowania specjalistów o psychologji proletarjackiej; podtrzymywał fantastyczne projekty nowych fabryk; przyjmował delegacje chłopskie; pisał własnoręcznie kartki z pozwoleniem dla wieśniaków i robotników na przewiezienie kolejami większej ilości towarów i produktów; osobiście sprawdzał, czy jego rozkazy zostały wykonane i rozesłane; zasypywał wszystkie dzienniki artykułami; wydawał książki i broszury; wygłaszał mowy agitacyjne, usypiające podejrzliwość narodu, kojące cierpienie jego i budzące nadzieję.

Kipiał i płonął cały; wytężał siły w szalonym, niedoścignionym pośpiechu.

Urzędy nie mogły nadążyć za nim. Komisarze tracili głowy i upadali ze znużenia, popędzani przez osobiste telefoniczne rozkazy i potok drobnych kartek dyktatora z coraz to nowemi pomysłami. On zaś wszystko robił na czas i wymagał ścisłości i systematyczności w wykonaniu zleceń. Pochłaniała go myśl nad naukową organizacją pracy i nad utworzeniem „ligi racjonalnego wykorzystania czasu". Komisje łamały sobie głowy nad tem zagadnieniem i wyniki swoich badań codziennie referowały dyktatorowi, nie ukrywając przed nim, że wszelkie doświadczenia są bardzo utrudnione z powodu demoralizacji, panującej wśród rzesz robotniczych.

Lenin się śpieszył.

On jeden tylko wiedział o przyczynie swego pośpiechu.

Napadały go chwile odrętwienia i obojętności męczącej i strasznej. Czuł wtedy nieznośny ciężar w głowie i chłód przenikliwy. Myśl z trudem płynęła w mózgu, jakgdyby przeciskała się mozolnie przez szczeliny w kamieniu.

Rozumiał, że pod czaszką jego dzieją się rzeczy dziwne i nieuniknione.

Nie miał zwątpienia, iż były to objawy groźne.

Raz jeden tylko, patrząc na odwiedzających go doktora

Kramera i Maksyma Gorkiego, w obecności Nadziei Konstantynówny rzekł, zmuszając się do wesołego uśmiechu:

— Popamiętajcie moje słowa, że skończy się to paraliżem!...

— Potrzebny wam jest dłuższy odpoczynek — zauważył doktór.

— Nie mam już ani chwili do stracenia! — odparł Lenin z naciskiem.

Istotnie nie miał. Obmyślił nowy, zawiły plan polityczny. Był gotów w szczegółach, musiał więc przystąpić do wykonania.

Niepokoiło go pewne zjawisko, wywołane przez hasła, które rzucił w październiku 1917 roku.

Uroczyście oznajmił, że wszystkie narodowości, wchodzące w skład dawnego imperjum rosyjskiego, mogą same określić swój stosunek polityczny do państwa proletarjatu, a nawet oderwać się całkowicie.

Cała Rosja pokryła się samodzielnemi republikami. Osłabiało to kraj i nie pozwalało Radzie komisarzy żądać od odosobnionych części żywności i ludzi dla armji.

Lenin zaczął rozkładać te drobne ugrupowania, korzystając z panujących w nich waśni idejowych, przyłączał je do związku sfederowanych republik, niepokorne ludy podbijał, walcząc z Kaukazem, kozaczyzną i Ukrainą, wreszcie, przekreślił obietnice pierwszego dekretu i zacisnął „zwolnione“ przez proletarjat, a podbite niegdyś przez carów narody w rękach Kremlu.

Odwieczna zaborczość rosyjska, pogarda dla słabszych ludów, obudziła się w półmongolskiej, półsłowiańskiej duszy Lenina, wybuchnęła z całą siłą i stanowczością, ponieważ odpowiadała drapieżnemu instynktowi narodu. Nogą przycisnął powalonych i żelazną ręką zdusił za gardło. Ludy i szczepy zostały niewolnikami rządu moskiewskiego, przerażającego nasłanemi agentami krwawej „czeki“ i oddziałami karnemi.

Odtąd były zmuszone podzielić losy zaborców i razem z nimi dążyć do nieznanego celu, coraz bardziej zanikającego wśród gromadzących się dokoła, stłoczonych, groźnych chmur.

Zagarnięcie bogatej Ukrainy i Kaukazu dodało sił zmagającej się z przeciwnościami Radzie komisarzy ludowych. Czerwona armja zwalczyła najstraszniejszego wroga — rząd

syberyjski. Groźny to był przeciwnik, zbliżający się do Permiu i już zapowiadający dzień zdobycia Moskwy. Upadł nagle, w chwili, gdy wodzowie głośno marzyli o carze i Zgromadzeniu Narodowem, z czego skorzystali baczni na wszystko przewódcy komunizmu, umiejętnie i podstępnie podnosząc przeciwko nim ludność rosyjską i mongolską.

Bogata Syberja dostarczyła znacznych zasobów chleba, mięsa, złota i ludzi.

Wtedy Lenin zwołał nadzwyczajne posiedzenie Rady i oznajmił:

— Mamy teraz jeden tylko front południowy. Nie przetrzyma jednak długo, bo już zgnił... Czas rozpocząć wojnę z „kapitalistyczną międzynarodówką“ — z Zachodem. Pierwszy cios ma spaść na Polskę. Po jej trupie przejdziemy do Niemiec i podniesiemy tam powstanie proletarjatu. Gdy będziemy mieć swój rząd w Berlinie, nastanie koniec Europy! Wojna z Polską, towarzysze! Mianuję prezesem przyszłego rządu komunistycznego w Polsce towarzysza Woroszyłowa, który zaprosi do współpracy ludzi podług swego wyboru. Na czele armji, jako kierownik polityczny, po porozumieniu się z nieobecnym tow. Trockim, stanie Kamieniew, mając przy sobie jako odpowiedzialnych dowódców fachowych — Tuchaczewskiego, Sergejewa, Budennoja i Gay-chana. Wojenno-rewolucyjny komitet przyjmuje plan, opracowany przez towarzyszy Szaposznikowa, Gittisa, Korka i Kuka. Nasza żelazna piechota i bohaterska kawalerja powinny utopić zbrodniczy rząd Piłsudskiego we krwi zmiażdżonej armji polskiej! Na Wilno — Mińsk — Warszawę — marsz!

Zdziwili się komisarze, bo takim stanowczym i wojowniczym tonem Lenin nigdy nie przemawiał. Pozostawiał głośne frazesy innym.

On zaś czynił to teraz w pełnej świadomości.

W mózgu rosyjskiego chłopa, a nawet inteligenta żyła nieprzeparta żądza wielkiej, niepodzielnej Rosji. Polska, gwałtem i podstępem przyłączona do dawnego imperjum, stała się oddawna jedną z prowincyj zachodnich. Głosiciele idei wolności ludów nie mogli o tej „prowincji“ zapomnieć. Powtórne zbrodnicze pogwałcenie praw wolnej Polski nie wywołałoby oburzenia w narodzie rosyjskim. Lenin wiedział

o tem dobrze i wykuwał nowe kajdany, zamierzając utopić Polskę we krwi, przerazić terorem i wcielić do republiki rad komunistycznych.

Przed niczem się nie cofał. Moralność dyktatora była moralnością całego narodu.

Komisarze rozchodzili się, omawiając możliwości nadchodzących wypadków i pochwalając mądry plan swego wodza.

Po skończonej naradzie Lenin kazał, aby stawiono przed nim carskiego generała Brusiłowa.

— Towarzyszu generale! — rzekł do niego bez powitania dyktator. — Rozkazuję wam napisać odezwę do narodu o wojnie z Polską i wziąć udział w ostatecznych przygotowaniach sztabu. Jeżeli spostrzegę wahanie, lub zdradę, tegoż dnia zginiecie w „czeka"! Nie mam nic więcej do powiedzenia.

Służalczy generał, niedawno jeszcze ulubieniec cara, skłonił się pokornie i wyszedł.

Lenin pozostał sam. Usiadł w fotelu i zamknął oczy. Czuł przejmujący go trwogą ciężar w głowie i bez przerwy wrzącą w niej pracę jakichś sił nieznanych. Były one jak zgiełk roju pszczół, lub nieustający ani na chwilę ruch mrowiska.

Oddychał ciężko i kurczył palce, wpijające się w skórę fotelu.

Nagle poczuł na sobie uporczywy wzrok, przebijający opuszczone powieki i zaglądający mu do mózgu.

Spojrzał i drgnął.

Przy stole stał Dzierżyński. Z twarzą straszliwie się kurczącą, usta krzywił, a oczy blade, nieruchome wbijał w źrenice dyktatora.

— Feliksie Edmundowiczu... — szepnął Lenin.

Dzierżyński postąpił krok naprzód i szybkim, drapieżnym ruchem pochylił głowę.

— Przyszedłem... — syknął, — aby przypomnieć wam naszą pierwszą rozmowę w pałacu Taurydzkim w dzień powstania... Przyrzekliście postawić mnie na czele rządu polskiego, towarzyszu...

— Wyznaczyłem Woroszyłowa — odpowiedział Lenin. — Musi to być Rosjanin, gdyż Rosja będzie prowadziła wojnę z Polską.

— Towarzyszu... — podniósł głos Dzierżyński, grożąc oczami, — towarzyszu, rzekliście słowo... Można okłamywać ciemnych chłopów waszych, oszalałych robotników, buntowniczych i leniwych, ale nie mnie!... Ja wiem, czego żądam!... Wy nie rozumiecie tego, na co się porywacie! Wy nie znacie polskiego ludu! To nie Rosjanie! Polacy miłują sercem każdą grudkę ziemi, każde drzewo, każdą cegłę kościoła... Oni mogą się kłócić i za bary wodzić, lecz, gdy o kraj pójdzie, gorze temu śmiałkowi, który nań się targnie!... Tam tylko ja oszukać, omamić, uśpić baczność i trwogę potrafię! Tylko ja! Za moją wierną służbę, za morze przelanej krwi, za pogardę i nienawiść, otaczające imię moje, żądam tego!

Wyprostował się, lecz wzroku nie spuszczał z oczu Lenina.

Ciężko oddychał i zaciskał ręką twarz drgającą. Chwilami kurczyła się tak, że odsłaniała mu zęby i dziąsła, jakgdyby krzyczał przeraźliwie, to znów rozchylała usta i zwężała oczy w straszliwej masce śmiechu.

Lenin patrzał na niego. Odłamki, skrawki myśli niepotrzebnych, wrywających się zewsząd, wirowały w głowie:

— Rozstrzelał Helenę... zamordował Dorę... Ach, Apanasewicz?!

Milczenie trwało długo.

Dzierżyński uderzył dłonią w stół i szepnął:

— Żądam! Słyszysz ty, kusicielu, najeźdźco tatarski? Wyjdę stąd albo z dokumentem, podpisanym przez ciebie, albo poto, aby oznajmić, że umarłeś... Wiedz, że moi ludzie są tu wszędzie... Jeżeli zechcę, każę wymordować wszystkich w Kremlu... Żądam!

Jeszcze raz uderzył pięścią w stół i umilknął.

Lenin wyciągnął rękę do dzwonka elektrycznego.

— Nie trudź się... dzwonek nie działa — syknął Dzierżyński, szyderczo patrząc na dyktatora. — Zresztą, dziś w Kremlu na warcie stoją moi ludzie...

Lenin nagle się zaśmiał. Żółta twarz stała się uprzejma i wesoła.

— Chciałem prosić o papier! — zawołał. — Tylko o papier, cha, cha!

— Mam przy sobie napisany dekret — odparł Dzierżyński. — Podpiszecie go, towarzyszu...

Położył przed nim drukowany na maszynie arkusz.

Lenin przebiegł go oczami i podpisał.

— Dobrze to wszystko obmyśliliście, Feliksie Edmundowiczu — szepnął. — Gracz z was!

— W Moskwie, oprócz was, są inni, co myślą o tem i owem — odpowiedział, chowając dokument. Zajrzał głęboko w zmrużone oczy Lenina i rzekł dobitnie:

— A pamiętajcie, że gdybyście odwołali dekret lub czyhali na moje życie, — zginiecie, Włodzimierzu Iljiczu!

Lenin nic nie odpowiedział. Zanurzył się w fotelu i spokojnie patrzał na kurczącą się twarz Dzierżyńskiego, na jego opuchnięte powieki i szaleńcze oczy. Znowu uśmiechnął się życzliwie i spytał:

— Może napijecie się herbaty, Feliksie Edmundowiczu? Zaraz Gorkij przyjdzie, będzie nam objaśniał, dlaczego chłop nasz posiada tyle okrucieństwa. Cha! Cha!

Dzierżyński niedbale machnął ręką.

— Dziękuję! — mruknął. — Niebardzo ja wierzę w rozum tego waszego genjusza. Powiada, że chłop jest okrutny dlatego, że wódkę pije i czyta „Żywoty świętych"! To dobre dla dzieci... Gdydy wódka i „Żywoty świętych" tak działały, to cała ludzkość stałaby się zgrają bandytów. Tymczasem dzieje się to tylko w Rosji...

— No, przecież, co do okrucieństwa, to wy, chociaż nie Rosjanin, wszystkich chyba prześcignęliście — cicho się śmiejąc i mrugając do niego, szepnął Lenin.

Dzierżyński zrozumiał szyderstwo. Skurcz przemknął mu po twarzy. Ściskając skronie, odparł:

— Ja w rachubę nie idę... Nie mógłbym zabić człowieka na ulicy... Muszę mieć dla tego loch i podwórko „czeki", bo w niej żyje idea... strachem zmusić ludzi do najwyższej odwagi...

— Hm... hm — mruknął z wyraźnem szyderstwem Lenin.

— Odwaga ta polega na zapomnieniu o sobie w imię ofiarności dla innych... — dokończył Dzierżyński.

Lenin nic nie odpowiedział. Pomyślał tylko:

— Zdrajca, jak Konrad Wallenrod, czy zwykły warjat, sadysta?

Dzierżyński wyszedł cicho, bez szmeru.

Lenin był zły i mruczał do siebie z wściekłością.

— Zamach, pierwszy zamach na moją wolność! Inni nie ważyli się na to nigdy, a ten szaleniec... Jak postąpić?

Nie widział wyjścia z nieoczekiwanej sytuacji. Nie wątpił, że Dzierżyński zdolny był do wykonania swoich pogróżek.

— Nie mam prawa ryzykować swojem i towarzyszy życiem... Pozostawmy tę bolączkę czasowi... Gdy Dzierżyński będzie w Polsce, obmyślę coś na niego... W każdym razie do „czeki“, tego państwa w państwie, nie powróci już!

Przyszły ciężkie czasy. Rok zmagania się olbrzymiej Rosji z małą, wyczerpaną i ogołoconą przez wojnę światową Polską.

Pierwsze powodzenia upoiły czerwoną armję.

Kamieniew, Woroszyłow i Tuchaczewskij już obliczyli ściśle dzień wejścia do Warszawy i powiadomili o tem Moskwę.

Parli wprost przed siebie, pijani od zwycięstwa, przelewu krwi, wyroków śmierci, znęcań się nad oficerami i inteligentnymi żołnierzami „szlacheckiej“ Polski.

Generałowie polscy: Piłsudski, Haller, Żeligowski, Szeptycki, Sosnkowski i Sikorski umieli dobierać ludzi. Zjawiali się młodzi oficerowie — odważni, zdolni, nieugięci. Legjony, walczące niedawno z armją cara, biły się z takąż werwą z czerwonemi wojskami, tworzyła się armja ochotnicza i szybko szła do boju, powstawały oddziały partyzanckie, dowodzone przez ludzi szalonej odwagi. Odezwy Piłsudskiego i Hallera zapaliły serca młodzieży polskiej i kobiet.

W szeregach obrońców walczyły tysiące studentów, uczniów gimnazjalnych, dzieci niemal, dziewczyn i młodych kobiet. Arystokrata — obok wieśniaka, ksiądz — obok robotnika — socjalisty. 11-letni chłopak — obok powstańca z r. 1863-go. Płomieniem buchnęła miłość do ojczyzny. Była jak burza, przed którą nic ostać się nie mogło.

Sztab polski przeniósł walkę nad Wisłę. W chwili, gdy czerwone patrole już wchodziły do przedmieść Warszawy, armja dzikiego proletarjatu rosyjskiego została rozbita. Cofała się w popłochu, tracąc tysiące ludzi, artylerję, uchodząc zagranicę, gdzie składała broń. Niedobitki tylko dotarły do

Rosji, gdzie, jak podczas ofenzywy Niemców po przerwanych naradach pokojowych w Brześciu, wyglądano teraz zbawców — Polaków.

Jeszcze jedna karta Lenina została zabita.

Rada komisarzy ludowych, zebrana na posiedzenie, z nieukrywaną niechęcią patrzyła na Lenina, słuchającego spokojnie, niewzruszenie wyjaśnienia Kamieniewa i Tuchaczewskiego o przebiegu nieudanej wojny.

Gdy skończyli, Lenin strzepnął palcami i rzekł głuchym głosem:

— Przegraliśmy! Ha! Walczyć bez miłości w sercu z tymi, którzy kochają ziemię, naród, tradycje — nie jest rzeczą łatwą, towarzysze! Mamy naukę na przyszłość. Musimy zaszczepić w armji i włościaństwie umiłowanie ojczyzny kumunistycznej i świadomość, przeciwną posiadanej przez Polaków. Oni uważają za swój obowiązek obronę Zachodu przed zalewem Wschodu. My musimy poczuwać się do odpowiedzialności za krzewienie komunizmu od oceanu do oceanu!...

— Jakaś mocno zawiła sofistyka! — pogardliwie zauważył Zinowjew, patrząc na towarzyszy.

Lenin nie zwrócił na niego żadnej uwagi.

— Mamy przed sobą zadanie — skończyć z wojną domową — mówił dalej. — Skierować na Denikina i Wrangla wszystkie siły i zgnieść kontr-rewolucję na zawsze! Objąwszy rządy nad całą Rosją niepodzielnie, zaczniemy nową grę. Myślałem, że do tego nie dojdzie, że czerwona armja potrafi walczyć nie tylko, gdy „w siedmiu na jednego uderza“, lecz i z równemi siłami. Widzę teraz, że nie wychowaliście w niej ducha odporności i spokoju, niezbędnego do zwycięstwa. Musicie naprawić to! Zaczniemy nową grę!

Urwał nagle i umilknął na jedną chwilę. Ale wystarczyło tego nieuchwytnie krótkiego momentu, aby myśl Lenina pędem błyskawicy obiegła, opasała cały świat. Ujrzał łuny nad Indjami, a huk i zgiełk bitwy walczył z odgłosami burzy, szalejącej nad szczytami Himalajów. Miljony żółtych wojowników, jak potworne fale, mknęły na Zachód. Czarne hordy Murzynów wdzierały się do Europy od południa, pozostawiając po sobie zgliszcza i pobojowiska.

— Zaczniemy nową grę! — powtórzył Lenin, uderzając pięścią w stół. — Przeczuwał ją filozof-marzyciel Włodzimierz Sołowjow. Podniesiemy Azję przeciw Europie! Podniesiemy Hindusów, Murzynów i Arabów przeciwko Anglji. Francji i Hiszpanji! Wzniecimy rewolucję kolorowych przeciwko białym ludom. Staniemy na czele ruchu i rękami żółtych, czarnych i bronzowych towarzyszy obalimy stary świat! Musimy ze wschodu czerpać siły dla naszego dzieła! Rozpocząć pracę nad zwołaniem kongresu Azjatów! Ogłosimy „świętą wojnę“ przeciwko Anglji, tej twierdzy kapitalizmu i odwiecznego ładu. Miljard uciemiężonych ludzi stanie w naszych szeregach!

Znowu, jak zwykle, potrafił Lenin rzucić oślepiające hasło, otworzyć szerokie horyzonty, natchnąć wiarą i nadzieją.

Czerwona armja wkrótce zwaliła się huraganem na front generała Wrangla, rozbiła jego wojska, zmusiła do wycofania się poza granice Rosji; cudzoziemcy w popłochu porzucili Krym, Kaukaz i Odesę; fala uciekinierów rosyjskich wyplusnęła do Europy, na długą, ciężką tułaczkę.

Nad Rosją powiewała czerwona flaga komunizmu, a jej cień dosięgał na zachodzie granicy polskiej, łotewskiej, rumuńskiej, na wschodzie — fal oceanu Spokojnego.

W różnych miastach rosyjskich odbywały się kongresy przedstawicieli azjatyckich narodów. Przebiegli komisarze podsuwali im myśl o walce z Anglją i Francją, kreślili granice olbrzymiego państwa z hasłem „Azja dla Azjatów“ i podszeptywali im:

— My poprowadzimy was na wielki podbój świata!

Nikt tu nie mówił o komunizmie, o zniesieniu własności prywatnej, o prawie pięści, o walce z Bogiem.

Inne tu brzmiały mowy — podstępne, fałszywe, lecz działające na wyobraźnie marzących o wolności ras, na których ciążyło nielitościwie jarzmo białych zaborców, zapominających o nauce Jezusa z Nazarei.

Komisarze, podsycając w kolorowych ludziach nienawiść do Anglji i zatruwając umysły możliwością rychłego odwetu, zacierali ręce i widzieli już w swej drapieżnej wyobraźni nowe stosy mięsa, rzuconego na pastwę armat i kulomiotów w imię hasła, przerażającego Europę.

Wreszcie robota agitacyjna była skończona.

W Moskwie zwołano kongres trzeciej Międzynarodówki, aby uchwalić wspólny plan działań.

W wielkiej tronowej sali Kremlu odbywały się narady Międzynarodówki. Wśród rosyjskich i zachodnio-europejskich delegatów widniały turbany Hindusów, zawoje Afgańczyków, Arabów i Berberów, czerwone i czarne fezy Turków i Persów, jedwabne czapeczki Chińczyków i Annamitów, okrągłe głowy Japończyków i lśniące, hebanowe twarze Murzynów ze Stanów Zjednoczonych Ameryki, z Sudanu i z ziemi Zulusów.

Na fotelu tronowym, z dwugłowym orłem cesarskim na oparciu siedział olbrzymi Murzyn, o szyi byka, szerokiej twarzy, przeciętej linją białych zębów.

Przewodniczył zebraniu z wysokości tronu Rurykowiczów, mając przy sobie do pomocy w kierowaniu obradami towarzysza Karachana i „hinduskiego profesora“, Mayawlewi Mohammed Barantułłę.

Kongres przyjął jednogłośnie uchwałę o „świętej wojnie“ przeciwko Anglji. Przyłączył się do tego postanowienia poseł okrutnego Amanullaha, emira Afganistanu. Miało to wielkie znaczenie w oczach muzułmanów, gdyż uczeni, wpływowi „ulema“ zamierzali uznać emira za „mahdi“ — „miecz Allaha“ i wręczyć mu ukrywany w Mecce zielony sztandar krwawego Proroka.

Wszystko szło po myśli Lenina i znajdujących się pod jego wpływem komisarzy z biura politycznego.

Podejmowano wschodnich delegatów serdecznie i hucznie. Pokazywano, jak i innym cudzoziemcom, odwiedzającym Moskwę, rzeczy, dowodzące wielkiego dobrobytu Rosji. Były to: fabryka tkacka, drukarnia, wzorowy domek robotniczy, współczesna chata wieśniacza, szkoła, przytułek dla dzieci, czytelnia, urządzone starannie, dla zaimponowania i zbicia z tropu naiwnych gości, którzy nie podejrzewali nawet, że reszta fabryk pozostaje nieczynna, że w jednym pokoju zarekwirowanych mieszkań i pałaców gnieździ się po trzy rodziny robotnicze, że na wsi nic się nie zmieniło, chyba to, że znikły nafta, świece, mydło i materjały na ubrania, że szkoły, przytułki i czytelnie nie mają środków nawet na opał, że są ogniskiem rozpusty i chorób.

Lenin zapraszał do siebie delegatów i prowadził rozmowy właściwym mu, ujmującym sposobem, zmuszającym do szczerości.

Gadatliwi Murzyni z Ameryki i Sudanu krzyczeli, wymachiwali długiemi, małpiemi rękami, szczerzyli potężne kły i obiecywali powstać, jak jeden mąż, aby wymordować białych ciemiężców.

Tylko Zulus milczał i ponuro spoglądał na czarnych rodaków. Gdy uspokoili się nieco, mruknął pogardliwie:

— Przysłowie powiada: „dziękuj za każdą radę, ale zważaj na rozum własny i na siły swoje“. Nie ręce dadzą nam wolność, chociażby potężne były. Tylko rozum! Tylko rozum da nam szczęście...

Umilkł i odszedł od rozmawiających z Leninem towarzyszy.

— Głosowaliście za wojną z Anglją? — spytał go komisarz Karachan.

— Tak! — odparł Zulus. — Ale wojna bywa różna. Nie tylko miecze dzwonią i obalają ludzi. Nie tylko pięść przemawia do rozumu...

Azjaci zawsze skupieni, zaczajeni i podejrzliwi, patrzyli na ruchliwych komisarzy niewzruszonym wzrokiem czarnych oczu, o źrenicach, ukrytych za nieprzeniknioną zasłoną tajemniczości. Słuchali uważnie, zachowując milczenie.

Japończyk Komura, wysłuchawszy gorącej mowy Lenina, wzruszył ramionami i mruknął, wciągając w siebie powietrze:

— Wy nie możecie kierować nami. Naród wasz jest ciemny, na duchu słaby i okrutny. Znamy was z wojny 1905 roku. My — ludzie z Nippon poprowadzimy Azję!...

Nie pocieszyła też Lenina rozmowa z Wan-Hu-Koo, którego zaprosił na długą pogawędkę do swego gabinetu.

Zacierając ręce i uśmiechając się zagadkowo, Chińczyk rzekł z ukłonem, pełnym uszanowania:

— Mądry panie, który nie bronisz mnie niegodnemu nazywać siebie „towarzyszem“, pozwól, że wyrażę zdumienie moje człowieka nieoświeconego i nędznego! Chcesz skasować sto lat pracy ludzkiej, które dzielą Rosję od Zachodu?... To ci się nie uda... My — Chińczycy, którzy mamy do odrobienia 500 lat, musimy osiągnąć wszystko to, co wy-

wyższyło Europę. Chcemy mieć kapitalistyczną gospodarkę, demokrację i parlament, tylko taki, do którego wejdą najlepsi, najuczciwsi, najmądrzejsi ludzie. Niech tam będą potomkowie cesarza, mandarynowie, bankierzy, wieśniacy, kulisi. Muszą być jednak najlepsi wśród najlepszych. Oni będą myśleć i pracować nie dla siebie i swoich przyjaciół. lecz dla całego narodu! Tak myślimy, czcigodny towarzyszu, mądry, szanowny panie!

Ale szczególnie zaniepokoiła Lenina rozmowa z Hindusem. Był to wykształcony Aurobindo Chendarwakar, wysłany przez Mahatmę Ghandi. Kremlowi chodziło o Hindusów, bo, oni, pierwsi mogli zadać cios Anglji, stojącej na drodze, którą kroczył komunizm. Miał zamiar omówić z Chendarwakarem wspólną akcję i niezwłoczne wystąpienie górali północno-zachodnich prowincyj.

Do tego jednak nie doszło, bo rozmowa nagle skończyła się fatalnie.

Hindus, wysłuchawszy objaśnienia programu komunistycznego, zawołał:

— Teraz widzę jasno! Komunizm jest rezultatem cywilizacji materjalistycznej i zwolennicy jego w uwielbieniu martwej materji utracili łącznik z życiem rzeczywistem, przekształcając się w maszynę. Boimy się jej! Koła maszyny wciągną nas w swoje tryby i zęby, aż uczynią z nas bierne w obojętności, bezduszne części składowe tejże maszyny. Jest ona wytworem ciemnych sił i od niej przyjdzie zguba! Zwróćcie się do ducha i w nim szukajcie Boga! Bóg to miłość, zmieniająca się w czyn dobry. Wy siejecie nienawiść, która zostawia po sobie ruiny, trupy i zemstę... Żywimy dla was dobre uczucia, bo, jak i my, walczycie z Anglją... Jednak drogi nasze są rozbieżne... Wy nie jesteście przeznaczeni na wodzów naszych... Dlaczego macie być wodzami? Kto powołał was do tego?

Lenin musiał gwałtownie przerwać tę rozmowę, bo do gabinetu jego wchodzili delegaci: bułgarski — Kolarow. włoski — Teraccini, angielski — Stewart, amerykański — Amter, południowo-afrykański — Stirner, finlandzki — Kuuisinen, wprowadzeni przez Radka i Joffego.

Tegoż wieczora dyktator wezwał do siebie Cziczerina, Ka-

rachana, Litwinowa, Radka i długo rozmawiał z nimi. Postanowiono rzucić znaczne sumy na przekupienie delegatów, na wysłanie najzdolniejszych agitatorów do Indyj i Chin, aby walczyli z przesądami „dzikich poczwar“, już zatrutych jadem cywilizacji zgniłego Zachodu.

— Urabianie Azjatów nie pójdzie tak łatwo... — westchnął Karachan.

Jakgdyby w odpowiedzi na to wszedł sekretarz i podał telegram.

— Towarzysze, — syknął Lenin. — Emir afgański, podnoszący powstanie przeciwko Anglji, został rozbity na drodze do Kabulu. Mahatma Ghandi wypowiedział się przeciwko taktyce wojującego komunizmu i postanowił przejść do „biernego oporu“. Szaleniec!

Towarzysze milczeli.

Lenin czuł, że wiara w niego rozwiewa się, jak mgła poranna pod smaganiem wiatru.

Musiał rzucić na stół nową kartę, aby natychmiast porwać wyobraźnię komisarzy, uchronić ich przed ostatecznem zwątpieniem.

Karty tej nie miał.

Przerażająca obojętność ogarnęła go nagle. Czuł potrzebę wypoczynku, samotności i milczenia. Zimno pożegnał towarzyszy i poszedł do swego mieszkania.

Położył się na kanapie i o niczem nie myślał. Był śmiertelnie znużony.

Ktoś zapukał do drzwi i wszedł.

Dyżurny oficer z warty podał telegram.

— Do prezesa Rady komisarzy ludowych poufnie! — zameldował.

Lenin rozerwał kopertę i spojrzał na podpis.

Telegrafował prezes Rady komisarzy ukraińskich, donosząc, że chłopi kilku obwodów wyrżnęli „biedotę“, pozabijali komisarzy, nauczycieli-komunistów i rozgrabili składy aprowizacyjne.

— Posłałem oddziały karne, aby zmusić chłopów do posłuchu i zarekwirować im pszenicę. Trzy wsie zrównano z ziemią, — kończył swoje doniesienie wysoki urzędnik nowego rządu.

Stała się rzecz najstraszniejsza. Rada komisarzy występowała otwarcie przeciwko chłopom. Urok Kremlu i osobisty czar Lenina musiały prysnąć bezpowrotnie.

— Co robić? — szeptał Lenin. — Chłopom nie potrzebni są ani towarzysze zachodni, ani wschodni! Nic ich nie obchodzi elektryfikacja i postęp komunizmu! Żądają pokoju, normalnej pracy, chleba, towarów... Ja im tego dać nie mogę! Musiałbym rzucić włościaństwu sto tysięcy traktorów, uruchomić fabryki... Ha! Mr. King... rozpowiadał o potężnych maszynach, ale potem odszedł ode mnie i nawet się nie obejrzał! Mr. King!...

Spojrzał. Przy drzwiach pozostawał wyprostowany oficer, czekający na rozkazy.

Lenin zerwał się na równe nogi i krzyknął z wściekłością:

— Odejdź!

Oficer wypadł wylękły.

Lenin biegał po pokoju i, przykładając sobie pięści do czoła, wołał chrapliwie:

— Dajcie mi sto tysięcy traktorów, maszyny dla fabryk, robotników pracowitych, fachowych, genjalnych inżynierów, a ruszę świat z posad!

Wszedł woźny, który zwykle palił w piecach, i, śmiejąc się w kułak, mruknął ochrypłym głosem:

— Dziś zimno wam będzie spać, towarzyszu! Węgla do Moskwy nie dostarczono... Ludziska gadają, że gdzieś koło Charkowa głodni kolejarze strajkują i pociągów nie puszczają. Ha, jak brzuch podciągnie, to człowieka wszelkie zuchwalstwo się ima. Zimno wam będzie, towarzyszu, bo to na mróz bierze!

Lenin podszedł do niego i zajrzał mu w oczy.

— Jeżeli nie będziesz palił, to nie włócz się po domu... „towa — rzyszu"!

Wypchnął go i zatrzasnął drzwi.

Z ulicy dochodziły ponure tony i tchnące zawiścią i groźbą słowa międzynarodowego hymnu proletarjackiego:

Rządzący światem samowładnie
Królowie kopalń, fabryk, hut
Tem mocni są, że każdy kradnie

Bogactwa, które stwarza lud!
W tej bandy kasie ogniotrwałej —
Stopiony w złoto krwawy pot,
Na własność do nas przejdzie cały,
Jak należności słuszny zwrot!

Lenin długo nadsłuchiwał; wreszcie zaklął, uszy zatkał palcami i biegał po pokoju, wyjąc:

— O-o-o! Mr. King! Mr. King!...

ROZDZIAŁ XXXII.

Upływały miesiące i przemijały, jak zły sen. Z ciężkiej mgły, wiszącej nad Rosją, wynurzały się potworne, apokaliptyczne postacie i ślad swój znaczyły krwią.

Lenin nie widział tego, siedząc w zaciszu Kremla.

Jednak nie tylko nad ludnością zawisła mgła nieznośna, jadowita.

Wszechwładny dyktator, opierający się na oddanej mu bezwzględnie partji komunistycznej, otoczony wierną gwardją, odczuwał ją, być może, po stokroć boleśniej.

Sto dwadzieścia miljonów Rosjan z biegiem czasu doszły do straszliwej, choć naturalnej obojętności. Nic już ich przerazić nie mogło. Kara śmierci nie wywierała żadnego wrażenia, przestała być batem, zmuszającym do spełnienia rozkazów rządu proletarjackiego. Jedni umierali, drudzy, z całym spokojem oczekując śmierci, biernie sprzeciwiali się woli panującej partji, uciskającej ich coraz bezwzględniej. Rosja jeszcze nie miała sił do nowego powstania, była znużona straszliwie; chłop, robotnik, inteligent wiedzieli, że niema nikogo, kto mógłby ująć w mocne dłonie ster państwa po komisarzach ludowych, gdyby tłum zrozpaczonych ludzi rozszarpał ich na ulicach Moskwy i Piotrogrodu. Kto żył, zaciskał zęby i czekał na cud, bez wzruszenia idąc pod mur widząc śmierć bliskich istot i dla opłakiwania ich nie mając łez.

Lenin przeżywał inne męki, być może, gorsze, o wiele straszniejsze, bo długie, nigdy nie ustające.

Widział upadek swego zuchwałego planu. Ratował go, jak mógł, za cenę rewolucyjnego sumienia, uroku i wpływu imienia swego.

Był zmuszony dopuścić kapitał cudzoziemski; terorem zniewalać robotników do pracy; kapitulować niemal codziennie przed włościaństwem, które, zwalczywszy „biedotę“, coraz szybciej i wyraźniej tworzyło nową, potężną liczebnie burżu-

azję. „Ziemia“ wyłoniła ze swego mrowiska ludzi rozważnych, przebiegłych i stanowczych. Umieli już wywierać nacisk na wszystkie instytucje bolszewickie i nawet przekształcać je.

Zrywały się powstania na Kaukazie, w Turkiestanie i wśród Kirgizów. Wprawdzie tłumiono je z całem okrucieństwem, lecz wywierały one szkodliwe dla Rosji wrażenie zagranicą i budziły nadzieje w innych narodowościach, zgnębionych przez rząd moskiewski.

Miasta, przemysł i sami komisarze pozostawali na łasce chłopów, karmiących ich niechętnie, pod przymusem i groźbą.

Krwawa robota „czeki“ po zamordowaniu katolickiego księdza, prałata Budkiewicza, wywołała oburzenie całego świata cywilizowanego. Lenin był zmuszony zreformować tę instytucję, pozornie nadając jej inne oblicze i nazwę.

Wyczuwał dyktator, że w głębi partji rośnie zwątpienie w jego nieomylność, że grupa towarzyszy ze Stalinem i Mdiwanim na czele występuje z ostrą krytyką chwiejnej polityki Rady komisarzy ludowych.

Lenin marzył o możliwości nowej wojny, w ciągu której wszelkie metody rządzenia krajem znajdywały łatwe objaśnienie i usprawiedliwienie.

Przyczyn do wojny, mimo nieprzerwanych pogróżek, zbrodni i intryg Kremlu, nie było.

Europa zrozumiała, że bolszewizm zaplątał się we własnych sidłach i spokojnie czekała na rozgrywkę ostateczną.

Do pogrążonego w niewesołych myślach Lenina weszła osobista sekretarka dyktatora — Fotijewa.

— Włodzimierzu Iljiczu! — zawołała z wesołym śmiechem. — Przybyła na podwórze dziatwa z przytułku waszego imienia. Dzieci proszą, abyście wyszli do nich!

Lenin ociężale podniósł się z fotelu i otworzył drzwi na balkon.

Na placyku wewnętrznym stała gromadka dzieci.

Wyglądały na najnędzniejszych żebraków w swoich łachmanach różnobarwnych, zniszczonych: dziewczynki — w dziurawych szalach na ramionach, chłopcy — w czapkach, z których wyzierały kłaki waty; dzieci bose, o szarych, złośliwych twarzach, ponurych oczach, otoczonych sinemi cieniami

trzymały w rękach czerwone chorągiewki z napisami komunistycznemi i portretami Lenina.

Ujrzawszy go, zaczęły wymachiwać czerwonemi skrawkami papieru i wykrzykiwać:

— Niech żyje Iljicz!

Rozległa się śpiewka „Międzynarodówki“.

Lenin przemówił, patrząc na tę gromadę dzieci o ruchach ociężałych, leniwych i chorych:

— Młodzi towarzysze i towarzyszki! Wy będziecie wykańczać to, co my zaczęliśmy budować. Jest to szczęście ludzkości. Pamiętajcie o tem ciągle i nie traćcie sił na przywiązanie do rodziców, braci, przyjaciół. Zapomnijcie o miłości dla Boga, którego sfabrykowali popi-fałszerze. Całe serce, całą duszę oddajcie na walkę o szczęście świata!

— Niech żyje Lenin! Lenin — ojciec nasz i wódz! — jak najgłośniej krzyknęli wychowawca i nauczycielka.

Dzieci wykrzykiwały coś niewyraźnego, śmiały się złośliwie i trącały się łokciami.

Leninowi wydało się, że posłyszał piskliwy głos dziewczynki:

— Ojciec, a jeść nie daje!... Wciąż ziemniaki i ziemniaki... Do cholery ciężkiej!

Delegacja, pokrzykując, opuściła dziedziniec kremliński, nie oglądając się na stojącego na balkonie Lenina.

Dzieci szły przez całe miasto.

W drodze kradły jabłka, ogórki i chleb ze straganów; wykrzykiwały sprośne słowa i co chwila rozpraszały się na wszystkie strony. Jeden z chłopaków cisnął kamieniem w wystawę sklepową. Dziewczynka, może, trzynastoletnia, spostrzegłszy przechodzącego czerwonego oficera, szarpnęła go za rękaw i szepnęła, bezczelnie zaglądając w oczy:

— Daj rubla, to pójdę z tobą...

Wreszcie doszli do przytułku.

Był to mały pałacyk, opuszczony przez właściciela i zarekwirowany przez władze. Nad frontonem, opierającym się na czterech kolumnach, wisiała biała płachta z napisem: „Przytułek dla dzieci imienia Włodzimierza Iljicza Lenina“.

Słońce zapadało za drzewami parku i wysokiemi kamieniami.

Dzieci z hałasem wchodziły do pięknej niegdyś sali. Teraz panowały tu zniszczenie, zaduch i brudy. Ściany, posiekane przez kule, powalane tłuszczem i upstrzone komunistycznemi hasłami, pomieszanemi z ohydnemi napisami; szerokie prycze w dwa piętra, niczem nie okryte, pełne kurzu, śmieci i śladów zabłoconych nóg, ciągnęły się dokoła.

Wychowawca zapalił latarnię naftową, a jeden z chłopców postawił na stół miskę gotowanych ziemniaków.

— Ścierwo! — warknął siedzący na pryczy wyrostek. — Tylko na kartofle mogą się zdobyć! Niech ich czarna śmierć wydusi!

Po kolacji dziewczynki i chłopcy zaczęli wchodzić na nary, podkładając pod głowę zwinięte łachmany, złorzecząc i bluźniąc co chwila.

Do pokoju bez szmeru wślizgnęła się dziewczynka lat czternastu. Była lepiej od innych ubrana.

Milczała, patrząc poważnie i surowo piwnemi oczami.

— Gdzieżeś się wałęsała, Lubka! — okrzyknął ją wyrostek, prawie nagi, bezwstydnie rozwalony na pryczy. — Jeżeli będziesz mnie zdradzała, ja ci zęby powybijam!

Splunął i zaklął ohydnie.

Lubka, nie odpowiadając, rozebrała się i cicho wsunęła wiotkie ciało swoje pomiędzy wyrostkiem, a dziewczynką, leżącą w skulonej postawie.

Na sali zapadło milczenie.

Rozlegał się tylko głośny oddech zasypiających i śpiących dzieci.

Za piecem darł się świerszcz.

Gdzieś niedaleko zawył żałośnie piesek, cienko, jękliwie.

Ciszę przeszył syczący, urwany szept:

— No, no, Lubka...

— Zostaw mnie! — prosiła dziewczynka.

— Stęskniłem się do ciebie... no, nie broń się... przecież nie pierwszy raz... Lubka, ty — najmilsza ze wszystkich... Pocałuj... nie broń się!

— Zostaw mnie! — szepnęła gorąco. — Dziś nie mogę, Kolka!... Byłam z mamą w cerkwi... Biskup odprawiał nabożeństwo... bardzo piękne nabożeństwo... wszyscy śpiewali... Popłakałam się...

— Głupie brednie!... — zaśmiał się Kolka. — Wiara to — opjum dla ludzi... trucizna. Chodźże już... chodź...

— Nie chcę! Nie rozumiesz, że dziś nie mogę? — zawołała groźnie.

Zaczęli się szamotać, dysząc ciężko i miotając przekleństwa.

Dzieci zaczęły się budzić i kląć.

— Spać nie dają, psy parszywe!

Kolka wpadł we wściekłość.

— Aha! Toś ty taka? — krzyknął. — Pluć chcę na ciebie — plugawkę! Nos zadziera... Obejdę się bez ciebie, ale ty popamiętasz mnie, padło! Mańka, do mnie!

Jakaś naga postać, ciągnąc za sobą brudne łachmany, przeskoczyła przez leżące dzieci i ze śmiechem upadła na pryczę tuż przy wyrostku.

— Niech patrzy ta wywłoka, jak się kochają uczciwi komuniści! — krzyknął Kolka, obejmując dziewczynę.

Dzieci podnosiły się ze swoich miejsc i otoczyły miotające się ciała towarzyszy. Patrzyły błyszczącemi oczami, zaciskając zęby i głośno oddychając.

Dopiero po północy w „przytułku dla dzieci imienia Włodzimierza Iljicza Lenina" zapanowała cisza. Wszystko spało.

Tylko jedna postać, skulona pod dziurawą, poplamioną kołdrą, cicho płakała, podnosząc ramiona i wzdychając żałośnie.

Była to Lubka.

Przeczuwała coś niedobrego i była obrażona w swoich uczuciach, które ogarnęły ją w cerkwi, gdzie tajemniczo płonęły języki świec woskowych, rozbrzmiewały głosy chóru, a biskup, siwy i dobrotliwy, przenikliwym głosem mówił śpiewnie:

— Przeminą dni męki i plagi, przyjdzie Chrystus Zbawiciel i rzeknie: „Błogosławieni maluczcy, albowiem dla nich jest królestwo niebieskie Ojca mego!"

Usnęła we łzach i westchnieniach.

Hałas przebudził ją. Dzieci wstawały, klnąc i krzycząc kłótliwie.

Kolka bezwstydny, nagi, obejmował i szczypał Mańkę.

Nikt się nie mył i nie czesał. Jeden tylko z chłopaków, okryty błotem od stóp do czubka bezbarwnej głowy, nalał

wody do miski, pozostawionej po zjedzonych ziemniakach, i mył nogi.

Wniesiono imbryk z herbatą, blaszane kubki i pokrajany na równe kawałki chleb. Dzieci zaczęły się pożywiać.

Ujrzawszy wchodzącego wychowawcę, Kolka zawołał:

— Towarzyszu! Lubka Szanina była wczoraj w cerkwi. Żądam sądu nad nią, bo sprzeniewierzyła się zasadom komunistycznej młodzieży!

Sąd odbył się natychmiast tuż przy stole, gdzie stał wykrzywiony imbryk i zardzewiałe, brudne kubki.

Lubka została pozbawiona prawa korzystania z dobrodziejstw „przytułku imienia Lenina".

Po chwili stała na ulicy i oglądała się bezradnie.

Nie wiedziała, co ma ze sobą zrobić. Iść do matki, która sama przymierała z głodu, nie śmiała.

Bezwiednie skierowała się do miasta.

Na rynku, gdzie każdego ranka przyjeżdżali chłopi z kapustą, ziemniakami i chlebem, zamieniając produkty wiejskie na różne przedmioty i ubranie, Lubce udał się niepostrzeżenie porwać ogórek. Pobiegła z nim w stronę ludnych ulic.

Na Dmitrowce spotkała bandę dzieci i wyrostków.

Zaczepiły ją i wypytywały o Moskwę.

Szły ze wsi i z małych miasteczek. Bezdomni i głodni przybyli do stolicy, gdzie łatwiej było o pożywienie.

— Będę się opiekował tobą! — rzekł czarny, jak cygan, wyrostek, szczypiąc Lubkę w udo.

— Dobrze! — odparła, krzywiąc się z bólu. — Ja wam pokażę Moskwę.

Życie już nauczyło ją, że bez opieki nie można przeżyć nawet jednego dnia i że opiekę należy okupić.

— Będziemy żyli ze sobą — dodał wyrostek. — Na imię mam Szymon, nazywaj mnie — Sieńką... Ale pamiętaj, jeżeli zdradzisz mnie, — zatłukę!

— Dobrze! — zgodziła się natychmiast.

Chłopak wypytywał o jej los, a posłyszawszy krótką zwykłą opowieść, zaśmiał się głośno i zawołał:

— A ja od rodziców uciekłem, oby ich trąd zżarł, bo zwęszyłem, że czas dać nura! Głód u nas w domu był, aż wspominać straszno! Zmarniała i umarła babka, a po niej

młodsza siostra... Pewnej nocy widzę, że ojciec bierze siekierę i trach! brata mego w łeb. Później cały tydzień syci byliśmy... Tylko ja na swoją kolej nie czekałem... Niech oni tam się źrą, ja wolę inaczej...

Dzieci przebiegały tłumnie ulice, gapiły się na Kreml i na bramę Iwerską, gdzie pod największą świętością Rosji — cudownym obrazem Matki Boskiej widniał czerwony napis: „Wiara i Bóg — opjum dla narodu!"

Banda żebrała, całą gromadą otaczając przechodniów i skamląc, wystawała godziny całe przed oknami jadłodajni, bijąc się o rzucone im kości i kawałki chleba; czyhała na właścicieli straganów i porywała, co się dało; chłopcy zapuszczali zręczne, małe dłonie do kieszeni wsiadających do tramwaju ludzi; dziewczynki ścigały młodych mężczyzn i znikały z nimi w bramach domów. Powracały ociężałym krokiem, dzwoniąc srebrnemi monetami.

— Słuchaj, Lubka! — szepnął czarny wyrostek. — Widzisz tego starego wywłokę? Już dwa razy obejrzał się za tobą... O! jeszcze... Widzisz? Oko zmrużył... Przejdźno koło niego... Może zarobisz...

Dziewczynka sprężystym krokiem dogoniła starego człowieka o czerwonej twarzy i porozumiewawczo spojrzała na niego. Ukryła się w bramie. Poszedł za nią. Wkrótce szli razem. Lubka krzyknęła:

— Sieńka, gdzie mam czekać na ciebie?

— Na Czerwonym Placu! — odkrzyknął i machnął ręką.

Tak minęło lato i jesień.

Dzieci spędzały noce na ławkach, stojących na bulwarach, pod mostami, w parkach, lub za miastem, tam — gdzie niegdyś zwożono śmiecie miejskie.

Przyszły mrozy i wiatry zimne.

Śnieg przykrył grubą warstwą podziurawione dachy, zniszczone jezdnie i chodniki stolicy.

Dzieci każdego wieczora biegły na Czerwony Plac, Twerską, Kuznieckij Most i Arbat, — jedyne ulice, podtrzymywane dla cudzoziemców w porządku.

Napływały tu rzesze bezdomnych ludzi. Ci walczyli krwawo o miejsce przy zgaszonych, lecz jeszcze gorących piecach asfaltowych, przy ogniskach dla rozgrzania przechodniów.

Czarny Sieńka, którego nazywano „atamanem“ za postrach, który siał wśród innych, prawie zawsze wywalczał dla siebie i Lubki najlepsze miejsce. Jednakże nieraz zmuszeni byli spędzać noce w ustępach publicznych, w skrzyniach na śmiecie, w suterynach opuszczonych, zawalających się kamienic, w studniach kanalizacyjnych, drżąc z zimna i szczękając zębami.

Ciągle głodni i zrozpaczeni chłopcy, pod dowództwem Sieńki, napadali na przechodniów, rozbijali sklepy i staczali walki z innemi bandami, bijąc się na noże i kastety.

Podczas napadów nocnych patrole zabiły i poraniły kilku chłopaków z bandy „atamana“.

Przed świętami Bożego Narodzenia srożyły się straszne mrozy, a z niemi — nieodstępny towarzysz — głód.

Ulice były puste; ledwie przykryte łachmanami dzieci nie śmiały wynurzyć się ze swoich skrytek.

Sieńka odnalazł na śmietniku miejsce, gdzie zwożono gnój koński. Wykopano w nim doły i urządzono ciepłe schroniska.

Pewnego wieczora Sieńka powrócił z wywiadu.

— Hej, hołoto! — krzyknął. — Będziecie mieć wyżerkę. Na śmietnik wyrzucono dziś ścierwo końskie. Ruszajmy na kolację!

Z wesołemi okrzykami wybiegły dzieci ze swoich dołów, nad któremi unosiła się ostro pachnąca para, i otoczyły trup konia.

Nożami dziobały i krajały zmarznięty kadłub, zębami szarpały i odrywały kawały ciemnego padła. Przez kilka dni banda była syta i szczęśliwa.

Jednak nie trwało to długo. Dzieci zaczęły chorować.

Ciała ich okryły się wrzodami, które pękały, sącząc krew, puchły i swędziły ich nogi, ręce i szyje, rany zjawiły się na wargach i języku; gorączka paliła chorych, dreszcze wstrząsały nimi.

Sieńka zrozumiał, że dzieje się coś złego. Z trudem wyczołgał się ze swej nory i zawlókł do miasta, padając co chwila i jęcząc głośno.

Ujrzawszy milicjanta, zbliżył się do niego i zaczął skamłać i wyć:

— Ratujcie!... Jakiś mór napadł na nas... Już dwie dziewczyny zmarły i leżą niepogrzebane...

Milicjant odprowadził chłopca do biura, gdzie Sieńka opowiedział wszystko, ledwie ruszając opuchniętym językiem.

Otoczono śmietnik wojskiem.

Lekarze obejrzeli chorych i w przerażeniu cofnęli się.

— Nosacizna! Nosacizna! — wołali ze zgrozą.

W godzinę później za kupami śmieci ustawiono trzy kulomioty.

Tłum wysłanych z więzienia aresztantów politycznych zaglądał do legowisk bezdomnych dzieci, wyciągał je z nor i dołów, a, gdy skrytki opustoszały, — rzygnęły kulomioty.

Na gnoju, przysypanym stratowanym, topniejącym śniegiem i buchającym parą, pozostały nieruchome ciała chorych dzieci i aresztantów. Długo wywlekano je później hakami, wrzucano do skrzyń z chlorkiem i wapnem i grzebano w głębokich dołach, wykopanych tuż — na śmietniku.

Wypadek epidemji nosacizny i innych chorób, szerzonych po Moskwie i całym kraju przez tłumy bezdomnych dzieci, przerzucających się z miasta do miasta, zwrócił uwagę władz na tak niebezpieczne zjawisko.

Przez cały tydzień milicja i patrole wojskowe urządzały obławy. Zgromadzono tysiące dzieci — obdartych, nędznych, głodnych i chorych.

Lenin przeczytał o tem w dzienniku „Prawda“, kierowanym przez Nadzieję Konstantynównę.

Natychmiast kazał zawezwać do siebie kierowniczkę komisarjatu opieki nad dziećmi towarzyszkę Lilinę.

Przed rewolucją była ona marną aktorką, lecz później zrobiła fantastyczną karjerę.

Została żoną dyktatora Piotrogrodu, Zinowjewa, i wysokim komisarzem od kształtowania młodych komunistów.

— Cóż wy robicie w waszym komisarjacie? — zapytał Lenin opryskliwie.

Teatralnym gestem podniosła ręce i zaczęła deklamować:

— Nasze dzieci należą do społeczeństwa, a więc do partji komunistycznej! Zabezpieczyliśmy je od miłości rodzicielskiej, która jest szkodliwa, ponieważ wychowane w rodzinie dzieci stają się odłamem antysocjalnym. Tymczasem my wychowujemy dzieci proletarjackie, wrogie szczeniętom burżuazyjnym!

— Dość tych głupich frazesów! — syknął Lenin. — Oto leżą przede mną dzienniki „Komunista“ i „Prawda“ oraz raport towarzyszki Kalininej. Siedem miljonów bezdomnych dzieci, a z nich zaledwie 80 000 w przytułkach? Giną fizycznie i moralnie! Chorują na trąd, nosaciznę, syfilis! Prostytucja nieletnich szerzy się w sposób zatrważający... Wstyd! Hańba! Niech towarzyszka zaradzi złemu, a pamięta, że wszelkiemi sposobami należy ukrywać tę plagę przed cudzoziemcami. Właśnie mają tu wkrótce przybyć towarzysze z angielskiej „Labour Party“!

Lilina wzięła do serca gniewne słowa dyktatora.

Obławy trwały bez przerwy. Wyłapywano wszędzie bezdomne dziewczęta, dzieci prawie, utrzymujące się z nierządu. Znajdywano je w biurach milicji, która handlowała niemi, w koszarach, w barakach robotniczych, nawet w więzieniach. Na chłopaków polowano po śmietnikach, po suterynach zburzonych domów, po cmentarzach, gdzie się ukrywali przed mrozem i pościgiem. W rzadko uczęszczanych miejscach kładziono przynętę — trupy koni, psów, worek zgniłych ziemniaków i urządzano zasadzki, jak na dzikie zwierzęta.

Chorych na nosaciznę i trąd wyprowadzono za miasto, kazano kopać rowy i rozstrzeliwano. Z nimi razem ginęli chorzy na szkorbut i syfilis.

Państwo proletarjatu nie miało ani pożywienia dla nich, ani lekarstw, ani szpitali.

Rowy kopali dla siebie sami, a wapna i chlorku tymczasem nie brakowało.

Resztę wtłoczono do wagonów towarowych, zaplombowano i wysłano na odżywienie się do różnych, bardziej zasobnych miast.

Moskwa została oczyszczona od tłumów bezdomnych dzieci, które, jak psy zgłodzone, włóczyły się po ulicach i wyły, skamłały pod oknami jadłodajni, cukierni, urzędów i wspaniałych restauracyj, gdzie ucztowali cudzoziemscy socjaliści, komisarze i zagraniczni chciwi kupcy.

Angielscy i francuscy towarzysze z zachwytem przyglądali się jedynemu placowi i trzem czystym ulicom stolicy, odrestaurowanym domom na Twerskoj i Kuznieckim Moście,

ogołoconym sklepom, o wystawach, przepełnionych zagranicznemi towarami, wspaniałemu Kremlowi i dekoracyjnym fabrykom, pokazywanym naiwnym gościom przez wygadanych komisarzy.

Nie mogli ochłonąć ze zdumienia, słuchając w rzęsiście oświetlonym Wielkim Teatrze opery z genjalnym Szalapinym, śpiewającym tytułową partję, lub we wspaniałych restauracjach zajadając kawior, nigdy niewidziane ryby, jarząbki i popijając szampanem.

— *My God!* — dziwili się Anglicy, zaproszeni przez Lenina na bankiet. — Jakie oszczerstwa rzucają burżuje na komunistów, którzy w przeciągu kilku lat stworzyli w kraju taki niebywały dobrobyt i ład! Te sandwicze z jarząbkiem i kawiorem są wyśmienite! *I am fed up*, lecz zjem jeszcze jeden!

Francuzi kiwali głowami ze współczuciem i wołali, gestykulując energicznie:

— *Oh, oui! C'est merveilleux, vous savez!*

Podczas, gdy do szklanek drogich gości z nad Sekwany i Tamizy obficie dolewano szampana *Moët et Chandon*, ozdobionego herbami carów na etykietach, — jeden z wagonów, wiozących bezdomne dzieci do Charkowa, dobiegał Kurska.

Mroźna noc księżycowa otuliła tajemniczą mgłą ciągnące się dokoła plantu pola, okryte śniegiem.

Turkotały koła wagonu i zgrzytały łańcuchy.

Blade niebieskie światło przedzierało się przez szpary ścian i odrzucony żelazny blat, zamykający okienko pod sufitem.

Cicho było w wagonie...

W mroku leżały nieruchome ciała. Okrywały się wzajemnie. Tuliły się do siebie, oplątane nogami i ramionami, wciskały głowy pod łachmany, podkurczały kolana pod brody, palce wtykały do ust...

Nikt nie ruszał się, nikt nic nie mówił, nie wzdychał, nie żalił się, nie płakał i nie jęczał.

Przez te pięć dni podróży w zimnym wagonie, zgrzytającym i skrzypiącym, wszystkie słowa zostały powiedziane, wszystkie westchnienia przebrzmiały i uniosły się do nieba, skargi, zawarte w szlochu rozpaczliwym i jękach obłędnych, zagłuszonych turkotem kół i dzwonieniem łańcuchów, padły

ze stygnących warg, pękających od mrozu, i znieruchomiały wraz z ciałami.

Długo i trwożnie ryczała lokomotywa i stanęła.

Jacyś ludzie z latarniami podbiegli do ciemnego wagonu.

Zerwali plombę i odsunęli drzwi.

— Hej, wychodźcie! — zawołał starszy kolejarz z wąsami, okrytemi szronem i soplami lodu. — Wagon się rozklekotał do reszty. Damy inny...

Nikt nie odpowiedział, nikt się nie poruszył.

Świecili latarkami, ciągnęli leżących za ręce i nogi.

Pasażerowie czerwonego wagonu pozostali sztywni, skostniali, milczący.

— Zamarzli?... — szepnął kolejarz z soplami na wąsach.

— Zamarzli... — powtórzyli inni i ze strachem żegnać się zaczęli, szepcąc: — Wieczne odpoczywanie racz im dać Panie!

W tej chwili w białej sali Kremla podniósł się socjalista francuski i, wznosząc nad głową puhar z szampanem, zawołał dźwięcznym podniesionym głosem:

— Niech żyje dyktatura proletarjatu! Niech żyją towarzysz Lenin i jego dzielni współpracownicy! Są oni apostołami nowej sprawiedliwości i promiennego szczęścia ludzkości całej. Niech żyje Rada komisarzy ludowych!...

Lenin, wesoły i uprzejmy, kłaniał się na wszystkie strony. Towarzyszka Lilina zalotnie patrzyła na mówcę.

Wszyscy byli wzruszeni i szczęśliwi, czując, że wspaniała karta historji zapisana zostanie ręką mądrą, a pełną miłości do całego świata.

Nawet zimni Anglicy podnieśli się i wszyscy naraz z uczuciem krzyknęli:

— Hurra! Hurra! Hurra!

Kolejarze na dworcu w Kursku wywlekali z wagonu zamarznięte trupy dzieci i zrzucali je na peron.

Głucho uderzały głowy o deski i kamienie.

ROZDZIAŁ XXXIII.

Rodzina Bołdyrewych pędziła życie pracowite, otoczona szacunkiem chłopów i komisarzy.

Chociaż inżynierowie i pani Bołdyrewa nie wtrącali się do życia wsi, jednak różne, niespodziewane niebezpieczeństwa groziły im.

Wieś zaczęła działać, narazie biernie, później czynnie sprzeciwiając się zarządzeniom i dekretom władz, burzących resztki dobrobytu i ładu.

Jak niegdyś odwiedzali wsie i drobne osady wędrujący, nieznani włóczęgowie i stare żebraczki, roznosząc ponure i trwożne wieści, tak teraz przybywali gospodarze poważni lub młodzież włościańska.

Zatrzymywali się u chłopów, pod pozorem wymiany bydła na chleb, lub odwiedzając znajomych w drodze do Moskwy, dokąd jechali na zjazdy lub w sprawach urzędowych.

Potajemnie zgromadzali gospodarzy, szeptali im do ucha słowa tajemne, przekonywujące, a budzące zapał i zaciętość. Coraz częściej dawały się słyszeć wykrzykniki:

— Dość tego! Czas ująć rządy w nasze ręce, cicho, bez hałasu i krwi...

Odjeżdżający pozostawiali po sobie jakieś broszurki, ulotki, pisane językiem prostym, zrozumiałym, a stanowczym.

Lenin, marzący o nagłem wytępieniu analfabetyzmu, chociaż nie dokonał tego w pełnej mierze, jednak ciemnocie ludu i obojętności niewolniczej zadał cios śmiertelny. Nikt już nie śmiał marzyć o zduszeniu włościaństwa żelazną ręką caratu lub „czeki“, opierającej się na oddanych rewolucji Łotyszach i Finnach. Lenin nauczył kilka miljonów chłopów sztuki czytania, przebijając łożysko, prowadzące do mózgu „ziemi“. Płynęły niem nie tylko dzienniki, broszury i proklamacje komunistyczne, lecz też inne słowo drukowane, zrodzone w nieznanych tajnikach mrowiska włościańskiego. Wy-

łoniło ono ze siebie umysły praktyczne i stanowcze. Przysłuchiwano się ich radom, czytano ich odezwy do „ziemi“.

Chłopi nie chcieli już obierać do swoich rad kandydatów rządowych nawet pod lufami karabinów; dawali zakładników, mówiąc, że posyłają ich na śmierć; ustanawiali własne normy podatków; tępili rozpanoszoną „biedotę“, aż dopóki nie wycofała się ze wsi; wyparli nauczycieli-komunistów; agitatorów spotykali w groźnej postawie, odbierającej przyjezdnym całą wymowę i tupet; rozpustne baby i dziewczyny, skuszone przez komisarzy, znikły bez śladu; może, uciekły do miast, może, leżały w nikomu nieznanych grobach na dnie rzek i stawów, lub w lesie, po dołach, zawalonych kamieniami; młodzież komunistyczna, albo powróciła do rodziny, albo się rozproszyła po świecie i nikt o niej nie wspominał, jak o chorych psach i kotach, ginących w lecie.

Umilkły tajemnicze szepty o Antychryście i widomych znakach, zwiastujących przyjście jego na ziemię, zato zjawili się nieznani dotąd młodzi ludzie o twarzach jasnych i natchnionych, gromadzili koło siebie chłopów, baby wiejskie i dziatwę, mówili słowa biblijne, doradzali stroskanym i ponurym chłopom, kobietom zapłakanym oczy ku niebu zwracać i w niem czerpać nadzieję i siłę. Modły się odbywały tajemne, a już nie były to rabie skamłania o zmiłowanie, lecz prośby o nauczenie i pokierowanie czynami, aby zgodne były z prawdą przedwieczną.

Władze centralne wiedziały o tem i walczyły z odpornością „ziemi“, z budzącą się religijnością.

Przybywały komisje śledcze, wpadały oddziały karne, stawiano ukrytych duchownych i zakładników pod mur i rozstrzeliwano, lecz skupione, groźne oblicza włościańskie siały trwogę i powstrzymywały komunistów od znęcania się nadmiernego.

Sądy usiłowały zwalić winę na Bołdyrewych, jako na burżujów, lecz poszlak nie było żadnych, a komisarjat przemysłu bronił twórców pożytecznej komuny, rozwijającej się coraz bardziej.

Zaniepokojony zanikiem przemysłu rząd zwołał w Moskwie ogólny zjazd fachowców na naradę.

Władze wydelegowały młodych Bołdyrewych.

Bracia musieli natychmiast wyruszyć do stolicy.

Na wstępie wysłuchali długich mów Lenina, Trockiego i innych twórców i kierowników komunizmu i dyktatury proletarjatu.

Przemówienia te były najeżone hasłami hucznemi i czczemi, bezsilnemi, oddawna powtarzanemi frazesami. Nawet delegaci uprzywilejowanej klasy robotniczej słuchali mówców obojętnie. Słyszeli oni w swoim czasie bardziej śmiałe i ogłuszające słowa. Przebrzmiała bez echa obietnica nastąpienia raju socjalistycznego w grudniu 1917 r., czyli w dwa miesiące po rewolucji październikowej.

Tymczasem wciąż byli głodni, pracowali na zniszczonych maszynach, zużytemi narzędziami, nadmiernie długo, za niewykonanie robót, protesty i strajki rozstrzeliwani przez chińskich żołnierzy, lub czerwoną gwardję; nie mieli ani ubrania, ani mieszkań dogodnych i ciepłych, ani pomocy lekarskiej.

Teraz Lenin i Trockij mówili inaczej.

Wskazywali, że Rosja nie posiada współczesnych maszyn, że robotnik jest ciemny, nie ma wyrobienia fachowego i że dopiero w r. 1927 należy czekać zatwierdzenia socjalizmu.

Starsi robotnicy uśmiechali się powątpiewająco i mruczeli:

— Do tego czasu młotków i pił nie starczy, a cóż dopiero socjalizmu!...

Chłopi, gdy im prawiono o socjalizacji ziemi zapomocą upaństwowionych potężnych traktorów, elektrycznością poruszanych maszyn dla zbioru urodzaju, patrzyli ponuro i milczeli.

„Ziemia" do tego nie dążyła. Jej myśl była zaprzątnięta innem pytaniem:

— Kiedyż przyjdzie rząd twardy, który ustali prawdziwy ład i pokój?

O tem ani Lenin, ani Trockij nie wspominali. Słowa ich nie znajdywały oddźwięku w umysłach i sercach chłopów.

Piotr i Grzegorz Bołdyrewy uważnie śledzili proces myślowy dyktatorów i zrozumieli wszystko.

Powracając do domu, Grzegorz powiedział do brata:

— Dyktatura proletarjatu tonie w steku niedorzeczności. Miota się, nie znajdując wyjścia i brnąc coraz dalej w nieziszczalnych obietnicach! To straszne!

— To — szaleństwo, obłęd! — zawołał Piotr Bołdyrew. — Fabryki zrujnowane; przemysł przedwojenny był słaby, a teraz nie istnieje wcale. Masy robotnicze pozostają na najniższym stopniu wydajności pracy i fachowego wykształcenia, a oni o socjalizmie natychmiastowym bredzą! Boże sprawiedliwy! Mkniemy, jak warjaci, w pociągu, nie wiedząc, że w budce maszynisty kieruje lokomotywą ślepy, głuchy obłąkaniec! Klęska!

— Chłopów zamierzają socjalizować, zmienić w robotników rolnych! Maszyny państwowe mają orać ziemię, kosić i żąć, wiązać snopy, składać sterty, młócić i mleć!... Czy widziałeś, jak spoglądali na Lenina wieśniacy?

— Cierpliwy nasz chłop nieskończenie, a przecież koniec temu będzie, straszny koniec!... — odparł Piotr. — Niech-no tylko wieś rzuci swoje hasła śmiało, a zobaczymy, co zaśpiewa czerwona armja?! Gwardja kremlińska, wszyscy ci bandyci łotewscy, fińscy, chińscy, węgierscy godziny nie przetrzymają! Oj, pohulają nasi chłopkowie! Inaczej to będzie wyglądało, niż tępienie szlachty i „iluminacje“ chłopskie po majątkach!... Przerażenie ogarnia na samą myśl!

— A przecież musi taki dzień nastąpić!

— Nastąpi! Przewidzieć go tylko tymczasem nie można, bo, powtarzam, nasz chłop posiada cierpliwość zdumiewającą!

Inżynierowie pracowali dwa tygodnie w różnych komisjach zjazdu, słuchając nieskończonych mów, życzeń, planów i nowych coraz fantastyczniejszych projektów.

Była to praca nieprodukcyjna, bezcelowa, próżna, osnuta na fałszu i ciągłem zwodzeniu opinji przysłuchujących się tłumów robotników i chłopów. Ściągnięto ich zewsząd, aby pokazać troskę rządu o potrzeby wsi i losy rewolucji robotniczej.

— Ja tak dłużej nie wytrzymam! — zawołał Piotr do brata. — Zabieram się do obliczenia projektu zaopatrzenia jednego tylko obwodu moskiewskiego w maszyny podług planu komisarzy.

Młody inżynier pracował przez kilka dni, układając projekt rejonowej fabryki traktorów, kosiarek i młócarek.

Wypadła suma tak olbrzymia, że, z pewnością, nawet połowy jej nie posiadał skarb związku socjalistycznych sfede-

rowanych republik Rad robotniczych i włościańskich, czyli Rosji, jęczącej pod jarzmem dyktatury proletarjatu.

Piotr Bołdyrew wystąpił z mową w komisji fachowców.

Doświadczenie nauczyło go, jak należy przemawiać! Zaczął od pochwał genjalnego planu socjalizowania rolnictwa i od stwierdzenia możliwości dokonania tego stopniowo. Rozwinął swój plan z fachowego punktu widzenia.

Słuchano go uważnie i projekt, jak zwykle, przyjęto jednogłośnie.

Powróciwszy z bratem do domu, Piotr biegał po pokoju i wołał z wściekłością:

— Potwory głupie, brutalne! Cóż dziwnego, że ich oszukano?! Słuchali mnie z zapartym oddechem, ryczeli z zachwytu i klaskali w dłonie! A przecież ja chciałem dowieść, że wszelkie nadzieje na socjalizację rolnictwa są mrzonkami idjotów! Najpierw nie mamy żadnej nadziei na zbudowanie zaprojektowanej przeze mnie fabryki, a, gdyby nawet zbudowano ją, potrzeba będzie 20 lat na zaopatrzenie jednego moskiewskiego obwodu. Dla pięciudziesięciu obwodów potrzeba będzie nie wiem, ile lat: najmniej sto, a może tysiąc?! Tymczasem jutro w gazetach niezawodnie zaczną krzyczeć, że rząd przystępuje do niezwłocznego socjalizowania rolnictwa w okręgu stolicy! Nowy sposób propagandy i oszukaństwa bezczelnego, obliczonego na głupców!

— Tak! Tak! — kiwał głową Grzegorz. — Nic z twego projektu, oprócz krzyku i przechwałek komisarzy nie wyjdzie, ale też skarb na tem nie ucierpi. Zdarzało się inaczej! Pamiętasz mego kolegę, chemika Stukowa? Niedawno przeczytałem w dziennikach, że komisarze domagają się od Szwecji wydania go, bo do Skandynawów drapnął szczęśliwie.

— Cóż przeskrobał ten Stukow? — ze śmiechem zapytał Piotr.

— Ach, to sprytna bestja! — odpowiedział brat. — Wiesz, że na Syberji rządzi „syberyjski Lenin“, — Smirnow. Podobno, straszliwie ambitna, lecz głupia i tępa sztuka. Chodzi mu o zaćmienie Lenina. Odezwał się odwieczny separatyzm Syberji, pogardzającej „Rosją“! Otóż Stukow pojechał do Smirnowa z projektem bajecznej fabryki chemicznej, wychodząc z prawidłowego, zresztą, założenia, że, skoro ma

się węgla i drzewa w bród, dlaczego nie może być przemysłu chemicznego? Smirnow wywalił mu na sprowadzenie maszyn pięć miljonów rubli. Stukow wyjechał i tyle go widziano. Ani Stukowa, ani fabryki, ani miljonów!

Bracia śmiali się długo.

— Świnia, bo świnia ten twój Stukow, ale co spryciarz, to spryciarz! — zawołał Piotr. — Wyeksploatował psychologję nieuka i nabrał go. Za swój projekt nic nie wziąłem, ale nałamią sobie głowy komisarze, zanim zrozumieją, że albo ja jestem warjatem, albo też cały kongres składa się z głupców.

Wyszli na miasto.

Na Czerwonym Placu, na Twerskoj, Arbacie i Kuznieckim Moście panował ład i porządek. Gdy skręcili w boczną ulicę, zatrzymał ich milicjant.

— Towarzysze są cudzoziemcami? — zapytał.

— Nie! — odparli inżynierowie, pokazując legitymacje.

— No, to możecie iść swobodnie, bo cudzoziemcom nie pozwalamy oglądać bocznych ulic! — rzekł ze śmiechem milicjant. — Nędza z biedą! Niema czem się chwalić!

Istotnie było to określenie ścisłe.

Powyrywane z jezdni drewniane kostki, które zużyto na opał, połamane płyty chodników, domy z obsypującym się tynkiem i oderwanemi żelaznemi blatami na dachach; wybite szyby; okna, zatkane szmatami lub pozabijane deskami; na ścianach ślady kul i pocisków armatnich; wynędzniałe postacie mieszkańców, niosących na plecach jakieś wory; bose, okryte strupami nogi; nieczesane głowy; gromadki bladych dzieci o oczach głodnych i złośliwych; wszędzie kupy śmieci, smród nieznośny, wydobywający się z nieczyszczonych nigdy i nieczynnych kanałów podziemnych; milczenie i cisza groźna, ponura, beznadziejna.

Nie rozlegały się tu żadne głośniejsze słowa, nie brzmiał śmiech. Ludzie poruszali się, jak maszyny; twarze miały obojętny, śmiertelnie zgnębiony wyraz. Zdawało się, że sine, mocno zaciśnięte usta nie miały sił wydać okrzyku nienawiści lub rozpaczy, że w oczach zgasły nazawsze błyski wesołości i że nawet łzy bólu wyschły bez śladu.

Ledwie przykryci łachmanami, bosi mężczyźni i kobiety o powichrzonych włosach szli przygarbieni, przyciśnięci do

ziemi, uginając się pod ciężarem małych worków z ziemniakami lub dźwiganych z pobliskiej studni kubłów z wodą.

Bołdyrewy szli na Małą Dmitrowkę, gdzie mieszkała znajoma rodzina Sergejewych.

Zastali wszystkich w domu, gdyż była to pora obiadowa.

Radośnie powitali młodych ludzi dawni przyjaciele.

Piotr, ściskając ręce znajomych, zawołał:

— Najpierw, jako prawowierny komunista, oświadczam: nie krępujcie się, państwo, jedzcie i nas nie częstujcie, bo jesteśmy po śniadaniu!

— Herbaty się napijemy razem — rzekła pani Sergejewa. — A teraz proszę opowiadać o rodzicach, o sobie. Dawno nie widzieliśmy się... sto lat upłynęło chyba...

Bołdyrewy opowiadali o życiu swojem i rozwoju założonej przez nich komuny, a później jęli wypytywać o losy rodziny Sergejewych i wspólnych przyjaciół.

Sędziwy pan Sergejew, niegdyś bardzo znany w Piotrogrodzie adwokat, zabrał głos:

— Prawie całe towarzystwo, w którem obracaliśmy się, opuściło Piotrogród. Rządzi tam Zinowjew na prawach dyktatora, opierając się na „czeka“, gdzie się srożą Łotysze. Miasto po wyniesieniu się Rady komisarzy ludowych, opustoszało i zamarło. Już podobno domy i piękne gmachy walą się, ulice nie są zamiatane, wodociągi i kanalizacja popsute beznadziejnie... Przenieśliśmy się do Moskwy. Kto mógł, ten uciekł na południe, a stamtąd zagranicę, na tułaczkę... Dużo wspólnych znajomych przez ten czas zginęło w „czeka“ i z wyroków sądów, szczególnie podczas wojny domowej. Słabi na duchu i nie posiadający przekonań zmarnieli i spodleli. Moglibyśmy wymienić kilka nazwisk ludzi dobrze znanych, którzy teraz dopomagają komunistom do spustoszenia Rosji, albo stali się ich agentami zagranicą, gdzie sprzedają skarby korony i szpiegują emigrantów. Reszta jako-tako istnieje... przystosowała się do okoliczności... jak my, naprzykład.

— Jak my — wtrącił Grzegorz.

— Wy — co innego! — zaprzeczył Sergejew. — Wam udało się wymyślić genjalną rzecz! Gdy przeczytałem o tem

w dzienniku, podziwiałem wasz rozum! Wtedy to napisałem do ojca waszego. Ci, o których mówiłem, nic nie wymyślili szczególnego. Potrafili tylko istnieć spokojnie wśród szalejącej burzy. Wiem, że to rzecz nie mała i nie łatwa! Ale to nie jest nasza zasługa, bez pomocy Bożej nic nie zrobilibyśmy!

— Pomoc Boża — to dobrze, ale... — zaczął Piotr.

Pani Sergejewa przerwała mu, mówiąc:

— Mąż przedstawia to nie ściśle! Pomoc Boża wyraziła się w zrozumieniu niektórych rzeczy, pozostających dotąd w cieniu. Wierzyliśmy w Boga, uważaliśmy się za chrześcijan, lecz nie postępowaliśmy podług nauki Chrystusowej, a nawet często przeciwnie, co zauważył Tołstoj w swoim czasie. Teraz wyciągnęliśmy z Ewangelji nauki życiowe, bo postępki swoje przystosowujemy do słów Zbawiciela! Zjawiły się czystość obyczajów, miłość i moc w rodzinie, prawdziwa uczciwość, którą nawet wróg szanuje, i — spokój ducha, bez miotania się codziennego i kompromisów. Wiemy, jak powinniśmy postąpić w każdym wypadku, nie wahamy się, nie znamy paniki i rozpaczy. To właśnie chciał powiedzieć mój mąż!

Grzegorz słuchał zamyślony. On dawno zrozumiał tę zmianę w własnem życiu i tem tylko objaśniał powodzenie swojej rodziny i komuny oraz szacunek, którym ich otaczano.

Energiczny, wesoły Piotr zapytał:

— No, ale napracowaliście się państwo, z pewnością, tyle, ile przez całe życie dotąd się nie zdarzało?

— Z pewnością... — odparł Sergejew. — Każde z nas robi, co może i umie. Znaleźliśmy dla siebie zajęcie, nie sprzeciwiające się naszym zasadom. Żona moja i córka szyją suknie i kapelusze dla nowej arystokracji proletarjackiej. Ja pracuję w komisarjacie handlu zagranicznego. Znam prawo międzynarodowe i języki obce, więc potrzebny jestem i ceniony. Synowie zajęci są w teatrze: jeden maluje dekoracje, drugi — przekłada na język rosyjski cudzoziemskie sztuki, córka pomaga matce... I tak żyjemy... Cicho, lecz spokojnie. Inni też, jeżeli nie zginęli, — jakoś się urządzili. Nikt nie usiłował ani zrobić karjery, ani się wzbogacić. Pragną tylko istnieć, zachowując duszę ludzką.

Mężczyźni poszli po obiedzie do pracy, a panie przyjmowały w sąsiednim pokoiku klientki, hałaśliwe, wymagające,

lecz, wobec dwuch cichych, wyrozumiałych i życzliwych kobiet. milkły i już grzecznie naradzały się z niemi.

Gdy Piotr zwrócił na to uwagę pani Sergejewoj, odparła:

— Mamy już wśród żon wybitnych komisarzy, a naszych klientek, — prawdziwie przyjazne dusze. Opowiadają nam o tem, co je smuci i niepokoi. Szczególnie obawiają się nieustannego szpiegowania w rodzinnem gronie. Zdarzały się wypadki, że rozwody dawano przymusowo. Na tem tle rozgrywały się ciężkie dramaty, nawet samobójstwa. Między innemi żona zdobywcy Piotrogrodu, Antonowa-Owsienko, gdy dano jej za szkodliwe przekonania rozwód, zabiła dwoje dzieci, a sama się podpaliła... Komuniści też są ludźmi i cierpią nieraz więcej, niż my, od ucisku rządzącej grupy. Biedni są oni, bardzo nieszczęśliwi, bo nie chlebem tylko ma żyć człowiek, a oni inaczej nie umieją...

Inżynierowie pożegnali przyjaciół i powracali do domu.

Szli wąską uliczką, która, jak brudne koryto rynsztoka, biegła wśród czarnych, pochylonych domków drewnianych.

Z poza rogu wynurzył się smutny kondukt.

Biała, straszliwie chuda szkapa, rzucając rozpaczliwie łbem i sapiąc dychawicznie, z trudem ciągnęła wóz ze stojącą na nim niezgrabną, zbitą z nieheblowanych desek trumną. Przez szpary wyzierała słoma i jakieś białe szmaty.

Przy koniu szedł brodaty człowiek i co chwila smagał go batem.

Za wozem kroczyło kilka zgnębionych postaci. Ktoś szlochał głośno.

Nagle koń zachwiał się i runął na ziemię.

Wierzgał nogami i co chwila usiłował podnieść ciężki łeb prężąc długą, chudą szyję. Próżno torturował szkapę brodaty człowiek, wymachując batem, próżno kopał ją grubemi butami w brzuch rozdęty; nie pomogły wysiłki ludzi, odprowadzających nieboszczyka. Biała szkapa dobiegła już kresu życia, wierzgnęła jeszcze kilka razy, drgnęła, wydała świszczący chrap i nagle, wyciągając szyję i nogi, zesztywniała.

— A, padło przeklęte! — zaklął brodacz i w rozpaczy cisnął bat na kamienie.

Ludzie naradzali się krótko

Zsunęli trumnę z wozu, oparli na ramionach i przygarbieni poszli ku miejscu ostatniego spoczynku drogiej lub przyjaznej istoty.

Szloch ustał. Ciężko oddychając i potykając się na wyboistym bruku, zniknęli ludzie w ciemnem załamaniu ulicy.

Brodaty człowiek stał chwilę. klnąc i drapiąc się w głowę, wreszcie podniósł bat i odszedł.

Młodzi inżynierowie szli za nim w oddali, kierując się ku śródmieściu. Nagle posłyszeli za sobą stłumione głosy.

Obejrzeli się i stanęli w zdumieniu.

Z czarnych, ubogich domków wypadli mieszkańcy.

Jak zgraja głodnych psów stłoczyli się przy trupie końskim.

Po chwili rzucili się na niego. Błysnęły siekiery i noże, rozległy się krzyki i przekleństwa. Ludzie odbiegali, niosąc skrwawione kawały końskiego ścierwa. Inni walczyli ze sobą, wyrywając z leżącego kadłuba wnętrzności. Mała dziewczynka skakała na jednej nóżce i gryzła dymiący ochłap, piszcząc drapieżnie.

— Stworzył Bóg człowieka na obraz i podobieństwo swoje i tchnął w niego ducha swego! — szepnął Grzegorz i wzdrygnął się.

Piotr nic nie odpowiedział. Tylko zębami zgrzytnął i biegł, nie oglądając się.

W pokoju hotelu, gdzie byli ulokowani delegaci fachowi, znaleźli przysłane im materjały obrad. Po kolacji zaczęli przeglądać stenogramy i protokóły, gdy nagle ktoś zapukał do drzwi.

Wszedł urzędnik milicji.

Takie wizyty nie należały zwykle do przyjemnych, więc Bołdyrewy patrzyli na niego zimnym, nieufnym wzrokiem.

Milicjant nagle roześmiał się głośno.

— Nie poznaliście mnie? — zawołał. — Jestem inżynier Burow.

— Burow! Szczepan Burow! — wykrzyknęli Bołdyrewy, witając dawnego kolegę. — Skądżeś się tu wziął i do tego w tak wspaniałej roli?

— A cóż miałem robić, moi drodzy? — zaśmiał się milicjant. — Fabryki zdechły, a ja nie miałem zamiaru iść za ich przykładem, więc dałem nura do milicji, jako inspektor nad

budynkami i urządzeniami miejskiemi. Coprawda nie mam z tem wiele roboty! Piszę codziennie po dwa lub trzy protokóły, że ten lub inny dom czyha na to, aby się zawalić, że kanalizacja nie działa, bo ją zatkały nieboszczyki... Ludziska w zimie ukrywali się w tych kanałach i umierali sobie w samotności.

Koledzy gwarzyli tak długo, aż Burow wstał i rzekł:

— Muszę iść. Jestem dziś wyznaczony do zrewidowania różnych podejrzanych miejsc. Władze obawiają się, czy nie runą dachy na głowy gości tak bardzo pożytecznych instytucyj. Może chcecie, to pójdziemy razem? Warte obejrzenia!...

Grzegorz odmówił, lecz Piotr zgodził się natychmiast.

Wyszli na miasto i wstąpili do biura milicji.

Burow skinął na trzech drabów, grających w karty na ławce.

— Moi podkomendni! — szepnął, mrużąc oko. — Powiadam ci, kolego, chłopy naschwał! Przetarło, ugniotło ich życie, jak piekarz ciasto. Zdaje się, że przed wojną pędzili żywot w katordze. Zbrodniarze, no, a teraz — agenci bezpieczeństwa publicznego!

Draby tymczasem ubierali się, zaciągając rzemienie z wiszącemi na nich rewolwerami, i przyczepiali szable.

W pobliżu mostu Kuźnieckiego Burow zatrzymał się przed ciemnym domem dwupiętrowym i zapukał do drzwi.

Długo nikt nie odpowiadał. Po trzecim dzwonku rozległ się tupot bosych nóg na schodach. Drzwi, spuszczone na łańcuch, uchyliły się i wylękła twarz zajrzała w szparę.

— Otwieraj, bo strzelę! — mruknął jeden z milicjantów, przyciskając nogą drzwi.

Weszli po schodach na drugie piętro i zadzwonili znowu.

Ktoś przekręcił mosiężne oczko we drzwiach i rozległ się głos:

— Ach, towarzysz Burow!

Weszli do sieni, a stamtąd do dużej sali, rzęsiście oświetlonej lampkami acetylenowemi.

Okna były szczelnie zasłonięte grubemi draperjami, na podłodze leżał wspaniały, puszysty kobierzec, tłumiący kroki.

Około stu gości było na sali.

Grali w karty, ruletkę, domino. Kupy złotych monet. całe garście brylantów i drogich kamieni, pierścionków, broszek, bransoletek, paczki dolarów i funtów angielskich przechodziły z rąk do rąk.

Wystrojone, obwieszone klejnotami, półnagie kobiety w pozach wyuzdanych siedziały i leżały na kanapach i w fotelach, bezczelne, wyzywające. Nagie dziewczynki roznosiły szampan, likiery i kawę...

Od czasu do czasu ten lub ów z gości dawał znaki oczami i znikał z jedną z kobiet w głębi korytarza; inni szeptali coś do ucha usługującym dziewczynkom i przechodzili z niemi do bocznych pokoi.

Grała pianola w małej salce, tańczyły jakieś pary; miotały się i podrygiwały rozpustnie, lubieżnie przy wybuchach śmiechu i okrzykach podchmielonych widzów.

— Co to jest? — szepnął Piotr, dotykając ramienia Burowa.

— Dla ciebie — wszystko, co chcesz, dla mnie — „złota krowa"! — odparł ze śmiechem. — Jednak, jako dawny kolega, ostrzegam: nie graj, bo tu szuler siedzi przy szulerze; z miłością też należy być ostrożnym... Ot, naprzykład! Widzisz tę piękną, groźną brunetkę? Jest to księżna, najprawdziwsza księżna z bardzo starej rodziny... Na dworze cesarskim triumfy zbierała. Nie zdążyła zemknąć zagranicę, przeszła „czeka" i wszystko, co jest z nią związane... Spróbowała ulicy... a później odnalazła ten przytułek, utrzymywany przez cudzoziemca, bardzo rządowi potrzebnego... Księżna jest chora... no, wiesz na jaką chorobę można być chorą w takim zakładzie.. Nie leczy się i, jeżeli zawita tu jakiś komisarz, skusi biedaka i... zarazi. Zwierzała mi się kiedyś po pijanemu, że teraz tylko w ten sposób może się mścić za Rosję... Patrjotka! Cha! Cha!

— Te kobiety mieszkają tu? — spytał Piotr.

— Nie! — zaprzeczył milicjant. — Jesteś na bankiecie, czy raucie u ormiańskiego bogacza z Turcji, Awanesa Kustandżi, wśród jego przyjaciół i gości. Widzisz tamten stolik przy oknie? Tam szulerzy przegrywają w tej chwili tysiące dolarów do tego czerwonego wieprza... Jest to fabrykant niemiecki... Wygrał dużo, a biedaczyna nie wie, że przegra wszystko, co zarobił w Rosji, bo sprzedał dużą partję aspi-

ryny, salwarsanu, opjum i kokainy... W tem jest polityczna idea, mój drogi! Mamy „nep“, czyli nową ekonomiczną politykę. Dopuszczamy cudzoziemskie kapitały, ale dochody z nich, o ile nie można ich skonfiskować, zarekwirują w sposób „prywatny“ szulerzy, lub te piękne, a niebezpieczne odaliski, wkońcu zaś dostojny Kustandżi zerwie swój haracz.

Piotr Bołdyrew obejrzał się po sali.

Przy wejściu milicjanci Burowa pili koniak i zajadali chlebem z kiełbasą.

Przy stolikach szła gra, krążyły pieniądze, brylanty i szklanki z winem; małe, nagie dziewczynki siedziały na kolanach gości i bezwstydnie tuliły się do nich, dziecinnemi głosikami śpiewając sprośne piosenki i opowiadając ohydne anegdotki.

Po sali przechadzał się uśmiechnięty Kustandżi, ogromny, do słonia podobny Ormianin.

Na lśniącej się twarzy, okrytej czerwonemi plamami i wrzodami, zwisał gruby, fioletowy nos, zasłaniający wierzchnią wargę. Małe, czarne i przebiegłe oczy świeciły się drapieżnie, wszystko widząc, nad wszystkiem czuwając.

Podszedł do Burowa i rzekł piskliwie:

— Dziś marny dzień... Żadnego zarobku!

— Widzę! — odparł wesoło milicjant. — Oszczędzę was, towarzyszu, na dzisiaj! Zapłacicie mi tylko trzysta dolarów. Bagatelka, wobec tego, że Niemiec Brandt zostawi u pana dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, a ten młody Amerykanin Savey, co to pięknie tańczy i gwiżdże, — co najmniej pięćdziesiąt tysięcy. A inni? A to, co przewinie się przez gabineciki i czarny buduar pięknej pani Kustandżi?... Nie! Trzysta dolarów — to drobiazg...

— Aj — aj — aj! — zapiszczał Ormianin. — Towarzyszu, prędko będziecie miljonerem, jak Rotschild!

— Wtedy do was na bankiet i raut nie przyjdę! — odparł Burow, klepiąc gospodarza po ramieniu.

Kustandżi wcisnął do kieszeni kurtki milicjanta paczkę banknotów.

— Napiszę protokół, że dokonana rewizja nie wykryła nic karygodnego — rzekł Burow. — Chcę pokazać memu przyjacielowi wasz pałacyk, towarzyszu Kustandżi!



OŁNIERZ SPECJALNEGO ODDZIAŁU CZEKI



WETERAN CZERWONEJ ARMJI

— Bardzo proszę! Może winka, koniaczku? — zaproponował Ormianin

— Nie, dziękujemy... jesteśmy abstynentami surowymi! — zaśmiał się Burow.

— Aj — aj — aj! Napróżno! — cmokając głośno, mruknął Kustandżi. — Może jutro już żyć nie będziecie, poco się krępować... Aj — aj — aj!

Ormianin pobiegł na spotkanie nowych gości.

Byli to jacyś zupełnie prości ludzie, ale ich groźne, drapieżne twarze i śmiałe oczy zwracały na siebie uwagę.

— Chi — chi! — cicho zaśmiał się Burow. — Wesoło tu dziś będzie! Przybyli bandyci, a z nimi sam herszt Czełkan. Nie bój się! Nikogo rabować nie będą ci dżentelmeni. Wczoraj udała się im pewna dochodowa impreza... Przyszli się rozerwać, grać w karty, hulać, bo co mają robić z pieniędzmi? I tak jutro wpadną w ręce „czeki"; sami pójdą pod mur, a pieniądze, jeżeli coś zostanie z nich, — do kieszeni towarzysza Guzmana, prezesa tej wielce szanownej instytucji!

— O ile zrozumiałem, to Kustandżi dał ci... łapówkę? — szeptem zapytał Bołdyrew.

— Fi, jakie burżuazyjne słowo! — odparł ze śmiechem Burow. — Zapłacił mi okup. A cóż ty myślisz, że ja całe życie zamierzam spędzić w tem bagnie komunistycznem? O, nie, mój drogi! Uciułam sobie kilka tysięcy dolarów i drapnę zagranicę. Dość już mam tych zbrodniarzy i oszustów!

Piotr z podziwem patrzył na kolegę. Życie i jego ugniotło i przerobiło na swoją modłę, — inaczej, niż jego, brata Grzegorza i rodzinę Sergejewych.

Z niechęcią spojrzał na Burowa, lecz w tej chwili przyszły mu na pamięć słowa Ewangelji:

— Nie sądź, a nie będziesz osądzony...

Spytał kolegę już spokojnym głosem:

— Jak to może być, że bandyci wchodzą do lokalu, w którym znajduje się milicja?

— Cha — cha! Oni wiedzą, że Kustandżi już tę sprawę załatwi spokojnie! — zaśmiał się Burow. — Ale chodźmy! Pokażę ci lokal. Wart jest obejrzenia! Jestem przekonany, że nic podobnego nie istnieje na całym świecie... Może w

Buenos-Ayres, bo Kustandżi przysięga, że naśladował najlepsze wzory argentyńskie. Myślę, jednak, że łże...

Szli długim korytarzem. Z obu stron jego ciągnęły się pokoje, wspaniale przybrane kobiercami, wschodniemi tkaninami, wzorzystemi poduszkami, zwierciadłami. Drzwi, zasłonięte przezroczystemi draperjami, pozwalały widzieć wszystko, co się działo w półciemnych przytułkach rozpusty.

Przychodzili tu goście z sali gry i z dancingu, przyglądali się z zaciekawieniem, z podnieceniem w oczach i robili głośne uwagi, żartując i śmiejąc się.

— Kraj, w którym rozpusta tak bezczelnie się panoszy, skazany jest na zagładę! — dziwnie poważnym głosem zauważył Burow.

Piotr ze zdumieniem podniósł na niego oczy.

Milicjant, nie zmieniając tonu i patrząc ponuro, mówił:

— Zgasili wiarę, pozamykali i zbeszcześcili kościoły, ikony święte sprzedali do muzeów zagranicznych. Gwałt i rozpustę uczynili religją swoją. To musi się zemścić! Tem bardziej, że Lenin zupełnie szczerze, jak fanatyczny asceta, pędzi życie moralne, skromne i proste, wierzy niewzruszenie, obłędnie niemal, iż dąży do szczęścia ludzkości... Jest w tem wszystkiem djabelski fałsz, odurzająca ludzi trucizna, tumaniąca mózgi i paraliżująca wolę. Gdyby Lenin przyszedł do Kustandżi, nie wątpię, że palnąłby mu w łeb, a później — sobie!

Przeszli do „czarnego buduaru". Była to spora sala o wielkiem lustrze na suficie. Ściany, draperje, kobierzec — wszystko czarne; na tem tle ponurem wisiały w białych ramach ciemne sztychy, przedstawiające sceny pornograficzne, straszne, wymyślne, przejmujące dreszczem.

Na niskich otomanach, stosach poduszek i wprost na kobiercu leżeli goście, trzymając w objęciach nagie, wiotkie ciała dziewczynek.

Białe, cienkie ramiona ich, niby japońskie hafty jedwabne na czarnem tle, majaczyły co chwila. Leniwie, ociężale pochylały się nad stolikami i wrzucały do wysokich kieliszków z likierami drobne pastylki kokainy, lub podawały srebrne tabakierki z odurzającym, zatrutym proszkiem do wąchania.

Goście powoli wpadali w błogi stan półomdlenia. Ściskając małe, rozpustne dziewczynki, leżeli z rozmarzonemi twarzami i oczami szeroko rozwartemi, które widziały przed sobą bladą zjawę śmierci.

Niektórych porywał szał obłędny, zmuszał do krzyków, wybuchów śmiechu, ryku zwierzęcego. Ci rzucali się na służebnice, drapali ich białe ciała, gryźli cienkie szyje i gnietli w lubieżnym uścisku, podniecając się jękami i krzykami bólu.

— Chodźmy stąd, chodźmy! — szepnął Piotr i biegł po korytarzu, jakgdyby złe, chore widma goniły go.

Na sali dancingowej tańczono namiętne tango. Młody Amerykanin, zagłuszając pianolę, wygwizdywał melodję, patrząc nieprzytomnie na wyślizgującą mu się, jak wąż, tancerkę.

Inny cudzoziemiec szukał sobie pary, nawołując bezradnie. Wszystkie kobiety były już zajęte, wtedy przeszedł do sali gry i zbliżył się do księżny, obejmując ją wpół.

Odepchnęła spocone dłonie mężczyzny i patrzyła dumnie na pochylonego nad nią natręta.

— Proszę panią „towarzyszkę" do tanga — bełkotał łamaną mową rosyjską, rozdzierając sobie pijane oczy.

Kobieta powolnym ruchem podniosła się.

— Hej, Tamara! — rozległ się głośny okrzyk i wnet po nim przeraźliwy świst. — Pluń na tego burżujskiego gacha i chodź tu!

Od stolika bandytów szedł ku niej Czełkan.

Rozrosły, zwinny, drapieżny w każdym ruchu, pewny swej siły, patrzył na kobietę pożądliwie i rozkazująco.

— N-no, biegnij tu, a śpiesz się, dziewko! — krzyknął i znowu gwizdnął, a tak głośno, że z głębi lokalu przybiegł zdyszany i zaniepokojony Kustandżi.

Kobieta wyprostowała się dumnie i, mrużąc oczy, rzuciła wyzywająco:

— Uklęknij, chamie, uderz trzy razy głupim łbem w podłogę i proś, wtedy może...

Czełkan wybuchnął śmiechem.

— Czyś oszalała, Tamarka? — zawołał. — Ileż to razy miałem ciebie, zapomniałaś? Znowu zaczynasz buntować się? Podła krew knaziowa szumieć zaczyna? Ja ci to wy-

biję z głowy! N-no, nie drażnij mnie i śmigaj,... księżno wysokorodna, do Czełkana!...

Gwizdnął kilka razy, jak na psa, spoglądając na Tamarę pogardliwie.

— Nie chcesz prosić pokornie, na kolanach, z pokłonem do ziemi? — zapytała groźnie.

Odpowiedział ohydnem, zgniłem przekleństwem.

Tamara nagle podniosła głowę. Twarz jej wykrzywiła się straszliwie, usta rozwarły się szeroko i wyrzuciły zgrzytliwe, złe słowa:

— Myślicie, chamy, raby, których ojciec mój siekł nahajem, że ja przez całe życie będę się tu z wami podliła, jak pies bezdomny, głodny? Pamiętam ja ciebie, Czełkan, gdyś był dozorcą domu i przywiodłeś mnie z ulicy do swego barłogu. Umierałam wtedy z głodu, a tyś handlował mną, biłeś, znęcałeś się nade mną, gdy chora, żebrząca łachmaniarka nic zarobić nie mogłam. Nikt wtedy nie mógł dojrzeć mego ciała przez brudne szmaty... Mam was dość, chamy, psy nieczyste, wyrzutki! Swoje zrobiłam... Setki was gnije teraz... Będziecie przez całe życie pamiętać księżnę Tamarę!

Zaczęła się śmiać i tupać nogami.

— Pijana jesteś! — krzyknął Czełkan i skoczył ku niej.

Tamara sięgnęła do torebki.

Po chwili jeden po drugim padły trzy strzały.

Bandyta zatoczył się i runął, ugodzony w brzuch i głowę. Kobieta leżała nieruchoma, a z ust jej wypływała struga krwi.

Piotr Bołdyrew szybko opuścił lokal Awanesa Kustandżi, nie czekając na Burowa.

Powrócił do domu, obudził brata i do świtu drżącym głosem opowiadał mu o wypadkach w spelunce starego Ormianina.

Nazajutrz w porannych dziennikach przeczytał, że dzielny komisarz milicji, Burow, wyśledził groźnego bandytę Czełkana, który wraz ze swoją kochanką Tamarą zakradł się do prywatnego mieszkania cudzoziemca. tureckiego kupca Kustandżi w celu rabunku. Burow po krwawej walce zabił bandytów.

— Ten Burow daleko zajdzie! — uśmiechnął się Piotr. — Ze wszystkiego umie skorzystać. Coprawda, na tak śliskiej drodze łatwo się poślizgnąć...

— Kto mieczem wojuje, od miecza zginie! — odpowiedział Grzegorz, wzruszając ramionami.

Za ścianą ktoś gwizdać zaczął, a po chwili zaśpiewał wysokim tenorem:

„Kupitie bubliczki,
„Towaryszcz, bubliczki,
„Za tri kopiejeczki chorosz towar! *)

*) Kupcie obwarzanki, towarzyszu, za trzy kopiejki dobry towar. Modna piosenka — „czastuszka" bolszewicka.

ROZDZIAŁ XXXIV.

Czerwony Plac był oświetlony reflektorami. Białe mury Kremlu, niby z lodu wzniesione, załamujące się, zębate, majaczyły jak grzywiasta fala zamarzniętego morza. Na niebie, gwiaździstem, nasiąkłem łuną od świateł ulicznych, znieruchomiały w ciągłem czuwaniu, rozpęczniały okrągłe kopuły katedry Bazylego Błogosławionego. Duże i małe — zastygły, niby martwe głowy, zatknięte na palach, z nieżywą obojętnością patrzące nadół, gdzie kotłował się w białych promieniach latarni elektrycznych tłum, krzykliwy, niesforny, dziki.

Rwały się głosy nieznane, bluźniercze, obce tej nocy ciepłej, wiosennej, rzewnej. Muzyka płynęła huczną, szeroką strugą, wisiała nad miastem, wyrywając się z oświetlonych teatrów, kinematografów i restauracyj.

Zbliżała się północ.

Tajemnicza godzina, gdy od wieków lud rosyjski, zapominając o nigdy nieprzemijających klęskach i mękach, zanosił modły do Zbawiciela Świata. Umęczony przez ludzi, zmartwychwstał niegdyś o tej godzinie i wstąpił do promiennego królestwa Ojca swego niebieskiego.

Cicha, zadumana, przejęta urokiem wspomnień, odczuwająca łaskę Bożą noc...

Cóż mąciło ją teraz? Kto napełniał ją zgiełkiem, zgrzytem, wrzawą hałaśliwą, wichrem zrywających się okrzyków bluźnierczych, ohydnych, skoczną muzyką, śmiechem dzikim, przekleństwem obłędnym?

Przez tłum sunął pochód bezbożników, posłanych przez Kreml czerwony.

Na czele postępowali ludzie, niosący duży portret Włodzimierza Lenina, otoczony szkarłatnemi sztandarami, a za nim, śpiewając „Międzynarodówkę“ i skoczne, sprośne piosenki, długi wąż ludzi o twarzach bezczelnych i, mimo zu-

chwałych, wesołych słów, — posępnych, podobnych do skazańców, dążących na miejsce stracenia.

Nie wiedzieli, że w tę noc Zmartwychwstania Syna Bożego robili jeszcze jeden krok ku Golgocie pohańbienia.

W tłumie, skacząc i szalejąc, krążyły postacie, przebrane za Boga, w szatach białych, z długiemi siwemi włosami i brodami; za Chrystusa, siedzącego na ośle twarzą do ogona; za apostołów, niosących w rękach duże butelki z napisami: „święty opjum“, „błogosławiona wódka“, „cudowna trucizna“, za nimi w bezwstydnych podrygach, uściskach i pląsach miotali się mężczyźni i kobiety w barwnych szatach, z napisami na piersiach: św. Mikołaj; Aleksy — człowiek Boży, św. Aleksander, św. Grzegorz Rasputin, św. Marja, św. Katarzyna...

Wyrostki jechali konno na krzyżach, okrytych wstrętnemi napisami; bezwstydne, wyuzdane dziewki uliczne obnażały się, wrzeszczały przeraźliwie i pośród wybuchów śmiechu rzucały w zgiełk straszliwe bluźnierstwa.

Pochód okrążył katedrę i skierował się ku bramie Iwerskiej.

Tłum szedł, nie uchylając czapek i krzycząc coraz głośniej, aż krzyk ten przeszedł w jękliwe wycie, może grzeszne, urągające, może — przerażone, rozpaczliwe...

Jakaś kobieta ręce podniosła do cudownego obrazu Bogarodzicy i skowytać zaczęła urywanym od wściekłości lub strachu głosem

— Jeżeli możesz, jeżeli istniejesz — ukarz nas — ukarz!

— Ho! ho! ho! — wył motłoch ponuro, żałośnie...

Na przedmieściach, dokąd nie docierał szalejący tłum bezbożników, działy się inne rzeczy.

Bracia Bołdyrewy szybko szli w stronę cerkwi, stojącej na starym cmentarzu. Ciemne sylwetki, znaczące się w mroku nieoświetlonych ulic i nędznych zaułków, dążyły do dalekiej dzielnicy, gdzie stała cerkiew starożytna, ocalała podczas zmagań rewolucyjnych. Pobożni przeciskali się do głównej nawy obszernej świątyni, inni po kamiennych stopniach schodzili do dolnego kościoła, mieszczącego się w lochach cerkwi.

Robotnicy z żonami i dziećmi, wieśniacy, których święto zastało w stolicy, bezdomni biedacy, żebrzące staruchy, inteligenci w zniszczonych ubraniach, nieraz bosi, tłoczyli się głowa przy głowie. Twarze radosne, rozrzewnione, rozjaśnione; oczy, wpatrzone w oświetlone obrazy święte, w błyski, biegające po bronzie i złoceniu bramy, ukrywającej ołtarz; drżące usta, szepcące słowa modlitwy; ręce, czyniące znak krzyża i trzymające zapalone świeczki woskowe; nad morzem głów płynęły niebieskie, wonne smugi kadzidła, a wyżej czaił się nieprzenikniony mrok pod kopułą.

Ludzie, zgromadzeni w świątyni Bożej, zapomnieli w tej godzinie modlitwy o życiu surowem i męczeńskiem. Nie czuli bólu ran, zadanych przez los niemiłosierny; odleciała rozpacz, zimnemi palcami nieraz chwytająca za gardło; rozwiały się żale i skargi, które były jak mgła jadowita; jasne się stały drogi rozstajne, pokrzyżowane, niebezpieczne; przepadło bez śladu trzęsawisko, po którem od kilku lat kroczył lud umęczony, tonąc i ginąc; ukryły się głęboko łzy, przepełniające serca; myśl wyrwała się z pod ciężkiej zmory śmierci i nędzy i biegła promienistym szlakiem tam, gdzie przebywała przedwieczna Prawda, kreśląca losy ludzkości i prowadząca ją ku celowi, nieogarniętemu rozumem istot żyjących; gdzieś na dnie duszy rozkwitała nadzieja, że to marne, nędzne istnienie jest chwilą przemijającą, konieczną i niezbędną aby dokonał się wyrok, a Słowo stało się ciałem. Wtedy wszystko nabierało znaczenia, barw i światła boskiego. Każdy z modlących się pod tą ciemną kopułą cerkwi czuł się bojownikiem za wielką sprawę, jednym z tych, co wysoko podnoszą sztandar zbawienia i osiągają zwycięstwo ostateczne.

Dźwięcznym tenorem czytał diakon, stojący przed ołtarzem:

— A pierwszego dnia szabbatu Marja Magdalena przyszła rano, gdy jeszcze były ciemności, do grobu Chrystusa Pana i ujrzała kamień, odwalony od grobu. Marja stała u grobu zewnątrz, płacząc. Gdy tedy płakała, nachyliła się i wejrzała w grób. I ujrzała dwu aniołów, w bieli siedzących, jednego u głowy, a drugiego u nóg, kędy położone było ciało Jezusowe. Rzekli jej oni: „Niewiasto, czemu płaczesz?“

Rzekła im: „Wzięto Pana mego, a nie wiem, kędy Go położono“. A to rzekłszy, obróciła się nazad i ujrzała Jezusa stojącego, a nie wiedziała, iż Jezus był. Rzekł jej Jezus: „Niewiasto! Czemu płaczesz? Kogo szukasz?“ Ona, mniemając, żeby był ogrodnik, rzekła mu: „Panie! Jeśliś Go ty wziął, powiedz mi, gdzieś Go położył, a ja Go wezmę!“ Rzekł jej Jezus: „Marjo!“ Obróciwszy się, ona rzekła mu: „Rabboni!“ (co się wykłada mistrzu). Rzekł jej Jezus: „Nie tykaj się mnie, bom jeszcze nie wstąpił do Ojca mego — ale idź do braci moich a powiedz im: Wstępuję do Ojca mojego i Ojca waszego, Boga mojego i Boga waszego“ *).

Diakon skończył wysoką, triumfującą nutą.

Z ołtarza wyszedł kapłan z krzyżem i świecą płonącą w rękach.

Głosem, w którym drżały łzy, zawołał:

— Bracia i siostry! Chrystus zmartwychwstał. Alleluja! Hosanna, na wysokościach Bogu!

Poruszył się tłum, padając na kolana i odpowiedział radośnie:

— Zaiste zmartwychwstał Pan! Alleluja! Alleluja!

Chór i modlące się rzesze pobożnych śpiewały budzący wzruszenie hymn:

„Chrystus powstał z martwych
„Śmiercią swoją zwyciężył śmierć
„I ludziom dobrej woli
„Żywot wieczny w niebie dał.

Ustał śpiew. Młody kapłan, pobłogosławiwszy zebranych krzyżem i wodą święconą, przemówił:

— Słowami listu powszechnego błogosławionego Jakóba Apostoła zaklinam was, bracia moi i siostry! Albowiem mówi Apostoł Chrystusa Pana, Zbawiciela i Nauczyciela naszego: „Niech wszelki człowiek będzie prędki ku słuchaniu, a leniwy ku mówieniu i leniwy ku gniewowi. Albowiem gniew męża nie sprawuje sprawiedliwości Bożej. Przeto, odrzuciwszy wszelakie plugastwo i obfitość złości, przyjmijcie w cichości słowo wszczepione, które może zbawić dusze wasze. A bądźcie czynicielami słowa, a nie słuchaczami tylko, oszu-

* Ewang. św. Jana. XX, , 11-17.

kiwającymi samych siebie. Bo jeśli kto jest słuchaczem Słowa, a nie czynicielem, ten podobny będzie mężowi, przypatrującemu się obliczu narodzenia swego we zwierciadle; bo się obejrzał i odszedł i wnet zapomniał, jakowy był. Lecz ktoby pilniej wejrzał w zakon doskonałej wolności i wytrwał w nim, nie stawszy się słuchaczem, ale czynicielem uczynku, ten błogosławiony będzie w sprawie swojej".*)

Umilknął na chwilę i, łzy ocierając, rzekł cicho:

— Kara Boża dosięgła nas ciężka, bracia i siostry, lecz błogosławcie ją, bo oto staliśmy się czynicielami Słowa, a uczynki nasze stały się Słowem wcielonem. Nic was zwalczyć nie może i potęgi piekielne, nieprawości nie dosięgną bramy duszy naszej! Podnieście serca wasze ku Niebu, a oto zstąpi wśród nas Nauczyciel i błogosławi dziatki swoje...

W tej chwili szmer przeszedł po świątyni i wszystkie spojrzenia pobiegły ponad głową stojącego przed rozwartą bramą kapłana; oczy, rozpromienione błyskiem zachwytu, patrzyły gdzieś wyżej.

Obrócił się zdumiony pop i z cichym okrzykiem padł na kolana.

Na najwyższym stopniu ołtarza, stał człowiek wysoki, chudy i rękę wznosił do błogosławieństwa.

Jasne, miękkie włosy falami spadały na ramiona, broda spływała na wyszarzałą sutannę z prostym żelaznym krzyżem na piersi; płomienne oczy ogarniały tłum; blada dłoń kreśliła w powietrzu znak ofiary i zwycięstwa Chrystusowego.

— Biskup Nekodym, więziony i męczony przez bolszewików w lochach klasztoru Sołowieckiego... powrócił! — biegł szept radosny.

Od ołtarza padły ciche, przenikliwe słowa, pełne wiary gorącej i siły niezłomnej:

— Pokój wam!

Z placu, gdzie stał tłum pobożnych, w chwili tej przedarł się do świątyni przeraźliwy głos kobiecy:

— Żołnierze zbliżają się! Ratunku!

Biskup Nekodym dźwięcznym i silnym głosem, brzmiącym rozkazem namiętnym, powtórzył:

— Pokój wam!

*) List św. Jakóba, I, 19-25.

Zeszedł ze stopni ołtarza, trzymając krzyż żelazny w ręku, i ruszył przez tłum; za nim szedł pop z diakonem i rzesze wiernych.

Mrowie ludzkie, śpiewając hymn Zmartwychwstania, wyległo na krużganek i na plac.

Tłum szedł zwartą ciżbą. Tuż obok biskupa kroczyli Piotr i Grzegorz Bołdyrewy, skupieni, przejęci, na nic niepomni.

O niczem nie myśleli. Ktoś inny, niezmiernie potężniejszy, zgarnął w jedną dłoń całą wolę ich, wszystkie odruchy uczuć. Rozsądek przemawiał słabym głosem. Niebezpieczeństwo... śmierć! Jednak nie słuchali napomnień... Brzmiały dla nich, jak odgłosy uliczne, zalatujące do świątyni. Słabe, nędzne, obce, natrętne. Musieli iść i — szli. Musieli!... Stali się w tej chwili drobnemi atomami, wirującemi pod tchnieniem orkanu, wyrywającego się z przepaścistej otchłani wszechświata. Nie mogli, nie śmieli wyrwać się poza granice wiru, musieli wraz z nim do końca przebyć drogę nieznaną, wykonać tajemnicze dzieło.

Wszystkie myśli i uczucia utonęły w świadomości niezbędnego, wspólnego ruchu, bezimiennego bohaterstwa, nie żądającej nagrody ofiary.

Od wylotu ulicy kroczyły dwa oddziały wojska.

Rozwinęły się szeregi i stanęły.

Rozległy się słowa komendy. Szczęknęły karabiny, przerzucane na rękę.

— Rozchodzić się, bo będziemy strzelali! — sepleniąc, krzyknął oficer-Łotysz, dowodzący oddziałem czerwonej gwardji.

Zbity w jedno ciało tłum rozmodlony nie drgnął, nie zawahał się, nie zatrzymał ani na chwilę. Zwartym, niewzruszonym murem sunął wprost na Łotyszów.

— Raz!... dwa!... — krzyknął oficer przeraźliwie.

Zgrzytnęły zamki karabinów. Już się pochyliły głowy do kolb, już oficer podniósł szablę do sygnału, gdy z szeregów drugiego oddziału wyrwał się krzyk rozpaczliwy:

— Towarzysze, brońmy naszych braci przed Łotyszami! My tu na swojej ziemi, nie te przybłędy!

Znowu szczęknęły karabiny, zgrzytnęły zamki i błysnęły lufy, wymierzone w czerwonych gwardzistów.

— Opuść strzelby! — skomenderował oficer-Łotysz. — Na lewo zwrot, marsz!

Łotysze, oglądając się nieufnie, szybko odeszli.

Rosyjscy żołnierze zdjęli czapki i, zarzuciwszy karabiny na ramię, szli przed pochodem. Głosy ich łączyły się z chórem pobożnych, śpiewających:

„Chrystus powstał z martwych,
„Śmiercią swoją zwyciężył śmierć
„I ludziom dobrej woli
„Żywot wieczny w niebie dał...“

Pochód płynął ulicami umęczonej Moskwy, przecinał place, wchłaniał nowe tłumy przejętych uroczystością chwili ludzi, łączył się z innemi procesjami, wychodzącemi z bliskich i dalekich cerkwi, i kroczył, poprzedzany przez miarowo, twardo stąpających żołnierzy ku bramie, z której, tonąc w głębokiej framudze, spoglądało ciemne oblicze Matki Boskiej Iwerskiej.

Tłum w milczeniu padł na kolana. Cisza zaległa dokoła.

Biskup Nekodym, wysoki, natchniony, podniósł się, błogosławił zatopionych w modliwie i rzekł:

— Pokój wam!

Tłum zaczął rozpraszać się, znikając w bocznych ulicach.

W kilka minut później plac opustoszał.

Rozlegały się tylko kroki żołnierzy, stojących na warcie.

Dwuch szyldwachów zbliżyło się do siebie.

— Śmiały nasz lud, gdy o wiarę chodzi!... — mruknął jeden. — Przecież kulomiotami mogli go spotkać Łotysze, Finnowie i Chińczycy z rozkazu komisarzy...

Drugi uśmiechnął się tajemniczo i odparł:

— Nie mieli odwagi... stchórzyli...

Pierwszy żołnierz zamyślił się, patrząc bacznie w oczy towarzysza.

— Chrystus zmartwychwstał, bracie... — szepnął po chwili, zdejmując czapkę.

— Zaiste zmartwychwstał! — odpowiedział drugi.

Podali sobie ręce i potrzykroć na krzyż się ucałowali tak, jak nauczyła ich w dzieciństwie matka.

ROZDZIAŁ XXXV.

Lenin przed chwilą wysłuchał raportu profesora instytutu weterynaryjnego.

Myślał o tem i szeptał:

— To straszne! Rękawica — rzucona całemu światu cywilizowanemu! Natura wydaje na świat przerażające potwory!

Zaczął przypominać sobie opowiadanie profesora:

— Wynalazł nowe bakterje. Wyhodował je... „Czeka“ dała mu „żywy materjał“, ...osiemdziesięciu aresztantów politycznych. Sprawdził na nich działanie swoich bakteryj. Wywołują paraliż i zabijają w ciągu kilku minut. Ma zamiar umieszczać je w pociskach, rzucanych z samolotów. Niezawodna, skuteczna broń! Osiemdziesięciu ludzi już uśmiercił. Potwór nauki! Kat, jak Dzierżyński...

— Jak ty sam... rozległ się nieuchwytny uchem szept.

Rzucił się na fotel.

Cierpienie wykrzywiło mu twarz. Skośne oczy mongolskie wyszły z orbit.

Porwał go doznawany coraz częściej dręczący ból głowy. Zdawało mu się, że była wykuta z kamienia ciężkiego i z jednego tylko miejsca płonącym potokiem wyrywały się myśli bezładne, pogmatwane, męczące.

— Stalin, marzący o trwaniu Rosji w chaosie rewolucji, mimo ostatecznej zguby... Rykow, zawsze pijany, krytykujący dyktaturę proletarjatu... Chłopi oporni, łączący się coraz bardziej... Profesor z bakterjami, zębami wyrywający serca osiemdziesięciu politycznych aresztantów... Bunt w więzieniu Sołowieckiego klasztoru i wymordowanie zamkniętych w niem ludzi... Nieruchome fabryki.. Głód... Socjalizm po dwuch miesiącach!...

Krzyknął i runął na podłogę.

Znaleziono go leżącego bez ruchu...

Przeniesiono na łóżko.

Lekarze oglądali go, badali długo.

— Paraliż prawej strony ciała...

Długie miesiące choroby, beznadziejnie jednostajne, nudne. Śmiertelne znużenie i obojętność, przerywane atakami bólu głowy, nie opuszczały go i obezwładniały duszę.

Jednak zaczął powoli chodzić, wołał do siebie komisarzy, rozmawiał z nimi, radził, dyktował dekrety, artykuły, przeglądał korespondencję zagraniczną, czytał dzienniki.

Słabe ciało nie mogło zwalczyć ducha.

Płonął, jak dogasające ognisko, podsycane przez wicher smagający; z pod kupulastej czaszki wymykały się czeredy myśli, niby szczury, opuszczające ginący okręt.

Jeszcze raz wszystko zacisnął w ręku i nikt z tych przeciwników, do których się zwracał głuchym głosem przekonania niezłomnego, nie mógł nie przyznać, że i teraz Lenin „Rosję prowadzi ręką, tkniętą paraliżem".

On widział jasno przebytą drogę i tę, która znikała teraz coraz częściej przed nim.

Wytępił wszystko, co było twórczego, zdolnego do polotu myśli, do prawdziwej pracy dla szczęścia ludzkości; poniżył pozostałe dusze, serca, moralność i rozum do nędznego poziomu najgorszych, najciemniejszych istot, rozbudził żądze, dzikie instynkty; z ich pomocą zburzył dzieło twórców, a gdy nastała chwila budowania, pozostał sam z nieruchomą prawą ręką i nogą, z tym bólem strasznym, co rozrywa i rozsadza mózg, z tą dręczącą świadomością bliskiej śmierci.

Oddał władzę klasie robotniczej, wybrawszy z niej najzuchwalszych, najdrapieżniejszych, oparłszy się na ludziach obcej krwi, aby niczego nie żałowali, dla nikogo miłosierdzia nie mieli.

Teraz Stalin...

Ach, Stalin, zagadkowy Gruzin, to płomienny, to milczący i twardy jak głaz.

Idzie śladami jego — Lenina.

On zburzył Rosję, wymordował dynastję, zamęczył miljony ludzi, oparłszy się na kilku tysiącach oddanych mu komunistów.

Stalin ujrzał przepaść, ku której dąży partja, nie mogąca udźwignąć i pociągnąć za sobą znękanego ciała Rosji; stwo-

rzył partję w partji, stał się wodzem biurokratów proletarjackich, rozbił zbudowany przez Lenina gmach komunizmu, opartego po wysiłku bezowocnym na wszechwładnej „ziemi“, której niczem zwalczyć nie mógł zuchwały dyktator.

Stalina należy usunąć... Gruzin nie uznaje kompromisu...

Rewolucja powinna trwać, aby zarażała Europę, gdzie pod wpływem komunizmu wzmogła się siła kapitalizmu, ale Rosja ginie... ginie!... Ach, Azja...

Azja, być może, wybuchnie, jak potężny wulkan, a Rosja skieruje potoki lawy ognistej na Zachód, na przeklęty Zachód, oporny, niewzruszony za murami burżuazji i niczem nie skrępowanego intelektu twórczego.

Ratunku! Głowa, głowa pęka i płonie!

Siada i pisze.

Oskarża Stalina, doradza, jak należy go osłabić, obezwładnić, usunąć... Trockij powinien prowadzić rewolucyjną Rosję. Nie jest on nieustępliwym, stanowczym; zato skłonny jest do kompromisów poważnych i posiada nadzwyczajne zdolności... zresztą, on nie ma wyjścia.

Obcy dla Rosji, wyklęty przez swój lud, znienawidzony zagranicą, ma przed sobą tylko jedną drogę — rewolucję, ciągłą, nigdy nie wygasającą rewolucję, oszczędzającą „ziemię“.

Pisze Lenin, z trudem wodzi sparaliżowaną prawicą, podtrzymując ją i kierując lewą ręką.

Pisze testament...

Dla kogo?

Nie wie...

Przecież nie ma nikogo, z kim ciężka i bolesną stanie się rozłąka?

Nie umiłował przez całe życie żadnej istoty.

Oddał całą potęgę myśli i woli, cały, bez reszty, niszczący żar serca Rosji, ciemnej, uciemiężonej, kajdanami dzwoniącej, łkającej bez przerwy, jak burłaki nad Wołgą:

— Oj—ej! Oj—ej!

Do niej skieruje te słowa ostatnie, słabnącą kreślone ręką, do niej! Niech usłyszy je partja, trzymająca w dłoni ster życia... ostatnia myśl pozostanie na papierze, jak setki, tysiące innych, co były, jak iskry w szlaku komety; jak szkarłat zarzewia... jak ciężkie, druzgocące uderzenia młota...

Skończył i znużony śmiertelnie wzywa sekretarkę, lecz natychmiast znowu ogarniają go palące, pełne źrącej trwogi myśli.

Nie jest spokojny o los swego dzieła!... Trockij, Rykow, Cziczerin, Stalin?... Nie, to nie koi trwogi i troski! Trockij, Zinowjew, Kamieniew, Stiekłow, a z nimi rzesza rewolucyjnych żydów... Cha! Cha! Dobrze obmyślił, że do burzenia Rosji i zgrzybiałego świata pociągnął ten naród bez ojczyzny, rodzimej mowy, przejęty tradycją walki o byt i żądzą zemsty... Coraz więcej żydów, ośmielonych przykładem Trockiego i Zinowjewa, staje w szeregach... coraz więcej! To dobrze! Oni będą zmuszeni podsycać, pogłębiać rewolucję, bo inaczej krwią żydowską upije się Rosja po samo gardło... Teraz nie mają wyboru i wyjścia... Zniewoleni są żyć i działać w rewolucyjnem morzu, rozkołysać, podminować, obalić cały świat... O, jakże boli go głowa!

Znowu woła, krzywiąc blade, drżące wargi.

Nie słyszy swego głosu...

Chce krzyknąć — nie może...

Jakżeż straszliwie boli i płonie głowa!

Przyszedł drugi, jeszcze cięższy atak paraliżu i utrata mowy.

Przewieziono Lenina do pałacyku w Gorkach pod Moskwą.

W Kremlu, nawet chory, nie mogący słowa wyrzec sparaliżowanym językiem, był dla Stalina i Trockiego zawadą, bo czytał dzienniki, słuchał doniesień swojej sekretarki Fotijewoj i Nadziei Konstantynówny, wołał komisarzy, trząsł nad głową zdrową lewą ręką i bełkotał bezładnie, śliniąc sobie brodę.

W Gorkach pozostawał zdala od walczących przeciwników.

Obaj mogli bezkarnie posługiwać się urokiem dogorywającego fetysza, którego imieniem nazwali Piotrogród.

Lenin rozumiał, że umiera. Pojmował, że już pozostał samotny. Potok dziejowy ominął go i mknął swojem łożyskiem.

Miał znaczenie hasła, otwartej, jeszcze żywej księgi nowego proroctwa, objawionej ewangelji podnoszących bunt niewolników.

Pod tą ewangelją napisał już straszne słowo: „Koniec“.

Wdzięczni uczniowie nazwali północną stolicę jego imieniem — „Leningrad“.

— Śmierć...

Nie chciał zniknąć z tego świata, nad którym zakreślił szeroki, krwawy łuk. jak nieznana kometa złowróżbna.

Nieprzebrana potęga czaiła się jeszcze w mózgu i sercu Włodzimierza Lenina.

Zaczął chodzić, uczył się pisać lewą ręką, specjaliści — lekarze wykonywali razem z nim ćwiczenia, ułatwiające powrót mowy.

Odwiedzali go komisarze, słuchał ich i pojmował wszystko.

Nie mógł tylko odpowiedzieć, rozpaczliwie wymachiwał ręką i ryczał głucho.

Wyjeżdżając na spacer, patrzył na skrzące się zaspy śnieżne, na białe, nagie i smutne brzozy.

Jakieś wspomnienia budziły się w nim.

— Ach, tak! Białe ciało nagiej Dory... A później — krwawe łzy... dwie czerwone, gorące strugi.

— Apanasewicz, zabij Dzierżyńskiego! — bełkoce.

Nadzieja Konstantynówna, słysząc rzężenie, pochyla się nad nim i pyta:

— Czy nie czujesz zimna?

Głowa płonie. miotają się myśli w kopulastej czaszce, a każda, jak ostra drzazga, rani, drapie, krwawi mózg.

— Ratunku! — krzyczy pomrukiem niezrozumiałym, a z ust przekrzywionych wybiega struga piany.

Powróciwszy do domu, położył się do łóżka.

Cierpiał na bezsenność oddawna...

— Jak Dzierżyński... — myślał Lenin z rozpaczą.

Patrzył w sufit przez całe dnie i całe noce.

Biała płaszczyzna rozszerzała się, rozlewała, biegła w bezkresną dal...

— To już nie sufit! — myśli Lenin. — Cóż widzę przed sobą...?

Całym wysiłkiem woli przygląda się, mrużąc lewe oko...

— Ach! To Rosja... Alei jaka blada, bez kropli krwi w znękanem ciele... Cała w ranach... Nie! To groby... groby bez końca... nieznane, bez krzyży...

Poruszyło się nagle olbrzymie cielsko blade.

Stało się podobne do wydętego brzucha zdechłego konia, tego, co niegdyś leżał w lesie za płotami Kokuszkina nad Wołgą.

Rośnie, pęcznieje i — pęka z hukiem...

Z wnętrza kadłuba wypadają straszne, sine, opuchnięte, z odwalającą się skórą trupy...

Helena Remizowa... złotowłosa Helena... Sielaninow... Wissarjon Czerniawin... Dora... Mina Frumkin... Wołodzimirow... Piotruś...

Za nimi wychodzą Trockij, Dzierżyński, Fedorenko, Chałajnen i wesoły, zacierający ręce malutki profesor z butelką, pełną bakteryj paraliżu...

Stanęli i chórem krzyknęli przeraźliwie głośno, zgrzytliwie:

— Niech żyje rewolucja! Niech żyje dyktatura proletarjatu! Niech żyje wódz nasz — Włodzimierz Lenin! Hurra-a-a!

Ktoś promienny stanął między nim, a towarzyszami.

Złociste włosy, spadające na ramiona, połyskują w blasku słońca, jasna broda spływa na białą szatę, podniesiona ręka wskazuje na niebo. Cichy głos brzmi surowo:

— Zaprawdę powiadam wam, że uczynione w imię miłości zważone zostanie wagą nie waszej sprawiedliwości, sądzone i wybaczone!

Lenin zbiera siły, opiera się na łokciu i bełkoce:

— W imię miłości. Chry...

Piorun wytryska z oczu promiennej postaci, oślepia, uderza.

Pada Lenin i rzęzi, już nic nie widząc i nie słysząc, czuje tylko, że toczy się coraz szybciej i zawrotniej; mrok otacza go i pochłania resztki myśli, echa uczuć...

W godzinę potem nad Kremlem obok czerwonej chorągwi powiewała czarna... — zwiastun śmierci.

Ognisty krwawy łuk zgasł, a niszcząca bryła nieznanej komety utonęła w otchłani ciemnej bez dna, bez brzegów.

ROZDZIAŁ XXXVI.

Na Czerwonym Placu naprzeciwko katedry św. Bazylego Błogosławionego, najeżonej kopułami, połyskującej barwną emalją ścian, łączącej w sobie przesyt Bizancjum z barbarzyńską pychą wschodu, powstał dziwny budynek.

Drewniany, jednobarwny, geometrycznie pierwotny, ciemny, prawie czarny. Tworzą go ściśle określone płaszczyzny. Bryły ciężkie, bez polotu wyobraźni i natchnienia.

Tak budowali przed tysiącoleciami jęczący niewolnicy w Neniwie i Babilonie, tak wznoszono świątynię Salomona i pałace władców Egiptu. Ciężko i groźnie, bo wśród wznoszonych murów siedzibę miały straszliwe bóstwa z Tygrysu, Eufratesu, z ziemi Chanaańskiej i Akkad, albo bogom surowym równi królowie czterech stron świata, potomkowie Assura, Bela, Ra — słońca niszczącego.

Na frontonie widnieje jedno tylko słowo „Lenin".

Tu złożono zabalsamowane zwłoki dyktatora proletarjatu.

W trumnie szklanej, w bluzie wojskowej, z gwiazdą orderu „Czerwonego Sztandaru" na piersi, spoczywa Lenin.

Żółta, pergaminowa skóra jeszcze bardziej podkreśla mongolskie rysy twarzy; zaciśnięta prawica, nieustępliwa i zawsze do ciosu gotowa, nie zmiękła w obliczu śmierci i pozostała jako młot kowala-burzyciela.

Zdawać się mogło, że grobowiec groźnego Tamerlana, został przeniesiony z serca Azji tu, do Moskwy, gdzie panowali przez stulecia całe potomkowie Dżengiza — Mongoła, pół-tatarscy kniaziowie moskiewscy i nareszcie w wieku XX-ym — pół-Mongoł, myślą powracający do niezmierzonych stepów azjatyckich, górskich wąwozów dzikich, z gnieżdżącemi się w nich hordami, znającemi tylko zniszczenie.

Długi wąż ludzi od brzegu rzeki ciągnie się do mauzoleum Lenina.

Tłum sunie do ciemnej czeluści otwartych drzwi prostokątnych. patrzy na stojących nieruchomo, jak posągi, żołnierzy z warty; kroczy w czerwonawym półzmroku, głowa za głową, przed szklaną trumną, popędzany surowemi okrzykami:

— Nie zatrzymywać się! Przechodzić!

Żołnierze, gawiedź uliczna, przyjezdni chłopi, delegaci z dalekich prowincyj ...defilują przed prorokiem i katem.

Tysiące oczu ślizga się po pergaminowej twarzy i zaciśniętej w pięść dłoni, szuka czegoś pod mocno zwartemi powiekami wodza, pozostawia niewidzialne ślady myśli swoich w cieniu oczu jego, na wypukłem, nagiem czole, w zmarszczkach ust.

Płynie potok ludzi, sunie niby nieskończony szereg mrówek koczujących w poszukiwaniu nowych dróg istnienia, milczący, skupiony, strwożony, zatruty zwątpieniem.

Inne drzwi prostokątne, strzeżone przez dwóch żołnierzy skamieniałych, wyrzucają odwiedzających świątynię nowego proroka na Czerwony Plac, na który spogląda w naprężeniu i sztywności kopuł i kopułek barwne, zadziwiające dzieło Iwana Groźnego.

Potok rozbija się na drobne odnogi, strumyki i wsiąka w korytarze ulic, jeszcze poważny, przejęty, zadumany.

Gdy owionie ludzi zaduch brudnych uliczek, gdy przemówi do nich nędza, wyzierająca zewsząd, gdy doniesie się z podwórza „czeki“ turkot karabinu maszynowego, mordującego robotników i chłopów, pryśnie skupienie, rozwieje się przejęcie i zaczai w tajnikach duszy zaduma.

Wieśniaczka ciągnie za rękaw męża i szepce do niego:

— Ludzie gadają, że Lenin gnije i że lekarze naprawiają go i malują!

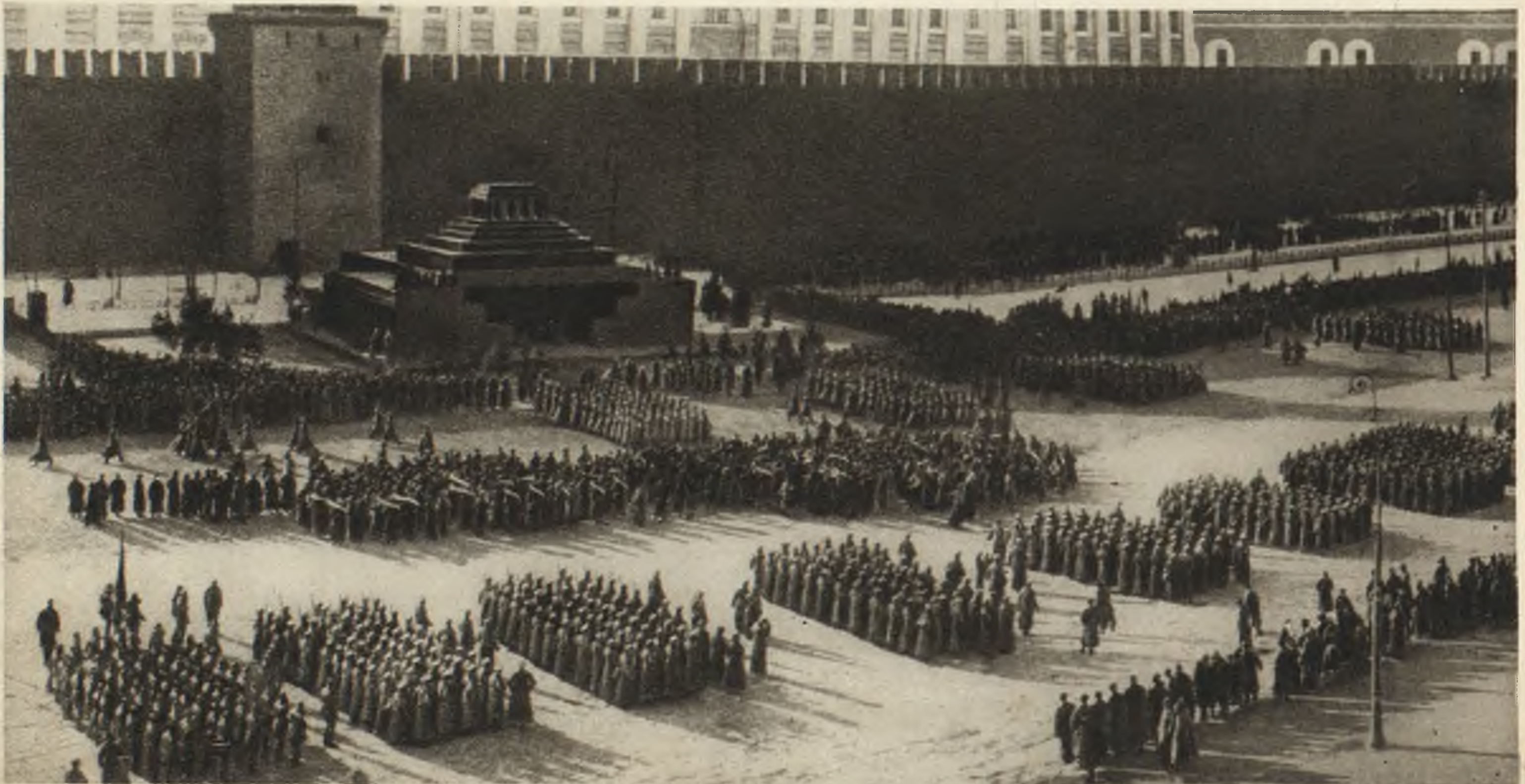
Chłop patrzy na żonę długo i odpowiada przez zęby:

— Niech gnije, przez niego Rosja cała przegniła...

— Och! — wzdycha kobieta.

— Żaden car nie miał takiego grobowca! — woła z dumą przechodzący robotnik w czarnej koszuli. — Pocześnie pogrzebaliśmy Iljicza! Umarł i nie umarł, bo każdy może go oglądać. Leży jak żywy... Wydaje się, że znużony usnął!

Słuchający go inny robotnik kiwa głową i odpowiada cichym, smutnym głosem:



REWJA WOJSKOWA NA CZERWONYM PLACU PRZED MAUZOLEUM LENINA W MOSKWIE

— Źle, że z drzewa zbudowano mauzoleum... Spłonąć może...

W pobliżu katedry zatrzymała się grupka ludzi, przed chwilą odwiedzających grób Lenina.

Przystanęli i długo w milczeniu patrzyli na zarysy bryłowatego, ciemnego gmachu i na bielejący na frontonie napis: „Lenin".

— Umarł Antychryst... — szepnęła jakaś kobieta, z lękiem patrząc na wysokiego, chudego człowieka o śmiałych, gorejących oczach.

— Skoro umarł i nawet, mimo sztuki lekarskiej, zabalsamowany, gnije powoli, — nie był on Antychrystem! — zauważył przygnębiony starzec i wzrok swój zwrócił na wysokiego człowieka, zapatrzonego w mauzoleum.

Zapanowało milczenie.

Wreszcie ten, na którego były skierowane spojrzenia otaczających, otrząsnął się z zadumy i szepnął:

— Nieświadomie wykonał on wolę Przedwiecznego... Był biczem Bożym, którym chłosta sprawiedliwy Sędzia w nieprawości żyjącą ludzkość. Nie przeklinajcie go, nie złorzeczcie, bracia! Oto dopełnił kary, rzuconej na nas z Nieba i do opamiętania przywiódł!

— Biskupie dostojny, ojcze Nekodymie!... — zawołał ktoś z otaczających.

— Zaprawdę powiadam wam, że ten człowiek dokonał wielkiego dzieła! — odpowiedział biskup głosem natchnionym. — Zabił ducha niewolnictwa, obudził sumienia pysznych i możnych, wiarę prawdziwą w duszy ożywił, odegnał od nas strach męczeństwa i śmierci, na drogi rozstajne, na manowce przywiódł, abyśmy pojęli, że ino duchem zdobywa się wolność i szczęście na ziemi, a nagrodę — przed tronem Najwyższego. Ręką jego krwawą i myślą szaloną kierował Bóg!

— Pozostawił po sobie jad śmiertelny... Dwa pokolenia, zatrute hasłami zgniłemi! — rzekła kobieta. — Młodzież, dzieci...

— Zaiste powiadam wam, że są one, jak kwiecie trawy. Wejdzie słońce, a powiędną i opadną, słabe, nędzne, nikomu nie drogie... — szepnął Nekodym.

Rozległy się westchnienia ciężkie i głosy ciche:

— Oby Bóg dał...,

— Pozostali Trockij, Stalin. Zinowjew, Kamieniew i tysiące innych — rzekł starzec. — Nieprawość z nimi i przemoc.

Biskup spojrzał na niego płomiennemi oczami i w uniesieniu mówić zaczął:

— Święty Jan, ulubiony uczeń Jezusa Zbawiciela, na wyspie Pathmos miał objawienie i wiernie zapisał, albowiem Bóg ukazał mu prawdę. Apostoł pański mówi:

— I rzekł mi Bóg: Nie pieczętuj słów proroctwa ksiąg tych, albowiem czas blisko jest. Kto szkodzi, niech jeszcze szkodzi, a kto jest w plugastwie, niech jeszcze plugawieje, a kto sprawiedliwy jest, niech jeszcze będzie usprawiedliwion, a święty niech jeszcze będzie poświęcon! Oto przychodzę rychło, a zapłata moja ze mną jest, abym oddał każdemu według uczynków jego. Jam jest Alfa i Omega, pierwszy i ostatni, początek i koniec!

Rzucił spojrzenie łagodne na mauzoleum ponure, na plac, rojący się od ludzi, i szybko poszedł ku wylotowi najbliższej ulicy. Inni zdążali za nim.

Nie widzieli już, jak z mauzoleum milicja wywlekała starego żebraka. Obłędnie krzyczał i wył, uchylając się od spadających na niego ciosów.

Chwytali go za odrywające się łachmany, szarpali za włosy i brodę, wlekli, popędzając pięściami i pochwami szabel.

Żebrak wyrywał się, szamotał i, prężąc się, co chwila krzyczał, zawodząc żałośnie:

— Ludzie rosyjscy! Nie dajcie się! Odebrano nam ojczyznę, wiarę, wstyd! Teraz wodzowi nędzarzy — Leninowi skradziono mózg, serce wyrwano i zamknięto w złotej szkatule pod siedmiu pieczęciami! Leży w grobie... nie może już myśleć o nas i prowadzić za sobą ubogich, zbłąkanych, skrzywdzonych.... Ludzie dobrzy!

Skargi jego utonęły w odgłosach modlitwy uciemiężonych, śpiewanej z ponurą uroczystością przed grobem proroka i wodza:

„Wyklęty powstań ludu ziemi!
„Powstańcie, których dręczy głód!
„Myśl nowa blaski promiennemi
„Dziś wiedzie nas na bój, na trud!

„Przeszłości ślad dłoń nasza zmiata,
„Przed ciosem niechaj tyran drży —
„Ruszymy z posad bryłę świata,
„Dziś niczem, jutro wszystkiem — my!

Śpiew nagle się urwał.

Z bocznej ulicy na Czerwony Plac wynurzał się nowy tłum i sunął w milczeniu. Doszedł wreszcie do bramy Kremlińskiej i jęczeć zaczął, skamłać, wyć coraz głośniej i groźniej:

— Umieramy z głodu... Pracy i chleba!... Pracy i chleba! Umieramy...

Na murze, okrywając się parą, zaturkotał kulomiot.

Odpowiadał najnędzniejszym, najgłodniejszym.

KONIEC.